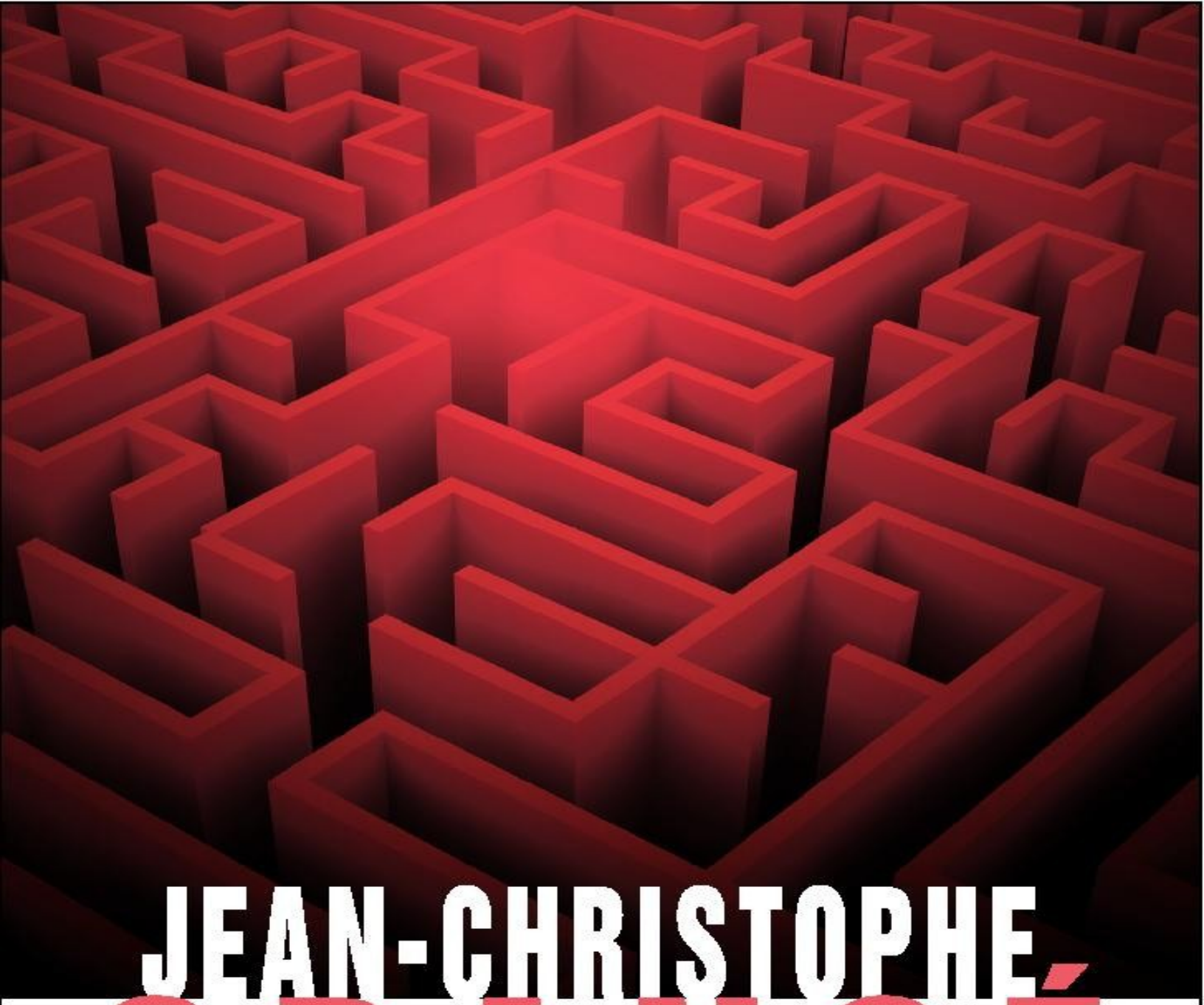

JEAN-CHRISTOPHE

GRANGÉ

Pasażer

NIESAMOWITY THRILLER AUTORA **PURPUROWYCH RZEK** I **LASU CIENI**

JEAN-CHRISTOPHE GRANGÉ

Pasażer

Z francuskiego przełożyła
WIKTORIA MELECH

ALBATROS
Wydawnictwo A. Kurylowicz

Wydanie elektroniczne

JEAN-CHRISTOPHE GRANGÉ

Najchętniej nad Sekwaną czytany autor thrillerów, wydawany w 30 językach. Urodził się w 1961 w Paryżu. Swoją działalność zawodową rozpoczynał jako dziennikarz, publikując cykl reportaży naukowych w czasopiśmie „Le Figaro”. W 1994 zadebiutował powieścią **Lot bocianów**. Międzynarodową sławę przyniosła mu druga książka **Purpurowe rzeki**, sprzedana w łącznym nakładzie dwóch milionów egzemplarzy. Kolejne tytuły, m in. **Imperium Wilków**, **Przysięga otchłani**, **Zmiłuj się**, **Las cieni**, **Pasażer** i najnowsza **Kaiken**, umocniły popularność pisarza, zapewniając mu najwyższe pozycje na listach bestsellerów. Niemała w tym zasługa licznych adaptacji filmowych jego powieści, w których główne role zagrali tak znani aktorzy, jak Jean Reno, Vincent Cassel i Monica Bellucci. Grange ma na swoim koncie oryginalne scenariusze filmowe, m.in. scenariusz do filmu *Vidocq*.

Tego autora

PURPUROWE RZEKI
KAMIENNY KRĄG
IMPERIUM WILKÓW
CZARNA LINIA
LOT BOCIANÓW
PRZYSIĘGA OTCHŁANI
ZMIŁUJ SIĘ
LAS CIENI
PASAŻER
KAIKEN

www.jc-grange.com

Tytuł oryginału:
LE PASSAGER

Copyright © Editions Albin Michel, Paris, 2011
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Wiktoria Melech 2013

Redakcja: Beata Kaczmarczyk
Ilustracja na okładce: mmaxer/Shutterstock
Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-036-6

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

Spis treści

O autorze

Tego autora

Dedykacja

I MATHIAS FREIRE

II VICTOR JANUSZ

III NARCYZ

IV NONO

V FRANÇOIS KUBIELA

Dla Michele Roca-Phelippot

I

MATHIAS FREIRE

Dzwonek przeniknął do jego świadomości niczym rozpalona igła.

Śniła mu się biała ściana skąpana w słońcu. Szedł wzdłuż niej, podążając za własnym cieniem. Ściana nie miała ani początku, ani końca. Była jak wszechświat. Gładka, lśniąca, obojętna… Znowu dzwonek.

Otworzył oczy. Spojrzał na błyszczące cyfry kwarcowego budzika stojącego obok. Czwarta zero dwie. Uniósł się na łokciu. Poszukał po omacku telefonu. Jego ręka trafiła w próżnię. Przypomniał sobie, że przebywa w sali wypoczynkowej. Obmacał kieszenie kitla, znalazł swój telefon komórkowy. Spojrzał na ekran. Nie znał tego numeru. Odebrał bez słowa.

W ciemnym pokoju rozległ się czyjś głos:

– Czy doktor Freire?

Nie odpowiedział.

– Czy pan doktor Mathias Freire, dyżurny psychiatra?

Głos wydał mu się dziwnie odległy. Znowu ten sen. Ściana, białe światło, cień…

– Tak, to ja – potwierdził w końcu.

– Nazywam się Fillon. Jestem lekarzem dyżurnym w szpitalu Saint-Jean Belcier.

– Dlaczego dzwoni pan do mnie pod ten numer?

– Tylko ten mi dano. Czy przeszkadzam panu?

Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Negatoskop. Metalowe biurko. Szafka na leki zamknięta na dwa spusty. Sala wypoczynkowa

była właściwie gabinetem konsultacyjnym, w którym przygaszono światło. Spał na stole do badań.

– Co się dzieje? – zapytał burkliwie, wstając.

– Jakaś dziwna historia na dworcu Saint-Jean. Strażnicy znaleźli około północy mężczyznę. Włóczęgę schowanego w warsztacie przy torach.

W głosie lekarza wyczuwało się napięcie. Freire spojrzał ponownie na budzik: czwarta zero pięć.

– Zabrali go do dworcowej izby chorych, a potem skontaktowali się z komisariatem przy placu des Capucins. Policjanci przewieźli gościa na posterunek i wezwali mnie, żebym go zbadał.

– Jest ranny?

– Nie. Ale kompletnie stracił pamięć. Coś niesamowitego.

Freire ziewnął.

– Nie udaje?

– To pan jest specjalistą. Ale nie wydaje mi się. Wygląda, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

– Policjanci będą do mnie dzwonić?

– Nie. Patrol z BAC wiezie delikwenta do pana.

– Dzięki – rzucił ironicznym tonem.

– To poważna sprawa. Pan może mu pomóc. Jestem tego pewien.

– Sporządził pan raport medyczny?

– Ma go ze sobą. Powodzenia.

Doktor Fillon odłożył słuchawkę, najwyraźniej chcąc jak najszybciej skończyć tę rozmowę. Mathias Freire siedział bez ruchu. Sygnał telefoniczny świdrował mu w ciemnościach bębenki. Tej nocy zdecydowanie nie było mu dane spać. Atrakcje zaczęły się o godzinie dwudziestej pierwszej. W pawilonie dla nowo przyjętych pacjent zrobił kupę w swoim pokoju i opychał się własnymi ekskrementami, po czym złamał nadgarstek interweniującemu pielęgniarzowi. Pół godziny później, w Pawilonie Zachodnim, schizofrenik otworzył sobie żyły kawałkiem linoleum. Freire nadzorował udzielenie mu pierwszej pomocy i kazał go przewieźć na oddział nagłych przypadków pobliskiego szpitala uniwersyteckiego Pellegrin.

Położył się spać o północy. Godzinę potem inny pacjent wybrał się na spacer po terenie szpitalnym zupełnie nagi, z plastikową trąbką w rękach. Trzeba było zrobić mu zastrzyk z trzech ampułek loksapiny, żeby go uśpić, a następnie uspokoić tych, których zbudził swoim recitalem. W tym samym

czasie pacjent z oddziału uzależnień dostał ataku padaczki. Zanim Freire tam dotarł, chory zdążył już przegryźć sobie język. W ustach miał pełno krwi. Gdy we czterech próbowali zapanować nad jego drgawkami, pacjent, korzystając z zamieszania, ukradł mu komórkę. Dopiero kiedy go obezwładniono, Freire rozgiął jego palce i odzyskał swój aparat telefoniczny, umazany krwią.

Położył się ponownie dopiero o wpół do czwartej. Spokój trwał zaledwie pół godziny. Przerwał go ten bezsensowny telefon. A niech to cholera!

Trwał tak w ciemnościach bez ruchu. Wciąż brzęczał mu w uszach sygnał telefoniczny, upiorny dźwięk w tym pokoju bez granic.

Schował komórkę do kieszeni i wstał. Znowu ukazała się biała ściana ze snu. Kobiecy głos szeptał: *feliz…* Słowo to w języku hiszpańskim znaczyło „szczęście”. Skąd ten hiszpański? Skąd ta kobieta? Poczuł w głębi lewego oka przenikliwy ból, jak zawsze, kiedy się budził. Potarł powieki i napił się wody z kranu nad umywalką.

Nadal po omacku, otworzył drzwi za pomocą plastikowej karty.

Zamknął się od wewnątrz, gdy przyszedł się przekimać, bo znajdująca się tu szafka z lekarstwami była dla chorych z tego oddziału niczym święty Graal.

Pięć minut później szedł lśniącym od wilgoci asfaltem kampusu. Mgła spowijała Bordeaux od poprzedniego dnia. Gęsta, mleczna, nieprzenikniona. Podniósł kołnierz płaszcza, który narzucił na kitel. W nos uderzył go zapach wilgoci i morza.

Skręcił w główną aleję. Widoczność ograniczona była do trzech metrów, ale znał drogę na pamięć. Pawilony z szarym, surowym tynkiem, ze spadzistymi dachami, kwadraty trawników. Powinien był wysłać pielęgniarza po nowego pacjenta, tyle że zawsze wolał osobiście przyjmować swoich „klientów”…

Przeszedł przez główne patio, wokół którego posadzono kilka palm. Zazwyczaj drzewa te, przywiezione z Antyli, napawały go optymizmem. Jednak nie tej nocy. Chłód i wilgoć były zbyt dotkliwe. Doszedł do bramy wejściowej, kiwnął głową wartownikowi i znalazł się na zewnątrz. Nadjeżdżał radiowóz. Kogut na jego dachu obracał się wolno, w ciszy, przywodząc na myśl latarnię morską na krańcach świata.

Freire zamknął oczy. Pod powieką wciąż czuł pulsujący ból. Nie przywiązywał żadnej wagi do tego czysto psychosomatycznego objawu. Przez

cały dzień zajmował się leczeniem dolegliwości umysłowych, które wywierały wpływ na ciało. Dlaczego nie miałoby to dotyczyć również i jego organizmu?

Otworzył oczy. Z samochodu wysiadł policjant w towarzystwie mężczyzny w cywilu. Freire zrozumiał, dlaczego dzwoniący do niego lekarz wydawał się przestraszony. Człowiek z amnezją był prawdziwym kolosem: wzrost dwa metry, waga co najmniej sto trzydzieści kilogramów. Na głowie miał kapelusz – autentyczny stetson z Teksasu, a na nogach buty z jaszczurczej skóry. Szerokie bary ciasno opinał ciemnoszary płaszcz. W ręku mężczyzna trzymał plastikową torbę i szarą kopertę wypchaną dokumentami.

Policjant zrobił krok do przodu, ale Freire dał mu znak, by został na miejscu. Sam ruszył w kierunku kowboja. Z każdym krokiem ból pod powieką stawał się ostrzejszy, nerw w kąciku oka zaczynał drgać.

– Dobry wieczór – powiedział, gdy znalazł się kilka metrów przed swoim nowym pacjentem.

Żadnej odpowiedzi. Mężczyzna, oświetlony mglistym światłem latarni ulicznej, nawet się nie poruszył. Freire spojrzał na policjanta, który stał z tyłu, z ręką na biodrze, gotów interweniować.

– W porządku. Może nas pan zostawić samych.

– Nie życzy pan sobie, bym zdał relację?

– Proszę przesłać mi jutro protokół.

Policjant skłonił się, cofnął, po czym zniknął w samochodzie, który zaraz rozpłynął się w mlecznych oparach.

Teraz obaj zostali sami, rozdzieleni jedynie strzępami mgły.

– Jestem doktor Mathias Freire – odezwał się w końcu. – Podlega mi ostry dyżur w tym szpitalu.

– Czy to pan się mną zajmie?

Niski, przytłumiony głos. Freire nie widział wyraźnie rysów twarzy, zakrytych rondem stetsona. Wydawało się, że mężczyzna ma głowę olbrzyma z filmów rysunkowych. Zadarty nos, usta potwora, ciężki podbródek.

– Jak się pan czuje?

– Trzeba się mną zająć.

– Zechce pan pójść za mną?

Olbrzym wciąż stał nieruchomo.

– Proszę iść ze mną – powiedział Freire, dotykając jego ramienia. – Pomożemy panu.

Mężczyzna cofnął się instynktownie. Promień światła padł na jego twarz. Freire znalazł potwierdzenie tego, co przewidywał. Twarz jakby dziecięca, ale dziwnie nieproporcjonalna. Facet musiał mieć około pięćdziesiątki. Spod kapelusza wymykały się kosmyki srebrzystych włosów.

– Proszę pójść ze mną. Wszystko będzie dobrze.

Freire starał się, by jego głos zabrzmiał przekonująco. Chorzy psychicznie są niezwykle wrażliwi. Wyczuwają natychmiast, kiedy się nimi manipuluje. Nie da się ich przechytrzyć. Wszystko musi odbywać się przy kartach wyłożonych na stół.

Mężczyzna z amnezją zdecydował się ruszyć z miejsca. Freire odwrócił się z rękami w kieszeniach, z obojętną miną, i skierował się znowu do szpitala. Zmuszał się do tego, żeby nie patrzeć do tyłu – w ten sposób okazywał pacjentowi zaufanie.

Szli do bramy. Mathias Freire oddychał przez usta, połykając zimne i wilgotne powietrze, jakby jadł lody. Czuł ogromne zmęczenie. Brak snu, mgła, ale przede wszystkim nawracające poczucie bezsilności wobec szaleństwa, które codziennie pokazywało inne oblicze…

Co mu przynosił ten nowo przybyły? Co on sam mógł dla niego zrobić? Freire pomyślał, że ma niewielką szansę, by dowiedzieć się czegoś więcej o jego przeszłości. A jeszcze bardziej nikłą, by go wyleczyć…

Być psychiatrą to jak naparstkiem czerpać wodę z dna dziurawej łodzi.

Była dziewiąta rano, kiedy wsiadał do swojego samochodu – zdezelowanego volvo, kupionego z drugiej ręki po przyjeździe do Bordeaux półtora miesiąca temu. Mógłby wracać do domu pieszo – mieszkał niecały kilometr od szpitala – ale nabrał zwyczaju siadania za kierownicą swego gruchota.

Specjalistyczne Centrum Lecznicze Pierre-Janet znajdowało się w południowo-zachodniej części miasta, niedaleko kompleksu szpitalnego Pellegrin. Freire mieszkał w dzielnicy Fleming, między kompleksem Pellegrin i miasteczkiem uniwersyteckim w Bordeaux, między dzielnicami Pessac i Talence. Jego dzielnica była anonimową strefą różowych domów z dachami pokrytymi dachówką, całkowicie identycznych, z przystrzyżonymi żywopłotami i małymi ogródkami, stanowiącymi „własność prywatną". Te oznaki dobrobytu ciągnęły się wzdłuż uliczek niczym zabawki na fabrycznej taśmie.

Freire jechał wolno we mgle, która nie chciała się podnieść. Nie widział wiele, ale miasto go nie interesowało. Mówiono mu: „Zobaczy pan, to mały Paryż". Albo: „To niezwykłe miasto". Albo jeszcze inaczej: „To Olimp win!". Mówiono dużo różnych rzeczy. Żadna z tych opinii nie przystawała do rzeczywistości. Bordeaux wydawało mu się raczej miastem mieszczańskim, nieprzystępnym, zabójczym. Bezbarwna, zimna aglomeracja, gdzie na rogu każdej ulicy panowała sztywna atmosfera prowincjonalnego hotelu.

Nie miewał do czynienia z drugą twarzą Bordeaux – jego słynną burżuazją. Koledzy psychiatrzy byli raczej starymi lewicowcami, zwalczającymi

tutejsze tradycje. Malkontentami, którzy, nie zdając sobie z tego sprawy, tworzyli inną wersję krytykowanej przez siebie klasy. Ograniczył kontakty z nimi do rozmów przy lunchu – śmiesznych anegdotek o wariatach, którzy połykali widelce, tyrad przeciw francuskiemu systemowi leczenia psychiatrycznego, snucia wakacyjnych planów odpoczynku w zacisznych miejscach.

Chciałby należeć do socjety Bordeaux, ale okazało się to niemożliwe. Freire miał wielką wadę – nie pił wina. W Akwitanii znaczyło to tyle samo, co być ślepym, głuchym lub sparaliżowanym. Nigdy nie czyniono mu z tego powodu wymówek, jednak cisza, jaka go otaczała, była wystarczająco wymowna. W Bordeaux, jeśli nie pijesz wina, nie masz przyjaciół. Po prostu. Nikt nigdy do niego nie dzwonił, nie wysyłał e-maili ani SMS-ów. Żadnych kontaktów oprócz zawodowych w intranetowej sieci szpitala.

Dotarł do swojej dzielnicy.

Tutaj każdy dom nosił nazwę jakiegoś kamienia szlachetnego. Topaz. Diament. Turkus. Tylko w ten sposób można było je odróżnić. Freire mieszkał w domu o nazwie Opal. Wmawiał sobie, że wybrał go, ponieważ znajdował się blisko szpitala. Jednak tak naprawdę zdecydował się na tę dzielnicę, bo była neutralna, gwarantowała anonimowość. Idealne miejsce, żeby się schronić, zakamuflować, wtopić między innych. Przybył tutaj, bo chciał odciąć się grubą kreską od swej paryskiej przeszłości. Od człowieka, którym kiedyś był – znanego i sławnego lekarza, któremu schlebiano w środowisku.

Zaparkował w odległości kilku metrów od domu. Mgła była tak gęsta, że zostawiono zapalone latarnie.

Nigdy nie korzystał ze swojego garażu. Kiedy wysiadł z samochodu, odniósł wrażenie, że zanurzył się w basenie z mleczną wodą. Miliardy kropelek materializowały powietrze, upodabniając je do upstrzonego punkcikami płótna.

Gdy podnosił kołnierz płaszcza, czuł na szyi lodowate kłucie mgły. Przyspieszył kroku, chowając ręce do kieszeni prochowca. Pomyślał, że przypomina prywatnego detektywa ze starego hollywoodzkiego filmu, samotnego bohatera poszukującego światła prawdy.

Otworzył furtkę ogrodu, przeszedł kilka metrów po błyszczącym od wilgoci trawniku, przekręcił klucz w zamku.

Wnętrze domu wyglądało tak samo banalnie jak jego fasada. W całym kwartale setki razy powtarzał się ten sam układ: przedpokój, salon, kuchnia, pokoje sypialne na piętrze… Te same materiały. Rozeschnięty parkiet. Ściany z niewygładzonego białego tynku. Drzwi ze sklejki. Osobowość mieszkańców mogła się wyrazić tylko w wybranych przez nich meblach.

Zdjął nieprzemakalny płaszcz i nie zapalając światła, skierował się do kuchni. Oryginalność mieszkania Freire'a polegała na tym, że prawie nie miał mebli. Zamiast nich pod ścianami stały kartonowe pudła, zamknięte od czasu przeprowadzki. Żył w tym apartamencie, który odgrywał rolę świadka, tyle tylko, że ten świadek nie miał nic do powiedzenia.

Przygotował sobie herbatę przy świetle latarni ulicznych. Oceniał w myślach szanse na choćby krótki sen. Nie miał żadnych.

O trzynastej zaczynał się jego dyżur – do tej godziny musi przejrzeć papiery. Następny dzień pracy skończy o dwudziestej drugiej. Zwali się wówczas na kanapę, bez kolacji, oglądając w roztargnieniu jakiś program rozrywkowy w telewizji. Nazajutrz, w niedzielę, będzie robił to samo, aż do wieczora. Wreszcie po solidnie przespanej nocy wróci znów do pracy w poniedziałek, zgodnie z bardziej lub mniej normalnym rozkładem.

Obserwując listki herbaty zaparzające się w czajniczku, pomyślał, że powinien coś z tym zrobić. Nie brać tylu dyżurów. Prowadzić higieniczny tryb życia. Uprawiać jakiś sport. Jadać w ustalonych porach… ale tego rodzaju refleksje również stały się częścią jego codzienności, nieuporządkowanej, powtarzającej się, bezcelowej.

Na stojąco, w kuchni, podniósł sitko pełne herbaty, przyglądając się jej coraz ciemniejszej, brązowej barwie. Dokładne odbicie jego mózgu, pogrążającego się w czarnych myślach. Zanurzając sitko ponownie, pomyślał, że pragnął uciec w szaleństwo innych ludzi, żeby łatwiej móc zapomnieć o własnym.

Dwa lata temu, w wieku czterdziestu trzech lat, Mathias Freire, zatrudniony w szpitalu specjalistycznym w Villejuif, popełnił jako lekarz kardynalny błąd – spał ze swoją pacjentką, Anne-Marie Straub, schizofreniczką. Maniakalno-depresyjną. Nieuleczalnie chorą, skazaną na przebywanie w zakładzie do końca życia. Kiedy wracał myślami do tego błędu, wciąż nie mógł uwierzyć. Przekroczył najświętsze tabu.

A przecież w tej historii nie było nic nienormalnego, nic perwersyjnego. Gdyby poznał Anne-Marie poza murami szpitala, natychmiast by się w niej

zakochał. Doświadczyłby takiego samego gwałtownego, irracjonalnego pożądania jak to, które ogarnęło go w jego gabinecie od pierwszego na nią spojrzenia. Jego namiętności nic nie mogło powstrzymać: ani izolatki, ani leki, ani krzyki. Spadło to na niego po prostu jak grom z jasnego nieba.

W Villejuif Freire mieszkał na terenie szpitalnego kampusu w osobnym budynku. Co noc przychodził do pawilonu Anne-Marie. Widział to teraz wszystko w wyobraźni. Korytarz wyłożony linoleum. Drzwi z okrągłymi okienkami. Własne klucze, dzięki którym mógł wszędzie wejść. Niczym cień przemykał się wiedziony pożądaniem. Każdej nocy przechodził przez salę terapii przez sztukę. Za każdym razem opuszczał wzrok, by nie widzieć na ścianach obrazów Anne-Marie. Malowała czarne, poskręcane, obsceniczne rany na czerwonym tle. Czasami sama cięła płótno szpachelką podobnie jak Lucio Fontana. Kiedy Mathias patrzył przy świetle dziennym na jej obrazy, nie miał wątpliwości, że Anne-Marie jest jedną z najbardziej niebezpiecznych pacjentek w szpitalu. Nocą, zapominając o tym, przemykał się jednak do jej izolatki.

Te noce wypaliły go na zawsze. Namiętne uściski w zaryglowanym pokoju. Pieszczoty tajemne, natchnione, zniewalające. Szalone rozmowy, szepty na ucho. „Nie patrz na nie, kochany… Nie są złe…”. Mówiła o duchach, które, jej zdaniem, otaczały ich w ciemnościach. Mathias nie odpowiadał, otwartymi oczami wpatrując się w mrok. Prosto w ślepy zaułek, powtarzał sobie w duchu. Zmierzam prosto w ślepy zaułek.

Któregoś razu popełnił o jeden błąd za dużo. Po miłosnym stosunku zasnął. Na jedną godzinę. Może mniej. Kiedy się obudził – musiała być trzecia nad ranem – nad łóżkiem kołysało się nagie ciało Anne-Marie. Powiesiła się. Na pasku od jego spodni.

Przez sekundę nic nie rozumiał. Sądził, że jeszcze śni. Patrzył z zachwytem na tę sylwetkę z ciężkimi piersiami, które znowu go podnieciły. Potem ogarnęło go przerażenie. Pojął wreszcie, że wszystko się skończyło. Dla niej. Dla niego. Ubrał się pospiesznie, zostawiając ciało i swój pasek przymocowany do rygla w oknie. Biegł przez korytarze, unikając pielęgniarzy, aż dopadł swojego pawilonu niczym zwierzę swej nory.

Ciężko dysząc, z zamętem w głowie, zrobił sobie zastrzyk uspokajający w przedramię i zwinął się w kłębek na łóżku, zakrywając twarz prześcieradłem.

Kiedy się obudził po dwunastu godzinach, sprawa była już znana wszystkim. Nikt się nie zdziwił, bo Anne-Marie wielokrotnie usiłowała ze sobą skończyć. Zarządzone zostało śledztwo w celu ustalenia pochodzenia męskiego paska, na którym się powiesiła. Nic to nie dało. Mathias Freire nie był przesłuchiwany. Anne-Marie nie była jego pacjentką już od ponad roku. Samobójczyni nie miała żadnej rodziny. Nikt nie złożył skargi. Sprawę umorzono.

Od tamtego dnia Freire wykonywał swoją pracę automatycznie, wspomagając się lekami antydepresyjnymi i uspokajającymi. Przynajmniej w tym wypadku można by powiedzieć, że szewc nie chodzi bez butów. Żadnych wspomnień z tamtego okresu. Automatycznie prowadzone konsultacje. Niejasne diagnozy. Noce bez snu. Aż do momentu, kiedy pojawiła się możliwość wyjazdu do Bordeaux. Skorzystał z niej bez namysłu. Spakował walizki i nie oglądając się za siebie, wsiadł do szybkobieżnego pociągu TGV.

Od chwili podjęcia pracy w Specjalistycznym Centrum Leczniczym przyjął nową postawę zawodową. Unikał w swojej pracy jakiegokolwiek zaangażowania. Jego pacjenci nie byli już przypadkami, lecz rubrykami, które musiał wypełnić – schizofrenia, depresja, histeria, nerwica natręctw, paranoja, autyzm… Zapisywał, zalecał odpowiednie leczenie, cały czas zachowując dystans. Mówiono o nim, że jest zimny i perfekcyjny niczym robot. Tym lepiej. Już nigdy więcej nie nawiąże bliższych kontaktów z pacjentem. Nigdy więcej nie uwikła się w nic w swojej pracy.

Z wolna powrócił do chwili obecnej. W dalszym ciągu stał przy oknie kuchennym, wychodzącym na pustą ulicę spowitą we mgle. Herbata zrobiła się czarna jak kawa. Dzień dopiero wstawał. Za żywopłotami takie same domy. Za oknami takie same egzystencje uśpionych jeszcze ludzi. Sobotni ranek, można się więc wylegiwać.

Jednak jeden szczegół nie pasował.

Przy chodniku, w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów, stał zaparkowany wóz terenowy z zapalonymi reflektorami.

Freire wytarł zaparowaną szybę. W tym momencie dwaj mężczyźni w czarnych płaszczach wysiedli z samochodu. Przymrużył oczy. Widoczność była słaba, ale ich sylwetki przypominały filmowych agentów FBI. Albo postacie będące parodią bohaterów filmu *Faceci w czerni*. Co oni tutaj robili?

Pomyślał przez moment, że może są to członkowie ochrony, wynajęci przez mieszkańców tej dzielnicy, lecz ani wóz, ani elegancki ubiór tych panów nie pasowały do tej koncepcji. Stali teraz oparci o maskę terenówki, nie przejmując się mgłą. Coś bacznie obserwowali. Mathias znowu poczuł ból w oczodole.

Faceci w wilgotnych płaszczach wpatrywali się przez mgłę w jego dom. I na pewno w jego sylwetkę w kuchennym oknie.

Freire przespał się na kanapie, okryty zamiast kocem różnymi papierzyskami. Do szpitala wrócił o trzynastej. Żywego ducha w izbie przyjęć. Żadnych chorych na depresję, zalanych w trupa kloszardów, szaleńców zgarniętych na drodze. Całe szczęście. Pozdrowił pielęgniarzy, którzy podali mu jego pocztę i akta sporządzone poprzedniego dnia. Poszedł do gabinetu, gdzie spędzał swój dyżur. Był to pokój badań i zarazem pokój wypoczynkowy.

Z pliku dokumentów wyjął przede wszystkim teczkę z protokołem dotyczącym człowieka z amnezją, znalezionego na dworcu Saint-Jean. Protokół sporządził Nicolas Pailhas, porucznik z posterunku policji przy placu des Capucins. Poprzedniego wieczoru Freire nie próbował pytać o nic kowboja ani nie usiłował zrozumieć, co się wydarzyło. Wyekspediował go do łóżka, przedtem tylko osłuchał i zalecił podanie środka przeciwbólowego.

Protokół od pierwszych linijek przykuł uwagę Freire’a.

Nieznajomy został znaleziony przez kolejarzy około północy w punkcie oliwienia kół, znajdującym się przy torze numer 1. Mężczyzna wyłamał zamek i ukrył się w tym pomieszczeniu. Gdy kolejarze zapytali go, co tam robi, nie był w stanie odpowiedzieć. Nie potrafił również podać swojego nazwiska. Oprócz kapelusza typu stetson i butów z jaszczurczej skóry miał na sobie płaszcz z szarej wełny, sztruksową, podniszczoną marynarkę, przeciwpotny podkoszulek z logo CHAMPION i dziurawe dżinsy. Nie znaleziono jednak przy nim żadnego dokumentu pozwalającego ustalić jego tożsa-

mość. Sprawiał wrażenie, że jest w szoku. Miał trudności z mówieniem. Niekiedy nawet nie rozumiał stawianych mu pytań.

Bardziej niepokojące było to, że nie chciał oddać trzymanych w rękach dwóch przedmiotów. Ogromnego klucza nastawnego, model 450 mm, oraz książki telefonicznej regionu Akwitanii z roku 1996 – wielostronicowej cegły z papieru biblijnego. I książka, i klucz umazane były krwią. Teksańczyk nie potrafił wyjaśnić, skąd się wzięły te przedmioty w jego rękach i plamy z krwi.

Pracownicy kolei, sądząc, że jest ranny, zaprowadzili go do punktu sanitarnego na dworcu. Tam obejrzano go i stwierdzono, że nie ma żadnych ran. A to oznaczało, że krew na kluczu i na książce telefonicznej należy do kogoś innego. Kierownik dworca wezwał policję. Kwadrans później przybyli Pailhas i jego ludzie. Zabrali mężczyznę na posterunek i wezwali lekarza dyżurnego dzielnicy, a ten z kolei skontaktował się z Freire’em.

Przesłuchanie na komisariacie nie przyniosło nic nowego. Zrobiono zdjęcie mężczyzny. Zdjęto mu odciski palców. Technicy z laboratorium kryminalistycznego wzięli próbki śliny, włosów, aby sprawdzić jego DNA we FNAEG, krajowej kartotece śladów genetycznych. Pobrali także drobinki pyłu z rąk i spod paznokci. Czekano na wyniki analiz. Oczywiście zabrano klucz i książkę telefoniczną. „Dowody przestępstwa”. Ale jakiego przestępstwa?

Odezwał się pager. Freire spojrzał na zegarek – piętnasta. Zaczynał się codzienny korowód. Mając chorych przyjętych z zewnątrz i własnych pacjentów, nie można było narzekać na brak roboty. Przeczytał na ekranie pagera, że pojawił się jakiś problem w izolatce w Pawilonie Zachodnim. Wyszedł pospiesznie z torbą lekarską w ręku i znalazł się ponownie na głównej alei, nadal spowitej mgłą. Kompleks szpitalny składał się z kilkunastu pawilonów przeznaczonych dla pacjentów z poszczególnych rejonów Akwitanii i paru, w których leczono konkretne zaburzenia – od dewiacji seksualnych po autyzm…

Pawilon Zachodni był trzecim na lewo. Freire wszedł do głównego korytarza. Białe ściany, beżowe linoleum, przewody na wierzchu – w każdym budynku taki sam wystrój. Nic dziwnego, że pacjenci mylą się, gdy tu wracają.

– O co chodzi?

– Cholera, nie widzi pan, co się dzieje? – odrzekł z irytacją lekarz oddziałowy.

Freire nie zareagował na jego agresywny ton. Spojrzał przez okienko w drzwiach. W kącie pokoju kuliła się naga kobieta. Jej białe ciało wymazane było kałem i uryną. Siedząc w kucki, z palcami we krwi, przeżuwała energicznie farbę, którą udało się jej zdrapać ze ściany.

– Zróbcie jej zastrzyk – powiedział obojętnym głosem. – Z trzech jednostek loksapiny.

Znał ją, ale nie przypominał sobie jej nazwiska. Jedna ze stałych pacjentek. Z pewnością przyjęta rano. Rysy twarzy zeszpecone strachem. Ciało wychudzone, kościste. Wpychała w usta całymi garściami łuski farby niczym płatki kukurydziane. Miała krew na dłoniach, na wargach.

– Dajcie jej cztery jednostki – zdecydował po namyśle.

Freire od dawna przestał mieć dylematy, z których wynikała bezsilność psychiatrów. W przypadku nieuleczalnie chorych był tylko jeden sposób – ogłuszyć dużymi dawkami środków uspokajających i czekać, aż minie atak. Niewiele, ale odnosiło pewien skutek.

W drodze powrotnej skręcił na swój oddział – Henri-Ey. W pawilonie znajdowało się dwudziestu ośmiu pacjentów, pochodzących ze wschodniej części regionu. Schizofrenicy. Cierpiący na depresje. Paranoicy… Oraz inne mniej oczywiste przypadki.

Wszedł do dyżurki i przejrzał poranny raport. Napad płaczu. Awantura w kuchni. Lekoman, który znalazł gdzieś sznurek i użył go jako opaski zaciskającej na swoim członku. Rutyna.

Freire minął jadalnię, w której unosił się zastarzały smród tytoniu – chorym psychicznie nadal pozwalano na palenie papierosów. Otworzył kolejne drzwi. Zapach spirytusu zdradzał izbę przyjęć. Pozdrowił w przejściu kilku znajomych. Gruby mężczyzna w białym garniturze, który uważał, że jest dyrektorem instytutu. Inny, pochodzenia afrykańskiego, wydeptał podłogę korytarza, chodząc dużymi krokami zawsze tą samą trasą. Jeszcze inny, z nienaturalnie głęboko zapadniętymi oczami, kołysał się na piętach.

W izbie przyjęć zapytał o mężczyznę z amnezją. Lekarz oddziałowy przejrzał raport. Noc spokojna. Poranek normalny.

O godzinie dziesiątej kowboj został przewieziony do szpitala Pellegrin, gdzie mieli go zdiagnozować neurolodzy, ale nie zgodził się ani na zdjęcie rentgenowskie, ani na żadne inne badania. Zresztą lekarze, którzy go obej-

rzeli, nie zauważyli fizycznych obrażeń. Skłaniali się raczej ku amnezji dysocjacyjnej, wynikającej z szoku emocjonalnego. Znaczyło to, że pacjent zobaczył coś, co spowodowało u niego zanik pamięci.

– Gdzie jest teraz? W swoim pokoju?

– Nie. W sali Camille Claudel.

Jednym z pomysłów nowoczesnej psychiatrii było nadawanie budynkom, alejom, oddziałom szpitalnym nazw pochodzących od nazwisk sławnych ludzi dotkniętych chorobami psychicznymi. Nawet wariactwo ma swojego mistrza. Sala Claudel była miejscem, gdzie stosowano terapię przez sztukę. Freire poszedł kolejnym korytarzem i odryglował drzwi po prawej stronie. Znalazł się w pomieszczeniu, w którym pacjenci mogli malować, rzeźbić, robić rzeczy z wikliny lub papieru.

Przeszedł wzdłuż stołów „gliny” i „malarstwa”, żeby dojść do stołu z wikliniarstwem. Pacjenci skoncentrowani na swojej pracy wyplatali koszyki, obrączki na serwetki, tace. Giętkie witki migały w powietrzu, podczas gdy twarze były napięte, nieruchome.

Kowboj zajmował miejsce na końcu stołu. Nawet na siedząco przewyższał innych o dobre dwadzieścia centymetrów. Ogorzała twarz z licznymi zmarszczkami i niebieskimi błyszczącymi oczami. Na głowie miał nadal ten absurdalny kapelusz.

Freire podszedł do niego. Olbrzym robił właśnie kosz w kształcie szalupy. Miał stwardniałe dłonie. Robotnik albo chłop, pomyślał psychiatra.

– Dzień dobry.

Mężczyzna podniósł wzrok. Zamrugał powoli oczami. Za każdym mrugnięciem spod powiek ukazywały się wodniste, opalizujące tęczówki.

– Cześć – odpowiedział, unosząc kapelusz jednym palcem, jak zrobiłby to mistrz rodeo.

– Co pan tu ma? Statek? Rękawicę do gry w baskijską pelotę?

– Jeszcze nie wiem.

– Zna pan Kraj Basków?

– Nie wiem.

Freire wziął krzesło i usiadł bokiem.

Jasne oczy spoczęły na nim.

– Jesteś spychiatrą?

Freire zwrócił uwagę na tę inwersję. Może to dyslektyk? Zanotował także w myślach użycie formy „ty”. To raczej dobry znak. Mathias również

zdecydował się przejść na ty.

– Nazywam się Mathias Freire. Jestem kierownikiem tego oddziału. To ja przyjmowałem cię wczoraj do szpitala. Dobrze spałeś?

– Zawsze mam ten sam sen.

Nie przerywał splatania wiklinowych witek. W sali unosił się zapach moczarów, wilgotnych trzcin. Olbrzym ubrany był w bawełniany T-shirt i płócienne spodnie, które dostał w szpitalu. Miał potężne, umięśnione ramiona, pokryte rudymi włoskami.

– Jaki sen?

– Najpierw jest gorąco. Potem biel…

– Jaka biel?

– Słońce… straszne słońce… Niszczy wszystko.

– Gdzie się to dzieje?

Kowboj wzruszył ramionami, nie przerywając pracy. Wyglądał, jakby robił na drutach. Obraz był raczej komiczny.

– Idę przez jakieś miasteczko z białymi murami. Miasteczko hiszpańskie. A może greckie… nie wiem. Widzę mój cień. Idzie przede mną. Po ścianach. Po ziemi. Jest prawie pionowy. Musi być południe.

Freire poczuł się dziwnie. Tuż przed poznaniem tego człowieka miał taki sam sen. Czy to znak ostrzegawczy? Nie wierzył w to, ale podobała mu się teoria Carla Junga o synchronizmie. Słynny przykład ze złotym skarabeuszem, o którym opowiadała mu pacjentka, gdy w tym samym momencie kruszczyca złotawka uderzyła o szybę okna w gabinecie.

– I co dalej? – zapytał. – Co się dzieje dalej?

– Rozbłyska jeszcze bardziej jaskrawe światło. Bezgłośna eksplozja. Nic już nie widzę. Jestem kompletnie oślepiony.

Z prawej strony rozległ się czyjś chichot. Freire drgnął. Obserwował ich, przycupnąwszy przy nodze stołu, mały człowieczek, karzeł z głową gargulca. „Antoine, mówi Toto”. Niegroźny.

– Spróbuj sobie przypomnieć.

– Uciekam. Biegnę przez białe ulice.

– To wszystko?

– Tak. Nie. Kiedy zaczynam biec, mój cień się nie rusza. Zostaje na ścianie. Jak w Hiroszimie.

– W Hiroszimie?

– Po wybuchu bomby cienie ofiar zostały na kamieniach. Wiesz o tym?

– Tak – odrzekł Freire, niejasno przypominając sobie, jak to wyglądało.

Zapadła cisza. Człowiek z amnezją wykonał kilka splotów. Nagle podniósł głowę. W cieniu stetsona zabłysły jego źrenice.

– Co o tym sądzisz, doktorze? Co to znaczy?

– Z pewnością jest to jakaś symboliczna wersja twojego wypadku – zaimprowizował Freire. – Białe jaskrawe światło to metafora utraty pamięci. Wstrząs, który przeżyłeś, zostawił w twoim umyśle wielką białą kartę.

Czysty bełkot psychiatryczny, który dobrze brzmi, ale nie ma żadnego uzasadnienia. Uszkodzony mózg drwi sobie z pięknych zdań i logicznych konstrukcji.

– Jest pewien problem – szepnął pacjent. – Mam ten sen już od dawna.

– Tak ci się wydaje – odparł Freire. – Byłoby dziwne, gdybyś pamiętał sny sprzed wypadku, bo one należą do twojej wewnętrznej pamięci. Osobistej. Tej, która została naruszona, rozumiesz?

– Ma się kilka pamięci?

– Powiedzmy, że jest pamięć kulturowa, ogólnej natury, jak twoje wspomnienia o Hiroszimie, oraz pamięć autobiograficzna, która dotyczy twojego indywidualnego życia. Twojego nazwiska. Twojej rodziny. Twojego zawodu. I twoich snów.

Olbrzym pokiwał z wolna głową.

– Nie wiem, co się ze mną stanie… Mam kompletną pustkę w głowie.

– Nie martw się. Wszystko jest jeszcze utrwalone. Takie zaniki pamięci zwykle trwają krótko. Jeśli nie mijają, istnieją sposoby, żeby pobudzić pamięć. Testy, ćwiczenia. Obudzimy twój umysł.

Nieznajomy popatrzył na niego swoimi wielkimi oczami, które zrobiły się szare.

– Dlaczego dziś rano nie chciałeś, żeby zrobiono ci w szpitalu prześwietlenie?

– Nie lubię tego.

– Już ci to kiedyś robiono?

Nie odpowiedział. Freire nie nalegał.

– A co do ubiegłej nocy – podjął – czy nic ci się dzisiaj nie przypomniało?

– Chodzi ci o to, dlaczego byłem w tamtym miejscu?

– Na przykład.

– Nie.

– A klucz francuski? Książka telefoniczna?

Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Była na nich krew? Tak?

– Tak. Skąd się wzięła?

Freire powiedział to ostrym tonem. Twarz olbrzyma stężała, po czym pojawił się na niej wyraz rozpaczy.

– Ja… ja nic nie wiem…

– Twoje nazwisko? Imię? Pochodzenie?

Freire natychmiast pożałował tej lawiny pytań. Zbyt oficjalnie. Za szybko. Mężczyzna najwyraźniej zaczął się bać. Jego usta drżały.

– Czy zgodziłbyś się na seans hipnozy?

– Teraz?

– Jutro. Musisz najpierw odpocząć.

– To może mi pomóc?

– Nie ma żadnej pewności. Jednak hipnoza pozwoliłaby nam… Zadzwonił jego pager przy pasku. Mathias spojrzał na ekran i natychmiast podniósł się z krzesła.

– Muszę już iść. Coś pilnego. Zastanów się nad moją propozycją.

Olbrzym wstał powoli i wyciągnął do niego dłoń. Przyjaznym gestem, ale z wystraszoną miną.

– Nie ma potrzeby. Zgadzam się. Ufam ci. Do jutra.

Jakiś człowiek zamknął się w toalecie przylegającej do holu przy izbie przyjęć. Nie chciał stamtąd wyjść już od pół godziny. Freire stał teraz przed kabiną. Był z nim także ślusarz ze swoimi narzędziami. Po wielu wezwaniach postanowiono wyważyć drzwi. Mężczyzna siedział skulony na podłodze, przy muszli klozetowej, z głową w ramionach. W kabinie było ciemno, unosił się duszący smród.

– Jestem psychiatrą – powiedział Freire, zamykając za sobą drzwi. – Czy potrzebuje pan pomocy?

– Spadaj.

Freire klęknął na jedno kolano, starając się ominąć kałuże uryny.

– Jak się pan nazywa?

Brak odpowiedzi. Mężczyzna nadal obejmował rękami głowę opartą na kolanach.

– Proszę pójść ze mną do mojego gabinetu – rzekł Freire, dotykając jego ramienia.

– Powiedziałem, żebyś stąd zjeżdżał!

Mężczyzna miał jakąś wadę wymowy. Połykał sylaby, śliniąc się przy tym obficie. Zaskoczony dotknięciem podniósł głowę. Freire zobaczył w półmroku jego nieforemną twarz. Zapadniętą i jednocześnie obrzękłą, asymetryczną, jakby rozdartą na wiele części.

– Niech pan wstanie – rozkazał.

Facet się wyprostował. Jego twarz stała się wyraźniejsza. Wymięta, obwisła, pobrużdżona. Malował się na niej strach.

– Może mi pan zaufać – rzucił Freire, opanowując wstręt.

Pomyślał, że nie są to ślady po oparzeniach, a raczej skutek trądu. Strasznej choroby niszczącej stopniowo tę twarz. Kiedy jednak przyjrzał się uważniej, zrozumiał, że prawda jest inna – te blizny były sztuczne. Mężczyzna uzyskał efekt obrzęków i bruzd na skórze za pomocą kleju syntetycznego. Sam zdeformował sobie twarz, żeby uznano go za chorego i zajęto się nim. Syndrom Münchhausena, pomyślał Freire i powtórzył:

– Proszę pójść ze mną.

Mężczyzna w końcu wstał z podłogi. Freire otworzył drzwi, z ulgą wracając do dziennego światła i świeżego powietrza. Wyszli z toalety, ale koszmar jeszcze się nie skończył. Freire przez godzinę prowadził rozmowę z tym człowiekiem. Jego diagnoza się potwierdziła. Mężczyzna był gotów na wszystko, żeby tylko przyjęto go do szpitala i poddano leczeniu. Freire kazał go na razie zawieźć na oddział nagłych przypadków w Pellegrin, gdzie najpierw zajmą się jego twarzą, bo klej zaczynał wżerać się w tkankę skóry.

Godzina siedemnasta trzydzieści.

Freire poprosił jednego z lekarzy, żeby go zastąpił na izbie przyjęć, i wrócił na swój oddział, do punktu konsultacyjnego, gdzie mieścił się jego gabinet i sekretariat. Wszędzie było pusto. Zjadł kanapkę, powoli otrząsając się z wrażenia po nowym szaleńcu. Na uczelni zapewniano, że można przyzwyczaić się do wszystkiego. Jednak z nim było inaczej. Nie przywykł. Było nawet coraz gorzej. Jego wrażliwość wobec szaleństwa jeszcze rosła, stale odczuwał rozdrażnienie, jakby sam był nim zakażony…

Godzina osiemnasta.

Powrót na izbę przyjęć.

Dużo spokojniej. Tylko kilku kandydatów do dobrowolnej hospitalizacji. Znał ich. W ciągu półtora miesiąca pracy tutaj zdążył poznać tych chorych, którzy przychodzili do szpitala na konsultacje czy zabiegi, a potem wracali do domów. Dzięki temu zapobiegali nagłemu nawrotowi choroby.

Dziewiętnasta.

Zostało jeszcze kilka godzin dyżuru. Od zmęczenia czuł ból w oczodołach, z trudem utrzymywał otwarte powieki. Pomyślał o pacjencie z amnezją. Wracał do niego myślami przez cały dzień.

Ten przypadek go intrygował. Freire zamknął się w swoim gabinecie. Znalazł numer telefonu na posterunek policji przy placu des Capucins. Powiedział, że chce rozmawiać z Nicolasem Pailhasem, policjantem, który sporządził wstępny protokół. Pailhas nie pracował w tę sobotę. Wykorzystując swoją pozycję zawodową, Freire zdobył numer jego komórki.

Pailhas odebrał po drugim sygnale. Mathias się przedstawił.

– Słucham pana – mruknął policjant niezadowolonym tonem. Nie lubił, gdy mu przeszkadzano podczas weekendu.

– Chciałem się dowiedzieć, czy poczynił pan jakieś postępy w śledztwie.

– Jestem teraz u siebie w domu. Z moimi dziećmi.

– Może ma pan już jakieś nowe wiadomości?

– Dlaczego miałoby to pana obchodzić?

– Ten człowiek jest moim pacjentem – odparł Freire, siląc się na spokojny ton. – Moim zadaniem jest go leczyć. A to znaczy, między innymi, że powinienem ustalić jego tożsamość i pomóc mu w odzyskaniu pamięci. Jesteśmy partnerami w tej sprawie, rozumie pan?

– Nie.

Freire zapytał więc inaczej:

– Czy nie zgłoszono niczyjego zniknięcia w tym rejonie?

– Nie.

– Czy skontaktował się pan z ośrodkami, które zajmują się bezdomnymi?

– Załatwiamy to.

– Czy wziął pan pod uwagę dworce kolejowe w pobliżu Bordeaux? Czy nie ma świadków z pociągów z tej nocy?

– Czekamy na wiadomości.

– Czy daliście ogłoszenie o poszukiwaniu osób, które mogą rozpoznać tego człowieka? Czy umieściliście w internecie jego zdjęcie, razem z numerem bezpłatnej infolinii? Czy…

– Kiedy zabraknie nam pomysłów, zadzwonimy do pana.

Freire zignorował tę złośliwość i skierował rozmowę na inne tory:

– A co z analizą krwi na kluczu i na książce telefonicznej?

– Grupa zero, Rh dodatni. Taką ma połowa populacji francuskiej.

– Nie został zgłoszony tej nocy żaden akt przemocy?

– Nie.

– A książka telefoniczna? Nie zauważył pan, czy na którejś stronie zaznaczono może jakieś nazwisko?

– Coś mi się wydaje, że ma się pan za funkcjonariusza policji.

Mathias zacisnął zęby.

– Usiłuję tylko zidentyfikować tego mężczyznę. Przypominam panu jeszcze raz, że dążymy do tego samego celu. Jutro mam zamiar spróbować seansu hipnotycznego. Jeśli ma pan jakąś najmniejszą wskazówkę, najdrobniejszą informację, która mogłaby mi pomóc, to teraz jest na to najlepszy moment.

– Nie mam nic – odparł ze złością policjant. – Ile razy mam to panu powtarzać?

– Dzwoniłem do pańskiego komisariatu i odniosłem wrażenie, że nikt dziś nie pracuje nad tą sprawą.

– Zabiorę się do tego jutro – oznajmił policjant z irytacją. – Traktuję to dochodzenie priorytetowo.

– Czy policja bada książkę i klucz?

– Obowiązują nas określone procedury.

– A konkretnie?

Policjant roześmiał się, złość już mu przeszła.

– Wszystko zależy od laboratorium kryminalistyki. Wyniki będziemy mieli w poniedziałek. Czy to pana zadowala?

– Czy mogę liczyć na to, że jak tylko będzie pan coś wiedział, to się ze mną skontaktuje?

– W porządku – odparł Pailhas pojednawczym tonem. – Ale umowa działa w obie strony. Jeśli dowie się pan czegoś dzięki hipnozie, proszę mi to przekazać. – Po chwili dodał: – To leży także w pańskim interesie.

Mathias się uśmiechnął. Zabrzmiało to trochę jak groźba. Należałoby poddać psychoanalizie każdego policjanta, żeby przekonać się, z jakich powodów wybierają ten zawód. Freire obiecał współpracę i podał swoje namiary. Ani jeden, ani drugi nie wierzyli w tę umowę. Każdy działa na własny rachunek i niech wygra lepszy.

Freire wrócił do izby przyjęć. Zostały mu jeszcze dwie godziny. Dobre było to, że wyjdzie przed porą najgorszego zamętu, jaki wiązał się z sobotą. Przyjął wielu pacjentów, zapisał im leki antydepresyjne i uspokajające, po czym odesłał ich do domów.

Godzina dwudziesta druga.

Mathias przywitał się z kolegą, który miał dyżur po nim, i wrócił do swojego gabinetu. Mgła nie ustępowała ani trochę. Wydawało się nawet, że zro-

biła się jeszcze gęstsza. Freire uświadomił sobie, że ta mgła skaziła mu cały dzień. W jej oparach nic nie było realne.

Zdjął kitel lekarski. Zebrał swoje rzeczy. Włożył prochowiec. Przed wyjazdem postanowił jeszcze raz odwiedzić mężczyznę w stetsonie. Poszedł na oddział i wspiął się po schodach na pierwsze piętro. W korytarzu woń stęchlizny mieszała się ze smrodem uryny, zapachem eteru i leków. Słychać było szuranie filcowych kapci na linoleum, szum telewizorów, odgłos grzebania w stojącej na korytarzu popielniczce, w której ktoś szukał petów.

Nagle na Freire'a wpadła jakaś kobieta. Mimo woli odskoczył, lecz po chwili ją poznał. Mistinguett. Wszyscy ją tak nazywali. Nie pamiętał, jak się naprawdę nazywa, miała sześćdziesiąt lat, z czego czterdzieści spędziła w Pawilonie Zachodnim. Nie była niebezpieczna, ale wygląd fizyczny nie przemawiał na jej korzyść. Siwe włosy w nieładzie. Twarz zniszczona, szara. Oczy płonące gorączką, błyszczące, okrutne. Uchwyciła się klap jego płaszcza.

– Niech się pani uspokoi, Mistinguett – powiedział, uwalniając się z jej rąk. – Trzeba się położyć do łóżka.

Zaśmiała się gwałtownie, po czym jej śmiech przeszedł w syk nienawiści, a wreszcie w westchnienie rozpaczy.

Freire chwycił ją mocno za ramię – cuchnęła olejkiem lnianym do nacierania skóry i zestarzałym moczem.

– Czy zażyła pani swoje tabletki?

Ile razy w ciągu dnia powtarzał te słowa? To nie było już pytanie, lecz modlitwa, litania, zaklinanie. Udało mu się zaprowadzić Mistinguett do jej pokoju. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, zamknął za sobą drzwi.

Zorientował się, że bezwiednie zabrał jej kartę magnetyczną do wywoływania alarmu. Wystarczyło po prostu musnąć nią o kaloryfer lub rurę kanalizacyjną, a przybiegliby pielęgniarze. Zadrżał i wsunął kartę głęboko w kieszeń. Czym się różni jego praca od pracy strażnika?

Dotarł do pokoju kowboja. Zapukał delikatnie. Cisza. Przekręcił gałkę i wszedł do ciemnego wnętrza. Olbrzym chyba spał. Stetson i buty z jaszczurczej skóry leżały obok łóżka. Niczym wierne zwierzęta.

Freire podszedł cicho, by go nie przestraszyć.

– Nazywam się Mischell – szepnął mężczyzna.

Freire, zaskoczony, cofnął się.

– Nazywam się Mischell – powtórzył pacjent. – Spałem godzinę lub dwie i oto rezultat. – Spojrzał na psychiatrę. – Nieźle, co?

Mathias otworzył teczkę. Wyjął notatnik i pióro. Jego oczy przyzwyczaiły się do mroku.

– To twoje imię?

– Nie. Nazwisko.

– A jak się to pisze?

– Mężczyzna przeliterował.

Freire zanotował bez przekonania. Za szybko to poszło. Może kowboj po prostu zmyśla?

– Czy we śnie przypomniało ci się coś jeszcze?

– Nie.

– Miałeś jakiś sen?

– Tak.

– Co ci się śniło?

– To samo, co zawsze, doktorze. Białe miasteczko. Rozbłysk. Mój cień, który zostaje przyklejony do ściany…

Mówił powoli, przytłumionym głosem, jakby jeszcze się nie obudził. Mathias cały czas pisał. „Zajrzeć do książek na temat snów. Poszukać czegoś o legendach związanych z cieniem”. Już wiedział, czym zajmie się tego wieczoru. Uniósł głowę znad notatnika. Oddech mężczyzny stał się regularny. Pacjent znowu zasnął. Freire wycofał się z pokoju. W każdym razie był to dobry sygnał. Być może jutrzejszy seans hipnotyczny będzie bardziej owocny.

Wyszedł na korytarz i skierował się do wyjścia. Lampy pod sufitem już zgaszono. Wybiła godzina snu.

Na zewnątrz mgła otulała palmy i latarnie na dziedzińcu, wyglądające teraz niczym wielkie żagle statku widma. Freire przypomniał sobie artystę, który swego czasu okrył plastikiem Pont-Neuf i Reichstag. Nazywał się Christo. Przyszła mu do głowy jeszcze bardziej dziwaczna myśl. Że zamglony umysł tego człowieka z amnezją, mgła jego pamięci, otuliła kompleks szpitalny i całe miasto… Bordeaux znalazło się pod kontrolą tego przybysza z mgieł…

Idąc w kierunku parkingu, Freire zmienił zdanie.

Nie był głodny i nie miał ochoty wracać do domu.

Wolał sprawdzić uzyskaną właśnie informację.

Wrócił do punktu konsultacyjnego, zamknął się w swoim gabinecie i nie zdejmując płaszcza, usiadł przed komputerem. Połączył się bezpośrednio z PMSI, medycznym programem informacyjnym, w którym zapisane były wszystkie wizyty u lekarzy, a także udzielanie wszelkiego rodzaju pomocy lekarskiej na terenie Francji.

Nigdzie nie znalazł nazwiska Mischell.

Freire nie korzystał dotąd z tego programu. Być może istniały jakieś ograniczenia dotyczące poufnych danych. Naruszenie czyjejś prywatności we Francji nie podlegało przedawnieniu.

To pierwsze niepowodzenie obudziło w nim chęć dalszego drążenia. Mężczyzna z kluczem i książką telefoniczną, kiedy został znaleziony na dworcu, nie miał przy sobie żadnego dowodu tożsamości. Jego ubranie było zniszczone. Wiele rzeczy świadczyło o tym, że spędzał dużo czasu na świeżym powietrzu: ogorzała twarz, dłonie spalone słońcem. Bezdomny?

Mathias podniósł słuchawkę aparatu i zadzwonił do CCAS, miejskiego ośrodka opieki społecznej, gdzie pełniono stały dyżur. Wśród zarejestrowanych bezdomnych regionu Akwitanii nie było nazwiska Mischell. Połączył się z ASAIS, agencją pomocy społecznej, później z SAMU, pogotowiem ratunkowym. Wszystkie te instytucje pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale w ich archiwach nie było żadnego Mischella.

Freire włączył internet. Ani w regionie Akwitanii, ani w regionie Midi-Pyrenees nie znalazł abonenta telefonicznego o tym nazwisku.

Nie był tym zdziwiony. Tak jak przewidywał, kowboj nieświadomie przekręcił swoje nazwisko. Krótkie przebłyski pamięci nie mogły dać dobrych rezultatów.

Mathiasowi przyszedł do głowy inny pomysł. Według raportu policji książka telefoniczna, którą trzymał ten człowiek, pochodziła z roku 1996.

Po długich poszukiwaniach odnalazł w internecie program pozwalający sprawdzić stare książki telefoniczne. Wybrał rok 1996 i poszukał nazwiska Mischell. Bez efektu. W żadnym z pięciu departamentów regionu administracyjnego Akwitanii nie było takiego nazwiska zarejestrowanego na ten rok.

Freire wrócił do Google'a i napisał po prostu – Mischell. Tutaj także niewiele się dowiedział. Profil na MySpace.com, zawierający montaż scen z Mulderem i Scully, bohaterami *Z archiwum X*, podpisany przez jakiegoś Mischella. Fragmenty utworów piosenkarki Tommi Mischell. Strona poświęcona Patricii Mischell, wróżce mieszkającej w stanie Missouri w USA. Komputer sugerował, by szukać pod nazwiskiem „Mitchell".

Zrobiła się północ. Tym razem naprawdę pora, by wracać do domu. Mathias wyłączył komputer i zgarnął swoje rzeczy. Idąc do wyjścia, pomyślał, że należałoby przekazać zdjęcie kowboja różnym ośrodkom pomocy dla bezdomnych w Bordeaux i okolicy. Także CMP, ośrodkom medyczno-psychologicznym, i CATTP, ośrodkom terapii okresowej. Znałje wszystkie. Postanowił pojechać tam osobiście, bo był niemal pewny, że jego nieznajomy miał już wcześniej kłopoty ze zdrowiem psychicznym.

Mgła zmusiła go do wolnej jazdy. Do swojej dzielnicy dotarł dopiero po półgodzinie. Przed ogródkami parkowało mnóstwo samochodów – pora sobotnich spotkań towarzyskich. Nie udało mu się znaleźć miejsca dla siebie. Zostawił samochód sto metrów od swojego domu i ruszył pieszo w gęstej białej mgle. Ulica była prawie niewidoczna. Wszystko wydawało się zwiewne, niematerialne. Gdy tylko ta myśl przemknęła mu przez głowę, uświadomił sobie, że się zgubił. Ruszył na oślep wzdłuż żywopłotów okrytych kropelkami wilgoci, mijał zaparkowane samochody, unosząc się na palcach, żeby odczytać nazwy domów.

W końcu dostrzegł znajome litery: OPAL.

Po omacku otworzył furtkę. Sześć kroków. Obrót klucza w zamku. Zatrzasnął drzwi i z pewną ulgą wszedł do przedpokoju. Odstawił torbę lekarską, położył płaszcz na jednym z pudeł przy wejściu i nie zapalając światła,

ruszył do kuchni. Standardowemu wyglądowi domu odpowiadały standardowe gesty samotności.

Kilka minut później zaparzał herbatę, stojąc przy oknie. W zalegającej w domu ciszy słyszał jeszcze szum głosów swoich pacjentów. Wszyscy psychiatrzy znają to uczucie i nazywają je „muzyką szaleńców". Zniekształcona wymowa, szuranie nogami. W jego umyśle odgłosy te rezonowały niczym echo szumu morza w muszli. Tak naprawdę wariaci nigdy go nie opuszczali. Albo raczej to on nie mógł oderwać się myślami od swojego oddziału Henri-Ey.

Nagle z mgły wynurzył się wczorajszy czarny wóz terenowy.

Samochód jechał bardzo wolno ulicą i zatrzymał się przed jego domem. Freire poczuł przyspieszone bicie serca. Dwaj ubrani na czarno mężczyźni wyszli jednocześnie z wozu i stanęli pod jego oknami.

Chciał przełknąć ślinę. Nie udało się. Patrzył na mężczyzn, nie próbując się ukryć. Każdy z nich miał przynajmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Pod czarnymi płaszczami widać było ciemne, wysoko zapięte garnitury z materiału błyszczącego w świetle latarni. Białe koszule, czarne krawaty. Ci faceci mieli wygląd absolwentów elitarnych szkół, wzorowych, ambitnych, ale było w nich także coś brutalnego, podejrzanego.

Stał jak skamieniały. Oczekiwał, że wejdą przez furtkę i zadzwonią do jego drzwi. Ale oni się nie ruszyli. Stali pod latarnią, nie próbując się ukryć. Ich twarze pasowały do całej reszty. Jeden miał wysokie czoło i okulary w szylkretowej oprawie, a siwe włosy zaczesał do tyłu. Drugi, z krzaczastymi brwiami i niespokojną miną, wyglądał na bardziej nieokrzesanego. Jego długie kasztanowe włosy były nieco przerzedzone.

Czterdziestoletni playboye we włoskich garniturach.

Kim byli? Czego od niego chcieli?

Wrócił ból w głębi lewego oka. Zamknął powieki i potarł je lekko. Kiedy ponownie otworzył oczy, facetów już nie było.

Anaïs Chatelet nie mogła w to uwierzyć.

Pojawiła się przed nią niezwykła szansa.

Sobotni wieczorny dyżur zaczął się od trupa. Prawdziwe morderstwo, według wszelkich reguł sztuki, z rytuałem i okaleczeniami. Gdy tylko odebrała to wezwanie, od razu wsiadła do swojego samochodu i skierowała się do miejsca, gdzie znaleziono zwłoki, czyli na dworzec Saint-Jean. W drodze powtarzała sobie informacje, które jej przekazano. Nagi młody mężczyzna. Liczne okaleczenia. Niesamowita sceneria. Nic konkretnego, ale coś, co zdradzało szaleństwo, okrucieństwo, mrok… Nie jakaś pospolita rozróba, która przyjęła zły obrót, ani bandycka kradzież. Wreszcie coś poważnego.

Kiedy zobaczyła stojące przed dworcem policyjne furgonetki, koguty na ich dachach, obracające się we mgle, funkcjonariuszy w nieprzemakalnych płaszczach, niczym błyszczące zjawy, zrozumiała, że to wszystko jest prawdą. Jej pierwsze morderstwo, odkąd dostała nominację na stopień kapitana. Będzie musiała powołać grupę śledczą. Wykorzystać przewidziany prawem czas, złapać winnego, a potem doprowadzić sprawę do końca tak, aby pisano o niej na pierwszych stronach gazet. W wieku dwudziestu dziewięciu lat!

Wysiadła z samochodu i odetchnęła zapachem wilgotnego powietrza. Od trzydziestu sześciu godzin Bordeaux tonęło w mlecznej mgle. Odnosiło się

wrażenie, że moczary z ich oparami, gadami i wilgotną atmosferą sięgnęły aż do tego miejsca.

W takich okolicznościach pojawienie się trupa było tylko kwestią czasu, prawda? Zadrżała z podniecenia. Zauważył ją jeden z policjantów z posterunku przy placu des Capucins i podszedł do niej.

Człowiekiem, który znalazł ciało, był manewrowy, kierujący przetaczaniem wagonów z bocznicy kolejowej na dworzec. Gdy obejmował służbę o godzinie dwudziestej trzeciej, zostawił swój samochód na parkingu przeznaczonym dla pracowników kolei na południe od hali dworcowej. Bocznym przejściem dostał się na tory i zauważył zwłoki w kanale naprawczym między torem numer 1 i starymi warsztatami naprawczymi. Powiadomił o tym dyżurnego ruchu, który natychmiast wezwał policję kolejową i strażników z prywatnej firmy ochroniarskiej odpowiadającej za bezpieczeństwo na dworcu Saint-Jean. Potem powiadomiono najbliższy posterunek policji przy placu des Capucins.

Dalszy ciąg Anaïs już znała. Prokurator Republiki został powiadomiony o godzinie pierwszej w nocy. Skontaktował się z komendą główną policji w Bordeaux na ulicy François-de-Sourdis, gdzie rozmawiał z dyżurnym funkcjonariuszem. Z nią. Inni rozjechali się wcześniej do różnych zdarzeń związanych z mgłą, takich jak wypadki samochodowe, kradzieże, zniknięcia… I tak, czy to się komuś podoba, czy nie, to jej, Anaïs Chatelet, świeżo awansowanej do stopnia kapitana, po dwóch latach przepracowanych w komendzie policji w Bordeaux, dostała się najlepsza sprawa tej nocy.

Kiedy przeszli przez halę dworcową, jeden z kolejarzy dał jej pomarańczową kamizelkę odblaskową. Zapinając rzepy, Anaïs zatrzymała się na moment, żeby spojrzeć z podziwem na stalową konstrukcję o wysokości trzydziestu metrów, ginącą we mgle. Przeszli peronem aż do torów zewnętrznych. Kolejarz nie przestawał mówić. Nigdy nie widział czegoś podobnego. Na polecenie prokuratora ruch na dworcu został wstrzymany na dwie godziny. Zmarły leżący w kanale wyglądał potwornie. Wszyscy byli w szoku…

Anaïs go nie słuchała. Czuła, jak jej skóra staje się lepka od wilgoci i przenika ją na wskroś zimno. W oparach mgły światła dworca tworzyły krwawą konstelację. Wiszące w górze kable ociekały wodą. Lśniące od wilgoci szyny znikały w nisko płożących się mgielnych oparach.

Anaïs wykręcała sobie nogi na podkładach i śrubach mocujących szyny.

– Czy mógłby pan poświecić na ziemię?

Kolejarz opuścił lampę i mówił dalej. Mimochodem uchwyciła kilka technicznych informacji. Tory z numerami parzystymi prowadziły w kierunku Paryża, a te nieparzyste biegły na południe. Kable energetyczne nad torami nosiły nazwę „sieci trakcyjnej łańcuchowej”, konstrukcje metalowe na dachach elektrowozów nazywały się „pantografami”. W tym momencie nie przydawało się jej to na nic, ale pozwalało oswoić się z samą zbrodnią.

– To tutaj.

W ciemnościach widać było zimne, odległe światło reflektorów zainstalowanych przez ludzi z wydziału technicznego. Promienie latarek przebijały się przez pasma rzadkiej mgły. Dalej można było dostrzec bocznicę kolejową z wagonami TGV i TER, lokomotywy spalinowe, wagony towarowe, elektrowozy i odpowiedniki portowych holowników, których zadaniem było przeciąganie składów aż na dworzec. Potężne czarne maszyny, przywodzące na myśl niemych tytanów.

Przeszli pod taśmami z napisem: POLICJA. WSTĘP WZBRONIONY. Scena zbrodni się konkretyzowała. Kanał naprawczy. Chromowane podstawy reflektorów. Technicy w białych kombinezonach z niebieskim pasem. Anaïs była zaskoczona tak szybkim ich pojawieniem się – najbliższe laboratorium kryminalistyczne dla tego regionu znajdowało się w Tuluzie.

Stanął przed nią funkcjonariusz z BAC, brygady antykryminalnej, w nieprzemakalnym płaszczu, na który naciągnął kamizelkę odblaskową. Przybrawszy wyraz twarzy odpowiedni do okoliczności, skinęła mu głową. Walczyła z mgłą, ze swoją niecierpliwością, z podnieceniem. Kiedyś na uczelni profesor prawa powiedział jej na korytarzu: „Pani jest jak Alicja z książki Lewisa Carrolla. Musi pani znaleźć coś na miarę swojego talentu!”. Osiem lat później szła torami, by zobaczyć zwłoki. Coś na miarę jej talentu…

W kanale naprawczym o wymiarach pięć metrów na dwa panowała zwykła na miejscu zbrodni krzątanina. Technicy trącali się łokciami, przepychali, robili zdjęcia, oglądając każdy milimetr ziemi przy użyciu specjalnych lamp dających monochromatyczne światło, od podczerwieni do ultrafioletu, i chowali do szczelnie zamykanych woreczków różne znaleziska.

W końcu w tym całym zamieszaniu udało się Anaïs zobaczyć zwłoki. Mężczyzna około dwudziestu lat. Nagi. Wychudzony. Pokryty tatuażami. Sterczące pod skórą kości. Fosforyzująca biel ciała. Dwie szyny nad kana-

łem tworzyły jakby ramy obrazu. Anaïs przyszło na myśl płótno doby renesansu. Męczennik wygięty w bolesnej pozycji, w głębi kościoła.

Największy jednak szok powodował widok głowy.

Nie była to głowa człowieka, lecz byka.

Ciężki czarny łeb byka, odcięty przy samym karku, musiał ważyć z pięćdziesiąt kilogramów.

W końcu dotarło do niej, na co patrzy. To nie omamy wzrokowe. Poczuła, że nogi się pod nią uginają. Zachwiała się lekko, ale natychmiast się skoncentrowała. Nie może stchórzyć. Istniały dwie możliwości. Albo zabójca odciął głowę swej ofierze i umieścił na jej karku odcięty łeb zwierzęcia, albo wcisnął swoje trofeum na czaszkę tego mężczyzny.

W obydwu wypadkach symbol był oczywisty – chodziło o zabicie Minotaura. Minotaura dzisiejszych czasów, zagubionego w labiryncie kolejowych torów.

– Mogę tam zejść?

Dano jej ochraniacze na buty, papierowy czepek i zeszła do kanału po żelaznych stopniach. Kiedy technicy policyjni się odsunęli, przykucnęła, by obejrzeć to, co ją interesowało.

Prawdziwa okazała się druga możliwość. Ogromny łeb został nałożony siłą na głowę ofiary. Czaszka pod spodem musiała zostać zmiażdżona.

– Moim zdaniem wypatroszył kark zwierzęcia.

Anaïs odwróciła się do mężczyzny, który powiedział te słowa. Michel Longo, lekarz sądowy. Nie rozpoznała go wcześniej, bo ubrany był jak inni w cudaczny strój z kapturem.

– Od kiedy nie żyje? – zapytała, podnosząc się.

– Za wcześnie, żeby dokładnie to określić. Przynajmniej od dwudziestu czterech godzin. Jednak zimno i mgła komplikują sprawę.

– Cały czas przebywał w tym miejscu?

Lekarz rozłożył ręce w rękawiczkach. Pod kapturem miał okulary.

– Zabójca mógł przetransportować go wieczorem. Nie da się tego teraz stwierdzić.

Anaïs pomyślała o mgle, która od poprzedniego dnia oblepiała miasto. Przy takiej pogodzie morderca mógł działać o każdej porze.

– Cześć.

Anaïs spojrzała w górę, przesłaniając ręką oczy. Na skraju kanału, na tle białej poświaty reflektorów, rysowała się sylwetka kobiety. Rozpoznała ją,

mimo że patrzyła pod światło. Véronique Roy, zastępczyni prokuratora. Jakby kopia Anaïs. Urodzona w Bordeaux, pochodząca z bogatej burżuazji, lat trzydzieści, przeszła niemal tę samą drogę zawodową. Najpierw spotykały się w prywatnych szkołach dla dzieci z wyższych sfer i w ławach Uniwersytetu Monteskiusza, potem w toaletach modnych w mieście nocnych lokali. Nigdy nie były przyjaciółkami. Ani wrogami. Teraz spotykały się na gruncie zawodowym. Z jednej strony kobieta z twarzą zeszpeconą przez mikrofalówkę rzuconą z całej siły przez męża. Z drugiej dziewczyna ze szramami na rękach. Naprawdę nie miały jak się zaprzyjaźnić.

– Cześć – mruknęła Anaïs.

Zastępczyni prokuratora, oświetlona światłem lamp, spoglądała z góry na znajdujących się w kanale. Miała na sobie skórzaną kurtkę marki Zadig & Voltaire, którą Anaïs widziała niedawno na wystawie przy alei Georges-Clemenceau.

– To straszne – powiedziała cicho pani prokurator ze wzrokiem utkwionym w ciele ofiary.

Anaïs była jej wdzięczna za tę głupią uwagę, która dobrze oddawała sytuację. Przypuszczała, że Veronique czuje to samo co ona. Strach i zarazem podekscytowanie. Trafiło im się to, o czym obie marzyły i co budziło ich obawy. Śledztwo w sprawie morderstwa popełnionego przez jakiegoś szaleńca. W tej pracy wszystkie dziewczyny w ich wieku znały *Milczenie owiec* i pragnęły zostać Clarice Starling.

– Masz jakąś opinię na temat przyczyny śmierci? – zapytała Anaïs lekarza sądowego.

Longo machnął ręką.

– Żadnej widocznej rany. Niewykluczone, że udusił się pod tym łbem byka. A może poderżnięto mu gardło albo otruto. Trzeba poczekać na wyniki autopsji i badań toksykologicznych. Nie wykluczam przedawkowania narkotyku.

– Dlaczego?

Schylił się i dotknął lewego ramienia ofiary. Żyły w zagłębieniu łokciowym wydawały się twarde jak drewno, cała ręka naznaczona była bliznami, guzami, sinymi obrzękami.

– Zniszczona aż do kości. Ogólnie rzecz biorąc, chłopak był w bardzo złym stanie. Brudny. Niedożywiony. Ślady dawnych, nieleczonych ran. Po-

wiedziałbym, że mamy do czynienia z narkomanem, który się szprycował od wielu lat. Bezdomny. Z marginesu społecznego. Coś w tym rodzaju.

Anaïs spojrzała na policjanta z BAC, stojącego obok pani prokurator.

– Znaleziono jego ubranie?

– Ani ubrania, ani dokumentu tożsamości.

Ten człowiek został zamordowany gdzie indziej i przeniesiony w to miejsce. Ukryto go? Czy przeciwnie, wystawiono na widok? Jedno było pewne – kanał naprawczy odgrywał ważną rolę w rytuale zaplanowanym przez zabójcę.

Wróciła na górę, rzucając ostatnie spojrzenie na ciało ofiary. Pokryte kryształkami lodu przypominało rzeźbę ze stali. Kanał naprawczy z przenikliwym zapachem smarów i metalu stanowił idealny grobowiec dla zamordowanego.

Po wyjściu z kanału Anaïs pozbyła się papierowego czepka i ochraniaczy na buty. Véronique Roy odezwała się urzędowym tonem:

– Przekazuję ci oficjalnie to śledztwo…

– Prześlij mi papiery do biura.

Urażona zastępczyni prokuratora zapytała, jakie zamierza poczynić kroki. Anaïs odpowiedziała obojętnym głosem, wyliczając rutynowe działania. Jednocześnie próbowała wyobrazić sobie profil zabójcy. Znał to miejsce. I z pewnością także rozkład manewrowania pociągami. Może to pracownik kolei. W każdym razie starannie przygotował swój plan.

Nagle aż wstrzymała oddech. Zobaczyła w wyobraźni mordercę dźwigającego na plecach zwłoki w czarnym plastikowym worku.

Szedł zgięty wpół w oparach mgły. Przyszła jej na myśl refleksja natury technicznej: zwłoki plus łeb byka ważyły z pewnością ponad sto kilogramów. Morderca musiał więc być siłaczem. A może nacisnął łeb byka na czaszkę ofiary dopiero na miejscu? To oznaczałoby, że dwukrotne przebył trasę od samochodu do kanału. Gdzie zostawił samochód? Na parkingu?

– Słucham?

– Pytałam, czy masz już zespół do prowadzenia śledztwa? – powtórzyła pytanie Véronique Roy.

– Zespół? Oto jeden z moich ludzi…

Le Coz zbliżał się niepewnym krokiem, ślizgając się na śrubach mocujących szyny, ubrany w przydzieloną mu kamizelkę odblaskową. Zastępczyni

prokuratora wydawała się zaskoczona. Widać to było w jej jasnych oczach pod cienkimi brwiami. Anaïs musiała przyznać, że była dosyć ładna.

– Przedstawiam ci porucznika Hervego Le Coza. – Uśmiechnęła się. – Towarzyszył mi na dyżurze tej nocy. Cała ekipa będzie gotowa za godzinę.

Le Coz pod kamizelką odblaskową miał czarny kaszmirowy płaszcz. Na zaczesanych do tyłu ciemnych włosach błyszczały kropelki żelu. Z ust o zmysłowych wargach wydobywały się obłoczki pary. Z całej jego postaci emanował wyrafinowany wdzięk, który spowodował, że Veronique Roy aż zesztywniała w odruchu obronnym. Anaïs się uśmiechnęła. Zastępczyni prokuratora była z pewnością samotna tak jak ona. Chory potrafi rozpoznać objawy tej samej dolegliwości u innych.

Pokrótce przedstawiła Le Cozowi sytuację, po czym wydała mu polecenia tonem szefa:

– Przede wszystkim trzeba zidentyfikować ofiarę. A potem rozejrzeć się wśród jego znajomych.

– Przypuszczasz, że zabójca i ten chłopak się znali? – zapytała Veronique Roy.

– Nic nie przypuszczam. Najpierw musimy dowiedzieć się, kim jest zmarły. Potem przejdziemy do jego kontaktów. Bliższych i dalszych znajomych. Dawnych przyjaciół. Ustalimy, z kim się spotkał tego wieczoru.

Anaïs zwróciła się ponownie do porucznika:

– Wezwij pozostałych. Trzeba sprawdzić wszystkich, którzy kręcili się na dworcu. Zwłaszcza przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. – Wskazała ręką na parking. – Morderca na pewno nie przeszedł przez dworzec ani nie ustawił się w kolejce do żadnej kasy. Dostał się na tory od strony parkingu dla personelu.

Trzeba obejrzeć, co zarejestrowały kamery. Sprawdź tablice rejestracyjne wszystkich samochodów, które zatrzymywały się tutaj w ciągu kilku ostatnich dni. Znajdź kierowców i porozmawiaj z nimi. Przepytaj pracowników, agentów ochrony, mechaników dworcowych. Niech wysilą mózgownice i przypomną sobie każdy, choćby najmniejszy, podejrzany szczegół.

– Kiedy zaczynamy?

– Już zaczęliśmy.

– Jest trzecia nad ranem.

– Wyciągnij wszystkich z łóżek. Zajrzyjcie do starych warsztatów. Tam zawsze szukają schronienia bezdomni. Może oni coś widzieli. Jeśli chodzi o tego manewrowego…

– Manewrowy?

– Kolejarz, który znalazł ciało. Chcę mieć jutro rano na moim biurku protokół z jego przesłuchania. Ściągnij tu jak najwięcej ludzi. Trzeba przeszukać cały teren. Przepytać wszystkich tutejszych bywalców.

– Jest niedziela.

– Chcesz czekać do poniedziałku? Weź do pomocy ludzi z BAC i straży miejskiej.

Le Coz notował bez słowa. Jego notatnik był już przesiąknięty mgłą.

– Ktoś musi zająć się zwierzęcym aspektem tego śledztwa.

Policjant spojrzał na nią, nie pojmując, o co chodzi.

– Ten łeb byka skądś pochodzi. Trzeba skontaktować się z żandarmerią Akwitanii, Landów i Kraju Basków.

– Dlaczego aż tak daleko?

– Bo chodzi o jedno ze zwierząt, które biorą udział w walkach byków. O *toro bravo.*

– Skąd wiesz?

– Wiem, i tyle. Najbliższe hodowle znajdują się w okolicach Mont-de-Marsan. Inne w pobliżu Dax.

Le Coz cały czas pisał, a litery rozmazywały się od wilgoci, co go bardzo denerwowało.

– Oczywiście nie chcę tutaj widzieć żadnego dziennikarza.

– Jak chcesz ich uniknąć? – zapytała zastępczyni prokuratora.

Jako wyższy urzędnik sądowy miała obowiązek komunikowania się z mediami. Prawdopodobnie już zaplanowała konferencję prasową i przemyślała, co ma powiedzieć. Anaïs od razu ją ostudziła.

– Poczekamy. Nie podamy na razie żadnych informacji. Przy odrobinie szczęścia okaże się, że to naprawdę bezdomny.

– Nie rozumiem.

– Nikt go nie szuka. Można więc poczekać z informacją o jego śmierci. Powiedzmy, dwadzieścia cztery godziny. Ale nawet wtedy nie wspomnimy ani słowem o głowie byka. Powiemy, że to bezdomny, który zmarł z zimna. Nic więcej.

– A jeśli to nie jest chłopak z marginesu społecznego?

– W każdym razie musimy grać na zwłokę, żeby pracować przy zachowaniu pełnej dyskrecji.

Le Coz pożegnał je skinieniem głowy i zniknął we mgle. W innym miejscu, w innym czasie wypróbowałby na obu tych kobietach, jak działa jego czar, ale pojął już, że sprawa jest pilna. W najbliższych godzinach należy zapomnieć o śnie, jedzeniu, rodzinie, o wszystkim, co nie łączy się ze śledztwem.

Anaïs zwróciła się do funkcjonariusza z BAC, który trzymał się z tyłu, ale cały czas śledził tok rozmowy:

– Proszę przyprowadzić do mnie szefa ekipy z policyjnego laboratorium kryminalistycznego.

– Sądzisz, że to początek serii zabójstw? – zapytała cicho zastępczyni prokuratora.

– Za wcześnie o tym mówić. Trzeba poczekać na raport lekarza sądowego. Sposób działania powie nam więcej o profilu mordercy. Muszę sprawdzić, czy nie jest to jakiś psychol, który wyszedł niedawno z Cadillaca.

Wszyscy w regionie znali tę nazwę. Zakład psychiatryczny. Trzymano tam szaleńców, którzy mieli na sumieniu gwałty i zabójstwa. Ciekawostka lokalna między wielkimi winnicami i Wydmą Piłata.

– Zamierzam sprawdzić w archiwach krajowych – mówiła dalej Anaïs – czy popełniono już tego rodzaju morderstwo w Akwitanii lub gdzie indziej.

Za wszelką cenę chciała zrobić wrażenie na rywalce. Archiwa krajowe dotyczące zbrodniarzy były stale aktualizowane dzięki kwestionariuszom wypełnianym przez policję i żandarmerię.

Niespodziewanie zasłona mgły się rozdarła. Ukazała się kosmiczna sylwetka jednego z techników kryminalistyki.

– Abdellatif Dimoun – przedstawił się, zdejmując kaptur.

– Jestem kierownikiem grupy z Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego, przydzielonej do tego śledztwa.

– Przyjechaliście z Tuluzy?

– Tak. Z jednostki PTS numer trzydzieści jeden.

– Jakim sposobem znaleźliście się tutaj tak szybko?

– Szczęśliwy traf, jeśli można tak powiedzieć.

Facet uśmiechnął się szeroko. Jego olśniewająco białe zęby odcinały się od ciemnej skóry twarzy. Miał ze trzydzieści lat, wyglądał bardzo męsko i seksownie.

– Byliśmy w Bordeaux zbadać inną sprawę. Skażenie przemysłowe w Lormont.

Anaïs słyszała o tym. Podejrzewano, że sabotażu dopuścił się były pracownik fabryki chemicznej. Dimoun zdjął rękawiczki i podał rękę obu kobietom.

– Czy udało się wam coś ustalić? – zapytała Anaïs, siląc się na obojętny ton.

– Nie. Wszystko jest przesiąknięte wilgocią. Ciało leżało w błocie co najmniej dziesięć godzin. Na pewno nie zachowały się żadne linie papilarne.

Veronique Roy się nachmurzyła.

– Nie znaleźliśmy także żadnych cząstek organicznych ani płynów biologicznych – kontynuował Dimoun. – Ani krwi, ani spermy, nic. Ale przy tej wilgoci… Jednego możemy być pewni: to nie jest miejsce zabójstwa. Tutaj morderca porzucił ciało. Zabił gdzie indziej.

– Prześlecie nam raport i wyniki analiz najszybciej, jak się da?

– Oczywiście. Będziemy pracować na miejscu, we własnym laboratorium.

– Zadzwonię do pana, jeśli będę miała jeszcze jakieś pytania.

– Bardzo proszę.

Dimoun zapisał numer swojego telefonu komórkowego na odwrocie wizytówki.

– Dam panu mój numer – powiedziała, pisząc na kartce wyrwanej z bloczku. – Może pan do mnie dzwonić o każdej porze. Mieszkam sama.

Technik uniósł brwi zaskoczony tą niespodziewaną poufałością.

Anaïs się zaczerwieniła. Veronique Roy obserwowała ją z drwiącą miną. Na szczęście wtrącił się policjant z BAC.

– Mogę pani zająć sekundę? Chodzi o kierownika dworca… Ma coś ważnego do przekazania.

– Co takiego?

– Nie wiem dokładnie – zastrzegł policjant – ale wygląda na to, że znaleziono tutaj wczoraj dziwnego typa. Z amnezją. Nie byłem przy tym.

– Gdzie to się zdarzyło?

– W punkcie oliwienia kół. Niedaleko kanału naprawczego.

Anaïs pożegnała Roy i Dimouna, któremu wcisnęła w dłoń kartkę z numerem swojego telefonu. Idąc za funkcjonariuszem przez tory, zauważyła trzech mężczyzn w białych fartuchach, którzy szli w kierunku parkingu, między opuszczonymi budynkami. To ludzie transportujący zwłoki do kostnicy. Za nimi jechał samochód z wyciągarką. Z pewnością, żeby podnieść ciało i ogromny łeb.

W dalszym ciągu podążając za swoim przewodnikiem, spojrzała za siebie. Zastępczyni prokuratora i technik rozmawiali z ożywieniem poza ogrodzonym taśmą terenem. Nawet zapalili papierosy. Veronique Roy gruchała niczym gołębica. Anaïs szarpnęła arafatkę, którą nosiła zamiast szalika. Nie mogło być inaczej. Z trupem w tle czy bez, zawsze musi sobie powtarzać to samo: „Niech zwycięży ta lepsza”.

Mgła gęstniała nad centrum miasta. Białe spirale unosiły się nad asfaltem, dachami domów, wylotami kanałów. Widoczność ograniczona była do pięciu metrów. Nic strasznego, Anaïs mogła dotrzeć na komendę z zamkniętymi oczami. Po niezbyt składnych wyjaśnieniach strażników kolejowych, którzy twierdzili, jakoby poprzedniej nocy w tej samej strefie dworcowej znaleziono mężczyznę cierpiącego na amnezję, wydała jeszcze kilka poleceń i wsiadła do swojego samochodu.

Z dworca skręciła w aleję Victor-Hugo w kierunku katedry Saint-André. Emocje opadły i teraz nie czuła się już tak pewnie. Czy stanie na wysokości zadania? Czy w ogóle zostawią jej to śledztwo? Za parę godzin wiadomość rozejdzie się w wyższych sferach miasta. Prefekt, mer, radni wezwą komendanta policji, Jean-Pierre’a Deversata. W mieście wina trup z nadzianą na tułów głową byka obudzi niepokój. Wszyscy będą zgodni, że śledztwo należy jak najszybciej zamknąć. Będą więc pytać, komu je powierzono. Zapytają o jej wiek, doświadczenie, płeć, a przede wszystkim o nazwisko. Skandal związany z jej ojcem był jak znamię, którego nie da się usunąć.

Czy Deversat będzie ją popierał? Nie. Prawie jej nie znał. Wiedział o niej tyle, ile wiedzieli wszyscy – policjantka z kilkoma dyplomami, zdolna, z ambicjami. Jednak w śledztwie policyjnym takie kwalifikacje nie wystarczały. Nic nie może zastąpić doświadczenia starego wygi. Pocieszyła się myślą, że ma przygotowany na taką sytuację argument. To jej powierzono śledztwo, a nie komuś innemu.

Miała sześć dni na działanie bez ingerencji sędziego, bez rekwizycji sądowej. Mogła przesłuchiwać, kogo chciała. Myszkować tam, gdzie się jej podobało. Dobierać partnerów i korzystać ze sprzętu, którego będzie potrzebowała. W rzeczywistości ta perspektywa budziła w niej strach. Czy potrafi wykorzystać taką władzę?

Przed skrętem w prawo w ulicę Pasteura spojrzała w lusterko wsteczne. Jej myśli zakłócił obraz technika z PTS. Arab ze zwodniczym uśmiechem. Pomyślała o gafie, jaką popełniła, dając mu numer swojej komórki. Co za idiotyzm. Czy się nie ośmieszyła? Przypomniała sobie gruchanie Veronique Roy, kiedy ci dwoje zostali sami. Czy kpili z niej?

Zwolniła przed czerwonym światłem, błyszczącym niczym ognista kula w lśniącej metalowej oprawie, po czym ruszyła, nie czekając, aż zmieni się na zielone. Przyczepiony na dachu samochodu kogut milczał. Niebieska lampa na tle ciemności.

Spróbowała wrócić myślami do śledztwa, ale jej się to nie udało. Narastała w niej złość. Złość skierowana przeciw niej samej. Dlaczego rzucała się na szyję wszystkim facetom? Zawsze czuła ich brak, budzili w niej niepokój, pożądanie… Jak mogła być aż tak uzależniona od miłości? Samotność, która stała się chorobą. Nadwrażliwość na wszystko, co dotyczyło uczuć.

Gdy mijała na ulicy zakochanych, ściskało ją w gardle. Kiedy na filmie kochankowie uprawiali miłość, ona zalewała się łzami. Nie mogła znieść widoku zakochanych ludzi. Jej serce było jak wrzód, który reaguje na każde uderzenie. Znała nazwę tej choroby. Nerwica. Wiedziała także, jakiego potrzebuje specjalisty – psychiatry. Ale jeśli chodzi o psychiatrów, poznała ich całe legiony, kiedy zaczęła szukać u nich porady już jako nastolatka. Bez najmniejszego rezultatu.

Zatrzymała golfa przed katedrą i rozpłakała się z rękami skrzyżowanymi na kierownicy. Pozwoliła płynąć rzęsistym łzom przez dobrych parę minut, odczuwając przy tym bolesną ulgę. Potem wytarła oczy i nos i próbowała odzyskać równowagę. Nie mogła zjawić się w komendzie w tym stanie. Oczekiwano tam twardego szefa, a nie beksy.

Wyłączyła policyjne radio i połknęła tabletkę lexomilu. Wzięła iPoda i włożyła słuchawki do uszu. Trochę muzyki, zanim zacznie działać środek uspokajający. *Rise* w wykonaniu Gabrielle. Melancholijna piosenka z 1999 roku, wykorzystująca fragmenty *Knockin' on Heaven's Door* Boba Dylana.

Do głowy napływały jej różne wspomnienia, podczas gdy lek toczył zwycięską batalię z jej strachem.

Nie zawsze taka była. Nerwowa. Niezrównoważona. Depresyjna. Kiedyś była typową młodą dziewczyną: atrakcyjną, pewną siebie. Pewną swojej pozycji, uroku, przyszłości. Ojciec enolog, którego zapraszano do największych winnic. Piękna, śródziemnomorska rezydencja. Lata edukacji w liceum Tivoli bez jednej złej oceny. Matura w wieku siedemnastu lat. Rozpoczęcie studiów na wydziale prawa. Plany na przyszłość: dyplom prawnika ze specjalizacją prawo spadkowe, potem wydział enologii, żeby jak tata poznać tajniki winiarstwa. Wspaniale!

Przez dwadzieścia lat nic nie zakłócało rytmu życia Anaïs. Nawet jeśli czasami pozwalała sobie na pewne odstępstwa. Młodość musi się wyszumieć… Oprócz sportowych rajdów, gdzie spotykali się synowie i córki bogatych rodzin bordoskich, bywały spędzane w tym samym towarzystwie wieczorki, podczas których upijali się drogimi winami – wystarczyło tylko zejść do rodzinnej piwnicy. Spędziła także wiele nocy w tutejszych lokalach rozrywkowych, w lożach dla VIP-ów, z piłkarzami Girondins Bordeaux.

Nie było to interesujące towarzystwo. Kto się nie upił winem, sięgał po kokę. Lub odwrotnie. Bez żadnych aspiracji czy planów na przyszłość. Żaden z tych tatusinych synalków nie myślał nawet o zarabianiu pieniędzy, bo wszyscy je mieli. Czasami przychodziło jej do głowy, że wolałaby być biedną ulicznicą, prostytutką, by wyłudzać od nich kasę bez żadnych skrupułów. Ale była taka sama jak oni. Podążała drogą wyznaczoną przez ojca.

Matka Anaïs, Chilijka, zachorowała kilka miesięcy po jej urodzeniu w Santiago, kiedy Jean-Claude Chatelet pracował nad uprawą Carmenere, szczepu rzadko występującego we Francji, ale dobrze znanego u stóp Andów. Żeby poddać żonę leczeniu, postanowił wrócić do Żyrondy, rodzinnego regionu, gdzie łatwo mógł znaleźć pracę.

W tej idylli jedyną rysę stanowiła chora psychicznie matka i cotygodniowe wizyty w zakładzie w Tauriac, gdzie ją leczono. Anaïs zachowała stamtąd mgliste wspomnienie – zrywała w parku jaskry, podczas gdy tatuś spacerował z milczącą żoną, która nigdy jej nie poznała. Umarła, nie odzyskawszy jasności umysłu, kiedy Anaïs miała osiem lat.

Od tamtej pory nic już nie zakłócało ich harmonijnego życia. Ojciec poświęcał się pracy zawodowej i edukacji ukochanej córki, która spełniała wszystkie jego oczekiwania. W pewnym sensie żyli niczym para małżeń-

ska. Jednak nie zachowała z tamtego okresu żadnego złego wspomnienia. Tata pragnął tylko jej szczęścia, a ona nie miała żadnych marzeń wykraczających poza normę. Najlepsza uczennica, mistrzyni jazdy konnej.

W 2002 roku wybuchł skandal.

Miała dwadzieścia jeden lat, gdy nagle świat wokół niej zmienił się całkowicie. Artykuły w gazetach. Plotki. Spojrzenia. Obserwowano ją. Zadawano jej pytania. Nie potrafiła na nie odpowiedzieć. Było to niemożliwe, bo straciła głos. Przez prawie trzy miesiące nie była w stanie wykrztusić z siebie jednego słowa. Zdaniem lekarzy objaw czysto psychosomatyczny.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było opuszczenie rezydencji ojca. Spaliła swoje sukienki. Pożegnała się z koniem, którego dostała w prezencie, a teraz chętnie by go zastrzeliła. Zerwała z przyjaciółmi, ze swoim beztroskim życiem. Nie było już mowy o przestrzeganiu konwenansów. Przede wszystkim jednak nie było mowy o jakichkolwiek kontaktach z ojcem.

Rok 2003.

Ukończyła studia prawnicze. Zajęła się sportami walki: krav magą i kickboxingiem. Zaczęła trenować strzelanie. Już wtedy chciała zostać policjantką. Poświęcić się szukaniu prawdy. Wyzwolić się z kłamstw, którymi skażono od narodzin jej życie, duszę, krew.

Rok 2004.

Państwowa Wyższa Szkoła Oficerów Policji w Cannes-Ecluse. Osiemnaście miesięcy szkolenia, poznawania procedur, metod śledczych, taktyki przesłuchań… Najlepsza promocja na roku. Anaïs mogła wybrać to, co chciała. Zdecydowała się na komisariat w Orleanie i patrole uliczne. Potem poprosiła o przeniesienie do Bordeaux. Do miasta, gdzie wybuchł tamten skandal. Gdzie jej nazwisko zmieszano z błotem. Nikt nie rozumiał tej decyzji.

A przecież było to proste.

Chciała udowodnić, że się ich nie boi.

I pokazać mu, że walczy teraz o sprawiedliwość i prawdę.

Fizycznie Anaïs bardzo się zmieniła. Ścięła włosy na krótko. Nosiła tylko dżinsy, drelichowe spodnie, skórzane kurtki i rangersy. Była niskiego wzrostu, ale silnej budowy, umięśniona, szybka w ruchach. Mówiła zdecydowanym, ostrym głosem. Jednak mimo wysiłków pozostała młodą kobietą z bardzo jasną cerą, z wielkimi zdziwionymi oczami, która wciąż wyglądała jak postać z bajki.

Tym lepiej.

Kto się będzie pilnował przy policjantce o wyglądzie lalki?

Po przyjeździe do Bordeaux zaczęła się rozglądać za jakimś mężczyzną. Ale okazało się to beznadziejne. Szukała męskiego ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć. Potrzebowała silnego mężczyzny i jego ciepłych objęć. Minęły jednak dwa lata i nikogo nie znalazła. Kiedyś, w epoce wieczorków w eleganckim świecie, była zimną uwodzicielką. Teraz „niedostępna księżniczka" nie przyciągała uwagi żadnego, nawet byle jakiego samca. A jeśli już się jakiś zdarzył, to nie umiała go zatrzymać przy sobie na dłużej.

Czy to z powodu sposobu bycia? Nerwicy widocznej w tym, jak mówiła, w zbyt nerwowych gestach, w ostrości spojrzenia? A może ze względu na jej zawód, który nie u wszystkich budził entuzjazm? Kiedy zadawała sobie te pytania, wzruszała ramionami. W każdym razie było za późno, żeby to zmienić. Straciła swoją kobiecość, jak inne tracą dziewictwo. Bezpowrotnie, nieodwracalnie.

Obecnie była na etapie portalu randkowego.

Trzy miesiące idiotycznych spotkań, jałowych pogaduszek, umawiania się z absolutnymi kretynami. Z tym samym zerowym, upokarzającym rezultatem. Po każdej takiej historii była bardziej znużona, bardziej przygnębiona męskim okrucieństwem. Szukała towarzysza, a robiła sobie wrogów. Marzyła o facecie jak z melodramatu *Pamiętnik*, a oni pasowali raczej do tych z *Parszywej dwunastki*.

Podniosła głowę. Łzy już obeschły. Teraz słuchała *Right Where It Belongs* zespołu Nine Inch Nails. Poprzez mgłę patrzyły na nią gargulce katedry. Te kamienne maszkary przypominały jej mężczyzn ukrywających się za ekranami swoich komputerów, uwodzących ją kłamstwami. Przedstawiali się jako studenci medycyny, a w rzeczywistości byli dostarczycielami pizzy. Albo jako właściciele jakiegoś przedsiębiorstwa, gdy tymczasem żyli z zasiłku. Czy też jako ludzie samotni, szukający drugiej połówki, podczas gdy ich małżonki oczekiwały już trzeciego dziecka.

Maszkary.

Diabły.

Oszuści…

Przekręciła kluczyk w stacyjce. Lexomil zrobił swoje. Przede wszystkim jednak wróciła złość, a z nią nienawiść. Te uczucia z pewnością stymulowa-

ły ją o wiele mocniej niż jakikolwiek narkotyk.

Ruszając, myślała już tylko o najważniejszym wydarzeniu tej nocy. W jej mieście został zabity niewinny człowiek, a na głowę wciśnięto mu łeb byka. Poczuła się śmieszna ze swoimi problemami sklepowej ekspedientki. I jednocześnie wściekła, że na ulicach miasta grasuje morderca.

Zacisnęła zęby i pojechała w kierunku ulicy François-de-Sourdis. Przynajmniej ta noc nie była dla niej stracona.

Miała trupa.

Zawsze to lepsze niż żywy drań.

– Wczoraj powiedziałeś mi, że nazywasz się Mischell.

– To prawda. Pascal Mischell.

Freire zanotował imię. Prawdziwy czy fałszywy, ale nowy element. Bez trudu wprawił tego mężczyznę z zanikiem pamięci w stan hipnozy. Amnezja ułatwiała pacjentowi oderwanie się od świata zewnętrznego. Istotną rolę odegrał także drugi czynnik – zaufanie, jakim darzył psychiatrę. Bez zaufania nie nastąpi odprężenie. Bez odprężenia nie będzie stanu hipnozy.

– Czy wiesz, gdzie mieszkasz?

– Nie.

– Zastanów się.

Olbrzym siedział wyprostowany na krześle, ręce miał oparte o uda, nieodłączny kapelusz na głowie. Freire postanowił przeprowadzić seans w swoim gabinecie, w punkcie konsultacyjnym. W niedzielę było to idealne miejsce, bo nikt nie mógł im przeszkadzać. Zaciągnął zasłony i zamknął drzwi na klucz. Półmrok i spokój.

Była dziewiąta rano.

– Wydaje mi się… Tak, to miasto nazywa się Audenge.

– Gdzie to jest?

– Nad zatoką Arcachon.

Freire zanotował.

– Jaki jest twój zawód?

Mischell nie odpowiedział od razu. Spod ronda stetsona widać było zmarszczki namysłu na jego czole.

– Widzę cegły.

– Cegły?

– Tak. Trzymam je w rękach, układam.

Mężczyzna naśladował gesty, oczy miał zamknięte niczym ślepiec. Freire przypomniał sobie o drobinkach znalezionych na jego dłoniach i pod paznokciami, o których czytał w policyjnym raporcie. Ceglany pył.

– Pracujesz przy budowie domu?

– Jestem murarzem.

– Gdzie pracujesz?

– Jestem… Wydaje mi się… Teraz jestem na placu budowy na Cap Ferret.

Freire cały czas pisał. Nie traktował tych wiadomości jako pewnych. Pamięć Mischella mogła zniekształcać rzeczywisty stan rzeczy. Albo wręcz tworzyć fikcję. Informacje te były raczej wskazówkami. Wyznaczały kierunek poszukiwań. „Trzeba wszystko sprawdzić”. Freire podkreślił to zdanie.

Odłożył pióro i czekał. Nie należy mnożyć pytań. Niech zadziała atmosfera gabinetu. On sam odczuwał senność. Olbrzym umilkł.

– A nazwisko twojego kierownika? – odezwał się znowu Mathias. – Pamiętasz je?

– Thibaudier.

– Możesz je przeliterować?

Mischell zrobił to bez wahania.

– Przypominasz sobie coś jeszcze?

Cisza, a po chwili:

– Wydmę. Z placu budowy widać Wydmę Piłata…

Każda odpowiedź była niczym ruch ołówka uzupełniającego szkic.

– Czy jesteś żonaty?

Znowu pauza.

– Nie, nie jestem żonaty… Mam przyjaciółkę.

– Jak się nazywa?

– Hélène. Helene Auffert.

Freire znowu poprosił o przeliterowanie nazwiska, po czym pytał dalej:

– Czym się zajmuje?

– Pracuje w merostwie.

– W merostwie twojego miasta? W Audenge?

Mischell przeciągnął drżącą dłonią po twarzy.

– Ja… Nic więcej nie wiem…

Freire postanowił przerwać seans. Zorganizuje drugi następnego dnia. Trzeba mieć na względzie rytm organiczny pamięci, która przebija sobie drogę do światła.

Kilkoma słowami wyprowadził Mischella ze stanu hipnozy i odsunął zasłony. Oślepiający blask wywołał ponownie ból w oczodole. Mgła ustąpiła. Nad Bordeaux pojawiło się zimowe słońce. Białe i zimne niczym śnieżna kula. Freire wziął to za dobrą wróżbę dla jego pracy z tym człowiekiem cierpiącym na amnezję.

– Jak się czujesz?

Kowboj się nie poruszył. Miał na sobie płócienną bluzę i takie same spodnie. Ni to piżama, ni to ubranie więzienne. Freire pokręcił głową. Był przeciwny ubieraniu pacjentów w uniformy.

– Dobrze – odrzekł Mischell.

– Pamiętasz coś z naszej rozmowy?

– Nie za bardzo. Powiedziałem coś istotnego?

Freire wolał nie powtarzać usłyszanych przed chwilą informacji. Musiał je najpierw sprawdzić, wszystkie po kolei. Usiadł za biurkiem i popatrzył Mischellowi prosto w oczy. Po kilku uspokajających słowach zapytał go, co mu się śniło.

– Miałem znowu ten sam sen.

– Słońce?

– Słońce i cień.

O czym on sam śnił? Po epizodzie z facetami ubranymi na czarno zapadł w kamienny sen. Spał w ubraniu na kanapie w salonie. Zachowywał się we własnym domu jak kloszard.

Wstał z fotela, stanął z tyłu za siedzącym wciąż pacjentem.

– Czy próbowałeś przypomnieć sobie, co się wydarzyło w nocy na dworcu?

– Oczywiście, ale nic sobie nie przypomniałem.

Freire chodził za jego plecami. Miał świadomość tego, że mogło to sprawiać wrażenie groźby, nacisku, jakby był policjantem przesłuchującym więźnia.

– Żadnego szczegółu?

– Nic.

– A klucz? Książka telefoniczna?

Mischell popatrzył na niego przez ramię i zamrugał kilka razy. Na jego twarzy pojawiły się nerwowe tiki.

– Nic. Ja nic nie wiem.

Freire wrócił za biurko. Teraz wyczuwał w tym człowieku opór. Pacjent się bał. Bał się swoich wspomnień. Mathias uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Na znak, że wszystko jest w porządku. Zapomniał o koniecznej ostrożności. Jeśli będzie wobec niego zbyt natarczywy, nic nie osiągnie. Pamięć Mischella była niczym bibuła, która rozdziera się przy rozwijaniu.

– No to na dziś koniec.

– Nie. Chcę opowiedzieć o moim ojcu.

Machina pamięci została puszczona w ruch. Freire wziął ponownie notatnik do ręki.

– Słucham.

– On nie żyje. Umarł dwa lata temu. Był murarzem tak jak ja. Mówiłem, że wykonywałem ten zawód?

– Tak.

– Bardzo go kochałem.

– Gdzie mieszkał?

– W Mersac. To niewielkie miasteczko nad zatoką Arcachon.

– A twoja matka?

Nie odpowiedział od razu. Odwrócił się, jakby szukał odpowiedzi w lodowatym świetle za oknem.

– Prowadziła bar ze sklepem tytoniowym na głównej ulicy w Mersac. Ona też nie żyje, zmarła w zeszłym roku. Zaraz po moim ojcu.

– Czy pamiętasz, w jakich okolicznościach?

– Nie.

– Masz braci, siostry?

– Ja… – Mężczyzna się zawahał. – Nie wiem nic więcej.

Freire wstał z krzesła, uznając, że pora zakończyć tę rozmowę.

Przywołał pielęgniarza i przepisał środek uspokajający dla Mischella. Odpoczynek przede wszystkim.

Kiedy został sam, spojrzał na zegarek. Prawie dziesiąta. Jego dyżur na izbie przyjęć zaczynał się o godzinie trzynastej. Miał czas, żeby pojechać

do domu, tylko po co? Wolał zrobić obchód na swoim oddziale. Potem tu wróci i sprawdzi informacje na temat Pascala Mischella.

Gdy wychodził na korytarz, przyszedł mu na myśl pewien oczywisty fakt.

Wolał przebywać tutaj, na terenie szpitala. Mieć poczucie bezpieczeństwa. Jak jego pacjenci.

– Zrobiłem, co mogłem, żeby głowa się do czegoś nadawała.

– Widzę.

Była dziesiąta rano. Anaïs Chatelet spała tylko dwie godziny na kanapie w swoim gabinecie. Przytrzymując ramieniem telefon przy uchu, oglądała na ekranie komputera to, co zostało z twarzy ofiary z dworca Saint-Jean. Zmiażdżony nos. Strzaskane łuki brwiowe. Prawe oko zapadnięte, przemieszczone o kilka centymetrów w stosunku do lewego. Spomiędzy obrzmiałych warg wystawały połamane zęby. Niedbale połatana, asymetryczna maska.

Longo, lekarz sądowy, przesłał jej zdjęcie w celu identyfikacji i zaraz potem do niej zadzwonił.

– Nie ulega wątpliwości, że wszystkie złamania na twarzy spowodował łeb byka. Zabójca wypatroszył go częściowo. Opróżnił aż do mózgu, a potem nacisnął łeb, niczym maskę, na czaszkę chłopaka. Kości zwierzęcia i resztki tkanek zmiażdżyły mu twarz.

Chłopak. Właściwe słowo. Pewnie miał najwyżej dwadzieścia lat. Włosy ufarbowane na kruczoczarny kolor, ostrzyżone byle jak. Bez wątpienia należał do subkultury gotów, wielbicieli czarnego rocka. Sprawdzono jego linie papilarne w krajowej bazie, ale nic to nie dało. Chłopak nigdy nie siedział w mamrze ani nawet nie był zatrzymany. Co do FNAEG, krajowej kartoteki śladów genetycznych, to weryfikacja zajmie trochę więcej czasu.

– Czy od tego zginął?

– Nie. Już wcześniej nie żył.

– Co było powodem śmierci?

– Słusznie przypuszczałem. Przedawkowanie. Dziś, bardzo wcześnie rano, otrzymałem wyniki analizy toksykologicznej. Krew naszego klienta zawierała prawie dwa gramy heroiny.

– Jesteś pewien, że umarł z tego powodu?

– Nikt nie może bezkarnie zażyć takiej dawki. Mowa o prawie czystej heroinie. Poza tym na ciele nie ma śladu żadnej rany postrzałowej czy od noża.

Anaïs przerwała pisanie.

– Co masz na myśli, mówiąc „prawie czysta”?

– Powiedzmy, osiemdziesięcioprocentowa.

Znała świat narkotyków. Nauczyła się wszystkiego w Orleanie, w ośrodku dla narkomanów dla regionu Ile-de-France. Wiedziała, że taka heroina nie jest powszechnie dostępna na żadnym rynku. A już na pewno nie w Bordeaux.

– Analiza toksykologiczna nie daje więcej informacji o tym produkcie?

– Chodzi ci o nazwisko i adres dealera?

Anaïs nie zareagowała na tę złośliwość.

– Jedno jest pewne – mówił dalej Longo. – Nasza ofiara była narkomanem. Pokazałem ci jego ramię. Ręce także noszą ślady nakłuć. Żadnych wątpliwości. Mogę sprawdzić jego przegrody nosowe, by zbadać stan kości i chrząstek, ale nie widzę potrzeby. Nasz klient miał nieraz do czynienia z herą. Nigdy nie zaaplikowałby sobie takiego produktu, gdyby znał jego skład.

Przedawkowania są zawsze przypadkowe. Narkomani stale igrają ze śmiercią, lecz instynkt samozachowawczy nie pozwala im świadomie przekroczyć czerwonej linii. Tak więc sprzedano lub podano ofierze truciznę, nie uprzedzając o niebezpieczeństwie.

– Chłopak się udusił – kontynuował patolog. – Wszystkie objawy na to wskazują. Piękny przypadek OOP.

– Czego?

– Ostrego obrzęku płuc. Źrenice są zwężone od heroiny i niedotlenienia mózgu. Znalazłem też w kącikach ust różową pianę. Pluł nią, gdy się dusił. Serce natomiast było bliskie pęknięcia.

– Czy udało ci się określić czas zgonu?

– Umarł nie ostatniej, ale poprzedniej nocy. Nie potrafię podać dokładnej godziny.

– Dlaczego w nocy?

– Masz inny pomysł?

Anaïs pomyślała o mgle, która zaczęła się dwadzieścia cztery godziny wcześniej i nie ustępowała przez cały dzień. Zabójca mógł działać w każdym momencie, ale do przeniesienia ciała lepsza była noc. *Noc i mgła* – pomyślała. *Nacht und Nebel.* Przypomniała sobie film Alaina Resnais'go. Najbardziej przerażający dokument ze wszystkich, jakie zrealizowano o niemieckich obozach koncentracyjnych: „Bramy, przez które przechodziło się tylko jeden raz". Zawsze, gdy oglądała ten film, a zdarzało się to często, myślała o swoim ojcu.

– Jest jeszcze coś dziwnego – dodał Longo.

– A mianowicie?

– Mam wrażenie, że brakuje mu krwi. Ciało jest nienormalnie blade. Zbadałem błonę śluzową powiek, warg, a także paznokcie, wszędzie ta sama bezkrwista bladość.

– Powiedziałeś, że nie ma śladów świeżych ran.

– To prawda. Przypuszczam, że zabójca upuścił mu około dwóch litrów krwi. Wśród ostatnich nakłuć mogą być ślady pobrania krwi, wykonanego według wszelkich reguł medycznych.

– Czy krew została pobrana, kiedy jeszcze żył?

– Oczywiście. Po śmierci pobranie krwi jest niemożliwe.

Anaïs zanotowała ten szczegół. Wampir?

– Co jeszcze odkryłeś na jego ciele?

– Ślady starych, źle zabliźnionych ran. Stwierdziłem także dzięki zdjęciom rentgenowskim ślad po złamaniu z czasów dzieciństwa. Już ci mówiłem, moim zdaniem to bezdomny. Biedny chłopak, który źle skończył.

Anaïs wyobraziła sobie chude ciało pokryte tatuażami. Podzielała tę opinię. Jeszcze jeden fakt potwierdzał taką hipotezę: nie było żadnego zgłoszenia o poszukiwaniu mężczyzny odpowiadającego jego wyglądowi. Albo chłopak nie pochodził stąd, albo nikt nie zauważył jego nieobecności…

– Czy znalazłeś inne dowody potwierdzające tę teorię?

– Wiele. Przede wszystkim ciało było bardzo brudne.

– Mówiłeś już o tym na dworcu.

– Mam na myśli brud chroniczny. Żeby umyć jego ciało, musiałem posłużyć się płynem Javela. Dłonie są zniszczone.

Zaczerwieniona skóra na twarzy świadczy o tym, że przebywał głównie na świeżym powietrzu. Zauważyłem również ślady po ukąszeniach przez pchły. Nie licząc wszy i pluskiew. Jeszcze w kostnicy zwłoki ruszały się od nich.

Anaïs nie bardzo podobało się poczucie humoru doktora Longo. Wyobraziła go sobie w prosektorium, krzątającego się przy zwłokach w świetle lamp bakteriobójczych, z dyktafonem w ręce. Był pięćdziesięciolatkiem, posiwiałym, zobojętniałym, nieodgadnionym.

– Organy wewnątrz – mówił dalej – wyglądają nie lepiej. Wątroba na granicy marskości. Straszne u tak młodego człowieka.

– Był także alkoholikiem?

– Raczej chorował na wirusowe zapalenie wątroby typu C. Więcej informacji dadzą nam szczegółowe analizy organów wewnętrznych. W każdym razie znajdą się zapewne i inne schorzenia. Ten chłopak nie dożyłby czterdziestu lat.

Anaïs wyciągała już wnioski na temat zabójcy. Morderca kloszardów. Morderca odprawiający rytuał, który ma wbić się wszystkim w pamięć. Poczuła mrowienie skóry. Za wcześnie na takie konkluzje. Nic nie przemawiało za tym, że morderca jest recydywistą. Ona jednak była tego pewna – może Minotaur to jego pierwsza ofiara, ale z pewnością nie ostatnia.

– A od strony seksualnej? Nie został zgwałcony?

– Nie. Nie ma śladów spermy ani skaleczeń odbytu.

– Czy możesz coś powiedzieć o tym, co robił w ostatnich godzinach przed śmiercią?

– Wiadomo, co jadł. Paluszki krabowe. Paszteciki z drobiu. Coś z McDonalda. Krótko mówiąc, byle jakie jedzenie. Chłopak żywił się z pewnością resztkami ze śmietników. Pewne jest, że jego ostatni posiłek był nieźle zakrapiany. Miał dwa i cztery dziesiąte promila alkoholu we krwi. Był kompletnie pijany, zanim dał sobie wstrzyknąć śmiertelną dawkę hery.

Anaïs spróbowała wyobrazić sobie ten posiłek spożyty we dwóch, ofiara i zabójca, z dużą ilością piwa, a po nim – zastrzyk. Nie. Pomyślała, że mogło być inaczej. Morderca zwrócił uwagę na chłopaka już po tym, jak się posilił. Przekonał go wówczas, że mógłby wprawić się w stan prawdziwego haju z pomocą „najlepszej heroiny na świecie”…

– A o zabójcy – powiedziała, by zagłuszyć wyimaginowany szept mordercy – co możesz powiedzieć?

– Niewiele. Nie dręczył chłopaka. Zadowolił się wciśnięciem tego ogromnego łba na jego głowę. Moim zdaniem to facet zimny jak lód. Działający metodycznie.

– Dlaczego tak uważasz?

– Zwróciłem uwagę na pewien szczegół. Ranki po malutkich dziurkach na nosie, w kącikach ust, nad obojczykiem i z obu stron pępka.

– O czym to świadczy?

– Ślady po kolczykach. Morderca je wyszarpnął. Nie wiem, co to ma znaczyć, ale najwyraźniej nie chciał ich zostawić na ciele ofiary. Powtarzam: to psychopata. Obojętny na cudzy ból.

– Jak to się odbyło twoim zdaniem?

– Znasz zasadę: „Patolog nie ma prawa stawiać hipotez”.

Westchnęła. Wiedziała, że Longo aż się pali, by wygłosić swoją opinię.

– Zrób tym razem wyjątek.

Lekarz chrząknął.

– Wydaje mi się, że zdarzyło się to przedwczoraj. Morderca zawarł znajomość z tym chłopakiem wieczorem. Albo wiedział, gdzie go szukać, albo dokonał wyboru w danym momencie: kawiarenka, jakaś impreza publiczna, opuszczony budynek albo po prostu na ulicy. W każdym razie wiedział, że jego ofiara jest narkomanem. Pewnie zwabił chłopaka obietnicą zastrzyku z nadzwyczajnej heroiny. Potem zaprowadził go w jakieś spokojne miejsce i zaaplikował mu tę śmiertelną dawkę. Przedtem albo potem pobrał od niego krew. Po namyśle sądzę, że zrobił to przed zastrzykiem, żeby krew nie była skażona heroiną. Ale ponieważ nie wiemy, co z nią zrobił…

Anaïs dorzuciła w myślach jeszcze jedną okoliczność. Ofiara znała mordercę. Nawet narkoman na głodzie nie zgodziłby się, żeby ktoś nieznany zrobił mu taki zastrzyk. Minotaur ufał swojemu oprawcy. Powinna rozejrzeć się wśród dealerów. Albo kumpli, z którymi spotykał się ostatnio. Drugi pewnik – zaproponowano mu jakiś inny towar. Nie miał przecież z czego zapłacić za heroinę, której jeden gram kosztował ponad sto pięćdziesiąt euro.

– Dzięki, Michel. Kiedy prześlesz mi raport?

– Jutro rano.

– Co takiego?

– Jest niedziela. Spędziłem noc nad tym trupem i jeśli nie uznasz tego za niestosowne, chciałbym przynieść dzieciakom świeże rogaliki.

Anaïs popatrzyła na pokrytą bliznami twarz ofiary. Ona zamierzała spędzić niedzielę, pokazując bezdomnym i dealerom zdjęcie jak z horroru. Łzy napłynęły jej do oczu. Trzeba kończyć tę rozmowę.

– Prześlij mi zdjęcia zwłok.

– A co mam zrobić z głową?

– Jaką głową?

– Byka. Komu mam ją posłać?

– Sporządź wstępny raport. Notatkę o tym, w jaki sposób zabójca ją odciął i wydrążył.

– Zwierzęta to nie moja działka – rzucił Longo z niesmakiem. – Trzeba wezwać weterynarza. Albo kogoś ze szkoły rzeźnictwa w Paryżu.

– Znajdź sam jakiego lekarza weterynarii – odparowała. – Ta głowa to część twojego trupa, a więc i twojego raportu.

– W niedzielę? To mi zajmie wiele godzin!

– Poradzisz sobie. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Anaïs wezwała do siebie Le Coza i pozostałych ludzi ze swojego zespołu. Czekając na nich, rozejrzała się dokoła. Jej pokój, dość przestronny, znajdował się na pierwszym piętrze komendy. Jedno duże okno wychodziło na ulicę François-de-Sourdis, a drugie na korytarz. To wewnętrzne okno zaopatrzone było w roletę, którą można było się odgrodzić od niedyskretnych spojrzeń. Anaïs nie opuszczała jej nigdy. Nie chciała się odcinać od zgiełku komendy.

W tym momencie panowała tutaj niezwykła cisza. Cisza niedzielnego poranka. Anaïs słyszała jedynie niewyraźne odgłosy z parteru. Wypuszczano do domu lokatorów cel dla pijanych. Zgodnie z zaleceniem prokuratury zwalniano aresztantów zatrzymanych na jedną noc: kierowców bez prawa jazdy, nastolatki, przy których znaleziono kilka gramów haszyszu lub koki, rozrabiaczy z dyskotek. Połów sobotniego wieczoru gromadzony w akwarium.

Sprawdziła nadesłane do niej e-maile. Longo przysłał już zdjęcia. Kliknęła w ikonki, żeby je otworzyć, i wyszła na korytarz zrobić sobie kawę. Kiedy wróciła, czekała już na nią seria makabrycznych ujęć.

Popatrzyła z większą uwagą na tatuaże ofiary. Krzyż celtycki, jakiś motyw maoryski, wąż w koronie z róż. Chłopak miał eklektyczny gust. Przeszła do ostatniego zdjęcia – łeb byka położony na stole prosektoryjnym niczym na pieńku rzeźnika. Brakowało mu tylko pietruszki w nozdrzach. Zastanawiała się, czy Longo chciał w ten sposób zaznaczyć swoje poczucie

humoru, czy też była to z jego strony prowokacja. Ale ona czuła satysfakcję, oglądając ten wizerunek – jednoznaczny dowód obłędu zabójcy. Zwierzęce ucieleśnienie jego szaleństwa, jego brutalności.

Ogromne, otwarte szeroko nozdrza, czarna skóra, jakby zwęglona w ogniu tortur. Oczy, grube skrzepy ciemnej laki, błyszczały nadal, mimo śmierci, mimo zimna, mimo godzin spędzonych w kanale naprawczym.

Wciąż stojąc, wsunęła papier fotograficzny do drukarki i upiła kilka łyków kawy. W brzuchu jej zaburczało. Nie jadła nic od wielu godzin. A może i dni. Przez resztę nocy wydzwaniała do więzień i zakładów psychiatrycznych w poszukiwaniu kogoś świrniętego na punkcie mitologii greckiej lub okaleczania zwierząt, kto niedawno został zwolniony. Za każdym razem trafiała tylko na zaspanych strażników. Trzeba będzie później spróbować ponownie.

Telefonowała również do fortu de Rosny, siedziby Instytutu Badań Kryminalnych i Dokumentacji Żandarmerii Krajowej, gdzie rejestrowano wszystkie przestępstwa popełniane we Francji. Bez rezultatu. W niedzielę o piątej rano trudno było znaleźć sensownego rozmówcę.

Następnie przestudiowała w internecie mit o Minotaurze. Jak wszyscy znała go w ogólnych zarysach. Musiała odświeżyć sobie pamięć co do szczegółów.

Cała historia zaczynała się od Minosa – syna Zeusa, władcy bogów, i Europy, śmiertelniczki – który został zaadoptowany przez króla Krety, a później sam stał się monarchą tej wyspy. Dla udowodnienia swoich bliskich związków z bogami Minos poprosił Posejdona, boga mórz, aby za jego sprawą z morza wyłonił się biały byk. Posejdon zgodził się, pod warunkiem że Minos złoży mu tego byka w ofierze. Minos jednak nie dotrzymał obietnicy. Urzeczony pięknem zwierzęcia oszczędził je i odesłał do swoich stad. Rozgniewany Posejdon tchnął w Pazyfae, żonę Minosa, szaloną namiętność do białego byka. Dopuściła go do siebie, wskutek czego urodziła potwora z głową byka i torsem człowieka – Minotaura. Żeby ukryć przed ludem owoc tego nielegalnego związku, Minos rozkazał Dedalowi, swojemu architektowi, zbudować labirynt, w którym ukrył potwora. Po jakimś czasie Minos pokonał w wojnie Ateny i zażądał od ich króla, aby co roku wysyłał na Kretę siedmiu młodych chłopców i siedem młodych dziewcząt na żer dla Minotaura. Ateński władca składał tę straszną daninę aż do dnia, kiedy jego syn Tezeusz postanowił pojechać wraz z grupą młodych ludzi przeznaczo-

nych na ofiarę, żeby skończyć z potworem. Dzięki pomocy Ariadny, jednej z córek Minosa, udało mu się zabić Minotaura, a potem wydostać się z labiryntu.

Anaïs, wiedziona intuicją, doszła do wniosku, że ofiara zabójstwa reprezentowała mitologicznego potwora i zarazem jego ofiary – wysyłanych na śmierć ateńskich młodzieńców i dziewczęta. Ten chłopak z twarzą zmiażdżoną przez głowę byka został zabity symbolicznie przez Minotaura.

Usiadła znowu za biurkiem i przeciągnęła się. Zostawiła na boku teorię związaną z mitem i powróciła myślami do konkretów. Osiemdziesięcioprocentowa heroina. Niezwykle istotny trop. Napłynęły wspomnienia. Kiedy zaczęła pracę w SRPJ, rejonowym wydziale policji dochodzeniowej w Orleanie, zorientowała się, że głównym problemem w jej dochodzeniach będą narkotyki, i postanowiła przeprowadzić mały rekonesans. Wzięła tydzień urlopu, zostawiła policyjną legitymację oraz służbowy pistolet i pojechała do Holandii.

Spotkała dealerów na przedmieściu Amsterdamu. Facetów wynajmujących puste mieszkania, których jedyne umeblowanie stanowił niski stolik ze szklanym blatem, bardzo praktyczny dla ich celów. Umówiła się z nimi na rozmowę. Z kamienną twarzą zażądała, żeby zapakowali jej do plastikowej torebki sto gramów heroiny, za którą zapłaciła na miejscu. Potem poszła do klozetu i wetknęła sobie tę paczuszkę w odbyt. Robili tak wszyscy, przed wyruszeniem w drogę powrotną.

Jechała do domu, czując truciznę w swoim wnętrzu. Wtedy dopiero zrozumiała, na czym naprawdę polega praca w policji. Nie infiltrowała środowiska, to środowisko infiltrowało ją… Nikogo nie aresztowała, nie miała zresztą do tego uprawnień na tamtym terenie. Po prostu musiała wiedzieć, jak to jest. I wtedy właśnie podjęła decyzję, że tak będzie wykonywać swój zawód. Oddana pracy bez reszty. Żyjąc tylko nią.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Do jej gabinetu weszło czterech facetów. Le Coz, zapięty na ostatni guzik, pod krawatem, jakby wybierał się do kościoła. Amar, o przydomku Jaffar, reprezentujący tendencję przeciwną – nieogolony, potargany, w wymiętym ubraniu niczym kloszard. Conante, w kurtce o marynarskim kroju, z początkami łysiny i z twarzą tak banalną, że samo to stawało się darem losu. Zakraoui, w skrócie Zak, o wyglądzie smutnego klowna w małym kapelusiku na głowie, z bliznami w kącikach ust – słynny uśmiech tunezyjski,

raczej przerażający. Czterej muszkieterowie. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego…

Rozdała wydrukowane przez siebie zdjęcia ofiary i czekała, jaki wywołają efekt. Le Coz się skrzywił, Jaffar uśmiechnął. Conante pokiwał głową z głupią miną. Zak z niedowierzaniem dotknął wąskiego ronda swego kapelusza. Anaïs wyjaśniła strategię działania. Ponieważ nie mogą na razie zidentyfikować zabójcy, trzeba ustalić tożsamość ofiary.

– Z tym? – zapytał Jaffar, wymachując odbitką.

Streściła im rozmowę z lekarzem sądowym. Zabójcza szpryca.

Niecodzienna jakość narkotyku. Można założyć, że zamordowany to człowiek bezdomny. Wszystko to znacznie zacieśniało krąg poszukiwań.

– Jaffar, ty zajmiesz się kloszardami. Wiesz, gdzie najchętniej przebywają, prawda?

– Jest dużo takich miejsc.

– Wziąwszy pod uwagę jego wygląd i wiek, nasz klient, chłopak bez domu i rodziny, nie był raczej wielkim przestępcą. Bywalec imprez na wolnym powietrzu z muzyką techno i tego rodzaju festiwali muzycznych.

– W grę wchodzi więc aleja Victor-Hugo, ulica Sainte-Catherine, plac Generała Sarraila, plac Gambetty, plac Saint-Projet.

– Nie zapomnij o dworcu. Tam idź przede wszystkim.

Jaffar skinął głową.

– Kiedy przetrząśniesz te wszystkie kąty, zajrzyj do kościołów, ośrodków pomocy, opuszczonych domów. Pokażesz to zdjęcie wszystkim żebrakom, punkom, kloszardom, na jakich trafisz. Złóż także wizytę w noclegowniach, szpitalach, w punktach pogotowia społecznego. We wszystkich instytucjach tego rodzaju.

Jaffar drapał się po brodzie, spoglądając na zmiażdżoną twarz ofiary. Ten czterdziestolatek właściwie sam był bezdomnym. Rozwiedziony, uparcie odmawiał płacenia alimentów. Miał na karku sąd rodzinny i mieszkał to w jednym, to w drugim podłym hotelu. Pił. Brał narkotyki. Grał na wyścigach i w pokera. Mówiono nawet, że pod koniec każdego miesiąca żył tylko dzięki jakiejś dziewczynie z ulicy des Etables. Naprawdę dziwne miał kontakty. Był jednak niezrównany w penetrowaniu bordoskiego półświatka.

– Ty – Anaïs zwróciła się do Le Coza – zrobisz obchód dealerów.

– Gdzie?

– Zapytaj Zaka. Jeśli na rynku pojawiła się biała heroina, nie mogło zostać to niezauważone.

– Heroina nie jest zawsze biała?

Le Coz, specjalista od procedur, nie miał żadnego doświadczenia w tej dziedzinie.

– Heroina nigdy nie jest biała. Jest brązowa. Narkomani zażywają ją w postaci brązowego proszku. Ten typ produktu zawiera od dziesięciu do trzydziestu procent heroiny. Towar, który zabił naszego klienta, zawierał osiemdziesiąt procent. Niezwykle dużo.

Le Coz zapisywał wszystko w swoim notesie jak uczeń w szkole.

– Zadzwoń do żandarmów z międzyregionalnego oddziału Bordeaux-Akwitania. Mają kartoteki dotyczące tego problemu, nazwiska, adresy.

– To może być trudne.

– Wyjaśnisz im całą sprawę. Pomogą ci. Skontaktuj się również z więzieniem w Bordeaux. Wypytaj o więźniów mających do czynienia z narkotykami.

– Jeśli są w więzieniu…

– Nie martw się, będą wiedzieli. Każdemu pokazuj to zdjęcie.

Le Coz cały czas pisał swoim błyszczącym piórem marki Montblanc. Miał ciemną karnację, podwinięte rzęsy jak u kobiety, delikatną szyję i włosy lśniące od żelu. Wyglądał jak wypomadowany aktor niemego kina i Anaïs miała wątpliwości, czy dobrze robi, wysyłając go do takiej brudnej roboty.

– Rozejrzyj się także po aptekach – zasugerowała.

– Narkomani są ich najlepszymi klientami.

– Jest niedziela.

– Zacznij od aptek dyżurnych. Dostaniesz tam adresy innych.

Anaïs odwróciła się do Conante’a, który miał czerwone oczy, bo spędził całą noc na oglądaniu taśm wideo z dworca.

– Znalazłeś coś?

– Nic. W dodatku kanał naprawczy jest poza zasięgiem kamer.

– A na parkingu?

– Nic specjalnego. Wyciągnąłem z łóżek dwóch stażystów, żeby sprawdzili tablice rejestracyjne i wezwali natychmiast wszystkich kierowców, którzy parkowali tam w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

– A wyjścia? Personel dworcowy? Dzicy lokatorzy opuszczonych budynków?

– Sprawdzamy to razem z chłopakami z BAC. Jak na razie nikt nic nie widział.

Anaïs nie oczekiwała cudów.

– Wróć tam z tym zdjęciem. Pokażesz je facetom z ochrony, policji dworcowej i tamtejszym kloszardom. Może nasz chłopak bywał w tej okolicy.

Conante pokiwał głową. Anaïs spojrzała na Zaka. Chuligan, były narkoman, były złodziej samochodów, który wstąpił do policji, tak jak inni wstępują do Legii Cudzoziemskiej. Zostawiając wszystko za sobą i zaczynając całkiem nowe życie. Poleciła mu, żeby ustalił, skąd pochodziło zaszlachtowane przez mordercę zwierzę.

Oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach, relacjonował monotonnym głosem:

– Zacząłem od budzenia hodowców. W regionie departamentów Wielkich Landów, Kraju Basków i Gaskonii jest ich kilkunastu. Jeśli włączymy do tego departamenty Camargue i Alpilles, liczba ta wzrośnie do czterdziestu. Na razie nie mam nic.

– Dzwoniłeś do weterynarzy?

Zakraoui puścił do niej oko. Nie zareagowała na ten poufały gest.

– Wyrwałem ich z betów, szefowo.

– A w rzeźniach, hurtowniach mięsnych?

– Pracuję nad tym. – Oderwał się od ściany. – Jedno pytanie. Zwykła ciekawość.

– Słucham.

– Skąd wiesz, że ten łeb należy do takiego byka, jakie biorą udział w walkach na arenie?

– Mój ojciec pasjonował się corridą. W dzieciństwie wiele razy oglądałam takie walki. Rogi tych zwierząt nie przypominają rogów zwykłych byków. Są jeszcze inne różnice, ale nie będę ci teraz robić wykładu na ten temat.

Anaïs odczuła pewną satysfakcję – wspomniała o ojcu bez żadnych emocji. Jej głos nawet przy tym nie zadrżał. Nie miała jednak złudzeń. To po prostu efekt adrenaliny i podekscytowania, które uczyniły ją mocniejszą tego ranka.

– Mówiliśmy o ofierze – wtrącił się Jaffar. – A co z zabójcą? Kogo właściwie szukamy?

– Człowieka zimnego, okrutnego, manipulatora.

– Mam nadzieję, że moja eks ma alibi – powiedział Jaffar, kiwając głową.

Pozostali parsknęli śmiechem.

– Przestańcie się wygłupiać – zgromiła ich Anaïs. – Wziąwszy pod uwagę okoliczności zbrodni, trzeba wykluczyć mordercę impulsywnego, działającego w afekcie. Ten człowiek zaplanował wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Nie wygląda to również na zemstę. Pozostaje więc szaleństwo. Akt lodowatego, bezwzględnego obłędu inspirowanego mitologią grecką.

Podniosła się z krzesła na znak, że rozmowa dobiegła końca i że czas brać się do roboty. Czterej oficerowie operacyjni ruszyli do drzwi.

Le Coz, już na progu, zatrzymał się i rzucił przez ramię:

– Zapomniałbym. Namierzyliśmy tego faceta z amnezją znalezionego na dworcu.

– Gdzie jest?

– Niedaleko stąd. W Centrum Leczniczym Pierre-Janet. W wariatkowie.

W południe, po obchodzie na swoim oddziale i wydaniu koniecznych poleceń na izbie przyjęć, Mathias Freire zasiadł ponownie przed komputerem, żeby sprawdzić informacje podane przez Pascala Mischella.

Najpierw tak jak poprzedniego dnia szukał w książce telefonicznej. Żadnego Pascala Mischella w Audenge, nad zatoką Arcachon. Ponownie sprawdził w PMSI, w medycznym programie informacyjnym. Żadnego wpisu o zabiegu lekarskim pod tym nazwiskiem w departamencie Akwitanii ani w ogóle we Francji. Zadzwonił do administracji szpitala i poprosił o pomoc pełniącego dyżur urzędnika. Żaden Pascal Mischell nie figurował w systemie ubezpieczenia społecznego.

Freire odłożył słuchawkę. Na dworze odbywał się w najlepsze turniej gry w bule. Słyszał stuk kul i śmiech pacjentów. Po głosie poznawał, kto bierze udział w tym meczu.

Jeszcze raz sięgnął po telefon i wykręcił numer merostwa w Audenge. Nikt nie odpowiadał. Była niedziela. Zadzwonił na posterunek żandarmerii. Wyjaśnił, o co mu chodzi. Bez trudu przekonał rozmówcę – głos, pewność siebie, terminy medyczne – że ma prawo zadawać takie pytania. Audenge było małym miastem. Żandarmi znali wszystkich ludzi w merostwie – nie pracowała tam żadna Hélene Auffert.

Freire podziękował żandarmom i się rozłączył. Intuicja dobrze mu podpowiadała. Kowboj albo nieświadomie zniekształcał swoje wspomnienia, albo całkowicie zmyślał. Jego diagnoza nabierała precyzji.

Włączył internet i odnalazł kataster dla Cap Ferret. W odpowiedniej rubryce znajdował się aktualny wykaz placów budowy w mieście i jego okolicach. Zanotował nazwy przedsiębiorstw, a potem poszukał w internecie nazwisk ich właścicieli i kierowników budowy. Nigdzie nie trafił na nazwisko Thibaudier.

Na zewnątrz wciąż było słychać stukot kul, okrzyki, niekontrolowany śmiech. Dla pewności sprawdził ostatnie rewelacje Mischella. Ojciec urodzony w Marsac, miasteczku nad zatoką Arcachon, matka prowadząca bar ze sklepem tytoniowym na głównej ulicy. Obejrzał dokładnie mapę tego regonu. Nie znalazł nawet takiego miasta.

Freire jeszcze raz się zastanowił – zatoka Arcachon, Wyspa Ptaków, Cap Ferret, Wydma Piłata… Jego pacjent kłamał, lecz rozwiązanie zagadki znajdowało się w tym rejonie.

Zadzwonił telefon. Pielęgniarka z izby przyjęć.

– Przepraszam, panie doktorze, że przeszkadzam. Dzwoniłam na pana komórkę, ale…

Freire zerknął na zegarek – dwunasta piętnaście.

– Mój dyżur zaczyna się o godzinie trzynastej.

– Tak, ale ma pan gościa.

– Gdzie?

– Tutaj, w izbie przyjęć.

– Kto?

Pielęgniarka zawahała się przez moment.

– Ktoś z policji.

Policjantka chodziła niecierpliwie dużymi krokami w holu przed izbą przyjęć. Niskiego wzrostu, z krótkimi włosami, w skórzanej kurtce, w dżinsach i butach motocyklisty. Prawdziwa chłopczyca. Ale miała niezwykle piękną twarz, wilgotne czarne kosmyki włosów muskały jej policzki. Na ich widok przyszło mu do głowy niemodne już określenie: „zalotny loczek”.

Freire się przedstawił. Kobieta odpowiedziała wesołym tonem:

– Dzień dobry. Kapitan Anaïs Chatelet.

Mathias z trudem ukrywał zaskoczenie. Ta dziewczyna miała w sobie nieodparty magnetyzm. Jej obecność odczuwało się w szczególnie intensywny sposób. Odciskała swój ślad na ludziach. Freire w kilka sekund zobaczył wszystko.

Miała twarz lalki z innej epoki. Szeroką, okrągłą, białą, jakby wyciętą z papieru, z rysami naszkicowanymi jednym śmiałym ruchem. Malutkie usta przywodziły na myśl owoc w czarce z cukrem. Do głowy przyszły mu jeszcze dwa słowa, które nie miały ze sobą nic wspólnego: „krzyk” i „mleko”.

– Przejdźmy do mojego gabinetu – odezwał się uwodzicielskim tonem. – Znajduje się w sąsiednim budynku. Tam będzie spokojniej.

Kobieta ruszyła przed nim bez słowa. Skóra kurtki trzeszczała na jej ramionach. Dostrzegł kanciastą kolbę pistoletu. Pojął, że zachował się w sto-

sunku do niej niezbyt stosownie. Jego aksamitny głos przeznaczony był dla zwykłej kobiety. A wizytę złożyła mu kapitan policji.

Skierowali się do budynku Henri-Ey. Policjantka obrzuciła wzrokiem grających w bule. Freire zauważył w niej nerwowość, skrywaną niepewność. Nie była jednak osobą, która bałaby się bliskości z psychicznie chorymi. Być może miejsce to wywołało w niej przykre wspomnienia…

Weszli do budynku, minęli rejestrację punktu konsultacyjnego, po czym weszli do jego gabinetu. Freire zamknął drzwi i zaproponował:

– Napije się pani kawy? Herbaty?

– Nie, dziękuję.

– Mogę podgrzać wodę.

– Nie trzeba, już powiedziałam.

– Proszę usiąść.

– Niech pan usiądzie, ja wolę stać.

Uśmiechnął się znowu. Z tymi rękami w kieszeniach miała wzruszający wygląd dziewczynki, która przesadnie stara się zachowywać po męsku. Obszedł biurko i usiadł w swoim fotelu. Policjantka nadal stała. Drugą zaskakującą cechą był jej młodzieńczy wygląd – wydawało się, że ma zaledwie dwadzieścia lat. Z pewnością była starsza, ale sposobem bycia przypominała studentkę, która dopiero co zrobiła magisterium. „Krzyk”. „Mleko”. Nadal przychodziły mu do głowy te dwa słowa.

– Czym mogę pani służyć?

– Przedwczoraj w nocy, z dwunastego na trzynastego lutego, przyjął pan tutaj mężczyznę z amnezją. Znaleziono go na dworcu Saint-Jean, na torach.

– To prawda.

– Powiedział coś? Czy pamięć już mu wróciła?

– Nie bardzo.

Kobieta zrobiła kilka kroków przed biurkiem. Ręce wciąż trzymała w kieszeniach.

– Wczoraj dzwonił pan na komórkę do porucznika Pailhasa. Wspomniał mu pan o seansie hipnozy… Spróbował pan?

– Tak, dziś rano.

– Nic to nie dało?

– Ten człowiek przypomniał sobie pewne rzeczy, ale sprawdziłem je i wszystko okazało się nieprawdą. Ja… – Przerwał, składając obie dłonie na biurku w geście determinacji. – Nie rozumiem, pani kapitan. Do czego

zmierzają te pytania? Porucznik Pailhas powiedział, że podejmie dziś dochodzenie. Czy pani z nim pracuje? Są jakieś nowe informacje w tej sprawie?

Zignorowała całkowicie jego słowa.

– Jak pan uważa, czy on nie symuluje? Czyjego amnezja jest prawdziwa?

– Nigdy nie można być pewnym na sto procent. Jednak wydaje mi się, że jest szczery.

– Czy doznał jakiegoś uszkodzenia ciała? Czy jest na coś chory?

– Nie zgadza się na prześwietlenie ani na tomografię, ale wszystko wskazuje na to, że jego amnezja jest wynikiem silnego wstrząsu emocjonalnego.

– Co mogło być przyczyną tego wstrząsu?

– Nie mam pojęcia.

– Czego dotyczą informacje, które panu podał?

– Powiedziałem już, że wszystkie są fałszywe.

– Mamy swoje sposoby sprawdzania takich rzeczy.

– Powiedział, że nazywa się Pascal Mischell.

Wyciągnęła długopis i notatnik – jeden ze słynnych notesów marki Moleskine, używanych podobno przez Hemingwaya i van Gogha. Może prezent od narzeczonego… Pisała starannie, wysuwając koniuszek języka. Nie miała na palcu obrączki.

– Co jeszcze?

– Że jest murarzem. Że pochodzi z Audenge i pracuje na budowie w Cap Ferret. To także sprawdziłem i…

– Proszę mówić dalej.

– Powiedział, że jego rodzice mieszkali w małej mieścinie w basenie Arcachon, ale taka miejscowość nie istnieje.

– Jaką podał nazwę?

Freire westchnął znużony.

– Marsac.

– A o tym, co się wydarzyło?

– Ani słowa. Nic nie pamięta.

– O nocy na dworcu?

– Nic. Nie jest w stanie niczego sobie przypomnieć.

Cały czas patrzyła w notatnik, ale Freire czuł, że jednocześnie obserwowała go spod opuszczonych powiek.

– Czy jest szansa, że nagle przypomni sobie coś na ten temat?

– Takie rzeczy przypominają się dużo później. Każdy wstrząs powoduje blokadę pamięci krótkotrwałej. Tak czy inaczej, uważam, że wszystko, co powiedział, jest nieprawdą. Jego nazwisko, pochodzenie, zawód. Czego pani właściwie szuka?

– Przykro mi, ale tego nie mogę panu powiedzieć.

Mathias skrzyżował ręce i skomentował z rozdrażnieniem w głosie:

– Wy, policjanci, zdecydowanie nie jesteście skłonni do współpracy. Jeśli macie jakieś nowe informacje, może ukierunkowałoby to także moje poszukiwania…

Przerwał. Anaïs Chatelet zaśmiała się głośno, stojąc twarzą do okna. Odwróciła się do niego, ciągle się śmiejąc. Jej twarz zdradziła jeszcze jeden sekret. Biel drobnych ząbków jak u dzikiego zwierzątka.

– Z czego się pani śmieje?

– Z facetów, którzy tam na dole grają w bule. Kiedy przychodzi kolej na jednego z nich, pozostali kryją się za drzewami.

– To Stan. Schizofrenik. Myli grę w bule z kręglami.

Policjantka pokiwała głową i wróciła do biurka.

– Nie wiem, jak pan to robi.

– Co mianowicie?

– Jak pan wytrzymuje z tymi wszystkimi… wariatami.

– Z pewnością tak jak pani z kryminalistami. Przyzwyczaiłem się.

Pani kapitan znowu zaczęła chodzić po pokoju, stukając długopisem w notes. W całym jej zachowaniu widoczny był wysiłek, żeby zrobić wrażenie twardej policjantki, ale dawało to przeciwny efekt – widać było, że jest po prostu kobietą.

– Albo wyjawi mi pani, o co chodzi, albo nie odpowiem już na żadne pytanie.

Stanęła gwałtownie w miejscu. Utkwiła w nim wzrok. Miała duże ciemne oczy, w głębi których pojawiały się złotawe błyski.

– W nocy znaleziono zwłoki – rzuciła obojętnym tonem.

– Na dworcu Saint-Jean. Dwa metry za punktem smarowniczym, gdzie kolejarze natrafili na pańskiego pacjenta z amnezją. Czyni to z niego idealnego podejrzanego.

Freire się podniósł. Teraz mogli walczyć jak równy z równym.

– Ostatniej nocy spał spokojnie na moim oddziale. Mogę o tym zaświadczyć.

– Ofiara została zabita poprzedniej nocy. Z powodu mgły w ciągu dnia nikt nie zauważył ciała. A wtedy pański człowiek był w tym miejscu.

– Gdzie dokładnie leżało ciało? Na szynach?

– W kanale naprawczym – odparła z cierpkim uśmiechem. – W rejonie starych warsztatów.

Zapadło milczenie. Mathias sam się sobie dziwił, że wiadomość o morderstwie nie spowodowała u niego ani szoku, ani zaciekawienia. Podziwiał sylwetkę policjantki na tle okna. Przyszedł mu na myśl parawan z papieru ryżowego, za którym przesuwa się tajemnicze światło – może lampkę trzymała jakaś Japonka idąca bezszmerowo drobnym kroczkiem w białych skarpetkach.

Otrząsnął się. Anaïs Chatelet z drugiej strony jego biurka zapatrzyła się przed siebie. Jakby korzystała z pieszczoty słońca. Nagle ona także się otrząsnęła.

– Ofiara zmarła wskutek przedawkowania heroiny.

– A więc nie było to morderstwo?

– Morderstwo za pomocą heroiny. Czy macie ją u siebie?

– Nie. Mamy środki zawierające opium. Morfinę. Wiele chemicznych leków uspokajających. Jednak nie ma u nas heroiny. Nie wykazuje ona żadnych właściwości leczniczych. A poza tym jej używanie jest chyba nielegalne?

Anaïs zrobiła niewyraźny gest, który mógł posłużyć za odpowiedź.

– Czy zidentyfikowaliście ofiarę?

– Nie.

– To kobieta?

– Mężczyzna. Bardzo młody.

– Czy było coś szczególnego na miejscu wypadku, w tym kanale?

– Ofiara była naga. Zabójca wcisnął chłopakowi na głowę łeb byka.

Tym razem Mathias zareagował. W jednej sekundzie wszystko zobaczył. Szyny. Mgłę. Nagie ciało w kanale naprawczym.

1 czarny pysk byka. Minotaur. Anaïs obserwowała go spod oka, odnotowując bez wątpienia każdą najmniejszą jego reakcję.

By ukryć zmieszanie, Freire powiedział podniesionym tonem:

– Czego pani właściwie ode mnie chce?

– Opinii o pana… pensjonariuszu.

Przed oczami ponownie pojawił mu się obraz olbrzyma, który stracił pamięć. Jego kowbojski kapelusz. Buty z jaszczurczej skóry. Sylwetka potwora z komiksów.

– Jest absolutnie nieszkodliwy. Zapewniam panią.

– Kiedy go znaleziono, trzymał w rękach dwa zakrwawione przedmioty.

– Chyba pani ofiara nie została zamordowana kluczem nastawnym ani książką telefoniczną?

– Krew na tych przedmiotach odpowiada grupie krwi ofiary.

– Zero Rh plus. To bardzo często spotykana grupa…

Freire urwał w pół zdania. Odgadł jej grę.

– Nabrała mnie pani. Pani wie, że on nie jest mordercą. Co panią w nim interesuje?

– Nic nie wiem. Istnieje jednak druga możliwość. Był tam, kiedy zabójca wkładał trupa do kanału. Mógł coś widzieć. – Umilkła na moment, po czym mówiła dalej: – Szok, który wywołał amnezję, mógł być spowodowany tym, co zobaczył tej nocy.

Mathias zrozumiał – prawdę mówiąc, czuł to od pierwszej chwili – że ma do czynienia z inteligentną policjantką, znacznie różniącą się od większości gliniarzy.

– Czy mogłabym z nim porozmawiać?

– Za wcześnie na to. Jest bardzo zmęczony.

Przestała chodzić i rzuciła mu spojrzenie przez ramię. Nie wiadomo, czego się można spodziewać po tej kobiecie. Raz jest brutalna, raz przekorna.

– A gdyby tak powiedział mi pan prawdę?

Freire uniósł brwi.

– Jak to?

– Pan już wyrobił sobie opinię o tym człowieku.

– Skąd pani wie?

– Instynkt myśliwego.

Roześmiał się.

– Doskonale. Proszę pójść ze mną.

Centrum Dokumentacji znajdowało się sześć budynków dalej od oddziału Henri-Ey. Przeszli przez kampus w pełnym słońca, mroźnym powietrzu. Szare alejki. Pawilony z pochyłymi dachami. Palmy. Była niedziela i w taki dzień, mimo zimna, krewni spacerowali z pensjonariuszami. Anaïs bez skrępowania przyglądała się odwiedzającym i pacjentom. Niektórzy siedzieli samotnie. Stara kobieta, która bawiła się butelką Soupline jak lalką. Starzec, który modlił się pod drzewem, głaszcząc dłońmi brodę.

– Niezłe przypadki tu macie…

Pani kapitan nie unikała kontaktu z chorymi i to mu się spodobało. Na ogół goście przybierali obojętny wyraz twarzy, żeby zamaskować strach, zażenowanie. Anaïs też była przerażona, ale zareagowała atakiem frontalnym.

– Żaden chory nie może stąd uciec?

– Teraz nie mówi się o nich „chorzy”, lecz „pasażerowie”.

– Jak w autobusie?

– No właśnie. – Uśmiechnął się. – Tyle tylko, że tutaj nigdzie się nie jedzie.

– No więc są ucieczki czy nie?

– Nie ma. Szpitale specjalistyczne funkcjonują na innych zasadach.

– Nie rozumiem.

Freire wskazał kolejną alejkę, którą poszli. Słońce stało wysoko i jego olśniewające światło nie dopuszczało czarnych myśli.

– Od ponad pięćdziesięciu lat nowoczesna psychiatria lansuje hasło: „Otwórzcie drzwi!”. Dzięki neuroleptykom większość pacjentów zachowuje się prawie normalnie. W każdym razie mogą wracać do swoich rodzin lub przebywać w dziennych ośrodkach terapeutycznych. Jednakże wielu z nich woli zostać tutaj, gdzie czują się bezpieczni. Boją się świata na zewnątrz.

– Czy ci, którzy zostają, są nieuleczalnie chorzy?

– Tak, to chronicznie chorzy.

– Nie ma sposobu, żeby ich wyleczyć?

– Wyleczyć? W psychiatrii rzadko używa się tego terminu. Zdarzają się czasami przypadki polepszenia stanu zdrowia, na przykład u schizofreników. Innych trzeba leczyć, towarzyszyć im, odpowiednio ich ustawiać, stabilizować…

– To znaczy podawać im narkotyki.

Dotarli do Centrum Dokumentacji. Ceglanego budynku z kominem, gdzie mogłyby się znajdować równie dobrze kotły centralnego ogrzewania czy narzędzia ogrodnicze. Freire poszukał kluczy. Ta rozmowa go bawiła.

– Wszyscy patrzą złym okiem na takie leczenie. Słynny farmakologiczny kaftan bezpieczeństwa. Ale pierwszymi, którzy odczuwają ulgę, są sami pacjenci. Kiedy ktoś jest przekonany, że szczury zjadają mu mózg, albo w dzień i w nocy słyszy jakieś głosy, to proszę mi wierzyć, że lepiej być nieco otępiałym.

Otworzył kluczem drzwi. Wsunął rękę do środka, żeby zapalić światło. Czuł się podekscytowany, wchodząc tutaj w niedzielę z tą uroczą policjantką. Dziewczynka składająca mu wizytę w ogrodowej altance.

Anaïs Chatelet obejrzała wnętrze w milczeniu. Kierowniczka biblioteki od lat prowadziła upartą walkę z PCW, świetlówkami, wykładziną podłogową. Zdobyła drewniane szpitalne meble – szafy, biblioteczki, szafki z szufladami… Dzięki temu panowała tu przytulna atmosfera, w powietrzu unosił się przyjemny zapach, co sprzyjało pracy.

– Proszę tu na mnie poczekać.

Znajdowali się w czytelni ze szkolnymi pulpitami i krzesłami w stylu Jeana Prouvego. Freire przeszedł do właściwej biblioteki – rzędy alejek z regałami, na których ustawiono ukazujące się od stu lat dzieła specjalistyczne, monografie, prace doktorskie, pisma medyczne. Wiedział, gdzie znaleźć książki, których potrzebował do demonstracji.

Kiedy wrócił do czytelni, Anaïs siedziała za jednym z pulpitów. Delektował się tym widokiem – sylwetka motocyklistki, skóra i dżinsy, kontrastujące ze złotawą, przytulną atmosferą sali. Wziął krzesło i usiadł po drugiej stronie pulpitu, kładąc przed sobą przyniesione książki.

– Przypuszczam, że Mischell, który twierdzi, że tak się nazywa, jest w stanie fugi dysocjacyjnej.

Anaïs słuchała go z szeroko otwartymi oczami.

– Początkowo sądziłem, że cierpi na syndrom amnezji wstecznej. Klasyczna utrata pamięci autobiograficznej. Dziś rano pamięć zaczęła mu wracać. Próbowała odtworzyć to, co było na powierzchni. W rzeczywistości jednak zdarzyło się coś zupełnie przeciwnego.

– Przeciwnego?

– Nasz kowboj nie odzyskał wspomnień, on je wymyślił. Stworzył sobie nową osobowość. To właśnie określa się mianem fugi dysocjacyjnej. W żargonie psychiatrycznym mówi się także o syndromie „pasażera bez bagażu”. Bardzo rzadkie schorzenie, znane od dziewiętnastego wieku.

– Proszę to wyjaśnić.

Freire otworzył pierwszą książkę, napisaną w języku angielskim, i zatrzymał się na jednym z rozdziałów. Potem odwrócił ją w stronę Anaïs, żeby mogła czytać. *The Personality Labyrinth*, autor McFeld z uniwersytetu w Charlotte w Karolinie Północnej.

– Zdarza się, że człowiek pod wpływem silnego stresu lub wstrząsu dochodzi do rogu ulicy i nagle traci pamięć. Później, kiedy wydaje mu się, że ją odzyskuje, tak naprawdę wymyśla sobie nową tożsamość i nową przeszłość, żeby uciec przed własnym życiem. To rodzaj ucieczki do swojego wnętrza.

– Czy taki człowiek ma świadomość tego, co robi?

– Nie. Na przykład Mischell naprawdę wierzy, że odzyskuje pamięć. Tymczasem jest w trakcie zmieniania własnej skóry.

Anaïs przewracała strony, nie czytając. Zamyśliła się. Mathias ją obserwował. Zacisnęła usta. Zamrugała szybko powiekami. Doszedł do wniosku, że sama ma problemy psychiczne. Nagle podniosła wzrok i Freire aż drgnął zaskoczony.

– Od jak dawna bada się takie przypadki?

– Pierwsze przypadki ucieczek psychogennych zanotowano w dziewiętnastym wieku w Stanach Zjednoczonych. Na ogół są związane z trudną do

zniesienia sytuacją życiową: kryzys małżeński, problemy finansowe, męcząca praca. Taki uciekinier może wyjść po zakupy i nigdy nie wrócić. Ma pustkę w głowie, a kiedy pamięć mu wraca, jest już innym człowiekiem.

Freire chwycił drugą książkę i otworzywszy ją na odpowiedniej stronie, położył przed policjantką.

– Najsłynniejszy był przypadek Ansela Bourne'a, ewangelickiego kaznodziei, który zamieszkał w Pensylwanii pod nazwiskiem A.J. Brown i prowadził sklep z artykułami piśmiennymi.

– Bourne jak Jason Bourne?

– Robert Ludlum użył tego nazwiska dla swojego bohatera z amnezją. W Stanach Zjednoczonych to bardzo znane odniesienie.

– Czy ma to coś wspólnego z tym, co nazywa się osobowością wieloraką?

– Nie. Ci, którzy cierpią na ten syndrom, skrywają w swoim wnętrzu kilka osobowości jednocześnie. Ja mówię o przeciwnym przypadku, kiedy cierpiący na amnezję usuwa swoją poprzednią osobowość i staje się kimś innym. Nie ma tu żadnego współistnienia.

Anaïs przeglądała artykuły poświęcone temu zjawisku. Tym razem też nie czytała. Wolała słuchać wyjaśnień.

– Pana zdaniem Mischell to taki właśnie przypadek?

– Jestem tego pewien.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, jego wspomnienia są fałszywe. Sama pani się przekona. Po drugie, w podanych przez niego informacjach wyczuwa się nieświadomą manipulację…

– Na przykład?

Mathias wstał i podszedł do dębowego, masywnego stołu, który był stanowiskiem pracy kierowniczki biblioteki. W jednej z szuflad znalazł to, czego szukał. Wrócił na swoje miejsce naprzeciw Anaïs z pudełkiem scrabble w ręku.

– Nasz nieznajomy twierdzi, że nazywa się Mischell.

Ułożył to nazwisko z plastikowych płytek z literami:

MISCHELL.

– Bardzo często wymyślone nieświadomie nazwisko jest anagramem innego nazwiska.

Rozrzucił płytki i ułożył nazwisko SCHLEMIL.

– Co to znaczy?

– Nie wie pani, kto to taki Peter Schlemihl?

– Nie – odburknęła.

– To bohater dziewiętnastowiecznej powieści, której autorem jest Adelbert von Chamisso. Człowiek, który stracił swój cień. Nasz pacjent w momencie tworzenia nowej osobowości przypomniał sobie tę książkę…

– Czy widzi pan tu jakiś związek z jego wypadkiem?

– Utrata cienia może być utratą dawnej osobowości. Mischell, odkąd jest tutaj, ma wciąż ten sam sen. Idzie w pełnym słońcu przez opustoszałe miasteczko. Nagle widzi eksplozję białego światła, po której następuje cisza. Rzuca się do ucieczki, ale jego cień zostaje na ścianie. Mischell zostawił za sobą swojego dublera.

Gdy Freire mówił to wszystko policjantce, coraz bardziej wierzył w swoją analizę. Ten sen był symbolicznym wytłumaczeniem ucieczki pacjenta.

– Wracajmy do mojej sprawy – rzuciła Anaïs, podnosząc się z krzesła. Przez cały czas nie zdjęła kurtki. – Tak więc ten kryzys z pamięcią mógł być spowodowany jakimś wstrząsem, prawda? Z powodu czegoś, co zobaczył?

– Czegoś takiego jak morderstwo czy trup? – Freire się uśmiechnął. – Jest pani konsekwentna w zmierzaniu do celu. Tak, to możliwe.

Anaïs pomaszerowała do biurka kierowniczki biblioteki. Mathias nadal siedział. A więc wracali do punktu wyjścia.

– Jakie są szanse, że uda się przywrócić mu pamięć?

– Jak na razie są nikłe. Należy pomału naprowadzać go na drogę do siebie samego. Tylko wtedy będzie w stanie odzyskać pamięć.

Pani kapitan obróciła się na pięcie i ruszyła w jego stronę.

– Zabierzemy się do tego wspólnie. Czy informacje, które panu podaje, są użyteczne?

– Raczej nie. On tworzy swojąnową tożsamość z fragmentów poprzedniej. Są to elementy zniekształcone, skrócone, często jakby odwrócone.

– Czy mógłby mi pan udostępnić swoje notatki?

– O tym nie ma mowy. – Freire też wstał. Żeby złagodzić swojąreakcję, dodał: – Przykro mi, ale to niemożliwe. Tajemnica lekarska.

– Chodzi o morderstwo – odparowała ostrym tonem. – Mogę pana wezwać na świadka.

Obszedł pulpit i stanął naprzeciw policjantki. Przewyższał ją o głowę, ale nie wydawała się tym speszona.

– Proszę bardzo, jeśli pani chce. Jednak żeby mnie przesłuchać, musiałaby pani poprosić najpierw o zgodę zarząd Izby Lekarskiej. Naturalnie odmówią. Wie pani o tym tak samo dobrze jak ja.

– Nie ma pan racji, przyjmując taką postawę – powiedziała i znowu zaczęła chodzić po sali dużymi krokami. – Moglibyśmy połączyć siły… Jestem pewna, że te dwie sprawy są ze sobą powiązane. Nie zależy panu na tym, aby odkryć prawdę?

– Do pewnej granicy. Zamierzam leczyć mojego pacjenta, a nie oddawać go do aresztu.

– Nie może mi pan w tym przeszkodzić. Proszę nie zapominać, że dla mnie pozostaje on głównym podejrzanym.

– Czy to groźba?

Podeszła bliżej, wciąż trzymając ręce w kieszeniach. Nie odpowiedziała. Znowu miała minę taką jak na początku. Gotowa przeciwstawić się całemu światu.

Freire także wsunął ręce do kieszeni. Skórzana kurtka przeciw białemu kitlowi.

Cisza się przedłużała. Nagle ta zabawa go znużyła.

– Skończyliśmy?

– Niezupełnie.

– Jak to?

– Chcę go zobaczyć.

Godzinę później na parkingu Specjalistycznego Centrum Leczniczego Pierre-Janet Anaïs sprawdzała połączenia w swoim telefonie. Le Coz dzwonił do niej trzy razy. Natychmiast do niego oddzwoniła.

– Zidentyfikowano klienta.

– Jego nazwisko?

– Duruy. Philippe. Dwadzieścia cztery lata. Bez zajęcia. Bez stałego miejsca zamieszkania.

Wyjęła notes i szybko zapisała te informacje.

– To pewne?

– Oczywiście. Nic nie wskórałem z dealerami, ale kiedy zacząłem przepytywać aptekarzy, trafiłem na Sylvie Gentille, zamieszkałą na ulicy Camille-Pelletan pod numerem siedemdziesiątym czwartym w dzielnicy Talence. Prowadzi aptekę na placu de la Victoire.

– Znam. Mów dalej.

– Wysłałem zdjęcie na jej laptopa. Potwierdziła tożsamość tego człowieka bez wahania, mimo guzów i szram. Od trzech miesięcy przychodził do jej apteki po swoją miesięczną porcję subutexu.

– Brawo.

– To nie wszystko. Zadzwoniłem do Jaffara. Stali bywalcy na alei Victor-Hugo także go rozpoznali. Mówili o nim Fifi, ale to ten facet: got, który szwendał się to tu, to tam. Znikał na całe tygodnie. Ich zdaniem w ostatnim czasie Duruy mieszkał w squacie na ulicy des Vignes.

Anaïs otworzyła drzwi samochodu i wsunęła się do środka.

– Kiedy widzieli go po raz ostatni?

– Farmaceutka widziała go przed trzema tygodniami. Włóczędzy kilka dni temu. Nikt z nich nie ma pojęcia, gdzie się podziewał tuż przed śmiercią.

– Nie miał kumpli? Krewnych, którzy mogliby coś więcej o nim powiedzieć?

– Nie. Duruy był samotnikiem. Kiedy znikał, nikt nie wiedział, dokąd się udawał.

– A może miał psa?

– Owszem. Wielkiego brytana. Nie wiadomo, co się z nim stało. Pewnie morderca i jego musiał załatwić.

– Na wszelki wypadek sprawdź schroniska dla zwierząt.

Anaïs pomyślała o kamerach bezpieczeństwa rozmieszczonych w mieście. Trzeba sprawdzić wszystkie. Philippe Duruy musi być na którejś taśmie. Z zabójcą dealerem? Zawsze można pomarzyć.

– A jego rzeczy?

– Pewnie pogrzebane razem z kundlem.

Przejrzała jeszcze raz w myślach, ale już dokładniej, scenariusz morderstwa. Zabójcą nie był włóczęga ani znajomy Duruya. Wyszukał swoją ofiarę wiele dni wcześniej. Starał się być dla chłopaka miły. Zyskał jego zaufanie. Wiedział, że got jest narkomanem. Wiedział, że jest samotny, a takiego łatwiej dyskretnie usunąć. Wiedział, że ma psa, więc zaplanował, jak się go pozbyć.

Wyobraziła sobie piątek dwunastego lutego. Powiedzmy, że jest godzina dwudziesta. Nad Bordeaux zapada noc. Noc i mgła. Albo morderca wybrał tę noc z powodu mgły, albo planował atak na ten dzień, a pogoda była dodatkowym ułatwieniem. Wie, gdzie znaleźć Philippe’a Duruya. Proponuje mu szprycę z doskonałego narkotyku i prowadzi w ustronne miejsce, z dala od ludzkich spojrzeń, gdzie wszystko jest już przygotowane. Żelazne nerwy. Profesjonalista w swojej dziedzinie.

– Czy zdobyłeś nazwisko lekarza, który zapisywał mu leki?

– O cholera, zapomniałem. Byłem tak zadowolony…

– Nie przejmuj się. Prześlij mi SMS-em numer telefonu aptekarki. Ja się tym zajmę.

– A co masz dla mnie?

– Skoro już znasz jego nazwisko, to prześledź, gdzie Philippe Duruy bywał i co robił w Bordeaux.

– To będzie trudne. Ci faceci…

Anaïs domyślała się, co chciał powiedzieć. Bezdomni to ostatni wolni ludzie we współczesnym społeczeństwie. Nie mają kart bankomatowych ani książeczek czekowych. Nie mają samochodów, telefonów komórkowych… W świecie, gdzie rejestrowane jest każde połączenie, każdy telefon, każdy ruch, jako jedyni nie zostawiają po sobie żadnych śladów.

– Jeśli to narkoman, to spróbuj we FNAILS.

W Krajowym Archiwum Informacyjnym o Używaniu Środków Odurzających rejestrowano wszystkie aresztowania na terenie kraju związane z narkotykami.

– Poszukiwanie w komputerowej bazie odcisków jego palców nic nie dało – przypomniał Le Coz.

– To dowód na to, że technologia cyfrowa niekiedy zawodzi. Jestem pewna, że Duruy był kiedyś aresztowany. Sprawdź jeszcze raz. Sprawdź także ubezpieczenie społeczne. Duruy musiał być chociaż raz hospitalizowany z powodu przedawkowania. Może pobierał zasiłek w opiece społecznej. Zdasz mi raport z całości.

– A co z dealerami?

Nie wierzyła już w ten trop. Drobni sprzedawcy nie powiedzą nic, a zresztą to nie oni sprzedali zabójcy białą heroinę. Miał z pewnością własne źródło.

– Zapomnij na razie o nich. Skoncentruj się na tym, co ci zleciłam. Chcę mieć również pełny życiorys Duruya. Zadzwoń do Jaffara. Niech przetrząśnie sieć pomocy społecznej. Noclegownie. Ośrodki socjalne. Niech wróci do kryjówek kloszardów i opuszczonych mieszkań. Przekaż Conante’owi, żeby kontynuował przeglądanie taśm nagranych przez kamery. Trzeba zlokalizować na nich Duruya. Chcę wiedzieć, co robił w minionych dniach aż do ostatniej sekundy. Ta sprawa ma absolutny priorytet.

Anaïs wyłączyła telefon i przekręciła kluczyk w stacyjce. Pragnęła jak najszybciej opuścić to miejsce szaleństwa. Ruszyła w stronę miasteczka uniwersyteckiego położonego na obrzeżach Talence. Kolejny parking. Zatrzymała się. Przejrzała SMS-y. Le Coz przysłał jej numer telefonu farmaceutki. Natychmiast zadzwoniła. Sylvie Gentille nie miała przy sobie reje-

stru klientów – spędzała niedzielę w domu, z rodziną – ale pamiętała nazwisko lekarza Philippe'a Duruya. David Thiaux. Lekarz z tej samej dzielnicy.

Następny telefon. Anaïs trafiła na żonę lekarza. Jak w każdą niedzielę Thiaux grał do osiemnastu dołków w klubie Laige. Anaïs znała to miejsce. Włączyła silnik i ruszyła w kierunku Caychac, gdzie znajdowało się pole golfowe.

Po drodze zastanawiała się nad spotkaniem z mężczyzną cierpiącym na amnezję. Trudno było wyrobić sobie jakąś opinię. Pod względem fizycznym był imponujący, lecz wyglądał na łagodnego, prostego człowieka. Na takiego, który nie skrzywdziłby nawet muchy. Nie płacono jej za to, żeby z góry miała do kogoś zaufanie, ale według niej olbrzym nie był typem perfidnego zabójcy ani cwanego dealera.

Godzina czternasta trzydzieści.

Anaïs wjechała na drogę lokalną regionu Medoc. Teraz pomyślała o rozmowie z psychiatrą, bo najlepsze zostawiła sobie na koniec.

Mathias Freire był ucieleśnieniem mrocznego piękna. Miał regularne rysy twarzy, udręczone wewnętrznym niepokojem. Ciemne oczy, wzbraniające się przed wyjawieniem sekretów. Jeszcze czarniejsze włosy, kręcone, diabelnie romantyczne. Ubiór natomiast zdradzał, że jest całkowitym abnegatem, jeśli chodzi o wygląd zewnętrzny. Jego wymięty kitel przywodził na myśl niezasłane łóżko. Uznała, że dzięki temu Freire był jeszcze bardziej pociągający…

Opanuj się, Anaïs, nakazała sobie w myślach. Już zdarzało się jej łączyć pracę i uczucie, i zawsze miało to katastrofalne skutki. Tak czy inaczej, psychiatra jej nie pomoże. Zawsze dobro pacjenta będzie dla niego ważniejsze od powodzenia śledztwa i z pewnością nie rzuci się do telefonu, by poinformować ją o tym, czego się właśnie dowiedział…

Zobaczyła drogowskaz z nazwą pola golfowego Laige. W głębi duszy była zadowolona, że miała pracę w niedzielę. Przynajmniej nie spędzi popołudnia na kanapie, marząc o niebieskich migdałach i słuchając *Wild Horses* Stonesów lub *Perfect Day* Lou Reeda. Praca była ostatnim ratunkiem dla jej poranionego serca.

Teren golfowy zaczynał się od długich budynków, takich, jakie można spotkać na Bahamach. Siding z drzewa modrzewiowego, dachy kryte gontem z czerwonego cedru. Zielone parowy okalające pole.

Anaïs wjechała na parking i ustawiła samochód wśród terenowych porsche cayenne i aston martinów. Wysiadając ze swojej gabloty, miała ochotę splunąć na te lśniące karoserie albo połamać boczne lusterka. Nienawidziła golfa. Nienawidziła burżuazji. Nienawidziła Bordeaux. Dlaczego więc tutaj wróciła? Bo to doskonała pożywka dla jej nienawiści. Karmiła się nią jak dzikie zwierzę. Ta negatywna energia utrzymywała ją w pionie.

Ruszyła w stronę kompleksu budynków klubowych. Przekraczając próg, nagle zastanowiła się, czy przypadkiem nie spotka tutaj swojego ojca. Zawsze lękała się takiej ewentualności. Jeszcze jeden powód, dla którego powinna była trzymać się z dala od tego miasta.

Rzuciła okiem do salonów i do sklepu ze sprzętem do gry w golfa. Żadnej znajomej twarzy. Obawiała się również, by w takim ekskluzywnym miejscu nie zostać rozpoznaną jako córka Chateleta. Nikt z wyższych sfer w Bordeaux nie zapomniał o skandalu związanym z tym nazwiskiem.

Weszła do baru. Była zaskoczona, że nikt jej stąd jeszcze nie wyrzucił, w tych dżinsach i butach z podkutymi obcasami. Gracze – w większości mężczyźni – stali przy lśniącym kontuarze. Wszyscy mieli na sobie przepisowe stroje. Spodnie w kratkę.

Koszulki polo. Specjalne pantofle. W oczy rzucały się nachalnie marki – Ralph Lauren, Hermes, Louis Vuitton…

Przedstawiła się barmanowi, pokazując mu dyskretnie swoją legitymację, i wyjaśniła, co ją tu sprowadza. Mężczyzna zawołał kierownika klubu, który miał na imię Nicolas, co zdradzała plakietka przypięta do zielonego puloweru. Doktor David Thiaux grał właśnie na polu. Anaïs wyszła razem z kierownikiem. Już mieli wsiąść do małego elektrycznego samochodziku, kiedy powiedziano im, że pan doktor wrócił przed chwilą do szatni. Anaïs kazała się tam zaprowadzić.

– To tutaj – rzucił Nicolas, zatrzymując się przed drewnianym domkiem u stóp pagórka. – Wstęp tylko dla mężczyzn.

– Proszę mi towarzyszyć.

Szum wody, gwar poważnych głosów, zapach potu i perfum. Jedni ubierali się, stojąc przed swoimi szafkami o drewnianych drzwiczkach. Drudzy wychodzili spod pryszniców, ociekający wodą, ze zwisającymi fiutami. Jeszcze inni poprawiali fryzury, smarując włosy nawilżającym żelem.

Anaïs odniosła fizyczne wrażenie, że wtargnęła do gniazda wszechpotężnej męskości i oczywiście seksu. Każdy z nich zapewne chwalił się swoimi kochankami, zdobyczami, sukcesami podobnymi do tych na polu golfowym. Początkowo nikt nie zwracał na nią uwagi.

– Gdzie jest Thiaux? – zwróciła się do Nicolasa.

Kierownik wskazał jej mężczyznę, który kończył zapinać pasek u spodni. Wysoki, dobrze zbudowany, siwiejący pięćdziesięciolatek. Anaïs podeszła bliżej i znowu poczuła ogarniający ją niepokój. Ten facet przypominał jej ojca. Taka sama szeroka twarz, opalona na brąz, majestatyczna. Taka sama mina posiadacza ziemskiego.

– Doktor Thiaux?

Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Jej niepokój jeszcze się pogłębił. Takie same lodowate oczy, które przenikały rozmówcę na wskroś.

– Tak, to ja.

– Anaïs Chatelet. Kapitan policji w Bordeaux. Chciałabym z panem porozmawiać o Philippie Duruyu.

– Philippe, ach tak, rozumiem.

Oparł nogę o ławkę, by zawiązać sznurowadło. Wydawał się obojętny na panujące wokół niego zamieszanie. Anaïs odczekała kilka sekund.

– Ma jakieś kłopoty? – zapytał lekarz, zawiązując drugi but.

– Nie żyje.

– Przedawkowanie?

– Tak.

Thiaux wyprostował się i pokiwał głową z niewzruszoną miną.

– Nie wygląda na to, żeby ta wiadomość pana zaskoczyła.

– Wziąwszy pod uwagę, co pakował sobie do żył, nie ma powodów do zdziwienia.

– Zapisywał mu pan subutex. Czy próbował z tym skończyć?

– Miał różne okresy. Gdy był u mnie ostatni raz, zapisałem mu subutex w dawce czteromiligramowej. Wydawało się, że jest na dobrej drodze, ale nie wiązałem z tym wielkich nadziei. No i mamy dowód…

Lekarz włożył lodenowy płaszcz.

– Kiedy widział pan Philippe’a po raz ostatni?

– Muszę zajrzeć do kalendarza. Około dwóch tygodni temu.

– Co pan o nim wie?

– Niewiele. Przychodził do przychodni po comiesięczną receptę. Zostawiał na dworze swojego psa i nie opowiadał o swoim życiu.

– Do przychodni? Nie przyjmował go pan w prywatnym gabinecie?

Lekarz zapiął drewniane guziki płaszcza i zamknął sportową torbę.

– Nie, w każdy czwartek mam dyżur w przychodni w dzielnicy Saint-Michel. W ośrodku medyczno-psychologicznym.

Anaïs pomyślała, że trudno sobie wyobrazić tego burżuja przyjmującego w prywatnym gabinecie takiego brudnego kloszarda jak Philippe Duruy. Ale że w ogóle zajmował się takimi menelami…

– Dziwi to panią – powiedział, jakby czytał w jej myślach – że lekarz taki jak ja pełni dyżury w przychodni. Bez wątpienia robi to dla spokoju sumienia.

W jego głosie brzmiała ironia. Anaïs czuła coraz większą irytację. Panujący dokoła hałas tylko pogarszał sytuację. Nieznośna była dla niej atmosfera, jaką tworzyli wokół siebie ci triumfujący mężczyźni, zadowoleni, że są razem, rozkoszujący się swoją siłą i bogactwem.

Thiaux dodał złośliwie:

– Według was, lewicowych policjantów, to my jesteśmy źródłem wszelkiego zła. Cokolwiek zrobimy, nigdy nie mamy racji. Jesteśmy burżuazyjnymi hipokrytami i kierujemy się wyłącznie własnym interesem.

Ruszył do wyjścia, pozdrawiając po drodze znajomych. Anaïs zatrzymała go na progu.

– Philippe Duruy nigdy nie mówił panu o swojej rodzinie?

– Nie sądzę, żeby miał rodzinę. W każdym razie nie wspomniał o niej ani słowem.

– A o przyjaciołach?

– Też nie. To był wędrowiec. Samotnik. Typ zamkniętego w sobie milczka, który podróżuje w poszukiwaniu muzyki i upojenia narkotykowego.

Thiaux wyszedł na zewnątrz. Anaïs nie odstępowała go na krok. Była zaledwie szesnasta, a już zrobiło się ciemno. Krakanie kruka mieszało się z ludzkimi głosami. Zadrżała z zimna w swojej kurtce.

– Ale bazę miał w Bordeaux, tak?

– Baza to za duże słowo. Uznajmy, że co miesiąc wracał, by złożyć mi wizytę. Wtedy rzeczywiście tutaj bywał.

Lekarz dotarł do parkingu, wyjął kluczyki samochodowe. Gest był wymowny – nie miał zamiaru tracić czasu dla Anaïs.

Jeszcze raz go zatrzymała.

– Nigdy nie mówił o swojej przeszłości? Skąd pochodził?

– Nie ma pani pojęcia, jak wygląda rozmowa między lekarzem w przychodni i narkomanem takim jak Duruy. Ogranicza się do powiedzenia „dzień dobry” i „do widzenia”, i to wszystko. Szybkie badanie, wypisanie recepty i chłopak znika. Nie jestem psychiatrą.

– Czy był u któregoś psychiatry w ośrodku medyczno-psychologicznym?

– Nie przypuszczam. Philippe nie szukał pomocy. Wybrał ulicę.

– Czy poza narkotykami miał problemy ze zdrowiem?

– Kilka lat temu przeszedł ostre wirusowe zapalenie wątroby typu C. Nie leczył się, nie przestrzegał diety. Czyste samobójstwo.

– Czy wie pan, jak doszedł do heroiny?

– Przypuszczam, że jak większość. Konopie indyjskie. Spelunki z muzyką techno. Ecstasy. W niedzielę rano bierze się heroinę, żeby wyleczyć kaca po ecstasy, a w poniedziałek człowiek budzi się uzależniony. Zawsze ten sam burdel.

Thiaux stanął przed swoim czarnym mercedesem klasy S. W tym momencie po raz pierwszy wyglądał na zmęczonego. Na moment przestał się kontrolować. Z kluczykami w ręku stał bez ruchu przy samochodzie. W następnej sekundzie odzyskał równowagę i nacisnął pilota.

– Nie rozumiem pani pytań. Skoro Philippe umarł z przedawkowania, to dlaczego interesuje się tym policja?

– Duruy umarł z przedawkowania, ale to było morderstwo. Wstrzyknięto mu śmiertelną dawkę heroiny. Bardzo czystej heroiny. Następnie zmiażdżono jego twarz, wciskając mu na głowę łeb byka.

Thiaux, który zdążył odblokować drzwi samochodu, gwałtownie zbladł. Anaïs delektowała się tym spektaklem. Pewność siebie lekarza rozpłynęła się w nicość.

– Co to znaczy? Czy to seryjny zabójca?

W dzisiejszych czasach wszyscy mają na ustach te dwa słowa. Jakby chodziło o tak znane zjawisko społeczne jak bezrobocie czy samobójstwa z powodu kłopotów w pracy.

– Jeśli to seria, to dopiero się zaczęła. Czy Duruy mówił coś panu o swoich dealerach?

Thiaux wrzucił torbę do bagażnika i zamknął klapę.

– Nigdy.

– Czy tego dnia, kiedy był u pana ostatni raz, mówił o jakimś nowym dealerze? O heroinie wyjątkowej jakości?

– Nie. Przeciwnie, wydawało się, że bardziej niż kiedykolwiek jest zdecydowany z tym zerwać.

– Od tamtego dnia już go pan więcej nie widział? Może przy jakiejś innej okazji?

Thiaux otworzył drzwi.

– Nie.

– Sprawdzimy to – odparła, wsuwając ręce do kieszeni.

Natychmiast pożałowała tych ostatnich słów. Wszyscy policjanci znają to miłe uczucie przewagi nad innymi i zawsze tak mówią.

Ale to było głupie z jej strony. Lekarz nie był przecież podejrzanym. Tylko go tym przestraszyła.

Oparł się o drzwi.

– Robi pani wszystko, żeby wydać się niemiłą, ale ja mimo to czuję do pani sympatię. Jest pani dziewczynką, która ma żal do całego świata, tak jak te, które co tydzień przychodzą do mnie do przychodni.

Anaïs skrzyżowała ramiona. Zdecydowanie nie lubiła współczującego tonu.

– Powiem pani coś w zaufaniu – rzekł, pochylając się ku niej. – Czy wie pani, dlaczego zgodziłem się na dyżury w tej przychodni, podczas gdy w moim prywatnym gabinecie przyjmuję klientelę z najwyższych sfer Bordeaux?

Anaïs, postukując nogą i zagryzając wargi, nie zmieniła postawy.

– Mój syn zmarł w wieku siedemnastu lat wskutek przedawkowania. Nawet nie podejrzewałem, że bierze narkotyki. Czy to wystarczający dla pani powód? Nie mogę niczego cofnąć ani naprawić. Ale mogę pomóc kilku chorym dzieciakom, a to zawsze coś.

Trzasnęły drzwi samochodu. Anaïs patrzyła za mercedesem znikającym między drzewami i rozpływającym się w ciemnościach. Coś sobie przypomniała. Głos Coluche'a. Jego skecz na temat policjantów: „Tak, wiem, wyglądam trochę jak kretyn…". Teraz mogła wziąć to zdanie do siebie.

Godzina dwudziesta pierwsza.

Nareszcie skończył się jego dyżur. Mathias Freire wracał do domu, myśląc o mężczyźnie w stetsonie i o Minotaurze. Od czasu wizyty Anaïs Chatelet nieustannie zastanawiał się nad tym, co może łączyć te dwie sprawy. Całe popołudnie, przyjmując pacjentów, nie potrafił przestać o tym myśleć. Co mogli mieć wspólnego Mischell i morderca? Co tak naprawdę zobaczył olbrzym? Żałował, że nie przyjął propozycji policjantki. Nie wiedział, jak dalej postępować z kowbojem.

Gdy przekręcał klucz w drzwiach mieszkania, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Spróbuje blefu. Zapalił lampę w salonie i włączył internet. Najzwyczajniej w świecie znalazł numer telefonu do najbliższego Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego, LPS 31, znajdującego się w Tuluzie. Dobrze byłoby wiedzieć, czy to ekipa właśnie z tego laboratorium uczestniczyła w śledztwie dotyczącym człowieka z amnezją i czy to oni zdjęli odciski palców Mischella. Jeśli tak było, to z pewnością ci sami technicy pracowali nad sprawą Minotaura.

Najlepszym sposobem, żeby się o tym przekonać, był telefon.

Odezwał się oficer dyżurny. Freire przedstawił się jako ekspert psychiatra opiekujący się podejrzanym o zabicie młodego mężczyzny znalezionego na dworcu Saint-Jean. Policjant słyszał o sprawie i powiedział, że rano został przysłany dodatkowy materiał do analizy.

Tak więc Freire słusznie się domyślał, że ta sama ekipa pracowała nad zbieraniem śladów w miejscu, gdzie w nocy z dwunastego na trzynastego lutego znaleziono człowieka z amnezją, a następnego dnia wieczorem tam, gdzie popełniono morderstwo. Zwykły zbieg okoliczności – po prostu technicy byli w Bordeaux z powodu zupełnie innej sprawy.

– Czy mógłbym dostać numer komórki szefa tej ekipy?

– To niezgodne z procedurą. Dlaczego nie zadzwoni oficer operacyjny, któremu zlecono śledztwo?

– Anaïs Chatelet? To ona powiedziała, bym się z wami skontaktował.

Jej nazwisko zrobiło swoje. Dyktując numer komórki, policjant dodał:

– Nazywa się Abdellatif Dimoun. Jest nadal w Bordeaux. Poszedł z tym do laboratorium prywatnego. Chciał być na miejscu, kiedy będą rezultaty.

Freire podziękował, rozłączył się, po czym wybrał na klawiaturze aparatu osiem cyfr.

– Słucham?

Mathias posłużył się ponownie bajeczką, że jest ekspertem psychiatrą. Ale Abdellatif Dimoun nie był taki łatwowierny.

– Mogę podać wyniki analiz wyłącznie pani kapitan odpowiedzialnej za dochodzenie, a jedną kopię wyznaczonemu do tej sprawy sędziemu śledczemu.

– Mój pacjent cierpi na amnezję – odparł na to Freire.

– Staram się pomóc mu w odzyskaniu pamięci. Liczy się dla mnie najmniejszy szczegół, każdy drobiazg.

– Rozumiem, ale proszę zwrócić się z tym do Anaïs Chatelet.

Freire udał, że tego nie usłyszał.

– Z raportu wynika, że znaleźliście drobinki pyłu na…

– Ależ pan uparty! Kapitan Chatelet będzie miała jutro ten raport na biurku. Niech pan z nią porozmawia.

– Moglibyśmy zyskać na czasie. Jutro z samego rana zamierzam poddać mojego pacjenta hipnozie. Jedno słowo teraz, a dzięki panu zyskam cały dzień!

Technik nie odpowiedział. Wahał się. Biurokracja ciążyła wszystkim. Freire zwietrzył swoją szansę i drążył dalej:

– Proszę powiedzieć pokrótce o tym, co już wiecie. Zdaniem mojego pacjenta, który zaczyna odzyskiwać pamięć, cząstki pyłu znalezione pod jego paznokciami mogą pochodzić z cegieł.

– Wykluczone.

– A co to jest?

– Rodzaj fitoplanktonu.

– Czyli?

– Morski plankton złożony z organizmów roślinnych, przeważnie glonów. Występuje na francuskim wybrzeżu Atlantyku, raczej na południu. Na Wybrzeżu Baskijskim.

Freire pomyślał o bajeczce Mischella na temat Audenge, Cap Ferret, Marsac, zmyślonego miasteczka w pobliżu Wyspy Ptaków. Gdy tymczasem tak naprawdę pochodził z Kraju Basków.

– Zidentyfikowaliście ten plankton?

– Musieliśmy zwrócić się z tym do specjalistów z IFREMER, Francuskiego Instytutu Badawczego Eksploatacji Morza. Plankton należy do grupy dinofitów i nosi nazwę *Mesodinium harum.* Zdaniem naukowców z instytutu, z którymi rozmawiano, ten typ planktonu występuje bardzo rzadko. Spotyka się go niemal wyłącznie w morskiej florze Wybrzeża Baskijskiego.

Mathias zanotował to i, kując żelazo, póki gorące, natychmiast zadał następne pytanie:

– Czy znaleźliście coś jeszcze?

Technik po chwili wahania odparł:

– Dla policji będzie interesujące to, że plankton znaleziono jeszcze gdzie indziej.

– To znaczy?

– Na miejscu zbrodni. W kanale naprawczym. Analizy wykazały identyczność próbek pobranych od pańskiego pacjenta z tymi znalezionymi właśnie tam.

Freire przetrawiał tę informację w milczeniu. Anaïs Chatelet miała rację – nieznajomy z amnezją widział zwłoki. A może nawet…

– Dziękuję panu – powiedział. – Na razie nie będę brał pod uwagę tego faktu podczas seansu hipnotycznego. Dochodzenie kryminalne to sprawa policji.

– Oczywiście – przyznał technik ze zrozumieniem. – Powodzenia.

Mathias odłożył słuchawkę. Nerwowo zapisywał istotne elementy z tej rozmowy. Plankton wskazywał na Wybrzeże Baskijskie. Być może także na zawód związany z morzem. Do tej pory był przekonany, że Mischell praco-

wał na świeżym powietrzu jako robotnik. Rybak? Podkreślił to słowo kilka razy.

Plankton wskazywał jednak również na bezpośredni związek Mischella i trupa. Freire niespodziewanie doznał wrażenia, że ten związek to sznur, który zaciśnie się na szyi jego pacjenta…

Jednocześnie jako lekarz był przekonany o jego niewinności. Może zaskoczył zabójcę? Może bił się z nim uzbrojony w ciężki klucz, trzymając w drugiej ręce książkę telefoniczną? W każdym razie krew mogła należeć do mordercy…

Doszedłszy do tego wniosku, wstał i jakby pod wpływem jeszcze innej myśli skierował się do kuchni. Nie zapalając światła, podszedł do okna i popatrzył w ciemności na ulicę.

Znajomych facetów w czerni nie było.

Zamek Lesage to wspaniała burżuazyjna posiadłość w Listrac-Medoc, jednej z sześciu miejscowości mających w nazwie słowo Medoc.

Anaïs czuła przenikający ją chłód. W pomieszczeniu z kadziami, wysokimi chromowanymi silosami, ustawionymi w rzędach niczym sarkofagi, panował przeciąg. Dobrze, że przychodząc tutaj, nie zdjęła skórzanej kurtki. Wśród członków klubu wyglądała w niej jak jakiś wyrzutek społeczeństwa, co dodatkowo poprawiało jej humor.

– Nasza winnica ma długą historię, ponieważ tutejsza odmiana winorośli istnieje od piętnastego wieku…

Grupa zwiedzających posuwała się powoli do przodu za odgrywającym rolę przewodnika właścicielem, a ich sylwetki odbijały się w srebrzystych ścianach kadzi. Anaïs w każdy niedzielny wieczór bywała w innej winnicy, należała bowiem do klubu degustatorów wina, którzy odwiedzali zamki w okolicach Bordeaux.

Zawsze zastanawiała się, dlaczego zapisała się do tego klubu i dlaczego uparcie brała udział w nudnych spotkaniach. Czy nie lepiej byłoby zrobić sobie jakieś jedzenie i usiąść przed telewizorem, żeby obejrzeć jeden z seriali, za którymi tak przepadała? Czy nie powinna spędzić tego wieczoru na studiowaniu symboliki mitu o Minotaurze? Albo szlaków przemytu heroiny do Europy?

Nie zrobiła tego jednak. O godzinie dwudziestej, jak w każdą niedzielę, ruszyła w drogę. Jeśli chodzi o śledztwo, koniec dnia nie przyniósł nic no-

wego. Jaffar przeczesał bez rezultatu środowisko bezdomnych. Le Coz pracował nad życiorysem Philippe'a Duruya, ale w niedzielę naprawdę nic nie da się zrobić. Conante uporał się z nagraniami wideo z dworca, nie znalazłszy tam najmniejszego śladu ofiary, a potem przystąpił do oglądania taśm z dzielnic odwiedzanych przez bezdomnych. Od Zaka nie miała żadnych wiadomości. Gdzieś się zagubił, idąc tropem hodowców byków.

Ona sama zadzwoniła jeszcze raz do fortu de Rosny. Tym razem trafiła na specjalistę od archiwów, mającego w pamięci wszystkie zbrodnie. Jednak o morderstwie z mitologicznym tłem nigdy nie słyszał. Nie znał żadnego tak makabrycznego przypadku. Ani we Francji, ani w Europie. Po rozmowie telefonicznej z chłopakami ze swojej grupy dała im wolne i wyznaczyła spotkanie na dzień następny, wcześnie rano w jej gabinecie.

Kiedy wychodziła z budynku policji, na progu złapał ją Deversat, główny komisarz. Powiedział, że nie powiadomią prasy ani telewizji o dochodzeniu. Prokuratura nie wyznaczy sędziego śledczego przed upływem sześciu dni. Miała wolną rękę, mogła prowadzić dochodzenie, jak chciała. Ale uwaga: wszyscy, którzy liczą się w życiu politycznym departamentu Żyrondy, wszyscy wpływowi ludzie, będą ją bacznie obserwować. Anaïs podziękowała mu za okazane zaufanie i odeszła z obojętnym wyrazem twarzy, choć w rzeczywistości czuła nerwowy skurcz w żołądku.

– W listopadzie przelewamy nasze wino do dębowych beczułek. Następnie poddajemy je fermentacji jabłkowo-mlekowej, podczas której kwas jabłkowy zmienia się w delikatniejszy kwas mlekowy. Dojrzewanie w beczkach trwa około dwunastu, trzynastu miesięcy…

Anaïs znowu zadrżała z zimna. W tym momencie pomyślała o swoich poznaczonych bliznami rękach. Stale odnosiła wrażenie, jakby były nagie, odsłonięte, trzęsące się. Żadne ubranie nie było w stanie zmniejszyć tego uczucia chłodu. Brało się ono bowiem z jej wnętrza.

– Staramy się produkować wina pozbawione aromatu beczek. Zależy nam na zachowaniu równowagi między owocami, kwasem i alkoholem, by uzyskać pełne, smaczne wina, których główną cechą jest świeżość…

Anaïs przestała cokolwiek słyszeć, myśląc o swoim ciele, o swoim cierpieniu. Mimo woli objęła rękami ramiona, lękając się najgorszego: że nie wytrzyma. Nogi jej drżały. Ciało wibrowało. Jednocześnie czuła się jak sparaliżowana. Gdy miewała takie ataki lęku, zdarzało się, że padała na ziemię lub na jakąś ławkę i przez wiele godzin nie była w stanie się ruszyć. Ogar-

niał ją całkowity bezwład. Znajdowała się w kleszczach strachu, który działał na nią jak lodowata kąpiel.

– Dziś czeka nas degustacja wina z rocznika dwa tysiące pięć, który był bardzo dobrym rokiem w Medoc. Zyskamy tylko bardzo ogólne pojęcie o tym, jak wino to będzie smakowało za kilka lat. Krótko mówiąc, dzisiejsza degustacja jest przedwczesna. Pobraliśmy próbkę z jednej beczki i…

Grupa zwiedzających zeszła do zamkowych piwnic. Anaïs zawahała się, ale postanowiła pójść za innymi. Z trudem udało się jej pokonać stopnie schodów. Zapach wilgoci. Efekt fermentacji. Anaïs lubiła wino, zawsze jednak zaczynała wówczas myśleć o ojcu. W tej dziedzinie to on nauczył ją wszystkiego. Jak się wino kosztuje, degustuje, kolekcjonuje. Kiedy opadła zasłona, nie chciała mieć do czynienia z niczym, co wiązało się z jej mistrzem. Jednak nie mogła na to pozwolić. Wszystko jej odebrał, lecz tego jej nie odbierze.

– Powtarzam, że jest trochę za wcześnie na degustację… Nagle Anaïs odwróciła się i opuściła grupę. Potykając się, wbiegła po schodach na górę. Rozcierając ramiona, ruszyła przez salę z kadziami. Wyjść na zewnątrz. Odetchnąć świeżym powietrzem. Krzyczeć. W wypukłych ścianach kadzi odbijała się jej zniekształcona sylwetka. Czuła powracające wspomnienia. Były jak wysoka fala, która zaraz rozbije się w jej głowie. Tak się działo za każdym razem.

Musi dotrzeć na dziedziniec, poczuć noc, niebo.

Dziedziniec zamku był pusty. Zwalniając kroku, minęła zabudowania z piwnicami i poszła w kierunku winnic. Ziemia i niebo przybrały księżycowe barwy. Ciasno rosnące krzewy winorośli miały wygląd alejek przysypanych popiołem.

WINO…

OJCIEC…

Z jej ust wydobywała się para, która mieszała się ze srebrzystą mgiełką unoszącą się nad ziemią. Zbocza wzgórz opadały tutaj w kierunku dolnego biegu Żyrondy. Anaïs poszła w dół. Czuła, jak spod jej stóp osuwają się kamienie. Gałęzie i podpórki ocierały się o dżinsy, jakby chciały ją powstrzymać.

WINO…

OJCIEC…

Weszła głębiej między krzewy winorośli i w końcu poddała się wspomnieniom. Aż do końca szkolnych lat w jej życiu był tylko jeden mężczyzna. Ojciec. Co było normalne w przypadku dziewczynki, która straciła matkę w wieku ośmiu lat. Jednak mniej normalne było to, że dla ojca istniała tylko jedna kobieta – jego córka. Tworzyli razem doskonałą parę, którą łączył związek platoniczny.

Wzorowy ojciec. To on sprawdzał, czy odrobiła lekcje. To on przyjeżdżał po nią do ośrodka jazdy konnej. To on zabierał ją na plażę w Soulac-sur-Mer. Opowiadał o jej matce Chilijce, gasnącej w klinice niczym zwiędły kwiat w cieplarni. Zawsze był przy córce. Zawsze doskonały…

Czasami Anaïs odczuwała jakieś trudne do wyjaśnienia zmieszanie. Niespodziewane napady lęku. Ogarniała ją fala strachu, gdy znajdowała się przy ojcu. Jakby jej ciało wiedziało, przeczuwało coś, co wymykało się świadomości. Co takiego?

Odpowiedź uzyskała dwudziestego drugiego maja 2002 roku.

Na pierwszej stronie „Sud Ouest”.

Artykuł nosił tytuł: *Oprawca w naszych winnicach*. Ciekawa rzecz, że napisał go dziennikarz z telewizji. Autor obejrzał emitowany na kanale Arte film dokumentalny o roli francuskich wojskowych w umacnianiu dyktatur Ameryki Południowej w latach siedemdziesiątych. Znalazło się tam wielu działaczy ekstremalnej prawicy, dawnych członków OAS, byłych agentów wywiadu z SAC. W represje zaangażowani byli również inni Francuzi. W Chile pewien znany enolog odegrał znaczącą rolę w tworzeniu szwadronów śmierci. Człowiek ten nigdy się nie ukrywał. Jean-Claude Chatelet, rodem z Akwitanii. Ekspert od wina w dzień. Specjalista od mokrej roboty w nocy.

Od dnia ukazania się tego artykułu telefon w ich domu nie przestawał dzwonić. Wiadomość rozeszła się niczym ogień z kałuży benzyny. Na uczelni słyszała za sobą szepty. Na ulicach odprowadzano ją wzrokiem. Film emitowany na kanale Arte ujawnił brutalną prawdę. Pokazał jej ojca młodszego, ale nie tak pięknego, jakiego ona znała. „Osoba kluczowa w stosowaniu tortur w Santiago”. Świadkowie pamiętali smukłą sylwetkę, siwiejące już wówczas włosy, jasne oczy i charakterystyczne utykanie. Jean-Claude Chatelet okulał w dzieciństwie na skutek upadku z konia.

Torturowani wspominali jego łagodny głos i przerażające praktyki, jakich się dopuszczał. Rażenie prądem elektrycznym, okaleczenia, wyłupywanie

oczu, zastrzyki z kamfory… Kulawy *(El Cojo)* – tak go nazywano – znany był przede wszystkim z jednej rzeczy: eliminował niewygodnych więźniów, wpychając im do gardła żywego węża. Stąd kolejny przydomek: Kulawy Wąż. Inni świadkowie, wojskowi, opowiadali, jak Chatelet, młody zwolennik generała Aussaressesa, wysłany do Argentyny zasłużył się bardzo przy formowaniu szwadronów śmierci.

Anaïs obejrzała ten film u przyjaciółki. Oszołomiona, straciła tego wieczoru głos. W następnych dniach pojawiały się liczne artykuły w prasie lokalnej. Wystawiony na ataki ojciec milczał i tylko się modlił. Zawsze był praktykującym katolikiem. Anaïs, w stanie szoku, spakowała walizki. Miała dwadzieścia jeden lat i dysponowała pewnym kapitałem odziedziczonym po matce – na jej konto osobiste wpłacano regularnie pieniądze uzyskane ze sprzedaży gruntów w Chile.

Wprowadziła się do dwupokojowego mieszkania na ulicy Fondaudege, handlowej arterii w centrum miasta, i nigdy więcej nie widziała się z ojcem. Nie mogła przestać myśleć o tym, co mówili świadkowie o Kulawym. O jego słowach, jego gestach, jego rękach.

O rękach, które podłączały prąd elektryczny. Rękach, które wciskały węże w gardła. Które ćwiartowały i kaleczyły ciała. Były to te same ręce, które kąpały ją, gdy była małym dzieckiem. Które ściskały jej dłoń, gdy odprowadzał ją do szkoły. Które chroniły ją przed wszystkimi i przed wszystkim.

W głębi duszy zawsze to jakoś przeczuwała. Jakby matka, zamknięta w swoim szaleństwie, podszepnęła jej w duszy swój sekret: że poślubiła diabła. Anaïs była córką diabła. Jej krew była przeklęta.

Pomału odzyskała głos, wróciła do normalnego życia. Studia na wydziale prawa. Dyplom. Państwowa Wyższa Szkoła Oficerów Policji. Po jej ukończeniu Anaïs poprosiła o urlop i wyjechała do Chile. Mówiła biegle po hiszpańsku, co także miała we krwi. Nie musiała się wiele trudzić, żeby odnaleźć ślady ojca. Wąż był znaną osobistością w Santiago. Swoje dochodzenie zamknęła w ciągu miesiąca. Zebrała informacje o miejscach, świadkach, zdobyła zdjęcia. Byłoby na czym oprzeć żądanie ekstradycji jej ojca z Francji do Chile. Albo przynajmniej wzbogacić zeznania uchodźców chilijskich we Francji.

Ona jednak nie skontaktowała się ani z sędziami, ani z adwokatami, ani ze skarżącymi. Wróciła do Bordeaux. Otworzyła skrytkę w banku i zdepo-

nowała tam całe zebrane przez siebie dossier. Zamykając metalową skrzynkę, pomyślała, ile było ironii w tej sytuacji: to pierwsze kryminalne śledztwo było dla niej jak chrzest bojowy w zawodzie policjanta. Jednak wszystko straciła. Dzieciństwo. Pochodzenie. Tożsamość. Odtąd jej przyszłość była białą kartą do zapisania.

Anaïs odzyskała świadomość wśród sadzonek winorośli. Kryzys minął. Jak zawsze doszła do tego samego wniosku. Powinna znaleźć sobie mężczyznę, w którego ramionach wspomnienia, traumy i lęki przestałyby mieć znaczenie. Otarła łzy, otrzepała kolana, ruszyła z powrotem zboczem. Mężczyzna jej życia. Nie myślała o kierowniku z PTS, czarującym Arabie, ani o mięczakach, którzy czekali na nią w internecie.

Pomyślała o psychiatrze.

Intelektualista, pasjonat, w swojej wykładanej drewnem bibliotece.

Chętnie oddałaby się marzeniom, ale na wspomnienie o nim wróciła myślami do morderstwa. Rzuciła okiem na komórkę. Żadnych wiadomości. Musi przespać się kilka godzin. Rankiem zajmie się od nowa śledztwem. Dla niej zaczęło się odliczanie wsteczne.

Odnalazła swój samochód. Nie czuła już zimna. Tylko oczy piekły ją od długiego płaczu. I miała smak wody morskiej w gardle.

Otwierała drzwi, kiedy odezwała się jej komórka.

– Słucham.

– Mówi Zak.

– Gdzie się podziewałeś?

– Pojechałem na południe. Znalazłem twojego byka.

– Jest pani pewna?

– Nie mam żadnych wątpliwości. To Patrick. Patrick Bonfils.

Pielęgniarka stała przed jego biurkiem z rękami na biodrach.

Myriam Ferrari. Trzydzieści pięć lat, metr siedemdziesiąt wzrostu i osiemdziesiąt kilogramów żywej wagi. Freire dobrze ją znał. Pomimo wyglądu życzliwej niani była tak samo silna jak jej koledzy mężczyźni. Miała jeszcze na sobie płaszcz i torbę przewieszoną przez ramię. W ten poniedziałek, z samego rana, poprosiła o rozmowę z Mathiasem Freire'em.

Dopiero co zobaczyła na korytarzu kowboja z amnezją i z miejsca go rozpoznała.

Freire nie mógł uwierzyć w taki zbieg okoliczności.

– Jestem Baskijką, panie doktorze. Moja rodzina mieszka w Guethary, w miasteczku na wybrzeżu, niedaleko Biarritz. Jeżdżę tam na wszystkie weekendy. Szwagier prowadzi sklep spożywczy blisko…

– No i?

– Kiedy przyjechałam tutaj dziś rano, natychmiast go poznałam. To Patrick. Patrick Bonfils. Rybak, którego u nas wszyscy znają. Jego łódź cumuje w porcie.

– Odezwała się pani do niego?

– Oczywiście. Powiedziałam: „Cześć, Patrick, co ty tutaj robisz?".

– Co odpowiedział?

– Nic. W pewnym sensie to była odpowiedź.

Freire przyglądał się przedmiotom leżącym na jego biurku. Kołonotatnik. Pióro. *Vidal* – francuski leksykon leków. DSM-IV – opracowany przez Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne *Podręcznik diagnostyczny i statystyczny zaburzeń psychicznych*. Dzieła te uzmysławiały mu znikomość własnej wiedzy, jego bezsilność.

Gdyby nie ten czysty przypadek, czy udałoby mu się kiedykolwiek ustalić tożsamość tego człowieka?

– Proszę mi powiedzieć o nim coś więcej – zachęcił pielęgniarkę.

– Nie wiem, co mam mówić.

– Czy ma żonę, dzieci?

– Ma żonę. To znaczy partnerkę. Nie są małżeństwem.

– Czy zna pani jej imię?

– Sylvie lub Sophie. Więcej nie wiem. Pracuje w kawiarni niedaleko portu. W szczycie sezonu. Teraz pomaga Patrickowi przy reperowaniu sieci i w innych tego rodzaju czynnościach.

Freire notował. Pomyślał o planktonie pod paznokciami kowboja. Guethary należało do strefy, gdzie występowały algi. Patrick Bonfils. Podkreślił to nazwisko.

– Od jak dawna mieszkają w Guethary?

– Nie wiem. Znam ich od zawsze. Zresztą my mieszkamy w Guethary dopiero od czterech lat.

Powinien go teraz łagodnie sprowadzić z powrotem do jego własnej osobowości. A następnie sprawić, by skoncentrował się na traumie. Na tym, co zobaczył na dworcu.

– Bardzo pani dziękuję, Myriam – odezwał się, wstając. – Fakty, które pani przekazała, będą bardzo użyteczne dla wyleczenia… Patricka.

– Jeśli wolno mi powiedzieć, niech pan uważa… On wygląda, jakby doznał… wstrząsu.

– Proszę się nie martwić. Będziemy pracować etapami.

Pielęgniarka wyszła.

Mathias, w dalszym ciągu stojąc, przeczytał jeszcze raz swoje notatki i pomyślał, że nie ma czasu do stracenia. Zamknął drzwi na klucz i podniósł słuchawkę telefonu. Wystarczyło zadzwonić do biura informacji i otrzymał numer telefonu Patricka Bonfilsa w Guethary.

Po trzech sygnałach odezwał się kobiecy głos.

Freire bez żadnych wstępów zapytał:

– Czy to Sylvie Bonfils?

– Nie nazywam się Bonfils. Jestem Sylvie Robin.

– Ale jest pani partnerką Patricka Bonfilsa?

– Kim pan jest? – W jej głosie słychać było nadzieję i zarazem niepokój.

– Doktor Mathias Freire, psychiatra ze Specjalistycznego Centrum Leczniczego Pierre-Janet w Bordeaux. Trzy dni temu przyjąłem na mój oddział Patricka Bonfilsa.

– Boże… – Słowa uwięzły jej w gardle.

Mathias usłyszał, że kobieta cicho płacze.

– Proszę pani…

– Tak się martwiłam – zaszlochała. – Nie miałam żadnej wiadomości od niego.

– Kiedy zniknął?

– Sześć dni temu.

– Nie zaczęła go pani szukać?

Milczenie.

Freire postanowił zacząć od początku.

– Jest pani partnerką Patricka Bonfilsa, rybaka z Guethary?

– Tak.

– W jakich okolicznościach zaginął?

– W ubiegłą środę. Wybrał się do banku. – Zaśmiała się krótko przez łzy. – Guethary to małe miasteczko. Pojechał naszym samochodem do Biarritz.

– Jakiej marki?

– Renault, stary model.

– Kiedy zaczęła się pani niepokoić?

– Ależ… od razu. Przede wszystkim chciałam się dowiedzieć, jak poszło w banku. Mamy kłopoty. Bardzo poważne kłopoty…

– Długi?

– Kredyt. Na łódź. Jesteśmy… Widzi pan, coraz trudniej jest wyżyć z rybołówstwa. Nękają nas podatkami. Ciągle zmieniają się zasady. A najgorsi są Hiszpanie, którzy odławiają nam wszystkie ryby. Nie ogląda pan wiadomości?

Mathias notował nerwowo.

– Co się wydarzyło?

– Nic. Nie wrócił tego dnia. Zadzwoniłam do banku. Nie widziano go tam. Poszłam do portu. Do knajp, gdzie Patrick zazwyczaj chodzi.

– Patrick pije?

Sylvie nie odpowiedziała. Forma potwierdzenia. Freire wciąż zapisywał. Patrick Bonfils to typowy przypadek. Pod presją kłopotów pieniężnych pozbył się swojej tożsamości, jakby zrzucał zbyt ciężki płaszcz. Potem wsiadł do pociągu jadącego w kierunku Bordeaux. Wobec tego jaką rolę odegrała trauma przeżyta na dworcu? Czy w ogóle doszło do czegoś takiego? Skąd się wzięły w jego rękach książka telefoniczna i klucz?

– Co było potem?

– Wieczorem poszłam na posterunek żandarmerii. Odnotowali jego zaginięcie.

Żandarmi nie spieszyli się z odnalezieniem rybaka alkoholika. W każdym razie powiadomienie o zaginięciu nie dotarło do Żyrondy.

– Czy zniknął w ten sposób pierwszy raz?

– No… Patrick stale się spóźniał. Zawsze był myślami gdzie indziej. Ale nigdy nie zrobił czegoś takiego.

– Od jak dawna mieszkacie razem?

– Od trzech lat.

Po krótkiej ciszy Sylvie zapytała nieśmiało:

– Jak on się czuje?

– Dobrze. Ma tylko problemy z pamięcią. Sądzę, że pod wpływem waszych problemów jego umysł doznał… urazu. Patrick nagle popadł w amnezję. Podświadomie usunął przeszłość, by łatwiej zacząć żyć od nowa.

– Żyć od nowa?

Sylvie wydawała się przestraszona. Freire zachował się z subtelnością słonia w składzie porcelany.

– Nie chciał uciekać od pani – starał się złagodzić swoje poprzednie słowa. – Długi, kłopoty związane z pracą zmusiły go do ucieczki przed nim samym…

Po drugiej stronie linii telefonicznej zapadła cisza. Mathias nie próbował nic więcej wyjaśniać. Ostatecznie to, co powiedział, może nawet było prawdą. Istniała jeszcze inna możliwość. Patrick wybrał się do banku. Wypił po drodze. Wsiadł do pociągu do Bordeaux…

Potem coś zobaczył. Wstrząs doprowadził do utraty pamięci. Z pustką w głowie schronił się w warsztacie kolejowym.

– Czy mogę przyjechać do niego?

– Oczywiście. Zadzwonię do pani jeszcze dzisiaj przed południem.

Freire pożegnał się z kobietą. Była dziewiąta trzydzieści. Teczki nowo przyjętych pacjentów, które przeglądał codziennie o tej porze, muszą poczekać. Wyszedł z gabinetu i poinformował sekretarkę, że idzie do sali terapii przez sztukę. Był pewien, że zastanie tam mężczyznę w stetsonie.

Mathias posłużył się kilka razy swoimi kluczami, przechodząc przez oddział. Spiesząc się, pozdrowił po drodze kilka napotkanych osób. Tak jak przewidywał, Bonfils był w sali terapeutycznej. Tego dnia wybrał warsztaty rzeźbiarskie. Pracował nad jakąś maską z gliny.

– Cześć.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech, przy którym odsłoniły się szerokie dziąsła.

– Jak się dzisiaj czujesz?

– Bardzo dobrze.

Freire usiadł obok i spokojnie zapytał:

– Czy zastanawiałeś się nad tym, co mi wczoraj opowiedziałeś?

– Masz na myśli… moje wspomnienia? Nie jestem już taki pewien. Jakaś kobieta odezwała się do mnie dziś rano. Nazwała mnie Patrickiem, ja…

Przerwał, nie odrywając oczu od swojej rzeźby. Wyglądał jak uciekinier, który znowu trafił do celi. Bezustannie przełykał ślinę. Głos mu drżał.

– Rozmawiałem dziś z Sylvie. – Mathias zdecydował się mówić wprost.

– Sylvie?

Olbrzym wbił w niego wzrok. Źrenice rozszerzyły mu się, jak u polującego nocą zwierzęcia. Przebił się przez mrok swego umysłu i widział teraz jasno. Freire planował kolejny seans, podczas którego doprowadziłby pacjenta do bezpiecznego portu. W tym momencie jednak pojął, że mechanizm pamięci włączył się sam – Patrick Bonfils stawał się znowu sobą.

– Zamierzam odwieźć cię do domu, Patricku.

– Kiedy?

– Dziś po południu.

Kowboj pokiwał wolno głową. Patrzył na swoje niedokończone dzieło. Klamka zapadła. Nie ma już mowy o ucieczce. Jako psychiatra Freire wiązał duże nadzieje z powrotem Bonfilsa do Guethary. Rybak wspierany przez swoją towarzyszkę szybko dojdzie do siebie w znajomym otoczeniu.

Niepokojące było coś innego. Kiedy taki pacjent odzyskuje pamięć, często zapomina o wymyślonej przez siebie osobowości. Freire obawiał się, że

Patrick usunie jednocześnie wspomnienie tego, co widział na dworcu. Nie można już było jednak mówić przy nim o Pascalu Mischellu.

Mathias wstał i w przyjaznym geście oparł rękę na ramieniu pacjenta.

– Odpocznij. Przyjdę po ciebie po lunchu.

Mężczyzna w stetsonie skinął potakująco. Trudno było orzec, czy cieszył się z tej perspektywy, czy może go przerażała. Freire wrócił pospiesznie do swojego gabinetu. Drzwi. Klucze. Stoły i łóżka przymocowane do podłogi. Stale to samo uczucie, że jest się dozorcą dusz.

Poprosił sekretarkę, by kupiła mu poniedziałkowe gazety. Następnie zadzwonił do Sylvie i powiadomił ją o powrocie Patricka. Kobieta była najwyraźniej tym zaskoczona.

– Pani pomoc to dla Patricka najkrótsza droga do wyzdrowienia – dodał autorytatywnym tonem.

Umówił się z nią na spotkanie około godziny piętnastej w porcie Guethary, po czym odłożył słuchawkę. Posuwał się po omacku. Nigdy dotąd nie znalazł się w takiej sytuacji. Przez krótką chwilę miał ochotę zadzwonić do kapitan Chatelet, by przekazać jej nowinę. Zaraz jednak przypomniał sobie, że rozstali się niezbyt przyjaźnie. W dodatku okłamał technika z laboratorium kryminalistycznego. Czy coś takiego podlega karze?

Był jeszcze jeden problem. Anaïs otrzyma rezultaty analiz, które on poznał wcześniej, jeszcze w nocy. Obecność planktonu na rękach Patricka i w kanale naprawczym potwierdzi jej podejrzenia w stosunku do niego. Czy go aresztuje? Trzeba jak najprędzej odwieźć kowboja do domu. W najgorszym wypadku Anaïs pojedzie po niego do Guethary. A tymczasem Patrick dzień lub dwa pobędzie w domu, co pomoże mu oswoić się z tym, kim jest naprawdę.

Do drzwi gabinetu zapukała sekretarka, która przyniosła regionalne gazety: „Sud Ouest”, „La Nouvelle Republique des Pyrenees”, „La dépêche”, „Le journal du Medoc”… Mathias rzucił okiem na pierwsze strony. Nagłówki mówiły o silnej mgle, która w miniony weekend wisiała nad departamentem Żyrondy. Lista wypadków związanych z tym zjawiskiem zajmowała pół strony każdej gazety.

Drobniejszym drukiem pisano o „znalezieniu na dworcu Saint-Jean zmarłego z zimna bezdomnego”. Freire pomyślał z uznaniem o policji. Nie wiedział, jak policjanci zaaranżowali to wszystko, ale udało im się ukryć okrutne morderstwo. Oczywiście ułatwi to dochodzenie.

Bonfils został wspomniany na dalszych stronach, poświęconych Bordeaux i lokalnym aktualnościom. Pisano o człowieku cierpiącym na amnezję, którego znaleziono na dworcu w nocy z dwunastego na trzynastego lutego i natychmiast przewieziono do Pierre-Janet.

Freire złożył gazety. Oby nie było telefonów od dziennikarzy pytających o jego nowego pacjenta. Spojrzał na zegarek. Była dziesiąta. Sięgnął po dokumenty dotyczące chorych przyjętych w poniedziałek. Miał całe przedpołudnie na załatwienie wszystkiego, co się z nimi wiązało, na codzienny obchód swojego oddziału i na konsultacje. Dopiero potem pojedzie na Wybrzeże Baskijskie. Towarzyszyć mu będzie Patrick Bonfils ze swoimi skomplikowanymi tajemnicami.

Całą noc śniły jej się rzeźnie.

Ponure, wielkie hale z żelaznymi konstrukcjami dachów. Pod nimi przesuwały się na hakach tusze zwierzęce. Topory spadały na karki wołów. Czarne strumienie krwi spływały do rynien. Oczyszczone łby leżały na stercie. Zdarte skóry powiewały niczym peleryny. Mężczyźni w czapkach pracowali zapamiętale. Pogrążeni w cieniu kroili, ćwiartowali, upuszczali krew. Przez całą noc oglądała ich w tym śnie.

Obudziła się zdumiona, że nie jest wymazana krwią.

Wzięła prysznic. Przygotowała kawę. Usiadła przy biurku i przeczytała ponownie notatki z nocy.

Pozbawiony głowy korpus byka został znaleziony rankiem trzynastego lutego na jednym z pastwisk *ganaderii* w Gelde, hodowli byków przeznaczonych do walk na arenie, w pobliżu Villeneuve-de-Marsan. Powiadomił ją o tym Zakraoui. Podziękowała mu i kazała iść spać. Zamierzała osobiście porozmawiać z właścicielem hodowli. Zak był trochę rozczarowany, ale nie nalegał, bo jak pozostali nie spał od dwudziestu czterech godzin.

Anaïs wróciła do domu i zadzwoniła do hodowcy, by go uprzedzić, że przyjedzie nazajutrz bardzo wcześnie rano. Następnie sprawdziła w internecie najgłośniejsze przypadki znęcania się nad zwierzętami w ostatnich latach. Ofiarami były najczęściej konie, a najwięcej takich przestępstw popełniono w Niemczech, w latach dziewięćdziesiątych. Odcięte uszy, organy płciowe, zabijanie nożem. Z artykułów w internecie wynikało, że areszto-

wano wielu podejrzanych, nadal jednak zdarzały się akty agresji wobec zwierząt. Podobne przypadki w tym samym dziesięcioleciu zanotowano w Wielkiej Brytanii i w Kraju Basków. Anaïs dokładnie je prześledziła. Żaden nie mógł jej pomóc w dochodzeniu.

Inna wielka afera dotyczyła nielegalnych zabiegów chirurgicznych. W latach osiemdziesiątych na polach amerykańskich znajdowano woły okaleczone lub obdarte ze skóry za pomocą jakiejś tajemniczej techniki. Kiedy Anaïs zorientowała się, że głównymi podejrzanymi były istoty pozaziemskie lub sami farmerzy, zostawiła ten trop.

O północy jeszcze nie spała. Zagłębiła się w artykuły o hodowli *toros bravos*. Co jedzą. Jak wygląda ich życie codzienne. Selekcja. Ostatnie godziny na arenie. Wszystko, czego się dowiedziała, potwierdziło to, co już wiedziała wcześniej: corrida to straszna rzecz. Zwierzęta izolowane, piętnowane żelazem, tuczone wysyłano na pewną śmierć na arenie w wieku czterech lat, chociaż mogłyby pożyć jeszcze co najmniej szesnaście.

O drugiej w nocy obudził ją telefon – zasnęła nad klawiaturą komputera. Dzwonił niejaki Hanosch, weterynarz, z którym skontaktował się Longo. Głowę byka dostarczono mu o dwudziestej. Natychmiast zabrał się do roboty. Hanosch był ekspertem sądowym w sprawach zatruć i zakażeń bydła. Mówił szybko, z irytującą nerwowością. Jednak Anaïs pojęła, że ten nadpobudliwy człowiek może jej zaoszczędzić wiele cennego czasu.

Zanim przystąpił do badania głowy, pobrał próbkę krwi i wysłał ją do laboratorium toksykologicznego Inspektoratu Kontroli Mięsa. Miał już wyniki analizy: we krwi zwierzęcia znajdowała się silna substancja znieczulająca, ketamina, stosowana do usypiania zwierząt. Istniało wiele preparatów zawierających tę substancję, ale weterynarz sądził, że był to imalgen, najczęściej używany do tego celu. Tak więc zabójca oszołomił zwierzę lekiem, zanim odciął mu głowę. Anaïs nie była zaskoczona – byki hodowane do walk na arenie nie dawały się do siebie łatwo zbliżyć.

Zdaniem weterynarza zabójca albo zatruł jedzenie *toro bravo*, albo, co było bardziej prawdopodobne, posłużył się strzelbą do usypiania zwierząt, wykorzystywaną zazwyczaj przez weterynarzy, strażaków, pracowników ogrodów zoologicznych… Z drugiej strony imalgen wydawano tylko na podstawie recepty i był dostępny jedynie w klinikach weterynaryjnych. Cholernie trudny trop. Należałoby sprawdzić, gdzie kupowano i przepisywano ten środek w Akwitanii w ostatnich tygodniach. Jak również spraw-

dzić, czy nie włamano się do klinik weterynaryjnych i laboratoriów produkujących tego typu leki.

Jeśli chodzi o technikę dekapitacji, to świadczyła ona, zdaniem Hanoscha, że mają do czynienia z prawdziwym profesjonalistą. Postępował jak człowiek doskonale się na tym znający, jak chirurg czy rzeźnik. Najpierw przeciął skórę i tkanki miękkie, po czym, wsunąwszy ostrze w staw szczytowo-potyliczny, przeciął rdzeń kręgowy oraz wiązadła pod drugim kręgiem szyjnym. Przy takiej biegłości, zdaniem weterynarza, można było bez trudu odciąć głowę zwykłym skalpelem. Zabójca z nieznanych przyczyn odciął również język. Anaïs cały czas notowała. Pomyślała, że morderca zrobił to dla uzyskania lepszego efektu – nie życzył sobie, żeby język jego Minotaura zwisał jak u spragnionego wody wołu.

Stopniowo pewne rzeczy stawały się dla niej pewne. Zabójcą nie mógł być kloszard ani pospolity dealer. A tym bardziej dotknięty amnezją mężczyzna z dworca Saint-Jean. Mordercą był człowiek szalony, zimny, racjonalnie myślący. Człowiek o stalowych nerwach, który przygotował się starannie do tej rytualnej ofiary. Nie był to ani rzeźnik, ani hodowca bydła, ani weterynarz. Tego Anaïs była pewna. Po prostu wykorzystał posiadane umiejętności, żeby zrealizować zaplanowaną inscenizację.

Zadrżała na myśl, że ma stawić czoło takiemu przeciwnikowi. Ze strachu czy z podniecenia, tego nie wiedziała. Pewnie i jedno, i drugie. Nie zapominała także, że w większości przypadków zabójcy psychopaci zostali w końcu zatrzymani, ponieważ popełnili gdzieś błąd albo policji pomógł jakiś szczęśliwy traf. Ona jednak nie powinna liczyć na to, że ten morderca popełni błąd. Co do szczęścia…

Dziękując weterynarzowi, powiedziała, że czeka na jego raport na piśmie. Położyła się spać, by przez kilka godzin kąpać się we krwi zwierząt. Poczekała do ósmej rano i wyruszyła w drogę.

Jechała teraz w kierunku Mont-de-Marsan.

Gdy tylko ruszyła, zaczęło padać. Dzień wstawał z trudem. Droga prowadziła przez lasy jodłowe, dębowe, pastwiska, plantacje winorośli. Nie mogło to poprawić jej nastroju. W dodatku obudziła się ze strasznym samopoczuciem. Ucisk w skroniach, ból w zatokach, zatkany nos. Nic dziwnego, jeśli w nocy chodzi się po winnicach, z twarzą zalaną łzami…

Ominęła autostrady A62 i E05 i wjechała na drogę D651, która prowadziła na południe. Dawało jej to czas na zastanowienie się. Wycieraczki

pracowały w rytmie marsza żałobnego. W ulewie droga nie rysowała się zbyt wyraźnie. Kilka razy Anaïs pomyślała, że zabójca odbył tę trasę w odwrotnym kierunku, ze swoim trofeum na siedzeniu obok. Głowa w worku…

Objechała Mont-de-Marsan, po czym skierowała się do Villeneuve-de-Marsan. Odnalazła aptekę. Zrobiła zakupy. Dolipran. Humex. Fervex… W sąsiadującej z apteką piekarni kupiła coca-colę zero do popicia pastylek. Na koniec wypłukała gardło specjalnym płynem i użyła aerozolu do nosa.

Ruszyła ponownie. Przy wyjeździe z miasta po prawej stronie zobaczyła tablicę GANADERIA GEDA. Skręciła w błotnistą gruntową drogę. Żadnego byka w zasięgu wzroku. Anaïs nie była zdziwiona. Pierwsza zasada w hodowli byków to nie dopuszczać do jakiegokolwiek kontaktu zwierząt z człowiekiem przed walką na arenie. Żeby były bardziej dzikie, bardziej agresywne, a przede wszystkim bardziej bezbronne wobec matadora.

Powinna była powiadomić żandarmerię o swojej wizycie. Z jednej strony, żeby zapobiec jakimś zadrażnieniom, a z drugiej, żeby zapoznać się z dokumentacją. Wolała jednak prowadzić śledztwo samodzielnie, w całkowitej dyskrecji. Na dyplomację przyjdzie czas później.

Wjechała w aleję obsadzoną drzewami, których nagie gałęzie rysowały się na tle nieba. Na końcu alei ukazał się dom o ścianach z pruskiego muru. Anaïs przejechała jeszcze kilka metrów i stanęła. Doskonały przykład fermy z regionu Landów. Wielki dziedziniec okolony wysokimi dębami, czarne belki i biały tynk ścian domu właściciela, inne budynki z murami zdobionymi stiukiem…

Ogólne wrażenie dostojeństwa, a zarazem smutku i nietrwałości. Dziesiątki, jeśli nie setki lat przeżytych w całkowitej obojętności wobec postępu i nowoczesnego komfortu. Anaïs wyobraziła sobie wnętrze domu bez centralnego ogrzewania i bieżącej wody. Zaczerniając ten obraz, odczuwała przyjemność i jednocześnie pewną gorycz.

Wysiadła z samochodu i skierowała się do głównego budynku, nasuwając na głowę kaptur i omijając kałuże. Dało się słyszeć szczekanie niewidocznego psa. W powietrzu unosił się smród gnojówki. Zapukała do drzwi. Cisza.

Anaïs jeszcze raz rozejrzała się po gospodarstwie. Między dwoma budynkami dostrzegła *arène de tienta*. Dokonywano tu selekcji nie tylko byków, które nigdy przed wielkim dniem nie brały udziału w walce, lecz także

ich matek. Kłuto je ostrymi grotami piki. Krowy, które reagowały najbardziej nerwowo, były przeznaczane do rozpłodu, jako że miały w sobie gen agresji.

– Czy pani jest tą policjantką, która dzwoniła wczoraj wieczorem?

Anaïs odwróciła się i zobaczyła szczupłego mężczyznę w niebieskoszarej wiatrówce.

Prawdziwie waga piórkowa – pięćdziesiąt kilogramów przy stu siedemdziesięciu centymetrach wzrostu. Wydawało się, że może ulecieć do góry przy najmniejszym podmuchu wiatru. Pokazała swoją legitymację policyjną.

– Kapitan Anaïs Chatelet z komendy głównej w Bordeaux.

– Bernard Rampal – odrzekł, ściskając jej rękę bez entuzjazmu. – Hodowca i *conocedor.*

– Znawca?

– Genealogii zwierząt. Chronologii walk. Hodowla byków to przede wszystkim sprawa pamięci. – Wskazał palcem na swoją skroń. – Wszystko jest tutaj.

Deszcz spadał na jego siwe włosy, lecz spływał po nich jak po piórach łabędzia. Jego wygląd był naprawdę zadziwiający. Ramiona jak u dżokeja. Twarz małego chłopca, ale szara i poorana zmarszczkami. Bardzo wysoki głos. Trudno było wyobrazić go sobie w roli hodowcy zwierząt ważących z pół tony. Wartość tego człowieka musiała się objawiać w czymś innym. W jego dogłębnej znajomości tematu. W niepodlegających dyskusji decyzjach, braku wahań natury moralnej czy sentymentalnej.

– Czy będziecie szukać drania, który zabił mojego byka?

– Przede wszystkim zabił człowieka.

– Ludzie zabijają się między sobą od dawna. Ten łotr skrzywdził bezbronne zwierzę. To coś nowego.

– Przecież wy robicie to cały rok, czyż nie?

Hodowca zmarszczył brwi.

– Czy pani jest jedną z tych wariatek występujących przeciw corridzie?

– Chodzę na walki byków od dziecka.

Anaïs nie dodała, że za każdym razem to odchorowywała. Twarz hodowcy nieco złagodniała.

– Do kogo należy ta *ganaderia?*

– Do pewnego biznesmena z Bordeaux. Miłośnika corridy.

– Czy powiadomił go pan o tym zdarzeniu?

– Oczywiście.

– Jak zareagował?

– Jak my wszyscy. Był wstrząśnięty.

Anaïs zanotowała nazwisko i numer telefonu właściciela. Trzeba go będzie przesłuchać, tak jak wszystkich pracowników *ganaderii*. Nie można wykluczyć, że winnym jest któryś z nich. Ale żandarmi już to zapewne zrobili.

– Proszę pójść za mną – powiedział mężczyzna. – To, co zostało z byka, jest w stodole. Ze względu na ubezpieczenie.

Anaïs zastanawiała się, za co ten hodowca będzie żądał odszkodowania. Za zniszczenie materiału hodowlanego? Weszli do stodoły pełnej siana i błota. Panował tu polarny chłód. Woń mokrej sierści mieszała się z silnym odorem pochodzenia organicznego i smrodem zgniłego mięsa.

Ścierwo byka, przykryte plandeką, leżało na środku pomieszczenia.

Hodowca bez wahania ściągnął brezent. Ukazała się chmara much, a potem czarne, ogromne cielsko, wzdęte pod wpływem rozkładu. Fetor zrobił się jeszcze większy. Przypomniała sobie nocny koszmar – uwijający się w rzeźni ludzie bez twarzy, haki wbijające się w tusze, obdarte ze skóry cielaki, błyszczące niczym aksamit…

– Dziś powinien przyjechać rzeczoznawca. Dopiero potem go pogrzebiemy.

Anaïs milczała, zasłaniając dłonią usta i nos. To olbrzymie cielsko pozbawione łba przypomniało jej, że w starożytności ludzie składali woły w ofierze, by zapewnić sobie siłę i płodność.

– Co za nieszczęście… – jęknął hodowca. – To był *cuatreno,* czterolatek. Gotów do wyjścia na arenę.

– Pierwszy i ostatni raz.

– Mówi pani jak przeciwnicy corridy, którzy zasmradzają nam atmosferę.

– Przyjmuję to jako komplement.

– A więc miałem rację. Mam nosa do tych drani.

Trzeba zmienić kierunek rozmowy. Inaczej nic nie wyjdzie z tego przesłuchania.

– Jestem funkcjonariuszem policji – powiedziała oschłym tonem. – Mam prawo do własnego zdania. Ile ważył ten byk?

– Około pięciuset pięćdziesięciu kilogramów.

– Teren, gdzie się pasł, był łatwo dostępny?

– Pastwiska dla byków nigdy nie są łatwo dostępne. Ani od drogi, ani od żadnej ścieżki. Można tam dotrzeć tylko na koniu.

Anaïs obeszła wkoło bezgłowe cielsko. Myślała o zabójcy. Żeby zaatakować takiego olbrzyma, trzeba było być diabelnie zdeterminowanym. Jednak morderca potrzebował tego łba do swojej inscenizacji i dlatego się nie wahał.

– Byki przebywają razem?

– To zwierzęta stadne.

– Ile ich macie ogółem?

– Około dwustu. Rozparcelowane na różnych pastwiskach.

– A ile ich było na tym konkretnym pastwisku?

– Z pięćdziesiąt.

Wciąż zasłaniając dłonią usta, Anaïs podeszła do padliny. Czarna sierść zrobiła się matowa i zimna. Wyglądała jak przesiąknięta wilgocią. To martwe cielsko stanowiło uzupełnienie scenerii w kanale naprawczym. Echo ofiary Philippe'a Duruya. Tak jak Duruy uosabiał Minotaura i jego ofiarę, tak ten byk uosabiał boga i zarazem zwierzę ofiarne.

– Jak pańskim zdaniem udało się napastnikowi podejść do byka?

– Zrobił mu zastrzyk za pomocą strzelby. Uśpił go i odciął mu łeb.

– A pozostałe byki?

– Z pewnością uciekły. Pierwszym odruchem byka jest ucieczka.

Anaïs znała ten paradoks. Byk szykowany do walki na arenie nie jest agresywny. Jego obronna postawa jest całkiem bezwiedna i tylko sprawia wrażenie wrogości. Zwierzę, znalazłszy się na arenie, najchętniej by natychmiast stamtąd uciekło.

– Czy jego pożywienie mogło zostać zatrute?

– Nie. Zimą dajemy im siano i paszę. Dodatki odżywcze. Do magazynów mają dostęp tylko nasi pracownicy. Poza tym zwierzęta jedzą z tego samego koryta. Zatrułyby się więc wszystkie. Tylko zastrzyk podskórny na odległość, ze strzelby. Innej możliwości nie widzę.

– Czy macie na fermie jakieś środki usypiające?

– Nie. Kiedy trzeba uśpić któreś zwierzę, wzywamy weterynarza. Przyjeżdża z własną strzelbą i lekiem.

– Czy słyszał pan o kimś, kto interesuje się bliżej *toros bravos?*

– Są ich tysiące. Przyjeżdżają na każdą corridę.

– Mam na myśli kogoś, kto mógłby zbliżyć się do waszych pastwisk. Jakiś włóczęga.

– Nie.

Anaïs przyglądała się dziurze ziejącej w karku po odcięciu głowy zwierzęcia. Ścięgna i tkanki miękkie przybrały fioletową barwę. Przywodziły na myśl koszyk z dojrzałymi winogronami. Na ich powierzchni błyszczały maleńkie kryształki.

– Proszę mi opowiedzieć, jak wygląda scena śmierci.

– Nie rozumiem.

– Jak jest zabijany byk na arenie?

– Matador wbija szpadę aż po gardę w kark byka – odrzekł hodowca, podkreślając tonem, że to przecież rzecz oczywista.

– Jaką długość ma ostrze?

– Osiemdziesiąt pięć centymetrów. Trzeba przeciąć tętnicę lub żyłę płucną.

W nagłym przebłysku Anaïs zobaczyła ostrze zagłębiające się pod czarną skórę, rozrywające tkanki, narządy. Ujrzała samą siebie: małą, przerażoną dziewczynkę, na kamiennych stopniach amfiteatru, przytulającą się do ojca, który obejmował ją opiekuńczym ruchem ramion, głośno się przy tym śmiejąc. Drań!

– Ale wcześniej pikadorzy wbijają mu piki w kark, tak?

– Tak.

– Potem przystępują do roboty *banderilleros*, którzy starają się pogłębić te rany krótkimi włóczniami, przyspieszając tym sposobem wykrwawienie się zwierzęcia.

– Skoro zna pani odpowiedzi, to po co te pytania?

– Chcę sobie wyrobić zdanie na temat etapów tej sceny śmierci. Musi być przy tym dużo krwi, prawda?

– Nie. To wszystko dzieje się wewnątrz ciała. Matador musi uważać, żeby nie naruszyć płuc. Widzowie nie lubią, gdy byk pluje krwią.

– Zaskakuje mnie pan. Cios szpadą jest aktem łaski?

– Zaczyna mnie pani wkurzać.

– Nie zapominajmy o odcinaniu uszu i ogona, kiedy zwierzę jest jeszcze w agonii.

– O co pani chodzi?

– Nasz morderca mógł być matadorem.

– Powiedziałbym raczej, że rzeźnikiem.

– A nie są to synonimy?

Hodowca skierował się do wyjścia. Rozmowa dobiegła końca. Anaïs kolejny raz spartaczyła przesłuchanie. Dopadła go na progu. Deszcz ustał. W słabo przeświecającym nad dziedzińcem słońcu powierzchnie kałuż błyszczały niczym lusterka.

Powinna była dać sobie spokój, ale nie mogła się powstrzymać od pytania:

– Czy to prawda, że *toros bravos* nigdy nie są dopuszczane do samic? Podobno stają się bardziej agresywne, mając pełne jądra.

Bernard Rampal odwrócił się do niej. Wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Tauromachia jest sztuką. A każda sztuka ma swoje reguły. Reguły liczące setki lat.

– Słyszałam, że na pastwisku byki skaczą jeden na drugiego. Takie pedały na arenie to chyba coś ohydnego, prawda?

– Niech pani stąd zjeżdża.

Cholera! Cholera! Cholera!

Anaïs, siedząc za kierownicą, przeklinała samą siebie. Po idiotycznej rozmowie z lekarzem golfistą poprzedniego dnia zrobiła to samo z tym hodowcą byków. Nie potrafiła powstrzymać agresji. Musiała psuć wszystko swoimi dziecinnymi atakami, ordynarnymi prowokacjami. Miała prowadzić śledztwo, a zachowywała się niczym zbuntowany punk występujący przeciw burżuazji.

Krew uderzyła jej do głowy. Twarz oblał zimny pot. Jeśli któryś z nich zadzwoni do prokuratury, jest skończona. Znajdą drugiego śledczego, bardziej doświadczonego, mniej impulsywnego.

Zatrzymała się w Villeneuve-de-Marsan. Wytarła twarz chusteczką do nosa, przepłukała gardło i wpuściła aerozol do nosa. Zastanawiała się, czy ma zajść na posterunek żandarmerii. Jednak sytuacja bardziej niż kiedykolwiek wymagała dyplomacji, a ona w tym momencie nie czuła się do tego zdolna. Pośle do nich Le Coza. Był najlepszy w takich kontaktach.

Uruchomiła silnik i natychmiast ruszyła. Tym razem zrezygnowała z dróg departamentalnych i wjechała na N10, a potem E05. Kierunek – Bordeaux.

Odezwał się jej telefon komórkowy. Nacisnęła klawisz, pędząc z szybkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Le Coz. Całą noc siedziałem w internecie, a rano zacząłem obdzwaniać urzędy i służby socjalne.

– Streszczaj się.

– Philippe Duruy urodził się w Caen, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym roku. Rodzice nieznani.

– Nie zidentyfikowano matki?

– Nie. Urodził się jako bezimienny. Żeby zajrzeć do jego akt, konieczne będzie uruchomienie pewnych procedur i…

– Co dalej?

– Zajęła się nim Dyrekcja Departamentalna do spraw Socjalnych. Przechodził od jednej rodziny zastępczej do drugiej. W wieku piętnastu lat wylądował w Lille. Żeby móc pracować w jadłodajniach, zaczął starać się o zaświadczenie o przydatności do tego zawodu. Po kilku miesiącach zrezygnował z poszukiwania pracy, za to ostrzygł się na punka. Buty rangersy, wielki brytan i w drogę. Jego ślad odnalazłem dwa lata później na festiwalu w Aurillac.

– Co to takiego?

– Festiwal teatrów ulicznych. Został zatrzymany za posiadanie narkotyków. Zwolniony jako małoletni.

– Jakie to były narkotyki?

– Amfa, ecstasy, kwas. Trafiłem też na ślad przynajmniej dwóch innych zatrzymań. Zawsze w związku z jakimś festiwalem rockowym lub inną tego typu imprezą. Cambrai w kwietniu dwa tysiące ósmego roku. Millau w dwa tysiące dziewiątym.

– Również za posiadanie narkotyków?

– Raczej za zakłócanie porządku publicznego. Wszędzie się awanturował. Jego ślady odnalazłem także w Belgii, w roku dwa tysiące ósmym. Jeszcze inny festiwal. Duruy wdał się w sprzeczkę z wykidajłami.

Anaïs przypomniała sobie wygląd tego chłopaka – same kości. Albo niczego się nie bał, albo za każdym razem był kompletnie nawalony. Jedno nie ulegało wątpliwości – siłą nikt by mu niczego nie wstrzyknął. Zabójca przekonał go w łagodny sposób.

– A ostatnio?

– Mam informację, że pojawił się w styczniu tego roku.

– W Bordeaux?

– W Paryżu. Kolejny koncert. Dwudziestego czwartego stycznia dwa tysiące dziesiątego roku w Elysee-Montmartre. Znowu się bił. Miał przy sobie dwa gramy heroiny. Komisariat na ulicy Goutte-d’or. Cela dla pijaków.

Areszt na czterdzieści osiem godzin. Zwolniono go po osiemnastu na polecenie sędziego.

– Nie został przesłuchany?

– Dwa gramy to ilość do własnego użytku.

– Co dalej?

– Nic więcej aż do znalezienia go w kanale naprawczym. Można przypuszczać, że wrócił tutaj pod koniec stycznia.

Nie ma sensu odtwarzać szczegółowo przeszłości tego włóczęgi. Liczyły się jedynie ostatnie dni. Zabójcę, który nie należał do tutejszego środowiska bezdomnych, musiał poznać tuż przed śmiercią.

– Masz wiadomości od innych?

– Jaffar spędził całą noc z kloszardami.

Gdy to usłyszała, zrobiło się jej ciepło na sercu. Mimo jej polecenia ani Le Coz, ani Jaffar nie wrócili do domów, żeby się przespać. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego…

– Czego się dowiedział?

– Niezbyt wiele. Duruy nie był specjalnie towarzyski.

– Rodziny zastępcze? Punkty, gdzie dają darmowe zupy?

– Właśnie się tym zajmuje.

– A Conante? Taśmy wideo?

– Jest w trakcie ich sprawdzania. Jak na razie nic. Duruy nie pojawił się na żadnej.

– Zak?

– Nie mam od niego wiadomości. Pewnie wyrywa ze snu dealerów. Wydaje mi się, że kazałaś mu wziąć wolne.

Le Coz powiedział to z wyrzutem, ale ona nie miała czasu na takie subtelności. Przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Zadzwoń do Jaffara. Powiedz, żeby wrócił do sprawy psa.

– Co jeszcze da się z tym zrobić? Dzwoniliśmy do wszystkich schronisk. Żadnego śladu po brytanie. Zresztą nie wiemy nawet, jakiej był rasy. Z całą pewnością zdechł i został pogrzebany.

– Popytajcie rzeźników. Na bazarach. W hurtowniach mięsa. Tacy jak Duruy zawsze z góry myślą o tym, jak zdobyć jedzenie dla swojego pupila.

Zapadło krótkie milczenie. Le Coz wydawał się zdezorientowany.

– Czego ty właściwie szukasz?

– Świadka. Kogoś, kto widział Duruya w towarzystwie człowieka, który wstrzyknął mu śmiertelną dawkę heroiny.

– Zdziwiłbym się, gdyby rzeźnik miał nam w tym pomóc.

– Duruy musiał zaopatrywać się też w jakieś łachy na wyprzedażach lub w ośrodkach Emmaus. Chcę wiedzieć, gdzie dokonywał ostatnio takich zakupów.

– Na pewno spędzał całe dnie na ulicach.

– Masz rację. Trzeba znaleźć miejsce, gdzie żebrał. Tamten człowiek też to robił, przed nami. Znalazł go. Śledził. Poznał jego zwyczaje. Pójdźcie jego śladem. Może gdzieś o nim usłyszycie. Masz nowe zdjęcia Duruya?

– Tak, portret antropometryczny.

– Pokażcie odbitki wszystkim, których będziecie pytać. I prześlijcie je na mojego iPhone’a.

– Okay. A ja co mam robić?

Anaïs zleciła mu sprawę środków usypiających. Sprawdzić apteki, recepty na imalgen i ketaminę w regionie Akwitanii, ewentualnie proszki robione na miejscu w klinikach lub zakładach produkcyjnych. Le Coz przyjął to zlecenie bez entuzjazmu.

Zanim się rozłączyła, poprosiła go, by zadzwonił na posterunek żandarmerii w Villeneuve-de-Marsan i dowiedział się, czy zrobili jakieś postępy w tej sprawie. Poradziła, żeby rozmawiał z nimi delikatnie…

Dotarła do przedmieść Bordeaux. Przez krótką chwilę jej myśli krążyły wokół porucznika z wypomadowanymi włosami. W tym, jak się nosił, dało się zauważyć wyraźne oznaki bogactwa, niepasującego do jego pensji. Nie zawdzięczał tego rodzinie. Le Coz był synem emerytowanego inżyniera. Wcześniej czy później zainteresuje się tym IGS, Generalna Inspekcja Policji Krajowej. Anaïs nie pytała go o nic, bo znała odpowiedź.

Metamorfoza porucznika datowała się od włamania do prywatnej rezydencji przy alei Felix-Faure w 2008 roku. Le Coz prowadził dochodzenie. Przesłuchiwał wiele razy właścicielkę, baronową w zaawansowanym wieku, która posiadała wielką winnicę w Medoc. Od tamtej pory Le Coz nosił rolexa, jeździł audi TT, płacił czarną kartą „bez ograniczeń”. Złodziei nie złapał, ale znalazł miłość, jak powiadają jego koledzy. Miłość, która łączyła się z pewnym komfortem. Gdyby było odwrotnie, gdyby to on miał utrzymankę, taki romans nikogo by nie szokował.

Znowu odezwała się jej komórka. Jaffar.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Wjeżdżam do Bordeaux. Masz coś?

– Znalazłem Raoula.

– Kto to taki?

– Facet, który rozmawiał z Duruyem jako ostatni, zanim chłopak zniknął.

Znowu pot na skroniach. Miała gorączkę. Nie wypuszczając kierownicy z ręki, popiła syropu.

– Opowiadaj.

– Raoul to kloszard, który ulokował się w pobliżu nabrzeża Stalingrad, na lewym brzegu rzeki. Duruy odwiedzał go od czasu do czasu.

– Kiedy widzieli się po raz ostatni?

– W piątek, dwunastego lutego, późnym popołudniem.

Wieczór poprzedzający morderstwo. Ważny świadek.

– Co Duruy mu mówił?

– Że tego właśnie wieczoru jest umówiony.

– Z kim?

– Z aniołem.

– Z kim?

– Tak mu powiedział Duruy.

Anaïs była rozczarowana. Majaczenie alkoholika lub naćpanego narkomana.

– Zabrałeś tego Raoula na komendę?

– Nie, nie do nas. Do komisariatu na ulicy Ducau.

– Dlaczego właśnie tam?

– Bo było najbliżej. Siedzi w celi dla pijaków.

– O dziesiątej rano?

– Poczekaj, aż go zobaczysz.

– Zajrzę najpierw do komendy, a potem tam wpadnę. Chcę go sama przepytać.

Znowu nabrała nadziei. Mrówcza praca w końcu się opłaciła. Wszystko, co robił zamordowany chłopak, zostanie odtworzone, aż do jego ostatniego kontaktu z zabójcą. Sprawdziła, czy otrzymała SMS-a ze zdjęciami Duruya. Było ich kilka. Młody punk nie wyglądał na nich dobrze. Czarne zmierzwione włosy. Ciemne oczy podkreślone czarną kredką. Kolczyki w nosie, w kącikach ust. Philippe Duruy to ciekawy przykład synkretyzmu. W pięć-

dziesięciu procentach punk, w pięćdziesięciu got. W stu procentach wolny duchem włóczęga.

Jechała teraz przez miasto, wzdłuż nabrzeży. Słońce świeciło nad placem des Quinconces. Niebo obmyte deszczem jaśniało oślepiającym błękitem nad lśniącymi od wody domami. Wjechała w aleję Clemenceau, minęła elegancką dzielnicę des Grandes-Hommes, po czym oddaliła się od centrum ulicą Judaique. Jechała, nie zastanawiając się nad kierunkiem. Własny refleks służył jej za GPS.

Ulica François-de-Sourdis. Weszła do swojego gabinetu i sprawdziła e-maile. Dostała raport od przystojnego Araba, szefa laboratorium kryminalistycznego. Zawierał nieoczekiwaną wiadomość – w kanale naprawczym znaleziono cząstki specyficznego planktonu, żyjącego na Wybrzeżu Baskijskim. Taki sam plankton znaleziono pod paznokciami człowieka z amnezją, kowboja z Centrum Leczniczego Pierre-Janet.

Anaïs podniosła słuchawkę telefonu w nadziei, że dowie się czegoś więcej. O związku miejsca zbrodni z tym olbrzymem. Dimoun powtórzył to, co już napisał, po czym zapytał:

– Czy zna pani psychiatrę Mathiasa Freire’a?

– Tak.

– Czy to wasz ekspert w tym śledztwie?

– Nie, jeszcze nie wyznaczyliśmy ekspertów. Dlaczego pan pyta?

– Zadzwonił do mnie wczoraj wieczorem.

– Czego chciał?

– Poznać wyniki analiz.

– Podał mu je pan?

– Powiedział, że dzwoni z pani polecenia.

– Wspomniał mu pan o planktonie znalezionym na dnie kanału naprawczego?

Dimoun nie odpowiedział. Było to bardziej wymowne niż przyznanie się. Nie miała pretensji ani do psychiatry, ani do technika. Każdy robił swoje. A na wojnie jak to na wojnie.

Chciała już zakończyć rozmowę, kiedy technik rzucił:

– Mam coś jeszcze. Od czasu, kiedy posłałem pani mój raport, nadeszły kolejne wyniki badań. Nie wierzyłem, że to się uda.

– Co takiego?

– Zastosowaliśmy w kanale odczynniki chemiczne, które pozwalają zdjąć odciski palców nawet na mokrej powierzchni.

– Macie odciski palców?

– Kilka. I nie należą one do ofiary.

– Porównaliście je z odciskami tego z amnezją?

– Właśnie to zrobiłem. Nie są to także jego odciski. W kanale musiał być jeszcze ktoś inny.

Poczuła mrowienie w całym ciele. Ktoś trzeci. Morderca?

– Mam to pani przesłać? – zapytał Dimoun.

– Już trzeba było to zrobić.

Odłożyła słuchawkę bez pożegnania. Naprawdę lata świetlne dzieliły ją od wszelkich romansów. Liczyło się teraz tylko śledztwo. Przed wyjazdem do komisariatu na ulicy Ducau zadzwoniła do Zaka, którego nie było w biurze.

– Zak, jest coś nowego?

– Nie. Wciąż gadam z dealerami. Niektórzy z nich znali Duruya, ale nikt nie słyszał o tak czystej heroinie. A tobie jak poszło z hodowcą byków?

– Opowiem ci później. Wyświadcz mi przysługę. Podjedź do Pierre-Janet i sprawdź, czy jest tam nadal ten mężczyzna z amnezją z dworca Saint-Jean. Uprzedź psychiatrę, Mathiasa Freire’a, że wpadnę tam po południu, by go drugi raz przesłuchać.

– Psychiatrę czy tego mężczyznę z amnezją?

– Obu.

– Dziwnie tak wracać do domu.

Jechali drogą N10 w kierunku Wybrzeża Baskijskiego. Wyjechali wcześniej, niż Freire przewidywał, przed południem. Bonfils zajął miejsce z tyłu. Usadowił się na środku kanapy i chwycił dwóch przednich foteli. Jak mały chłopiec.

Zmienił się w ciągu tych kilku godzin. Stawał się dawnym rybakiem, odzyskiwał zatartą tożsamość. Jego psychika, jak plastyczna, giętka materia wracała do swojej dawnej formy.

– Co powiedziała Sylvie?

– Jest szczęśliwa. Bardzo się niepokoiła.

Bonfils potrząsnął energicznie głową. Rondo jego kapelusza zasłaniało pole widzenia w lusterku wstecznym. Freire korzystał z lusterek bocznych.

– Nie pojmuję tego, doktorze… Nie pojmuję… Co mi się stało? Freire nie odpowiedział. Mżawka osiadała na przedniej szybie.

Po obu stronach drogi migały sosny. Nie cierpiał Landów. Ten niekończący się las, zbyt cienkie, zbyt proste drzewa rosnące na piachu. A za nimi ocean, ze swoimi wydmami, plażami, również bez granic. Taki pejzaż budził w nim niepokój.

Warto nakłonić Bonfilsa do mówienia.

Już wcześniej włączył dyskretnie dyktafon.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie, Patricku.

– Nie ma o czym opowiadać.

Zanim wyruszyli w drogę, Freire wypytał go w swoim gabinecie.

Uzyskał portret cząstkowy. Pięćdziesiąt cztery lata. Od sześciu lat rybak w Guethary. Przedtem różne drobne zajęcia w południowej Francji. Najpierw na wschodzie, potem na zachodzie. Szczególnie na budowach – element, który pojawiał się także w jego nowej tożsamości. Patrick jakoś sobie radził w życiu, ale zawsze było to na granicy włóczęgostwa.

– Masz braci, siostry?

Olbrzym poruszył się niespokojnie na kanapie. Freire czuł, jak samochód drży przy każdym jego ruchu.

– Było nas w domu pięcioro. Dwóch braci, trzy siostry.

– Widujesz się z nimi?

– Nie. Rodzina pochodzi z Tuluzy. Zostali w tamtym regionie.

– A twoi rodzice?

– Od dawna nie żyją.

– Spędziłeś dzieciństwo w Tuluzie?

– W pobliżu. W Gheren, małej mieścinie na przedmieściu. Mieszkaliśmy w siedmioro w dwóch pokojach.

Przypływ pamięci jasnej, dokładnej. Nie było już mowy o hipnozie, o środkach chemicznych, poszarpanych urywkach wspomnień.

– Czy przed Sylvie miałeś jakieś poważne związki z kobietami?

Olbrzym zawahał się, po czym odpowiedział cicho:

– Nigdy nie miałem szczęścia do kobiet.

– Nie miałeś więc żadnej przyjaciółki?

– Tylko jedną. Pod koniec lat osiemdziesiątych.

– Gdzie?

– Blisko Montpellier. W Saint-Martin-de-Londres.

– Jak się nazywała?

– Czy naprawdę musimy o tym rozmawiać?

Freire kiwnął głową. Nie odrywał wzroku od drogi. Biscarosse. Mimizan. Mezos. i cały czas te szeregi sosen. Mżawka. Obezwładniająca monotonia…

– Marina – mruknął Patrick. – Chciała, żebym się z nią ożenił.

– A ty?

– Nie za bardzo, ale mimo to się pobraliśmy.

Informacja, że Bonfils był kiedyś żonaty, zaskoczyła Mathiasa.

– Mieliście dzieci?

– Nie. Nigdy nie chciałem mieć dzieci.

– Dlaczego?

– Nie mam dobrych wspomnień z dzieciństwa.

Freire nie nalegał. Poszpera w przechowywanych przez instytucje socjalne aktach z tamtych czasów. Istnieje wielkie prawdopodobieństwo, że Bonfils dorastał w biednej rodzinie, w której miały miejsce alkoholizm i małżeńska przemoc. Tendencja do ucieczki dysocjacyjnej mogła mieć korzenie w jego niezbyt szczęśliwym dzieciństwie.

– Co się stało z Mariną? Rozwiedliście się?

– Nie. Ulotniłem się, i to wszystko. Sądzę, że mieszka teraz w Nîmes.

– Dlaczego wyjechałeś?

Brak odpowiedzi. Ucieczka, ale tym razem bez zmiany tożsamości. Freire wyobraził sobie życie, w którym nie było mowy o żadnej stabilizacji. Niezdolność powzięcia decyzji, uchylanie się od zobowiązań…

Nie przerywał ciszy, która zapanowała w samochodzie. Znowu pojawiło się słońce, barwiąc niebo na złotawordzawy kolor. Mijali tablice z nazwami kolejnych miejscowości. Hossegor. Capbreton. Lasy Landów powoli się kończyły. Mathias poczuł pewną ulgę. Wydawało mu się, że Bonfils zasnął, ale nagle w lusterku wstecznym ukazała się jego olbrzymia sylwetka.

– Czy będę miał nawrót, doktorze?

– Nie ma żadnego powodu.

– Nic nie pamiętam. Co ci naopowiadałem?

– Lepiej nie wracajmy do tego.

Freire chciałby oczywiście wrócić do każdego szczegółu. Opisać każdy element, jaki wytworzyła podświadomość Patricka. Mimochodem zwrócił uwagę na nazwisko, jakie kowboj nadał swojej fikcyjnej towarzyszce – Auffert – dwie sylaby, które z pewnością mogą być napisane „offert”, czyli ofiarowana. Prawdę mówiąc, Freire wolałby zatrzymać Bonfilsa na obserwacji, żeby prześledzić, jakimi drogami podążała jego podświadomość.

Jakby odgadując jego myśli, Bonfils zapytał:

– Będziesz się nadal mną zajmował?

– Naturalnie. Zamierzam cię odwiedzać. Będziemy jednak współpracować z lekarzami z Wybrzeża Baskijskiego.

– Nie chcę innych spychiatrów – powiedział, znowu przekręcając to słowo. Wydawało się, że coś sobie jeszcze przypomniał. – Co to za historia z kluczem, z książką telefoniczną, krwią?

– Nie wiem o tym nic więcej niż ty, Patricku. Jednak zaufaj mi, obiecuję ci, że razem wyjaśnimy to wszystko.

Olbrzym usiadł głębiej na kanapie. Pokazała się tablica z napisem BIARRITZ.

– Pojedź tędy – powiedział. – Zostawiłem samochód na parkingu przy dworcu.

– Twój samochód? Pamiętasz to?

– Chyba tak.

– Czy wiesz, gdzie schowałeś kluczyki?

– Cholera – sapnął, machinalnie macając się po kieszeniach spodni. – Nie mam pojęcia.

– A dokumenty?

Bonfils stracił cały entuzjazm.

– Nie wiem, gdzie je zapodziałem. Już nic nie wiem…

Freire skręcił w prawo na drogę w kierunku Biarritz. Nagle pejzaż się zmienił. Słońce rzucało swoje promienie, nie napotykając przeszkód. Ulice to biegły w górę, to schodziły w dół, jakby pod wpływem zmiennego humoru. Domy z czerwonego lub niebieskiego muru pruskiego wyłaniały się niczym z innej epoki, innej kultury. Szeregi różowych dachów biegły od szczytu każdego pagórka aż do brzegu morza. Autentyczne, nietknięte, niemal prymitywne piękno.

– Jedź wzdłuż wybrzeża – mruknął ponuro Bonfils. – Najpierw będzie Bidard, a potem Guethary.

Jechali wybrzeżem porośniętym janowcami i wrzosami, gdzie stały ciasno, jedne przy drugich, pawilony kąpieliskowe. Nic tradycyjnego, żadnej harmonii. Mimo to panowała tutaj silna nade wszystko atmosfera baskijska. Przy samych domach rosły sosny, kolcolisty, tamaryszki. Niesione z wiatrem morskie powietrze, złotawe, przesycone solą, dodawało blasku każdemu szczegółowi.

Mathias uśmiechnął się mimo woli do siebie. Pomyślał, że powinien zamieszkać w tym regionie. Nagle droga zrobiła się tak wąska, że mógł nią przejechać tylko jeden samochód. Prowadziła do małego zacienionego placyku. Przybyli do Guethary. Domy z pruskiego muru, ściśnięte jeden przy drugim, wyglądały, jakby prowadziły poufne rozmowy nad znajdującymi się niżej tarasami kafejek. W głębi, niczym dłoń w geście powitalnym, zapraszała gości brama boiska do gry w pelotę.

– Jedź prosto przed siebie – powiedział Bonfils podnieconym głosem. – Zaraz będziemy w porcie.

Mathias Freire sądził, że jest raczej twardym człowiekiem, ale spotkanie Patricka i Sylvie poruszyło go do głębi. Ich wiek i miłość, którą czuło się na odległość, nieśmiałość wyrażająca się w mruganiu powiekami, szeptach, gestach pełnych wahań, były o wiele bardziej wymowne niż wszelka wylewność.

No i to, że nie przejmowali się pozorami. Sylvie była niewysoką kobietą o czerwonej twarzy, porytej zmarszczkami i bliznami. Trądzik i opuchnięte rysy zdradzały przeszłość alkoholiczki. Podobnie jak Patrick musiała mieć za sobą lata bezdomności. Tych dwoje ludzi doświadczonych ciężkim życiem odnalazło wspólną przystań.

Otoczenie stanowiło doskonałe tło do poetyckiego realizmu tej sceny. Przy betonowym nabrzeżu portu w Guethary stało kilka łodzi pomalowanych na jaskrawe kolory. Pogoda się ustaliła. Przez chmury przebijało blade światło słońca. Sceneria przypominała wnętrze zielonej butelki, w której umieszczono miniaturowy żaglowiec.

– Nie wiem, jak panu dziękować – powiedziała Sylvie, odwracając się do Mathiasa.

Skłonił się jej w milczeniu. Kobieta wskazała wąski pomost z desek przy skalnym nabrzeżu.

– Może się przejdziemy.

Freire popatrzył na nią. Tłuste włosy, wyciągnięty sweter, wypchane na kolanach spodnie dresowe, stare buty… Na tle tego żałosnego wyglądu wy-

różniały się jedynie błyszczące, żywe oczy, jasne jak dwa kamyki obmyte deszczem.

Kobieta minęła kutry i poszła dalej. Patrick natomiast skierował się ku łodzi przycumowanej kilka metrów dalej przy molo. Na kadłubie widniał dumnie żółty napis: JUPITER.

Freire dogonił Sylvie. Stała, opierając się o poręcz, i skręcała papierosa, obojętna na mżawkę i nierówności pomostu.

– Czy może mi pan wyjaśnić, co się wydarzyło?

Freire opowiedział o dworcu Saint-Jean, ucieczce psychicznej Patricka. O jego podświadomym wysiłku, by stać się kimś innym.

O tym, jak przypadkiem poznała go pielęgniarka pochodząca z Guethary. Nie wspomniał o krwi na książce telefonicznej i kluczu ani o trupie na dworcu Saint-Jean. Tym wkrótce zajmie się Anaïs Chatelet.

Sylvie milczała. W palcach trzymała dużą, zardzewiałą zapalniczkę. Przypaliła nią swojego skręta.

– To nie do wiary – odezwała się w końcu.

– Nie zauważyła pani w ostatnim czasie nic dziwnego w jego zachowaniu?

Wzruszyła ramionami. Niesforne kosmyki przyklejały się do jej pomarszczonej twarzy. Zaciągała się głęboko i wypuszczała z ust – niczym lokomotywa – gęste kłęby dymu, które natychmiast rozwiewał morski wiatr.

– Patrick niewiele mówi…

– Nie znikał nigdy przedtem? Nie miał zaników pamięci?

– Nie.

– Proszę mi opowiedzieć o jego kłopotach.

Przeszła kilka kroków bez słowa. Morze huczało pod ich stopami. Dyszało. Warczało. Cofało się, żeby wrócić z jeszcze większą wściekłością.

– Kłopoty z pieniędzmi. Nic oryginalnego. Patrick zaciągnął pożyczkę na łódź. Chciał być sam sobie szefem. Ale sezon nie był dobry.

– Jest przecież kilka sezonów w roku, prawda?

– Mówię o tym najważniejszym. W październiku. O połowach białego tuńczyka. Wystarczyło tylko na życie i na opłacenie kolegów. Tymczasem bank…

– Jak mu się udało dostać kredyt? Trzeba przecież mieć jakiś własny wkład.

– Ja miałam pieniądze.

Freire nie krył zaskoczenia. Sylvie się uśmiechnęła.

– Chociaż nie wyglądam na to, mam pewien dochód. To znaczy miałam. Domek w Bidart. Sprzedaliśmy go i zainwestowaliśmy w łódkę. Od tej pory toniemy w długach. Zalegamy ze spłatą rat w banku. Pan tego nie potrafi zrozumieć…

Sylvie najwyraźniej uważała, że Mathias należy do klasy miliarderów. Nie prostował tego. Wrażenia zmysłowe wzięły górę nad myślami. Gwałtowne podmuchy wiatru unosiły posrebrzone słońcem rozbryzgi wody. Na wargach czuł sól. Przez rzęsy wciskało się jaskrawe światło.

Poczciwa mała kobietka spoglądała w stronę Patricka. Wskoczył do łodzi i coś majstrował pod podkładem – z pewnością przy silniku. Pilnowała go wzrokiem niczym matka swojego synka.

– Czy opowiadał pani o swoim poprzednim życiu?

– O żonie? Nie mówi o tym wiele, ale to żaden sekret.

– Spotyka się z nią?

– Nigdy. Rozeszli się w niezgodzie.

– Dlaczego się nie rozwiódł?

– Skąd miałby wziąć na to pieniądze?

Freire nie nalegał. Nie miał doświadczenia w tej dziedzinie. Małżeństwo. Zaręczyny. Obce pojęcia w jego życiu.

– Opowiadał coś o swoim dzieciństwie?

– Widzę, że pan nic nie wie – mruknęła z pewnym lekceważeniem.

– O co chodzi?

– Zabił swojego ojca.

Czegoś takiego Mathias się nie spodziewał.

– Jego ojciec handlował żelastwem. Patrick mu pomagał.

– W Gheren?

– W jakiejś mieścinie, gdzie mieszkał z rodzicami. Nie pamiętam nazwy.

– Co się stało?

– Pobili się. Ojciec był pijany. Patrick go uderzył. Stary wpadł do beczki z kwasem, który służył do usuwania rdzy z żelastwa. Zanim Patrick go stamtąd wyciągnął, ojciec już nie żył. Patrick miał wtedy piętnaście lat. Zawsze potem mówił, że go zabił. Ja uważam, że to był wypadek.

– Było śledztwo?

– Nie wiem. W każdym razie Patrick nie trafił do więzienia.

Łatwo sprawdzić. Mathias miał potwierdzenie tego, co przewidywał. Trudne dzieciństwo. Rodzinna tragedia, która zostawiła głęboką ranę w jego podświadomości. Ranę, która stale się powiększała, aż kompletnie zmieniła jego osobowość…

– Co robił potem?

– Zaciągnął się do Legii.

– Do Legii Cudzoziemskiej?

– Czuł się odpowiedzialny za śmierć ojca. Zachował się jak kryminalista.

Doszli do końca pomostu. Nie umawiając się, zawrócili i ruszyli z powrotem w kierunku portu. Sylvie cały czas spoglądała na łódź i na Patricka. Sprawiał wrażenie, jakby kompletnie o nich zapomniał.

– Czy Patrick – podjął na nowo Freire – nie miał nigdy żadnych kłopotów z wymiarem sprawiedliwości?

– Co pan sobie wyobraża? Że jak ktoś jest biedny, to zaraz musi być łobuzem? Patrick miewał trudne okresy, ale zawsze żył w zgodzie z prawem.

Freire nie skomentował jej słów. Uznał, że czas porównać to, co zmyślił Pascal Mischell, z prawdziwym życiem Patricka Bonfilsa.

– Czy bywa pani czasem w rejonie Arcachon?

– Nigdy.

– Czy mówi pani coś nazwisko Thibaudier?

– Nie.

– A Helene Auffert?

– Kim ona jest?

Freire uśmiechnął się uspokajająco, dając jej do zrozumienia, że z tej strony nie grozi jej niebezpieczeństwo. Sylvie znowu wyjęła tytoń i bibułki do robienia skrętów. Nie wyglądała na przekonaną. W dwie sekundy skręciła nowego papierosa.

– Czy opowiadał pani o śnie, który często miewa?

– O jakim śnie?

– Idzie przez zalane słońcem miasteczko. Nagle następuje eksplozja białego światła i jego cień zostaje na murze.

– Nie. Nigdy.

Kolejne potwierdzenie jego przypuszczeń. Sen miał związek z przeżytą traumą. Był odbiciem tego, co Bonfils zobaczył na torach w nocy z dwunastego na trzynastego lutego. Wrócił do sprawy nazwiska – Pascal Mischell. Peter Schlemihl. Hiroszima…

– Czy Patrick dużo czyta?

– Ustawicznie. Nasz dom to niemal biblioteka miejska.

– Jaki rodzaj książek?

– Przede wszystkim historyczne.

Freire ostrożnie doszedł do najważniejszego dnia.

– Kiedy Patrick wybierał się do banku, nie wspomniał o jakiejś innej sprawie, wizycie?

– Jest pan gliniarzem? Po co te wszystkie pytania?

– Muszę zrozumieć, co się z nim stało. Mam na myśli zmiany psychiczne. Chcę odtworzyć punkt po punkcie dzień, kiedy się zgubił w sobie samym. Chciałbym go wyleczyć, rozumie pani?

Nie odpowiedziała, machnęła tylko papierosem w wilgotnym powietrzu. Miała już dość tej rozmowy. W milczeniu doszli do nabrzeża. Bonfils nadal grzebał w silniku. Od czasu do czasu pojawiała się jego twarz. Nawet z tej odległości wyglądał na szczęśliwego, spokojnego, wręcz zachwyconego.

– Będę musiał spotkać się ponownie z Patrickiem – oświadczył na koniec Mathias.

– Nie. – Sylvie rzuciła niedopałek do morza. – Niech go pan zostawi w spokoju. To, co pan dla niego zrobił, jest super. Teraz ja przejmuję nad nim opiekę. Nie jestem może zbyt uczona, ale znam Patricka, wiem, co lubi, i nie ma sensu już o tym więcej mówić.

Freire nie zyskałby teraz nic, próbując z nią dyskutować.

– W porządku – poddał się. – Dam jednak pani numer telefonu do moich kolegów psychiatrów w Bayonne i Saint-Jean-de-Luz. To, co stało się z Patrickiem, to bardzo poważna sprawa. Powinien poradzić się lekarza.

Kobieta nic nie odpowiedziała. Freire uścisnął jej rękę i machnął na pożegnanie Patrickowi, który wesoło odpowiedział mu w ten sam sposób.

– Zadzwonię do pani jutro, dobrze?

Brak odpowiedzi. A może wiatr ją rozwiał. Otwierając drzwi samochodu, odwrócił się. Sylvie chwiejnym krokiem dołączyła do swojego mężczyzny.

Freire wsiadł do wozu i włączył silnik.

Z ich zgodą lub bez, pomoże tym dwojgu rozbitkom.

– Szukam uskoku kosmicznego. – Czarna dłoń gładziła spękany mur celi dla pijaków. – Kiedy go znajdę, ucieknę…

Anaïs nie zamierzała tego komentować. Już od dziesięciu minut wysłuchiwała delirycznych wynurzeń Raoula, bez wątpienia alkoholika. Z trudem panowała nad sobą.

– Trzeba tylko iść za linią – kontynuował kloszard, z nosem na kolejnym pęknięciu.

Anaïs przeszła do poważnych spraw. Wyjęła z plastikowej torby kartonowe pudełko, które kupiła po drodze. Oczy Raoula rozbłysły natychmiast niczym dwie rozżarzone do białości kule. Chwycił karton i opróżnił go duszkiem.

– No więc… co wiesz o Philippie Duruyu?

Kloszard otarł usta rękawem i głośno czknął. Jego czerwona twarz przywodziła na myśl ludzkie zwłoki uwięzione w drucie kolczastym. Gęsta broda, włosy, brwi były niczym sterczące na wszystkie strony metalowe kolce, wbite pod nabiegłą krwią skórę.

– Fifi, znam go dobrze. Zawsze powtarza, że jego serce bije w rytmie sto dwadzieścia, a mózg osiem i sześć.

Anaïs zrozumiała podwójną aluzję. Sto dwadzieścia to rytm muzyki techno, a 8° 6 to marka piwa Bavaria. Piwo mistrzów – punków, fanów heavy metalu i wszelkiej maści wyrzutków. Raoul mówił o Fifi w czasie teraźniejszym. Nie wiedział, że chłopak nie żyje.

– Szczerze mówiąc, to prawdziwy świrus.

– Myślałam, że jesteście kumplami.

– Przyjaźń nie umniejsza jasności umysłu.

Anaïs omal nie roześmiała się na głos. Raoul mówił dalej:

– Fifi zajmuje się czymś, a potem robi coś całkiem odwrotnego. Bierze heroinę i przestaje. Słucha metalu, a potem słucha techno. Raz wygląda jak got, a dzień później jak punk…

Anaïs próbowała wyobrazić sobie codzienne życie chłopaka. Życie polegające na tułaczce, rozróbach, ćpaniu. Szpryce heroiny, odloty po ecstasy, noce spędzone z twarzą wtuloną w mur celi, budzenie się w nieznanym miejscu, bez świadomości, co było przedtem. I tak pod sztandarem wolności mijał dzień za dniem. Raoul wtrącił dygresję na temat muzycznych gustów Duruya:

– Zawsze mu mówiłem: „Twoja muzyka jest gówno warta. Twoi kumple potrafią tylko kopiować. Marilyn Manson to Alice Cooper. Techno to Kraftwerk. R&B”…

– To Isaac Hayes.

– Właśnie. Biorą te same kawałki i robią od nowa!

– Z czego żył Fifi?

– Żebrał, podobnie jak ja.

– W Bordeaux?

– W Bordeaux i wszędzie tam, gdzie bywał. Nie masz jeszcze czegoś do picia?

Anaïs dała mu drugi karton. Raoul wydudlił wszystko duszkiem. Tym razem nie czknął, ale bała się, czy nie zsika się w spodnie. Miał na sobie płaszcz z galonami, tak wyświechtany, że nie widać było wzoru tkaniny. Spodnie drelichowe, lepiące się od brudu. Espadryle zniszczone aż do podeszwy tak, że wystawały z nich gołe, czarne pięty. Anaïs przezornie posmarowała sobie wcześniej okolice nosa eukaliptusową maścią na katar Vicks Vaporub.

Raoul odrzucił karton na podłogę celi. Nadszedł czas, by przejść do zasadniczego tematu.

– Kilka dni temu Fifi mówił ci o aniele…

Kloszard wcisnął się w kąt i ocierał plecami o ściany niczym zwierzę.

– Anioł – zarechotał – który miał mu dać anielski proszek… Jego zabójca, pomyślała Anaïs. Pierwszy raz zostało to powiedziane tak wyraźnie.

Nachyliła się do Raoula i zapytała ostro:

– Znał go dobrze?

– Nie. Dopiero co poznał tego faceta.

– Co dokładnie Fifi powiedział ci o nim?

– Że zabierze go do nieba. Opowiadał o Saint-Julien czy o czymś w tym rodzaju…

– Lecznica Saint-Julien.

– No tak.

– Dlaczego właśnie jego?

Raoul jakby sobie nagle coś przypomniał.

– Fifi wcześnie przestał chodzić do szkoły, ale dobrze zapamiętał jedną legendę. Pewien książę zabija przez pomyłkę swoich rodziców. Ucieka więc daleko i zostaje przewoźnikiem. Pewnej nocy przybywa do niego trędowaty i prosi, by przewiózł go na drugi brzeg rzeki. Julien prowadzi go do swojego domu, daje jeść, ogrzewa własnym ciałem. A trędowaty zabiera go do nieba. To był Jezus Chrystus. Fifi powiedział, że ten anioł odszukał go, by go zabrać do siódmego nieba…

– Dlaczego Fifi pomyślał akurat o tej legendzie?

– Bo ten jego anioł był trędowaty.

– Trędowaty?

– Facet miał twarz owiniętą szmatami.

Anaïs wyobraziła sobie tę scenę. Jakiś typ z twarzą zasłoniętą szmatami podchodzi do Philippe’a Duruya. Proponuje niezwykły odlot. Samotny chłopak fantazjuje na temat tego osobnika i jego propozycji. Może to spotkanie zostało zarejestrowane przez którąś z kamer systemu bezpieczeństwa?

– Co powiedział dokładnie, gdy widziałeś go po raz ostatni?

– Że tego wieczoru spotka się z trędowatym. Że razem przepłyną na drugi brzeg rzeki. Takie idiotyzmy.

– Czy wiesz, gdzie miało się odbyć to spotkanie?

– Nie wiem.

– Gdzie go widziałeś ten ostatni raz?

– Na bulwarach nabrzeżnych. Blisko nabrzeża Stalingrad. Fifi był bardzo podekscytowany.

– Która to była godzina?

– Nie pamiętam. Pod wieczór.

Anaïs przeszła do szczegółów:

– Fifi ma psa, tak?

– Tak. Jak wszyscy bezdomni. Nie masz jeszcze jednego kartonu?

– Nie. Jak się wabi?

– Mirwan. To imię jakiegoś gruzińskiego świętego. Fifi to kompletny świr.

– Tego dnia miał ze sobą psa?

– Oczywiście.

– Widziałeś tego psa potem?

– Nie widziałem ani psa, ani Fifi…

Mówił cichszym głosem. Stracił całą energię. Jego źrenice przygasły. Przydałby się jeszcze jeden karton, ale Anaïs już nie miała żadnego. Wstała, starając się nie otrzeć o tego brudasa.

– Zostaniesz zwolniony.

Zastukała w oszklone drzwi celi. Pojawił się strażnik.

Raoul za jej plecami zapytał:

– Co się stało z Fifi?

– Nie wiemy.

Raoul roześmiał się głośno, gdy tymczasem otworzyły się oszklone drzwi.

– Wy, gliny, zawsze bierzecie nas za idiotów, ale to wy nimi jesteście. Myślisz, że się nie pokapowałem? Dobrze wiem, że Fifi wykitował.

Wyszła z celi bez słowa. Czuła się niczym pestka wypluta ze zgniłego owocu. Rękawem wytarła maść spod nosa. Rzut oka na zegarek – południe. Czas uciekał. Spodziewała się wiele po tej rozmowie, nie uzyskała jednak niczego specjalnego.

Wsiadając do samochodu, zadzwoniła do Le Coza. Przez dwie godziny porucznik stał się specjalistą w dziedzinie produkcji i sprzedaży imalgenu. Sporządził wykaz recept wystawianych w departamencie Żyrondy w ciągu minionych czterech tygodni. Rozmawiał ze wszystkimi weterynarzami, skontaktował się ze wszystkimi schroniskami dla zwierząt… Sprawdzone zostały również magazyny, zamówienia, sprzedaż… Normalnie potrzeba by było na to całego dnia.

Jeśli chodzi o włamania, to dwie kliniki weterynaryjne, jedna blisko Bordeaux, druga w okolicach Libourne, zostały okradzione w styczniu. Jednak to nic nie znaczyło. Ze zdobytych informacji wynikało, że ketamina ma dla

ludzi właściwości halucynogenne. Handlują nią nawet narkomani. Zdaniem prowadzących śledztwo w sprawie tych włamań to właśnie oni byli podejrzanymi…

Anaïs zapytała, czy są jakieś wiadomości od Jaffara. W dalszym ciągu szukał psa i rzeczy Duruya. Natomiast Zak i Conante nie dawali znaku życia od poprzedniego telefonu.

– Jesteś w komendzie? – zapytała tonem stwierdzenia.

– Tak.

– Przyszły wyniki analizy odcisków palców z laboratorium kryminalistyki?

– Godzinę temu.

– No i?

– Jeszcze nie porównaliśmy ich z danymi w archiwum. Mamy wirusa.

Komisariaty policji są wyposażone w tanie komputery i niezbyt nowoczesny sprzęt. Można przeczytać w gazetach, że takie awarie zdarzają się policjantom codziennie.

– Co mówi nasz ekspert?

Tym „ekspertem” był porucznik policji, który ukończył kilkudniowy kurs informatyki. Le Coz wymownie milczał.

– Cholera – zaklęła Anaïs – wezwijcie prawdziwego specjalistę.

– Już ktoś się tym zajął.

– Kto?

– Mój sąsiad z tego samego piętra. Programista gier wideo.

Anaïs parsknęła nerwowym śmiechem. Tego już za wiele.

Naprawdę za wiele. Wyobraziła sobie młodego chłopaka, guru komputerowego, przybiegającego na ratunek policjantom. Kontrkultura sprzymierzeńcem stróżów prawa.

– No i?

– Naprawił, co trzeba.

– Masz więc dostęp do centralnego archiwum?

– Nie.

– Dlaczego?

– Zgubiliśmy zeszyt.

Anaïs zaklęła. Żeby uruchomić oprogramowanie, potrzebne było hasło ustalone przez kierownictwo. Sekwencja niemożliwych do zapamiętania li-

ter i cyfr. Były one zapisane w specjalnym zeszycie do użytku w całej komendzie.

Bez zeszytu nie ma hasła.

Bez hasła nic nie zdziałasz.

Ruszyła z miejsca. Tykanie zegara w jej głowie stało się ogłuszające. Pomyślała znowu o Zaku. Miał wpaść do Pierre-Janet i rzucić okiem na mężczyznę z amnezją – podejrzanego numer jeden. Dlaczego nie oddzwonił? Włączyła ponownie telefon.

– Co mi pan tu opowiada?! – krzyczała Anaïs do słuchawki.

Freire usiłował załagodzić sytuację:

– Jako lekarz zdecydowałem, że sam odwiozę…

– Najważniejszego świadka?

– Pacjenta z amnezją.

– Powinien pan był przynajmniej nas uprzedzić o swoich zamiarach.

– Pierwsze słyszę.

Freire jechał drogąN10. Anaïs Chatelet właśnie się dowiedziała, że odwiózł Bonfilsa do domu. A przecież to nie wszystko, bo wcześniej rozmawiała także z technikiem z laboratorium kryminalistyki, od którego usłyszała, jak go okłamał i wyciągnął informacje o obecności planktonu pod paznokciami Bonfilsa i w kanale naprawczym. Miała naprawdę powód do wściekłości.

– Zaczynam mieć dość tego pańskiego wywyższania się – syknęła.

– Ja się wywyższam?

– Psychiatra z diagnozą, która wszystko psuje. Badacz dusz zbawiający cały świat. Tymczasem tu chodzi o morderstwo i to policja prowadzi dochodzenie!

– Powtarzam, że mój pacjent jest…

– Pański pacjent jest podejrzanym numer jeden.

– Tego mi pani nie powiedziała.

– Wie pan od wczoraj, że ten człowiek zostawił ślady w kanale naprawczym. Trzeba to panu wyjaśniać dokładniej?

– Nic nie świadczy o tym, że…

– Pomoc w ucieczce, nielegalne zdobywanie informacji wchodzących w zakres oficjalnego śledztwa, czy wie pan, ile to może pana kosztować?

Freire wciąż miał wokół siebie lasy Landów. Na tle nieba rysowały się strzeliste sosny. Znowu zaczął padać deszcz.

– Proszę posłuchać – odezwał się możliwie najspokojniejszym głosem, jakiego używał wobec szalejących pensjonariuszy Centrum Leczniczego. – Wiem, kim jest mój pacjent.

– Co takiego?

Mathias streścił pokrótce sytuację. Anaïs słuchała go w milczeniu. Myślał już, że zyskał punkt przewagi, ale policjantka wróciła do poprzedniego tonu.

– Facet odzyskał pamięć, a pan najspokojniej w świecie odwiózł go do domu?

– Nie całą pamięć. Nie pamięta, co wydarzyło się na dworcu Saint-Jean. Zamierzam…

– Jutro z samego rana poślę po niego moich ludzi. Ten pański kowboj trafi do aresztu na czterdzieści osiem godzin!

– Nie ma mowy! On musi odpocząć kilka dni. Żeby odzyskał równowagę i odnalazł samego siebie.

– W jakim świecie pan żyje?

– Wszyscy jesteśmy zainteresowani tym, żeby Patrick Bonfils ustabilizował się w swojej prawdziwej osobowości – powiedział Freire z pełnym opanowaniem. – Tylko wtedy będzie mógł przypomnieć sobie ostatnie godziny przed swoją ucieczką…

– A więc to pana wpakuję do aresztu.

Rozłączyła się bez pożegnania.

Freire trzymał jakiś czas telefon przy uchu. W dalszym ciągu po obu stronach szosy migały drzewa. Właśnie minął Liposthey i wkrótce powinien wjechać na drogę A63. W tym momencie w lusterku wstecznym zobaczył parę reflektorów. Czarna terenówka. Przysiągłby, że widział już ten wóz jakieś pół godziny temu.

Pomyślał, że to nic nie znaczy. W dzisiejszych czasach jazda samochodem stała się czynnością zautomatyzowaną. Jedzie się sznurem, z tempo-

matem nastawionym na określoną prędkość w obawie przed radarem i policją drogową. Białe światła reflektorów nadal mu towarzyszyły…

Nagle rozpoznał – lub wydawało mu się, że rozpoznał – dwóch facetów ubranych na czarno, którzy kręcili się pod jego domem. Wtedy dopiero dostrzegł, co to za marka samochodu. Terenowe audi Q7.

Gwałtownie zwolnił do trzydziestu kilometrów na godzinę. Samochód, widoczny z tyłu za ścianą deszczu, zrobił to samo. Nagle, niczym sygnał alarmowy płynący z mózgu, odezwał się w jego oku głuchy, palący ból.

Freire gwałtownie dodał gazu. Wóz terenowy również przyspieszył, nie zostając z tyłu ani o metr. Coraz ostrzejszy ból w oczodole jakby świdrował jego mózg. Palce ociekające potem ześlizgiwały się z kierownicy. Wściekle bijący, oślepiający deszcz zalewał całą scenerię strumieniami wody.

Pojawiła się tablica zapowiadająca boczną drogę. Nie namyślając się, skręcił w prawo. Nie widział żadnych napisów. Znalazł się w samym sercu Landów. Gdy dojechał do drogi departamentalnej, skręcił ponownie w prawo i przyspieszył. Kilometr. Dwa kilometry. Wokół niego szumiały sosny rosnące w długich szpalerach. Żadnej miejscowości, żadnego domu. Żadnej stacji benzynowej. Nic. Idealne miejsce, żeby zostać zaatakowanym. Rzut oka w lusterko wsteczne – audi Q7 z zapalonymi reflektorami cały czas było tuż za nim.

Freire sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. Ustawił tempomat na siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Wybrał w komórce funkcję zdjęć i wycelował obiektyw na wóz terenowy. Ustawił ostrość na ociekającą wodą maskę. Nie był w stanie przekonać się, czy udało mu się uchwycić w kadrze tablicę rejestracyjną. Zrobił jeszcze kilka zdjęć pod różnymi kątami i ponownie zwiększył szybkość. Przed nim strugi deszczu, ściana lasu po obu stronach drogi. Miał wrażenie, że jedzie przez tunel.

W tym momencie na prawo pojawiła się droga gruntowa.

Wyrwa w gęstwinie zieleni.

Freire skręcił i utknął w błocie. Cofnął się, dodał gazu. Samochód ślizgał się z rykiem silnika. Struga czerwonego błota prysnęła na przednią szybę. Przydałby się napęd na cztery koła. Na tę myśl spojrzał w lusterko wsteczne. Terenówki nie było.

Nacisnął pedał gazu. Silnik zawył, zakasłał, po czym samochód ruszył naprzód. Sosny. Modrzewie. Janowce. Wszystko uciekało w zawrotnym tempie z sykiem, trzaskiem, w plątaninie zieleni, purpury, gałęzi, w stru-

gach błota… Samochód podskakiwał, zapadał się na wykrotach, znowu podskakiwał na mokrej ścieżce. Freire pędził przed siebie, wytrzeszczając oczy. Miał nadzieję, że ten horror zaraz się skończy. Kałuża. Wybój. Przeszkoda…

W świetle reflektorów niespodziewanie pojawił się leżący na ścieżce pień drzewa. Mathias przyhamował i skręcił gwałtownym ruchem kierownicę. Kilka sekund wystarczyło, żeby spojrzeć w twarz śmierci. Samochód podskoczył, po czym wpadł do dołu. Silnik zgasł, koła przestały się obracać.

Freire nie mógł oddychać. Kierownica wbiła mu się w żebra. Czołem uderzył w przednią szybę. Czuł ból. Krwawił. Jednak uświadomił sobie, że nie jest poważnie ranny. Trwał tak, zgięty nad kierownicą, kilka długich sekund. Odczekał trochę, żeby krew ponownie spłynęła do jego żył.

Deszcz nadal bębnił o dach, tłukł w szyby, smagał las. Mathias z trudem odpiął pas bezpieczeństwa. Dwa palce wsunął pod klamkę drzwi i naparł ramieniem, żeby je otworzyć. Upadł prosto w kałużę. Podniósł się na jedno kolano. W lesie słychać było tylko szum tysięcy spadających kropel. Wozu terenowego nigdzie nie widział. Zgubił ich na dobre.

Z wielkim wysiłkiem wstał z ziemi. Oparł się o samochód, spojrzał na ręce. Silnie drżały. Serce waliło jak młotem. Mijały minuty. Do głośnego szumu deszczu doszedł huk wiatru w koronach drzew. Zamknął oczy. Miał uczucie, że tonie. Ociekał wodą, ale to jego strach spływał mu do stóp. Zapach żywicy, mchu, liści wypełniał wnętrze jego nosa. Zaczynał odczuwać zimno.

Kiedy już całkiem przemarzł, a jego serce odnalazło swój normalny rytm, wsunął się do samochodu. Zamknął za sobą drzwi. Czas na pytania. Kim byli ci ludzie? Dlaczego go ścigali? Czy czekali na niego w innym miejscu? Żadnej odpowiedzi.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, nastawił ogrzewanie na maksimum i włączył wsteczny bieg. Nie sprawdził wcześniej, czy ugrzązł. Koła buksowały, ryły ziemię, bryzgała spod nich czerwonawa glina. W końcu samochód uniósł się niczym statek podnoszony w suchym doku i ruszył przed siebie. Trzymając nadal rękę na dźwigni biegów, Freire wystawił głowę na zewnątrz, by zobaczyć, jak ma jechać. Sto metrów dalej udało mu się zawrócić.

Jadąc ponownie w kierunku Bordeaux, zastanawiał się nad swoją sytuacją. Może ma złamane żebra? Trzeba zachować ostrożność. Próbował sobie przypomnieć, kiedy zobaczył po raz pierwszy tych mężczyzn w audi Q7.

W nocy z piątku na sobotę. Miał wtedy dyżur w szpitalu.

Tej nocy pojawił się Patrick Bonfils.

Bonfils ze swoją amnezją. Wieczorni goście pod domem. Morderstwo na dworcu Saint-Jean. Czy istniał jakiś punkt styczny dla tych trzech elementów? Patrick Bonfils mógł widzieć zabójcę kładącego Minotaura w kanale naprawczym albo jeszcze coś innego. Coś, co interesowało tych karawaniarzy i czego się obawiali.

Może bali się, że Bonfils komuś o tym powiedział.

Komu? Swojemu „spychiatrze”.

– Co to jest?

Anaïs stała na progu z butelką czerwonego wina w ręce.

– Biała flaga. Dla zawarcia pokoju.

– Ach tak – powiedział Mathias Freire z uśmiechem.

Nie miała żadnych trudności ze znalezieniem prywatnego adresu psychiatry. Była godzina dwudziesta. Doskonała pora na tego rodzaju niespodziankę. Anaïs zrobiła pewien wysiłek, szykując się do tej wizyty. Pod płaszczem miała indonezyjską sukienkę ze złocistobrązowym motywem, typowym dla lat siedemdziesiątych. W ostatnim momencie przestraszyła się i pod spód włożyła jeszcze dżinsy. Nie była pewna rezultatu. Włożyła także staniczek z poduszeczkami, który zachowywała na lepsze okazje. Błyszczyk na ustach, spinki we włosach, dolipran dla lepszego funkcjonowania umysłu – była gotowa do ataku.

– Nie zaprosi mnie pan do środka?

– Przepraszam.

Odsunął się na bok, żeby wpuścić ją do domu. Wyglądał jak zawsze dość niechlujnie. Pulower z dekoltem w szpic, koszula z pogniecionym kołnierzykiem, podniszczone dżinsy, potargane włosy. Akademicki profesor, zaniedbany, ale czarujący. Studentki tracą głowę na jego punkcie, a on nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Jak pani zdobyła mój adres?

– Uruchomiłam cały mój zespół.

Weszła do salonu. Białe ściany. Rozeschnięty parkiet. Drzwi ze sklejki. Żadnego mebla oprócz zniszczonej kanapy i pudeł do przeprowadzki stłoczonych pod ścianami.

– Wprowadza się pan czy wyjeżdża?

– Codziennie zadaję sobie to samo pytanie.

Wręczyła mu butelkę.

– Medoc. Należę do klubu degustatorów wina. Wczoraj kupiłam kilka butelek. Ciekawe, co pan o nim powie. Jest wykwintne i mocne. O zdecydowanym smaku. To wino…

Anaïs urwała. Gospodarz wydawał się zmieszany.

– Jakiś problem?

– Przykro mi… Nie pijam wina.

Anaïs stanęła jak wryta. Pierwszy raz słyszała coś takiego w Bordeaux.

– To co pan pije?

– Coca-colę zero.

Zaśmiała się.

– Niech pan stawia kolejkę.

– Pójdę po szklanki – powiedział. – Proszę się rozgościć.

Anaïs się rozejrzała. Naprzeciw kanapy zobaczyła telewizor z płaskim ekranem, ustawiony pod ścianą, a przy oknie balkonowym odgrywającą rolę biurka deskę położoną na dwóch drewnianych kozłach. Lampa stojąca na podłodze rzucała słabą poświatę. Psychiatra zrobił z tego rodzinnego mieszkania lokal o anonimowym charakterze.

Uśmiechnęła się w duchu. Freire najwyraźniej mieszkał sam. Ani jednego zdjęcia, żadnego śladu obecności kobiety. Nie miał z pewnością ani przyjaciela, ani kochanki. Ze zdobytych wcześniej informacji wiedziała, że zaczął pracować w Pierre-Janet na początku stycznia. Przyjechał z Paryża. Z nikim nie rozmawiał. Nie interesował się chyba niczym poza swoją pracą w szpitalu, a ciepłe posiłki jadał tylko w stołówce albo kiedy zaprosił go do siebie któryś z kolegów.

Podeszła do biurka. Notatki. Książki dotyczące psychiatrii, sporo po angielsku. Teksty wydrukowane z internetu. Zapisane w pośpiechu numery telefonów. Najwyraźniej psychiatra prowadził jakieś dochodzenie. Kogo dotyczyło? Pacjenta z amnezją?

Obok drukarki zobaczyła na biurku świeżo wydrukowane zdjęcia. Tablice rejestracyjne w deszczu. Kogo śledził? Nachyliła się, żeby lepiej obej-

rzeć wydruki, ale za plecami usłyszała kroki. Mathias wracał ze szklankami i puszkami coli.

– Podoba mi się u pana – powiedziała, wracając do kanapy.

– Żartuje pani. – Postawił na podłodze czarne zroszone puszki. – Niestety, nie mam niskiego stolika.

– Nic nie szkodzi.

Usiadł na podłodze ze skrzyżowanymi nogami.

– Proszę zająć miejsce na kanapie.

Anaïs zrobiła, jak mówił. Górowała nad nim niczym królowa. Nawet nie sięgnęli po szklanki. Stuknęli się puszkami, patrząc sobie w oczy.

– Nie wiem, która jest teraz godzina – zaczął się tłumaczyć. – Może chciałaby pani coś zjeść? Niewiele mam w domu…

– Nieważne. Przyszłam do pana, żeby razem uczcić wspaniałe nowiny.

– Czego dotyczące?

– Śledztwa.

– Nie zamierza już pani zamykać mnie w areszcie?

Uśmiechnęła się.

– Poniosło mnie.

– To ja zachowałem się głupio – przyznał. – Powinienem był panią uprzedzić. Myślałem tylko o moim pacjencie. O tym, co będzie dla niego najlepsze, rozumie pani? – Wypił spory łyk coli. – To jakie są te pani wspaniałe nowiny?

– Przede wszystkim ustaliliśmy tożsamość ofiary. To włóczęga, bywalec festiwali rockowych, uzależniony od heroiny. Regularnie wracał do Bordeaux. Zabójca zwabił go narkotykiem niezwykłej jakości. Chłopak od tego zmarł. Następnie morderca zaaranżował całą scenerię: głowę byka i resztę…

Freire słuchał z uwagą. Napięte mięśnie jego twarzy świadczyły o koncentracji.

Anaïs zdradziła sensację.

– Zidentyfikowaliśmy również zabójcę.

– Naprawdę?

Machnęła lekceważąco ręką, by zmniejszyć wagę tej informacji.

– Technicy z laboratorium kryminalistyki znaleźli w kanale naprawczym odciski palców, które nie należą ani do ofiary, ani do pańskiego kowboja. Sprawdzono je w krajowym archiwum i okazało się, że to Victor Janusz,

bezdomny z Marsylii. Kilka miesięcy temu trafił do aresztu za udział w bójce.

– Czy wiecie, gdzie jest teraz?

– Jeszcze nie, ale wysłaliśmy za nim list gończy. Znajdziemy go. Jestem o to spokojna. Policjanci z Marsylii sprawdzają wszystkie schroniska dla bezdomnych, ośrodki pogotowia socjalnego, przytułki Emmaus, popularne jadłodajnie, gdzie dają darmowe zupy… Prześledzimy jego trasę aż do Bordeaux i go zlokalizujemy. W ten sam sposób trafiliśmy na ślad Francisa Heaulme'a, seryjnego zabójcy, którego nazywano Mordercą z Plecakiem.

Freire wydawał się rozczarowany. Obracał puszkę w ręku, jakby się w niej przeglądał.

– Co o nim wiecie? – zapytał po dłuższym milczeniu.

– Nic. Czekam najego akta z Marsylii. Ciągle mamy problemy z komputerami. Najgorszym wrogiem policji jest wirus.

Psychiatra nawet się nie uśmiechnął. Podniósł wzrok.

– Sądzi pani, że taka inscenizacja morderstwa pasuje do profilu bezdomnego?

– Absolutnie nie. Ale znajdziemy jakieś wyjaśnienie. Janusz jest być może tylko wspólnikiem.

– Albo świadkiem.

– Świadkiem, który zszedł do kanału naprawczego? Który zostawił odciski palców wszędzie na ścianach? Są to, jak to się mówi, poszlaki obciążające.

– Czy to oznacza, że Patrick Bonfils jest niewinny?

– Nie tak szybko, panie doktorze. Pozostaje jeszcze kwestia planktonu… Na razie koncentrujemy się na Januszu, ale jak tylko będzie to możliwe, pojadę do Guethary i osobiście przesłucham pańskiego protegowanego. W każdym razie to dobry początek.

– Z punktu widzenia… policjanta – skwitował z uśmiechem Freire.

Choć uwaga ta wydała się jej trochę złośliwa, powstrzymała się od komentarza.

– A co u pana?

– U mnie?

– Jak zachował się pański rybak?

– Pomału wraca do swojej prawdziwej tożsamości. Teraz nie pamięta nic o człowieku, którym próbował się stać.

– A o tym, co zobaczył na dworcu Saint-Jean?

– Już mówiłem, że to ostatnia rzecz, o której sobie przypomni. Jeżeli w ogóle wróci mu pamięć o wydarzeniach tego dnia…

– Muszę go przesłuchać.

– Ale nie ma pani zamiaru go aresztować?

– Powiedziałam tak, żeby pana przestraszyć.

– Policjanci lubią straszyć. To dla nich racja bytu.

Anaïs pomyślała, że psychiatra nie ukrywa wrogości. Znowu jeden z tych lewicowców, którzy już od kołyski nasiąkali idiotyzmami Michela Foucaulta. Trudno uwieść faceta, gdy jest się policjantką i nosi się glocka za pasem. Dwa męskie typy to za dużo jak na jedną parę…

Postawiła puszkę na podłodze. Jej nadzieje na uwiedzenie go rozwiały się niczym mgła. Zdecydowanie do siebie nie pasowali.

Chciała już iść, kiedy Freire mruknął:

– Pojadę znowu do Guethary.

– Po co?

– Żeby przepytać Patricka. Dowiedzieć się, kim jest. Poznać prawdę o dworcu Saint-Jean. – Machnął puszką w jej kierunku. – Przecież prowadzimy to samo dochodzenie.

Anaïs znowu się uśmiechnęła. Powróciła nadzieja, a gorąco z nią związane rozeszło się po jej ciele, przynosząc ukojenie. Nigdy nie przypuszczała, że dzięki swojej pracy będzie miała okazję poznać tak urzekającego mężczyznę.

– Czy naprawdę nie chce pan otworzyć przyniesionej przeze mnie butelki?

Dwie godziny później Freire zabrał się ponownie do pracy. Anaïs Chatelet wyszła na lekkim rauszu. Pili, śmiali się, rozmawiali. Freire nie spodziewał się czegoś tak cudownego w pustce swoich wieczorów. Tym bardziej że dotyczyło to historii z morderstwem i amnezją.

Nie zrobił najmniejszego gestu, nie starał się ani przez moment być uwodzicielski. Mimo, jak mu się wydawało, wyraźnych sygnałów z drugiej strony. Freire nie był ekspertem w dziedzinie psychologii kobiecej, ale umiał dodać dwa do dwóch. Nocna wizyta. Butelka wina. Ubiór staranniejszy niż zazwyczaj – chociaż nie pojmował, dlaczego pod sukienkę włożyła dżinsy. Wszystko to dowodziło, że pani kapitan policji była otwarta na inne propozycje.

On jednak nie wykonał żadnego ruchu, by zmienić charakter ich znajomości. Z dwóch powodów. Po pierwsze, przysiągł sobie nie łączyć nigdy życia prywatnego z pracą. Anaïs Chatelet była, choć nie bezpośrednio, związana z jego pracą. Drugim powodem, głębszym, był strach. Trema. Lęk przed odmową. Jak również obawa, że nie stanie na wysokości zadania. Od jak dawna nie uprawiał seksu? Nie pamiętał i bał się, że zapomniał, jak to się robi…

Rozstali się jak dobrzy przyjaciele. Obiecali informować się nawzajem o postępach w prowadzonych dochodzeniach. W ostatniej chwili, kiedy Anaïs już wychodziła, Freire wspomniał jej o facetach, którzy ścigali go w audi Q7. Powiedział, że od kilku dni czuł się śledzony, obserwowany. Dał

jej nawet zdjęcia tablicy rejestracyjnej tego wozu. Anaïs nie wyglądała na przekonaną jego opowieścią, ale obiecała sprawdzić ten numer w policyjnej bazie.

Teraz o północy był sam. Z bólem głowy z powodu wina. Źle znosił alkohol. Znowu poczuł pulsujący ból w oku. Nie chciało mu się jednak spać. Przygotował sobie kawę, wyjął dyktafon i usiadł przy biurku.

Nawet w środku nocy miał możliwość sprawdzić informacje, jakich mu udzielił Patrick Bonfils. Zanim zajmie się stanem jego umysłu, chciał mieć wszelkie dane dotyczące jego prawdziwej tożsamości.

Kowboj pochodził z miasteczka Gheren, w pobliżu Tuluzy. Freire wpisał tę nazwę w wyszukiwarce.

Pierwsze zaskoczenie.

Nie ma żadnego Gheren w departamencie Haute-Garonne. Rozszerzył zakres poszukiwań na cały region Midi-Pyrénees. Żadnej miejscowości, która choćby w przybliżeniu przypominała tę dwusylabową nazwę.

Mathias wpisał „Patrick Bonfils” i zaczął szukać w tym regionie, sięgając do danych urzędów stanu cywilnego, szkół, agencji pośrednictwa pracy. Nie znalazł nic.

Przeszedł do drugiej informacji. Rybak powiedział, że jego była żona, Marina Bonfils, mieszka obecnie w Nîmes lub jego okolicach. Kolejne poszukiwanie. Kolejny zerowy wynik.

Czuł mrowienie w całym ciele. Pot ściekał mu na kołnierzyk koszuli. W lewym oku czuł kłujące pulsowanie bólu.

Odstawił dyktafon i przeszedł do informacji przekazanych przez Sylvie. Historia o ojcu utopionym w beczce z kwasem. Uzmysłowił sobie, że brak mu wystarczająco precyzyjnych danych do efektywnego poszukiwania, zwłaszcza w nieistniejącym mieście, którego nazwę kowboj wymyślił.

Jeśli zaś chodzi o służbę Bonfilsa w Legii Cudzoziemskiej, to nie warto było nawet próbować, bo ta wojskowa organizacja zapewniała swoim żołnierzom pełną anonimowość.

W każdym razie wiedział już wystarczająco dużo. Patrick Bonfils nie istniał, podobnie jak Pascal Mischell.

Ta osobowość była wynikiem fugi dysocjacyjnej.

Freire przeczytał jeszcze raz swoje notatki. Sylvie Robin i Bonfils mieszkali razem od trzech lat. Poznała go z pewnością wtedy, kiedy już uciekał od świata. Przez cały czas, nie będąc tego świadom, okłamywał ją.

Kim był przedtem?

Ile w ten sposób osobowości stworzył, wymyślił, uformował?

Freire wyobrażał sobie konstrukcję psychiczną tego człowieka. W jego umyśle rodziły się osobowości, które miały zdusić tę prawdziwą, niebezpieczną w jego oczach – siebie samego. Patrick Bonfils ustawicznie uciekał od swojego pierwotnego ja, od swojego przeznaczenia. I z pewnością przed jakąś pierwotną traumą.

Odpowiedź, a przynajmniej jej część, tkwiła w nazwisku. Powinien był od razu zwrócić na to uwagę. Te dwie sylaby mówiły o chęci, nadziei Bonfilsa, by stać się „dobrym synem”. Czy to znaczy, że był złym dzieckiem? Pewną wskazówkę stanowiła historia o zamordowaniu ojca. Zamaskowana, przekręcona, zniekształcona przez tajemne tryby jego podświadomości.

Freire wstał z krzesła i przeszedł się po salonie, z rękami w kieszeniach. Miał zamęt w głowie. Jeśli chciał uleczyć olbrzyma, powinien odtworzyć jedną po drugiej wszystkie jego osobowości, aż do odkrycia tej pierwszej, która kształtowała się od urodzenia.

Jak na razie nie miał żadnego sposobu, żeby dowiedzieć się, czy kowboj był na etapie drugiej, trzeciej, czy dziesiątej ucieczki. Jednak nie ulegało wątpliwości, że każde nazwisko i każdy profil istniały nadal w psychice tego człowieka. Skrystalizowane w zakamarkach jego duszy. Jak woda deszczowa z corocznych opadów w lodowcu. Trzeba tylko podrążyć. Wysondować. Przeanalizować. Postanowił, że użyje wszystkich możliwych metod, by przeniknąć tę podświadomą pamięć. Hipnoza. Amytal sodu. Psychoterapia…

Freire poszedł do kuchni po szklankę zimnej wody. Machinalnie wyjrzał na ulicę. Nikogo. Nie było mężczyzn ubranych na czarno. Czyjemu się to wszystko śniło? Wypił wodę, odstawił szklankę do zlewu i nagle ujrzał swoje wnętrze. Ten cel – odkrycie historii Bonfilsa – pozwoli mu bez wątpienia zapomnieć o własnych wspomnieniach, o śmierci Anne-Marie Straub.

Szukać traumy drugiego człowieka, by zapomnieć o własnej…

Nazajutrz rano w drodze do Guethary Mathias Freire myślał o Anaïs. Obudził się z jej obrazem. Obecnością. Głosem.

– Jest pani mężatką? Ma pani dzieci?

– Czy ja wyglądam na mężatkę? Na taką, która ma dzieci? Jeszcze do tego nie doszłam.

– A… na jakim etapie jest pani teraz?

– Na etapie internetu. Portale społecznościowe.

– To działa?

– Powiedzmy, że jak na policjantkę to raczej nie mam wyczucia…

Trochę później to ona zaczęła go wypytywać.

– Dlaczego został pan psychiatrą?

– Z zamiłowania.

– Uważa pan, że to interesujące grzebać w umysłach ludzi?

– Ja nie grzebię w ich umysłach, ja ich leczę. Pomagam im. Zresztą dla mnie nie ma na świecie nic bardziej interesującego.

Anaïs zagryzła dolną wargę. Przyszła mu do głowy ta sama myśl co przy ich pierwszym spotkaniu. Anaïs Chatelet musiała kiedyś być pacjentką szpitala psychiatrycznego, a w każdym razie miała w przeszłości poważne problemy psychiczne.

Znalazł potwierdzenie tej hipotezy trochę później. Kiedy nalewała mu wino, zobaczył jej przedramiona. Ze zgrubieniami. Pocięte we wszystkich

kierunkach. Jedno spojrzenie wystarczyło, by rozpoznać te blizny. Nie były to ślady po próbie samobójczej. Przeciwnie – znaki woli przetrwania.

Mathias często miewał do czynienia z czymś takim. Nastolatki same się okaleczały, żeby znaleźć ulgę w rozpaczy, rozładować emocje. Trzeba było dać temu ujście. Musiała popłynąć krew. Takie nacinanie ciała dawało poczucie swobody. Cierpienie fizyczne w miejsce cierpienia duchowego – odwrócenie uwagi i zarazem ukojenie. Rana fizyczna stwarzała iluzję, że trucizna psychiczna się rozmywa…

Kiedy Anaïs zjawiła się pierwszy raz w jego gabinecie, Freire wyczuł jej siłę. Była silna, bo poznała cierpienie. Jednak była również krucha, wrażliwa. Z tych samych zresztą powodów. Pod koniec XX wieku powtarzano aż do znudzenia frazes z książki Nietzschego *Zmierzch bożyszcz* – co mnie nie zabija, to mnie wzmacnia. Dosyć głupie. Zwłaszcza w tym banalnym, współczesnym rozumieniu. W dzisiejszych czasach cierpienie nie czyni człowieka twardszym, lecz go niszczy, osłabia, odbiera mu odporność. Freire'owi płacono za tę wiedzę. Dusza człowieka to nie skóra, która z upływem czasu twardnieje. To czuła, drgająca, wrażliwa membrana. Szkodzi jej każdy wstrząs.

Cierpienie staje się więc chorobą, która żyje własnym życiem. Budzi się na nowo bez ostrzeżenia, bardziej niebezpieczna niż poprzednia, żywi się sama sobą. Ataki pojawiają się nagle, bez widocznego związku z chwilą obecną, z otoczeniem. Jeśli nawet taki związek istnieje, jest tak głęboko ukryty, że nikt, nawet psychiatra, nie może wydobyć go na jaw.

Anaïs Chatelet żyła pod taką groźbą. Atak mógł wrócić w każdym momencie. Bez żadnych powodów. Kiedy cierpienie się ujawniało, należało uwolnić truciznę. Pozwolić popłynąć krwi. Takie cierpienie nie przychodzi z zewnątrz, ma swe źródło wewnątrz. Można nazywać to nerwicą. Dysfunkcją. Zespołem lękowym. Jest na to kilkanaście określeń. Freire znał je wszystkie. To były jego narzędzia pracy.

Tajemnica jednak pozostaje. Legenda powiada – bo to jest legenda – że źródeł tych ataków należy szukać w dzieciństwie. Choroba kiełkuje w pierwszych latach rozwoju psychiki. Trauma seksualna. Brak miłości. Opuszczenie. Mathias podzielał ten pogląd. Był freudystą. Nikt jednak nie zna odpowiedzi na zasadnicze pytanie: dlaczego mózg jest mniej lub bardziej wrażliwy na traumy czy frustracje dzieciństwa?

Miał do czynienia z nastolatkami, które przeżyły zbiorowy gwałt, kazirodztwo, przeszły przez głód, biedę, bicie, a które, jak czuł, mogły sobie z tym poradzić. Inne, szczęśliwe, wychowane w rodzinach bez problemów, popadały w chorobę przez jakiś drobiazg, podejrzenie, przez własną imaginację. Są dzieci bite, które zapadają na choroby psychiczne, i takie, którym to nigdy się nie zdarza. Nikt nie potrafi wyjaśnić, na czym polega ta różnica. Mniej lub bardziej czuła natura duszy pozwala, by do jej wnętrza przedostały się lęk, cierpienie, ból…

Co przydarzyło się Anaïs Chatelet? Nagły silny szok czy drobne, nic nieznaczące wydarzenie wyolbrzymione przez nadmierną wrażliwość?

Tablica z napisem BIARRITZ oderwała go od tych myśli. Jechał wzdłuż morskiego brzegu. Minął Bidart i dotarł do Guethary. Przejechał przez mały plac, zobaczył boisko do peloty, skręcił w kierunku portu. Zaparkował blisko nabrzeża i poszedł pieszo na betonowe molo.

Była pora przypływu. Z lewej strony morskie fale rozbijały się na pustej plaży. Rozbryzgi gęstej piany przywodziły na myśl szarą ślinę chorego człowieka. Barwa morza oscylowała między czernią a brązem wymieszanym z zielenią. Jego powierzchnia przypominała chropawą, pomarszczoną, mieniącą się skórę płaza.

Łódź stała przy molo, ale nigdzie nie było widać olbrzyma w stetsonie. Freire spojrzał na zegarek. Dziesiąta rano. Ani żywej duszy na przycumowanych kutrach, zwoje sieci, maszty położone na betonie. Otwarty był jedynie sklepik ze sprzętem rybackim. Sprzedawca poradził mu, żeby udał się do domu Bonfilsów, znajdującego się za plażą, kilometr od portu.

Mathias wsiadł z powrotem do samochodu. Ogarnął go niepokój. Pomyślał o tych, którzy go ścigali poprzedniego dnia, o swojej hipotezie na ich temat. Pojawili się przed jego domem w tym samym czasie, kiedy poznał Patricka Bonfilsa. Najwyraźniej interesowali się tym, co kowboj mógł mu powiedzieć. Wysnuł z tego wniosek, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Zapomniał jednak o najważniejszym – skoro jemu coś groziło, to tym bardziej zagrożony był jego pacjent. Uświadomił sobie nagle, że nie należało zabierać go ze szpitala. W swoim pokoju w Pierre-Janet pasażer z mgły był bezpieczny.

Po kilku minutach jazdy zobaczył dom górujący nad plażą. Betonowy klocek, na którym właściciele umieścili drewniany szyld w kształcie tuńczyka. Zostawił samochód przy skarpie. Z podniesionym kołnierzem, z rę-

kami w kieszeniach ruszył w stronę budynku. Zaczął padać deszcz. Na lewo od niego tory kolejowe oddzielały pozostałe domy od plaży i morza. Z prawej strony aż do wody schodziły szarpane wiatrem gęsto rosnące nadmorskie sosny, kwitnące na żółto janowce, różowawe wrzosy.

Zapukał. Cisza. Zapukał jeszcze raz. Na próżno. Teraz już na dobre się zaniepokoił. Obszedł domek i spojrzał w kierunku morza. Byli niżej, na brzegu. Patrick Bonfils siedział na kamieniu i reperował sieć. Jego towarzyszka, w kurtce, chodziła swym chwiejnym krokiem wzdłuż czarnych fal.

Po chwili Freire witał się już z Sylvie.

– Co pan tutaj robi?

Od razu zorientował się, że nie jest mile widziany. Ta kobieta wiedziała. Zawsze to wiedziała. Ucieczka z dwunastego na trzynastego lutego była jednym z wielu kryzysów.

– Nie powiedziała mi pani wczoraj całej prawdy.

– Jakiej prawdy?

– Patrick nie jest Patrickiem. Ta osobowość jest rezultatem ucieczki psychicznej. Jego pierwsza żona, ojciec spalony w kwasie, Legia Cudzoziemska, całe to oszustwo, wiedziała pani o tym od dawna.

Sylvie się nachmurzyła.

– Jakie to ma znaczenie? Jesteśmy i tak szczęśliwi.

Freire musiał zachować ostrożność. Bez pomocy Sylvie nic nie zdziała. Nie dowie się prawdy bez wsparcia tej małej, poczciwej kobietki…

– To nie takie proste – powiedział bardzo spokojnie. – Patrick jest chory. Nie może pani tego lekceważyć. Nie wyzdrowieje, jeśli pozwoli mu się żyć w kłamstwie.

– Nie rozumiem nic z tego, co pan mówi.

Mathias dojrzał w oczach Sylvie strach. Bała się prawdy. Bała się prawdziwej przeszłości Patricka. Dlaczego? Obawiała się, że kowboj może mieć dzieci, żony, długi… Albo, co gorsza, kryminalną przeszłość…

– Może się przejdziemy?

Bez słowa wyminęła go i ruszyła brzegiem wzdłuż fal. Freire spojrzał na Patricka, który właśnie go zauważył spod swojego kaptura. Pomachał do niego przyjaźnie ręką, ale nie zostawił sieci. Prawdziwy obraz człowieka niewinnego.

Mathias dogonił Sylvie. Nogi zapadały mu się w piasek. Nad nimi w strugach deszczu latały ptaki. Mewy, albatrosy, kormorany… Przynajm-

niej takie nazwy przyszły mu do głowy… Ich chrypliwe piski odcinały się od huku oceanu.

– Nie chcę, żeby Patrickowi stała się krzywda.

– Muszę z nim porozmawiać. Sięgnąć do jego pamięci. Nie odzyska prawdziwego spokoju bez powrotu do pierwotnej osobowości. Jego podświadomość nie przestaje go okłamywać. Żyje w iluzji, w kłamstwie, które toczy mu umysł i zagraża jego równowadze. Nie zmieni to absolutnie niczego w waszych stosunkach. Przeciwnie, będzie mógł w pełni się tym cieszyć.

– To pan tak mówi. A jeśli przypomni sobie tego drugiego? Jeśli…

Sylvie nie dokończyła. Odwróciła gwałtownie głowę, jakby zaskoczył ją jakiś hałas. Freire nie pojmował, co się dzieje – nic nie usłyszał. Kobieta zatoczyła się niczym pchnięta niewidzialną siłą.

– Sylvie?

Upadła na kolana. Oszołomiony Mathias zobaczył, że brakuje jej połowy głowy. Odsłonięty mózg parował w zimnym powietrzu. Po sekundzie jej ciało było już zalane krwią. Freire rzucił spojrzeniem w kierunku kamienia. Olbrzym leżał obok kamienia, na szyi miał ranę, jakby ugryzło go niewidzialne zwierzę. Potem z jego piersi trysnęły do góry, ku zachmurzonemu niebu, czarne fontanny krwi.

Ta scena w jakimś przebłysku świadomości przypomniała mu ujęcia filmowe z zabójstwa Kennedy’ego. Strzelano do nich z góry. Bez żadnego dźwięku.

Opuścił wzrok. Na piasku zobaczył ślady po kulach, głębsze niż te od deszczu. Poprzez szum ulewy dobiegł go ich świst, choć same wystrzały były niesłyszalne, zapewne dzięki tłumikowi.

Freire nie czekał dłużej.

Pobiegł do ścieżki, w stronę swojego samochodu.

Strzelający zapewne nie był sam. Ktoś drugi mógł ukryć się wyżej, obok jego volvo. Freire podniósł oczy. Nikogo w zasięgu wzroku. Obejrzał się za siebie. Zboczem, trzysta metrów dalej, jakiś mężczyzna biegł wielkimi krokami przez piasek ku gęstym zaroślom. W rękach trzymał coś czarnego. Pewnie karabin automatyczny. Snajper czy jego wspólnik? W tym samym momencie obok Freire'a gwizdnęły kule. Była to odpowiedź.

Strzelec go odnalazł.

Mathias upadł do tyłu, w krzaki. Karłowate sosny, jeżyny, janowce. Przedzierał się między nimi na czworakach, wdrapując się na górę i cały czas starając się omijać ścieżkę. Posuwał się do przodu, kalecząc sobie twarz i ręce o kolczaste gałęzie i usiłując uporządkować myśli. Bezskutecznie. Przed oczyma miał uparcie powracające krwawe obrazy. Rozłupana czaszka Sylvie. Trafione w pierś ciało olbrzyma.

Wyskoczył z zarośli na wysokości domu Bonfilsów. Był w odległości pięćdziesięciu metrów od swojego volvo. Pobiegł w tamtym kierunku torami, wykręcając sobie nogi na podkładach. Nie widział napastników. Już tylko kilka metrów dzieliło go od samochodu, kiedy przednia szyba, trafiona kulą, zrobiła się biała jak cukier. Chwilę potem siadła opona i rozprysła się szyba z boku.

Freire z uczuciem, że zaraz pękną mu płuca, rzucił się między niskie sosny. Uczynił to bezwiednie, kierując się instynktem samozachowawczym. Kule ze świstem leciały w dalszym ciągu w kierunku jego samochodu. Nie

było mowy o tym, żeby usiąść za kierownicą. Przebiec przez tory na asfaltową drogę? Byłby doskonałym celem. Jeśli zbiegnie w dół na plażę, będzie jeszcze gorzej. Czuł się bezradny, nie widział żadnego wyjścia z tej sytuacji. A deszcz ciągle bębnił o ziemię, liście, jego głowę…

Z krzaków wyłonił się mężczyzna z pistoletem. Biegł w ulewie wzdłuż torów w jego stronę. Był to jeden z tych dwóch ubranych na czarno. Ten z gęstymi brwiami i rzadkimi włosami. Trzymał pistolet z krótką lufą i rozglądał się na wszystkie strony. Mathias zorientował się, że napastnik go nie zauważył.

Przykucnął. Żaden pomysł nie przychodził mu do głowy. Czuł ściekające po twarzy strumienie wody. Wokół niego poruszały się liście. W nozdrza uderzył go silny zapach mokrych roślin i nasiąkniętej wodą ziemi. Chciałby wtopić się w błoto, zniknąć wśród korzeni…

Z dala rozległ się grzmot. Ziemia zadrżała pod jego stopami. Przez chwilę pomyślał, że może zostać porażony piorunem. Albo że ziemia otworzy się i wciągnie go w swoją otchłań. Gdy się podniósł, niczym nasłuchujące zwierzę, pojął, że to wibrujący odgłos nadjeżdżającego pociągu. Pewnie ekspresowy TER, pomyślał.

Pociąg zbliżał się wolno po torze na prawo od niego. Żółto-czerwona lokomotywa ciągnęła wagony jak więzień swoje łańcuchy. Spojrzał na lewo – zabójca biegł w jego stronę, lecz nadal go nie widział. Jeśli jakimś cudem zostanie po drugiej stronie toru, by przepuścić pociąg, Mathias będzie uratowany. Hałas stawał się ogłuszający. Pociąg zwalniał, był już tylko kilka metrów od niego. Freire wcisnął się między sosny, ale zdążył zobaczyć, że zabójca się cofnął. Został po drugiej stronie toru.

Będąc teraz niewidocznym, Freire wstał. Jeden wagon… Drugi… Trzeci… Czwarty… Koła krzesały iskry na szynach. Gdy przejeżdżał piąty, ostatni wagon, Mathias rzucił się jego śladem.

Wyciągnął rękę, złapał się klamki u drzwi. Potknął się na kamieniach, ale trzymał mocno. Pociąg ciągnął go przez kilka metrów. W końcu Freire zdołał wskoczyć na stopień wagonu.

Szarpnął klamką. Bezskutecznie. Spróbował jeszcze raz. Deszcz siekł go po plecach. Wiatr tłukł o ścianę wagonu. Freire szarpał się z klamką. Musi się dostać do środka. Musi jakoś sobie poradzić.

W tym momencie zobaczył ich przez zalane deszczem oczy.

Dwaj uzbrojeni mężczyźni z tyłu na torze. Jeden z nich trzymał chromowaną walizkę, jakiej używają muzycy i didżeje. Drugi schował broń pod płaszcz. Freire przycisnął się do drzwi.

Teraz był całkowicie odkryty – jeśli zabójcy się odwrócą, z pewnością go dostrzegą. Jednak zdarzył się cud. Kiedy znów zaryzykował rzut okiem w ich stronę, zobaczył, że biegną w kierunku volvo. Z pewnością sądzili, że ukrył się gdzieś blisko swojego samochodu. Zanim się zorientują, że wybrał inną możliwość, będzie już daleko.

A może nie tak daleko… Pociąg zwalniał – wjeżdżał na dworzec Guethary. Freire szarpnął jeszcze raz klamkę. Tym razem drzwi się otworzyły. Wślizgnął się do środka.

Pociąg stanął.

Przywitały go zdziwione spojrzenia. Był mokry, rozchełstany, oblepiony liśćmi, piaskiem, kolcami jeżyn. Uśmiechnął się przepraszająco, usiłując jednocześnie doprowadzić się do porządku. Pasażerowie odwrócili wzrok. Mathias opadł na ławkę, wciskając głowę w ramiona.

– Coś nie tak, prawda? – odezwał się siedzący naprzeciwko starszy mężczyzna. – Widziałem, co pan zrobił. Jest pan chory?

Freire nie miał pojęcia, co odpowiedzieć, żeby zniechęcić starego zrzędę mającego pewnie z sześćdziesiąt lat, przesiąkniętego nienawiścią do całego świata.

– Zdaje pan sobie sprawę, jak pan ryzykował? I w dodatku nas pan naraża! Czy pan pomyślał, co się mogło stać? Skoro nikt nie szanuje prawa, nie ma co się dziwić, że mamy taki burdel!

Freire jeszcze raz uśmiechnął się przepraszająco.

– No tak – stary przeszedł na ty – jeszcze się śmiejesz! Takich jak ty powinno się zamykać!

Z tymi słowami wstał i wysiadł z pociągu. Freire odetchnął z ulgą. Z sercem w gardle zerkał na peron. Zabójcy mogli pojawić się lada moment, sprawdzając każdy wagon… To były najdłuższe sekundy w jego życiu. Wreszcie drzwi się zamknęły. Pociąg znowu ruszył.

Mathias poczuł dziwny skurcz. Bał się, czy nie puszczą mu zwieracze.

– Nie trzeba mieć mu za złe…

Jeden z pasażerów zmienił miejsce, by usiąść naprzeciwko niego. Boże, co im się wszystkim stało? – pomyślał Freire i popatrzył na niego bez słowa. Rozmówca obdarował go szerokim życzliwym uśmiechem.

– Nie wszyscy są w stanie zrozumieć trudną sytuację innych ludzi.

Freire nie przestawał spoglądać na drzwi łączące wagon piąty z czwartym. Może weszli do innego… Może zaraz się pojawią…

– Nie poznajesz mnie?

Freire zadrżał, słysząc tę formę na ty. Skierował wzrok na mężczyznę. Jego twarz nic mu nie mówiła. Pacjent z Pierre-Janet? Mieszkaniec dzielnicy Fleming?

– Marsylia, w zeszłym roku – mówił dalej tamten cichym głosem. – Pointe-Rouge. Schronisko Emmaus.

Mathias zrozumiał, skąd wynikło to nieporozumienie. Widząc, wjakimjest stanie, facet pomylił go zjakimś bezdomnym, którego pewnie tam spotkał.

– Daniel Le Guen – przedstawił się pasażer, podając mu rękę. – Zajmowałem się działem sprzedaży w schronisku. Nazywano mnie „Lucky Strike”, bo dużo palę. – Mrugnął do niego okiem. – Teraz sobie przypominasz?

Freire z trudem wydusił kilka słów:

– Przykro mi. Pomylił się pan. Nie znam Marsylii.

– Nie jesteś Victor? – Mężczyzna nachylił się i powtórzył konfidencjonalnym tonem: – Victor Janusz?

Mathias nie odpowiedział. Znał to nazwisko, choć nie był w stanie przypomnieć sobie, gdzie je słyszał.

– Nie. Nazywam się Freire. Mathias Freire.

– Przepraszam.

Freire obserwował go nadal. To, co ujrzał w jego wzroku, wcale mu się nie spodobało. Współczucie i zarazem jakieś zrozumienie. Ten dobry samarytanin z pewnością, choć z pewnym opóźnieniem, zwrócił uwagę na jakość jego ubrania. Pomyślał, że Victor Janusz wrócił na dobrą drogę i nie życzy sobie, by mu przypominano jego wcześniejsze upodlenie. Ale gdzie on już słyszał to nazwisko?

Wstał z ławki. Mężczyzna chwycił go za ramię i podał mu wizytówkę.

– Proszę to wziąć na wszelki wypadek. Wracam tam jutro.

Freire wziął wizytówkę i przeczytał:

DANIEL LE GUEN
TOWARZYSTWO EMMAUS
06 17 35 44 20

Schował wizytówkę do kieszeni bez słowa podziękowania i poszedł usiąść kilka ławek dalej. W głowie miał zamęt. Pomyślał o Patricku i Sylvie, którzy zginęli na jego oczach. A teraz ta dziwna rozmowa z nieznajomym…

Z twarzą przyciśniętą do szyby patrzył na rozmywające się w deszczu morze. Czuł w całym ciele palący niepokój. Stopniowo jednak odprężył się nieco. Pociąg jechał z pełną szybkością. Widok drzemiących pasażerów go uspokajał. Wróci do Bordeaux. Uda się na komendę. Opowie o wszystkim Anaïs Chatelet. Przy odrobinie szczęścia być może zidentyfikowała już tablicę rejestracyjną audi Q7. Poprowadzi dochodzenie. Znajdzie wyjaśnienie. Zatrzyma zabójców. Wszystko wróci do normy…

Nagle znowu przypomniał sobie nazwisko Janusz. Kim był ten człowiek? Jego myśli pobiegły jednak w innym kierunku. Niewytłumaczalne wątpliwości zakradły się do jego umysłu. Zobaczył ostatnie dni jak na filmie wyświetlanym w przyspieszonym tempie. Niezwykłe, wręcz obsesyjne zainteresowanie pacjentem o nazwisku Bonfils. Szalona chęć poznania, kim był naprawdę. Determinacja, by bez względu na trudności wyjaśnić ten przypadek. Dlaczego tak się w to zaangażował, chociaż wcześniej postanowił zachowywać dystans? Dlaczego poświęcał tyle energii, żeby zrozumieć problemy psychiczne kowboja?

Te pytania podkopały całkowicie jego pewność siebie. A może on sam nie jest tym, za kogo się uważa? Może jest „pasażerem bez bagażu”?

Ofiarą fugi dysocjacyjnej?

Wzruszył ramionami, potarł twarz ruchem zniecierpliwienia, jakim gniecie się pierwszą wersję listu przed wyrzuceniem go do kosza. Absurdalny pomysł. Nazywa się Mathias Freire. Jest psychiatrą. Pracował w Villejuif. Wykładał w Sainte-Anne w Paryżu. Nie może wątpić w sprawność swojego umysłu za każdym razem, kiedy jakiś nieznajomy będzie go brał za kogoś innego.

Podniósł wzrok. Daniel Le Guen przesłał mu porozumiewawcze spojrzenie. To było nie do zniesienia. Facet wydawał się pewny swego – spotkał ponownie Victora Janusza… Mathias zadrżał. Już wiedział, gdzie usłyszał to nazwisko. Tak nazywał się kloszard, którego odciski palców znaleziono

w kanale naprawczym na dworcu Saint-Jean. Podejrzany numer jeden w sprawie Minotaura.

Poczuł, że ma spoconą twarz. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. A jeśli ten facet z Emmaus ma rację? Może rzeczywiście jest Victorem Januszem?

– To niemożliwe – szepnął sam do siebie. – Nazywam się Mathias Freire. Mam dyplom ukończenia medycyny. Jestem psychiatrą od ponad dwudziestu lat. Profesorem na wydziale w Sainte-Anne. Ordynatorem w Specjalistycznym Centrum Leczniczym Pierre-Janet w Bordeaux…

Przerwał, gdy zorientował się, że mruczy sam do siebie, kołysząc się na ławce w przód i w tył niczym muzułmanin powtarzający swoje sury. Albo schizofrenik, gdy ma atak choroby. Wyglądał jak wariat i pozostali pasażerowie patrzyli na niego z coraz większym zażenowaniem.

Znowu opadły go wątpliwości. Przecież Patrick Bonfils także potrafił wyliczyć szczegóły ze swojej przeszłości. A czy on sam nie miał trudności w przypomnieniu sobie osobistych przeżyć? Czy, uczciwie mówiąc, nie był za bardzo samotny? Bez przyjaciół, bez rodziny? Czy jego umysł nie był dziwnie skłonny do abstrakcyjnego myślenia, generalizowania? Żadnych kontaktów z kobietami, żadnych emocji…

Potrząsnął głową. Nie, nieprawda. Miał wspomnienia. Na przykład Anne-Marie Straub. Coś takiego trudno wymyślić… Freire znieruchomiał. Teraz przyglądano mu się jeszcze intensywniej. Uderzał głową w ścianę wagonu. Ucieczka, fuga. Całkowita ułuda. A może przeczuwał to od dawna…

Pociąg zwolnił. Wjechał na dworzec w Biarritz. Pasażerowie wstali.

– Czy wie pan, dokąd jedzie ten pociąg? – zapytał jednego z nich.

– Do Bordeaux. Na dworzec Saint-Jean.

Daniel Le Guen także wysiadł z wagonu. Ten zwykły fakt przyniósł Freire’owi prawdziwą ulgę. Istniał prosty sposób, żeby przekonać się, kim był naprawdę. Sprawdzić dokumenty. Dyplomy. Teczki. Swojąprzeszłość. Uzyska potwierdzenie, żejestMathiasem Freire’em. Że nie ma nic wspólnego z jakimś Victorem Januszem, kloszardem podejrzanym o morderstwo.

Poczuł się szczęśliwy, kiedy znalazł się znowu w dzielnicy Fleming. Zdarzyło się to po raz pierwszy. Dom Opal. Jego dom. Wszedł przez furtkę. Otworzył kluczem drzwi.

Na widok nagich ścian, pokoi bez mebli nie odczuł spodziewanego ciepła. Dom nie miał wyrazu: ani przeszłości, ani osobowości. Wszedł na górę do sypialni na piętrze. Odnalazł kartonowe pudełko, w którym trzymał teczki z ważnymi dokumentami. Dowód osobisty. Paszport. Karta ubezpieczenia zdrowotnego. Dyplomy medycyny. Wyciągi z banku. Zeznanie podatkowe, na którym widniał jego poprzedni adres – Paryż, ulica de Turenne 22.

Wszystko było w absolutnym porządku. Freire odetchnął z ulgą. Przejrzał jeszcze raz papiery, tym razem uważniej. Kiedy przyjrzał się z bliska każdemu z tych dokumentów, niepokój powrócił. Co do dowodu tożsamości, paszportu, karty ubezpieczenia zdrowotnego Freire nie mógł się wypowiadać, nie był przecież w tej dziedzinie specjalistą. Ale inne papiery były fotokopiami. A gdzie są oryginały?

Zdjął płaszcz nieprzemakalny. Poczuł uderzenie gorąca. Serce waliło mu jak młotem. Zakładając, że nie jest tym, za kogo się uważał, że jest uciekinierem jak Patrick Bonfils, wszystko to stało się poza jego świadomością, po okresie amnezji. Wobec tego kto spreparował te dokumenty? Jakim sposobem?

Pokręcił głową. Czyste szaleństwo. W tej chwili miał pilniejsze sprawy do załatwienia.

Trzeba jechać do komisariatu. Opowiedzieć Anaïs Chatelet o tym, co się wydarzyło w Guethary. Chwycił płaszcz, zgasił światło, zbiegł po schodach.

Zatrzymał się na progu. Jego wzrok spoczął na nierozpakowanych pudłach, wypchanych różnymi przedmiotami, fotografiami, szczegółami z przeszłości. Otworzył pierwsze z brzegu i omal nie krzyknął. Było puste. Chwycił drugie, ale już po jego wadze wiedział, że nic w nim nie ma.

Następne. Puste.

Następne.

Puste. Puste. Puste.

Upadł na kolana. Popatrzył na ustawione pod ścianami brązowe pudła, które od dwóch miesięcy odgrywały jedynie rolę dekoracji. Zwykła inscenizacja, by uprawdopodobnić jego zmyśloną osobowość. Stworzyć iluzję przeszłości, pochodzenia. Oszukać innych i jego samego.

Objąwszy głowę rękami, zaszlochał. Prawda go dobiła. On także był człowiekiem o wielu osobowościach. Pasażerem bez bagażu. Pasażerem z mgły…

Czy rzeczywiście był kloszardem? Zabójcą? A kim był wcześniej? Pytania te wirowały w jego umyśle. Jakim sposobem stał się psychiatrą, posiadaczem własnego domu? Jak zdobył te dyplomy? Przypomniał sobie zdanie Eugene’a Ionesco: „Rozum to jeszcze większe szaleństwo”… Autor miał rację. Wystarczy być przekonującym wobec innych i wobec siebie samego, żeby majaczenie stawało się prawdą. Ocierając łzy, wstał z kolan, wyjął komórkę z kieszeni. Musi mieć potwierdzenie, choćby to najgorsze…

Zadzwonił do biura informacji i poprosił o połączenie ze szpitalem Paul-Guiraud w Villejuif. Już po minucie usłyszał głos telefonistki w centrali. Poprosił o połączenie z sekretariatem administracji szpitala. Powiedział, że chciałby rozmawiać z doktorem Mathiasem Freire’em.

– Z kim?

Starając się zapanować nad własnym głosem, dodał:

– Być może już tu nie pracuje. W ubiegłym roku pracował jako psychiatra w Specjalistycznym Centrum Leczniczym.

– Pracuję w administracji szpitala od sześciu lat, ale nigdy nie słyszałem tego nazwiska, na żadnym oddziale.

– Dziękuję pani.

Wyłączył komórkę. Cierpiał na taki sam syndrom jak mężczyzna w stetsonie. Tyle że jego mistyfikacja była bardziej wymyślna. Był niczym rosyjska matrioszka. Otwierasz pierwszą, znajdujesz drugą i tak dalej. Aż do najmniejszej – tej, która istnieje naprawdę.

Było jednak jeszcze gorzej.

Victor Janusz, kloszard, został aresztowany w Marsylii za czynną zniewagę, w Bordeaux był podejrzany o zabójstwo. Co się wydarzyło z dwunastego na trzynastego lutego na dworcu Saint-Jean? Przecież spędził tę noc w Specjalistycznym Centrum Leczniczym. Czy nie był wtedy na nocnym dyżurze? Miał na to świadków. Podpisywał zalecenia. Pozdrowił strażnika, wchodząc i wychodząc… A może już w ataku choroby wymknął się i dotarł we mgle aż do dworca? Może rozminęli się z Bonfilsem na torach? Sytuacja wręcz absurdalna. Dwóch facetów z amnezją wpada na siebie i się nie rozpoznaje…

Zebrał wszystkie dokumenty i włożył je do tekturowej teczki. Chwycił laptopa, który zawierał wszystko, co napisał przez te dwa miesiące na temat swoich pacjentów, zapakował i wyszedł, nawet nie zamykając na klucz drzwi domu.

Pięćset metrów za miasteczkiem uniwersyteckim złapał taksówkę. Podał adres komendy głównej w mieście. Nadeszła pora spłaty swoich długów. Półtora miesiąca udawania i kłamstw. Cały czas myślał tylko o jednym – wyjaśnić wszystko Anaïs Chatelet. Poddać się leczeniu w ośrodku, w którym sam pracował. I spać, spać…

Zapaść w sen i obudzić się w skórze innego człowieka – to znaczy we własnej. Nawet jeśli miałby się obudzić z kajdankami na rękach.

– Kapitan Chatelet jest nieobecna – powiedział oficer w eleganckim ubraniu.

– Czy mogę na nią poczekać?

– W jakim celu?

Freire zawahał się – za długo musiałby wyjaśniać. Zdecydował się na akcent osobisty.

– Jestem psychiatrą, który zajmuje się człowiekiem z amnezją, zatrzymanym na dworcu Saint-Jean. Mam dla pani kapitan pewne informacje. Są one poufne.

Policjant otaksował Freire'a sceptycznym spojrzeniem. Płaszcz przemoczony do cna, oblepiony liśćmi, do tego zabłocone buty.

– Niedługo wróci – mruknął w końcu. – Proszę usiąść.

Freire usiadł na jednym z krzeseł w korytarzu. Znajdował się na pierwszym piętrze głównej siedziby policji w Bordeaux, na ulicy François-de-Sourdis. Ogromny, nowiuteńki, biały budynek, przywodzący na myśl pływającą po mieście górę lodową. Jak się domyślił, na tym piętrze znajdowały się biura oficerów. Było pusto, ale wyczuwało się, że wiele się tu dzieje. Popołudnie jak każde inne w siedzibie policji. Mathias siedział dokładnie naprzeciwko biura Anaïs. Na drzwiach widniała tabliczka z jej nazwiskiem. Biuro samotnej pani kapitan, z oszklonymi drzwiami zaopatrzonymi w podnoszone rolety.

Rozejrzał się wokoło. Nikogo. Przyszedł mu do głowy szalony pomysł. Wślizgnąć się do środka. Znaleźć akta sprawy Minotaura. Przeczytać, co policja wiedziała o Victorze Januszu. Absurdalna myśl, lecz nie potrafił się już od niej uwolnić.

Spojrzał ponownie na prawo i na lewo. Nadal pusto. Wstał z krzesła, udając, że rozprostowuje nogi, po czym poruszył klamką.

Biuro nie było zamknięte na klucz.

Wszedł do środka i bardzo cicho zamknął za sobą drzwi. Następnie opuścił rolety. Spojrzał na zegarek. Piętnasta dziesięć. Dał sobie pięć minut na przeszukanie biura. Ani sekundy dłużej. Mimo deszczu i zapadającego już zmierzchu widział na tyle dobrze, że nie musiał zapalać światła.

Jednym rzutem oka objął pomieszczenie. Standardowe, biurowe umeblowanie. Żadnych osobistych elementów na ścianach czy na meblach. Freire pomyślał o swoim gabinecie w szpitalu. Na prawo dostrzegł metalowe szafki z przegródkami. Naprzeciwko szafa z drzwiczkami harmonijkowymi. Biurko z szufladami i stos teczek.

Nie musiał szukać daleko.

Interesujące go dokumenty znajdowały się na samej górze.

Nie miał czasu na czytanie raportów z przesłuchań, ale znalazł zdjęcia. Zwłoki w kanale naprawczym. Wychudzone, blade, wytatuowane. Czarny łeb byka. Jakby ofiara wyłoniła się z odległych wieków, spośród fantastycznych stworów, z przerażających mitów. Fotografia miała swoistą surowość, charakteryzującą dokumenty archiwalne. Kronika wypadków z początków świata.

Przejrzał inne zdjęcia. Zwłoki ofiary w kostnicy. Twarz Philippe’a Duruya po ściągnięciu z niej straszliwej maski. Twarz zmiażdżona, asymetryczna. Następna koszulka i kolejne fotografie. Chłopak z czarnymi obwódkami wokół oczu trzymający tabliczkę z wypisanym kredą numerem. Miał już widać przedtem do czynienia z policją.

Kolejne akta. Sprawozdania z przesłuchań. Nie miał czasu ich czytać. Wreszcie opis sceny zabójstwa przygotowany przez techników z laboratorium kryminalistycznego. Wśród innych papierów fiszka z odciskami palców znalezionymi na miejscu przestępstwa. „Odciski Victora Janusza”.

Kroki w korytarzu. Freire zastygł w bezruchu. Kroki się oddaliły. Spojrzał na zegarek. Musiał wytężyć wzrok, żeby zobaczyć, która jest godzina.

Piętnasta szesnaście. Minęło już sześć minut, Anaïs Chatelet wkrótce wróci do swojego gabinetu.

Popatrzył jeszcze raz na odciski. Wpadł na kolejny pomysł. Zajrzał do szuflad. Znalazł wieczne pióro. Wyjął z niego pojemnik z atramentem. Wyrwał z drukarki arkusz białego papieru i wylał na niego atrament. Zanurzył w nim swoje pięć palców, a potem odcisnął je u góry arkusza.

Porównał je z odciskami Victora Janusza. Nie trzeba było być specjalistą, żeby zauważyć podobieństwo.

Jeden odcisk identyczny.

Drugi identyczny.

Trzy identyczne odciski.

Victor Janusz to on sam.

Gdy pojął, że ma przed sobą, czarno na białym, niezbity dowód, w jednej sekundzie zmienił swoje plany. Winnemu pozostaje tylko jedno wyjście – ucieczka.

Chwycił arkusz i schował go do kieszeni. Wcisnął pojemnik z atramentem do pióra, które schował z powrotem do szuflady. Zostawił dokumenty na górze stosu i skierował się do drzwi.

Uchylił je do połowy, rozejrzał się po korytarzu. Wyszedł z możliwie najbardziej obojętną miną i ruszył do klatki schodowej.

– Proszę pana!

Mathias się nie zatrzymywał.

– Proszę pana!

Freire stanął i obejrzał się, usiłując zachować spokój. Czuł, jak po plecach spływa mu pot. Ten sam elegancki policjant szedł w jego kierunku.

– Nie czeka pan na panią kapitan Chatelet?

Spróbowawszy bezskutecznie przełknąć ślinę, odpowiedział chrapliwym głosem:

– Nie… nie mam już czasu.

– Szkoda. Właśnie dzwoniła, że zaraz wraca.

– Nie mogę dłużej czekać. To nie było aż tak ważne.

Młody oficer zmarszczył brwi. Zadziałał szósty zmysł policjanta.

Chociaż Freire starał się ze wszystkich sił opanować, widać było, że się czegoś boi.

– Proszę zostać. – Ton policjanta się zmienił. – Kapitan Chatelet zaraz tu będzie.

Freire opuścił wzrok. To, co zobaczył, przeraziło go. Policjant trzymał teczkę z napisem: VICTOR JANUSZ, MARSYLIA.

Wszystko się gmatwało wokół niego. Nie był w stanie myśleć, mówić. Policjant wskazał siedzenia przymocowane do ściany.

– Proszę usiąść, nie wygląda pan najlepiej.

– Le Coz, chodź tutaj!

Głos pochodził z któregoś z pokoi.

– Niech się pan stąd nie rusza – dodał elegant, po czym odwrócił się i poszedł do kolegi, który stał kilka metrów dalej. Zniknęli, zatrzaskując za sobą drzwi.

Freire nadal stał. Krew pulsowała mu w skroniach. Nogi się pod nim uginały. Miał do zrobienia tylko jedno – usiąść i czekać, aż go aresztują. Zamiast tego szybkim krokiem cicho ruszył korytarzem. Otwarta klatka schodowa prowadziła na parter. Zbiegł po stopniach.

Znalazł się na dole, sam nie wierzył, że mu się udało. Przeszedł przez hol. Wrzawa wokół niego była jak szum własnej krwi. Zobaczył drzwi wyjściowe. Miał wrażenie, że się kołyszą.

Od progu dzieliły go trzy lub dwa metry.

Cały czas spodziewał się ataku od tyłu.

Zobaczył ją przez podwójne szklane drzwi.

Anaïs Chatelet wysiadała z samochodu. Schronił się w toalecie po prawej stronie w holu. Wślizgnął się do kabiny i zaryglował drzwi, trzęsąc się na całym ciele.

Po minucie szedł już ulicą lśniącą od deszczu.

Sam.

Zagubiony.

Ale wolny.

– A niech to cholera! – zaklęła Anaïs przez zęby.

Le Coz właśnie ją poinformował, że chciał się z nią zobaczyć Mathias Freire. Ale korytarz był pusty. Psychiatra zniknął.

– Był tutaj jeszcze pięć minut temu. – Le Coz rozejrzał się dokoła. – Powiedziałem mu, żeby się stąd nie ruszał. Wyglądał jakoś dziwnie…

– Dogoń go i przyprowadź do mnie.

Le Coz podał jej kartonową teczkę.

– Masz. Akta Janusza. W końcu dotarły. Samolotem.

Wzięła dokumenty i nie patrząc na nie, powtórzyła:

– Znajdź Freire’a. Muszę z nim pogadać.

Le Coz pobiegł szybko do schodów. Anaïs zagryzła wargi.

– Cholera – mruknęła do siebie. Nie mogła uwierzyć, że się z nim minęła. Po co przyszedł? Czy znalazł jakiś pretekst, żeby się z nią zobaczyć? Uspokój się, dziewczyno, nakazała sobie w myślach.

Była w okropnym humorze. Ani Conante ze swoimi taśmami wideo, ani Zakraoui ze swoimi dealerami, ani Jaffar szukający śladu psa i łachów Duruya nie znaleźli niczego istotnego. A zegar tykał nieubłaganie…

Weszła do swojego gabinetu i zamknęła drzwi nogą. Tylko trop z Januszem przyniósł pewien efekt. Machinalnie, nie siadając ani nie zapalając lampy pod sufitem, otworzyła teczkę z aktami marsylskiego kloszarda.

– O cholera! – powtórzyła, ale tym razem zupełnie innym tonem.

Do pierwszej strony dopięte było zdjęcie bezdomnego. To był Mathias Freire. Nieogolony, potargany, brudny, ale z pewnością to był on. Spoglądając ponuro, trzymał tablicę z nazwiskiem i numerem, gotów plunąć w obiektyw. Po omacku odnalazła krzesło i ciężko na nim usiadła.

Odwróciła kartkę, po czym przebiegła wzrokiem raport z przesłuchania Victora Janusza. Został zatrzymany dwudziestego drugiego grudnia 2009 roku o godzinie dwudziestej trzeciej po bójce z innymi bezdomnymi. To, co mówił, nie miało sensu. Sprowokowano go. Bronił się. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów ani nie potrafił przypomnieć sobie czegokolwiek o swoim stanie cywilnym.

Człowiek z marginesu społecznego przesiąknięty alkoholem. Jakim sposobem komuś takiemu udało się zostać ordynatorem w Specjalistycznym Centrum Leczniczym Pierre-Janet? Czy to możliwe, że jest zabójcą Philippe’a Duruya?

Anaïs podniosła wzrok. Coś wyczuła. Popatrzyła na leżące na biurku przedmioty, dokumenty, teczki. Wszystko na tym samym miejscu, ale widać było ślady obecności kogoś obcego.

Ktoś wtargnął do jej gabinetu.

Czegoś szukał.

Kto? Mathias Freire?

Powiodła wzrokiem i zobaczyła dwie teczki z drugiej strony biurka. Wstała i podeszła bliżej. Gość zostawił na widocznym miejscu fiszkę z odciskami palców znalezionymi w kanale naprawczym.

Obok leżała kartka, na której Mathias Freire napisał:

NIE JESTEM MORDERCĄ.

Zaczął się wyścig z czasem. Kiedy Anaïs Chatelet zobaczyła jego zdjęcie w teczce z aktami Victora Janusza, bez wątpienia natychmiast wysłała samochód policyjny do jego domu i do Specjalistycznego Centrum Leczniczego. Na pewno poleciła wziąć pod obserwację dworzec Saint-Jean, lotnisko, autostrady, dworce autobusowe, a także krajowe drogi departamentalne wychodzące z miasta. W pościg za nim wysłała patrole, które przeczesują Bordeaux.

– To tutaj – powiedział do kierowcy taksówki. – Proszę na mnie poczekać.

Freire kazał taksówkarzowi zatrzymać się kilka numerów dalej od swojego domu.

– Wracam za trzy minuty.

Pobiegł szybko. Otworzył drzwi. Chwycił torbę podróżną i wrzucił do niej ubrania. Przede wszystkim jednak zabrał dokumenty osobiste, których nie wziął godzinę wcześniej. Rozliczenia podatkowe, dyplomy, zaświadczenia ze szpitala w Villejuif…

W tym momencie usłyszał syreny zbliżających się wozów policyjnych. Zapiął torbę i wybiegł pędem z domu.

Dopadł taksówki. W oku czuł ostry, pulsujący ból. Miał mdłości. Serce waliło mu jak młotem.

– Dokąd mam pana zawieźć?

– Port lotniczy Bordeaux-Mérignac, lotnisko międzynarodowe.

W drodze mijały ich wyjące głośno radiowozy. Nie mógł uwierzyć, że spowodował takie poruszenie. Nie myślał jednak o policji ani o zabójcach. Myślał o sobie samym. Kim naprawdę był? Wygrzebywał z pamięci szczegóły, które potwierdzały, że jego pobyt w Bordeaux polegał na udawaniu. To, że w szpitalu często czuł się nieswojo. Samotne wieczory w anonimowym mieszkaniu. Zakłopotanie, które odczuwał, gdy próbował przypomnieć sobie coś z przeszłości.

Nie miał prawdziwych wspomnień. Te, które rodziły się w jego mózgu, były tylko fikcją. Cierpliwe kamienie nieprzeniknionego muru wzniesionego między jego przeszłością a teraźniejszością.

Tylko jeden obraz wydawał się realny – obraz ciała wiszącej nad nim Anne-Marie Straub… Nazwiska, daty były być może zmyślone, ale fakty są realne. Czy rzeczywiście był wówczas psychiatrą? A może pensjonariuszem jakiegoś zakładu? Czy właśnie to samobójstwo stało się przyczyną jego pierwszej fugi?

– Jesteśmy na miejscu.

Freire zapłacił. Wszedł szybkim krokiem do hali odlotów. Gorący pot oblepiał całe jego ciało. Odszukał bankomat i podjął maksymalną, jaką mógł, kwotę pieniędzy – dwa tysiące euro, swoją miesięczną pensję. Razem z tym, co miał w portfelu, powinno na trochę wystarczyć. Czekając na wypłatę, rozglądał się po sali. Obserwowały go kamery bezpieczeństwa. Tym lepiej.

Niech go widzą.

Niech myślą, że wsiadł do samolotu.

Znalazł martwy punkt poza kamerami, wyjął swój telefon komórkowy. Skasował wszystkie kontakty z listy, po czym wystukał numer zegarynki. Nie wyłączając telefonu, wrzucił go do kosza na śmieci. To samo zrobił ze swoim płaszczem. Potem wymknął się dyskretnie. Wsiadł do autobusu jadącego w kierunku centrum miasta.

Policja zapewne była u niego w domu i stwierdziła, że się spakował. Najpierw zabiorą się do szukania jego samochodu. Kiedy go nie znajdą, dojdą do wniosku, że Freire uciekł którąś z dróg wylotowych. Ustawią wszędzie zapory i punkty kontrolne.

Pierwszy fałszywy trop.

Następnie znajdą na lotnisku jego włączony telefon komórkowy. Sprawdzą wszystkie loty z Bordeaux-Mérignac. Kiedy nie znajdą jego nazwiska

na listach pasażerów, przypomną sobie o kamerach wideo i przejrzą nagrane taśmy. Popytają policjantów z ochrony lotniska. Odnajdą kierowcę taksówki. Wszystko będzie się zgadzać. Victor Janusz alias Mathias Freire odleciał po południu pod jeszcze innym nazwiskiem.

Drugi fałszywy trop.

Wtedy on będzie już daleko. Dojechał na dworzec Saint-Jean. Wszędzie grupy policjantów. Strażnicy z psami przy wyjściach. Na parkingu policyjne furgonetki.

Obszedł budynek od tyłu. Plac budowy, dźwigi, wykopy ułatwiły mu działanie. Zauważył mężczyznę z wózkiem na bagaże, jednego z tych, którzy odprowadzają podróżnych do pociągu. Odciągnął go na bok i poprosił, żeby poszedł zamiast niego kupić bilet.

– A dlaczego pan sam nie pójdzie?

– Mam kilka ważnych telefonów do wykonania.

– Czemu miałbym panu wierzyć?

– To ja okazuję ci zaufanie – odrzekł Freire, wręczając mu dwieście euro. – Kup mi bilet na pierwszy pociąg jadący do Marsylii.

Mężczyzna odwrócił się, by odejść.

– Poczekaj, dam ci jeszcze sto euro za twoją czapkę i kamizelkę.

Mężczyzna uśmiechnął się ze zrozumieniem. Ta prośba go uspokoiła. Teraz przynajmniej sytuacja była jasna. Gość uciekał przed policją. W tym momencie zdał sobie sprawę, że na dworcu aż się roi od policjantów. Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wyglądało na to, że perspektywa wyprowadzenia w pole glin bardzo mu się spodobała. Zdjął czapkę i kamizelkę odblaskową. Na głowie miał długie dredy a la Bob Marley.

– Przypilnuję twojego wózka – rzekł Freire, szybko się przebierając.

Czekał ponad dziesięć minut, oparty o wózek, z miną możliwie najbardziej obojętną. Policjanci przechodzili obok, nie zwracając na niego żadnej uwagi. Wypatrywali uciekającego mężczyzny, cienia przemykającego pod ścianami, a nie stojącego bezczynnie tragarza w czapce w jaskrawych barwach i w kamizelce pracowników kolei.

Wrócił Bob Marley.

– Ostatni bezpośredni pociąg do Marsylii właśnie odszedł. Kupiłem ci bilet na ekspres do Tuluzy-Matabiau, który odjeżdża o dwudziestej drugiej piętnaście. Stamtąd jest pociąg do Marsylii, z kuszetkami, o godzinie zero

dwadzieścia pięć. Będziesz na miejscu o piątej. To jedyne połączenie, w przeciwnym razie mógłbyś wyjechać stąd dopiero jutro rano.

Perspektywa spędzenia nocy w pociągu wydała mu się nie taka zła. Nikt nie będzie go szukał w środku nocy gdzieś na terenie departamentu Midi-Pyrenees. Dał pieniądze rastamanowi z dredami, ale przebranie postanowił zachować aż do odjazdu pociągu.

Godzina czekania. Policjanci nadal go nie zauważali. Ze swoim bagażem na wózku wyglądał po prostu jak tragarz czekający na klienta, który poszedł kupić sobie gazety. On sam też nie zwracał uwagi na policjantów. Próbował zebrać myśli.

Nie mógł być zabójcą Minotaura. Musiałby odciąć głowę bykowi. Znaleźć wyjątkowej jakości heroinę. Wyszukać i zaciągnąć w pułapkę Philippe'a Duruya. Przetransportować ciało aż do kanału naprawczego… W ostateczności Freire był w stanie wyobrazić sobie utratę pamięci, ale nie to, że mógłby wówczas, nieświadomie, przygotować taki plan. Zabójstwo Philippe'a Duruya jest dziełem kogoś innego. Jednakże odciski palców świadczyły o tym, że on również był w kanale naprawczym. W jakim momencie? Czy zaskoczył zabójcę? Czy był razem z Patrickiem Bonfilsem?

Jego pociąg wjechał na peron. Freire ściągnął czapkę i kamizelkę, zostawił wózek i wszedł do wagonu. Usadowiwszy się, wrócił do poprzednich rozważań. Chciał uporządkować wszystkie wątpliwości, zanim pociąg dojedzie do Agen, lecz nie minęło dziesięć minut od odjazdu, kiedy zapadł w mocny sen.

Mathias Freire przepadł bez śladu.

Le Coz i Zakraoui byli u niego w domu. Jaffar w Specjalistycznym Centrum Leczniczym Pierre-Janet. Nie zastali go w żadnym z tych miejsc. Anaïs, nie czekając na ich powrót, wydała rozkaz kontrolowania dworców kolejowych i autobusowych, lotnisk, wyjazdów na autostrady, drogi krajowe i departamentalne.

Rozesłała zdjęcia Janusza/Freire'a do wszystkich komisariatów w południowej Francji. Skontaktowała się z gazetami regionalnymi, by opublikowały to zdjęcie w pierwszym porannym wydaniu. Z lokalnymi stacjami radiowymi, żeby wystąpiły z apelem o zgłaszanie się świadków. Podano numer telefonu, pod który można było bezpłatnie dzwonić, oraz stronę w internecie. Rozpoczął się wielki pościg.

Wewnętrzny głos mówił jej, że nie ma racji. Wystawiła Mathiasa Freire'a na żer mediom, opinii publicznej i swoim przełożonym, nie mając konkretnych dowodów jego winy. Komisarz telefonicznie wydał jej polecenie: „Ma go pani znaleźć przed wieczorem". Dzwoniła także Veronique Roy: „To niesłychana historia!". Telefon od prefekta: „Co się dzieje? Zidentyfikowaliście go?". Dziennikarze pytali: „Morderca uciekł?". Wszystko to mogło być dobre dla jej awansu, wizerunku, opinii. Nikt jednak nie zadał jednego istotnego pytania: czy Janusz był mordercą Minotaura?

Teraz ścigano zbiega. Już nie zastanawiano się, kto jest zabójcą Philippe'a Duruya. A przecież dopóki nie ma konkretnych dowodów, Freire alias

Janusz jest tylko świadkiem w prowadzonym śledztwie. Jeszcze za wcześnie ogłaszać go winnym.

W rzeczywistości było za późno.

Psychiatra, decydując się na ucieczkę, przypieczętował swój los. Czy ucieka ktoś, kto ma czyste sumienie? Przeglądając w ciągu tych ostatnich godzin napływające ciągle doniesienia i raporty, Anaïs nie czuła złości wobec Mathiasa. Powinien był jej zaufać. Czekać spokojnie w jej gabinecie. Ochroniłaby go…

Rozdzieliła wydrukowane dokumenty i zrobiła krótkie podsumowanie. Początkowo uznano, że Mathias Freire uciekł samochodem. Ze zdobytych informacji wynikało, że jest właścicielem volvo 960 diesel, o numerze rejestracyjnym 916 AWX 33. Wozu nie znaleziono ani pod domem psychiatry, ani na parkingu Specjalistycznego Centrum Leczniczego Pierre-Janet. Potem stwierdzono, że zbieg udał się na lotnisko Bordeaux-Mérignac, tam też znaleziono jego telefon komórkowy. W hali odlotów podjął z bankomatu dwa tysiące euro.

Tutaj ślad się urywał. W okolicy lotniska nie było jego samochodu. Na pokładzie żadnego z samolotów wylatujących tego popołudnia nie było pasażera o nazwisku Freire ani Janusz. Anaïs czuła w głowie zamęt. Freire umyślnie skierował ich na fałszywy trop, żeby zyskać na czasie. Telefon komórkowy i płaszcz znaleziono dopiero po godzinie w koszu na śmieci na lotnisku.

Od tamtej pory nie było żadnych nowych informacji.

Po radiowym apelu do świadków otrzymali, jak zawsze w takiej sytuacji, całą masę informacji niespójnych, fantastycznych, a nawet sprzecznych. Przy żadnej zaporze drogowej nie zatrzymano poszukiwanego volvo. Nikt z żandarmów ani z policjantów nie zauważył nigdzie Mathiasa Freire’a. Klapa na całej linii.

Anaïs była pewna, że Mathias jest już daleko. Przynajmniej taką miała nadzieję. Nie pragnęła go złapać. Najpierw chciała wyjaśnić całą sprawę. On był tylko jednym ogniwem w śledztwie, musiała znaleźć pozostałe tropy. Zamierzała zająć się tym jak najszybciej. Postanowiła pojechać nazajutrz do Guethary i porozmawiać z tym człowiekiem cierpiącym na amnezję.

Godzina osiemnasta pięćdziesiąt.

Lepiej robić cokolwiek, niż tkwić w biurze. Wsiadła do samochodu i pojechała do dzielnicy Fleming. Wyjące syreny. Migające światła kogutów. Bordeaux nie widziało jeszcze nigdy tylu policyjnych wozów, tylu mundurów na swoich ulicach. Dzięki ci, Janusz, westchnęła w myślach.

Anaïs gwałtownie zwolniła. Dotarła na miejsce. Atmosfera była inna niż poprzedniego wieczoru. Policyjne furgony, samochody osobowe z logo policji. Wozy brygady kryminalnej. Byli tu wszyscy.

Zgasiła silnik. Wyobraziła sobie policjantów przewracających do góry nogami całe mieszkanie. Wczoraj piła tutaj wino Château-Lesage z czarującym mężczyzną. Miała wrażenie, że depczą brutalnie jej wspomnienia.

Stojący pod domem policjanci, rozpoznawszy ją, odsunęli się na bok. Po salonie kręcili się funkcjonariusze i technicy z wydziału kryminalistyki, ubrani w swoje kosmiczne kombinezony. Pojawił się Le Coz. Podał jej ochraniacze na buty.

– Włożysz?

– Obejdzie się.

– Ale przecież odciski…

– Zgłupiałeś? Tutaj nie ma dla nas nic.

Le Coz przytaknął w milczeniu. Anaïs włożyła tylko lateksowe rękawiczki.

– Masz rację. Ten facet to prawdziwy duch. Wszędzie sterylnie czysto.

Freire chyba nie jadał w domu. Zajrzała do szafek i szuflad. Talerze, sztućce, garnki. Żadnych artykułów żywnościowych. Na jednej z półek zobaczyła tylko herbatę. Bezwiednie otworzyła lodówkę. Też nic. Oprócz przyniesionej przez nią butelki chateau-lesage, której nie wypili do końca. Idiota. Takie doskonałe bordeaux…

W salonie rozległy się czyjeś szybkie kroki, zagłuszające wrzawę wywoływaną przez policjantów i techników. Anaïs wyszła z kuchni. Na progu pojawił się zadyszany Conante.

– Macie go? – zapytała.

– Nie. Ale jest inny problem.

– Jaki?

– Ten facet z Saint-Jean, z amnezją, Patrick Bonfils. Został zastrzelony na plaży w Guethary. I jego kobieta.

– Co takiego?

– Nie żartuję. Powiadomiła nas o tym policja z Biarritz. Anaïs cofnęła się do kuchni i oparła dwiema rękami o zlew.

Puściła zimną wodę i napiła się prosto z kranu. Wszystko wokół niej wirowało. Krew spłynęła jej z głowy aż do żołądka. Była bliska omdlenia.

– Freire – szepnęła z ustami przy strumieniu zimnej wody – w jakie gówno wdepnąłeś?

Marsylia, Saint-Charles, szósta trzydzieści rano.

Wbrew wszelkim oczekiwaniom Freire czuł się wypoczęty. Spał na trasie z Bordeaux do Agen. Spał między Agen i Tuluzą. Drzemał na dworcu Toulouse-Matabiau, czekając na pociąg odjeżdżający o północy. Potem spał w wagonie z kuszetkami do samej Marsylii. Nie była to ucieczka przed pościgiem, ale kuracja snem. Prawdę mówiąc, inna forma ucieczki. W nieświadomość.

Przed oknami wagonu przesuwały się wolno perony marsylskiego dworca. Na zewnątrz musiało być chłodno, bo szyny były oblodzone. Pomyślał, że Marsylia to ostatnie miejsce, gdzie się go spodziewano. Z tego względu pomysł, by tu przyjechać, był dobry. Jednak śledztwo wkrótce przeniesie się i do tego miasta. Jakie są szanse wymknąć się policyjnym patrolom, mającym świeżo w pamięci zdjęcie jego twarzy?

Pociąg zatrzymał się z długim zgrzytem. Miał prawie półtorej godziny spóźnienia. Kiedy peron zapełnił się pasażerami, Freire wtopił się w tłum, z torbą na ramieniu, z laptopem pod pachą.

Dworzec Saint-Charles przypominał dworzec Saint-Jean. Takie same wielkie okna witrażowe, takie same stalowe konstrukcje. Takie same niekończące się perony oświetlone białymi lampami.

Freire szedł razem z innymi pasażerami, kiedy nagle się zatrzymał.

Policjanci, na końcu peronu.

Byli ubrani po cywilnemu, ale ich zakazane gęby, sylwetki bandziorów, pewność siebie nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

A więc Anaïs Chatelet i inni rozumowali tak samo jak on. Liczyli na to, że tutaj wpadnie w ich ręce…

Strumień pasażerów płynął nadal. Walizki uderzały go po nogach. Potrącano go. Z bijącym sercem ruszył naprzód, lecz tym razem wolniej, usiłując coś wymyślić. Uciec na drugą stronę peronu? Wskoczyć między tory? Nie da się. Na obu stały pociągi, między którymi nie było przerwy.

Freire jeszcze bardziej zwolnił. Skończył się dobry nastrój po przespanej nocy. Powrócił strach. Przyszedł mu do głowy pomysł, by udać, że czegoś zapomniał, wejść z powrotem do wagonu. Poczekać tam na dogodny moment do ucieczki. Kiedy jednak peron opustoszeje, policjanci i straż kolejowa z psami przejdą przez cały pociąg, sprawdzą wszystkie przedziały, toalety.

Złapią go jak szczura.

Lepiej zostać na świeżym powietrzu.

Szedł ciężkim krokiem. Był coraz bliżej końca peronu, ale nie przychodził mu do głowy żaden nowy pomysł.

– Przepraszam!

Odwrócił się. Zobaczył niską kobietę. Jedną ręką ciągnęła za sobą walizkę, w drugiej niosła torbę. Jej ramienia trzymał się kurczowo dwunastoletni chłopiec. Szansa, przemknęło mu przez głowę.

– Przepraszam – odezwał się. – Czy mogę pani pomóc?

– Dziękuję, poradzę sobie.

Kobieta ominęła go. Jej twarz wyrażała zniecierpliwienie, a nawet złość. Freire przyspieszył kroku, wyprzedził ją i odwróciwszy się, uśmiechnął się do niej jeszcze szerzej.

– Proszę pozwolić, że pani pomogę. Widzę, że jest pani ciężko…

– Niech pan zostawi mnie w spokoju.

Nie wypuszczała z rąk ani walizki, ani torby. Chłopiec zgromił go wzrokiem. Freire szedł tyłem, zwrócony do nich twarzą.

Jeszcze z pięćdziesiąt metrów i zostanie zatrzymany przez policję.

– Proszę mnie wypróbować – zaproponował. – Poniosę pani rzeczy do końca peronu. A tam oceni mnie pani czerwonym lub niebieskim kolorem.

Twarz chłopca się rozpromieniła.

– Jak w programie *Nowa gwiazda?*

Freire powiedział to bez zastanowienia, robiąc aluzję do audycji telewizyjnej, którą raz oglądał. Piosenkarze nowicjusze byli oceniani przez jury złożone z profesjonalistów za pomocą kolorowych błysków reflektorów.

Ten szczegół zmienił całkowicie sytuację. Kobieta, podobnie jak syn, też się rozchmurzyła. Popatrzyła na Freire'a uważniej, jakby namyślając się: „Ostatecznie, dlaczego nie?". Podała mu walizkę i torbę. Freire poprawił swoją na ramieniu, wcisnął głębiej laptop pod pachę i chwycił bagaże kobiety. Chłopiec uczepił się jego ramienia, podskakując.

Policjanci nawet na nich nie popatrzyli. Szukali mężczyzny osaczonego, uciekającego, spanikowanego. A nie ojca rodziny w towarzystwie żony i syna. Jednak Freire nadal nie czuł się bezpieczny. Obszerna hala dworcowa obsadzona plastikowymi palmami wydawała się roić od policjantów, strażników, agentów bezpieczeństwa. Dokąd iść? Nie miał żadnych wspomnień z Marsylii.

– Nie znam miasta – zaryzykował. – Jak dostać się do centrum?

– Może pan pojechać autobusem lub metrem.

– A piechotą?

– Pójdzie pan do schodów z napisem „Saint-Charles". Na lewo. Zejdzie pan na bulwar Aten. Przetnie pan la Canebiere. Pójdzie pan prosto, potem będzie Vieux-Port.

– A pani dokąd idzie?

– Na dworzec autobusowy, tam, na lewo.

– Odprowadzę panią.

Gdy doszli na miejsce, Freire pożegnał się z kobietą i jej synem, po czym odszedł szybkim krokiem, szukając wyjścia, o którym mówiła. Zobaczył ogromne schody liczące ze sto stopni, prowadzące do miasta.

Była zaledwie siódma rano.

Kiedy schodził na dół, zobaczył w świetle latarni pod kamiennym murkiem niemrawych bezdomnych. Kartony taniego wina, wyliniałe psy, jakieś tobołki… wszystko lepkie od brudu. Obraz nędzy i rozpaczy.

Freire się wzdrygnął.

Ujrzał swoją bliską przyszłość.

Zatrzymał się na samym dole. Po drugiej stronie ulicy dojrzał sklep z militariami chroniony żelazną kratą. Przeszedł przez jezdnię i na wywieszce przeczytał, że otwierają go o dziewiątej. Znajdzie tu wszystko, czego mu potrzeba. Wszedł do kawiarni o nazwie Le Grand Escalier, znajdującej się naprzeciwko. Usiadł przy stoliku w głębi, z widokiem na ulicę, i zamówił kawę.

W brzuchu mu burczało. Był głodny. Zjadł trzy rogaliki i wypił dwie kawy. Burczenie w żołądku ustało, ale na jego miejsce pojawiły się mdłości. Wiedział, że to strach. Sukces na dworcu dodał mu nerwowej, gorączkowej energii. Zamówił jeszcze herbatę i poszedł do toalety.

Dzień wstawał powoli. Najpierw kawałek nieba zaróżowił się na perłowo, potem kredowy błękit zajął całą przestrzeń między budynkami. Freire dostrzegł teraz okalające bulwar drzewa i lampy w stylu rokoko. Te szczegóły coś mu mówiły. Nasuwały wspomnienia. Wyczuwał je w swojej krwi, w swoim ciele. Znajomy szum. Znał to miasto.

Godzina dziewiąta.

Sklep z militariami nadal był zamknięty. Wrażenia nabierały kształtów. Miejski gwar, gładkość kamieni, ostrość światła. I to coś charakterystycznego dla śródziemnomorskiego klimatu, wyczuwalnego we wszystkim, pochodzące z morza, z antyku. Freire nie miał ani przeszłości, ani teraźniejszości, ani przyszłości. Jednak czuł się tutaj jak u siebie.

Wreszcie pojawił się potężny facet w drelichowej kurtce, ostrzyżony na jeża. Podniósł żelazną kratę. Freire uregulował rachunek i wyszedł z kawiarni. Przechodząc przez ulicę, dojrzał dalej na bulwarze aptekę. Przyszła mu do głowy inna myśl. Skierował się tam i kupił środki owadobójcze, puder przeciw świerzbowi, kilka buteleczek z płynem przeciw wszom i dwie chroniące przed pchłami obróżki dla psów.

Wrzucił to wszystko do torby i zawrócił w stronę sklepu z militariami. Była to jaskinia Ali Baby w wojskowym wydaniu, pełna łachów w kolorze khaki, śpiworów z kamuflażem, płacht ochronnych, białej broni i butów na ekstremalne warunki. Właściciel doskonale pasował do tego otoczenia – głowa jak u legionisty, tors dokera, stosowny tatuaż.

– Chciałbym obejrzeć najbardziej zniszczone ubrania.

– A konkretnie? – zapytał właściciel z nieufną miną.

– Potrzebuję czegoś na bal kostiumowy. Chcę się przebrać za kloszarda.

Facet dał znak, żeby Freire poszedł za nim. Zagłębili się w labirynt korytarzy z malowanych na biało cegieł. Unosił się tutaj silny zapach filcu, kurzu, naftaliny. Zeszli po betonowych schodach.

Właściciel zapalił światło. Znaleźli się w obszernym kwadratowym pomieszczeniu, z luźno leżącą na podłodze wykładziną, ze ścianami pobielonymi wapnem.

– Towar, którego nie udało się sprzedać – mruknął mężczyzna, wskazując na stos leżących na ziemi szmat. – Niech pan wybiera. Ale uprzedzam, nie obniżam ceny.

– W porządku.

Tatuowany legionista odszedł z powrotem na górę, zostawiając Freire’a samego. Bez trudu znalazł to, czego potrzebował. Zdjął ubranie, opryskał się środkiem owadobójczym, obsypał pudrem na świerzb. Zapiął jedną obróżkę przeciw pchłom na ramieniu, drugą na kostce u nogi. Wtedy dopiero wciągnął zniszczone, postrzępione drelichowe spodnie. Włożył jedną na drugą kilka dziurawych, podniszczonych przeciwpotnych koszulek. Do tego granatowy, równie zużyty pulower. Na wierzch włożył kurtkę, niegdyś pikowaną, ale teraz bardziej płaską niż wykładzina na podłodze. Wyszukał wojskowe rozeschnięte buty, które otwierały się w palcach niczym paszcza krokodyla. Jedyną rzeczą, na której nie oszczędzał, były skarpetki – ciepłe, grube, bez dziur. Całość stroju uzupełnił marynarskim beretem w cienkie biało-niebieskie paski.

Obejrzał się w lustrze.

Nie wyglądało to autentycznie.

Łachy były stare, ale czyste. A on sam, twarz, skóra, ręce – wszystko świadczyło o burżuazyjnym komforcie, w jakim ostatnio żył. Trzeba było poprawić ten wizerunek, zanim się na coś takiego zdecydował. Zebrał swoje ubranie i schował je do torby, po czym ruszył schodami na górę.

Legionista czekał na niego przy kontuarze. Zażądał czterdziestu euro za wszystko.

– Wyjdzie pan w tym?

– Chcę przetestować wiarygodność mojego przebrania.

Freire wyjmował już pieniądze, kiedy blisko kasy zauważył stojak z komandoskimi nożami i lśniące noże sprężynowe.

– Który by mi pan poradził?

– Ma pan wyglądać jak kloszard czy jak Rambo?

– Od dawna marzyłem o dobrym nożu.

– Do jakiego celu?

– Polowanie. Włóczęga po lesie.

Właściciel wybrał nóż długi jak przedramię.

– Najlepszy, gdy chodzi o przeżycie. Stalowe zębate ostrze. Rękojeść z poliamidu wzmacnianego włóknem szklanym z wtopionymi kawałkami szkła. Dzięki temu nożowi Eickhorn-Solingen wygrał kontrakt na zaopatrywanie Bundeswehry. Jak się panu podoba?

Tatuowany legionista już dawno nie wypowiedział tylu zdań naraz. Freire patrzył na nóż leżący na kontuarze. Lśniące zęby ostrza przywodziły na myśl szyderczy uśmiech mordercy.

– Nie ma pan czegoś… bardziej dyskretnego?

Legionista był najwyraźniej zawiedziony. Wyjął czarny sprężynowy nóż, który otworzył jednym szybkim ruchem.

– PRT-Osiem. Też Eickhorn-Solingen. Zębate stalowe ostrze z wewnętrzną sprężyną. Rękojeść z czarnego duraluminium. Na końcu rękojeści zbijak do szyb samochodowych i ostrze do przecinania pasów bezpieczeństwa. Mały, ale solidny.

Freire obejrzał nóż krótszy od poprzedniego o dobre dziesięć centymetrów. O wiele łatwiejszy do schowania. Wziął go do ręki, ocenił wagę.

– Ile?

– Dziewięćdziesiąt euro.

Zapłacił, złożył nóż, wsunął do kieszeni kurtki.

Wyszedł na zalany słońcem bulwar i ruszył na powrót w stronę dworca. Miał wrażenie, że liczba stopni na schodach Saint-Charles się podwoiła. Kiedy wszedł do hali dworcowej, zapytał, gdzie znajduje się przechowalnia bagażu. Peron A, w prawym końcu hali. Wydało mu się, że wokoło było już znacznie mniej policjantów i strażników. Podobnie jak i pasażerów.

Na pustym peronie zobaczył przechowalnię bagażu. W wejściu była śluza bezpieczeństwa z kamerami oraz ruchoma taśma z rentgenem i bramką wykrywającą metal. Freire cofnął się, wyjął dyskretnie nóż i wsunął go pod ławkę na peronie.

Potem ruszył z pochyloną głową. Postawił torbę i laptopa na ruchomej taśmie. Agent bezpieczeństwa, rozmawiający przez telefon, spojrzał roztargnionym wzrokiem na ekran. Dał znak Freire'owi, żeby przeszedł. Przy bramce z wykrywaczem metali nikt go nie obszukał. Wziął swoje rzeczy z taśmy, spoglądając na kamery. Jeśli włączano je na dzień, to był zgubiony.

Sala przypominała szatnię na basenie. Szeregi szarych szafek pod ścianami, na podłodze linoleum, żadnego okna. Wybrał schowek 09A. Wepchnął do środka torbę i komputer. Zdjął zegarek i włożył go do torby podróżnej razem z kartą bankomatową i portfelem z dokumentami na nazwisko Mathias Freire.

Zapłacił sześć i pół euro za siedemdziesiąt dwie godziny, dostał kartę służącą za klucz i zamknął metalowe drzwiczki szafki. Zostało za nimi wszystko, co wiązało się z osobą Mathiasa Freire'a.

Zachował przy sobie jedynie dwa tysiące euro i wizytówkę Le Guena, człowieka z Emmaus, którego spotkał w pociągu do Biarritz.

Wyszedł z przechowalni, wziął spod ławki nóż i skierował się do wyjścia z dworca. Kilka razy mijał policjantów w mundurach. Bacznie mu się przyglądali, ale jego niezbyt udane przebranie okazało się wystarczającym kamuflażem.

Kiedy znalazł się na dworze, skręcił na lewo, w stronę hotelu Ibis. Poszukał wzrokiem drogowej tablicy sygnalizacyjnej. Wcisnął swoją kartę do schowka 09A za metalową obudowę. Wystarczy, że przyjdzie tutaj i stanie się na nowo Mathiasem Freire'em.

Ponownie wrócił do schodów, stanął na ich szczycie i jakąś chwilę podziwiał miasto wynurzające się z szarawej mgiełki przesiąkniętej porannym światłem, latające nad nim mewy. W głębi widoczne były niebieskawe pa-

górki. Stojąca w centrum Notre-Dame-de-la-Garde, ze swoją miedzianą Madonną, przypominała wzniesioną pięść ze złotym sygnetem.

Freire poczuł, jak ogarnia go poetycki nastrój.

Kiedy opuścił wzrok, zobaczył kloszardów, których widok sprowadził go z powrotem na ziemię.

Zbiegł szybko po stopniach, doszedł do bulwaru Aten i ruszył w stronę Canebiere. Sklep papierniczy na placu des Capucines podsunął mu kolejny pomysł. Kupił tam notes i długopis. By móc robić notatki. Zamierzał, niczym archeolog, zrekonstruować swoją przeszłość, każdą najmniejszą przemianę, jaką uda mu się odkryć.

Jeszcze dalej natknął się na arabskie delikatesy. Skierował się do półek, gdzie stały kartonowe pudła z tanim winem. Szukał najtańszego. Nabył liche wino w plastikowym pojemniku o kształcie beczułki zaopatrzonej w kranik.

Dotarł do ulicy Canebiere.

Jakby znalazł się w Algierze.

Większość przechodniów była arabskiego pochodzenia. Kobiety często miały zasłonięte twarze. Mężczyźni z brodami, niektórzy w rytualnych czapeczkach. Młodzi chodzili grupami, nieogoleni, ponury wzrok, ciemna cera. Nad tłumem unosiły się kłęby pary. Ludzie w strojach do joggingu, w ciepłych bluzach z futrzanymi kołnierzami, w puchowych kurtkach. Wszyscy przepychali się, schodząc na bok tylko po to, by przepuścić tramwaje.

Freire spodziewał się tu drogich sklepów sprzedających towary najbardziej renomowanych marek. A znalazł bazarowe kramy, gdzie można było kupić miedziane dzbanki do herbaty, tanie bluzki, dywany.

Przed kawiarenkami przy stolikach z porysowanymi blatami siedzieli okutani mężczyźni, popijający herbatę z małych zdobnych szklaneczek.

Freire zauważył przejście prowadzące na patio. Na ziemi walały się kartonowe pudła i puste wiklinowe kosze. Przeszedł przez te śmieci i dotarł na wewnętrzne podwórze otoczone budynkami z wąskimi przejściami, gdzie na sznurkach suszyło się pranie.

Nigdzie nie widać nikogo.

W głębi stały wielkie zielone pojemniki na śmieci, przepełnione aż po brzegi. Freire wydobył to, czego potrzebował. Skorupki jajek. Zepsute owoce. Cuchnące, niedające się zidentyfikować odpadki. Wstrzymując oddech, wysmarował nimi swoje łachy, pociął nożem spodnie i kurtkę. Po czym, od-

kręciwszy kranik, podniósł plastikowy pojemnik nad głowę. Wino polało się na jego włosy, twarz, ubranie. Poczuł taki wstręt, że wypuścił z rąk pojemnik, który upadł na ziemię.

Zgięty wpół, zaczął wymiotować, obryzgując spodnie i buty. Nie starał się przed tym chronić. Przeciwnie. Trwał tak kilka sekund oparty o śmietnik, czekając, aż ustanie łomot w skroniach.

W końcu wyprostował się, z obolałym gardłem, chwiejąc się na nogach. Czuł bijący od niego smród wymiocin. Zakręcił kran w pojemniku, spojrzał na swój uświniony sweter i uznał, że powinien kontynuować to, co się tak dobrze zaczęło.

Rozpiął rozporek i zaczął sikać.

– Co się tu wyprawia?

Freire natychmiast zapiął spodnie i podniósł wzrok. Jakaś kobieta, wychylając się przez poręcz między suszącymi się prześcieradłami, obrzucała go wściekłym spojrzeniem.

– Sikaj u siebie! Parszywy moczymorda!

Rzucił się do ucieczki, ściskając pojemnik, jakby chodziło o jakiś skarb. Kiedy znalazł się ponownie na ulicy Canebiere, nie był już Mathiasem Freire’em, ale bezdomnym włóczęgą. Przyrzekł sobie, że od tego momentu ani przez chwilę nie będzie rozumował jak Mathias Freire, psychiatra, tylko jak Victor Janusz, poszukiwany kloszard.

Od Janusza dotrze do swojej poprzedniej osobowości.

Tym sposobem odkryje w końcu swoje prawdziwe pochodzenie.

Swoją pierwotną tożsamość.

Najmniejszą matrioszkę.

Szedł wzdłuż torów tramwajowych, susząc na słońcu swoje cuchnące łachy.

Zobaczył w oddali Vieux-Port.

Instynktownie domyślał się, że tam właśnie przebywają kloszardzi.

Był pewien, że któryś z nich rozpozna Victora Janusza.

II

VICTOR JANUSZ

Vieux-Port, niczym olbrzymia litera „U”, obejmował ramionami tor wodny. Na krańcach tej grobli pełniły straż dwa forty, których nazwy pamiętał: fort Saint-Nicolas i fort Saint-Jean. Ciasno ściśnięte z tyłu budynki tworzyły wał obronny. Maszty stojących na redzie statków przypominały tego dnia szpilki wbite w powierzchnię wody – ciemną, jakby pokrytą lakierem, nieruchomą, a widoczne na niej zmarszczki raczej pochłaniały światło, niż je odbijały. Niebo powyżej miało barwę krwi, jakby dzień przebił się przez noc, zadając jej śmiertelne rany. Janusz spuścił wzrok, nie mogąc dłużej patrzeć na ten czarno-czerwony pejzaż.

Nie miał odwagi iść dalej. W tym momencie zauważył po prawej stronie pod arkadami grupę kloszardów. Leżeli jeden obok drugiego niczym ofiary kataklizmu. Janusz podszedł bliżej i lepiej im się przyjrzał. Jedni przykryci kartonami, drudzy otoczeni brudnymi torbami, wszyscy przywodzili na myśl stosy szmat. Można było odnieść wrażenie, że w nocy zamarzli. Jednak kasłali, pili, spluwali… Trupy znowu się poruszały.

Janusz usiadł obok pierwszego w rzędzie. Poczuł, jak przenika go chłód asfaltu, dusi smród bijący od tego człowieka, który spojrzał na niego przygaszonym wzrokiem, najwidoczniej go nie rozpoznając.

Postawił obok siebie pojemnik z winem. W oczach sąsiada zapalił się błysk zainteresowania. Janusz spodziewał się, że kloszard nawiąże konwersację, by dobrać się do wina, ale usłyszał tylko:

– Zjeżdżaj stąd, to moje miejsce.

– Jezdnia jest dla wszystkich, no nie?

– Nie widzisz, że pracuję?

Janusz nie od razu zrozumiał. Mężczyzna miał gołe stopy. Jedną nogę podwinął pod siebie, na drugiej widać było tylko dwa palce. Tymi dwoma pozostałymi mu palcami chwytał brzeg metalowego pudełka od herbatników i szurał nim na widok przechodniów.

– Nie wchodź w drogę alpiniście, który stracił palce na Evereście… Nie masz swojego miejsca? – burknął. – To mróz mnie tak załatwił…

Oryginalna historia. Od czasu do czasu jakimś cudem któryś z przechodniów wrzucał do pudełka drobną monetę. Janusz stwierdził, że nie tylko sąsiad tak „pracował”. Inni podchodzili aż do kolumnady arkad, gdzie żebrali z wyciągniętą ręką, zaczepiając przechodniów, którzy starali się ich omijać. Żebrzący byli przymilni, ale zarazem agresywni, wrodzy. Mówili głosem chrypliwym: „proszę pana”, „proszę”, „dziękuję”, podczas gdy od każdego z nich biła nienawiść i pogarda.

Janusz spojrzał ponownie na swego sąsiada. Wielka broda, rojąca się od wszy, czapka, która dawno straciła swoją barwę. Odsłonięte fragmenty twarzy pokrytej strupami, stwardniałej, pomarszczonej od mrozu. Sine żyły wiły się pod skórą niczym rzeki płynące z tego samego źródła – pijaństwa. Nie była to twarz, lecz raczej zlepek połamanych kości, opuchłych mięśni, krost i blizn.

– Chcesz moje zdjęcie?

Janusz podał mu pojemnik. Kloszard bez słowa chwycił go, odkręcił kranik zębami i długo, długo pił. Po czym, nieco uspokojony, zaśmiał się. Popatrzył na Janusza z większą uwagą. Robił wrażenie, jakby przez opary alkoholu zadawał sobie pytania. Niebezpieczny? Narkoman? Wariat? Pedzio? Były więzień?

– Jak się nazywasz?

– Victor. – Chwycił pojemnik i udał, że pije. Od samego zapachu tego sikacza omal nie zwymiotował.

– Ja nazywam się Bernard. Skąd pochodzisz?

– Z Bordeaux – odparł Janusz bez namysłu.

– Ja pochodzę z północy Francji. Wszyscy tutaj jesteśmy z północy. Na ulicy lepiej się żyje w słońcu…

Tak, lepiej, że to Marsylia, a nie Katmandu. Ostateczne miejsce przeznaczenia, końcowy przystanek, bez nadziei ani celu, lecz temperatura nie spa-

dała tu poniżej zera. Janusz, zmoczony winem i wymiocinami, drżał z zimna. Zamierzał zadać kolejne pytanie, kiedy poczuł muśnięcie między nogami. Sięgnął tam mimo woli ręką i coś go ugryzło. Spod jego ud wymknął się szczur.

Bernard zachichotał.

– O kurwa! Udało mu się! Jest ich w Marsylii mnóstwo. To nasi kumple!

Złapał pojemnik i znowu uraczył się długim łykiem wina za zdrowie miliona szczurów w Marsylii. Otarł usta i pogrążył się w milczeniu.

Janusz zapuścił pierwszą sondę:

– Chyba już się kiedyś widzieliśmy, no nie?

– Nie wiem. Od jak dawna jesteś w Marsylii?

– Właśnie wróciłem, ale byłem tu w Wigilię.

Bernard nic nie odpowiedział. Spoglądał jednym okiem na przechodniów. Gdy któryś z bezdomnych oddalał się pod arkady, natychmiast machał swoim blaszanym pudełkiem. W porcie pojawiało się coraz więcej ludzi, narastał zgiełk.

– Od dawna jesteś kloszardem? – zapytał Bernard.

– Od roku – zaimprowizował Janusz. – Nie udało mi się znaleźć żadnej pracy.

Bernard zaśmiał się gorzko.

– Wszyscy jesteśmy tu z tego powodu.

Janusz rozumiał zawartą w jego słowach gorycz. Ofiary społeczeństwa. Wszyscy ludzie z marginesu tym się tłumaczą, ale nikt im nie wierzy. Bernard zaś śmiał się w sposób, który oznaczał coś przeciwnego – to społeczeństwo było ich ofiarą.

– Ile masz lat? – odważył się zapytać Janusz.

– Około trzydziestu pięciu.

Victor dałby mu z pięćdziesiąt.

– A ty?

– Czterdzieści dwa.

– Cholera, życie cię nie pieściło.

Janusz uznał to za komplement. Był bardziej przekonujący, niż przypuszczał. Zresztą z każdą sekundą czuł się coraz bardziej zdegradowany, coraz bardziej brudny. Kilka dni na ulicy, picia sikacza i wycierania tyłkiem ziemi razem z tymi brudasami, a stanie się jednym z nich.

Bernard pociągnął kolejny łyk. I znowu ogarnęła go wesołość z domieszką agresji. Janusz pojął istotę sprawy. Ci ludzie żyją, myśląc o piciu, bo dodaje to kolorytu ich nędznej egzystencji. Łyk za łykiem, karton za kartonem i w końcu przychodzi stan ogłupienia. Potem przytomnieją i zaczynają od nowa.

Wstał z ziemi i zrobił kilka kroków w kierunku arkad. Z rozmysłem wystawił się na spojrzenia pozostałych bezdomnych. Żadnego błysku w oczach świadczącego, że któryś z nich go poznał. Żadnego przywołującego gestu. Najwyraźniej nigdy nie należał do tej grupy.

Usiadł z powrotem obok Bernarda.

– Nie ma tu zbyt dużo ludzi tego rana…

– Masz na myśli bezdomnych?

– Tak.

– Chyba kpisz? Jest ich aż za dużo. Do żebrania potrzebny jest własny kąt. Zresztą i tak niedługo wykituję. – Bernard nagle podniósł głos: – Kurwa, trzeba się nieźle naharować!

Janusz pojął, że w dzień można spotkać tylko poszczególnych kloszardów, próbujących wyłudzić od przechodniów choć kilka groszy.

– Gdzie spędzasz noc? – zapytał.

– W Madrague! W schronisku dla bezdomnych. Witają tam każdego z otwartymi ramionami. Co wieczór jest nas tam około czterystu. Swojska atmosfera!

Czterystu kloszardów pod jednym dachem. Nie mógł marzyć o niczym lepszym, to znaczy gorszym. Znajdzie się tam z pewnością ktoś, kto go rozpozna i udzieli mu informacji na temat Victora Janusza. Bernard machnął pojemnikiem z rozczarowaną miną.

– Nie masz drobnych, żeby kupić drugi?

– Może i mam.

– To idę z tobą.

Spróbował się podnieść, ale udało mu się tylko głośno pierdnąć. Janusza ogarnęła nagle nienawiść. Po strachu, lęku, odrazie teraz odczuł silną wrogość wobec tych zdegenerowanych istot.

Taka bezduszność jego samego zaskoczyła. Czy miał jakiś osobisty powód, by nienawidzić kloszardów? Czy pielęgnował w sobie tę nienawiść? Czy mogła stać się motywem zabójstwa?

– Niedaleko stąd jest pompa z wodą – powiedział Bernard, kiedy wreszcie wstał.

Janusz też dźwignął się z asfaltu. Idąc za Bernardem, powtarzał w duchu słowa, które napisał w biurze Anaïs Chatelet:

„Nie jestem mordercą”.

Kolejna bezsenna noc.

Syrop zamiast śniadania.

Było południe. Anaïs Chatelet i Le Coz jechali w kierunku Biarritz. Przez całą noc nadzorowała poszukiwania. Każda grupa, każda zapora była w stałym kontakcie z centrum dowodzenia w siedzibie policji. Sprawdzono wszystkie stacje benzynowe, schroniska, opuszczone domy, każdą dziurę w Bordeaux, w której można by się ukryć. Poproszono także policję w Marsylii, by miała oko na przybywających na dworce kolejowe i lotniska, na wypadek gdyby Janusz zatęsknił za starymi kątami, choć Anaïs w to nie wierzyła.

W akcji brało udział ponad trzystu ludzi – policjanci z wydziału zabójstw w Bordeaux, agenci BAC i niebiesko umundurowani żandarmi departamentu Żyrondy. Chatelet, szefowa grupy śledczej do spraw zabójstw, w ciągu jednej nocy stała się głównodowodzącą całą armią.

I wszystko to na darmo.

Nie wpadli na najmniejszy trop.

Dla spokoju sumienia zostawiono agentów w mieszkaniu Freire’a i w szpitalu. Pod kontrolą był bank i bankomaty, gdzie mógłby podjąć pieniądze, rozmowy telefoniczne z jego domowego aparatu. Jednak Anaïs wiedziała, że to nic nie da. Janusz zatarł za sobą wszystkie ślady. Nie popełni błędu. Mogła podziwiać jego inteligencję w akcji.

Tej nocy, w trakcie kierowania grupą poszukiwawczą, walcząc cały czas ze śmiertelnym zmęczeniem, z powodu którego czuła się tak, jakby poruszała się w skafandrze, prowadziła własne śledztwo na temat tego człowieka o dwóch twarzach. Sprawdziła wszystko to, co dotyczyło życia Mathiasa Freire'a i Victora Janusza. Z kloszardem poszło szybko. Żadnych danych o zawodzie, żadnych informacji z jakiegokolwiek urzędu. Anaïs rozmawiała z policjantami, którzy aresztowali Janusza w Marsylii. Zapamiętali go jako rozrabiakę z marginesu. Był w okropnym stanie, z szeroką raną w zmierzwionych długich włosach. Zabrano go do szpitala. Badanie wykazało trzy i siedem dziesiątych promila alkoholu we krwi. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów potwierdzających jego tożsamość. Podał swoje nazwisko, i tyle. Victor Janusz nigdzie oficjalnie nie istniał poza kilkoma godzinami, które spędził w areszcie w Évêché, gmachu policji marsylskiej.

Psychiatra zostawił więcej śladów. Anaïs udała się do Specjalistycznego Centrum Leczniczego Pierre-Janet. Przejrzała jego dokumenty. Dyplomy. Pełnione funkcje. Zaświadczenia ze szpitala Paul-Guiraud w Villejuif… Wszystko było w porządku. Wszystko było nieprawdą.

Z samego rana zasięgnęła informacji w Izbie Lekarskiej. We Francji nie było żadnego psychiatry, który nazywał się Mathias Freire. Ani w ogóle żadnego lekarza. Zadzwoniła do szpitala Paul-Guiraud w Villejuif. Nikt tam nie znał Freire'a.

Jakim sposobem Janusz zdobył te dokumenty?

Skąd wiedział, że w Pierre-Janet poszukiwano psychiatry?

O dziewiątej rano pojechała ponownie do Centrum Leczniczego. Rozmawiała z psychiatrami z różnych oddziałów. Byli zażenowani, nieufni, czuli się jakoś winni. Nikt z nich niczego nie zauważył. Freire był samotnikiem, profesjonalistą. W jego zachowaniu nie wyczuwało się żadnego udawania, nie złapano go na żadnym błędzie. Dlatego też Anaïs doszła do zaskakującego wniosku – Freire miał rzeczywiście wykształcenie w dziedzinie psychiatrii. Gdzie studiował? Pod jakim nazwiskiem?

Następnie podjęła inny trop. Skontaktowała się ze sprzedawcą jego volvo. Freire okazał prawo jazdy i zapłacił gotówką. I tu kolejne pytanie – skąd wziął na to pieniądze, skoro jeszcze miesiąc wcześniej był bezdomnym? Sprawdziła w rejestrze. Żadnego prawa jazdy na nazwisko Freire. Nie przedłużył dowodu rejestracyjnego. Nie opłacił ubezpieczenia.

Zasięgnęła także informacji w banku, w przedsiębiorstwie, które wynajęło mu dom. Wszystko było w porządku. Freire dysponował kontem zasilanym jego lekarską pensją. Załatwiając wynajem, przedstawił papiery świadczące o tym, że jest wypłacalny. Agent z biura nieruchomości powiedział: „Pokazał mi potwierdzenia wpłat kilku ostatnich pensji i deklarację podatkową". Freire przedstawił mu fotokopie. Łatwe do podrobienia.

Po raz setny od poprzedniego dnia zadawała sobie pytanie, jaką ma przykleić etykietkę swojemu podejrzanemu. Zabójcy? Oszusta? Schizofrenika? Dlaczego przyszedł wczoraj do jej biura? Żeby dać się aresztować? Dostarczyć jej informację, która by go uniewinniła? Opowiedzieć o zabójstwie Patricka Bonfilsa i Sylvie Robin?

Przeczytała jeszcze raz słowa zostawione na jej biurku: „Nie jestem mordercą". Problem w tym, że ona też tak uważała. Freire był uczciwy. Instynkt podpowiadał jej, że nie udawał, kiedy występował jako psychiatra. Nie udawał również, kiedy zapewniał, że Patrick Bonfils jest niewinny i że chce mu pomóc odkryć to, co widział w nocy z dwunastego na trzynastego lutego na dworcu Saint-Jean. Gdyby zabił Duruya, taka postawa byłaby nielogiczna. Nie szuka się dowodów przeciw samemu sobie… No więc co? Czy on także stracił pamięć?

Dwóch ludzi z amnezją na jednym dworcu – to trochę za dużo.

Zobaczyła tablicę zapowiadającą skręt na Biarritz. Machinalnie przeniosła się myślą do drugiego aspektu sprawy, który do niczego nie pasował. Dlaczego zostali zabici Patrick Bonfils i Sylvie Robin? Jakie zagrożenie stanowili zadłużony rybak i jego towarzyszka?

Od wczorajszego dnia próbowała się skontaktować z żandarmami, którzy prowadzili śledztwo na Wybrzeżu Baskijskim. Szef grupy, komendant Martenot, jeszcze do niej nie oddzwonił. O jedenastej przed południem wzięła prysznic i postanowiła, że pojedzie do nich z Le Cozem.

– A co to znowu za historia?

Wjazd na boczną drogę był zablokowany. Anaïs wysiadła z samochodu i natychmiast odczuła, jak fatalna pogoda panuje na zewnątrz. Czarne niebo. Polarny chłód. Siekący deszcz. Nieco dalej dostrzegła zaporę utworzoną przez żandarmów.

– Czy włączyć sygnał? – zapytał Le Coz.

Anaïs nie odpowiedziała. Oceniała sytuację. To nie była zwykła zapora drogowa. Jezdnię przecinała kolczatka. Furgony policyjne z obracającymi

się cicho lampami sygnałowymi. Ludzie kręcący się obok nie byli zwykłymi żandarmami. W czarnych kombinezonach, w kamizelkach kuloodpornych, w kaskach z przyłbicami. Większość miała pistolety maszynowe.

– Pójdę tam pieszo – powiedziała, pochylając się do Le Coza. – Kiedy dam ci znak, podjedziesz i dołączysz do mnie.

Anaïs nasunęła na głowę kaptur bluzy, którą miała pod skórzaną kurtką, i ruszyła wzdłuż stojących rzędem samochodów. Drżała z zimna. Idąc, popiła znowu trochę syropu. Kiedy uzbrojeni mężczyźni zobaczyli ją z odległości pięćdziesięciu metrów, pomachała swoją trójkolorową legitymacją.

– Kapitan Anaïs Chatelet, z Bordeaux! – krzyknęła.

Nie odpowiedzieli. Z tymi swoimi opuszczonymi przyłbicami przypominali maszyny do zabijania, czarne, nieodgadnione, doskonale wyregulowane.

– Kto tu dowodzi?

Brak odpowiedzi.

Deszcz padał ze zdwojoną siłą, zalewając wizjery kasków.

– Kto tu dowodzi?

Podszedł mężczyzna w pelerynie z goretexu.

– Ja, jestem kapitan Delannec.

– Co oznacza ta blokada?

– Takie otrzymałem rozkazy. Gdzieś w okolicy jest poszukiwany człowiek.

Anaïs odrzuciła kaptur. Deszcz zmoczył jej czoło.

– Ten człowiek to mój podejrzany. Dopóki nie ma konkretnych dowodów, korzysta z zasady domniemania niewinności.

– To szaleniec.

– Co pan o nim wie?

– Zabił kloszarda w Bordeaux. Uczestniczył w masakrze dwojga niewinnych ludzi w Guethary. Jest psychiatrą.

– No i?

– Gdy się ma do czynienia z takimi typami, trzeba mieć pod ręką kamizelkę kuloodporną.

Anaïs nie dyskutowała z nim.

– Mam się spotkać z komendantem Martenotem. Czy mogę przejść?

Nazwisko podziałało niczym zaklęcie „Sezamie, otwórz się”. Anaïs dała znak Le Cozowi, który podjechał do bariery. Wskoczyła do wozu i gestem

podziękowała niezbyt rozgarniętemu kapitanowi.

– Czy to z powodu Janusza? – zapytał Le Coz.

Anaïs przytaknęła z zaciśniętymi wargami. Użył nazwiska Janusz. Ona myślała: Freire. I w tym kryła się ogromna różnica. Znowu ujrzała go z puszką coli w ręku. Z czarnymi włosami. Ze zmęczoną twarzą. Z wyglądem Odyseusza po powrocie do domu. Wyczerpanego, osłabionego, a jednocześnie bogatszego, rozpogodzonego dzięki temu wszystkiemu, co zobaczył. Człowieka, który przywodził na myśl antyczną rzeźbę. Dobrze byłoby się schronić w jego ramionach.

Przypomniała sobie coś bardzo konkretnego.

Tamtego wieczoru, gdy już wychodziła, Freire powiedział cicho:

– Morderstwo to raczej dziwna okazja, żeby się poznać.

– Ważne jest to, co się dzieje potem – odparła.

Tak więc pozostał ten nierozstrzygnięty problem. Z jej ust wydobył się obłoczek pary, gdy szepnęła do siebie:

– Ważne jest to, co się dzieje potem.

No i niemało się zdarzyło.

– Nie wtrącaj się.

Kobieta została uderzona w szczękę już po raz trzeci. Nie zamierzała jednak się przewrócić. Mężczyzna zmienił taktykę. Walnął ją w brzuch. Kobieta zgięła się wpół, tłumiąc w sobie krzyk. Wyglądała jak monstrum. Szpetna, opuchnięta, brudna. Fioletowa twarz, tłuste włosy. Nie sposób było określić jej wieku. Napastnik, czarnoskóry, w czapce z daszkiem, skorzystał z tego, że stała schylona. Podniósł obie grube ręce i z całej siły walnął nimi jednocześnie w jej odsłonięty kark. Kobieta upadła. Nareszcie. A zaraz potem wstrząsnęły nią konwulsje i zaczęła wymiotować.

– Ty zdziro! Ty flejtuchu! – Wyzwiskom towarzyszyły liczne kopnięcia.

Janusz wstał. Bernard złapał go za ramię.

– Nie ruszaj się, przecież ci mówię! To nie twoja sprawa.

Janusz pozwolił się posadzić z powrotem. Widok był nie do wytrzymania. Wiedźma miała jedną rękę sparaliżowaną, drugą osłaniała sobie twarz i w milczeniu przyjmowała ciosy.

Od czterech godzin towarzyszył Bernardowi w jego wędrówkach i był świadkiem już trzeciego bicia. Dołączali do różnych grup, zostawiali jeden smród dla drugiego. Czuł się tak, jakby miał gówno w płucach, szczyny w nozdrzach, lepki brud w gardle.

Najpierw udali się na plac Victor-Gelu, gdzie bezdomni tłoczyli się w przedsionkach domów. Nikt go nie rozpoznał. Stawiał kolejkę. Zadawał pytania. Niczego się nie dowiedział. Przenieśli się w okolice Theatre du

Gymnase, a potem na Canebiere. Nie zatrzymali się tam, bo stopnie schodów zajmowali włóczędzy, którzy bili każdego „nowego”. Błądzili po zaułkach dzielnicy, aż doszli do ulicy Curiol, zaanektowanej przez transseksualistów.

W końcu rozsiedli się u stóp kościoła protestanckiego, gdzie Canebiere łączy się z aleją Leon-Gambetta. Kloszardzi byli tu wszędzie. Pili wino, siedząc na stopniach, sikali prosto na chodnik, patrzyli na przechodniów wyzywającym, wrogim wzrokiem. Pijani od świtu, gotowi byli się pozabijać wzajemnie dla jednego euro, papierosa lub łyka podłego czerwonego wina.

Także i tutaj nikt nie zareagował na jego widok. Janusz zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek był w Marsylii. Czuł się jednak zbyt zmęczony, żeby się gdzieś jeszcze ruszać. Lanie się skończyło. Pobita kobieta leżała w kałuży krwi i wymiocin. Janusz miał wrażenie, że trafił do piekła. Upodlenie, szaruga, bo choć była chyba dopiero czternasta, robiło się już ciemno, a do tego zimno, obojętność przechodniów – wszystko to tworzyło atmosferę, która go stopniowo wchłaniała.

Kobieta poczołgała się chodnikiem do bramy w pobliżu baru szybkiej obsługi. Janusz zmusił się, by na nią popatrzeć. Jej twarz stanowiła jedną wielką opuchliznę, w której widoczne były przekrwione oczy. Z popękanych, nabrzmiałych warg sączyła się różowa ślina. Kobieta zakasłała i wypluła kawałki zębów, od których się dusiła. Usiadła na ganku baru. Czekając, aż ktoś ją stamtąd wyrzuci, wystawiła twarz na wiatr, susząc swoje rany.

– Sama sobie jest winna… – stwierdził Bernard.

Janusz się nie odezwał. Jego towarzysz kontynuował wyjaśnienia. Nenette, ofiara pobicia, była kobietą Titusa, Negra. Odstępował ją innym mężczyznom za drobniaki, talon do jadłodajni lub pigułki. Janusz nie pojmował, jak ta bezzębna pijaczka mogła w kimkolwiek budzić pożądanie.

– No i? – zapytał.

– Zadała się z innymi…

– Z innymi?

– Z inną bandą, na ulicy Panier. Spała z nimi za darmo. Zresztą nie jest to takie pewne. Ale Titus jest potwornie zazdrosny…

Janusz spoglądał na tę obrzydliwą kreaturę w zakrwawionych szmatach. Jakimś cudem znalazła karton sikacza i raczyła się nim, traktując to jako

środek pierwszej pomocy. Wydawało się, że zdążyła już zapomnieć o otrzymanej przed chwilą nauczce.

Świat ulicy był światem chwili obecnej.

Bez wspomnień. Bez przyszłości.

– Nie przejmuj się – powiedział Bernard, krzywiąc się. – Biją z nudów.

I piją, dodał w myślach Janusz. Według jego obliczeń Bernard był już przy piątym litrze. Pozostali pili podobnie. Każdy z nich musiał wlewać w siebie w ciągu dnia od ośmiu do dwunastu litrów wina.

– Spływamy stąd – mruknął nowy znajomy. – Zaczyna się tu robić tłoczno. Nie należy za bardzo męczyć tych samych klientów.

Bernard nie zaaprobował Janusza. Tolerował go, ponieważ nowo przybyły kupił już trzy pojemniki wina. Pierwsza lekcja. Jeśli kloszard wyciąga pomocną dłoń, to trzeba będzie za to zapłacić. A tą zapłatą jest zawsze wino.

Znowu ruszyli w drogę. Morski, wilgotny, przenikliwy wiatr nie wypuszczał ich ze swych objęć. Janusz nie mógł się rozgrzać. Bolały go stopy. Ręce drętwiały z zimna. Szedł na oślep z oczami pełnymi łez, niczego nie widząc. Zauważał jedynie policjantów. Na dźwięk syreny, na widok samochodu z kogutem na dachu lub mundurów natychmiast opuszczał głowę. Nie zapominał, kim jest. Ściganą zwierzyną. Podejrzanym, który ucieka przed pościgiem. Przestępcą, który kumuluje winy. Ten brud, ta nędza, to podłe wino – to był jego kamuflaż. Forteca. Na jak długo?

Rozlokowali się na małym placu. Janusz nie miał pojęcia, gdzie się znajdował, lecz wcale go to nie obchodziło. Opanowywała go apatia jego współtowarzyszy. Stawał się nieczuły, powolny, otępiały. Bez zegarka tracił poczucie czasu i przestrzeni.

Brzęk metalowego pudełka Bernarda przywrócił go do rzeczywistości. Kloszard, zdjąwszy but, dwoma czarnymi palcami stopy poruszał pudełkiem.

– Co łaska dla alpinisty…

Dołączyli do nich inni kloszardzi. Bernard złorzeczył im pod nosem. Byli w takim stanie upojenia, że już nie żebrali, tylko odstraszali klientów. Jeden z nich upadł twarzą na jezdnię i zdarł sobie skórę do żywego. Inny nachylał się na czworakach nad jednym z towarzyszy, kompletnie nieprzytomnym, i usiłował wsunąć mu do ust swojego penisa. Jeszcze inny, na uboczu, wymyślał sam sobie, przemawiał do ściany, do trotuaru, wygrażał niebu.

Janusz obserwował ich bez współczucia czy życzliwości. Przeciwnie, czuł do nich nienawiść, która go nie opuszczała od rana. Miał pewność, że kiedy był naprawdę Victorem Januszem te kilka miesięcy temu, już wtedy ich nienawidził. Ta nienawiść go podtrzymywała. To ona pozwoliła mu przeżyć. Czy pchnęła go aż do morderstwa?

– Idziemy – rzekł jego towarzysz, zbierając drobniaki. – Chce mi się pić!

– Nie kupujesz nigdy nic do jedzenia?

– Zjeść można tam, gdzie dają darmo zupę, w jadłodajniach dobroczynnych, w ośrodkach Emmaus. Wszyscy chcą nas nakarmić. – Wybuchnął śmiechem. – Ale co do picia, to zupełnie inna sprawa!

Dzień chylił się ku zachodowi, robiło się coraz zimniej. Janusz myślał z lękiem o nadchodzących godzinach. W żołądku go ściskało. Był bliski łez. Niczym dziecko, które boi się ciemności.

Musiał jednak wytrzymać.

Aż znajdą się w Madrague, gdzie co wieczór spotykają się wszyscy kloszardzi.

Jeśli i tam nikt go nie pozna, to znaczy, że obrał niewłaściwą drogę.

Komendant Martenot zgodził się towarzyszyć im do miejsca, gdzie popełniono podwójne morderstwo. Jechali teraz za subaru WRX, jednym z tych zagranicznych modeli, które w ostatnich latach otrzymały brygady interwencyjne.

Minęli Bidart i Guethary, podążając wzdłuż linii kolejowej. Deszcz nie przestawał padać. Zakłócał dźwięki, odczucia, ruchy. Widoczny był nad zielonymi krzakami, nad błyszczącym asfaltem. Mącił białawe światło reflektorów odbijające się od powierzchni morza.

Samochody zatrzymały się na szczycie drogi nad urwistym brzegiem. Gęste krzaki, samotne domy i znacznie poniżej bezbarwna plaża, otoczona czarnymi skałami. Anaïs i Le Coz dołączyli do żandarmów. Martenot pokazał na stojący sto metrów dalej domek z betonu, z szyldem w kształcie ryby.

– Dom Bonfilsów.

Budynek otoczony był żółtymi taśmami i miał opieczętowane okna i drzwi. Komendant wyjaśnił, że ze zbieraniem dowodów, fotografowaniem i zdejmowaniem odcisków uporali się poprzedniego dnia, ale dokładne przeszukanie nastąpi nazajutrz rano.

– Gdzie dokładnie zamordowano tych ludzi?

– Niżej. Na plaży. – Komendant żandarmerii wyciągnął rękę w stronę oceanu. – Ciało kobiety leżało tam. Mężczyzny trochę dalej, pod skałą.

– Nic nie widzę.

– Teren jest teraz zalany wodą. To pora przypływu.

– Podejdźmy tam.

Poszli ścieżką, stromym brzegiem. Anaïs, odwróciwszy się, podziwiała widok wyżej. Drzewa, krzewy, nad którymi unosiła się mgiełka. Kilka willi z tarasami ukrytymi wśród sosen. Lśniące od deszczu tory linii kolejowej, tak prostej, jakby wyciętej nożem do papieru.

Zeszli na plażę, którą stanowił wąski pas ciemnego piasku. Anaïs wstrząsnął dreszcz. Ciągle śmierć. Albo strach. Myślą cofnęła się do legendy o Tristanie i Izoldzie, ich burzliwej miłości, magicznych napojów.

– O której godzinie to się wydarzyło? – zapytała, ponownie koncentrując się na śledztwie.

– Według świadków około południa.

– Są świadkowie?

– Dwaj rybacy. Schodzili na brzeg sto metrów dalej.

– Co widzieli?

– Ich zeznania są niejasne. Mówili o biegnącym mężczyźnie w nieprzemakalnym płaszczu. To wasz podejrzany. Mathias Freire.

– Takie podano panu nazwisko?

– A nie jest właściwe?

Anaïs nie odpowiedziała, nie chcąc wprowadzać zamętu do i tak zagmatwanej sytuacji.

– Skąd biegł?

– Od strony plaży.

– Freire miałby zabić Bonfilsa i jego kobietę, a potem uciekać? – zapytała, wcielając się w rolę adwokata diabła.

– Nie. Ofiary zostały zastrzelone z daleka. Świadkowie widzieli zresztą dwóch mężczyzn ubranych na czarno, którzy także biegli w kierunku plaży. Nie wiadomo, czy ścigali Freire’a, żeby go aresztować, sądząc, że był zabójcą, czy przeciwnie, to oni właśnie byli mordercami. Odjechali wozem terenowym marki Audi Q-siedem. Niestety, nie znamy numeru rejestracyjnego.

Cholera! – zaklęła w myślach. Jak mogła o tym zapomnieć? Przedwczoraj Freire dał jej zdjęcia tablicy rejestracyjnej. Powiedział jej, że od dwóch dni śledzi go czarny wóz terenowy. Wydruki miała nadal u siebie…

– Od tego momentu – kontynuował komendant – zeznania rybaków stają się niejasne. Z tego, co powiedzieli, wynika, że akurat przejeżdżał pociąg.

Facet w nieprzemakalnym płaszczu zniknął. Tamci dwaj wsiedli do swojej terenówki i odjechali za pociągiem.

– Co dalej?

– Nic. Wszyscy trzej się ulotnili.

Na niebie dał się słyszeć chrypliwy pisk. Anaïs spojrzała do góry. Mewy, walcząc z wiatrem, rysowały w powietrzu ósemki. Znad wody dochodził ryk fali przybojowej, rozbijającej się na czarnym piasku.

– Pod jakim kątem padły strzały? – zapytała, chowając ręce do kieszeni.

– Zabójca stał na tarasie tamtej willi, która zimą stoi pusta.

Dom znajdował się w odległości ponad pięciuset metrów.

– Twierdzi pan, że zabójcy…

– Strzał z dużego dystansu. Robota snajpera.

Nowy trop w śledztwie. Czy wynajęto zawodowych zabójców, żeby zabili rybaka i jego towarzyszkę?

– Skąd ta pewność, że strzały pochodziły z tamtego kierunku?

– Znaleźliśmy łuski na tarasie.

Coś tu nie grało. Zakładając, że mordercy byli profesjonalistami, nie mogli popełnić takiego błędu. Zostawić łuski na tarasie, skąd strzelali? Chyba że… Anaïs wyobraziła sobie inny scenariusz. Najemnicy zabijają dwie osoby, ale trzeciej udaje się wymknąć. To Freire. Rzucają się w pościg i w pośpiechu zapominają zrobić porządek na tarasie.

Komendant podał jej plastikową torebkę. Anaïs wzięła ją do ręki i popatrzyła na połyskujące złotawym refleksem łuski. Nic jej to nie mówiło. Nie miała pojęcia o balistyce. Kaliber. Siła wyrzutu. Zasięg. Nie potrafiła się w tym połapać.

– Kaliber dwanaście i siedem milimetra – wyjaśnił Martenot. – Pociski o wielkiej sile rażenia.

– Czy mówi nam to coś o mordercach?

– Raczej tak. Kaliber ten jest rzadko spotykany, używany na ogół w ciężkich karabinach maszynowych, ceniony za siłę i prędkość, z jaką pocisk trafia do celu. Używa się go również w broni precyzyjnej.

– Co to znaczy w normalnym języku?

– To kaliber charakterystyczny dla karabinu Hécate-dwa, popularnego w końcu ubiegłego wieku. Broń doskonale znana snajperom. Doświadczony strzelec, mając do dyspozycji taki karabin, może trafić w cel z odległości tysiąca dwustu metrów. Może także zatrzymać samochód z odległości tysią-

ca ośmiuset metrów. Zbyt dobra broń do zabijania pary rybaków. Nie mówiąc już o umiejętności posługiwania się tego rodzaju karabinem.

Komendant mówił tonem możliwie najbardziej obojętnym, żeby ukryć swoje zakłopotanie. Wysoki, siwowłosy, opanowany, w granatowej bluzie przypominał admirała na lotniskowcu. Anaïs już zrozumiała.

– Zabójcą mógłby być wojskowy?

– Hécate-dwa jest na wyposażeniu naszej armii od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku – przyznał Martenot. – Broń skonstruowano z myślą o snajperach uczestniczących w wojnie na Bałkanach. Obecnie używają jej również oddziały interwencyjne GIGN i jednostka antyterrorystyczna RAID.

Cisza. Sprawa przybierała zdecydowanie nowy obrót. Niczym płaski obraz, który niespodziewanie zyskiwał trzeci wymiar.

– Używają jej także wojska i jednostki specjalne innych krajów – mówił dalej Martenot. – Prześlemy te łuski do IRCGN, Instytutu Badań Kryminalnych i Dokumentacji Żandarmerii Krajowej w Rosny-sous-Bois. Niewykluczone, że dotrzemy tym sposobem do armii. Hécate-dwa to nie jest broń, którą łatwo znaleźć na rynku. Ani nie jest prosta w obsłudze. Żeby miała pani pełny obraz, powiem, że z kompletnym wyposażeniem waży siedemnaście kilogramów.

Anaïs, stojąc na deszczu, pokiwała głową. Wiedziała. Od samego początku przeczuwała, że będzie to skomplikowana sprawa. Zabójstwo bezdomnego zamienionego w Minotaura. Człowiek z amnezją, którego pojawienie się nasuwało pytania bez odpowiedzi. Odciski palców fałszywego psychiatry… A teraz ta masakra o charakterze wojennej zasadzki.

Komendant zabrał torebkę z łuskami z dłoni Anaïs. Zauważył jej wahanie.

– Proszę się nie obawiać – rzekł. – Postępowanie zostanie doprowadzone do końca, nawet jeśli winni nie pochodzą z Francji.

Laboratorium dostanie łuski jeszcze przed wieczorem. Raport do biura sędziego śledczego jest w drodze.

– Został już wyznaczony sędzia śledczy?

– Claude Bertin. Z prokuratury w Bayonne. Miał do czynienia z ETA. Nie będzie problemu z tą całą balistyką.

– Otrzymał już pan raport z sekcji zwłok?

– Jeszcze nie.

Anaïs się skrzywiła. Ciała Bonfilsa i jego konkubiny zostały przewiezione pod wieczór poprzedniego dnia do Zakładu Medycyny Sądowej w Rangueil, na przedmieściach Tuluzy. Martenot z pewnością otrzymał już raport i zdążył go przekazać swoim przełożonym, a ci z kolei poprosili, by nie rozpowszechniał uzyskanych informacji. W takim jak ten wypadku należało wszystko starannie zbadać i przeanalizować. Może nawet wojsko wyznaczy swojego lekarza do wykonania drugiej autopsji…

Usłyszała głos Martenota:

– Czy napije się pani kawy?

– Z przyjemnością – odparła z uśmiechem. – Jednak wcześniej muszę jeszcze gdzieś zatelefonować.

Zwolniła kroku, żeby zostać sama. Czując na twarzy wilgotny wiatr, zadzwoniła do Conante’a. Odezwał się, zanim przebrzmiał pierwszy sygnał. Wszyscy byli u kresu sił.

– To ja – powiedziała. – Nic nowego?

– Dałbym ci znać.

– Chciałabym, żebyś coś dla mnie zrobił. Pojedź natychmiast do mojego mieszkania.

– Zapomniałaś podlać kwiatki?

– Poprosisz dozorczynię o klucz. Bądź przekonujący. Nie jest specjalnie uprzejma. Pokaż swoją legitymację. Dasz sobie radę.

– A kiedy znajdę się w twoim mieszkaniu, co mam zrobić?

– Na moim biurku są zdjęcia tablicy rejestracyjnej. Sprawdź, kto jest właścicielem samochodu, i daj mi zaraz znać.

– Zrobi się. A jak tam w Biarritz?

Anaïs podniosła wzrok. Czarne sylwetki żandarmów znikały w potokach deszczu. Podkłady kolejowe trzeszczały od wilgoci. Wierzchołki sosen i janowców rozpływały się w wodnych oparach.

– Mokro. Oddzwoń do mnie.

– Rusz tyłek. Przyjechał furgon.

Janusz podniósł się z trudem. Czuł się jak połamany, trząsł się z zimna. Pod koniec dnia cały jego plan śledztwa, strategia obserwacji, wszystko okazało się daremne. Włóczyli się jeszcze do zapadnięcia zmroku, żeby znaleźć się ponownie tam, gdzie byli rano – pod arkadami klubu Pernod, naprzeciw Vieux-Port. W tym stadium Janusz marzył tylko o jednym – odrobinie ciepła i czymś miękkim, na czym mógłby usiąść.

O dziewiętnastej Bernard wydostał skądś kartę telefoniczną i zadzwonił pod numer 115 Pogotowia Socjalnego. Co wieczór specjalne samochody zbierały z ulic kloszardów i rozwoziły ich do różnych noclegowni w mieście. Bezdomni, którzy mieli jeszcze trochę przytomności, dzwonili, zanim zamarzli na śmierć. Innych odnajdowały patrole znające ich kryjówki. Zimą w Marsylii żaden bezdomny, lub prawie żaden, nie spał na dworze.

Pracownicy socjalni wyskoczyli z citroena jumpy, by pomóc nieszczęśnikom, którzy słaniali się na nogach. Wielu kloszardów nie chciało wejść do furgonetki.

– Ulica to mój wybór! – wydzierał się jeden z nich ochrypłym głosem.

Inny opierał się niezdarnie. Ciało miał flakowate, miękkie niczym gąbka.

– Odwalcie się! Nie chcę jechać do umieralni!

– Umieralnia? – zapytał Janusz.

– To Madrague – wyjaśnił Bernard, zbierając swoje manatki.

– Nie pękaj. Dla takich jak my to najlepsze miejsce.

Janusz, ogłupiały z zimna i zmęczenia, pojął tyle tylko, że zbliża się do swojego celu. Otworzyły się tylne drzwi furgonu.

– Cześć, Bernardzie! – zawołał kierowca siedzący za przegrodą z pleksiglasu, która oddzielała go od kabiny dla pasażerów.

Bernard w odpowiedzi zaśmiał się niczym hiena, wrzucając swoje brudne pakunki do wnętrza, po czym sam wspiął się do środka wozu. Janusz poszedł w jego ślady. Poczuł potworny, zatykający smród. Kabinę wypełniały wyziewy tłustego brudu, kału, uryny, zgnilizny. Przechodził w ciemności, wstrzymując oddech. Potykał się o kolana, ramiona, pakunki. W końcu znalazł miejsce siedzące. Bernard zniknął.

Trzasnęły drzwi. Samochód ruszył. Oczy Janusza przywykły do ciemności. Mógł teraz obejrzeć swoich współtowarzyszy. Było ich kilkunastu, siedzieli na dwóch ławkach naprzeciw siebie. Pijackie gęby, tępy wzrok i pokryte strupami ręce nie różniły się od tego, co oglądał przez cały dzień. Jednakże galeria takich typów pod gołym niebem to absolutnie nie to samo co w pomieszczeniu zamkniętym. W mroku rozjaśnionym światłem z zewnątrz gęby te nabierały bardziej intensywnej, a jednocześnie bardziej fantastycznej realności.

Jeden z mężczyzn, krótko ostrzyżony, patrzył przed siebie szklanym wzrokiem. Drugi spał z głową w ramionach, co przywodziło na myśl kamień wetknięty w stos szmat. Twarze innych tonęły w cieniu. Kolejny klęczał na podłodze i oparty o ławkę próbował ćwiczeń rozciągających. Żałosne, niezdarne wysiłki, którym towarzyszyły jęki.

Pracownik socjalny siedzący obok kierowcy zastukał w szybę.

– Jo! Natychmiast siadaj!

Sportowiec podniósł się z klęczek i chwiejąc się, opadł na ławkę. Wtedy wstał jego sąsiad. Był całkowicie czarny od brudu, jakby wysmarowany węglem. Janusz nie czuł jego smrodu, bo oddychał przez usta, bojąc się jednocześnie, czy jakieś paskudztwa nie przedostaną mu się do gardła. Facet stanął przy drzwiach, rozstawił nogi i zaczął obficie sikać, starając się trafić w szparę, opryskując obojętnych na wszystko sąsiadów.

Jego wysiłki okazały się daremne, bo drzwi były szczelnie zamknięte. Kiedy samochód nagle zwolnił, uryna rozpłynęła się po całym jego wnętrzu. Stukanie w szybę stało się głośniejsze.

– Ej, ty! Co wyrabiasz? Znasz zasady!

Typ nawet nie zareagował, opróżniając pęcherz z obojętnością cysterny. Janusz podniósł nogi, żeby nie zostać oblanym.

– Cholera, nie zmuszaj nas do tego, żebyśmy się zatrzymali!

Brudas wreszcie skończył. Przeszedł przez środek kałuży i potoczył się na swoje miejsce. W miarę przejeżdżanych kilometrów hałas w furgonie narastał. Głosy monotonne, ostre, pełne urazy. Słowa bezładne, zniekształcone, mamrotane – strzępy języka bez znaczenia, nadające się tylko, by wyrzucić je do śmietnika.

Jakaś kobieta powtarzała bezustannie:

– Nie nazywam się Odile, nie nazywam się Odile… Gdybym się nazywała Odile, to całkiem inna sprawa…

Obok niej mężczyzna z zapadniętymi wargami z powodu braku zębów perorował, sycząc:

– Muszę pójść do dentysty… Potem odwiedzę moje dzieci…

Jeszcze inni śpiewali, straszliwie fałszując. Jeden z nich wydzierał się bardziej niż pozostali. Stara piosenka z lat osiemdziesiątych. *Demony północy.*

– Niezła atmosfera, co?

Bernard siedział tuż obok niego, ale Victor w stanie szoku nawet go nie zauważył.

– Tutaj to jeszcze nic. Zobaczysz w Madrague…

Furgon zatrzymywał się wiele razy. Janusz wyglądał na zewnątrz. Podczas gdy pracownicy socjalni zbierali kolejnych bezdomnych, jacyś inni ludzie namawiali kobiety bez wieku, w lekkich kurtkach i minispódniczkach, by wsiadły do drugiej furgonetki.

– Dziwki… – mruknął Bernard. – Zawożą je do Jeanne-Panier.

Zapewne inna noclegownia, pomyślał Victor. Nowi pasażerowie wsiedli do furgonu. Zaczynało brakować miejsca. Pieśniarz nie przestawał się drzeć, nie czując ironii zawartej w tekście:

Zabierają mnie do końca nocy
Demony północy.
Doprowadzają do bezsenności
Duchy melancholii!

Trzej młodzi mężczyźni zajęli miejsca w drugim końcu kabiny. Nie wydawali się pijani ani brudni, wręcz przeciwnie – byli rześcy i bardzo przytomni. Mimo to robili wrażenie bardziej niebezpiecznych od pozostałych.

– Rumuni… – szepnął Bernard.

Janusz przypomniał sobie, że czasami przyjmowano takich w Pierre-Janet. Recydywiści z Europy Wschodniej, którym francuskie ośrodki socjalne wydawały się pięciogwiazdkowymi hotelami w porównaniu z więzieniami w ich kraju.

– Nie zbliżaj się do nich – dodał Bernard. – Zabiliby własną matkę dla talonu do jadłodajni. Przede wszystkim jednak interesują ich nasze dokumenty.

Janusz nie spuszczał wzroku z trzech bandziorów. Oni także go zauważyli – fałszywy bezdomny, z gładkimi rękami, sztucznie wybrudzony. Warto takiego dopaść. Tylko on mógł mieć w kieszeni więcej niż jedno euro. Janusz postanowił, że nie zmruży oka tej nocy. Jakby w odpowiedzi na to poczuł paraliżujące wręcz zmęczenie. Wymacał w kieszeni swój nóż firmy Eickhorn. Zacisnął go w dłoni niczym talizman.

Citroën jumpy zwolnił. Przybywali do celu. Dzielnica była w trakcie wyburzania lub odbudowy. O tej porze trudno było to rozstrzygnąć. Nad ulicą wznosił się wiadukt drogowy, niczym bajkowy potwór zagrażający starożytnemu miastu. Panowały całkowite ciemności. Tylko wysokie żelazne ogrodzenie oświetlono silnymi reflektorami. Tablica nad wjazdem oznajmiała: OŚRODEK POGOTOWIA SOCJALNEGO. Przed bramą kłębił się głośny gestykulujący tłum. Demony nocy…

– To Madrague, mój stary – rzucił Bernard. – Niżej nie można upaść. Przyjmują tu wszystkich oprócz dzieci… Potem już jest tylko cmentarz.

Janusz milczał. Był oszołomiony, zafascynowany tym, co widział. W bramie kontrolowali wchodzących mężczyźni w czarnych kombinezonach z żółtymi odblaskowymi pasami, w rękawiczkach i w kominiarkach. Wyżej nad nimi, na dachu jednego z budynków, szczekały i wyły psy w klatce. Musiały to być psy bezdomnych. Januszowi przyszedł na myśl Cerber, pies o trzech głowach, który strzegł wejścia do Hadesu.

– Koniec jazdy! Wszyscy wysiadają!

Wstali, wzięli swoje rzeczy i zeskoczyli z samochodu. Na ziemię potoczyły się puste butelki. Niektóre rozbiły się w kałużach uryny.

Śpiewak pozwolił sobie na dowcip:

– Zostały tylko trupy! Trupy butelek!

Zachwycony swoim pomysłem, pochylił głowę niczym zawodnik rugby, popychając innych i wywołując okrzyki protestu. Przewracali się, podnosili. Cała scena przywodziła na myśl odpadki ze śmietnika leżące na chodniku. Mężczyźni w ochronnych ubraniach czekali ze specjalistycznym sprzętem, gotowi do wyczyszczenia jezdni po przejściu tego tłumu.

Przed bramą panował straszliwy zgiełk i chaos.

Niektórzy torowali sobie drogę siłą, pchając przed sobą wózki lub pakunki. Inni walili w kraty kulami. Jeszcze inni podjudzali psy, wrzucając przez ogrodzenie butelki po piwie. Pracownicy socjalni usiłowali opanować ten tłum i ustawić ludzi w kolejce – przez uchyloną bramę mogła wejść tylko jedna osoba naraz.

Janusz stanowił część tego zbiorowiska. Stojąc z pochyloną głową, opuszczonymi ramionami, próbował zapomnieć, gdzie się znajduje. Przynajmniej nie było mu zimno. Znalazł się przy ogrodzeniu niemal rozgnieciony przez tłum. Za stalowymi sztachetami zobaczył na dziedzińcu ludzi czekających w kolejce, która wiła się aż do pierwszego budynku. Punkt przyjmowania nowo przybyłych był dobrze oświetlony. Toczyła się tam walka. W powietrzu fruwały butelki. Ludzie padali na ziemię…

Bernard miał rację: wielu jeszcze rzeczy nie widział.

– Twoje nazwisko?

– Michael Jackson.

– Masz dokumenty?

Ordynarny śmiech w odpowiedzi. Pracownik socjalny popchnął ten worek na pchły na prawo. Następny przytoczył się przed oszklone okienko.

– Twoje nazwisko?

– Sarkozy.

Facet w okienku nawet nie mrugnął okiem.

– Masz dokumenty?

– A jak myślisz, kretynie?

– Bądź grzeczny.

– Wypchaj się!

– Następny.

Stojąc w tej kolejce, Janusz dokładnie się rozejrzał. Dziedziniec otaczały betonowe budynki. Środek placu zajmowały modułowe konstrukcje firmy Algeco. Po przyjrzeniu się krążącym po terenie pensjonariuszom z łatwością odgadł, dla kogo przeznaczona była dana strefa.

W domach z prefabrykatów umieszczano kobiety. Obok nędzarek o trudnym do określenia wieku stały nastolatki z marginesu, z papierosami w ustach. Zachowywały się w tym piekle tak, jakby były na dziedzińcu szkolnym. Pilnowali ich, a raczej je ochraniali, solidnie zbudowani pracownicy socjalni.

Inny moduł tej samej firmy Algeco, w głębi, był zarezerwowany dla przybyszów z Afryki Północnej. Rozmawiali między sobą po arabsku z konspiracyjnymi minami. Betonowy budynek na lewo zajmowali ludzie z Europy Wschodniej.

Janusz zmrużył oczy, szukając trzech Rumunów z furgonu. Stali tam, popalając ze spokojem papierosy. Ich źrenice błyszczały tak samo intensywnie jak końcówki papierosów.

– Mam tego dość! Mówię ci, że mam tego dość!

Janusz się odwrócił. Jakaś kobieta wymyślała Murzynowi w czapce z daszkiem. Nenette i Titus. Odzyskała siły i teraz to ona próbowała atakować. Nic dziwnego, że w końcu znowu oberwała. Zachwiała się, usiłując zdrową ręką osłonić się przed ciosem. Wokół nich uformowała się już grupka gapiów. Słychać było okrzyki zachęty, śmiechy. Titus wymierzył kolejny cios. Nenette przewróciła się na sparaliżowane ramię, niezdolna zapobiec upadkowi. Jej głowa głucho uderzyła o asfalt. Janusz nie mógł już patrzeć na taką brutalność, na taki moralny upadek. Ani jeden z tych ludzkich potworów nie był trzeźwy.

Wepchnięto go do środka biura przyjęć.

– Jak się nazywasz?

– Narcyz – odpowiedział bez zastanowienia.

– Narcyz i co dalej?

– Po prostu Narcyz.

– Masz dokumenty?

– Nie.

Odpowiedzi same napływały mu z głowy z jakąś niezrozumiałą oczywistością.

– Data i miejsce urodzenia?

Podał datę, którą przeczytał w fałszywych dokumentach Mathiasa Freire’a. Jako miejsce urodzenia wybrał prowokacyjnie Bordeaux.

Urzędnik podniósł na niego wzrok i przyjrzał mu się uważnie.

– Jesteś nowy?

– Tak, dopiero co tu przyjechałem.

Pracownik socjalny wsunął pod okienko numerowany talon.

– Najpierw pójdziesz na lewo do przechowalni bagażu, gdzie zostawisz swoje rzeczy. Potem do budynku po prawej, naprzeciw pryszniców. Parter. Numer na talonie odpowiada numerowi sali.

Któryś z bezdomnych klepnął go po plecach ze słowami otuchy:

– Chłopie, dostało ci się to, co najlepsze!

Janusz udał się do przechowalni bagażu. Znowu przepychanka. Oddawano naładowane po brzegi wózki na kółkach, torby pełne śmieci, wózki dziecięce załadowane żelastwem. Janusz powiedział, że nie ma nic do przechowania. Pracownik otaksował go uważnym spojrzeniem.

– Nie masz broni? Pieniędzy?

– Nie.

– Chcesz wziąć prysznic?

– Oczywiście.

Mężczyzna popatrzył na niego z jeszcze większą nieufnością.

– To idź do następnego budynku.

Sanitariaty i budynek dla lepszych pensjonariuszy tworzyły uliczkę, gdzie było znacznie cieplej z powodu kłębów pary wydostającej się z okienek pomieszczenia z prysznicami. Janusz znalazł się przed kolejnym kontuarem. Dano mu ręcznik i zestaw do mycia: mydło, szczoteczkę do zębów, maszynkę do golenia.

– Przed kąpielą idź do szatni.

Zobaczył tam magazyn z ułożoną w stosy suchą i czystą odzieżą. Przeszła mu przez głowę myśl, że poprzedni właściciele tych łachów w większości nie żyli. Doskonałe dla kogoś takiego jak on. Pracownik magazynu pomógł mu wybrać rzeczy na jego miarę. Koszula drwala. Płócienne spodnie ogrodnika. Kamizelka dziadka. Czarny płaszcz. Przede wszystkim jednak rzucił się na buty – wypłowiałe converse’y. Buciory, w których chodził cały dzień, poraniły mu stopy.

Przeszedł do drugiego budynku. W pierwszej chwili przyszła mu na myśl pełna pary łaźnia turecka. Czerwone drzwi. Białe kafelki. Na lewo kabiny prysznicowe i ubikacje. Na prawo umywalki.

Jednak wszędzie było już brudno. Zwoje papieru toaletowego pływały w kałużach uryny. Kafelki pstrzyły rozbryzgi wymiocin, plamy od kału. Zjawisko dobrze znane – kontakt z wodą powoduje rozluźnienie zwieraczy.

W mglistej parze kloszardzi rozbierali się, wrzeszczeli, zrzędzili, jęczeli. Coś tu się szykowało. Tortury wodne… Nad całością czuwała obsługa w gumowych butach.

Janusz zaczął szukać wolnej kabiny, przyciskając do piersi ręcznik, mydło, czyste ubranie. Obrzydliwy smród nieco ustępował przed zapachami

środków do mycia. Jednak obraz nadal był okropny. Kloszardzi bez swoich łachmanów zrobili się o połowę mniejsi. Chudzi, siwi, ciała zaczerwienione lub sine. Skóra upstrzona ranami, krostami, zakaźnymi wysypkami.

Nie znalazł wolnej kabiny. Pracownik ustawił go na końcu umywalek i kazał się rozebrać. Janusz odmówił. Nie zamierzał się rozbierać w takim miejscu, bo miał na sobie obroże przeciw pchłom, i nie chciał pokazywać swojego zdrowego, dobrze odżywionego ciała – siedemdziesiąt osiem kilogramów przy stu osiemdziesięciu centymetrach wzrostu – co by go natychmiast zdradziło. Nie mówiąc już o pieniądzach i nożu…

Inni godzili się na pomoc pracowników, którzy rozbierali ich z wielką ostrożnością. Często skóra schodziła razem z materiałem. Ludzie ci całe tygodnie, miesiące, a niekiedy i lata nie zdejmowali swoich łachów, powodując tym samym powstawanie straszliwych ran. Jakiś starzec wolno zdejmował skarpetki razem z kawałkami ciała. Mocno podrażniona skóra na jego łydkach wyglądała jak podziurawiona.

– Ej, ty! Tamta kabina jest już wolna!

Janusz ruszył we wskazanym kierunku, kiedy przez kłęby pary przebiły się krzyki. Jeden z pielęgniarzy, klęcząc na podłodze, podtrzymywał nieprzytomnego mężczyznę leżącego pod umywalkami. Na pomoc przybiegł drugi, kląskając gumiakami w kałużach.

– Trzeba go natychmiast przetransportować do szpitala.

– Co mu jest?

Zamiast odpowiedzi pielęgniarz podniósł czarną od gangreny rękę kloszarda.

– Im dłużej to potrwa, tym wyżej trzeba będzie mu ją uciąć.

Janusz już chciał zaproponować swoją pomoc, ale pracownik socjalny zawołał ponownie:

– Idziesz czy mam ci to powtórzyć?! Kabina numer sześć jest wolna.

Poszedł. Zobaczył jeszcze jednego nieszczęśnika, opartego o kule pod prysznicem. Zasłabł, gdy pielęgniarz puścił na niego silny strumień wody.

– Jazda! Jazda! – krzyczał dozorca, stukając do drzwi kabin.

– Nie mam zamiaru spędzić tu całej nocy!

Janusz wszedł do kabiny i zamknął drzwi na haczyk. Rozebrał się. Odłożył na bok pieniądze. Zdjął obroże. Kiedy zaczęła po nim spływać woda, poczuł się w końcu bezpieczny. Zbawienny prysznic, ciepło… Szorował się

zajadle, zeskrobując ze skóry brud. Wytarł się i ubrał. Nóż i pieniądze schował w nowym ubraniu. Czuł się czysty. Zregenerowany. Jak nowy.

Następny etap to stołówka. Barak usytuowany pośrodku dziedzińca, a w nim ze dwadzieścia stołów, których blaty okryte były ceratami. Panował tu względny spokój. Alkoholicy pozbawieni swoich kartonów z winem nie mieli innego wyboru, jak tylko zjeść i natychmiast zasnąć, by nie cierpieć z powodu pragnienia.

Po prawej stronie znajdowała się lada, przy której wydawano tace z jedzeniem. Janusz stanął w kolejce. Sala była przepełniona. Przegrzana. Do ludzkiego smrodu doszły drażniące wonie kuchenne. Zapach spalonego tłuszczu zagęszczał atmosferę niczym mgła. Janusz znalazł miejsce przy stole i opróżnił swój talerz, nie patrząc na to, co je. Upodobnił się teraz do pozostałych. Zmordowany całym dniem, chłodem, piciem alkoholu, osłabiony prysznicem, ogarnięty sennością.

Jednakże znowu uświadomił sobie, że nikt go nie rozpoznał. W tej kwaterze głównej kloszardów żaden z nich ani razu nie zwrócił na niego uwagi. Czy obrał złą strategię? Jutro się okaże. Na razie marzył tylko o jednym – zwalić się na łóżko.

Idąc za innymi, dotarł do budynku, który mu wskazano. Czyste sale. Osiem miejsc na czterech piętrowych łóżkach. Na podłodze wykładzina, która amortyzowała upadki, gdy kloszardzi spadali z łóżek albo wdawali się w bójki. Wybrał miejsce na dole. Wolał być bliżej podłogi, na wypadek gdyby musiał szybko uciekać.

Materac był obciągnięty workiem na mąkę. Janusz położył się i wsunął pod koc, ściskając rękojeść noża niczym dziecko pluszowego misia. Światła nie gaszono. W korytarzu słychać było krzyki i narzekania. Wszyscy lokowali się na swoich miejscach.

Janusz pomyślał, że przy takim hałasie łatwo mu będzie czuwać do rana.

Jednak już po sekundzie spał kamiennym snem.

– Czy pan Saez? Jestem Anaïs Chatelet, kapitan policji z Bordeaux.

Chwila ciszy.

– Skąd ma pani mój numer?

Nie odpowiedziała. Znowu chwila ciszy.

– Czym mogę pani służyć?

Ton wyniosły, ale głos miły. Anaïs postanowiła zostać w Biarritz do następnego rana. Po kawie u Martenota zdobyła numer firmy, do której należał wóz terenowy, audi Q7. Była to ACSP, Prywatna Agencja Ochrony i Monitoringu, firma ochroniarska z siedzibą w Bruges, w okolicach Bordeaux. Zadzwoniła tam, ale nikt nie chciał z nią rozmawiać, odmówili nawet podania numeru telefonu szefa, Jean-Michela Saeza.

Anaïs nie nalegała. Znalazła sobie mały hotelik w Biarritz, L'Amaia, na ulicy Marechal-Joffre, i tam podjęła na nowo poszukiwania. Kiedy wreszcie zdobyła numer prywatny Saeza, zaczęła wydzwaniać na jego komórkę regularnie co pół godziny, nie zostawiając wiadomości.

W końcu o dwudziestej drugiej odebrał telefon.

– Czy pańska firma jest właścicielem terenowego audi Q-siedem S-Line TDI, numer rejestracyjny trzysta sześćdziesiąt, sześćset czterdzieści trzy AP trzydzieści trzy?

– Tak. A o co chodzi?

Głos nadal grzeczny, sztucznie słodki. Anaïs już szykowała się, żeby mu utrzeć trochę nosa, kiedy uświadomiła sobie, że przecież nie dysponuje ni-

czym uprawniającym ją do ostrzejszego ataku. Jedynie słowami człowieka, który teraz uciekał, a przedtem miał wrażenie, że jest śledzony przez ten samochód.

Postanowiła rozegrać to na zimno.

– Wóz ten został zauważony kilka razy, jak jechał za samochodem pewnego lekarza z Bordeaux. Powiadomił nas, że śledzi go terenówka z pańskiej firmy.

– Wniósł skargę?

– Nie.

– Czy wie pani, którego dnia to miało jakoby miejsce?

Freire powiedział, że zauważył samochód po tym, jak Bonfils został znaleziony na dworcu.

– Trzynastego, czternastego i piętnastego lutego.

– A co jeszcze wie pani o tym wozie?

Głos był nadal spokojny. Saez sprawiał nawet wrażenie, że ta rozmowa go bawi. Nie oparła się pokusie, by przykręcić śrubę.

– Może mieć związek z podwójnym morderstwem na plaży w Guethary, we wtorek szesnastego lutego.

Szef ACSP tylko się roześmiał.

– Uważa pan, że to zabawne?

– Zabawne jest to, jak funkcjonuje wasza policja. Dopóki tak działacie, wszyscy, którzy pragną bezpiecznie żyć, będą potrzebowali takich ludzi jak my.

– Proszę mówić jaśniej.

– Zgłosiłem kradzież tego samochodu już kilka dni temu. Dokładnie dwunastego lutego.

Celny cios.

– W którym komisariacie? – zapytała.

– Na posterunku żandarmerii w Bruges. W pobliżu naszego biura. Sądziłem, że wojna między żandarmerią a policjantami już się skończyła.

– Mamy dobrą współpracę z żandarmerią.

– I rzeczywiście zrobiliście wielki postęp w dziedzinie komunikowania się.

Zaschło jej w ustach. Czuła, że ten człowiek kłamie, ale na razie nic na niego nie miała. Spróbowała zakończyć rozmowę z godnością:

– Wyjaśni pan to wszystko u nas w komendzie. Ulica François-de-Sourdis.

– Nic z tego.

– Słucham?

– Byłem wobec pani cierpliwy. Przyszła pora, żeby postawić kropkę nad „i”. To podejrzanych wzywajcie na komendę, a nie tych, którzy składają skargę. Gdy już odnajdziecie mój wóz, grzecznie poprosicie, żebym przyszedł do komisariatu, a ja zobaczę, kiedy będę miał wolny czas. Żegnam panią.

Sygnał przerwanego połączenia. Anaïs zaniemówiła wobec bezczelności tego faceta. Musiał mieć dobre układy z władzami Bordeaux. Wieczory spędzane u notabli. Darowizny dla polityków. Wszelkiego rodzaju przysługi. Znała to. Wychowała się w takim bagnie.

Siedziała w pokoju hotelowym. Matowe kolory. Meble z ubiegłego wieku. Zapach stęchlizny i środków czyszczących. Doskonałe miejsce, by czuwać przy łóżku umierającej babki. Usadowiła się przy maleńkim biurku okrytym ceratą i przeczytała jeszcze raz informacje, które zebrała na temat firmy ACSP.

Agencja istniała od dwunastu lat. Oferowała standardowe usługi. Stróżowanie i tresura psów. Agenci bezpieczeństwa i nadzoru. Ochrona osobista. Wynajem prestiżowych pojazdów. Anaïs sprawdziła to w internecie. Wszystko niby w porządku, ale informacje nie do końca jasne. Przedsiębiorstwo należało do jakiejś grupy, lecz nie wiadomo, do jakiej. Jean-Michel Saez chwalił się „długim doświadczeniem w dziedzinie bezpieczeństwa”, nie można się jednak było dowiedzieć, gdzie zdobył to doświadczenie. Jeśli zaś chodzi o referencje, firma nie chciała powoływać się na żadnego klienta, zobowiązana do zachowania dyskrecji.

Anaïs wróciła do artykułów, komentarzy. Po raz kolejny bez rezultatu. Jakby firma ACSP była duchem, bez przeszłości, bez klientów, bez partnerów.

Zadzwoniła do Le Coza. Mówił ponurym głosem. Po powrocie do Bordeaux starał się uporządkować informacje na temat uciekiniera, przekazywane przez świadków, często kłamliwe, wyssane z palca. Do tego dodać trzeba ponaglenia ze strony mediów i władz: GDZIE JEST VICTOR JANUSZ? Anaïs zastanawiała się w duchu, czy przypadkiem nie została w Biarritz po to, żeby tego wszystkiego uniknąć.

– Czy są jakieś wieści o mianowaniu sędziego?

O natychmiastowej nominacji wspominano już poprzedniego dnia. Ucieczka Freire’a przyspieszyła działania. Nie było teraz mowy o normalnym śledztwie. Koniec z niezależnością. Koniec z wolnością. A może w ogóle odbiorą jej to dochodzenie…

– Nadal nic – odparł Le Coz. – Prokuratura chyba o nas zapomniała.

– Chciałbyś. A poza tym?

– Janusz i jego ucieczka.

– Tutaj też nic. Wymknął się nam.

Z jednej strony Anaïs cieszyła się z tego faktu. Z drugiej – spodziewała się najgorszego. Janusz byłby bezpieczniejszy w więzieniu. Każdy uciekinier ryzykuje, że trafi go zbłąkana kula, a jego ścigali zawodowi snajperzy.

– Gdzie jesteś teraz?

– W biurze.

– Masz jeszcze siły?

Le Coz westchnął ciężko.

– Słucham cię.

Anaïs zleciła mu, by pojechał do siedziby biura ACSP i rozejrzał się tam. Dopóki nie mianowano oficjalnie sędziego śledczego, jej ekipa mogła nadal swobodnie działać.

– Chciałabym poznać dokładną historię tego przedsiębiorstwa – powiedziała. – Listę ich klientów. Schemat organizacyjny. Nazwę grupy, do której należy firma. Wszystko.

– Mam jechać tam jutro rano?

– Jedź natychmiast!

– Przecież jest dwudziesta druga!

– Pewnie trafisz na nocnego stróża. Postaraj się go przekonać.

– Jeśli Deversat się o tym dowie…

– Kiedy się dowie, my będziemy już mieli informacje. Przede wszystkim to się liczy.

Le Coz milczał. Czekał na magiczne słowa.

– Biorę na siebie odpowiedzialność.

Porucznik przyjął polecenie, nie do końca uspokojony.

Anaïs po chwili wahania postanowiła zadzwonić do komisarza pod jego prywatny numer.

– Czekałem na pani telefon – odezwał się oficjalnym tonem.

– A ja czekałam na pański.

– Nie miałem nic konkretnego do przekazania.

– Jest pan pewien?

Deversat odchrząknął.

– Mianowano sędziego.

Anaïs poczuła w sercu ucisk. Postawiła to pytanie od niechcenia, a ono wróciło do niej z siłą bumerangu.

– Kto został mianowany?

– Philippe Le Gall.

Gorzej nie mogła trafić. Nowy, niewiele starszy od niej, dopiero co ukończył szkołę urzędników sądowych. Już raz z nim pracowała. Przypominał sędziego ze sprawy Outreau. Taki sam typ prymusa. Tak samo młody. Tak samo niedoświadczony.

– Czy to znaczy, że odbiorą mi dochodzenie?

– To nie zależy ode mnie. Niech pani spróbuje przekonać Le Galla.

– Czy są jakieś zarzuty pod moim adresem co do trybu prowadzenia śledztwa?

– Anaïs, to sprawa o morderstwo, do tego niewątpliwie powiązana z podwójnym zabójstwem na Wybrzeżu Baskijskim. Na razie nie ma pani żadnych wyników. W dodatku pozwoliła pani zbiec naszemu jedynemu podejrzanemu.

Pomyślała o postępie, jakiego dokonała w tej sprawie. Zidentyfikowała ofiarę. Zidentyfikowała świadka, czy jak kto woli, podejrzanego. Odtworzyła sposób działania zabójcy. Nie tak źle jak na trzy dni. Jednak Deversat miał rację – wykonywała swoją pracę, solidnie, ale nic ponadto.

– Jest jeszcze coś – mruknął komisarz.

Anaïs zadrżała. Cały czas czekała, że zostanie odprawiona. Nie dlatego, że była kobietą, ani dlatego, że była młoda, ale dlatego, że była córką Jean-Claude’a Chateleta, kata z Chile, przypuszczalnie mordercy ponad dwustu więźniów politycznych.

Ale Deversat uderzył z innej strony.

– Wydaje się, że jest pani jakoś związana z podejrzanym.

– Co takiego? Kto tak mówi?

– Nieważne. Spotkała się pani z Mathiasem Freire’em poza śledztwem?

– Nie – skłamała. – Spotkałam się z nim raz, żeby zapytać go o pacjenta. Patricka Bonfilsa.

– Dwa razy. Była pani u niego w domu, wieczorem piętnastego lutego.

– Pan… pan kazał mnie śledzić?

– Oczywiście, że nie. To przypadek. Jeden z naszych ludzi zobaczył pani samochód przed domem Mathiasa Freire’a.

– Kto?

– Nie mówmy o tym.

Dranie, wszyscy oni to donosiciele. A najgorsi są policjanci. Szpiclowanie to ich druga natura.

– Rzeczywiście, rozmawiałam z nim w tej sprawie jeszcze jeden raz – przyznała zdławionym głosem.

– O dwudziestej trzeciej?

Nie odezwała się. Teraz już wiedziała, dlaczego chcą jej odebrać tę sprawę. Z trudem hamowała łzy.

– W jakim jest pani punkcie?

– Muszę być obecna przy przeszukaniu w domu dwóch ofiar z Guethary.

– Czy na pewno powinna tam pani być?

– Wracam wcześnie rano. Przypominam panu, że znaleziono tu samochód Mathiasa Freire’a.

– Żandarmi zgadzają się na pani uczestnictwo?

– Nie było z tym problemu.

– Proszę być w komendzie przed południem. Sędzia chciałby się z panią zobaczyć jutro po południu.

– Ustny egzamin?

– Można to i tak nazwać. Przed spotkaniem z panią chciałby dostać szczegółowy raport o śledztwie. Syntezę. Mam nadzieję, że nie jest pani senna, boLe Gall oczekuje, że prześle mu to pani jutro rano e-mailem.

Deversat zamierzał już odłożyć słuchawkę, ale Anaïs zapytała:

– Czy słyszał pan o agencji ochrony ACSP?

– Nie za bardzo. Dlaczego pani o to pyta?

– Jeden z ich wozów jest być może wplątany w tę sprawę.

– W jaką sprawę?

Przedłużyła rozmowę na siłę.

– W masakrę na plaży. Co pan sądzi o tej firmie?

– Mieliśmy z nimi do czynienia w Chartrons. Ktoś się włamał do prywatnego domu strzeżonego przez ich ochroniarzy. Moim zdaniem była to sprawka bandy byłych żołnierzy. Skontaktowała się pani z firmą?

– Tak, rozmawiałam z dyrektorem. Nazywa się Jean-Michel Saez.

– Co powiedział?

– Że ukradziono im wóz przed tymi wydarzeniami. Sprawdzę to.

– Proszę zachować ostrożność. Jeśli dobrze pamiętam, mają rozległe koneksje.

Pomyślała o tym, że wysłała Le Coza prosto w pułapkę. Nielegalne przeszukanie, oparte na zwykłych domysłach. W następnej sekundzie postanowiła, że nie będzie do niego dzwonić. Potrzebowała tych informacji. Instynkt podpowiadał jej, że może się czegoś ciekawego dowiedzieć. A potem będzie się martwić, jak to załatwić…

Zeszła na dół do holu, żeby zrobić sobie kawę, po czym prędko wróciła do pokoju. Otworzyła nowy plik w komputerze i zabrała się do pisania raportu. Poza wszystkim była to doskonała okazja, by dokonać podsumowania śledztwa.

Obudził się gwałtownie, czując palący ból, który szedł z podbrzusza aż do żeber. Kolejna fala dotarła także do pleców.

Otworzył oczy. Światło było zgaszone, a całe piętro pogrążone w ciszy. Co się stało? Odpowiedziało mu głośne burczenie w żołądku, któremu towarzyszyło silne uczucie gorąca w okolicy odbytu. Rozstrój. Efekt picia podłego wina przez cały dzień. Albo zwykły nieżyt żołądka. A może zwyczajnie strach. Strach, który prześladował go od poprzedniego dnia i teraz eksplodował w jego wnętrznościach.

Przekręciwszy się na bok, z rękami na brzuchu, postawił stopy na podłodze. Zakręciło mu się w głowie. Nogi pod nim drżały. Musiał czym prędzej dotrzeć do ubikacji. Zgięty wpół wsunął nóż do kieszeni i chwiejąc się, ruszył ku drzwiom. Każdy krok powodował nawrót bólu.

Stanął na progu sali sypialnej, chwytając się framugi drzwi. Pamiętał, że ubikacja znajdowała się przy wyjściu na korytarz. Nie był pewien, czy wytrzyma tak długo…

Szedł w ciemnościach blisko ściany, wciąż trzymając się za brzuch. Pokasływania. Popierdywania. Pochrapywania. Dotarł do sanitariatów, a tam odbywała się nocna corrida. Dwóch pracowników socjalnych usiłowało zapanować nad mężczyzną, który dwiema rękami czepiał się kranu. Janusz zobaczył tylko jego oczy, błyszczące szaleństwem. Mężczyzna nie klął, nie krzyczał, skoncentrowany na kranie. Dwaj sanitariusze, także milczący, z całej siły odciągali go do tyłu.

Nie było mowy, żeby mógł sobie ulżyć w tych warunkach.

Prysznice. Tam też były toalety. Pchnął oszklone drzwi. Znalazł się na dziedzińcu. W jednej sekundzie poczuł ogarniający go lodowaty chłód. Wszystko było jak skamieniałe. Ucichły nawet psy na dachu pierwszego budynku.

Janusz nie miał pojęcia, która może być godzina. Sam środek nocy. A on czuł się obolały. W pomieszczeniu z prysznicami światła się nie paliły. Dostrzegł czerwone drzwi, białe kafelki. Wszystko zostało posprzątane. Czuło się silny zapach środków odkażających. Pchnął drzwi jednej kabiny. Zajęta. Dochodziły z niej jęki i odgłosy puszczania wiatrów.

Następna kabina była wolna. Otworzył drzwi głową. Wszedł niezgrabnie do środka, odwrócił się. Spuścił spodnie. Usiadł na klozecie, nie myśląc o zaryglowaniu drzwi. Ból rozrywał mu wnętrzności.

Zamknął oczy. Wreszcie mógł się swobodnie wypróżnić. Ukojenie, jakiego doznał, aż odebrało mu dech. Mimo że ból jeszcze nie ustępował, Janusz czuł się o wiele lepiej.

Mając nadal zamknięte oczy, słyszał odgłosy dobiegające z sąsiedniej kabiny, jak echo własnego nieszczęścia. Towarzysz niedoli. To rozwolnienie było niczym chrzest bojowy.

Zamarł.

Wyczuł przed sobą czyjąś obecność.

Otworzył oczy, nie podnosząc głowy. Kilka centymetrów od wypłowiałych converse’ów zobaczył nawoskowane westony. Przestraszony, usiłował zrozumieć, co się dzieje. Nie zaryglował się w kabinie. Ten mężczyzna wślizgnął się za nim i zamknął za sobą drzwi. A wszystko to w czasie, gdy on się wypróżniał.

Janusz zachował się tak, jakby niczego nie zauważył. Najpierw pomyślał o Rumunach, ale westony nie pasowały do tej hipotezy. Uniósł nieco głowę. Spodnie od garnituru, świetnie skrojone, zdradzały drogą włoską markę.

Jeszcze kilka centymetrów wyżej i zobaczył ręce. Intruz trzymał plastikową taśmę zaciskową, ząbkowaną od wewnątrz. Standardowe wyposażenie wszystkich hydraulików na świecie. Skąd on to wiedział?

Zasłonił prawą dłonią gardło. Chwilę później taśma już obejmowała jego szyję niczym garota, wrzynając się jednocześnie w jego dłoń. Poruszył palcami, rozluźniając tym sposobem jej zacisk. Kiedy zabójca zmieniał pozy-

cję, Janusz zerwał się na równe nogi i uderzył go głową w podbródek. Przeszył go przejmujący ból. Przewrócił się na klozet, tłumiąc jęk.

Napastnik wypuścił garotę. Zachwiał się, upadł na drzwi. Janusz nie myślał nawet o tym, żeby naciągnąć spodnie. Lewą ręką – bo prawą wciąż trzymał na gardle – spróbował wypchnąć mężczyznę na zewnątrz.

Bez rezultatu. Z pewnym opóźnieniem uprzytomnił sobie, że drzwi otwierały się do środka. Odryglował zamek. Drzwi, zablokowane przez napastnika, który dochodził do siebie, uchyliły się do połowy.

Janusz krzyknął:

– NA POMOC!

W tej sekundzie zorientował się, że jego życie wisi na włosku. Przed drzwiami stał drugi mężczyzna, z pistoletem automatycznym w ręku. Poznał go natychmiast. Jeden z tych, którzy czatowali pod jego domem w dzielnicy Fleming. Jeden z zabójców na plaży w Guethary.

Mężczyzna wycelował w niego broń.

– NA POMOC!

Pole widzenia zasłonił mu pierwszy napastnik. Wyszedł z kabiny chwiejnym krokiem, trzymając się za twarz. Janusz zamknął za nim drzwi jednym kopnięciem. Przysiadł na klozecie i z głową opartą na łokciach zawołał:

– NA POMOC!

Nic się nie stało. Nie było huku pocisków, bólu. Nic. Z drugiej strony drzwi nie było już nikogo. Czuł to.

Wolną ręką obtarł się błyskawicznie i wciągnął spodnie.

Nie przestawał krzyczeć niczym zarzynana świnia:

– NA POMOC!

Odgłos bieganiny na korytarzu. Przybywano mu na pomoc. Spuścił wodę i zaśmiał się nerwowym śmiechem. Żył. Wybiegł z kabiny i wyciągnął palce spod taśmy, pomagając sobie lewą ręką. Miał na tyle przytomności umysłu, by ukryć garotę pod kołnierzem koszuli. Nie miał zamiaru wyjaśniać przyczyn napaści na niego.

Na odgłos trzaśnięcia drzwiami odwrócił się w nagłym przypływie powracającego strachu. Potargana głowa, broda patriarchy. To jego współtowarzysz od rozstroju żołądka.

Janusz pozdrowił go przyjaznym gestem i skończył zapinać spodnie. Prawa ręka była bezkrwista, obolała. Pochylił się nad jedną z umywalek i ob-

mył twarz zimną wodą. Wyczuł ruch noża w kieszeni spodni. Nawet nie pomyślał o tym, by go użyć. Zupełnie o nim zapomniał.

– *Te gusta?*

Więzień, wybałuszając oczy, wydaje w odpowiedzi chrapliwy krzyk. Chwyta powietrze otwartymi ustami, utrzymywanymi w tym położeniu za pomocą stalowego rozwieracza, narzędzia z czasów pierwszej wojny światowej.

– *Te gusta?*

Mężczyzna próbuje poruszyć głową, ale ta został przywiązana skórzaną taśmą do oparcia krzesła. Z ust spływa mu strużka krwi. Jego twarz ze zmiażdżonymi kośćmi i chrząstkami jest już teraz jak potworna maska.

Nie spuszcza oczu z węża owiniętego wokół ręki oprawcy.

– *Te gusta?*

To *nacanina*, wąż wodny przywieziony z argentyńskich bagien. Czarnozłocisty, nie jest jadowity, ale syczy groźnie i nie przestaje wyciągać ku więźniowi swego cielska. Jest już w odległości kilku centymetrów od jego ust. Mężczyzna chrypi, charczy, miota się. Wąż skręca się, wygina w łuk, napina. Z pyska wysuwa się drgający język, uderza więźnia w wargi. Wąż boi się, szuka kryjówki, chce schować się w wilgotnym, swojskim otworze…

– *Te gusta?*

Więzień wydaje krzyk, który natychmiast zamiera. Ręka oprawcy wsunęła węża do jego gardła. Gad natychmiast wślizguje się do wnętrza, szczęśliwy, że może się skryć.

Metr mięśni, łusek, krwi, znika w gardle ofiary, która od razu się dusi.

Anaïs zerwała się z krzykiem.

Śmiertelna cisza w pokoju. Wszystko tonie w ciemnościach. Gdzie ona jest? Głos ojca rozbrzmiewa tuż obok niej. *Te gusta?* Słychać jeszcze syk węża. Zaszlochała. W głowie miała zamęt. Widziała laskę, asymetryczne buty… Pokój ojca…

Nie. To pokój w hotelu. Biarritz. Śledztwo. Stwierdziwszy to, poczuła się trochę lepiej. Ale sen wciąż w niej tkwił. Od rozwieracza bolały szczęki. *Nacanina* poruszał się w jej gardle. Zakasłała. Pomasowała sobie szyję.

Powróciła jasność umysłu. I wspomnienia.

Nawiedzały ją co noc. Sięgnęła po zegarek na stoliku nocnym. Nie spojrzała na godzinę, lecz na datę. Osiemnasty lutego 2010 roku. Powinna zapomnieć o Kulawym. Już nie była małą dziewczynką. Była kobietą. Policjantką.

Gorąc panujący w pokoju wydawał się nie do zniesienia. Podniosła się, żeby wyregulować grzejnik, czując przy tym, że klei się do prześcieradła. Pot? Anaïs wymacała nocną lampkę i zapaliła ją.

Na łóżku była krew.

W jednej sekundzie pojęła, co się stało. To jej ręce. Torturowane. Pokaleczone. Pocięte. Rany otwarte niczym usta. Nie ruszała ich od ośmiu lat. A teraz przez sen znowu to zrobiła…

Wybuchnęłaby szlochem, ale była za bardzo odrętwiała. Zaczęła myśleć jak policjantka. Czym się tak pocięła? Gdzie było narzędzie zbrodni? W fałdach zakrwawionego prześcieradła znalazła kawałek szkła. Spojrzała na okno. Nietknięte. Poszła do łazienki. Małe okienko było zbite. Na podłodze leżały kolejne odłamki.

Chwyciła ręcznik i rzuciła go na podłogę, żeby nie pokaleczyć sobie bosych stóp. Podeszła do umywalki. Powróciły zapamiętane, zawsze te same gesty. Zimna woda na ręce. Papier toaletowy na rany. Najlepszy środek, żeby się zabliźniły. Nie czuła bólu. Nie czuła nic. Prawdę mówiąc, czuła się tak dobrze, jak za każdym razem…

Użyła perfum do zdezynfekowania ran, a potem owinęła ręce papierem toaletowym. Wyraźny symbol – była niczym gówno.

Zła na siebie wróciła do pokoju, zerwała z łóżka prześcieradło, koc, kapę. Zwinęła to wszystko i rzuciła na podłogę. Bezpośrednie dowody jej zbrod-

ni. Zatrzymała się. Znowu słyszała głos z nocnego koszmaru – głos ojca: *Te gusta?*

Oto, dlaczego tak się poraniła.

Pragnęła usunąć krew, która budziła w niej odrazę.

Zniszczyć więzy krwi.

Usiadła na czystym materacu, plecami oparta o ścianę, oplótłszy rękoma kolana. Kołysała się to w przód, to w tył jak szaleniec zamknięty w izolatce.

Modliła się cicho, po hiszpańsku. Z martwym wzrokiem, pustką w głowie, kołysząc się, powtarzała słowa modlitwy:

Padre nuestro, que estas en el cielo
Sanctificado sea tu nombre
Venga a nosotros tu reino
Hàgase tu voluntad en la tierra…

O siódmej trzydzieści rozległ się dzwonek. Wszyscy do stołówki! Biegiem!

Janusz podążył za innymi. Po tym, co się wydarzyło w ubikacji, udzielono mu pomocy. Dostał tabletkę imodium, która zahamowała biegunkę. Wysłuchano jego relacji. Zbagatelizował napaść, sprowadzając ją do zwykłych bójek między kloszardami. Pracownicy ośrodka nie byli głupcami. Podejrzewali Rumunów. Janusz zapewniał, że to nie oni. Odesłano go do łóżka, zapowiadając, że kolejną rozmowę przeprowadzą z nim rano w obecności dyrektora i policji. Nie udało mu się już zasnąć. Mordercy w garniturach z fil a filu. Plastikowa garota. Milczek z pistoletem. Jakim sposobem go odnaleźli? Czy towarzyszyli mu od Biarritz? Czy ktoś go tutaj rozpoznał? Kto?

Ta noc przyniosła przynajmniej jedną odpowiedź. Od ataku w Guethary zastanawiał się, czy chodziło im także o niego. Koniec wątpliwości – był na ich liście.

Postanowił, że z samego rana wymknie się cichaczem. Nie zamierzał zeznawać po raz drugi. Nie chciał mieć do czynienia z cywilizowanym światem, a zwłaszcza z policją. Jego portret z pewnością został już rozesłany do komisariatów, ośrodków pomocy społecznej, garkuchni i wszędzie tam, gdzie mógłby się zjawić. Trzeba wiać. I to jak najszybciej.

Bramę ośrodka otwierano dopiero o wpół do dziewiątej. Zamyślił się, wpatrzony w swój kubek z kawą i kawałek chleba, kiedy w stołówce zaczę-

ło się dziać coś dziwnego. Jego sąsiad przy stole dostał drgawek, cztery miejsca dalej trząsł się drugi. Przy stole obok jeszcze bardziej dygotał kolejny kloszard. Po chwili trzęśli się już wszyscy, opanowani coraz silniejszymi drgawkami. Wydawało się, że sala została poddana monstrualnym wibracjom.

Janusz domyślił się, w czym rzecz. Ci ludzie, mężczyźni i kobiety, nie pili już od ponad ośmiu godzin. Nie potrzebowali ani kawy, ani kanapek. Potrzebny był im sikacz. Niektórzy trzymali kurczowo kubki. Innych dręczyły takie konwulsje, że podskakiwali razem z krzesłami.

Bezdomni, przybyli do Pierre-Janet w nocy, też tak cierpieli po przebudzeniu. Pragnienie paliło im wnętrzności, wywołując spazmy, które rozśmieszały innych. Nazywano to „trzęsionką”.

Rozejrzał się po sali. Połowa stołowników trzęsła się, druga, ubawiona tym widokiem, głośno krzyczała: „trzęsionka, trzęsionka!”. Janusz chwycił swoją tacę i wstał. Zanosiło się na gigantyczny atak epilepsji, który będzie wymagał pomocy maksymalnej liczby pracowników. Idealny moment, żeby się ulotnić.

Odstawiał tacę z brudnymi naczyniami, kiedy ktoś zawołał:

– Jeannot!

Janusz się odwrócił. Zobaczył niewysokiego mężczyznę w czarnym berecie i przewiązanej sznurkiem kurtce. W jego oczach widniał tak długo oczekiwany błysk, świadczący o tym, że ten człowiek go rozpoznał.

– Jeannot, to ty?

– Nazywam się Janusz.

– Tak, to ty, Jeannot. – Mężczyzna się roześmiał. – Boże, straciłeś rozum czy co?

Nie odpowiedział. Ta gęba nic mu nie mówiła.

– Shampooing – powiedział tamten. Jednym ruchem zdjął beret. Był kompletnie łysy. Potarł czaszkę. – Shampooing, chwytasz? Chyba jesteś chory, że tu wróciłeś!

– Dlaczego?

– Boże, znowu wlałeś w siebie parę litrów.

– Ja… ja piję?

– Jak smok, chłopie.

– Z jakiego powodu miałbym tu nie wracać?

– Z powodu policji. Z powodu całej reszty.

Za ich plecami nadal trwała trzęsionka. Krzyki, nerwowość, śmiechy. Wszyscy się budzili. Prawdziwie koszmarna sceneria.

Janusz złapał za ramię Shampooinga i zaciągnął go w spokojniejsze miejsce, obok lady z termosami i konfiturami.

– Nic nie pamiętam, kapujesz?

Łysy podrapał się po głowie i fatalistycznym tonem stwierdził:

– To się zdarza od czasu do czasu nam wszystkim.

– Gdzie się poznaliśmy?

– W ośrodku Emmaus. Pracowałeś tam.

Oto, dlaczego nie rozpoznał go nikt na ulicy. Janusz nie włóczył się jak bezpański pies. Miał swoją budę. Ośrodek pomocy społecznej Emmaus. Daniel Le Guen. Kolega z Emmaus. Powinien był zacząć swoje poszukiwania od tego tropu.

Harmider robił się nie do wytrzymania. Przybywali pracownicy socjalni. Otwierali drzwi, żeby uwolnić wściekłe bestie. Trzeba skorzystać z zamieszania.

– Spływamy stąd – szepnął.

– Ale ja nie zjadłem śniadania!

– Zafunduję ci potem kawę.

Popchnięto go na suszarkę do naczyń. Utworzyło się zbiegowisko. Pewnie jakaś rozróba, w której jedni będą się bić, a drudzy im kibicować. Janusz chwycił mocniej Shampooinga za ramię i popchnął go do wyjścia.

– Idziemy.

Przechodząc, rzucił okiem na grupę. To nie była zwykła bójka. Jakaś kobieta upadła właśnie na podłogę. Leżała nieruchomo jak martwa. Rozpychając się łokciami, utorował sobie drogę do niej. Przyklęknął na podłodze i szybko ją zbadał. Jeszcze żyła.

Kiedy pochylił się nad nią, poczuł silny zapach zgniłych jabłek. To wyjaśniało wszystko. Zapach acetonu, którym przesiąknięta była jej skóra. Śpiączka cukrzycowa spowodowana kwasicą ketonową. Albo ta kobieta nie brała insuliny, albo nie jadła od wielu dni. W każdym razie należało czym prędzej wstrzyknąć jej glukagon. A potem podłączyć do kroplówki.

Nagle doznał olśnienia. Bez żadnej wątpliwości był lekarzem.

Jakby na potwierdzenie tego Shampooing wrzeszczał za jego plecami:

– Posłuchajcie go! Znam gościa! Jest lekarzem!

Kloszardzi wyli, rechotali, trzęśli się. Każdy rzucał jakąś radę:

– Niech dmuchnie do balonika!

– Ustausta. Chętnie zrobię jej sztuczne oddychanie usta-usta!

– Trzeba wezwać policję!

W końcu nadeszli pracownicy. Janusz wstał z klęczek i dyskretnie się wymknął. Na pewno przybędzie jakiś lekarz. Shampooing wciąż coś głośno tłumaczył.

Janusz złapał go znowu za ramię i pociągnął aż na dziedziniec.

Brama była otwarta. Kloszardzi wracali do swoich miejsc na bruku, w dymie spalin. Trzeba działać szybko. Łysy nagle przyhamował.

– Czekaj! Muszę odebrać moje rzeczy!

Stracili jeszcze pięć minut w przechowalni bagażu, po czym wymknęli się, mijając się w bramie z karetką pogotowia. Szybkim krokiem wyszli na bulwar. Janusz pomyślał, że j ego przypuszczenie z poprzedniego wieczoru było słuszne – dzielnicę poddawano gruntownej renowacji, co najpierw wymagało wyburzeń. Widać było place budowy na przemian ze starymi domami, z zamurowanymi oknami. Nad samą jezdnią wznosił się wiadukt, górujący nad tą ziemią niczyją w trakcie zmian.

Janusz zauważył bezdomnych, którzy szukali czegoś w ślepej ścianie jednego z budynków. Starozakonni pod Ścianą Płaczu.

– Co oni robią?

– Wyciągają swoje flaszki. W ośrodku nie wolno pić wina. Chowamy nasze zapasy w załomach muru. Dzięki temu nie tracimy czasu po przebudzeniu. Zdarza się niekiedy, że wstajemy w nocy i idziemy się napić. Nikt nie widzi, nikt się nie dowie… Gdzie idziemy?

Janusz odpowiedział bez zastanowienia:

– Muszę zobaczyć morze.

Dom Bonfilsów został częściowo rozebrany. Wszystkie meble, ubrania, przedmioty należące do nich wyniesiono na zewnątrz. Budynek nie miał już ani podłogi, ani dachu. Deski złożono kilka metrów dalej, a obok stos gontów. Ściany były przebite w wielu miejscach w poszukiwaniu ewentualnych wnęk. Gips pokrywał wszystko niczym pył wulkaniczny. Żandarmi używali sond, kilofów, detektorów do wykrywania metali.

Dobytek Patricka Bonfilsa i Sylvie został pogrupowany na kilku brezentowych płachtach. Każdy stos przykryto daszkiem, aby deszcz nie zmył śladów.

Anaïs, w pelerynie i gumowych botkach, przeszła się między tymi namiocikami. Była w podłym nastroju. W nocy, po koszmarnym śnie, drugi raz już nie zasnęła. Ponownie przejrzała i poprawiła swój raport, po czym o świcie przesłała go sędziemu e-mailem. Nadal męczyło ją przeziębienie, a do tego doszła ostra wymiana zdań między nią i komendantem Martenotem, który wciąż utrzymywał, że nie otrzymał jeszcze wyników sekcji zwłok. To kłamstwo było wręcz groteskowe.

Na jednej z plandek leżały sprzęty gospodarstwa domowego. Druga była przeznaczona na ubrania, pościel i bieliznę. Jeszcze inna na sprzęt sanitarny – umywalkę, muszlę klozetową, wannę. Na kolejnej zgromadzono książki Bonfilsa. Anaïs miała wrażenie, że chodzi między rzeczami wyrzuconymi ze strychu.

Po raz pierwszy od dawna czuła gorąco na rękach. W drodze do Guethary kupiła swoją tradycyjną apteczkę pierwszej pomocy.

Środek dezynfekujący. Maść na zabliźnianie się okaleczeń. Bandaże. Opatrunki zrobiła w samochodzie. Wilczyca liżąca własne rany.

Zadzwoniła jej komórka. Le Coz.

Odeszła na bok, pod drzewo.

– Nieźle mi poszło – oświadczył z zadowoleniem w głosie.

– Słucham.

Le Coz pojechał do siedziby ACSP i obudził nocnego strażnika. Znalazł archiwum firmy. Papiery potwierdzające prawne istnienie spółki. Dokumenty podatkowe. Bilanse finansowe z każdego roku. Listę klientów – przedsiębiorstwa farmaceutyczne lub produkcyjne, które korzystały z usług ACSP w zakresie ochrony ich siedzib. Nic, do czego można by się przyczepić.

Firma ochroniarska od początku należała do holdingu. Anaïs nie zrozumiała nic ze skomplikowanych procedur, które Le Coz usiłował jej opisać. Zanim został policjantem, ukończył studia ekonomiczne. Z jego opisu wynikała jedna godna uwagi rzecz. ACSP należała do dużego francuskiego holdingu chemicznego o nazwie Mêtis, mającego swoją bazę w okolicach Bordeaux. Anaïs słyszała już wcześniej tę nazwę.

– Czego się dowiedziałeś o samym holdingu?

– Działalność w dziedzinie chemii, agronomii, farmacji. Tysiące pracowników na całym świecie, zwłaszcza we Francji i w Afryce.

– Tylko tyle? A kim są właściciele?

– To anonimowe stowarzyszenie.

– Trzeba poszperać głębiej.

– Niemożliwe, a ty dobrze o tym wiesz. Nawet ta rewizja dokonana przeze mnie jest całkowicie nielegalna. Jeśli pójdziemy dalej, trafimy głową w mur. Wiesz, że wyznaczono już sędziego?

– Zobaczę się z nim dziś po południu.

– Nie odbiorą nam śledztwa?

– Powiem ci wieczorem. To wszystko?

– Nie. Dziś rano nadeszła niespodziewana wiadomość.

– Jaka?

– W Marsylii natrafiono na ślad Victora Janusza. Potwierdza to wielu świadków. Spędził noc w ośrodku pomocy dla bezdomnych. Chcesz numer

telefonu komendanta, który kieruje akcją?

Przystań rybacka le Vallon des Auffes to jedna z turystycznych atrakcji Marsylii, ale osiemnastego lutego wyglądała na opuszczoną. Nieczynne restauracje. Porzucone statki. Zamknięte pawilony plażowe. Nabrzeże okalające redę wysprzątane i lśniące, jakby je dopiero co wyszorowano środkiem dezynfekującym. Januszowi podobała się ta pustka. Wiatr na twarzy. Rozbryzgi wody w powietrzu. Morze w oddali, a jednocześnie obecne w każdej cząsteczce światła. Można było tutaj napawać się błękitem, wdychać sól.

Siedzieli na cyplu portowym, z nogami tuż nad wodą, naprzeciw akweduktu, którego łuki oddzielały morze od nieba. Idealny moment, żeby powrócić do przerwanego przesłuchania.

– Skąd wiesz, że jestem lekarzem?

– Nic o tym nie wiem. A jesteś lekarzem?

– Krzyczałeś tak w stołówce.

Shampooing wzruszył ramionami. Wyjął swoje zapasy, żeby zjeść śniadanie. Dwie powyginane menażki. Rogaliki z poprzedniego dnia, które dostał w zaprzyjaźnionej piekarni. Nowy karton wina, za który zapłacił Janusz. Napełnił dwie menażki, następnie zamoczył rogalik w winie.

– Nie jesz?

– Powiedziałem ci wtedy, że jestem lekarzem?

– Nic nie powiedziałeś. Nie należałeś do zbytnio gadatliwych, chłopie. Ale wyglądało na to, że się na tym znasz. Zwłaszcza na tym, co się dzieje w naszych głowach.

– Jak psychiatra?

Shampooing, nie odpowiadając, ugryzł rogalik. Pieniąca się fala przybojowa z szumem obmywała podeszwy ich butów.

– Pamiętasz, kiedy się poznaliśmy?

– Chyba w listopadzie. Było cholernie zimno.

Janusz wyjął notes. Zaczął robić notatki.

– Stałeś się intelektualistą. – Shampooing zarechotał. – Nie pijesz?

– To było w ośrodku Emmaus?

– Zgadza się.

– Gdzie to jest?

Kloszard spojrzał na niego z ukosa. Miał gładką, bardzo białą skórę, bez zarostu i brwi. Wystające kości jak w wyschłym szkielecie. Twarz przecinały blizny – ślady po bójkach. Także na głowie widoczna była jedna prosta linia. Janusz nie miał wątpliwości – to ślad po trepanacji czaszki.

– Gdzie się znajduje ośrodek Emmaus? – powtórzył.

– Faktycznie masz jakieś zaćmienie… Bulwar Cartonnerie, w Jedenastej Dzielnicy.

Popił znowu i umoczył w winie drugi rogalik. Janusz cały czas notował.

– Dwudziestego drugiego grudnia zostałem aresztowany z powodu bójki.

– Nie pamiętasz tego?

– Trochę. Czy wiesz, co się stało?

– Wtedy mnie tam nie było, ale widziałem cię potem. Napadli na ciebie faceci z Bougainville.

– Bougainville?

– To dzielnica w Marsylii. Niedaleko od Madrague. Kręci się tam banda włóczęgów. Bardzo niebezpieczne typy. Brutalne szajbusy.

Janusz zastanawiał się, jak dał sobie radę z takimi bandziorami.

– Dlaczego na mnie napadli? Chcieli mnie okraść?

– A co mieliby ci ukraść? Oni chcieli twojej skóry.

– Tak ci powiedziałem?

– Zesrałeś się w portki, chłopie.

– Czy wyjaśniłem ci, dlaczego chcieli mnie zabić?

– Nie. Powiedziałeś tylko, że wyjeżdżasz. Że powróciło światło. Że bogowie napisali swoją historię. Zawsze byłeś dziwny, ale czasami naprawdę ci odbijało.

Światło. Jak w jego marzeniu sennym i we śnie Patricka Bonfilsa? Symptom fugi dysocjacyjnej? Bogowie i ich historia. Aluzja do mordercy z obsesją na punkcie mitologii? Znowu odezwał się ostry ból w lewym oczodole.

– Czy wiesz, dokąd wyjechałem?

– Nie mam pojęcia. Cholera! Co się z tobą stało?

– Powiedziałem ci, że nic nie pamiętam!

Shampooing nie nalegał. Ból zaostrzał się, obejmował teraz całe czoło. Janusz szukał ulgi, spoglądając na morze pod arkadami akweduktu. Nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu. Przeciwnie. Niebo się zachmurzyło. Srebrzyste fale miały odstręczający wygląd stłuczonego szkła. Migrena skaziła pejzaż.

– Godzinę temu powiedziałeś – odezwał się, pocierając skronie – że nie powinienem był wracać. „Z powodu policji”.

– Zgadza się.

– Przez tę bójkę? To stara historia…

– Głupku. Gliny cię szukają. Tutaj. Teraz. Wczoraj przetrząsnęli wszystkie nasze dzielnice. Natknąłem się na nich dwa razy. W Valentine i w ADJ Marceau, miejscu dziennego pobytu dla bezdomnych. Przepytywali nas. Szukają cię, Jeannot. I nie żartują.

Janusz domyślił się prawdy. Sądził, że jest bezpieczny w przebraniu kloszarda, a tymczasem tylko cudem wymykał się policji od czasu przyjazdu do Marsylii. Anaïs Chatelet zarządziła pościg za nim również tutaj, nie tylko w Bordeaux. Będzie musiał zmienić strategię.

– Czy wiesz, dlaczego jestem poszukiwany?

– Zdaje się, że chodzi o morderstwo. Jakiegoś bezdomnego. W Bordeaux. Nasi chłopcy słyszeli, jak gliny rozmawiały z pracownikami socjalnymi. Ale ja wiem, że to pomyłka, mój stary! – Chwycił karton i wypił solidny łyk. – Zawsze będziemy ofiarami społeczeństwa…

– Tam w noclegowni powiedziałeś też, że nie powinienem był wracać „z powodu całej reszty”. Co to znaczy?

– Typy z Bougainville nie należą do takich, którzy zapominają. Jeśli się dowiedzą, że wróciłeś, będą chcieli cię odnaleźć, by wykonać swoją robotę.

Lista zagrożeń wciąż się wydłużała. Policja. Faceci w czerni. A teraz banda włóczęgów. Powinien głośno krzyczeć, ale był otępiały jak pod wpływem narkozy.

– To nie wszystko – dodał Shampooing trochę ciszej. Janusz wyciągnął szyję, jakby czekając na dobijający cios.

– Policja w Marsylii… łączy to z jeszcze innym zabójstwem.

– Innym zabójstwem?

– W grudniu ubiegłego roku zamordowano jakiegoś kloszarda. Znaleziono go zwęglonego do połowy w zatoczce między urwistymi skałami. Mówiono nawet wtedy, że zabójcą jest któryś z bezdomnych, ale nie było potem innych morderstw. Może ten facet przeniósł się do Bordeaux?

Janusz drżał z zimna. Migrena zaciemniała mu wzrok.

– Dlaczego wiążą ze sobą te dwa morderstwa?

– Nie jestem z policji.

Janusz odetchnął głęboko i postanowił wrócić do początku.

– Czy pamiętasz, kiedy dokładnie znaleziono zwłoki?

– Chyba gdzieś w połowie grudnia.

– Czy ofiara została zidentyfikowana?

– Tak. To Czech… Włóczęga. Nie znałem go.

– Należał do bandy z Bougainville?

– Nie przypuszczam.

– Czy na miejscu zabójstwa znaleziono odciski palców?

– Zanudzasz mnie tymi pytaniami. Ja nic nie wiem.

– A co sądzisz o tym morderstwie? Zastanów się. Shampooing aż się skrzywił od wysiłku myślowego. Janusz ze swej strony podsumowywał fakty. Wiązano z nim dwa trupy. Jeden w Marsylii, drugi w Bordeaux. Pętla podejrzeń się zacieśniała. Pokręcił głową. „Nie jestem mordercą”.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło.

– Chłopaka znaleziono w zatoczce w Sormiou. Kilkanaście kilometrów stąd w prostej linii. Ciało było nagie i spalone. Mówili, że przyniósł je prąd, ale ja uważam, że to głupota. Zostawiono go tam, i basta.

– Skąd wiadomo, że było to morderstwo?

– Świadczyła o tym inscenizacja.

– Jakiego rodzaju?

Shampooing się roześmiał.

– Chłopak miał skrzydła!

– Co takiego?

– Przysięgam. Dwa nadpalone skrzydła na plecach. Dziennikarze pisali, że jakby chciał latać i spadł do morza. Ale guzik wiedzą. No bo dlaczego

był zwęglony? Dlaczego był nagi?

Janusz już go nie słuchał. Zabójca z Olimpu. Zanim zabito Minotaura w Bordeaux, zamordowano Ikara w Marsylii.

– Napij się. – Shampooing podał mu karton. – Jesteś blady jak trup.

– Nic mi nie jest, dziękuję.

– Jesteś na odwyku czy jak?

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytał Janusz.

Shampooing uśmiechnął się i wypiwszy znowu trochę wina, rzucił:

– Ma się te znajomości.

Janusz chwycił go za kołnierz i przyciągnął brutalnie do siebie. Karton potoczył się w dół po nasypie.

– Jakie znajomości?

– Chwila, opanuj się! Znam pewnego faceta, to wszystko. Claudie. Skończył z bezdomnością. Znalazł pracę.

– Jest policjantem?

Shampooing uwolnił się i ruszył na czworakach w stronę kartonu z winem. W ostatniej chwili uratował go przed utopieniem.

– Prawie – powiedział, wracając na miejsce. – Pracuje w kostnicy w La Timone. Wozi trupy na wózkach. To on mi opowiedział o wszystkim. Słyszał, jak policjanci… Co ty wyrabiasz?

Janusz zerwał się na równe nogi.

– Idziemy.

Claudie miał zdecydowanie nietypowy wygląd.

Kamienny kolos z *Fantastycznej czwórki*. Łysy, barczysty, małomówny, ubrany w biały kitel, palił papierosa na dziedzińcu kostnicy. Janusz i Shampooing podeszli ostrożnie, dysząc ze zmęczenia. Przemierzyli cały teren szpitala La Timone, weszli po schodach, by dotrzeć do miejsca, gdzie znajdował się Zakład Medycyny Sądowej. Słońce pokazało się ponownie i spocili się pod swoimi łachami.

Janusz stwierdził z zaskoczeniem, że miejsce urządzono w japońskim stylu. Płaski parterowy budynek z dachem o wygiętych do góry narożnikach przypominał pagodę. Wokoło rosły drzewa liściaste przywodzące na myśl bambusy. Gdzieś świergotały niewidoczne ptaki, niczym w ogrodzie zen.

– Cześć, Claudie!

– A ty co tu robisz? – mruknął tamten bez entuzjazmu.

– Przedstawiam ci Jeannota. Ma do ciebie kilka pytań.

Claudie otaksował Janusza uważnym spojrzeniem. Miał jakieś sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Papieros w jego dłoni wyglądał jak wetknięty w skałę. Z nozdrzy wydobywał się dym niczym z krateru wulkanu.

– Na jaki temat?

Janusz zrobił krok do przodu.

– Zapytaj mnie raczej, ile ci jestem gotów zapłacić.

Kamienny kolos się uśmiechnął. W kapryśnej minie wydął grube wargi.

– Wszystko zależy od tego, co chcesz kupić.

– Co wiesz o zwłokach człowieka ze skrzydłami, znalezionego w zatoczce w Sormiou?

Claudie popatrzył na koniec swego papierosa. Kapryśna mina zrobiła się jeszcze bardziej wyraźna.

– Za drogo dla ciebie, chłopie.

– Sto euro.

– Dwieście.

– Sto pięćdziesiąt.

Janusz sięgnął do kieszeni i położył banknoty na dłoni kolosa. Nie miał czasu na długie targi. Na widok pieniędzy Shampooing otworzył szeroko oczy.

Claudie schował forsę.

– Ten trup został znaleziony w połowie grudnia w zatoczce w Sormiou.

– A dokładnie którego dnia?

– Jeśli chcesz znać dokładną datę, zapytaj o to gliny.

– Jak się nazywał ten człowiek?

– Nazwisko z Europy Wschodniej. Tzevan czy coś w tym rodzaju. Dwudziestoletni włóczęga, w Marsylii przebywał od kilku miesięcy. Policja zidentyfikowała go dzięki odciskom palców. Miał już kłopoty z prawem.

Janusz zatrzymał się na szczególe dotyczącym odcisków palców.

– Ale ciało było spalone, tak?

– Nie na tyle, żeby nie można było zdjąć odcisków palców.

– Gdzie dokładnie zostały znalezione zwłoki?

– W samym kącie zatoczki. Dokładnie naprzeciw wyspy Casereigne.

– Co wiesz o okolicznościach odnalezienia ciała?

– Trafili na nie dwaj spacerowicze. Było nagie, zwęglone, ze skrzydłami przymocowanymi do pleców. Prasa napisała, że facet się utopił i że na brzeg wyrzuciły go fale przyboju. Bzdura. Chłopak nie miał ani kropli wody w płucach.

– Uczestniczyłeś w autopsji?

– Nie należy to do moich obowiązków, ale słyszałem rozmowę lekarza sądowego z policjantami.

– Jaka więc była przyczyna śmierci tego chłopaka?

– Nie usłyszałem wszystkiego. Mówili o przedawkowaniu.

Kolejne powiązanie z morderstwem w Bordeaux. Podpis zabójcy. Ikar. Minotaur. Czy zdarzyły się jeszcze inne morderstwa zainspirowane mitologią gdzieś we Francji?

– Dlaczego ciało zostało spalone?

– O to zapytaj zabójcę, jak go spotkasz.

– Powiedz mi coś o skrzydłach.

Claudie zapalił drugiego papierosa od niedopałka pierwszego. Na jego karku pokazały się maoryskie tatuaże niczym dumne, groźne węże.

– Zabrano je do laboratorium kryminalistyki. Nawet ich nie widziałem.

– Shampooing mówił mi o skrzydłach podobnych do lotni.

– Zgadza się. Konstrukcja ponadtrzymetrowej szerokości. Czyste szaleństwo. Skrzydła zostały przyszyte do skóry chłopaka. Technicy odcięli nici na miejscu zbrodni.

Janusz wyobraził sobie nagie, sczerniałe ciało z przyszytymi skrzydłami. Ci spacerowicze musieli przeżyć niezły wstrząs.

– To nie wszystko – podjął Claudie. – Z tego, co usłyszałem, na skrzydłach były ślady wosku i piór. Zabójca musiał się nieźle naharować, żeby stworzyć taką inscenizację.

Jeszcze jeden szczegół pasujący do mitu o Ikarze. Chyba bardziej znanego od mitu o Minotaurze. Ikar i jego ojciec, Dedal, uwięzieni przez Minosa, króla Krety, konstruują sobie skrzydła z wosku i piór. W trakcie lotu Ikar, młody, nierozumny, wzlatuje za wysoko. Żar słońca topi wosk spajający pióra. Ikar spada do morza i tonie.

– Czy znaleźli inne ślady odcisków palców na miejscu zbrodni?

– Nic więcej nie wiem, chłopie. I tak, moim zdaniem, usłyszałeś aż nazbyt wiele za swoją forsę.

– Ile za kompletny raport z autopsji?

Claudie zaciągnął się i wydmuchał na wiatr kłęby dymu.

– Za coś takiego mogą mnie wyrzucić z pracy.

– Ile?

– Pięćset euro, bez targowania się.

Janusz wyjął plik banknotów po pięćdziesiąt euro. Odliczył dziesięć i podał pięć kolosowi.

– Resztę dostaniesz, jak przyniesiesz raport. Czekam tutaj.

Claudie bez słowa wepchnął pieniądze do kieszeni. Być może żałował w duchu, że nie zażądał więcej. Rzucił peta i odszedł.

– Cholera… – jęknął osłupiały Shampooing. – Skąd wytrzasnąłeś tyle mamony?

Janusz nie odpowiedział. Wiedział, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Poprzedniego dnia, który spędził na ulicy, zdążył poznać panujące tam zwyczaje. Przy pierwszej oznace słabości Shampooing go zabije.

Pojawił się Claudie, rozglądając się nieufnie na prawo i na lewo. Parking był nadal pusty. Wiatr poruszał liśćmi, których szum mieszał się ze świergotem ptaków. Kolos sięgnął po raport schowany pod kitlem. Janusz dał mu resztę pieniędzy i chwycił spięte spinaczem kartki.

– Nigdy się nie widzieliśmy, chłopie.

– Poczekaj.

Janusz przebiegł wzrokiem fotokopie. Wszystko tu było. Numer sprawy – K09 544 32 26. Nazwisko i imię ofiary – Tzevan Sokow. Nazwisko sędzi śledczej – Pascale Andréu. Nazwisko szefa grupy dochodzeniowej – Jean-Luc Crosnier. Następnie szczegółowy opis ciała i ran.

– Schowaj to – syknął Claudie. – Wpakujesz nas w kłopoty.

Janusz wsunął dokumenty pod płaszcz.

– Miło mi było cię poznać.

– Masz jeszcze forsę, chłopie?

– A czemu pytasz? Masz jeszcze coś do sprzedania?

Claudie się uśmiechnął. Kiedy robił fotokopie, przypomniał sobie coś, co mogło być przedmiotem negocjacji.

– Policja poszukiwała wtedy świadka, który mógł wszystko widzieć. Kogoś z marginesu.

– Co widział?

– Morderstwo. Zabójcę. Nie wiem dokładnie. Ale chcieli go przesłuchać. – Claudie z uśmieszkiem na ustach przerwał, by zapalić papierosa. Złapał Janusza na haczyk. – Najciekawsze jest to, że facet opowiedział całą historię, zanim odkryto ciało. Przyszedł do komisariatu, nie pamiętam już, do którego, żeby opowiedzieć swoją bajkę. Nikt mu nie uwierzył. Krótki wpis w codziennych raportach, i tyle. Kiedy znaleziono tego trupa, policjanci z tego posterunku zrobili porównanie. Wezwali Crosniera, szefa grupy dochodzeniowej. To wszystko, co usłyszałem.

Claudie nie pomylił się, że zainteresuje tym Janusza.

– Ile za nazwisko tego człowieka?

– Pięćset.

Coś tknęło Janusza, żeby tym razem się potargować. Tępy, prymitywny impuls. Nie ustępować tak od razu. Pertraktacje trwały tylko kilka sekund. Claudie odpuścił, gdy wyczuł, że więcej nie wskóra.

– Niech będzie dwieście.

Janusz wyjął banknoty. Pieniądze zniknęły w dłoni kolosa.

– Mówią na niego Biała Blacha.

– Biała Blacha? – powtórzył Shampooing. – On cię nabiera, Jeannot. Przecież to szajbus!

Claudie obrzucił groźnym spojrzeniem Shampooinga, ale ten nie dał się zastraszyć. Forsa, którą zobaczył, wprawiła go w złość.

– Kiedy pracował przy robotach ziemnych w Marsylii, w jego czaszkę wbił się kawałek metalu. Nadal tam tkwi i zapewniam cię, że nawet to widać. Świadectwo takiego idioty nie jest warte funta kłaków. Claudie robi cię w konia!

Kolos pokiwał głową z ironicznym uśmieszkiem.

– Gliny tak nie mówiły. Porównali to, co było w raporcie dziennym i w opisie miejsca zbrodni. Spalone ciało, skrzydła, wszystko się zgadzało. Dowiedzieli się o tym dzień wcześniej, nim spacerowicze trafili na trupa.

– Czy policja znalazła tego faceta?

– Nie mam pojęcia.

Janusz pożegnał Claudiego i zawrócił ku schodom. Shampooing ruszył w ślad za nim. Po tym, jak zobaczył tyle mamony, nie miał zamiaru go opuszczać. Doskonale. Janusz potrzebował takiego człowieka, żeby odnaleźć Białą Blachę.

Największa biblioteka w Marsylii powstała na miejscu kabaretu Alcazar z początków XIX wieku. Był to nowoczesny budynek z fasadą ze szkła, błyszczącą jak lustro. Na pamiątkę music-hallu architekci zrekonstruowali daszek ze szkła i żelaza w stylu belle epoque, umieszczony nad oszklonymi drzwiami, co zdecydowanie nie pasowało do nowoczesnej reszty.

Janusz nie wiedział, skąd ma takie informacje, ale poczuł się szczęśliwy, że przypomniał sobie przynajmniej coś z dziedziny kultury.

– Jesteś pewien, że nas tam wpuszczą?

– Nie martw się – skwitował Shampooing. – W bibliotekach nas uwielbiają. Lewicowy aspekt kultury. A zimą wszyscy są jeszcze bardziej dla nas sympatyczni. Chłód to nasz najlepszy przyjaciel!

Shampooing mówił prawdę. Zostali przyjęci z życzliwością. Pozwolono nawet na to, żeby Shampooing zostawił swój śmierdzący bagaż, wprawdzie nie w szatni, ale w pomieszczeniu z betonową podłogą, przeznaczonym na materiały konserwacyjne. Janusz był kłębkiem nerwów. Trop zabójcy, który zbiegał się z jego własną drogą. Coraz większy natłok pytań bez odpowiedzi… Postanowił zagłębić się w starożytność, traktując ją jak świeże, wzbogacające i wtajemniczające źródło.

Biblioteka zalana była światłem. Przez wielki witraż przesączały się promienie słońca, które oświetlały białe ściany, wiszące schody, oszklone windy. Wysoki hol miał kilka pięter i doskonale pasowało do niego określenie „wieża z kości słoniowej”.

Shampooing kierował się już do wolnego fotela z myślą o drzemce.

– Idziesz ze mną – oznajmił mu Janusz.

– Gdzie?

– Zaczniemy od gazet.

Janusz skorzystał z cyfrowego katalogu prasy regionalnej. Szybko trafił na szereg artykułów na temat martwego człowieka ze skrzydłami, znalezionego w zatoczce Sormiou siedemnastego grudnia 2009 roku. Z krótkich notatek wynikało, że nie został zidentyfikowany. Nieznane były także okoliczności wypadku. Janusz szukał dalej, ale nie znalazł innych informacji.

Zastanawiał się, jakim cudem komendant Jean-Luc Crosnier zdołał zatuszować sprawę. W każdym razie jego grupa dochodzeniowa musiała pracować bardzo dyskretnie. Po kilku minutach Janusz wyłączył komputer.

Prawdę mówiąc, wiedział o sprawie więcej niż wszystkie gazety południowo-wschodniej Francji razem wzięte. W drodze do biblioteki, jadąc metrem, przeczytał cały raport z sekcji zwłok, który dał mu Claudie. Nie było tam nic specjalnego oprócz kilku istotnych szczegółów. Przede wszystkim to, że analiza toksykologiczna wykazała sporą dawkę heroiny we krwi Tzevana Sokowa. Tak samo jak u Philippe’a Duruya.

Podniósł wzrok, szukając działu MITOLOGIA. Na ścianie znajdowała się tablica z wyraźnymi czarnymi napisami na białym tle, informującymi, jakich tematów i dyscyplin dotyczą zgromadzone na poszczególnych poziomach książki.

– Idziemy na trzecie piętro – zdecydował Janusz, gdy odnalazł napis: CYWILIZACJE.

Poszli wiszącymi schodami. Janusz przyglądał się ludziom. Przy dużych stołach oświetlonych lampami przypominającymi storczyki pracowali studenci. Inni wkuwali w fotelach rozstawionych pod ścianami. Jeszcze inni kręcili się przy półkach z książkami. Średnia wieku oscylowała wokół dwudziestu lat.

Reprezentowane były wszystkie rasy. Biali, roztargnieni, dzielący uwagę między podręczniki i telefony komórkowe. Czarni ze skupieniem na twarzach, obojętni na świat zewnętrzny. Azjaci, którzy chichotali, rozmawiając ze sobą, potrącając się łokciami.

Arabowie z brodami, w białych modlitewnych czapeczkach, pochyleni nad książkami. Wieża z kości słoniowej była zarazem wieżą Babel.

Janusz czuł się jak na dobrze znanym sobie terenie. Nowoczesny wystrój, książki, atmosfera nauki wydawały mu się znajome. On także w którymś momencie swego życia spędzał popołudnia w tego rodzaju miejscach.

Trzecie piętro. MITOLOGIA 291.1. RELIGIE ANTYKU 292.

Zaczął od przeglądania grzbietów książek i wtedy zdał sobie sprawę, że wie, czego szuka. Chodziło mu o IV księgę *Biblioteki historycznej* Diodora Sycylijskiego oraz VII i VIII księgę *Metamorfoz* Owidiusza. To znaczy, że już tego szukał wcześniej. Serce mu zamarło ze strachu. Czyżby to on był zabójcą?

Nie. Tę wiedzę zawdzięczał swemu ogólnemu wykształceniu. Zapewne oprócz medycyny studiował historię lub filozofię. Poza tym potrafił wyrecytować z pamięci biografie obu tych autorów. Diodor był greckim historykiem, żyjącym w epoce Cesarstwa Rzymskiego w I wieku przed naszą erą. Owidiusz, poeta rzymski, urodzony na krótko przed erą chrześcijaństwa, został wygnany z Rzymu za napisanie uznanego za niemoralny utworu *Sztuka kochania.*

Zdjął z półki te dwa dzieła, jak również kilka innych dotyczących mitologii. Znalazł miejsce dla siebie i odszukał Shampooinga, który już zdążył zasnąć w fotelu w kącie alejki, z dala od stołów. Janusz wyjął notes i zagłębił się w lekturze w poszukiwaniu Minotaura.

Nic nowego pod słońcem. Zanotował tylko pewien szczegół. Legenda ta była jakby naznaczona przekleństwem związanym z bykiem. Już król Minos był synem byka, ponieważ Zeus przybrał postać tego zwierzęcia, żeby uwieść Europę. Żona Minosa z kolei uległa czarowi innego byka. Wskutek czego urodziła potwora: pół człowieka, pół byka. Tak więc przez ten mit przewijało się coś w rodzaju zwierzęcego genu.

Czy ten szczegół miał jakieś znaczenie dla zabójcy? Janusz zwrócił uwagę na jeszcze inny fakt. Historia Minotaura była związana z historią Ikara. Ojciec Ikara, Dedal, był nadwornym architektem Minosa, budowniczym labiryntu przeznaczonego dla potwora. I to on podsunął Ariadnie myśl o kłębku nici…

W rzeczywistości historia Ikara i Dedala była kontynuacją mitu o Minotaurze. Minos, rozgniewany na wieść o tym, że jego architekt pomógł w ucieczce Tezeuszowi, kazał go zamknąć wraz z synem Ikarem w tym samym labiryncie, który Dedal wcześniej wybudował. Ojciec i syn uciekli

z tego więzienia na skonstruowanych przez siebie skrzydłach z wosku i piór.

Co należało rozszyfrować w tych mitach? Dlaczego zabójca je wybrał? Nie zachował chronologii wydarzeń, bo zabił Ikara przed Minotaurem. Czy, inspirowany starożytnymi legendami, popełnił jeszcze inne morderstwa? Mity te miały jeszcze jeden wspólny element. Zawsze była to opowieść o ojcu i synu. Minos i Minotaur. Dedal i Ikar. Ojciec potężny lub doświadczony. Syn potwór lub niezdara.

Czy morderca wybrał te mity z powodu takich właśnie relacji między ojcami a synami? Czy pragnął przekazać tym sposobem jakieś przesłanie? Czy był synem o wyglądzie monstrum? Czy ojcem, który znęcał się nad swoimi dziećmi, składając je w ofierze?

Janusz spojrzał na zegar wiszący na ścianie sali: szesnasta. Zapadał zmrok. Miał pretensje do siebie, że stracił cenne godziny wśród tych książek. Powinien był raczej przystąpić od razu do poszukiwań Białej Blachy, świadka z kawałkiem metalu w czaszce.

Odstawił książki na półkę tam, skąd je wziął, i ruszył w stronę Shampooinga, który nadal spał. Zamierzał go obudzić, ale zawrócił i podszedł do kontuaru, gdzie rejestrowano czytelników tego działu. Przy komputerach siedziały dwie kobiety, cicho ze sobą rozmawiając.

Stanął przy kontuarze i powiedział: „Dzień dobry”. Żadna nie skrzywiła się z niesmakiem. Nie okazała niechęci. Dobry początek.

– Przepraszam…

– Tak? – zapytała jedna z bibliotekarek, podczas gdy druga pochyliła się ponownie nad klawiaturą.

Janusz wskazał alejkę 292.

– Czy zauważyła pani kogoś, kto regularnie odwiedzał dział mitologii i religii starożytnych?

– Poza panem nikogo.

– Ma pani na myśli dzień dzisiejszy?

– Nie. Przed Bożym Narodzeniem był pan jedynym naszym czytelnikiem.

Janusz podrapał się w podbródek. Jego zarost był szorstki jak papier ścierny.

– Przepraszam… – powtórzył grzecznie. – Mam problemy z pamięcią. Często tu przychodziłem?

– Codziennie.

– Kiedy dokładnie?

– Chyba od połowy grudnia. Potem pan zniknął. I oto teraz ponownie się pan pojawił.

Poszczególne elementy układały się w jego głowie. W taki czy inny sposób Janusz dowiedział się o zabójstwie Ikara. Przyszedł tutaj, by sprawdzić coś o tym micie w ramach własnego śledztwa. Następnie dwudziestego drugiego grudnia został zaatakowany przez bandę włóczęgów. Wtedy opuścił Marsylię. I zmienił się w Mathiasa Freire’a.

Pożegnał uśmiechem bibliotekarkę, jednocześnie uśmiechając się sam do siebie. Szedł własnymi śladami. Był człowiekiem, który przeżywa swoje życie w odwrotnym kierunku.

Sędzia Le Gall robił wrażenie nadętego.

I nie chodziło o jego sposób mówienia, lecz o wygląd fizyczny. Jego wielka głowa niemal leżała na barkach. Miał małpie rysy, płaski nos, grube wargi i okulary w grubej oprawie, co tylko potęgowało ogólne wrażenie deformacji. Anaïs stwierdziła, że taki mężczyzna nigdy nie mógłby się jej podobać.

Od trzydziestu minut usiłowała mu wyjaśnić wszystkie szczegóły sprawy Minotaura, sędzia bowiem nie miał czasu, by przeczytać jej raport. Powiązania między zabójstwem na dworcu i podwójnym morderstwem na plaży w Guethary. Ucieczka Mathiasa Freire'a, psychiatry z Bordeaux, który był kloszardem w Marsylii pod koniec 2009 roku. Sprawa dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach, używających wojskowej broni, karabinu Hécate II, i jeżdżących audi Q7, jakoby ukradzionym firmie ochroniarskiej ACSP.

Sędzia się nie poruszył. Nie sposób było odgadnąć, co o tym myśli.

Albo nic nie rozumiał, albo nie miał ochoty komplikować sobie życia.

– Z tego wszystkiego pojąłem jedno – podsumował – że podejrzany numer jeden w tej sprawie…

– Świadek.

– Świadek, jeśli pani tak chce, uciekł, a pani go jeszcze nie odnalazła.

– Widziano go w Marsylii. Skontaktowałam się z tamtejszą policją. Zmobilizowani zostali wszyscy funkcjonariusze. Nie może się nam wymknąć.

Nie była to do końca prawda, ale w tym momencie Anaïs wolała mówić o tym, co najważniejsze. Chciała zdobyć zaufanie sędziego.

Zdjął okulary w szylkretowej oprawie i potarł powieki.

– W jakim celu tam wrócił? To dość ciekawe, nie uważa pani?

– Może sądził, że to ostatnie miejsce, gdzie będziemy go szukać. A może ma osobisty powód, żeby tak postępować.

– Jaki powód?

Anaïs nie odpowiedziała. Za wcześnie, by wyrywać się ze swoimi hipotezami.

– Co ma pani zamiar zrobić? – zapytał sędzia, nakładając z powrotem okulary.

Przybrała ton posłusznego funkcjonariusza Republiki.

– Chcę udać się do Marsylii i wziąć udział w poszukiwaniach naszego głównego świadka w tej sprawie.

– Czy to naprawdę pani rola?

– Rozmawiałam z Jean-Lukiem Crosnierem, szefem grupy dochodzeniowej z komisariatu w Évêché. Zgadza się ze mną, że mogę pomóc, bo znam uciekiniera.

– Rzeczywiście, tak mi właśnie powiedziano.

Anaïs zignorowała tę aluzję. Odetchnęła głęboko i zaczęła szybko mówić:

– Panie sędzio, w Bordeaux śledztwo utknęło w miejscu. Przejrzeliśmy wszystkie taśmy z monitoringu. Przesłuchaliśmy wszystkich bezdomnych, którzy mogli spotkać Philippe’a Duruya, ofiarę. Odnaleźliśmy jego psa. Prześledziliśmy miejsca, gdzie zaopatrywał się w karmę dla psa, w ubranie, gdzie zdobywał narkotyki. Przeczesaliśmy dworzec, miejsca pobytu kloszardów, każdy kąt miasta. Sprawdziliśmy w obrębie pięciuset kilometrów wokół Bordeaux składy apteczne z zapasami imalgenu, środka usypiającego dla zwierząt, użytego przez zabójcę… Wszystko to nie dało żadnego efektu. Mieliśmy naocznego świadka, Patricka Bonfilsa, znalezionego w pobliżu miejscu zbrodni, ale został zastrzelony wraz ze swoją partnerką… Oto, w jakim punkcie jesteśmy. Nie ma świadków. Nie ma dowodów. Żadnego tropu. Jedyny trop, który może nas jeszcze na coś naprowadzić, to znalezione w kanale naprawczym odciski palców Mathiasa Freire’a alias Victora Janusza. Moi ludzie będą dalej prowadzić dochodzenie w Bordeaux, a ja powinnam odnaleźć Freire’a. A Freire jest w Marsylii.

Sędzia skrzyżował ręce i przyglądał się jej w milczeniu. Zza szkieł okularów nie dawało się wyczytać, o czym myśli. Anaïs chętnie napiłaby się wody, ale nie śmiała o to poprosić.

Wygląd pokoju był zdecydowanie nietypowy. Le Gall zmienił całkowicie wystrój gabinetu, usuwając zwykłe w takim miejscu segregatory w plastikowych okładkach, metalowe meble, wykładzinę z akrylu. Zastąpił je przedmiotami z innej epoki: półki z politurowanego drewna, krzesła z miękkimi siedzeniami, wełniany dywan… Gabinet notariusza z początków ubiegłego wieku.

Dziwne było i to, że mimo zatkanego nosa czuła zapach kadzidła. Czyżby Le Gall był buddystą? Pasjonatem wypraw w Himalaje?

Sędzia w dalszym ciągu się nie odzywał. Poczuła, że powinna szybko przejść do sedna. Nadal siedząc, oparła ręce o biurko i zmieniła ton.

– Panie sędzio, nie ma co owijać w bawełnę. Gramy o dużą stawkę w tej sprawie, pan i ja. Jesteśmy młodzi. Wszyscy czekają, że dokonamy przełomu. Proszę mi zaufać. Z jednej strony mamy morderstwo rytualne, dokonane przez jakiegoś czubka w Bordeaux, z drugiej zaś podwójne morderstwo na Wybrzeżu Baskijskim. Jedyne powiązanie między tymi dwoma zabójstwami stanowi Mathias Freire alias Victor Janusz. Moim obowiązkiem jest odszukanie go tam, gdzie się znajduje. Proszę mi pozwolić pojechać na dwa dni do Marsylii!

Sędzia miał na ustach krzywy uśmiech. Robił wrażenie, że bawi go aż tak wielkie zaangażowanie Anaïs, jej młodzieńcza niecierpliwość. Każdy gra swą rolę według własnych ścisłych reguł.

– Czego się pani właściwie spodziewa? Czy liczy pani na to, że oprócz Freire’a uda się znaleźć w Marsylii coś jeszcze?

Anaïs wyprostowała się i uśmiechnęła. Po raz pierwszy dostrzegła za okularami Le Galla przebłysk inteligencji, dzięki której celująco zdawał wszystkie egzaminy, a teraz siedział tutaj za tym biurkiem.

– Sądzę, że Janusz nie bez powodu uciekł do Marsylii. Bał się, to prawda, ale jednocześnie wydaje mi się, że był na tropie czegoś.

– Czego?

– Nie wiem. Może innego morderstwa.

– Nie rozumiem. Czy zabija, czy prowadzi dochodzenie?

– Możliwe jest i jedno, i drugie.

– Czy słyszała pani o jakimś innym zabójstwie? Czy myśli pani, że to sprawa seryjnego mordercy?

Anaïs zamachała rękami. Nie podobało się jej to określenie. Na takie wnioski było jeszcze za wcześnie.

– Czy konsultowała się pani z analitykami z SALVAC? – zapytał sędzia.

Miał na myśli opracowany przez Kanadyjczyków komputerowy system profilowania i identyfikacji sprawców poprzez wyszukiwanie powiązań między przestępstwami, wprowadzony we Francji w 2003 roku.

– Oczywiście. Dzwoniłam również do fortu de Rosny. Żadnych rezultatów.

– Na czym więc opiera pani swoje przypuszczenia?

Mogłaby odpowiedzieć wieloma górnolotnymi słowami.

Zdecydowała się na szczerość.

– Tak podpowiada mi mój instynkt.

Sędzia przyglądał się jej przez kilka długich sekund. Po pierwszym wrażeniu skromnego notariusza zaczynał przypominać posąg Buddy, gładki, nieodgadniony. W końcu odetchnął głęboko i podniósł skórzaną podkładkę leżącą na biurku. Wyjął stamtąd białą kartkę. Gruby, czerpany papier w starym stylu, jakiego używa się na zaproszenia na bal.

– Co pan robi?

– Odsyłam panią, pani kapitan.

Zadrżała.

– Pan mnie zwalnia?

– Od-sy-łam – powiedział, oddzielając sylaby. – Czy nie mówię po francusku? Wysyłam panią do Marsylii. Artykuł osiemnasty Kodeksu karnego, akapit czwarty. Sędzia śledczy może oddelegować prowadzącego dochodzenie w każde miejsce we Francji, jeśli jest to potrzebne do wykrycia prawdy.

Wyczuła, że coś tu nie gra. Za łatwo poszło.

– Moja grupa będzie dalej prowadzić tutaj śledztwo?

– Powiedzmy, że będą musieli podporządkować się nowemu szefowi i jego grupie.

A więc to tak. Sędzia pozwolił jej się wygadać, ale wszystko zostało już od początku ustalone. Deversat musiał o tym wiedzieć, kiedy rozmawiał z nią poprzedniego dnia. Mogłaby wymyślać, buntować się, trzasnąć

drzwiami, lecz w głębi duszy nie przejęła się tym. Liczyło się to, że pojedzie do Marsylii.

– Kto jest nowym szefem grupy?

– Mauricet. Ma duże doświadczenie.

Anaïs nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. W centrali nazywano Mauriceta „Karawaniarzem”, bo zawsze wybierał posterunki w pobliżu cmentarzy. Trzydzieści lat służby poświęconych na stwierdzanie zgonów. Nie był to szybki, energiczny policjant, zdolny złapać mordercę obdarzonego niezwykłą inteligencją.

Le Gall pchnął kartkę w jej stronę. Kiedy jednak zamierzała ją wziąć, położył na wierzchu dłoń.

– Co pani wie o tych dwóch mężczyznach ubranych na czarno, którzy dokonali zabójstwa w Guethary?

Anaïs znała tylko nazwę przedsiębiorstwa chemicznego i farmaceutycznego, mającego być może powiązanie z podwójnym morderstwem rybaka i jego towarzyszki.

– Na razie nic – skłamała. – Poza tym, że sprawa ma o wiele szerszy zasięg, niż można było przypuszczać.

– W jakim sensie?

– Za wcześnie, żeby o tym mówić, panie sędzio.

Puścił kartkę. Chwyciła ją i przeczytała. To była jej przepustka na wyjazd do Marsylii. Schowała dokument do kieszeni. Woń kadzidła nadawała tej scenie dziwnie religijnego charakteru.

– Dwa dni – zakończył audiencję Le Gall. – Licząc od jutrzejszego piątku. Sprowadzi pani Mathiasa Freire’a do mojego biura w poniedziałek, w kajdankach na rękach, z podpisanym przez niego zeznaniem. W przeciwnym wypadku nie ma pani po co wracać.

– Dałeś się zrobić w konia. Mówię ci, dałeś się nabrać. – Shampooing od dwóch godzin zanudzał Janusza swoją litanią, gdy bez najmniejszego skutku chodzili po całej Marsylii, by odnaleźć Białą Blachę. – Biała Blacha pewnie już od dawna nie żyje. Nikt go nie widział od miesięcy. Claudie musiał mieć jego trupa w kostnicy i wymyślił tę historię, żeby wyciągnąć od ciebie szmal. Zapłaciłeś za zeznania trupa!

Janusz szedł, nie odpowiadając. Był już bliski tego, żeby podzielić opinię Shampooinga, ale nie chciał się poddać. Wtedy musiałby usiąść na chodniku i pozwolić się aresztować. Biała Blacha to była jego ostatnia szansa.

Zawrócili do klubu Pernod – na próżno. Skręcili na plac Victor-Gelu. Nikt nie widział Białej Blachy od bardzo dawna. Przeszli ponownie przez Canebiere i zatrzymali się przy kościele reformowanym. Bez rezultatu. Kiedy doszli znowu do Théâtre du Gymnase, toczyła się tam kolejna bójka między włóczęgami. Zmyli się, nie zadając żadnych pytań.

Szli teraz w kierunku Ośrodka Dziennego Pobytu Marceau, żeby znowu kogoś popytać i napić się gorącej kawy. Zbliżała się noc, pochłaniając światło dnia niczym bibuła atrament. Janusz czuł narastający wewnętrzny niepokój. Przy każdym dźwięku syreny podskakiwał. Pod czyimś dłuższym spojrzeniem opuszczał głowę. Policja. Zabójcy. Bandziory z Bougainville… Wszyscy go szukali. I wszyscy mogli go lada chwila znaleźć…

W końcu minęli marsylski łuk triumfalny Porte d’Aix i dotarli do ośrodka Marceau. Pracownicy socjalni zorganizowali karaoke. Na widok kloszar-

dów śpiewających bezzębnymi ustami Janusz cofnął się od progu.

– Idź sam – powiedział do Shampooinga. – Poczekam na ciebie na dworze.

Drżał z zimna w swoich łachach, chociaż ciało miał gorące i spocone po dwóch godzinach marszu. Usadowił się w bramie, która prowadziła do ośrodka, i żeby się czymś zająć, przeczytał jeszcze raz raport z sekcji zwłok.

Jakiś hałas przyciągnął jego uwagę. Kilka metrów dalej w cieniu siedział mężczyzna. Janusz zmrużył oczy, by mu się lepiej przyjrzeć. Bezdomny miał na sobie wytarty sweter i poplamione spodnie od piżamy. Jego nogi owinięte były plastikowymi torebkami. Twarz biała jak u Pierrota, który oberwał solidne lanie. Czerwona rogówka w lewym oku. Siny krwiak na opuchniętym policzku.

– Jesteśmy w trakcie transformacji – wymamrotał z trudem.

W rękach trzymał szarą plastikową butelkę. Janusz pomyślał, że pije white spirit, rozpuszczalnik, ale musiało to być poślednie wino nieznanej mu marki.

– W trakcie transformacji, chłopie.

– Co takiego? – zapytał machinalnie Janusz.

– Miasto to choroba, trąd… – mówił dalej tamten, jakby nic nie usłyszał. – Wskutek ciągłego w nim przebywania zarażamy się jego brudem, zanieczyszczeniem, smrodem… Stajemy się smołą, ulatniającym się gazem, gumą opon…

Janusz nie miał już siły, żeby odpędzić tego nowego szaleńca. Przeciwnie, ze zmęczenia stawał się chłonny jak gąbka. Nagle człowiek ten wydał mu się wyrocznią, ulicznym Tejrezjaszem. Spojrzał na swoje ręce. Skóra na nich już wyglądała niczym smoła. Jego oddech śmierdział jakimiś chemikaliami…

– Cześć, Didou.

Na progu ośrodka pojawił się Shampooing. Didou nie odpowiedział, zasępiony nad swoją butelką.

– Znasz go? – zdziwił się Janusz.

– Wszyscy znają Didou. Ma się za jasnowidza. – Shampooing zniżył głos. – Ale to zwyczajny świrus. Tyle że jest niebezpieczny. Bije się ze wszystkimi, którzy nie wierzą w jego przepowiednie.

Janusz w duszy był wdzięczny Shampooingowi, że tymi kilkoma słowami ustawił wszystko na swoim miejscu, usuwając tym samym jego własne halucynacje. Przestał zwracać uwagę na monstrum w piżamie.

– Masz coś nowego? – zapytał.

– Nic. Nikt nic nie wie o Białej Blasze. Nie jesteś głodny?

Shampooing miał rumieńce na twarzy. Bez wątpienia to nie kawę pił na tym karaoke. Janusz umierał z głodu, ale nie mógł sobie pozwolić na włóczenie się po podrzędnych knajpach…

Shampooing, jakby wyczuwając jego obiekcje, oznajmił:

– Dzisiaj idziemy do restauracji.

– Do restauracji, naprawdę?

– No, prawie…

Dziesięć minut później znaleźli się na tyłach jakiegoś fast foodu. W powietrzu unosiły się obrzydliwe wyziewy. Shampooing pierwszy wsadził głowę w kontener wypełniony odpadkami.

Janusz poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Zaułek przypominał patio, gdzie poprzedniego dnia rano wylał sobie na głowę wino. Miał wrażenie, jakby minął cały wiek od tego okropnego chrztu.

Jego kompan podniósł się znad śmietnika z rękami pełnymi wiktuałów opakowanych w plastiki.

– Podano do stołu! – Zarechotał.

Rzucał mu swoje skarby, wyliczając po kolei:

– Pomidory! Chleb tostowy! Ser! Szynka!

Janusz łapał je ze wstrętem i jednocześnie z uczuciem doskwierającego głodu.

– Żarcie ekologiczne! – stwierdził Shampooing.

Janusz otworzył plastikową torebkę i zjadł kromkę nie całkiem jeszcze odmrożonego chleba. Odczuł głęboką przyjemność. Tępa wdzięczność żołądka. Otworzył inne torebki. Połknął szynkę, ser, korniszony… Przy każdym kęsie uświadamiał sobie, jak nisko upadli. Przycupnąwszy przy śmietnikach, jedli palcami, wydając pomruki zadowolenia. Szczury walczące o życie w trzewiach miasta.

– Coli?

Shampooing podał mu kubek ze złamaną słomką. Janusz złapał go i wypił jednym tchem. Życie wracało w jego żyły, do jego mięśni.

– Gdzie będziemy spali? – zapytał, by zostać przy problemach życiowych.

– Trzeba to rozegrać ostrożnie ze względu na wszędzie obecnych włóczęgów i policję, która zrobi obchód noclegowni…

Troska Shampooinga ucieszyła Janusza. Nie można jednak było wykluczyć tego, że zamierzał poderżnąć mu gardło we śnie.

– Znajdziemy sobie jakieś schronienie pod gołym niebem. Znam takie. Ale w lutym ludzie z pogotowia socjalnego przeczesują wszystkie kąty. Gliny także. Nie chcą, żeby ktokolwiek został na dworze. Jeśli któryś z nas zemrze, to na nich spada odpowiedzialność.

Perspektywa spędzenia nocy pod gołym niebem przypomniała Januszowi o agresywnych włóczęgach.

– Czy wiesz, w której dzielnicy napadli na mnie ci faceci z Bougainville?

– Chyba w La Joliette. W dokach.

– Co ja tam robiłem?

– Nie mam pojęcia. Zazwyczaj przebywałeś w ośrodku Emmaus.

Emmaus.

Janusz pomyślał, że do tej pory nie rozmawiał z tymi, którzy znali go najlepiej. Ale teraz było już za późno. Jego zdjęcie przesłano na pewno do wszystkich noclegowni. W głowie zaświtał mu inny pomysł. Sięgnął do kieszeni i wyjął wizytówkę człowieka, którego spotkał w pociągu do Biarritz.

DANIEL LE GUEN
STOWARZYSZENIE EMMAUS
06 17 35 44 20

– Gdzie znajdę budkę telefoniczną?

W ciągu dnia okolice Porte d’Aix przypominały afrykański suk. Teraz panowała tutaj kompletna pustka. Uliczni sprzedawcy pozwijali swoje kramy. Ziemia usłana była kurzymi piórami, skórkami owoców, tłustymi papierami. Smród odpadków rozchodził się w ciemnościach, wśród których krążyły czarne cienie. Zakwefione kobiety, zakapturzone wyrzutki społeczeństwa…

– Trzeba się pospieszyć – mruknął Shampooing. – Zaczyna wiać mistral.

Budka telefoniczna znajdowała się w pobliżu łuku triumfalnego w centrum placu, ukryta między sosnami parku. Miejsce jak dla niego doskonałe. Shampooing dał Januszowi kartę telefoniczną w zamian za dziesięć euro.

– Pójdę zatankować – powiedział, kierując się do otwartych jeszcze arabskich delikatesów.

Janusz wszedł do kabiny i wystukał numer Le Guena. Słyszał szum coraz silniejszego wiatru. Wokół niego jęczały sosny. Szyby kabiny drżały. Przez szpary ciągnęło wilgotnym chłodem.

– Halo?

– Czy Daniel Le Guen? Jestem Victor Janusz. Pamięta mnie pan?

– Oczywiście. Spotkaliśmy się dwa dni temu w pociągu do Biarritz.

– Chciałbym pana przeprosić… Moje zachowanie wówczas. Ja… Mam problemy z pamięcią.

– Czasami dobrze jest nie pamiętać.

– Ale ja chciałbym sobie wszystko przypomnieć – odrzekł Janusz bardziej zdecydowanym tonem, bo nie oczekiwał współczucia. – Poznał mnie pan w ośrodku Emmaus w Marsylii, tak?

– W ośrodku Pointe-Rouge.

– Czy pamięta pan datę mojego przybycia?

– Przybyłeś do nas pod koniec października.

– Znałem już Marsylię?

– Nie. Wyglądałeś na kompletnie zagubionego.

– Skąd przyjechałem? – zapytał Janusz głośniej.

– Tego nam nie zdradziłeś.

– A co może pan powiedzieć o tym, jaki wtedy byłem? – Janusz starał się przekrzyczeć ryk wiatru.

– Spędziłeś u nas dwa miesiące. Pracowałeś przy sortowaniu odzieży, przy sprzedaży. Spałeś w ośrodku. Byłeś człowiekiem poważnym, milczącym. Z całą pewnością zdolnym do znacznie trudniejszych zadań niż te, które ci dawaliśmy. Na początku cierpiałeś na zanik pamięci. Odzyskiwałeś ją stopniowo. Przypomniałeś sobie swoje nazwisko. Victor Janusz. Jednak cały czas nic nie mówiłeś o swojej przeszłości, o tym, co spowodowało amnezję, dlaczego wylądowałeś w Marsylii.

– Nie było ze mną żadnych problemów?

– Tak i nie… W połowie grudnia zacząłeś znikać. Na całe dnie. Niekiedy także na noc.

– Piłem?

– W każdym razie wracałeś zawsze trzeźwy.

Janusz pomyślał o zabójstwie Tzevana Sokowa, do którego doszło w połowie grudnia.

– Czy wie pan, gdzie chodziłem?

– Nie.

– Kiedy opuszczałem ośrodek, co mówiłem?

– Nic. Potem była ta bójka pod koniec grudnia… Odszukaliśmy cię na policji, w Évêché. Dwa dni potem zniknąłeś na dobre.

– Mówiłem coś o tej bójce?

– Nie. Ani policjantom, ani nam. Milczałeś jak grób.

Le Guen nie wyobrażał sobie, jak dalece miał rację. Nagle Janusz poczuł narastający ból w głowie. Ognisko bólu mieściło się w lewym oku… Wiatr nie przestawał wyć, smagał budkę telefoniczną, która drżała w posadach.

– Na czym polegały moje zajęcia?

– Już nie pamiętam dokładnie. Pod koniec zajmowałeś się sprzedażą odzieży. Pracowałeś także w warsztacie, gdzie reperowano ubrania. Nie chciałeś mieć do czynienia ani z płytami, ani z książkami. Z niczym, co miało związek ze sztuką.

– Dlaczego?

– Wyglądało na to… że przeżyłeś jakiś wstrząs na tym tle.

– Wstrząs?

– Moim zdaniem, zanim stałeś się bezdomnym, byłeś artystą.

Janusz zamknął oczy. Z każdym słowem Le Guena ból stawał się coraz bardziej intensywny… Czuł, że ociera się o wcześniejszą osobowość Janusza. I z jakiegoś niejasnego powodu sprawiało mu to przykrość.

– Artystą?

– Według mnie byłeś malarzem.

– Skąd pan to wie?

– Z powodu twojej alergii… Nie chciałeś dotykać niczego, co przypominało obraz lub album. Mimo to zauważyłem, że się na tym znasz. Kilka razy użyłeś terminów technicznych świadczących, że miałeś z tym do czynienia.

Informacja ta rozlewała się w nim niczym warstewka smoły. Żadnego najmniejszego wspomnienia, ale niejasny strach, który go owijał, oblepiał…

– Któregoś dnia – mówił dalej Le Guen – jeden z naszych kolegów przeglądał w twojej obecności ilustrowaną antologię malarstwa. Zrobiłeś się blady jak ściana. W pewnym momencie uderzyłeś dłonią w reprodukcję i wycedziłeś przez zęby: „Nie chcę nigdy więcej tego oglądać”. Dobrze to pamiętam.

– A pamięta pan, o jaki obraz chodziło?

– Autoportret Courbeta.

– Skoro byłem malarzem, nie próbował się pan dowiedzieć, czy istniały gdzieś dzieła podpisane nazwiskiem Janusz?

– Nie. Po pierwsze, nie miałem na to czasu. A po drugie, wiedziałem, że jeśli takie płótna istnieją, to widnieje na nich inne nazwisko.

Kabina kiwała się na wszystkie strony. Szyby brzęczały coraz głośniej.

Nagle Janusz pojął, że Le Guen wszystko wiedział.

– Zanim zostałeś Januszem – ciągnął Le Guen – byłeś kimś innym. Tak jak potem nazwałeś się Mathiasem Freire’em.

– Skąd pan zna to nazwisko?

– Podałeś mi je w pociągu.

– I pan to pamięta?

– Trudno byłoby mi je zapomnieć. Wracam z Bordeaux, a tam twoje nazwisko i twoje zdjęcie bez przerwy pojawiają się w lokalnych wiadomościach.

– Czy… czy pan mnie wyda?

– Przecież nawet nie wiem, gdzie teraz jesteś.

– Znał mnie pan wtedy – jęknął Janusz. – Czy sądzi pan, że byłbym zdolny zabić człowieka?

Le Guen nie odpowiedział od razu. Jego opanowanie kontrastowało z paniką Janusza.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, Victorze. Kogo mam podejrzewać? Malarza, którym na pewno byłeś przed przybyciem do Marsylii? Zamkniętego w sobie kloszarda, którego poznałem w Point-Rouge? Chorego psychicznie, którego spotkałem w pociągu? Jedyna rzecz, jaką powinieneś zrobić, to zgłosić się na policję. Poddać się leczeniu. Lekarze pomogą ci zrobić porządek z twoimi osobowościami. Wrócić do tego, kim byłeś na początku. I tylko to się liczy. A w tym celu potrzebujesz pomocy.

Janusz poczuł narastającą w nim złość. Le Guen miał rację, ale on nie zamierzał tego słuchać. Chciał już coś mu ostro odpowiedzieć, kiedy drgnął na odgłos uderzenia. Shampooing przyciskał swoją łysą czaszkę do szyby budki.

– Kończ! Mamy mistral! Musimy znaleźć jakąś kryjówkę, zanim całkiem zamarzniemy!

– Tu komendant Martenot. Możemy porozmawiać?

– Oczywiście. Jestem w drodze do Marsylii.

Anaïs, z ręką na kierownicy swojego golfa, trzymała przyciśnięty do ucha telefon komórkowy. Zerknęła na zegar. Była już prawie dwudziesta. Pędziła pełnym gazem autostradą w kierunku Tuluzy. Licznik wskazywał dwieście dwadzieścia kilometrów na godzinę. Miała gdzieś radary. Miała gdzieś żandarmów. Miała gdzieś Le Galla, Deversata i całą ich cholerną klikę.

– Dostałem wreszcie wyniki sekcji zwłok.

Patrick Bonfils i Sylvie Robin zostali zabici szesnastego lutego o dziesiątej rano. Teraz był osiemnasty lutego. Godzina dwudziesta.

– Godna podziwu szybkość – rzuciła oschle.

– Były pewne trudności.

– Naprawdę?

Martenot milczał przez chwilę. Anaïs pomyślała, że powinna dać mu spokój. Ostatecznie nie miał obowiązku do niej dzwonić. Zwłaszcza teraz, kiedy oficjalnie dochodzenie przejął Mauricet.

– Co ustalono? – zapytała spokojniej.

– Lekarz sądowy potwierdza to, co już przedtem było wiadome. Patrick Bonfils i Sylvie Robin zostali zabici pociskami kalibru dwanaście i siedem milimetra. Broń, z której do nich strzelano, to karabin Hécate-dwa.

– Można jakoś dotrzeć do tej broni?

Znowu pauza. Komendant szukał odpowiednich słów.

– Nie. Według ekspertów można jedynie potwierdzić, że chodzi o tę właśnie broń, jeśli się ją odnajdzie. Karabiny Hécate-dwa są produkowane we Francji. Ale biorąc pod uwagę okoliczności, ta konkretna broń może pochodzić skądkolwiek.

– A co z ranami?

– Także dzieło zawodowców. Patrick Bonfils i Sylvie Robin zostali trafieni, każde z nich, po trzy razy. Jedna kula w głowie, dwie w sercu lub w klatce piersiowej. Zasięgnąłem informacji i powiedziano mi, że nawet w naszym wojsku jest obecnie zaledwie kilku snajperów zdolnych strzelać tak celnie z takiego dystansu.

– To chyba ogranicza liczbę podejrzanych, prawda?

Martenot znowu się zawahał. W wojsku pierze się brudy we własnym gronie. I to dlatego tak długo nie ujawniano raportu z sekcji zwłok. Najpierw przeszedł przez ręce licznych wojskowych ekspertów i strategów. Zapewne powołano specjalną komisję i przeprowadzono drugą autopsję, żeby ocenić kąt strzałów i zbadać dokładnie łuski…

Anaïs cały czas miała wzrok utkwiony w czterech pasach ruchu oświetlonych reflektorami jej wozu. Niesamowity obraz drgających, przerywanych białych linii. Miała wrażenie, jakby wykradała nocy drogę.

– Czy autopsja dała nam jakieś informacje o mordercach?

– Tak.

Postawiła to pytanie ze względów formalnych. Nie spodziewała się twierdzącej odpowiedzi. Teraz więc czekała na dalszy ciąg. Ale Martenot milczał.

– O co chodzi?

– Ciało Patricka Bonfilsa nosi ślady dziwnego okaleczenia. Jest to rana na twarzy, którą zabójcy musieli mu zrobić już po jego śmierci.

Anaïs odtworzyła w myślach całą sytuację. Snajper zabił Bonfilsa i jego towarzyszkę, a potem chybił, strzelając do Mathiasa Freire’a. Razem ze swoim wspólnikiem rzucili się za nim w pogoń. Tymczasem pojawili się rybacy, którzy zauważyli ciała na plaży. Zabójcy nie mogli więc wrócić do zwłok Bonfilsa i dokonać tego okaleczenia.

Postawiła pytanie inaczej:

– Dlaczego kiedy widzieliśmy się w Guethary, nic mi pan o tym nie wspomniał?

– Nie wiedziałem o tym.

– Nie widział pan ciała po zabójstwie?

– Oczywiście, że widziałem.

– Nie zauważył pan rany na twarzy?

– Nie zauważyłem, bo jej tam jeszcze nie było.

– Nie rozumiem.

– Okaleczenia dokonano później. Wieczorem szesnastego lutego. Kiedy rozmawiałem z panią na miejscu zbrodni, jeszcze o tym nie wiedziałem.

Anaïs skoncentrowała się na drodze. To, czego się domyślała, było czystym szaleństwem.

– Czy to oznacza, że ktoś wtargnął wieczorem do Zakładu Medycyny Sądowej, żeby okaleczyć twarz ofiary?

– Właśnie tak.

– Gdzie znajduje się ten Zakład Medycyny Sądowej?

– W Rangueil na przedmieściach Tuluzy.

– Jakiego rodzaju jest to okaleczenie?

– Napastnik rozciął nos Bonfilsa, usunął przegrodę nosową oraz chrząstki boczne i skrzydłowe. Jednym słowem, wszystko, co tworzy nos.

Anaïs trzymała nogę na pedale gazu. Przy tej szybkości musiała być skupiona, skoncentrowana. Czuła suchość w gardle. Oczy ją piekły. Jednak umysł działał na pełnych obrotach. Późne ujawnienie raportu nie miało nic wspólnego z drugą autopsją wykonaną przez wojskowych ekspertów.

– Co każe panu przypuszczać, że zrobili to zabójcy?

– A kto inny?

– Dlaczego mieliby podejmować takie ryzyko? W jakim celu ukradli te kości?

– Nie wiem. Postąpili jak myśliwi. Wrócili, żeby zabrać trofea.

– Trofea?

– W czasie wojny na Pacyfiku amerykańscy żołnierze wyrywali zęby lub obcinali uszy swoim japońskim ofiarom. Z ludzkich kości udowych i piszczeli robiono noże do przecinania papieru. – Martenot wydawał się przestraszony i zarazem zafascynowany tymi tajemniczymi rabusiami.

– O której godzinie mogło się to wydarzyć?

– Około dwudziestej. Ciała zabrano ze szpitala w Bayonne o siedemnastej. Sprawcy wkroczyli do akcji, gdy tylko przewieziono je do Rangueil. Jak widać, kostnica nie była strzeżona.

Anaïs nie mogła sobie wyobrazić ludzi zdolnych trafić do celu z odległości ponad pięciuset metrów, z umiejętnościami prawdziwych zawodowców, którzy by tak ryzykowali dla garstki kości. Czy naprawdę miało to być dla nich trofeum?

– Kto wiedział, że ciała będą przetransportowane do kostnicy w Rangueil?

– Wszyscy. To jedyny w tym rejonie Zakład Medycyny Sądowej.

– Kiedy miała zacząć się sekcja zwłok?

– Natychmiast. Nie mam pojęcia, jak sobie poradzili ci zabójcy.

– Jakiego narzędzia użyto?

– Według patologa był to nóż myśliwski. Z ząbkowanym ostrzem ze stali.

– Przesłuchał pan personel Zakładu?

Martenot odpowiedział z irytacją:

– A pani zdaniem co robimy od trzech dni? Przeszukano całą kostnicę. Znaleziono trochę cząstek organicznych, co nie powinno dziwić w takim miejscu. Wszystkie przeanalizowano, przebadano, zidentyfikowano. Nic niezwykłego. Żadnego włoska nienależącego do jednej z ofiar lub do któregoś z pracowników kostnicy. Te typy są jak zjawy.

– Dlaczego dzwoni pan do mnie teraz?

– Bo mam do pani zaufanie.

– Czy pańscy przełożeni wiedzą o tym telefonie?

– Ani moi przełożeni, ani sędzia z Bayonne. Ani nawet sędzia wyznaczony do sprawy morderstwa Philippe’a Duruya.

– Le Gall? Kontaktował się z panem?

– Dziś po południu. Nie rozmawiałem jeszcze z Mauricetem.

Anaïs uśmiechnęła się do siebie. Znalazła przynajmniej jednego sojusznika.

– Dzięki.

– Nie ma za co. Ten, kto pierwszy czegoś się dowie, dzwoni do drugiego.

– Zgoda.

Rozłączyła się. Znów spojrzała na białe linie na szosie. Fragmentaryczne, przerywane, hipnotyczne. Niczym sceny oglądane w świetle lamp stroboskopowych. Ale w tym malstromie powracał bez przerwy jeden obraz. Rzeźnia z białymi kafelkami opryskanymi krwią.

W jej halucynacjach była to krew ludzka.

Janusz i Shampooing szli cały czas pod wiatr w kierunku południowo-zachodnim. Łysy znał plac budowy na końcu doków, między katedrą de la Major a dzielnicą Panier. Idealne schronienie na noc. Ale przedtem chciał odnaleźć kartonowe pudła, ukryte w kontenerze ogrodniczym niedaleko la Vieille-Charite.

– Urządzimy sobie superleże!

Janusz podążał za nim automatycznie. Rozmowa z Le Guenem go dobiła. A więc zanim został psychiatrą, był najpierw malarzem, a w każdym razie jakimś artystą. Miał teraz wrażenie, że wcale się nie posuwa, ale pogrąża w chaosie ziemskiej grawitacji.

– Czy daleko jeszcze?

– Już dochodzimy.

Miał tylko jedno pragnienie: zasnąć i więcej się nie obudzić. Trup zawinięty w łachmany, który zostałby pochowany gdzieś w miejscu przeznaczonym dla nędzarzy. Anonimowy grób wśród innych z napisami: „Gawrosz”, „Elegancik”, „Ekoczłowiek”.

Rozejrzał się wokoło. Sceneria się zmieniła. Nie było już alei, którymi chodzili poprzedniego dnia. Zamiast nich – gmatwanina uliczek, przypominających miasta południowych Włoch: Neapol, Bari, Palermo…

– Gdzie jesteśmy?

– W Panier, chłopie.

Pojawiła się nazwa: ULICA UPADŁYCH KOBIET. Butik z napisem: KONIEC PIĘKNEGO MIASTA. Janusz przypomniał sobie powieść rzekę w odcinkach, którą namiętnie czytali pacjenci na jego oddziale. Widocznie akcja rozgrywała się w tej właśnie dzielnicy.

Mimo zmęczenia, zimna, strachu Janusz nabrał otuchy. Okolica emanowała jakąś życzliwą intymnością. W oknach suszyła się bielizna. Latarnie świeciły niczym gwiazdy z innego wymiaru. Dopełnieniem tego były umieszczone na fasadach budynków klimatyzatory, które tworzyły południową, wręcz tropikalną atmosferę.

Przeszli przez place, strome uliczki, zagłębili się w kamienne korytarze…

– To tutaj!

Shampooing wskazał ręką na skwer. Przedostał się przez ogrodzenie, wszedł między krzaki, gdzie odnalazł zielone kontenery przeznaczone na zwiędłe liście i połamane gałęzie. Wyciągnął stamtąd wielkie, złożone kartony.

– Twoje łoże, Jeannot! Materac z potrójną warstwą!

Shampooing wcisnął mu kartony pod pachę. Wracali ulicami stromymi niczym drabiny. Mistral oczyścił miasto z ludzi. Bulwar des Dames. Bulwar Schumanna. Doszli do autostrady zbudowanej nad morzem. Dalej były doki. Ukazało się między nimi ramię wielkiego dźwigu, stojącego nad dołem głębokości kilku metrów. Plac budowy ciągnący się kilometrami.

Ruszyli wzdłuż wykopu. Shampooing machał butelką, którą właśnie opróżnił, i perorował.

– Przed mistralem nie uciekniesz! – krzyknął między dwoma podmuchami. – Schodzi od doliny Rodanu, żeby nas zabić. Wieje ci w gębę dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wciska się pod skórę. Mrozi kości. Przenika pod żebra tak, że serce ci staje. Kiedy dochodzi do Marsylii, temperatura spada tutaj o dwa, trzy stopnie. Przy tej wilgoci idącej od morza to prawdziwa pułapka, która nocą zamyka się nad tobą. Budzisz się pod kartonami, podrygując jak karp. A jeśli do tego pada deszcz, nie budzisz się wcale!

Shampooing nagle stanął. Janusz opuścił wzrok i zobaczył, co go czekało. W głębi placu budowy jakieś sylwetki poruszały się, wstawały i opadały niczym pomarszczona powierzchnia wody w gigantycznej fosie. Janusz przyjrzał się im uważniej. Ludzie rozwijali swoje tobołki, kartony, płachty,

szykując się do spania. Inni grzali się przy koksowniku. Nad fosą unosiły się śmiechy, pomruki, gwar.

Zamierzali już schodzić na dół, kiedy Shampooing chwycił Janusza za ramię.

– Kryj się!

Nadjeżdżał samochód Pogotowia Socjalnego. Pobiegli za barak. Dwaj mężczyźni w kombinezonach zeszli do fosy, by przekonać uparciuchów do pójścia z nimi. Oferowali papierosy, odgrywali przyjaciół…

– Dranie – mruknął Shampooing. – Chcą nas wszystkich zabrać w ciepłe miejsce. Strasznie się boją, żeby nie mieć nas na sumieniu.

– Na sumieniu?

– Żeby któryś z kloszardów nie umarł z zimna.

Janusz oddałby wszystko, żeby go zabrali. Żeby znaleźć się w łóżku, zapomnieć, zasnąć…

– Spadamy stąd – szepnął jego towarzysz. – Znam inną kryjówkę.

Wyszli z powrotem na ulicę, unikając latarni i miejsc za bardzo oświetlonych. Janusz szedł krok za krokiem ze wzrokiem wbitym w ziemię. Miał skurcze w ramionach, zesztywniałe nogi. Shampooing znał nie jedną, lecz wiele kryjówek. Pod mostami. W bramach. W głębi parkingów. Każdy najmniejszy cuchnący kąt.

Jednak wszystkie te miejsca już były zajęte. Wszędzie zastawali stłoczone ciała, głowy chowające się pod brudnymi dyktami, rozprutymi pierzynami, dziurawymi kocami.

Każdy myślał tylko o sobie, a wiatr był wrogiem wszystkich.

W końcu trafili na inny wykop, gdzie w błocie spoczywała olbrzymia rura kanalizacyjna, burzowiec. Wcisnęli się do niej z trudem. Leżały tu pokotem dziesiątki ludzi, niezważających na niewygody tego pomieszczenia.

– Dobre na żylaki! – Shampooing zaśmiał się, spoglądając na nogi zadarte do góry na zakrzywionej ścianie rury.

Przechodzili nad ludźmi, trzymając się ściany kanału. Janusz miał wrażenie, że lodowaty cement parzy go przy każdym dotknięciu. W nieruchomym powietrzu unosił się smród uryny, zgnilizny. Potrącali leżących albo się o nich potykali. Obrzucano ich wyzwiskami, przekleństwami. Nie byli to ani wrogowie, ani towarzysze niedoli. Zwyczajne szczury, które żyły obok siebie.

W końcu znaleźli sobie miejsce. Shampooing oparł swoje brudne tobołki o ścianę rury. Janusz rozłożył kartony, zastanawiając się w duchu, w jakim momencie łysy towarzysz będzie próbował dobrać się do jego pieniędzy. Ułożył się pod kartonami, usiłując wyobrazić sobie, że to normalna pościel. Nóż komandosa schował pod karton, który służył mu za poduszkę.

Obiecywał sobie tak jak poprzedniego wieczoru, że nie zamknie oczu. I tak jak poprzednio poczuł, że ogarnia go trudna do opanowania senność. Walczył z nią. Żeby nie zasnąć, zaczął myśleć o swoim śledztwie. W sprawie Białej Blachy znalazł się w impasie. Co jeszcze?

Policja w Marsylii miała więcej konkretnych elementów niż policja w Bordeaux. Skrzydła z wosku i piór. Zabójca musiał się w nie gdzieś zaopatrzyć, a nie były to powszechnie spotykane rzeczy. Crosnier i jego ekipa z pewnością zbadali każdy związany z tym trop. Czy odkryli coś jeszcze?

Przyszedł mu do głowy nowy samobójczy pomysł. Zdobyć akta śledztwa. Spróbuje to zrobić nazajutrz rano. Obmyślając strategię działania, zapadł w nicość. Kiedy otworzył oczy, celował swoim nożem w ciemność.

Shampooing pochylał się nad nim. Janusz wyczuł jego obecność przez sen. Wyczuł zagrożenie i zadziałał instynktownie.

– Zgłupiałeś czy co? – oburzył się Shampooing. – Nie widzisz, że zalewa nas woda?

Janusz uniósł się na łokciu. Był do połowy zanurzony w cuchnącej brei. Wokół pływały jego kartony. Słyszał szum deszczu. Fale błota dostały się do rury. Kloszardzi już powstawali i zbierali swoje pakunki.

– Ruszaj się! – poganiał go łysy towarzysz, podnosząc swoje tobołki. – Zamarzniemy, jeśli tu zostaniemy!

Wody przybywało błyskawicznie. Sylwetki bezdomnych na tle zakrzywionej ściany rury przypominały chiński teatrzyk cieni. Niektórzy, za bardzo pijani, nie ruszyli się z miejsca. Ignorowano ich. Potrącano się łokciami, przepychano się do wylotu rury. Była to panika, ale panika jak na zwolnionym filmie: ociężała, lepka od brudu i alkoholu.

Janusz zauważył dwóch nieprzytomnych mężczyzn, leżących twarzami w błocie. Chwycił jednego za kołnierz i postawił pod ścianą. Zamierzał zrobić to samo z drugim, kiedy Shampooing złapał go za ramię.

– Odbiło ci?

– Nie można ich tak zostawić.

– Idioto, musimy stąd zwiewać.

Rura pozbywała się swoich lokatorów. Na powierzchni wody pływały torby. Widok jak podczas powodzi. Janusz wymacał puls tych dwóch pijaków. Ledwie wyczuwalny. Wymierzył siarczysty policzek najpierw jednemu, potem drugiemu. Żadnej reakcji.

Powtórzył tę czynność.

W końcu pijacy się otrząsnęli.

– Cholera, pospiesz się! Zdechniemy tu z zimna!

Janusz wahał się jeszcze przez sekundę, po czym ruszył za Shampooingiem. Brnęli przez śmierdzące błoto do wylotu rury. Breja sięgała im do pół uda. Janusz potknął się, przewrócił, wstał. Od wylotu dzieliło ich tylko kilka kroków. Rzucił okiem na dwóch kloszardów, którzy pełzli na czworakach z nieprzytomnym wzrokiem.

Świeże powietrze. Wyprostowali się. Deszcz padał ze zdwojoną siłą. Pionowe strugi lodowatej wody. Janusz uprzytomnił sobie, że czeka ich kolejna przeszkoda – pokonać dziesięć metrów stromego zbocza bez żadnego oparcia.

Wspinali się, wbijając palce w błotnisty nasyp. Deszcz siekł ich po plecach. Wiatr hamował. Kiedy jeden upadał, drugi go podnosił. Z mozołem pokonywali metr po metrze. Wreszcie Januszowi udało się chwycić za żelazną poręcz i wydostać z fosy. Pomógł Shampooingowi, który machał nogami w powietrzu.

Wyskoczyli na zewnątrz niczym dwa wyplute przez błoto kamienie. Łysy kloszard nie wypuścił z rąk pierzyny ani swoich tobołków. Janusz chciał mu pogratulować, ale widząc przerażenie na jego twarzy, odwrócił się.

Czekała na nich grupa mężczyzn. Nie byli to kloszardzi z rury. Dredy, kolczyki, tatuaże. Mieli na sobie płócienne bluzy albo kurtki wojskowe. Kilku z nich trzymało na smyczy psy gotowe do ataku. Uzbrojeni byli we wszelkiego rodzaju noże. Nie ulegało wątpliwości, że to mordercy.

Janusz nie był zdziwiony, kiedy Shampooing mruknął:

– Cholera, to bandziory z Bougainville.

Biegli tak szybko, jak mogli, skrępowani ubraniem posklejanym warstwami błota, które chlupotało także pod ich nogami. Skręciwszy na prawo, znaleźli się na prostej, kompletnie pustej alei. Poprzez strugi deszczu Janusz widział kołyszące się na wietrze latarnie, fasady domów, chodniki, fragmenty nieba. Rzucił okiem do tyłu. Bandziory z Bougainville goniły ich, popędzane przez swoje psy. Nie było mowy, żeby im się wymknąć na tej drodze.

Chwycił Shampooinga za kurtkę i pociągnął go w ulicę na prawo. Potem w inną, na lewo. Po jakichś trzydziestu metrach zauważył schody prowadzące w górę do Panier.

Tak więc wrócili tam, gdzie byli już wcześniej. Wskazał na schody i ruszył w tamtym kierunku, nie czekając na kompana. Wbiegając na stopnie, znowu obejrzał się do tyłu – Shampooing podążał za nim, ledwo dysząc. Banda z tyłu była coraz bliżej. Psom pozostało tylko kilka metrów.

Janusz poczekał na swojego towarzysza. Przez krótki moment miał wrażenie, że się rozdwoił i że ten drugi obserwuje z dystansu całą scenę. Nic nie słyszał. Nie czuł deszczu.

W końcu Shampooing dobiegł do niego. Janusz przepuścił go i ruszył za nim. Każdy krok był wyzwaniem, cierpieniem. Ich głowy, plecy, ramiona wystawione były na ataki deszczu. Janusz wspinał się teraz jak małpa, na czworakach, pomagając sobie rękami, żeby było szybciej. Wrażenie rozdwojenia minęło.

To on mógł zaraz zginąć.

To jemu strach podchodził do gardła, wywołując mdłości.

Nagle stracił kontakt z ziemią i uderzył czołem w stopień. Przed oczami zobaczył gwiazdy. Fala bólu nadeszła z opóźnieniem. Sekundę potem poczuł na policzku chłód wilgotnego betonu. Ciepło krwi na twarzy. Przejmujący ból w nodze…

Zerknął przez ramię. Jeden z psów ugryzł go w łydkę. Zwierzę rzuciło się na niego, przygważdżając mu brzuch do schodów. Spróbował chwycić się latarni. Bez powodzenia. Podniósł głowę. Shampooing biegł dalej do góry. Nic nie zauważył albo wolał uciec. Janusz chciał krzyknąć, ale pokaleczył sobie usta przy upadku. Spróbował się podnieść. Zjechał po dwóch stopniach.

W końcu udało mu się przekręcić na plecy. Zobaczył wściekłe oczy psa. Za nim ujrzał nadbiegającego bandziora. Janusz zamachnął się nogą i kopnął psa w pysk. Zwierzę runęło pod nogi swojemu panu i razem stoczyli się po schodach.

Janusz, korzystając z okazji, zerwał się na równe nogi. Pies już pędził pod górę, a jego pan tuż za nim. Janusz poślizgnął się, ale odzyskał równowagę i stał, cały czas obserwując napastników. W świetle latarni dojrzał nagle jakiś przedmiot w rękach bandyty. Nóż z ceramicznym, wyszlifowanym ostrzem. Nie wróżyło to niczego dobrego.

W jednej sekundzie zdecydował, że nie podda się bez walki. Gołą pięścią wymierzył napastnikowi cios w twarz. Bandzior zachwiał się i złapał poręczy, żeby nie upaść. Janusz chwycił go za kołnierz, przyciągnął do siebie i uderzył głową, tak jak to robią grający w futbol. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, co ma robić: celuj w nos i między oczy, unikaj kości czołowej.

Usłyszał suchy trzask. Krew trysnęła mu w twarz. Przez kilka sekund nic nie widział. Obtarł oczy i zobaczył, że napastnik upadł na kolana na stopnie schodów. Pies postanowił wyręczyć swego pana. Janusz powitał go kopniakiem. Następnie końcem buta uderzył mężczyznę w brzuch. Znowu ten wewnętrzny głos: zawsze celuj w wątrobę, czułe miejsce kloszardów z powodu nadużywania alkoholu.

Opryszek ze stłumionym krzykiem runął na swojego psa. Po raz kolejny potoczyli się w dół. Janusz zamarł bez ruchu oszołomiony swoim wyczy-

nem. Stał się na dobre Victorem Januszem. Człowiekiem ulicy. Barbarzyńcą z chodnika.

Zza kurtyny deszczu wyłonili się dwaj kolejni bandyci, jeden z ogoloną głową, drugi z rudą grzywą. Pierwszy trzymał żelazną sztabę, drugi – nabijany gwoździami kij bejsbolowy. Obaj gwałtownie zaatakowali Janusza. Nie miał żadnych szans. Upadł na ziemię. Osłonił głowę rękami, szykując się na najgorsze.

Pierwsze uderzenie. Potem drugie, metaliczne. Nie czuł żadnego bólu. Otworzył oczy. Shampooing, uzbrojony w kontener na śmieci rozmiaru XXL, walnął pierwszego bandziora, a drugiego przycisnął do latarni. Obaj napastnicy wycofali się, kiedy łysy kloszard pchnął kontener prosto w ich twarze.

Shampooing podniósł towarzysza, chwytając go za kołnierz, i postawił na nogi. Janusz poczuł bezgraniczną wdzięczność. Gdzieś w zakamarkach duszy zmienił swoje zdanie o Shampooingu. Można było polegać na tym kloszardzie z blizną po trepanacji czaszki.

Pokonali resztę stopni. Janusz czuł dojmujący ból w łydce. Pies nieźle go urządził. Zagłębiali się w coraz ciaśniejszą plątaninę uliczek. W zaułki, gdzie mógł się przecisnąć tylko jeden człowiek. Zwolnili, aż w końcu się zatrzymali. Brakowało im tchu. Byli u kresu sił.

Nie opuszczał ich strach, tłumiony teraz kłuciem w płucach, zmęczeniem mięśni, mdłościami w żołądku.

– Zgubiliśmy ich – wydyszał Shampooing.

– Tak myślisz?

Janusz pchnął go pod ścianę. Kloszard omal się nie przewrócił.

– Co ty wyprawiasz?

– Kryj się.

Ich schronienie tworzyła żelazna brama domu, obrośnięta krzewami lawendy i gęstym bluszczem. Janusz i Shampooing, który poszedł w jego ślady, przycupnęli pod listowiem. Ledwie się tam ukryli, kiedy tuż obok nich przeszli napastnicy.

Obaj wstrzymali oddechy. Janusz czuł kredowy zapach mokrego kamienia, woń liści. Miłe uczucie. Byli wykończeni, ale cali i zdrowi. Popatrzyli na siebie. Odczucie ulgi połączyło ich niewidzialną nicią.

– Muszę pójść za nimi – powiedział cicho Janusz.

– Co ty gadasz?

– Ci faceci chcą nas załatwić. Chcą nas zabić. Muszę wiedzieć dlaczego.

Shampooing popatrzył na niego z wystraszoną miną. Podczas ucieczki zgubił swój beret. Jego połatana czaszka błyszczała w deszczu niczym jajo dinozaura.

– Myślisz, że uda ci się ich o to zapytać?

– Nie wszystkich. Tylko jednego. I to przez zaskoczenie.

– Jesteś szajbnięty.

Janusz odchylił połę płaszcza, odsłaniając rękojeść noża.

– Mam nóż.

– Przede wszystkim masz iloraz inteligencji muchy.

– Znasz jakąś kryjówkę?

– W tej sytuacji lepiej udać się do Madrague.

– Wykluczone. Znasz jakiś hotel?

– Hôtel?

– Mam pieniądze. W Marsylii muszą być jakieś pokoje dla takich jak my.

– Znam jeden, ale…

Janusz wyjął pięćdziesiąt euro.

– Ukryj się w tym hotelu i podaj mi adres. – Po namyśle dodał: – Dostaniesz drugie tyle, jeśli tam na mnie poczekasz.

Shampooing uśmiechnął się bezzębnymi ustami i objaśnił drogę do hotelu.

– Jeśli nie pojawię się rano – powiedział Janusz – idź na policję.

– Na policję? I co jeszcze wymyślisz?

– Bo inaczej aresztują cię za współudział.

– Współudział w czym? Co mam im powiedzieć?

– Prawdę. O moim powrocie. Napadzie na nas. Że chciałem się dowiedzieć czegoś więcej.

– Już przedtem nie było z tobą najlepiej, ale teraz to całkowicie sfiksowałeś.

– Idź do hotelu. Czekaj tam na mnie.

Próbował biec, ale zraniona noga bardzo go bolała. W wyobraźni widział kły psa wbite w swoje ciało. W takim wypadku przede wszystkim należało unieruchomić nogę. O leczeniu antybiotykiem lepiej było teraz zapomnieć…

Nie zwracając uwagi na boczne zaułki, podążał główną ulicą. Była niczym większa rzeka z dopływami. Zgadywał, że bandyci obrali tę samą drogę. Kiedy zaczynał już tracić nadzieję, że ich dogoni, ulica nagle skręciła. Znalazł się na odsłoniętym placu, tarasie dominującym nad miastem.

Zaskoczony cofnął się w cień.

Mimo woli podziwiał ten widok.

Marsylia błyszczała w deszczu niczym niebo usiane gwiazdami. Dalej rozciągało się morze. Niewidoczne, ale można się było go domyślać, czarne, bezkresne.

Rozgorączkowany napawał się tym pejzażem, atmosferą, ciemnościami. Szukał w nich pociechy, ukojenia.

Jakieś głosy przywołały go do rzeczywistości. Opuścił wzrok i zobaczył schody podobne do tych, którymi wchodził kilkanaście minut temu. W dole, w plamie światła, stali bandyci. Było ich pięciu, nie licząc psów. Nie słyszał, co mówili, domyślał się jednak, że byli źli, bezradni, ledwo dyszący.

Janusz przyjrzał im się ciekawie. Siwe warkoczyki, czerwone i niebieskie grzywy, ogolone czaszki z ezoterycznymi tatuażami. Na twarzach mnóstwo

kolczyków. Nadal trzymali w rękach swoją broń. Kije bejsbolowe, noże, pistolety sygnałowe.

Uśmiechnął się do siebie. Było coś zabawnego w obserwowaniu ich, nie będąc przez nich widzianym. Ruszyli w kierunku doków. Poczekał, aż zniknęli mu z pola widzenia, i zbiegł po schodach. Deszcz przestał padać, ale wszystko pokrywała zimna, oślizgła wilgoć.

Kierowali się na północ, idąc bulwarem wzdłuż nadbrzeżnej autostrady. Zapominając o bolącej nodze, Janusz podążał za nimi w odległości dwustu metrów, przeskakując w cieniu od jednego filaru do drugiego. Szli tak ponad kilometr, jeśli dobrze to oceniał. Bulwar nadal był pusty. Mistral wiał silnie, osuszając ślady po ulewie, mrożąc kałuże.

W końcu skręcili w prawo i zagłębili się w słabo oświetlone ulice. Kwartały domów wznosiły się na tle czarnego jak smoła nieba. Januszowi wydało się, że poznaje dzielnicę z ośrodkiem Madrague. A może była to dzielnica Bougainville? Minęli uśpione budynki, ogołocone z liści parki, place zabaw dla dzieci, otoczone zardzewiałymi parkanami.

Okolica zrobiła się jeszcze brzydsza. Nieczynne magazyny. Zamurowane okna. Puste place. W oddali rysowały się wyraźnie dźwigi, niczym jakieś groźne stwory. Szli teraz przez pusty teren. Kępy suchego perzu szeleściły na wietrze. W cieniu walały się brudne papiery, plastikowe butelki, kartonowe pudła. Janusz wytężył wzrok i zobaczył cel, do którego zmierzali bandyci. Mur pokryty graffiti, otaczający teren leżący odłogiem.

Janusz ledwie dyszał. Miał wrażenie, że słyszy, jak serce wali mu w piersi. Bum… bum… bum… Z pewnym opóźnieniem zorientował się, że to hałas maszyn, ginący w wilgotnym powietrzu. Gdzieś tam musiał być plac budowy.

Bandyci zniknęli. Przed nim był tylko ślepy mur. Zapewne graffiti zasłaniało drzwi, których nie mógł dostrzec. Zastanawiał się, jaką obrać strategię. Właściwie była tylko jedna możliwość – czekać, aż któryś z bandziorów wyjdzie na zewnątrz, by się wysikać albo zapalić papierosa. Wtedy będzie mógł zaatakować. Efekt zaskoczenia zwiększy jego szanse…

Przycupnął między kępami perzu. Przejmujący chłód znowu ogarniał jego ciało. Po kilku minutach zacznie się trząść, a potem sztywnieć z zimna. Temperatura ciała się obniży i…

Szczęknęły drzwi.

Bardzo ostrożnie podniósł się i obserwował poruszającą się w ciemnościach sylwetkę. Mężczyzna miał na głowie dredy. Januszowi przyszła na myśl postać z filmu *Predator*. Ten szczegół zwiększył jego strach, a jednocześnie odrealnił scenę. Jakby brał udział w grze wideo.

Facet szedł niepewnym krokiem. Pijany lub naćpany. Zatrzymał się przed krzakami i opróżnił pęcherz. Teraz albo nigdy, pomyślał Janusz i wyskoczył z zarośli. Oczy miał zamglone łzami. Wszystko wydawało mu się płynne, zniekształcone. Ścisnął w ręku nóż, chwycił typa za dredy i pociągnął z całej siły.

Bandyta przewrócił się na zmrożoną ziemię. Janusz wsunął ostrze w otwarty rozporek spodni mężczyzny. Klęcząc na jego piersi i zasłaniając mu usta drugą ręką, mruknął:

– Jeśli krzykniesz, to ci go odetnę.

Oprych się nie poruszył. Patrzył przed siebie szklanym wzrokiem, mięśnie mu sflaczały. Był kompletnie zaskoczony. Janusz wsunął nóż jeszcze głębiej. Facet w końcu zareagował, chciał krzyknąć. Janusz rąbnął go łokciem w twarz. Przeciwnik jeszcze próbował się szarpać. Dostał ponownie łokciem w gębę. Trzask kości. Janusz znowu zasłonił mu usta. Pod zaciśniętymi palcami czuł połamane kosteczki przegrody nosowej, krwawy śluz.

– Nie ruszaj się. Odpowiesz na moje pytania, kiwając głową. Zrozumiałeś?

Bandzior dał znak „tak”. Janusz przytknął ostrze noża do jego gardła. Zachęcony pierwszym zwycięstwem, zapytał:

– Poznajesz mnie?

Dredy zakołysały się: „tak”.

– Dziś wieczorem chcieliście mnie zabić?

Kolejne „tak”.

– Dlaczego?

Mężczyzna nie odpowiedział. Janusz dopiero po sekundzie uświadomił sobie, że nie mógł tego zrobić, bo miał zasłonięte usta. Zwolnił więc trochę ucisk ręki.

– Dlaczego chcieliście mnie zabić?

– Zapłacono nam za to.

– Kto?

Cisza. Janusz uniósł łokieć.

– Kto?

– Faceci w garniturach.

Mordercy z Guethary. Chcieli go dopaść. Za wszelką cenę.

– W grudniu to też byli oni?

– Zgadza się.

– Ile dawali za moją głowę?

– Trzy tysiące euro, pedale.

Drań robił się znowu butny. Janusz pomyślał, że trzy tysiące euro to niewiele z jego punktu widzenia, ale dla tych łotrów to fortuna.

– Skąd wiedzieliście, że wróciłem?

– Zauważyliśmy cię wczoraj, w dzień.

– To wy powiadomiliście o tym tych facetów?

– My.

– Mieliście kontakt?

– Tak, numer telefonu.

– Jaki to numer?

– Ja go nie znam.

Chyba kłamał, a czas naglił.

– To telefon komórkowy?

– Nie. Telefon do biura, nie wiem dokładnie…

– Znacie nazwiska tych typów?

– Nie. Tylko coś jak hasło.

– Jakie to słowo?

– Nie wiem. To nie ja…

Janusz uderzył go rękojeścią noża w twarz. Bandzior stłumił krzyk, pociągając nosem, jakby nie chcąc stracić do końca chrząstek nosowych.

– Jakie to słowo?

– Nie wiem… – Pomacał swój nos, który wydał dźwięk niczym skorupka tłuczonego jajka. – Jakieś rosyjskie nazwisko…

– Rosyjskie?

– Kurwa, rozkwasiłeś mi nos.

Janusz dostał dreszczy. Strach to jedno, ale poczuł także wewnętrzne skurcze. Palenie w żołądku, takie jak poprzedniej nocy.

Musiał się skoncentrować przez kilka sekund, jakie mu jeszcze pozostały.

– Dlaczego chcieli mnie wykończyć?

– Nie mam pojęcia.

– Powiedzieli, jak się nazywam?

– Nie. Pokazali twoją gębę.

– Zdjęcie?

Bandzior się zaśmiał. Nacisnął jedną dziurkę od nosa, a drugą wydmuchał strużkę krwi.

– Jakie tam zdjęcie, rysunek.

– Rysunek?

– Zgadza się. – Znowu zarechotał. – Pieprzony szkic.

Nagle przypomniał sobie, co mówił mu Daniel Le Guen. Że był malarzem. Może ten szkic to autoportret podpisany przez niego samego? Skąd zabójcy mieli przedmiot należący do jednej z jego poprzednich osobowości?

– Zachowaliście ten rysunek?

– Podtarliśmy się nim, chłopie.

Janusz chętnie zdzieliłby go jeszcze raz, ale nie miał już na to siły. Facet zatkał drugą dziurkę od nosa i wydmuchał grudki czarnego skrzepu.

– Czy macie się spotkać z facetami w garniturach?

– Tak, kiedy będziesz trupem, kochasiu.

– Wiesz, gdzie ich szukać?

– To oni nas znajdą. Są wszędzie.

Janusz zadrżał. Czuł się tak, jakby w żołądku miał rozpaloną do białości głownię. Uniósł nóż. Bandyta cały się skurczył. Janusz wymierzył mu cios w splot słoneczny. Końcówką rękojeści, przeznaczoną do rozbijania szkła, pozbawił bandytę tchu. A może życia? Wszedł w świat, gdzie takie niuanse nie miały już znaczenia.

Janusz wstał, nie zachowując żadnej ostrożności. Przez chwilę miał ochotę otworzyć drzwi zakamuflowane graffiti i wrzasnąć: „Zabijcie mnie!”.

Przebłysk rozsądku pomógł mu wrócić do rzeczywistości. Odszedł na chwiejnych nogach w mistral, w smród oleju napędowego. Brudne papiery kleiły mu się do nóg.

Był skazany na śmierć, nie miał już żadnych wątpliwości.

Jednak przedtem dowie się, z jakiego powodu.

Przeczyta akt oskarżenia i wyrok sądu.

Anaïs obudziła się bardziej zmęczona niż przed położeniem się spać. Trzy godziny istnego koszmaru, w którym wampiry ubrane w czarne garnitury od Hugo Bossa, pochylając się nad trupami w kostnicy, chłeptały ich krew po odcięciu im nosów. Jedyne pocieszenie – jej ojciec nie brał udziału w tej uczcie.

Potrzebowała kilku sekund, żeby dojść do siebie. Znajdowała się w pokoju motelu, który zauważyła o trzeciej nad ranem. Nieprzytomna ze zmęczenia, zatrzymała się tu bez wahania. Nie pamiętała, żeby zapalała światło. Zwaliła się w ubraniu na łóżko i przyjęła wizytę eleganckich wampirów w sekretnym pokoju swojego mózgu.

Poszła do łazienki, zdjęła sweter, dopiero potem zapaliła światło. To, co zobaczyła w lustrze, całkiem jej się spodobało. Młoda kobieta w T-shircie, zabandażowane ręce, umięśniona sylwetka. Nic, co by świadczyło o kobiecości, ani trochę kokieterii. Atletka o małych gabarytach, której blade krągłości mogły uchodzić za obietnicę słodyczy do momentu, gdy się ich dotknęło. Ujrzała perlące się w oczach łzy. Przyszły jej na myśl krople rosy na oczyszczającej maseczce z kaolinem, co także się jej spodobało.

Wzięła swoją kosmetyczkę. Zdjęła opatrunki z rąk, szacując jeszcze raz wyrządzone szkody. Wiele lat minęło od czasu, kiedy poraniła się tak po raz pierwszy… Nagle poczuła, jak ogarnia ją smutek, pomyślała o czarnych skrzydłach Ikara. Szybko owinęła ręce świeżymi bandażami.

Wróciła do pokoju. Zawsze woziła ze sobą stary szkolny piórnik, w którym trzymała pióra, ołówki i markery, niczym pilna studentka. Miała w nim także swoje tabletki. Ze spokojem wynikającym z doświadczenia połknęła pół tabletki solianu, jedną kapsułkę effexoru. Silna dawka. Do tego dorzuciła tabletkę lexomilu.

Szokowa terapia na czas depresji.

Słowo było zużyte, ale i ona sama była dziewczyną zużytą. Po maturze, na pierwszym roku prawa, załamała się i przeleżała dwa miesiące w łóżku, niezdolna do żadnego ruchu. Wtedy jeszcze nie wiedziała o swoim ojcu… To była zupełnie inna sprawa. Coś, co tkwiło głęboko w jej duszy, uczyniło ją obojętną na bieg wydarzeń. Może w wyniku dziedzictwa genetycznego po matce. Nie ruszała się. Nie mówiła. Zachowywała się tak, jakby była na granicy śmierci. W ostatniej chwili uniknęła pobytu w szpitalu.

Pomału, dzięki terapii antydepresyjnej, powróciła do zdrowia. Przeżyła dwa lata w ciągłej niepewności i lęku, czy choroba się nie powtórzy. Lęk ten nigdy tak naprawdę jej nie opuścił.

I tak doszliśmy do sedna sprawy, westchnęła w duchu. Przeziębienie, napięcie związane z pracą, podniecenie wynikające z poznania Freire’a – to wszystko były znaki ostrzegawcze. Także okaleczenie rąk. Obawiała się, że znowu będzie przeżywać dni jak w rosyjskiej ruletce, kiedy to najzwyklejsza myśl może spowodować najgorsze: na nowo rozbudzone samobójcze lęki…

Zeszła do recepcji. Odnalazła ekspres do kawy. Zrobiła sobie espresso, nie zwracając uwagi na przygnębiającą atmosferę pustego holu. Bez żadnych charakterystycznych cech, niebudzącego żadnych wspomnień. Pomyślała, że ona sama pasuje do tego wystroju. Zjawa pośród innych zjaw.

Po powrocie do pokoju sprawdziła komórkę. Pięć połączeń. Crosnier, policjant z Marsylii. Le Coz. Deversat, który dzwonił w nocy trzy razy. Odsłuchała najpierw wiadomość od komendanta marsylskiego, z nadzieją i zarazem lękiem, że dowie się czegoś o Januszu. Nic takiego nie było. Crosnier dzwonił o dwudziestej drugiej z pytaniem, o której może się jej spodziewać w Marsylii.

Le Coz, godzinę później, zostawił lakoniczną prośbę: „Zadzwoń do mnie”. Deversat to samo. Za każdym razem coraz bardziej stanowczym tonem.

Oddzwoniła najpierw do Le Coza, którego najwyraźniej obudziła.

– Telefonowałeś do mnie.

– Chodzi o tę twoją historię z firmą Mêtis – wymamrotał zaspanym głosem. – Coraz mniej z tego rozumiem…

– Dowiedziałeś się czegoś?

– Rozmawiałem z dziennikarzami. Ze znajomymi dziennikarzami śledczymi z redakcji „Sud Ouest” i „La Republique des Pyrenees” w Bordeaux. To profesjonaliści, którzy wiedzą o wszystkim, co się dzieje w regionie.

– No i?

– Powiedzieli, że mogą mi zdradzić szczegóły pewnej śmierdzącej sprawy, ale nie nadaje się to na rozmowę telefoniczną. Umówiliśmy się na spotkanie w nocy.

– Co w tym było tak tajemniczego?

– To dość niejasne. Mêtis to faktycznie firma chemiczna i farmaceutyczna, jednak na początku miała coś wspólnego z wojskiem.

– A konkretnie?

– Firmę założyli byli najemnicy z Afryki z lat sześćdziesiątych. Początkowo zajmowała się agronomią, potem chemią, a następnie lekami.

– Jakiego rodzaju lekami?

– Przede wszystkim były to leki psychotropowe. Uspokajające. Antydepresyjne. Niewiele wiem, ale wydaje się, że niektóre z nich są dosyć znane na rynku.

Co za ironia losu – ona sama z pewnością zażywała leki firmy Mêtis.

– A dlaczego nazwali to śmierdzącą sprawą?

– Chodzi o doświadczenia na ludziach, jakieś tajemnicze badania. Według mnie to zwykłe bzdury…

– A co z powiązaniami tej firmy z ACSP?

– Nie dowiedziałem się niczego. Mêtis to grupa przedsiębiorstw. Jednym z nich jest ta firma ochroniarska, i tyle.

Anaïs pomyślała o Q7. Była przekonana, że istnieje powiązanie między koncernem a napadem na plaży w Guethary. Jednak poza tym, że firma Mêtis była początkowo przedsiębiorstwem wojskowym, nie pasowali do niej snajperzy z karabinami Hécate II. A jeszcze mniej Patrick Bonfils, Bogu ducha winny rybak z Wybrzeża Baskijskiego.

– Dziennikarz, który najwięcej drążył w tej sprawie, wyjechał w teren na jakiś reportaż. Wraca jutro. Chcesz numer jego telefonu?

– Najpierw ty z nim porozmawiaj. Nie wiem jeszcze, kiedy wrócę. A jak posuwa się nasze śledztwo?

– Jakie śledztwo?

– Duruy. Minotaur. Dworzec Saint-Jean.

– Najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy z sytuacji. Chłopcy od Mauriceta zabrali nasze protokoły zeznań, a także twardy dysk zawierający dokumenty dotyczące morderstwa. Minotaur to dla nas już przeszłość.

Anaïs spojrzała na leżące na łóżku akta śledztwa, które wzięła ze sobą. Ostatnia sprawa prowadzona przez kapitan Chatelet i jej ekipę.

– Nie wspominając o tym, że Deversat zmył mi głowę.

– Za co?

– Za maleńką rewizję, jaką przeprowadziłem w siedzibie ACSP. Deversat powołał się na swoje zwierzchnie władze. Widocznie szefowie Mêtisu wiedzieli, komu trzeba się poskarżyć. Byli najemnicy z Afryki rozjechali się po całym naszym pięknym regionie. Mêtis to najpotężniejsza firma w Akwitanii.

– I co z tego wynika?

– Jak coś jest nie tak, to zawsze przyczepiają się do nas. Kiedy Deversat usłyszał, że to ty mnie tam posłałaś, odniosłem wrażenie, iż dolałem oliwy do ognia.

Przynajmniej teraz Anaïs wiedziała, dlaczego komisarz dzwonił do niej w nocy aż trzy razy.

– A co u ciebie? – zapytał Le Coz.

– Jestem w drodze do Marsylii.

– Znaleźli go?

– Oddzwonię do ciebie stamtąd.

Przez chwilę zastanawiała się nad następnym telefonem. Zdecydowała, że najpierw zadzwoni do Crosniera. Deversata zostawiła na koniec.

Marsylski policjant miał lekki akcent i mówił dobrodusznym tonem. Niespodziewanie odniosła wrażenie, że w Marsylii czeka ją słońce, światło, ciepło. Komendant podsumował znane fakty. Victor Janusz spędził noc z siedemnastego na osiemnastego lutego w noclegowni Pogotowia Socjalnego. Został napadnięty w toalecie, po czym rano zniknął. Od tamtej pory nie ma o nim żadnych wieści. Żadnej wskazówki, żadnego świadka.

– Kto go napadł?

– Nie wiadomo. Pewnie inni kloszardzi.

Anaïs nie była tego tak pewna. Czyżby odnaleźli go tam zabójcy? – zastanawiała się. Dlaczego wrócił do Marsylii? Dlaczego ubrał się w stare łachy Janusza?

– Chciałbym pani jeszcze coś zasygnalizować – odezwał się Crosnier.

– Słucham.

– Wczoraj wieczorem dostałem raport z prowadzonego przez panią śledztwa w sprawie Philippe'a Duruya.

Sprawozdanie, które sporządziła dla Le Galla, na coś się przynajmniej przydało.

– Moją uwagę zwrócił mitologiczny charakter scenerii.

– Nie dziwię się.

– Nie o to chodzi. Chciałem powiedzieć… że przypomniało mi to inne morderstwo tego samego rodzaju.

– Kiedy do niego doszło?

– W grudniu ubiegłego roku u nas w Marsylii. Byłem szefem grupy dochodzeniowej. Jest wiele podobieństw z pani sprawą. Ofiarą był młody bezdomny czeskiego pochodzenia. Jego ciało znaleziono w zatoczce w okolicy Vieux-Port.

– W jakim sensie zabójstwo to było… mitologiczne?

– Inspiracją dla zabójcy stał się mit o Ikarze. Chłopak był nagi, spalony, z wielkimi skrzydłami na plecach.

Anaïs milczała. Wśród wielu hipotez do rozważenia pojawiło się fatalne powiązanie tych spraw. Obecność Mathiasa Freire'a na miejscu zbrodni… Kolejny argument na rzecz tezy, że Janusz to zabójca.

– To jeszcze nie wszystko – kontynuował Crosnier. – Ten chłopak również miał we krwi dużą dawkę heroiny. Myślę…

Przerwała mu, wkładając kurtkę:

– Będę w Marsylii za dwie godziny. Przyjadę do pana na komendę w Évêché. Wtedy porozmawiamy.

Crosnier nie zdążył nic odpowiedzieć. Wyszła na parking i ruszyła w stronę golfa. Musi wziąć tę sprawę w swoje ręce. Musi ją przyspieszyć. Pokierować nią.

Zatrzymała się przed drzwiami wozu. Zapomniała o Deversacie. Drżącymi palcami wystukała jego numer.

– Co to za burdel z ACSP?! – zagrzmiał komisarz. – Rewizja w środku nocy? Co pani sobie wyobraża? Od wczorajszego popołudnia mój telefon

nie przestaje dzwonić.

– Chciałam zyskać na czasie… – powiedziała ochrypłym ze zdenerwowania głosem.

– Jeśli chodzi o czas, moja droga, ma go pani aż za dużo. Jest pani w drodze do Marsylii?

– Będę tam za dwie godziny.

– Życzę więc pani udanego urlopu. Odebrano pani dochodzenie. Bezzwłocznie zadzwonię na komendę w Évêché. Niech pani zapomni o wszystkim i korzysta z uroków morza! Resztę wyjaśnimy po pani powrocie.

Janusz rozstał się z Shampooingiem.

Bez wylewności, ale z banknotem stu euro na osłodę.

Wymył się dokładnie w łaźni na ulicy Hugueny, a potem udał się do przechowalni bagażu na dworcu i odebrał swoje rzeczy.

Przebywał w dziwnym świecie, gdzie nikt go nie poznawał. Nikt go nie zauważał. Nabrał niemal przekonania, że stał się niewidzialny. Niebo umyte przez mistral przybrało barwę kobaltowego błękitu. Zimowe słońce wyglądało jak kula lodu. Brutalne wydarzenia nocy wydały mu się dalekie.

Do hali dworcowej dotarł w błyskawicznym tempie. Znalazł męską toaletę. Pusto. Wszedł do jednej z kabin, nie zwracając uwagi na panujący tam smród, który dobrze już poznał. Rozebrał się, a potem włożył koszulę i spodnie od garnituru, delektując się kontaktem z gładkim materiałem.

Wyszedł z kabiny i wrzucił łachy nędzarza do pojemnika na śmieci, zatrzymując przy sobie dwa skarby – nóż marki Eickhorn i raport z autopsji Tzevana Sokowa. Zapisał w notesie numer akt sprawy: K095443226, a także nazwisko sędzi śledczej: Pascale Andréu, po czym schował raport do swojej torby podróżnej. Nóż natomiast wsunął z tyłu za pasek spodni.

W toalecie nadal nie było nikogo. Włożył marynarkę i obmacał puste kieszenie. Dokumenty tożsamości Mathiasa Freire’a znajdowały się na dnie torby. Gdyby został nagle aresztowany, będzie mógł podać fałszywe nazwisko. Powiedzieć cokolwiek. Zyskać na czasie. Notes schował do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Gdy stanął przed lustrem, stwierdził, że odzyskał ludzki wygląd. Włożył nieprzemakalny płaszcz. Miał zamiar zmienić buty, kiedy do toalety wszedł strażnik z psem.

Mężczyzna zobaczył jego torbę i nogi w samych skarpetkach.

– To nie jest szatnia, tu się nie przebieramy.

Janusz chciał go ofuknąć, jak zrobiłby psychiatra Mathias Freire, ale zmienił zdanie.

– Idę do biura pośrednictwa pracy, proszę pana – odezwał się pokornym tonem.

– Zjeżdżaj stąd.

Kiwnął posłusznie głową. Pospiesznie włożył buty i chwycił swoją torbę. Ruszył do drzwi. Strażnik usunął się na bok, patrząc na niego nieufnie. Janusz ukłonił mu się niezgrabnie na pożegnanie i wyszedł.

Skierował się do wyjścia, gdzie znajdował się postój taksówek.

Z każdym krokiem odzyskiwał swoją godność.

Wracał między ludzi.

Janusz kazał się zawieźć na ulicę Breteuil, obok Pałacu Sprawiedliwości. Zapłacił za kurs i obrzucił wzrokiem budynek. Ze swoją kolumnadą i stożkowatym frontonem przypominał gmach Zgromadzenia Narodowego w Paryżu w mniejszym wymiarze. Według kierowcy taksówki siedziba sądu okręgowego znajdowała się nieco dalej, na ulicy Joseph-Autran.

Okrążywszy budowlę, zobaczył chodnik prowadzący do czerwonego portalu. Poszedł w tym kierunku. Jego plan był prosty. Poczekać na porę lunchu. Wejść do budynku sądu. Na piętro, gdzie mieszczą się biura sędziów. Znaleźć gabinet Pascale Andréu. Wślizgnąć się tam i wykraść akta śledztwa dotyczące morderstwa Ikara. Tak zaplanowane zadanie wydawało się łatwe. W rzeczywistości była to *mission impossible*.

Stanął w wejściu pilnowanym przez policjantów. Rzucił okiem do wnętrza. Bramka bezpieczeństwa. Torby i teczki prześwietlane były promieniami rentgenowskimi. Każdy gość musiał przejść bramkę z wykrywaczem metalu i pokazać dokument tożsamości. Do gmachu sądu nie wchodziło się jak do młyna.

Zastanawiając się, co robić, obszedł budynek dokoła. Tu czekała go niespodzianka. Drugie wejście, od ulicy Grignan, było przeznaczone dla pracowników. Sędziowie i adwokaci wchodzili bez trudności, bez żadnych detektorów, czasem nawet zapominając pokazać swoje identyfikatory.

To wejście było jedynym rozwiązaniem.

Janusz spojrzał na zegarek. Południe. Najpierw musiał gdzieś schować swoją torbę podróżną. Wyszedł więc poza obręb budynków sądowych i zauważył bramę prowadzącą na podwórze jakiegoś domu. Wszedł do jednej z klatek schodowych i ukrył torbę pod schodami na samym dole.

W drodze powrotnej pomyślał, że brakuje mu czegoś takiego jak teczka. Zajrzał do supermarketu i wybrał plastikową, przeznaczoną dla dzieci, która miała udawać taką, jakie noszą sędziowie czy adwokaci. Kiedy minął stację obsługi samochodów, przyszła mu do głowy kolejna myśl. Zawrócił i kupił cienkie gumowe rękawiczki, które upchnął w kieszeni.

Stanął w bramie i podjął ponownie obserwację. Sędziowie i adwokaci przychodzili grupkami. Tylko niektórzy z nich pokazywali identyfikatory. Większość wchodziła, nie przerywając rozmowy, pod obojętnym wzrokiem strażników siedzących w oszklonych budkach. W swoim garniturze i płaszczu nieprzemakalnym będzie mógł wmieszać się w którąś grupę i przejść niezauważony. Nie czuł strachu, tylko wewnętrzne gorąco, wynikające z podniecenia, adrenaliny, determinacji…

Trzech mężczyzn w garniturach kierowało się do wejścia. Ustawił się za nimi. Śmiechy, słowa powitania, szelest ubrań. Janusz nic nie widział, nic nie słyszał. Zanim się spostrzegł, już był w budynku sądu.

Ruszył na chybił trafił, bez pośpiechu, z teczką w ręce. Nogi uginały się pod nim, ręce drżały. Schował jedną do kieszeni płaszcza, drugą zacisnął mocniej na pustej teczce. Przed jego oczami przesuwały się tabliczki: SALÉ SĄDOWE, SĄDY CYWILNE. Żadnej wskazówki, gdzie znajduje się piętro sędziów śledczych.

Dotarł do wind. Wtedy dopiero, stojąc przed nimi, przyjrzał się temu miejscu. Ogromna sala z posadzką z białych płytek, a nad nią czerwona metalowa konstrukcja.

Otworzyły się chromowane drzwiczki. Z windy wyszedł mężczyzna z pistoletem zatkniętym za pas. Strażnik.

– Przepraszam pana – odezwał się Janusz – na którym piętrze urzędują sędziowie śledczy?

– Na trzecim.

Janusz wszedł do kabiny. Drzwiczki zamknęły się za nim. Nacisnął guzik. Jego błyszcząca od potu ręka ciągle drżała. Wytarł ją o płaszcz, a potem poprawił włosy przed lustrem. Zdziwił się, że strach nie był widoczny na jego twarzy.

Drzwi się otworzyły. Janusz ujrzał korytarz wyłożony linoleum, z nisko zamontowanymi lampami w stylu retro. Dawało to zaskakujący efekt: podłoga była jaśniejsza niż sufit. Jakby wezwani tutaj świadkowie lub podejrzani mieli patrzeć jedynie na swoje buty. Na prawo dostrzegł drzwi ewakuacyjne bez klamki, z napisem: WEJŚCIE WZBRONIONE. Na lewo, kilka metrów dalej, zakręt. Janusz poszedł w tym kierunku.

Trafił na poczekalnię, gdzie czekało dużo ludzi z wezwaniami w rękach. Żeby tam się dostać, trzeba było przejść przez sekretariat.

W tym momencie biuro było puste. Janusz spróbował otworzyć oszklone drzwi. Zamknięte. Kilka osób w sali pokazało mu dzwonek zainstalowany przy klamce. Wystarczyło go użyć i pojawiała się sekretarka dyżurna.

Janusz podziękował im skinieniem głowy i zawrócił do wind, złoszcząc się na swoją naiwność i brak pomyślunku. Nacisnął już guzik wzywający windę, kiedy zobaczył, że drzwi ewakuacyjne są otwarte. Nie wierzył własnym oczom. To była jego szansa. Automatyczna zapadka blokowała skrzydło. Bez wahania wślizgnął się do środka, zgadując, że urzędnicy dostawali się tędy do wind, unikając chodzenia przez cały korytarz.

Również tutaj na podłodze leżała wykładzina PCW, a z sufitu zwieszały się nisko lampy. Ale tym razem ujrzał szereg drzwi. Przesuwały się przed jego oczami niczym karty do gry. Na szóstych z rzędu zobaczył nazwisko, którego szukał: PASCALE ANDREU.

Rzut oka na prawo, rzut oka na lewo. Nikogo. Zapukał. Cisza. Poczuł uderzenie gorąca, pot spływał mu po karku, po plecach. Zapukał ponownie, tym razem mocniej. Żadnego dźwięku wewnątrz. Włożył gumowe rękawiczki i zamknąwszy oczy, nacisnął klamkę. Choć niezbyt na to liczył, drzwi nie były zamknięte na klucz.

Sekundę potem był już w środku. Przymknął bezszelestnie drzwi i starając się opanować oddech, rozejrzał się po pokoju. Biuro Pascale Andréu przypominało barak na placu budowy. Ściany z plastiku. Tania wykładzina na podłodze. Metalowe meble. W głębi okno. Na lewo wewnętrzne drzwi, prowadzące z pewnością do pokoiku sekretarki.

Janusz podszedł do biurka, na którym piętrzyły się dokumenty. Zastanowił się. Może policja z Bordeaux dzwoniła już do pani sędzi? Może sprawa Tzevana Sokowa została wznowiona i jego dossier leży gdzieś na wierzchu?

Postawił swoją teczkę i wyjął notes, w którym zapisał numer akt tej sprawy – SOKOW K0955443226. Zapamiętał ostatnie cyfry, wszystkie bowiem teczki zaczynały się od tych samych symboli. Po chwili zorientował się, że żadna z nich nie ma tego numeru.

Spojrzał na papiery leżące na biurku. Przeróżne dokumenty w plastikowych koszulkach. SPRAWY BIEŻĄCE. USTAWY PODATKOWE. KOPIE SKARG. Koperty zawierające listy zatrzymanych. Notatki dla różnych ekspertów i policjantów prowadzących śledztwa. Nic dla niego.

Zajrzał do szafy na prawo. Nie znalazł teczki z numerem 443226. Do zabójstwa Tzevana Sokowa doszło w grudniu. Było za świeże, żeby odłożyć je do archiwum. Za odległe, by miało być wśród spraw bieżących. Może w pokoiku sekretarki?

Przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Z takimi samymi szafami z opuszczanymi drzwiczkami, zawierającymi sterty papierów. Janusz zabrał się do pierwszej z brzegu, sprawdzał oznaczenia na grzbietach teczek, poczynając od najwyższej półki.

Był przy trzeciej, gdy ktoś zapukał do drzwi prowadzących na korytarz. Zamarł, wstrzymując oddech. Ponowne pukanie. Stał bez ruchu z uczuciem, że lada chwila zdematerializuje się ze strachu. Odwrócił głowę i spojrzał na drzwi. Klamka się poruszyła.

Jakimś cudem te drzwi sekretarka zamknęła na klucz. Janusz odczuł pewną ulgę, ale po sekundzie pomyślał, że ten gość spróbuje otworzyć sąsiednie drzwi. A wtedy będzie po nim. W tym momencie usłyszał znowu pukanie. Do tamtych drzwi.

– Pani sędzio?

Szczęknęła klamka. Kroki w środku. Janusz wciąż nie oddychał. Zastygł niczym kamienny posąg. Mijały kolejne sekundy. Czuł czyjąś obecność w sąsiednim pokoju. Ściany wydały mu się tak cienkie, jakby były z papieru ryżowego. Jego serce przestało bić.

Usłyszał lekki stuk. Szelest teczki lub koperty, którą położono na biurku. Znowu kroki, a potem cichy odgłos zamykanych drzwi.

Gość wyszedł.

Janusz po omacku znalazł krzesło i ciężko na nim usiadł. Potrącił plecami półkę. Teczki posypały się na podłogę z hałasem, który wydał mu się przeraźliwy.

Kiedy je podnosił, zobaczył numer na grzbiecie jednej z nich. K095443226. TZEVAN SOKOW. Na okładce widniała postawiona w poprzek pieczątka: KOPIA.

Otworzył teczkę, wyjął koszulki z dokumentami. Nie zaglądając do nich, przeszedł do sąsiedniego pokoju i schował je do swojej teczki. Ręce mu się trzęsły. Serce waliło ogłuszająco. Jednocześnie poczuł się niepokonany. Znowu zatriumfował. Jak wtedy w biurze Anaïs Chatelet. Teraz musiał jedynie jak najszybciej opuścić to pomieszczenie.

Ta sama droga, tylko w odwrotnym kierunku. Przywołał windę, zostawiając ślad potu na przycisku. Dwie sekundy. Trzy sekundy. Każdy hałas słyszał ze zwielokrotnioną siłą. Trzask oszklonych drzwi… W uszach miał szum, jakby nurkował gdzieś w głębinie.

Winda nie przyjeżdżała. Miał ochotę zejść pieszo, ale nie wiedział, gdzie znajduje się klatka schodowa. Otworzyły się drzwi windy. Wysiedli z niej trzej mężczyźni. Janusz odsunął się na bok, przyciskając teczkę do piersi. Faceci nie zwrócili na niego żadnej uwagi. Wszedł do kabiny, ciężko dysząc. Paliło go całe ciało. Zdjął płaszcz, złożył i przerzucił przez rękę.

Parter. Czerwona konstrukcja sufitu wydała mu się niższa, bardziej niebezpieczna. Urzędnicy, sędziowie, adwokaci wracali z lunchu. Tłum w holu gęstniał. Janusz przypomniał sobie w ostatniej chwili, że wejście od ulicy Grignan działało tylko w jednym kierunku. Wszyscy wychodzili stąd na ulicę Joseph-Autran.

Odwrócił się i wpadł na grupę policjantów. Przeprosił zdławionym głosem. Pięćdziesiąt metrów do przebycia. Czuł teraz czyhające na niego zewsząd niebezpieczeństwo. Jakby szedł po polu minowym. W jednej chwili wyobraził sobie najgorsze. Kamery monitoringu już go na pewno zarejestrowały. Budynek sądu zamknięto. Policja otoczyła cały teren…

Odpędził te myśli i skupił się na tym, żeby trzymać teczkę tak jak wszyscy, przy nodze. Dwadzieścia metrów. Wrzawa wokół niego nie cichła.

Dziesięć metrów. Uda mu się. Z aktami śledztwa w sprawie Ikara w teczce. Jeszcze raz zatriumfuje. Jeszcze raz…

Ledwie zdążył odskoczyć na bok. Anaïs Chatelet wchodziła do budynku sądu okręgowego w towarzystwie brunetki w kostiumie. Z pewnością Pascale Andréu. Zawrócił. Skierował się na środek holu, kiedy usłyszał wyraźnie jej głos:

– Mathias!

Mimo woli obejrzał się przez ramię. Anaïs przyspieszyła kroku. Przeszła przez bramkę wykrywacza metali, powodując włączenie się alarmu, ale tylko machnęła swoją policyjną legitymacją przed oczami strażników.

Janusz ruszył przed siebie, starając się nie przyspieszać kroku. Czarny garnitur, nieprzemakalny płaszcz, teczka w ręku – mógł wmieszać się w tłum. Mógł dotrzeć do innego wyjścia…

Głos Anaïs przebił się przez sygnał alarmu:

– Zatrzymajcie go! Mężczyzna w czarnym garniturze! Łapcie go!

Nie zauważył żadnej reakcji. Wszyscy mężczyźni wokół niego byli w ciemnych garniturach. Wszyscy spoglądali po sobie, szukając oznak paniki. Janusz poszedł w ich ślady, by być dokładnie taki jak oni. Daleko dostrzegł mężczyznę w mundurze, który szedł ku niemu z bronią w ręku.

Anaïs ponownie krzyknęła:

– Mężczyzna w czarnym garniturze! Z prochowcem na ręce!

Janusz błyskawicznie złożył płaszcz we dwoje i wsunął go pod ramię. Wokół niego panowało zamieszanie. Ludzie biegali, krzyczeli. Stalowa czerwona konstrukcja była coraz niżej. Podłoga wirowała. Przytłaczał go krzyk:

– Zatrzymać go!

Teraz policjanci wyciągnęli broń. Niektórzy na ten widok rzucili się na ziemię, swoim krzykiem zagłuszając głos Anaïs. Janusz szedł w dalszym ciągu, rozglądając się ze strachem wokoło jak inni. Musi znaleźć jakieś wyjście…

Mimo woli jeszcze raz obejrzał się do tyłu. Anaïs biegła, trzymając w obu rękach wymierzoną w niego broń. Przez głowę przebiegła mu dziwaczna, absurdalna myśl. Nigdy nie widział czegoś bardziej seksownego.

Wyjście ewakuacyjne, na lewo.

Przyspieszył kroku.

Naciskał na barierkę, kiedy usłyszał, jak krzyknęła, z pewnością do policjantów znajdujących się niedaleko:

– Z tyłu za wami! Drzwi! Z tyłu za wami!

Janusz był już po drugiej stronie. Kopnął barierkę. Drzwi ewakuacyjne otworzyły się na oścież. Pozostawało mu tylko biec. Znajdował się w drugiej części budynków sądowych. Betonowy korytarz oświetlony małymi lampkami. Zakręt. Kolejny korytarz.

O niczym innym nie myślał.

Tylko jeden obraz uporczywie powracał do jego mózgu. Anaïs Chatelet. Jej białe dłonie zaciśnięte na kolbie pistoletu. Jej smukła sylwetka. Sylwetka wojowniczki, której pożądał.

Przed nim kolejne drzwi. Zamierzał do nich dobiec, kiedy zderzył się z mężczyzną, który pojawił się nie wiadomo skąd. Dwie sekundy wahania i ujrzał wymierzoną w siebie broń.

– Nie ruszaj się!

Janusz znieruchomiał. Powieki paliły go od łez. Zobaczył mundur, niewyraźną twarz, niezdecydowane ruchy.

Nagle zdał sobie sprawę, że facet jest zaskoczony podobnie jak on sam. Usiłował mierzyć w niego z pistoletu i jednocześnie sięgnąć po swoją krótkofalówkę.

Janusz upuścił teczkę na ziemię, wyjął nóż i przycisnął policjanta do ściany.

– Rzuć broń!

Szczęk padającego na ziemię pistoletu rozległ się wraz z końcem jego zdania. Żadnej próby oporu. Nie zwalniając uścisku, Janusz lewą ręką wymacał pas policjanta, znalazł krótkofalówkę, wsunął ją do swojej kieszeni. Schylił się i podniósł pistolet, składając jednocześnie nóż, który schował za paskiem. Dopiero wtedy cofnął się i spojrzał uważniej na funkcjonariusza. Przy jego pasie błyszczały schowane w zamkniętym futerale kajdanki.

– Na kolana.

Mężczyzna się nie ruszył. Janusz przytknął mu broń do gardła. Coś, jakby szósty zmysł, podpowiedziało mu, że pistolet nie jest gotów do użycia. Odciągnął zamek, żeby wprowadzić nabój do komory.

– Kładź się na brzuchu. Zapewniam cię, że nie żartuję.

Policjant wypełnił polecenie bez słowa.

– Ręce na plecy.

I to polecenie zostało wykonane. Janusz wziął kajdanki i zacisnął bransoletkę na jednym nadgarstku funkcjonariusza. Zaskoczyła go płynność działania mechanizmu. Po chwili zamknął kajdanki na drugim nadgarstku.

– Gdzie są kluczyki?

– Co?

– Kluczyki do kajdanek?

– Nigdy ich nie używamy…

Janusz uderzył policjanta pistoletem w twarz. Trysnęła krew. Funkcjonariusz skulił się pod ścianą i wymamrotał:

– W… lewej kieszeni.

Janusz odnalazł je. Walnął policjanta jeszcze raz w kark. Chciał go zabić, ale okazało się to nie takie łatwe. Zastanowił się, ile czasu będzie potrzebowała jego na pół przytomna ofiara, by móc cokolwiek zrobić. Ręce skrępowane na plecach, ranny, sam w odosobnionym korytarzu. Minie przynajmniej pięć minut, zanim uda mu się przywołać pomoc.

Podniósł z ziemi płaszcz i teczkę. Bez namysłu wsunął broń z tyłu za pasek spodni, natykając się na swój nóż. Miał już teraz cały arsenał. Policjant, przerażony, skulony na ziemi, nie przestawał go obserwować. Janusz zrobił gest, jakby zamierzał go znowu uderzyć. Tamten wcisnął głowę w ramiona.

Janusz pobiegł, ile sił w nogach, szukając wyjścia. Czuł wbijający mu się w żebra pistolet. Upajające uczucie.

Teraz już wiedział, że ocali swoją skórę. Wszystko jedno, w jaki sposób.

Przebiegłszy kilka uliczek, Janusz znalazł się znowu na Canebiere. Dokładnie naprzeciw głównego komisariatu w Noailles. Furgonetki, oznakowane radiowozy, zwykłe samochody odjeżdżały w piekielnym zamieszaniu. Policjanci z bronią w ręku biegli do swoich wozów, wskakiwali przez otwarte drzwi i ruszali z piskiem opon. Natychmiast rozlegały się syreny na ich dachach. Janusz przycisnął teczkę do piersi. Wyglądało na to, że każdy, kto tylko nosi mundur, rzucił się za nim w pościg.

Wszedł do jakiejś bramy. Nie było mowy, by mógł odzyskać swoją torbę podróżną. Krótkofalówkę wrzucił do pierwszego napotkanego śmietnika. Zostały mu tylko nóż, broń strażnika i akta sprawy… Opuścić Marsylię… Znaleźć kryjówkę… Przeczytać te dokumenty w spokoju… Może skierują go na nowy trop. Jedyny sposób, by udowodnić swoją niewinność – jeżeli był niewinny…

Wycie syren się oddaliło. Policja z pewnością otoczyła okolicę siedziby sądu. Roześlą za nim listy gończe. Za kilka minut nie będzie mógł już zrobić kroku w tym mieście. Konieczne jest natychmiastowe działanie.

Po drugiej stronie ulicy zauważył sklep z tanią odzieżą. Skierował się tam z opuszczoną głową. Znowu rozległa się syrena. Cofnął się przestraszony. Tuż przed nim przejechał tramwaj: potężna stalowa maszyna. Syrena okazała się sygnałem uruchomionym przez motorniczego. Chwiejąc się na nogach, ogłupiały, patrzył za odjeżdżającym kolosem.

Potem przybrał możliwie najbardziej obojętną minę i wszedł do sklepu. Pojawiła się sprzedawczyni. Głęboko odetchnął i wyjaśnił, że wybiera się na narty i potrzebne mu sweter, kurtka puchowa i czapka. Uśmiechnęła się. Miała to wszystko i jeszcze więcej!

– Polegam na pani – dodał i wszedł do przymierzalni. Kobieta wkrótce wróciła do niego z naręczem kurtek, swetrów, czapek.

– To chyba pański rozmiar.

Janusz wziął od niej rzeczy i zaciągnął zasłonę. Zdjął marynarkę i wybrał rzeczy o stonowanych kolorach. Beżowy sweter, czekoladowa kurtka, czarna czapka, którą naciągnął na uszy. Obejrzał się w lustrze – tuzinkowy facet, którego wygląd nie odpowiadał rysopisowi zbiega z budynku sądu. Upewniwszy się, że nikt nie może go zobaczyć przez szparę w zasłonie, wsunął nóż i pistolet do kieszeni kurtki.

– Biorę te trzy rzeczy – powiedział, wychodząc z kabiny z teczką w ręce.

– Jest pan pewien co do kolorów?

– Całkowicie. Płacę gotówką.

Sprzedawczyni szybko podeszła do kasy.

– Czy chce pan torbę na marynarkę i płaszcz?

– Bardzo proszę.

Dziesięć minut później szedł ulicą Canebiere z miną człowieka, który rozgląda się za wyciągiem krzesełkowym. Lepiej być śmiesznym niż aresztowanym. Dokąd się udać? Przede wszystkim musi skręcić z tej arterii w bardziej dyskretne uliczki. Przechodząc koło kosza na śmieci, wrzucił tam plastikową torbę, którą dostał w sklepie. Miał wrażenie, że za każdym razem pozbywa się zbędnego balastu, żeby ułatwić sobie ucieczkę, ale nigdy nie udaje mu się to do końca.

Przeszedł całą ulicę Saint-Louis, przeciął aleję du Pavillon. Skręcił na prawo. Instynkt mu podpowiadał, że zmierza w kierunku Vieux-Port. Niezbyt dobry pomysł. Zawahał się, kiedy tok jego myśli przerwał pisk hamulców. Dwaj policjanci wyskoczyli z furgonetki i biegli ku niemu.

Rzucił się do ucieczki. Tym razem to koniec. Wycie syren dochodziło z czterech stron dzielnicy. Przekazano sobie wiadomość przez radio: Janusz został znaleziony. Miasto ogłosiło alarm, który dla niego oznaczał wyrok śmierci.

Potknął się o płytę chodnika, ale jakoś odzyskał równowagę. Znajdował się na długim placu. Pobiegł w poprzek, cały czas przyciskając do piersi

szkolną teczkę, przekonany, że jest zgubiony. W tym momencie dostrzegł unoszącą się nad asfaltem parę. Otarł pot z oczu i zobaczył otwarty do połowy wylot kanału, otoczony barierkami. Wyczuł, że tam jest jego ocalenie. Pobiegł w tym kierunku, wypatrując kanalarzy.

Dojrzał ich z odległości trzydziestu metrów. W wysokich butach, w kaskach, palili papierosy i śmiejąc się, kupowali sandwicze. Przeszedł górą przez barierki, odsunął jednym kopnięciem pokrywę, chwycił się rękami drabinki, mówiąc sobie w duchu, że wszystkie te szanse to znaki od Boga. Znaki, które dowodziły jego niewinności. Zaczął schodzić w ciemność.

Dotknąwszy ziemi, ruszył na prawo w głąb kanału. Zdjął czapkę, omijając lejącą się z rury wodę. Następna drabinka. Potem jeszcze jedna. Sieć kanalizacyjną w Marsylii tworzyły kanały biegnące poziomo i pionowo.

W końcu trafił na jakieś schody, zszedł w dół, zobaczył szeroką cementową platformę z wiszącymi nad nią kładkami. Coś w rodzaju maszynowni, oświetlonej lampami neonowymi, ze stojącymi w rzędach cysternami, zbiornikami, tablicami rozdzielczymi. Nie zrobił trzech kroków, kiedy zauważył mężczyznę, odwróconego do niego plecami, zapisującego dane z liczników na tablecie. Zachowywał się, jakby był głuchy, jakby nie usłyszał jego kroków. Janusz podszedł bliżej i zrozumiał. Pod kaskiem ochronnym facet miał słuchawki i kiwał głową w rytm muzyki.

Janusz przytknął mu do karku lufę pistoletu. Mężczyzna jednym ruchem zerwał słuchawki i podniósł ręce.

– Odwróć się.

Kanalarz odwrócił się i choć zobaczył broń wymierzoną w swoją twarz, nie okazał żadnego strachu. Ubrany w szary kombinezon, w wysokich butach, w kasku na głowie, wyglądał jak nurek, który zapomniał aparatu tlenowego. Wciąż trzymał w ręku tablet i rysik, którym się przed chwilą posługiwał.

– Czy… czy pan zamierza mnie zabić? – zapytał po wielu sekundach.

– Nie, jeśli zrobisz to, co ci każę. Gdzie jest wyjście?

– Jest ich wiele. Każdy kanał ma wiele wyjść. Najbliższe…

– Które jest najdalsze? Takie, którym można wydostać się z Marsylii?

– Przy wielkim kolektorze, w zatoczce Cortiou.

– Idziemy.

– To sześć kilometrów!

– Nie traćmy więc czasu.

Mężczyzna opuścił powoli ręce i skierował się do żelaznej szafki.

– Co ty wyrabiasz?! – krzyknął Janusz, mierząc do niego z pistoletu.

– Biorę sprzęt. Musi pan mieć ubranie ochronne.

Otworzył żelazne drzwiczki. Janusz chwycił go za ramię i odsunął na bok. Sam wziął kask i włożył go na głowę.

– Niech pan weźmie także maskę – zarządził kanalarz spokojnym głosem. – Będziemy przechodzili tam, gdzie są toksyczne wyziewy.

Janusz się zawahał. W szafce były buty, kombinezony, butle tlenowe… Mężczyzna podszedł do niego.

– Mogę?

Wybrał dwa modele, które przypominały maski gazowe z 1914 roku, ale w wersji nowoczesnej. Podał jedną Januszowi. Po czym podał mu także wysokie buty.

– W nich będzie panu wygodniej.

Mężczyzna cały czas był przesadnie grzeczny i pewny siebie. Janusz znowu się oblał potem. Czy za tym zachowaniem krył się jakiś podstęp? Czy włączył się alarm, a on tego nie zauważył? Odsunął te pytania. Był zmuszony zaufać swojemu przewodnikowi.

Kiedy włożył buty, mężczyzna zapytał:

– Co pan takiego zrobił?

– Wiedz jedno: nie mam nic do stracenia. Jak kontaktujesz się z innymi?

– Jest tutaj centralka, której używamy w razie potrzeby. Mogę też wysłać wiadomość na moim tablecie.

– Zostaw wszystko tutaj. Czy twoja nieobecność zostanie zauważona?

– Chciałbym… Ale w tych kanałach jestem jak szczur pośród innych szczurów. Schodzę na dół, sprawdzam liczniki, wychodzę na górę. Nikogo to nie obchodzi.

Trudno było zgadnąć, czy blefuje. Janusz machnął pistoletem.

– Idziemy.

Zagłębili się w tunele. Każdy z nich był kopią poprzedniego. Janusz pocił się obficie: w kanałach było gorąco, panowała w nich śmierdząca, obrzydliwa duchota.

Szybko pojął, skąd się brał spokój kanalarza. Był to maniak swojego zawodu. Tworzył jedność z tym labiryntem. W trakcie marszu zaczął mówić. O podziemnej sieci ścieków. O historii Marsylii. O dżumie. O cholerze…

Janusz nie słuchał tego. Widział szczury biegające w kanałach na wysokości ich twarzy. Widział zmieniające się nazwy ulic. Nie znał jednak tak dobrze Marsylii, żeby się w tym zorientować. Zmuszony był iść na ślepo za tym człowiekiem szczurem, który szedł, szurając butami, przez główny tunel.

Stracił poczucie czasu i odległości. Często pytał:

– Daleko jeszcze?

Kanalarz odpowiadał niewyraźnie, powracając zaraz do historycznej tyrady. Pomyleniec. Tylko raz Janusz zauważył zmianę. Nagle pod ich nogami zaroiło się od szczurów, które przeskakiwały jedne przez drugie, wdrapywały się pod sklepienie. Ich piski odbijały się echem od ścian tunelu.

– Les Baumettes – wyjaśnił kanalarz. – Więzienie. Doskonałe źródło żarcia, ciepła…

Janusz przeszedł nad szczurami na czubkach palców. Dalej tunel rozszerzał się w ciemny kanał. Obrzydliwa maź sięgała im do kolan.

– Basen osadowy, gdzie zbiera się wszystko, co gęste. Niech pan włoży maskę. Tutaj zaczynają się wyziewy. Są niebezpieczne, bo nie wyczuwamy ich, a mogą spowodować śmierć.

Brnęli w śmierdzącym błocie. Z powodu maski Janusz słyszał tylko swój oddech. W ustach miał smak metalu i kauczuku. W świetle neonowych rurek ich zgięte cienie odbijały się na mokrych ścianach. Po następnym kilometrze znowu zmienił się pejzaż. Weszli na wąski brzeg kanału, podczas gdy basen się rozszerzył.

Kanalarz zdjął maskę.

– W porządku – mruknął.

Janusz zachłysnął się pierwszym łykiem świeżego powietrza niczym topielec wracający do życia. Przełknął ślinę i zadał ponownie to samo pytanie:

– Daleko jeszcze?

Kanalarz w odpowiedzi pokazał palcem. Na końcu tunelu rysowała się niezwykła jasność. Nie bezpośrednio, ale odbita od czarnej powierzchni wody. Malutkie, rozproszone rombiki, jak lśniąca mika.

– Co to jest?

Mężczyzna wyjął pęk kluczy.

– Słońce.

Janusz zawarł umowę z kanalarzem, który zostawił samochód zaparkowany przy oczyszczalni ścieków. Mężczyzna miał wysadzić Janusza w dowolnie wybranym przez siebie miasteczku, po czym obaj zapomną, że się kiedykolwiek spotkali.

Gdy zdjął maskę i kask, okazało się, że znawca podziemnych tuneli ma opaloną twarz. Pewnie w weekendy przebywał na świeżym powietrzu i łowił ryby. Stali na nasypie górującym nad wielkim kolektorem Marsylii. Przed sobą, w niebieskawej poświacie, mieli szeroki widok na morze. W oddali fale rozbijały się o brzegi czarnych wysepek, zostawiając obwódki srebrzystej piany. Widok był cudowny, ale smród potworny. U stóp stromego nasypu można było dostrzec inną rzeczywistość zatoki Cortiou: masy żółtej piany, płynące z prądem gnojowisko, sterty odpadków, które tworzyły jeden nurt koloru indygo. Nad tym wszystkim krążyły tysiące mew, szukających szczęścia wśród ton wyrzucanych nocą i dniem odpadków.

– Mój kangoo jest tam. Wysadzam cię, a potem mówimy sobie *adios*.

Janusz uśmiechnął się, słysząc tę formę na ty. Włożył pistolet za pasek i zdecydował się na najprostsze rozwiązanie – zaufać temu błotnemu nurkowi.

– Ty prowadzisz – powiedział – i nie próbuj kombinować.

– Gdybym chciał cię nabrać, to brnąłbyś dotąd w szlamie w kanałach.

Janusz przytaknął głową. Z tym samotnikiem mógł się dogadać.

Emanował z niego bunt. Zrewoltowany szczur. Przebrali się i wsiedli do kangoo, który pachniał miłą świeżościąpo kanałowych wyziewach.

Kierowca obrał kierunek na Cassis, pozostawiając w tyle Marsylię. Przez pierwszy kilometr Janusz przyglądał się z uwagą drodze i morskiemu brzegowi. Potem przestał. Nie wiedział, dokąd jechać ani co miałoby być jego celem. Ta myśl uświadomiła mu, że powinien coś postanowić.

Otworzył teczkę z numerem K095443226 i wyjął z niej plik dokumentów.

– Dokąd jedziemy? – zapytał kierowca.

– Przed siebie – odparł Janusz.

Pierwsza koszulka zawierała zdjęcia z miejsca zbrodni. Był to najbardziej nieprawdopodobny widok, jeśli nie liczyć zdjęć z Minotaurem. Czarny, chudy trup w pozycji męczennika, spoglądający w niebo, oparty plecami o szare skały zatoki. Z obu boków nadpalone ogromne rozwinięte skrzydła, z których poodpadały pióra i resztki wosku.

Przeszedł do raportów policyjnych, połączonych spinaczami. Marsylczycy byli bardzo dokładni. Odtworzyli rozkład zajęć Sokowa w dniach poprzedzających zabójstwo. Dowiedzieli się, skąd pochodził i kim był. Włóczęga z Europy Wschodniej z fryzurą punka. Nawiązali współpracę z brygadą antynarkotykową, żeby ustalić pochodzenie heroiny znalezionej w jego żyłach. Niczego nie odkryli.

Przede wszystkim zajęli się tym, co bezpośrednio dotyczyło morderstwa. Skrzydła. Wosk. Pióra. Skontaktowali się z producentami lotni, z punktami specjalizującymi się w sprzedaży tego typu rzeczy. W rejonie Marsylii, w całej Francji. Bez rezultatu. Przesłuchali producentów pszczelego wosku i ich klientów. Bez skutku. Sprawdzili dostawców białych gęsich piór użytych przez zabójcę. Dzwonili do punktów hodowli, a także do głównych nabywców w całej Francji: do producentów bielizny pościelowej, odzieży, mebli… Niczego nie uzyskali. Ani jednego podejrzanego klienta. Żadnego niezwykłego zamówienia w miesiącach poprzedzających zabójstwo.

Jakby morderca sam wyprodukował to, co było mu potrzebne…

Ta dyskrecja w działaniu uspokajała Janusza. Nie mógł być tym, który zrobił to wszystko. A już na pewno nie bezwiednie.

– No dobra – odezwał się kanalarz. – Dojechaliśmy do Cassis. Co mam robić?

– Jedź dalej.

Sięgnął po ostatnią koszulkę. Była poświęcona jedynemu świadkowi w tej sprawie, jeśli nie liczyć dwóch spacerowiczów, którzy znaleźli ciało. Christian Buisson, nazywany Białą Blachą. Stary znajomy. Policjanci okazali się nie bardziej skuteczni niż Shampooing. Nie udało im się odnaleźć tego czubka, mimo że przeczesali cały światek kloszardów. Przepytali bezdomnych, personel ośrodków pomocy, tanich jadłodajni, szpitali – żadnego śladu mężczyzny z kawałkiem metalu w czaszce.

Dowiedzieli się jednak czegoś ważnego. Christian Buisson był chory. Bardzo chory. Rak zżerał mu wątrobę, zniszczoną wskutek żółtaczki typu C, na którą zachorował wiele lat temu.

Policja uzyskała tę informację od lekarza Erica Enoschsberga z Nicei, wolontariusza należącego do organizacji „Lekarze ulic”. Ostatni raport kończył się stwierdzeniem, że Christian Buisson pewnie zmarł gdzieś w nieznanym miejscu, może na łóżku szpitalnym, a może na ulicy na kartonach, anonimowo.

– Znajdź mi budkę telefoniczną – rozkazał Janusz kierowcy.

– Czy doktor Enoschsberg?

– Tak, to ja.

– Jestem komendantem policji z komisariatu głównego w Bordeaux.

– O co chodzi?

Kiedy Janusz kupował kartę telefoniczną, kanalarz mu towarzyszył. Teraz jego „goryl” spacerował przed kabiną, bez żadnego podejrzanego gestu, nie okazując chęci ucieczki. Janusz zapewnił go, że nie zawaha się strzelić, gdyby przyszedł mu do głowy jakiś głupi pomysł.

– Chciałbym z panem porozmawiać o jednym z waszych pacjentów, Christianie Buissonie. Nazywają go Biała Blacha.

– Odpowiedziałem już na wszystkie pytania pańskich kolegów w grudniu ubiegłego roku.

– Są nowe fakty. Morderca znowu zaatakował. W naszym mieście.

– Tak?

– Dzwonię do pana, żeby uzupełnić swoją wiedzę na temat śledztwa.

Zapadła cisza. Janusz nie zaliczyłby Enoschsberga do kategorii ludzi pomagających policji. Na szczęście numer jego telefonu komórkowego został zapisany w aktach sprawy.

– Zeznał pan, że zeszłego lata leczył pan Christiana Buissona i…

– „Leczył” to za dużo powiedziane. Wziąwszy pod uwagę, w jakim był stanie…

– Właśnie. Moim kolegom nie udało się go odnaleźć. Wywnioskowali, że zmarł, ale nie został zidentyfikowany. Chciałbym zapytać, czy widział się pan z tym pacjentem po złożeniu zeznań i…

– Tak, widziałem go.

Janusza aż zatkało. Zdecydował się na telefon do lekarza, nie licząc na sukces. A tu proszę.

– Kiedy dokładnie?

– Na początku stycznia. W poradni w Tulonie.

Znowu pauza. Lekarz jakby się zawahał.

– Prowadzący śledztwo prosili, by dać im znać, gdybym czegoś się o nim dowiedział, nie zrobiłem tego jednak.

– Dlaczego?

– Bo Biała Blacha dogorywał. Nie chciałem, żeby gliniarze, to znaczy pańscy koledzy, ponownie go dręczyli.

– Rozumiem – rzekł Janusz z udaną empatią.

– Nie sądzę. Christian był nie tylko umierający, ale przede wszystkim przestraszony. Wygląda na to, że rzeczywiście coś widział i czuł się zagrożony, czego pańscy koledzy nie wzięli wówczas pod uwagę.

– Chodzi o… twarz zabójcy?

– Nie wiem, jednak od tego dnia Christian się ukrywał. Straszne. Był bliski śmierci, a krył się jak karaluch…

– Skierował go pan do szpitala?

– Kwalifikował się do opieki paliatywnej.

– Umarł?

– Nie.

Janusz zacisnął pięść na szybie kabiny.

– Gdzie jest?

– Znam pewne miejsce, w Nicei. Zająłem się wszystkim. Przebywa tam w spokoju od połowy stycznia. W ukryciu.

– Gdzie on jest?!

Janusz od razu pożałował tego pytania, a zwłaszcza tonu, jakim je zadał. Lekarz nie odpowiedział. Chciał zapobiec właśnie temu, żeby jakiś policjant przyszedł dręczyć nieszczęsnego człowieka, którego dni były już policzone.

Jednak wbrew wszelkim oczekiwaniom Enoschsberg skapitulował.

– Jest u pokutników. Pokutnicy z Arbour, w Nicei.

– Co to takiego? Jakiś zakon?

– Bardzo stare bractwo, powstałe w dwunastym wieku. Opiekują się ludźmi nieuleczalnie chorymi. Pomyślałem, że to dobre miejsce dla Białej Blachy.

– Mają szpital?

– Prowadzą zajęcia terapeutyczne. Dają schronienie ludziom u progu śmierci…

– Gdzie to jest?

Lekarz znowu się zawahał. Nie mógł się już jednak zatrzymać w połowie drogi.

– Maison Penitents, aleja Republiki w Nicei. Nie wiem, o co chce go pan pytać, ale mam nadzieję, że to ważne. Przede wszystkim jednak mam nadzieję, że będzie miał pan wzgląd na jego stan.

– Dziękuję, doktorze. Proszę mi wierzyć, to bardzo ważne. Będziemy rozmawiać z nim z największą ostrożnością i łagodnością.

Odkładając słuchawkę, pomyślał, że jego blef jest zapowiedzią tego, co się naprawdę stanie. Policja w Bordeaux i w Marsylii wznowi śledztwo w sprawie Ikara. Na pewno któryś z funkcjonariuszy zadzwoni do doktora Énoschsberga i uzyska te same informacje.

Anaïs wpatrywała się w zaryglowane drzwi. Przywieziono ją tutaj, na komisariat w Évêché, niczym szaleńca do szpitala psychiatrycznego. Około piętnastej, kiedy już było jasne, że Janusz, którego wytropiły i otoczyły liczne patrole, znów ulotnił się bez śladu, Anaïs dostała prawdziwego ataku furii.

Wyładowała się na własnym samochodzie, kopiąc go wściekle, a następnie napadła na policjantów, którzy pozwolili uciec Januszowi. Strąciła im kaski na ziemię, zerwała odznaki, chciała ich bić. Rozbrojono ją. Założono jej kajdanki. Zamknięto w tym biurze, a nie w areszcie, mając na względzie jej rangę.

Teraz była pod wpływem lexomilu. Wzięła podwójną dawkę – dwie dające się podzielić tabletki, które połknęła niczym ecstasy. Kiedy roztopiły się pod jej językiem, zaczęła odczuwać ich działanie. Spokój po burzy…

Siedziała na biurku ze skrzyżowanymi rękami, czekając, aż miną jej zawroty głowy. A przecież dzień zaczął się tak dobrze!

Jean-Luc Crosnier, komendant, który prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa Ikara i kierował obecnie poszukiwaniami Janusza, przyjął ją życzliwie. Oddał jej do dyspozycji pokój, który zwykle służył za areszt, i pozwolił zapoznać się z całością dokumentów śledztwa.

Nie znalazła w nich nic nowego. Dobra robota, która jednak prowadziła donikąd. Zabójca z obsesją na punkcie mitologii umiał zacierać za sobą ślady. Policjantom z Marsylii nie udało się znaleźć żadnego świadka poza klo-

szardem, który gdzieś przepadł. Ani zdobyć jakiegoś konkretnego dowodu, oprócz wosku i piór, z których skonstruowane były skrzydła…

Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości – w obu wypadkach był to ten sam człowiek. Sposób działania, heroina, symboliczna inscenizacja świadcząca o takim samym szaleństwie. Anaïs zauważyła tylko jedną różnicę: nie znalazła żadnej wzmianki o tym, by w ciele Tzevana Sokowa było mniej krwi, niż powinno. Anaïs dobrze pamiętała ten szczegół – z ciała Philippe'a Duruya pobrano kilka litrów. Nie potrafiła jednakże wyjaśnić tego faktu ani z niego skorzystać. Longo zauważył to dzięki niezwykłej bladości zwłok. Ze spalonego ciała Ikara nie dało się niczego wywnioskować.

Około wpół do dwunastej, kiedy zapoznała się z całością materiałów ze śledztwa, zadzwoniła do Pascale Andréu, wyznaczonej do tej sprawy sędzi śledczej, która zgodziła się spotkać z nią na lunchu jeszcze tego samego przedpołudnia.

1 właśnie po powrocie z restauracji zdarzyła się ta nieprawdopodobna historia. Janusz uciekł im sprzed nosa z aktami śledztwa pod pachą…

Trudno było wyobrazić sobie coś gorszego.

Po raz drugi w ciągu czterdziestu ośmiu godzin zbieg wymknął się jej z rąk.

Deversat miał rację. Powinna była skorzystać z zimy w Marsylii, spacerować po plaży, w nic się nie mieszać…

Komisariat Évêché mieścił się w kamienicy z XIX wieku. Ściślej mówiąc, znajdował się w nowoczesnym budynku przylegającym do niej, a jego okna wychodziły na katedrę de la Major. Wielki kościół, zbudowany z dwóch rodzajów kamienia, przypominał swoją kremowo-czekoladową tonacją włoskie ciastko.

Odezwał się jej telefon komórkowy. Otarła oczy z łez. Napłynęły bezwiednie, jak u narkomana, który już nie wie, co się z nim dzieje. Powinna czym prędzej przestać zażywać tę całą chemię…

– Deversat. Co to wszystko znaczy? Dostała pani zakaz brania udziału w tym śledztwie.

– Zrozumiałam.

– Trochę za późno na zrozumienie. Siedzi pani po uszy w szambie.

– Co pan ma na myśli?

– Wystarczy, że się pani gdzieś pojawia, a Janusz pakuje walizki.

Anaïs zrobiło się ciemno przed oczami.

– Pan mnie podejrzewa?

– Ja nie, ale chłopcy z kontroli wewnętrznej uczepili się tej myśli.

Gardło wyschło jej na wiór.

– Czy zostało… wszczęte przeciw mnie śledztwo?

– Nic o tym nie wiem. Właśnie do mnie dzwonili. Czekają na panią tutaj, w Bordeaux.

Ta sprawa będzie ją chyba kosztowała dużo więcej niż zwykła nagana. Policja wewnętrzna zacznie szperać w jej życiorysie. Dowiedzą się o Orleanie i jej idiotycznych metodach. O jej słabym zdrowiu psychicznym. O ojcu i jego zbrodniczej przeszłości…

Po chwili znowu usłyszała głos Deversata. Zmienił ton na bardziej serdeczny, niemal ojcowski.

– Będę pani bronił, Anaïs. Proszę sobie tak nie brać wszystkiego do serca. Jest pani jeszcze młoda i…

– Niech się pan wypcha!

Rozłączyła się gwałtownie. W tym samym momencie w drzwiach rozległ się szczęk klucza. Crosnier. Był dobrze zbudowany, ale szpakowata broda nadawała mu dobroduszny wygląd. Uśmiechał się kpiąco.

– Zadrwiła sobie pani ze mnie.

Mówił uprzejmym głosem. Anaïs pomyślała nieufnie, że to jakaś wymierzona w nią strategia.

– Nie miałam wyboru.

– Ależ miała pani. Powinna pani była zagrać ze mną w otwarte karty i wyjaśnić sytuację.

– Uwierzyłby mi pan?

– Jestem pewien, że potrafiłaby mnie pani przekonać.

Komendant wziął krzesło i usiadł na nim okrakiem.

– A teraz?

W tym pytaniu nie było ani śladu ironii. Raczej znużona życzliwość.

– Niech mi pan da jeszcze raz akta sprawy Ikara. Proszę pozwolić mi przestudiować je dokładnie tej nocy.

– W jakim celu? Znam je na pamięć. Nie znajdzie pani tam nic nowego.

– Znajdę to, co znalazł Janusz. Bardzo ryzykował, żeby zdobyć te dokumenty z biura sędzi…

– Przed chwilą do mnie dzwoniła. Chcą jej odebrać tę sprawę.

– Dlaczego?

– Ponieważ rozmawiała z policjantką bez uprawnień do udziału w tym śledztwie. Ponieważ zostawiła otwarty gabinet. Nie zamknęła akt w szafie. Niech pani wybierze powód.

Anaïs przez chwilę wróciła myślą do kapryśnej sędzi, która zalała ją słowami podczas lunchu. Jeszcze jedna, którą czekają przykrości.

– Proszę mi dać te akta – powtórzyła. – Na jedną noc.

Crosnier znowu się uśmiechnął. Miał minę poczciwego, zmęczonego, ale uroczego misia.

– Co jest tak naprawdę z tym pani facetem?

– Szuka winnego.

– A to nie on?

– Od początku uważam, że jest niewinny.

– A jego odciski na dworcu w Bordeaux, jego zachowanie, ucieczka?

– Nazwijmy to reakcją łańcuchową.

– Zmierza pani zdecydowanie pod prąd.

– Proszę mi dać akta na jedną noc – nie ustępowała. – Niech mnie pan zamknie tutaj. Rano będę wiedziała, gdzie udał się Freire.

– Freire?

– To znaczy Janusz.

Komendant wyjął z kieszeni notes i plik fotokopii. Położył to wszystko przed Anaïs.

– Znaleźliśmy torbę podróżną pod schodami domu w pobliżu budynku sądu. Rzeczy osobiste podejrzanego. Dokumenty tożsamości na nazwisko Freire. Ma pani rację. On prowadzi dochodzenie.

Ułożył fotokopie tak, by Anaïs mogła je czytać.

– To raport z sekcji zwłok Tzevana Sokowa. Nie mam pojęcia, jak go zdobył.

Sięgnęła po notes, ale Crosnier przytrzymał go swoją dużą owłosioną dłonią.

– Każę pani przynieść akta sprawy Ikara. Cokolwiek pani znajdzie, czegokolwiek się pani domyśli, natychmiast proszę mnie o tym poinformować i wracać do domu. Nie będzie się pani więcej zajmować tym śledztwem, jasne? Niech mi pani podziękuje, że załagodziłem sprawę z policjantami, których pani zaatakowała.

Powtórzyła mechanicznym tonem:

– Jutro rano przekażę panu informacje i wracam do domu.

Crosnier zdjął rękę z notesu i wstał.
Żadne z nich nie wierzyło w tę obietnicę.

Rozczarowany Janusz patrzył przez okno pokoju hotelowego. Rozstał się z kanalarzem w Hyeres około siedemnastej. Po raz kolejny zawitał do sklepu z używaną odzieżą, bo miał wrażenie, że jego ubrania przesiąkły kloacznym fetorem. Wybrał koszulę i najzwyklejszy garnitur. Do Nicei zgodził się go zawieźć kierowca taksówki, który pochodził z Baie des Anges i właśnie tam wracał. Pokonanie stu pięćdziesięciu kilometrów dzielących oba miasta, wliczając w to cenę paliwa, kosztowało czterysta euro.

Podczas drogi kierowca nie przestawał opowiadać o jednym i tym samym: o nicejskim karnawale, który zaczynał się dziewiętnastego lutego. Janusz powinien to zobaczyć. Orszaki niezwykłych powozów, bitwy kwiatowe, radosne tłumy w całym mieście.

Janusz nie słuchał go zbyt uważnie. Zastanawiał się tylko, jak wykorzystać tę okazję. Wyobrażał sobie ogólne zamieszanie. Tłumy w maskach… Krzyki, rewia kolorów, chaos przez całe dnie i noce… Policja i służby porządkowe zajęte nadzorowaniem spektakli i publiczności… Nieźle z jego punktu widzenia.

Teraz, kiedy już tu przyjechał, pojął, że taksówkarz opowiadał bajki. Obiecywał mu karnawał jak w Rio. Tymczasem Janusz ujrzał miasto w stanie hibernacji i zimne, opustoszałe ulice. Schronił się w Modern, hotelu średniej klasy na bulwarze Victor-Hugo. Spoglądał na zaspaną arterię w dole, z jej cyprysami i palmami. Nicea przypominała ogromną wczasową

dzielnicę. Domy miały wygląd willi kąpieliskowych z różnych epok i różnych stylów, całość zdradzała, że był to martwy sezon.

Mając przed sobą ten zastygły obraz, przypomniał sobie inne informacje o Nicei, bardziej odpowiadające temu, co widział. To miasto nastawione na bogatych emerytów pełne było kamer i prywatnej ochrony. Tutaj płaciło się za słońce i morze, ale również za bezpieczeństwo w ogrodzonych domach, za mieszczański spokój. Krótko mówiąc, miejsce zdecydowanie najgorsze dla uciekiniera…

Dzwonił już do Maison Penitents Arbour. Centrala podała mu numer telefonu komórkowego Jean-Michela. Zgłosił się mężczyzna, którego sam głos mówił wszystko. Wiara, życzliwość, miłosierdzie. Nie było mowy, żeby podawać się za policjanta prowadzącego śledztwo. Janusz powiedział, że był kiedyś bezdomnym i że znał Białą Blachę. Dowiedział się właśnie, że dawny towarzysz jest śmiertelnie chory i przebywa w zakładzie Arbour. Chciałby się z nim zobaczyć ostatni raz. Jean-Michel po pewnym wahaniu umówił go na spotkanie nazajutrz o dziewiątej rano.

Janusz odszedł od okna i obejrzał swój pokoik. Łóżko, szafa, łazienka niewiele większa od szafy. Zobaczył swoje odbicie w lustrze nad umywalką, oświetlonym zewnętrznym neonem hotelowym. Widmo w ciemnym garniturze, śmierdzące kanałami, posiadające tylko jeden skarb – akta śledztwa, w których znajdowało się nazwisko umarlaka.

Widmo, które było głodne. Od rana, od śniadania w ośrodku pomocy społecznej, nic nie jadł. Czy mógł zaryzykować wyjście na dwór? Zdecydował, że tak. Nie wiedząc, dokąd iść, skręcił na lewo, kierując się światłem latarni. Wzdłuż alei stały budynki w stylu wybitnie eklektycznym: wykuszowe okna, ornamentyka stylizowana na antyczną, mauretańskie wieżyczki, stiukowe reliefy… Pomimo tych wszystkich fantazji całość tchnęła wyniosłą obojętnością. Można było odnieść wrażenie, że jest się w północnych Włoszech albo w Szwajcarii. Mimochodem zdał sobie sprawę, że zna te kraje…

Na alei Jean-Medecin znalazł bar z sandwiczami. Specjalnie jej nie szukając, trafił na słynną Promenade des Anglais. Fasady domów, zwrócone ku morzu, przywodziły na myśl falochrony na angielskim wybrzeżu. Kopuły i stożkowate dachy, kiczowaty róż, wiktoriańskie linie.

Przeszedł na drugą stronę nadbrzeżnego bulwaru, na plażę. Niewidoczna w ciemnościach fala przyboju toczyła wały piany z głuchym hukiem. Zrobił

kilka kroków po piasku i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, z dala od świateł, otulony zimnem, żując sandwicza z ponurą satysfakcją. Czuł na barkach ciężar samotności. Czy nie miał nigdzie przyjaciela, żadnego sprzymierzeńca? Żywej kobiety, a nie ducha tej powieszonej? Przywoławszy to wspomnienie – jedyne, które wydawało mu się godne uwagi – pomyślał, że był to jakiś trop. Może właśnie za nim powinien podążyć.

Te myśli przerwała mu odległa syrena policyjna. Czyżby policja w Nicei deptała mu już po piętach? Niemożliwe. Fale wciąż przewalały się z szumem w mroku. Żałobne dźwięki, ale zarazem oznaka siły. Słuchając tego rytmu, pomyślał, że jego przeznaczeniem są wieczne powroty.

Dochodzenie, które teraz prowadzi, z pewnością prowadził już wcześniej, i to wielokrotnie. Jednak za każdym razem tracił pamięć. Za każdym razem zaczynał od zera. Jak Syzyf, który wiecznie toczył głaz pod górę. Musi odnaleźć klucz do tej zagadki, zanim przydarzy mu się następny atak choroby, który zatrze wszystko niczym fala zmywająca napisy na piasku…

Przypomniał sobie rozprawę o pamięci, którą kiedyś czytał – ciekawe kiedy? – napisaną przez francuskiego filozofa i psychologa z XIX wieku, Jean-Marie Guyau, zmarłego na gruźlicę w wieku trzydziestu trzech lat. Uczony ten pracował intensywnie już jako młodzieniec, jakby przeczuwając wczesną śmierć. Jego dzieło – kilkanaście tomów, tysiące stron – poświęcone było problemowi czasu i pamięci.

Guyau pisał: *Pod miastami zasypanymi przez Wezuwiusza znajdujemy ślady kolejnych starożytnych miast zasypanych wcześniej… Ten sam proces odbywa się w naszym mózgu; nasze obecne życie przykrywa, choć nie całkowicie, nasze życie poprzednie, które służy mu jako podpora, tajemny fundament. Kiedy zagłębiamy się w nas samych, gubimy się pośród tych szczątków.*

Janusz wstał i ruszył z powrotem do hotelu. Musi zejść do własnych katakumb. Przeprowadzić badania archeologiczne.

Znaleźć martwe miasta w głębi swej pamięci.

Anaïs Chatelet znalazła rozwiązanie o piątej dwadzieścia rano. Potwierdzenie otrzymała o piątej trzydzieści. A o godzinie piątej trzydzieści pięć zadzwoniła do Jean-Luca Crosniera. Nie spał – wciąż kierował akcją poszukiwania Victora Janusza w Marsylii i jej okolicach. Przebywał na posterunku żandarmerii przy autostradzie A55.

– Wiem, gdzie jest Janusz – oznajmiła podekscytowana.

– Gdzie?

– W Nicei.

– Dlaczego akurat w Nicei?

– Ponieważ Christian Buisson alias Biała Blacha jest śmiertelnie chory.

– Szukaliśmy go kilka miesięcy, ale bez powodzenia. Pewnie umarł gdzieś, nie mając przy sobie żadnych dokumentów.

– Biała Blacha najpierw uciekł do Tulonu, a potem został przewieziony do Nicei. Jest tam do tej pory, mieszka w ośrodku terapeutycznym, gdzie poddawany jest leczeniu paliatywnemu.

– Skąd pani to wie?

– Podjęłam wasze śledztwo tam, gdzie wyje zakończyliście. Zadzwoniłam do lekarza, który opiekował się Buissonem jeszcze w Marsylii. To Éric Énoschsberg z organizacji „Lekarze ulic”.

– Sam go przesłuchiwałem. Co pani powiedział?

– Że spotkał ponownie Białą Blachę w Tulonie, w styczniu, i że umieścił go w zakładzie prowadzonym przez pokutników z Arbour.

Crosnier przeżuwał te informacje kilka sekund. Oczywiście nazwiska, miejsca, daty nie były mu obce.

– Z jakiego powodu Janusz miałby się tam udać?

– Bo podąża dokładnie tą samą trasą co ja. Telefonował do Enoschsberga wczoraj około godziny osiemnastej. Podał się za policjanta. Zapewne jest już w Nicei. Powinniśmy tam pojechać!

– Nie tak szybko. Zawarliśmy umowę.

– Nie zrozumiał pan jeszcze, kim jestem?

Crosnier roześmiał się drwiąco.

– Od pierwszej minuty, kiedy pani przekroczyła próg mojego biura, zrozumiałem, kim pani jest. Rozpieszczoną dziewczynką żądną silnych wrażeń. Małą mieszczką, która zaciągnęła się do policji, traktując to jak wyzwanie. Osobą mocno kłopotliwą, która uważa, że stoi ponad prawem, podczas gdy powinna tego prawa przestrzegać.

Wysłuchała tego ze spokojem.

– To wszystko?

– Nie. W tym momencie nie jest pani nawet policjantką. Tylko przestępczynią, nad którą powierzono mi nadzór. Dzwoniono do mnie z kontroli wewnętrznej. Przyślą ludzi do E veche, żeby panią przesłuchali.

Suchość w gardle. Pot na skroniach. Egzekucja była blisko. Ale Anaïs czuła się jak w stanie nieważkości, jak płomień spragniony tlenu. Jakby coś dodawało jej skrzydeł.

– Niech mnie pan uwolni. Jedźmy tam razem. Poczekamy na Janusza w Maison Penitents i wrócimy razem z nim.

– I co jeszcze?

– Napisze pan, że pomogłam panu w aresztowaniu zbiega. Że moja uczciwość nie budzi wątpliwości. Pan ma do zyskania wszystko, a ja będę zrehabilitowana.

Krótka cisza, która przypominała szczęk ładowanego bębenka rewolweru.

– Przyjadę po panią.

– Niech pan nie zwleka.

– Muszę wydać tutaj odpowiednie rozkazy. *Capito?*

– Znowu nam się wymknie!

– Spokojnie – mruknął Crosnier. – Uprzedzimy kierownictwo Penitents. Znam ich. Są również w Marsylii.

Zadzwonię na policję w Nicei i…

– Niech pan nie stawia nikogo przed Maison Arbour! Janusz wyczuje zasadzkę!

– Wolne żarty! Nicea to Fort Knox. Wszędzie są kamery. Po wszystkich ulicach krążą patrole. Janusz nie ma szans, niech mi pani wierzy. Proszę teraz wezwać któregoś z moich ludzi. Przyniesie pani kawę. Przyjadę po panią za pół godziny.

– Ile czasu jedzie się do Nicei?

– Godzinę z kwadransem, jeśli się pospieszymy. Zdążymy.

Rozłączył się. Wykonała to, co jej polecił. Jakiś porucznik uwolnił ją i zaprowadził do policyjnej kantyny. Nie była tu mile widziana. Choćby nie wiem jak się tłumaczyła i przepraszała, dla nich była wariatką z Bordeaux, która rzuciła się z pięściami na ich kolegów. Usiadła w kącie, ignorując wrogie spojrzenia.

Napiła się kawy, która była jak smoła z piekła rodem. Jej podniecenie przeszło w obezwładniające zmęczenie. W myślach zadawała sobie przeróżne pytania. Czy rzeczywiście chciała, żeby Mathias Freire znalazł się pod kluczem? Żeby wytoczono mu proces i oskarżono o wszystkie te zbrodnie?

Minionej nocy nie tylko przeczytała jeszcze raz akta śledztwa w sprawie zabójstwa Ikara. Przestudiowała również notatki Janusza. Zawierały coś, czego niejasno domyślała się od samego początku. Freire alias Janusz nie był oszustem ani bezwzględnym manipulatorem.

Był pasażerem bez bagażu jak Patrick Bonfils.

Jego notatki nie pozostawiały co do tego najmniejszych wątpliwości, mimo że pisał je na własny użytek. Anaïs potrafiła czytać między wierszami. Obie jego tożsamości były jedynie kolejnymi etapami ucieczki. Freire/Janusz prowadził śledztwo w sprawie morderstw, ale przede wszystkim w sprawie siebie samego. Pragnął odtworzyć każdą ze swoich osobowości w nadziei, że odkryje tę pierwszą – prawdziwą.

Na razie udało mu się ustalić chronologię wydarzeń ostatnich miesięcy. Od stycznia do dnia dzisiejszego był Mathiasem Freire’em. Od końca października do końca grudnia – Victorem Januszem. Ale kim był przedtem? Szukał odpowiedzi, dręczony dodatkowymi wątpliwościami. Czy zabił Minotaura? Czy zamordował Ikara? Był myśliwym czy zwierzyną? A może jednym i drugim?

Sprawa, w którą się zagłębił, całkowicie przekraczała jego możliwości. Do tej pory korzystał z szansy, jaką dostaje debiutant, ale w każdym momencie mógł zostać zastrzelony albo schwytany przez tajemniczych mężczyzn ubranych na czarno, których nazywał „technokratami”. Była to jakby aluzja do politycznych gangsterów.

Freire wspomniał także o włóczęgach, którzy próbowali go zabić w Marsylii, pierwszy raz w grudniu – za tę bójkę został aresztowany – i drugi raz w nocy osiemnastego lutego… Freire dopadł jednego z tych bandziorów i dowiedział się, że zostali wynajęci przez zabójców w czerni. Trzeba będzie przesłuchać tych ludzi z Bougainville. Pomówi o tym z Crosnierem w drodze do Nicei…

– Anaïs.

Zerwała się na równe nogi. Crosnier potrząsał jej ramieniem. Zasnęła na krześle w kantynie. Przez półotwarte drzwi zobaczyła wchodzących i wychodzących policjantów. Pewnie zmiana patroli.

– Która godzina?

– Siódma dwadzieścia.

Zadrżała.

– Spóźnimy się!

– Będziemy tam za godzinę. Zakład został uprzedzony. Policjanci są już na miejscu.

– Mówiłam panu…

– Agenci po cywilnemu.

– Uprzedził ich pan, że Janusz jest uzbrojony?

– Naprawdę odnoszę wrażenie, że ma mnie pani za idiotę. Czekam w samochodzie.

Anaïs wróciła do jego biura, włożyła kurtkę, wstąpiła do toalety. Zanurzyła twarz w ciepłej wodzie. Krew pulsowała jej w skroniach. Miała mdłości. Ale zmęczenie ustąpiło.

Na progu komendy odetchnęła z rozkoszą świeżym powietrzem. Crosnier siedział już za kierownicą. Rozejrzała się wokoło – nie było innych wozów, żadnej policyjnej kawalkady przeznaczonej do wielkiej operacji. Skromna ekipa. Doskonale.

Szła w kierunku nieoznakowanego samochodu, kiedy zadzwoniła komórka w jej kieszeni. Sięgnęła po nią niezręcznie, upuściła na ziemię, podniosła.

– Słucham?

– Le Coz.

Nazwisko pojawiło się jakby z innej planety.

– Dzwonię do ciebie w sprawie Mêtisu.

– Nie rozumiem?

Anaïs nie mogła się skoncentrować. Crosnier przekręcił już kluczyk w stacyjce. Czekał na niąprzy dźwięku pracującego silnika.

– Rozmawiałem tej nocy z Patrickiem Koskasem, dziennikarzem, o którym ci mówiłem. Wyszperał znacznie więcej informacji niż inni.

– O czym?

– O Mêtisie, do cholery!

– Naprawdę bardzo się spieszę – wycedziła przez zęby.

– To, co mi powiedział, jest doprawdy niesamowite. Według niego Mêtis nigdy nie zerwał bliskich kontaktów z wojskiem.

– Czy możemy porozmawiać o tym później?

– Nie. Koskas sądzi, że Mêtis prowadził badania nad substancjami chemicznymi zdolnymi złamać wolę nawet najsilniejszego człowieka.

– O tego rodzaju sensacjach możemy pogadać potem…

– Anaïs, jest coś jeszcze.

Zadrżała. Le Coz nigdy nie nazywał jej Anaïs. To był sygnał ostrzegawczy, a nie wyraz przyjaźni.

– Koskas zdobył listę akcjonariuszy anonimowego stowarzyszenia.

Crosnier ruszał z piskiem opon. Anaïs podbiegła do samochodu.

– Pogadamy o tym wszystkim później, Le Coz.

– Na tej liście jest znane mi nazwisko.

Zdrętwiała z ręką na klamce.

– Kto to taki?

– Twój ojciec.

– Wolę pana uprzedzić. Christian ma straszliwie zdeformowaną głowę.

Jean-Michel czekał na Janusza przed Maison Arbour. Budynek różnił się bardzo od pozostałych budowli na alei Republiki. Zwłaszcza kolorami: ciemnożółtym, jasnożółtym i jaskrawożółtym. Nie spodziewał się takich barw w miejscu, w którym dożywa się swoich dni. Ponadto Jean-Michel wydał mu się zbyt zdenerwowany. Czy domyślał się czegoś? Czytał poranne gazety z jego zdjęciem na pierwszej stronie? Za późno, żeby się wycofać.

Podążył za nim przez hol, w którym na ścianie wisiała szeroka biała tablica z czerwonym krzyżem i napisem: MODLIĆ SIĘ. DZIAŁAĆ. KOCHAĆ. Bez słowa weszli na schody. Janusz miał ze sobą notes i akta. Nie zamierzał wracać do hotelu. Obserwował zakonnika, idąc za nim. Spodziewał się zobaczyć starca w białym habicie przepasanym sznurem, z kapturem na głowie. Jean-Michel był potężnie zbudowanym mężczyzną około pięćdziesiątki, w swetrze i dżinsach, z włosami ostrzyżonymi na jeża i okularami w szylkretowej oprawie.

Poszli ciemnawym korytarzem z małym okienkiem. Linoleum pod ich stopami błyszczało niczym powierzchnia rzeki. Cisza była przytłaczająca. Żadnych oznakowań, żadnego zapachu zdradzającego charakter tego miejsca. Równie dobrze mogła to być siedziba pomocy społecznej, jak i urząd podatkowy.

W końcu Jean-Michel przystanął i odwrócił się z rękami opuszczonymi wzdłuż bioder. Minę miał dość władczą. Jakby dla Janusza nadszedł dzień Sądu Ostatecznego.

– Biorąc pod uwagę jego stan, daję panu tylko dziesięć minut.

Janusz skinął głową w milczeniu. Mimo woli poczuł ogarniające go napięcie. Jean-Michel zapukał do drzwi. Nikt się nie odezwał. Wyjął pęk kluczy.

– Pewnie jest na balkonie – powiedział, otwierając kluczem drzwi. – Lubi tam przebywać.

Weszli do niewielkiego mieszkanka skąpanego w porannym słońcu. Woskowany parkiet. Ściany bez ozdób, pokryte tapetą w jasnym kolorze. Maleńka, nieskazitelnie czysta kuchenka przylepiona do ściany na lewo.

Wszędzie panowała czystość.

Wszystko lśniło.

Wszystko emanowało chłodem jak w sali laboratoryjnej.

Jean-Michel wskazał otwarte drzwi balkonowe. Na balkonie siedział na leżaku mężczyzna, tyłem do nich. Zakonnik pokazał na palcach: tylko dziesięć minut. Wyszedł po cichu, zostawiając Janusza w odległości kilku metrów od człowieka, którego szukał od dobrych paru dni.

Janusz podszedł bliżej z notatnikiem w ręku. Christian Buisson wystawił twarz do słońca, okutany pledem aż po brodę. Balkon wychodził na ulicę i budynek naprzeciwko. Ciszę przecinała kakofonia dźwięków wywoływanych drżeniem regularnie przejeżdżających dołem tramwajów.

– Cześć, Biała Blacho.

Chory się nie poruszył. Janusz wszedł na balkon i stanął przed nim, opierając się o balustradę. Buisson raczył podnieść wzrok, nie okazując żadnego zdziwienia. Przypominał wypchaną słomą kukłę.

W końcu zapytał:

– Czy przeszedłeś mnie zabić?

Janusz wziął składane krzesło stojące na balkonie, rozłożył je i usiadł na nim, plecami do poręczy.

– Dlaczego miałbym chcieć cię zabić?

Twarz chorego się ożywiła. Trudno było ustalić, czy to grymas, czy uśmiech. Policzki miał obwisłe, szare, bezkrwiste. Przez skórę przeświecały mięśnie, zwiotczałe ścięgna. Posępne oczy były głęboko zapadnięte

w oczodołach. Twarz pokrywał gęsty zarost, sterczący niczym u jeżozwierza zanurzonego w rtęci.

– Przyszedłem porozmawiać z tobą o zatoce w Sormiou.

– Jasne.

Powiedział to z domyślną, przebiegłą miną. W tym momencie Janusz uzmysłowił sobie, że nie usłyszy nic sensownego od tego umierającego człowieka. I po to odbył tę całą drogę… Ten ludzki wrak bez wieku stracił rozum i pragnął jeszcze pod koniec życia odegrać jakąś rolę. Janusz powinien był współczuć nieszczęśnikowi, lecz wiedział, że tak właśnie wyglądałoby jego życie, gdyby wyszedł stąd, nie dowiedziawszy się niczego.

– Przyszedłeś, żeby mnie zabić?

– Dlaczego miałbym to robić? – powtórzył Janusz, mając wrażenie, że scena obraca się dokoła.

– Masz powód. – Biała Blacha się zaśmiał. – Chodzi o to, co chciałbyś ode mnie wyciągnąć. – Poruszył wargami i mruknął: – Chciałbym tam pójść.

Janusz pochylił się i nadstawił ucha. Wstrzymał oddech.

– Chodzę tam o świcie, kiedy wstaje słońce… Zimą to wypada o ósmej rano.

Biała Blacha umilkł.

– Tamtego dnia też tam poszedłeś?

Chory uniósł brwi. Janusz ujrzał błysk pożądania w jego wzroku.

– Nie masz nic do picia?

Powinien był o tym pomyśleć. Uniwersalny język kloszardów.

– Opowiedz mi o tym, a ja kupię ci coś do picia – skłamał.

– Gadasz.

– Opowiedz.

Usta chorego poruszyły się, jakby coś przeżuwał. Może słowa, które zaraz z siebie wyrzuci…

– Mam nadzwyczajną moc… – odezwał się wreszcie. – Przeczuwam, kiedy ludzie mają umrzeć. Tak się dzieje za sprawą magnetyzmu w powietrzu. Czuję to dzięki żelazu, które tkwi w moim mózgu. – Pokazał palcem na czaszkę. – Niczym różdżkarz ze swoją pałeczką, kapujesz?

– Kapuję. Tego rana zabito człowieka w tej zatoce.

– Szedłem ścieżką. Dotarłem aż do plaży. Pełno było alg, paskudztw wyrzuconych przez morze…

Biała Blacha umilkł. Znowu coś przeżuwał. Mimo słońca drżał z zimna pod pledem. Hałas z ulicy się nasilił. Janusza ogarnęła litość. Ostatnie chwile zapomnianego przez wszystkich kloszarda… W samym mieszkaniu było raczej ciepło. Zakonnicy nie trudzili się na darmo. Nie tylko bogatych starców stać było na wygrzewanie się w słońcu Nicei.

– Co zobaczyłeś na plaży?

– Nie na plaży, na skałach…

Kloszard wpatrywał się nieruchomym wzrokiem przed siebie. Przeżywał na nowo tę scenę. Jego szare, zaropiałe, chore oczy wysychały niczym ostrygi wystawione na słońce.

– Zobaczyłem anioła… Anioła z rozwiniętymi skrzydłami. Był piękny. Wielki. Ale anioł się spalił. Za bardzo zbliżył się do słońca.

Biała Blacha był być może bezwartościowym śmieciem, ale widział scenę zbrodni przed wszystkimi innymi. Janusz zaczął drżeć jak on, chociaż słońce mocno grzało go w plecy. Z trudem powstrzymywał się, by nie potrząsnąć starcem. To, po co tu przyszedł, miał już w zasięgu ręki.

– Czy obok anioła był ktoś jeszcze? Widziałeś kogoś?

Umierający zamrugał powiekami i wbił wzrok w Janusza.

– Tak, był tam mężczyzna.

– Co robił?

– Modlił się.

Janusz nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Jak to?

– Klęczał obok anioła. I powtarzał stale to samo słowo.

– Jakie słowo? Słyszałeś je?

– Nic nie słyszałem. Byłem za daleko. Ale wyczytałem z jego warg. To druga zdolność, jaką posiadam, odkąd pracowałem z głuchoniemymi w ośrodku…

– Co mówił, na miłość boską?

Chory na raka zachichotał i owinął się mocniej pledem aż po brodę. Janusz miał wrażenie, że jest rybą, która złapała się na haczyk. W tej sekundzie do jego uszu dotarła muzyka, a raczej bębnienie, które wypełniało ulicę w dole. Muzyka dziwaczna, groteskowa. Muzyka z nocnego koszmaru. W drugim końcu miasta zaczął się karnawał.

Opanował się i szepnął na ucho umierającemu:

– Biała Blacho, przyjechałem tutaj z daleka, żeby zdobyć tę informację. Co mówił człowiek klęczący obok anioła? Jakie słowo powtarzał?

– Rosyjskie.

– Rosyjskie?

Chory wysunął spod pledu zakrzywiony palec i zaczął wybijać nim rytm.

– Słyszysz? To karnawał.

– Jakie to było słowo?

Biała Blacha nadal machał kościstym palcem.

– Jakie to słowo?

– Powtarzał wciąż „matrioszka”…

– Co to znaczy?

Chory mrugnął do niego okiem.

– Przyszedłeś mnie zabić?

Janusz chwycił go przez pled.

– Na litość boską, dlaczego miałbym cię zabijać?

– Ponieważ człowiekiem, który się modlił, byłeś ty, draniu. Janusz puścił starego i oparł się o balustradę. Muzyka za jego plecami stawała się coraz głośniejsza. Zagłuszała hałas uliczny i wprawiała w drżenie balkon.

Biała Blacha wycelował palec w Janusza.

– To ty jesteś mordercą anioła. Ty go zabiłeś, ty go spaliłeś, bo jesteś demonem! Wysłannikiem szatana!

Janusz omal nie wypadł z balkonu, ale przytrzymał się barierki. W tym samym momencie uświadomił sobie, że coś się zmieniło. Jakieś inne dźwięki dołączyły się do muzyki karnawału. Silniejsze niż taneczne rytmy… Głośniejsze niż hałas z ulicy…

Odwrócił się. Ze wszystkich stron jednocześnie nadjeżdżały radiowozy. Lampy na ich dachach obracały się w słońcu niczym wielkie diamenty. Otworzyły się drzwiczki, wysypali się mundurowi.

Janusz, skamieniały ze strachu, patrzył na tę scenę z rękami wczepionymi w balustradę. Każdy szczegół smagał go po oczach. Dwutonowe sygnały. Czerwone naramienniki. Broń…

Tłum rozstąpił się na boki.

Tramwaje zwolniły.

Zakonnicy wybiegli na spotkanie funkcjonariuszom…

Wszyscy jednocześnie podnieśli głowy. Janusz ledwie zdążył się cofnąć. Kiedy ponownie spojrzał na ulicę, zobaczył Anaïs Chatelet, która przeładо-

wywała swój pistolet.

Bez zastanowienia skoczył w drugi koniec balkonu, rzucił notes na dół, przeszedł przez balustradę i złapał się biegnącej pionowo rynny.

Słysząc chichot Białej Blachy i rozgwar karnawału, zsunął się po rynnie niczym małpa, obejmując ją nogami i rękami. Skoczył, obracając się w powietrzu twarzą do jezdni. Od szoku przez sekundę zatkało mu oddech. Przewrócił się na ziemię i zobaczył funkcjonariuszy w mundurach, którzy blokowali drogę. Był załatwiony.

Przysiadł przy witrynie sklepu i pomyślał ze zdziwieniem, że nie czuje ani bólu, ani strachu. Policjanci wymierzyli w niego broń. W świetle kręcących się lamp, przy ryku syren, zobaczył, że trzęsą się ze strachu, przerażeni chyba bardziej od niego.

W tym momencie z jego prawej strony wyłonił się tramwaj, zasłaniając mu widok. Zamiast policjantów widział przez szyby zalane słońcem osłupiałe twarze pasażerów. Podniósł się bez zastanowienia. Odnalazł notes i mrucząc do siebie „matrioszka”, pobiegł prosto w stronę karnawałowej muzyki.

Jego życie było jednym wielkim oszustwem.

Dogonił tramwaj, przebiegł na ukos przed pierwszym wagonem i jakimś cudem nie wpadł pod tramwaj jadący z przeciwnego kierunku. Biegł między dwoma składami, ogłuszony hałasem. Po kilku sekundach skręcił w lewo, oddalając się od szyn. Przyspieszył kroku, nie oglądając się na Maison Arbour i policjantów, którzy zaraz rzucą się za nim w pościg.

Wiedział, co nastąpi potem. Już raz to przeżył. Anaïs i gliniarze wybiegną z budynku, rozdzielą się, blokując sąsiednie ulice. Wezwą kolejne radiowozy, będą wyć syreny, funkcjonariusze wyciągną z kabur pistolety, a wszystko to dla jednej jedynej zwierzyny, którą był on sam.

Dobiegł do placu, na którym stał biały posąg jakiejś postaci historycznej. Zatrzymał się na krótką chwilę, ciężko dysząc. Zobaczył drzewa. Kościół z antycznym portykiem. Stoliki z parasolami. Pieszych, samochody, pary siedzące przed kawiarniami. Nikt nie zwracał nie niego uwagi.

Musiał się skupić na kilka sekund. Z rękami opartymi o kolana, nasłuchiwał muzyki karnawału. Zagłuszało ją wycie syren, ale udało mu się ustalić, skąd dolatywała.

Wybiegł na wielką aleję po prawej stronie. Jeśli wmiesza się w karnawałowy tłum, stanie się niewidoczny… Bieg nie przeszkadzał mu w myśleniu. Ale były to bezładne myśli. Słowa, które wypowiedział Biała Blacha. Jego obecność przy Ikarze. Matrioszka… Za dużo pytań i brak odpowiedzi… Bezwiednie powtarzał rytmicznie:

– Matrioszka… Matrioszka… Matrioszka…

Co to znaczy?

Biegł na oślep. Przechodnie przyglądali mu się teraz uważnie, odkrywając związek między tym przerażonym człowiekiem i przenikliwym wyciem syren. Nagle na lewo ukazała się mała uliczka, pełna ludzi, z licznymi sklepami, równoległa do głównej alei. Skręcił w nią i rozpychając się łokciami, wmieszał się w tłum.

W jednej chwili jakby znalazł się w Marsylii.

W plątaninie zaułków dzielnicy Panier.

Bez wątpienia to stare miasto Nicei…

Nie było czasu na rozglądanie się ani na zastanawianie. Cały czas kierował się głośną muzyką, dudniącą niczym bicie olbrzymiego serca. Kramy wylewały się na jezdnię. Parasole. Torby. Koszule. Kolejny plac. Targ rybny. Znowu jakaś uliczka, jeszcze węższa, gdzie zapach owoców krył się w cieniu kamieni.

Muzyka się zbliżała…

Muzyka go ocali…

W dalszym ciągu nie oglądał się za siebie. Nie wiedział, czy udało mu się zgubić ścigających go policjantów. Na prawo przejście. Schody prowadzące w dół. Wbiegł na nie. Powrót do światła dziennego. Znowu aleja. Syreny coraz dalej. Ani jednego policyjnego wozu. Tylko tramwaje jadące środkiem jezdni, mijające trawniki…

Muzyka przywoływała go z drugiego końca arterii.

Zwolnił kroku i przeszedł na ukos przez ulicę, starając się wyglądać jak inni spacerowicze. Znowu parki, palmy, posągi, trawniki. Muzyka. Poznał piosenkę i wypowiedział półgłosem jej tytuł: *I Gotta Feeling* zespołu Black Eyed Peas. Przeszedł przez park z rękami w kieszeniach, z opuszczoną głową. Żwirowane alejki. Gęste krzaki. Rodziny na ławkach. Od widowiska dzieliło go już tylko kilka kroków. Na co właściwie liczył? Czy zamierzał włączyć się w paradę? Ukryć się pod trybunami?

Kiedy wyszedł z parku, jego nadzieje prysły. Orszak karnawałowy odgradzały metalowe barierki i ustawione na rusztowaniach stopnie. Porządku pilnowali policjanci i straż miejska. Bez namysłu wślizgnął się pomiędzy pieszych, którzy szli w stronę numerowanych bramek. Jego jedyną szansą było iść za innymi. Przejść przez kontrolę z biletem w ręku.

Kasy biletowe. Olbrzymi napis nad nimi głosił: KARNAWAŁ W NICEI. KRÓL NIEBIESKIEJ PLANETY.

Przed okienkami nie było zbyt wielu ludzi. Nie słyszał syren, zagłuszonych muzyką karnawału.

– Proszę jeden bilet.

– Spacerowy czy na trybunę?

– Spacerowy.

– Dwadzieścia euro.

Wmieszał się w tłum między wysokimi metalowymi konstrukcjami podtrzymującymi trybuny. Policjanci biegiem opuścili swoje posterunki, z krótkofalówkami w rękach, z bronią gotową do użycia. Ogłoszono alarm.

Janusz dotarł do bramki z tym samym numerem co na jego bilecie. Zgiełk stał się ogłuszający. Kontrolerzy sprawdzili bilet i przepuścili go, nie obdarzając nawet jednym spojrzeniem. Patrzyli w kierunku biegnących pędem policjantów.

Udało się.

Znalazł się na ogrodzonym terenie.

Potrzebował kilku sekund, żeby się zorientować. Naprzeciw siebie stały dwie trybuny uginające się od rozradowanych widzów, tworzące szeroki bulwar dla wozów. Większość widzów stała, klaszcząc. Dzieci obrzucały rodziców serpentynami. Na stopniach kołysali się tancerze, przebrani za żaby, z długimi palczastymi rękawami. Księżniczki unosiły spódnice, pokazując pasiaste rajstopy.

Najważniejsza była jednak parada.

Olbrzymia, pięciometrowej wysokości niebieska syrena o jaskrawopomarańczowych włosach wymachiwała licznymi ramionami. Oślepiający błękit nieba przypominał płótna Yves’a Kleina. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl. To niebo Nicei zainspirowało malarza, gdy tworzył swój ulubiony kolor „International Klein Blue”. Wokół syreny unosiły się w powietrzu nadmuchiwane meduzy. Z obu stron jej ogona śpiewały dwa wieloryby, a małe dziewczynki w kostiumach jakby z rybich łusek tańczyły za balustradą wozu.

Stojąc między widzami, z teczką pod pachą, Janusz klaskał i śpiewał, cały czas rozglądając się na boki. Na razie nie widział żadnego munduru, żadnego czerwonego naramiennika. Obok przechodzili tancerze, żonglerzy, dziewczynki w krótkich spódniczkach i niebieskich czapeczkach, grające na bębenkach w sypiącym się na nie deszczu serpentyn i confetti. Za nimi ol-

brzymie księżniczki, czerwone, żółte, niebieskie. A wszystko to w strumieniu papierowych kulek i kolorowych taśm.

Przez krótką chwilę Janusz przyglądał się ich umalowanym twarzom, przystrojonym diademami fryzurom.

W następnej sekundzie wszędzie już byli policjanci.

Przy wejściu na każdą trybunę. Między stopniami. Wśród grup spacerowiczów. Mundurowi kręcili się też między żabami i żonglerami. Zrozpaczony Janusz włączył się w orszak, znalazł się w grupie akrobatów, którzy nieśli na plecach nadmuchiwane ptaki. Zaraz aresztują go w tej ptaszarni.

Przerażony, nieprzytomny, idąc pod prąd parady, zobaczył następny wóz: kręcący się ogryzek olbrzymiego jabłka z przymocowanymi ławeczkami, na których siedziały wielkie kukły, przedstawiające ni to ludzi, ni to gryzoni. Niesamowite było to, że te postacie przypominały realnych ludzi, którzy, przebrani za szczury, tańczyli pod karuzelą.

Nagle zdarzyło się coś nieprawdopodobnego.

Kiedy szczury z ludzkimi głowami kręciły się wokół ogryzka, Janusz zauważył lalkę, która miała jego rysy. Karykaturalne, zdeformowane, ucharakteryzowane na gryzonia.

Zanim zrozumiał, co się dzieje, usłyszał czyjś głos:

– Hej, chłopaki! Jest Narcyz! Narcyz jest tutaj!

Janusz podniósł wzrok na pasażerów wozu. Jeden z mężczyzn w kostiumie szczura pokazywał na niego palcem.

– To Narcyz! Narcyz wrócił!

Pozostali zaczęli skandować:

– Narcyz! Narcyz! Narcyz!

Ktoś wyciągnął do niego rękę. Janusz chwycił ją i wdrapał się na wóz. Włożył maskę z wąskim pyszczkiem, którą ktoś mu podał. W kilka sekund stał się szczurem jak tamci. Zaczął tańczyć jak szalony, obsypywany garściami confetti i serpentyn.

Podskakując, usiłował przeanalizować sytuację. Umiał rozpoznać wariatów. Ci ludzie to chorzy umysłowo. Pensjonariusze zakładu psychiatrycznego, których pewnie poproszono, żeby zbudowali własny wóz z okazji karnawału w Nicei w 2010 roku.

Drugi fakt. Był jednym z nich. Narcyz. Umysłowo chory z zakładu znajdującego się gdzieś w Nicei. Uciekając, odnalazł przypadkiem swoją po-

przednią osobowość. Może tę właściwą… Wbrew wszystkiemu poczuł głęboką ulgę. Odpocznie. Podda się leczeniu. Wakacje się skończyły…

Na razie klaskał radośnie w takt piosenki *Bad Romance* z repertuaru Lady Gagi. Policjanci szukali go w tłumie. Przyglądali się każdemu widzowi. Nikt nie pomyślał o tym, żeby popatrzeć na wozy. A już na pewno nie na ten, na którym mężczyźni z głowami szczurów tańczyli wokół ogryzka jabłka.

W tym momencie zobaczył wśród widzów Anaïs, z bronią w ręce, ze zmęczoną twarzą i oczyma pełnymi łez. Miał ochotę zejść z wozu i wziąć ją w ramiona. Ale jeden z ludzi szczurów złapał go za rękę i zaprosił do diabelskiego rocka. Janusz puścił się w tany, podczas gdy wóz unosił go ku jego przeznaczeniu.

Ze wszystkich możliwych rozwiązań to jedno nigdy nie przyszłoby mu do głowy.

Wsiadł na wóz wariatów.

III

NARCYZ

Kawałek sznurka.

Fragment spławika z poliestru.

Trzy strzępki plastiku.

Dwie puszki po coca-coli.

Kawałek lusterka.

Opakowanie po mrożonkach Confifrost.

Kilka centymetrów żyłki wędkarskiej.

Kawałki drewna…

– Nie rozumiem, czego ty w tym szukasz – rzucił Crosnier napastliwym tonem.

Anaïs nie odpowiedziała. Chodziło o przedmioty zebrane na miejscu zabójstwa Ikara. To, co fala przypływu wyrzuciła na brzeg zatoki Sormiou, w promieniu około dwudziestu metrów od zwłok. Tego ranka poleciła, żeby zebrano te wszystkie rzeczy i zapakowano w torbę plastikową. Przesyłka właśnie do niej dotarła.

– Technicy z laboratorium kryminalistyki dołączyli również szczegółową listę – mówił dalej Crosnier. – Wszystko, co zgniło, wyrzucono już do śmieci. Do czego ci to potrzebne?

– Chcę przekazać te rzeczy do Policyjnego Laboratorium Kryminalistycznego w Tuluzie. Żeby zrobili dokładną analizę.

– A nasi zrobili to źle?

Anaïs przeczesała dłonią włosy i się uśmiechnęła.

– Znam tam jednego faceta. Może odkryje coś, jakiś szczegół, wskazówkę…

– Za bardzo polegasz na ekspertach.

Nie odpowiadając, podniosła wzrok i spojrzała na stojące przed nią monitory. Była godzina osiemnasta. Znajdowali się w Centrum Kontroli Bezpieczeństwa Miejskiego w Nicei, w którym kilka tygodni temu zainstalowano najnowszą aparaturę połączoną z sześciuset kamerami rozmieszczonymi w całym mieście. Na filmie było widać, jak Janusz skacze z balkonu Maison Arbour, zsuwa się po rynnie, spada na jezdnię, omal nie zderza się z tramwajem, po czym znika w alei Republiki. Ta scena powtarzała się w kółko.

– Cholerny czubek – mruknął Crosnier. – To zawodowiec.

– Nie. To desperat. To nie to samo.

Siedząc w wygodnych fioletowych fotelach przed wielkimi monitorami, przypominali realizatorów widowiska telewizyjnego. Anaïs coraz bardziej skłaniała się ku myśli, że właśnie o to chodzi. O zwykły spektakl. Spędzili w studiu całe popołudnie bez najmniejszego rezultatu.

Apele radiowe policji kryminalnej, osiemdziesiąt patroli rzuconych do akcji, sześćset kamer, każda wyposażona w zoom, głowicę obrotową i analizator tablic rejestracyjnych, nie zdały się na nic przeciw Januszowi. Człowiekowi o wykraczającej poza normę inteligencji, o niezwykłej sile woli, który w dodatku miał jakiś szósty zmysł.

Organizując obławę, policja i żandarmeria były pełne wiary w sukces. Nicea jest najlepiej strzeżonym miastem we Francji. Jako wsparcie przybyły grupy interwencyjne z Cannes, z Tulonu, z centrum kraju… Policjanci piesi, na koniach, w samochodach… Teraz morale upadło całkowicie. Osiem godzin poszukiwań nie dało żadnego rezultatu.

Tym razem Anaïs przyjęła to ze spokojem. Nie było mowy o ataku wściekłości. Tylko ogromne zmęczenie. Janusz wymknął się im kolejny raz. Ślepy zaułek.

– Co teraz zrobi, jak myślisz? – zapytał Crosnier.

– Muszę zobaczyć się z Białą Blachą.

– Nie mów głupstw.

Wypiła kawę jednym haustem. Po tym, co się wydarzyło rano, Biała Blacha zapadł w śpiączkę – leżał teraz umierający w szpitalu w Nicei. Maison

Arbour złożył skargę przeciw policji, oskarżając ją o to, że doprowadziła ich pacjenta do takiego stanu przez swoją brutalną, nieudolną akcję.

Gorzki smak kawy odpowiadał jej stanowi ducha. Ogarniała ją gorycz klęski. Cofnęła w myślach taśmę zdarzeń, które wszystko zepsuły. Najpierw wypadek na autostradzie A8, który opóźnił ich przyjazd do Nicei. Przyjechali około godziny dziewiątej. Zanim dotarli na aleję Republiki, spotkali się z innymi ekipami i wtedy dopiero wszyscy razem ruszyli niczym Starsky i Hutch ze swoim plutonem, z lampami sygnalizacyjnymi na dachach wozów, z bronią w ręku.

A tego właśnie należało unikać.

Potem zaczęły się prawdziwe problemy. Zadzwoniła do niej Pascale Andréu, sędzia z Marsylii. Zadzwonił Philippe Le Gall, sędzia z Bordeaux. Dzwonił także Deversat. Ciosy spadały na nią jeden za drugim, a ona przyjmowała je skulona przy aparacie. Nie mówiąc już o funkcjonariuszach z IGS, wewnętrznej kontroli policyjnej, którzy czekali na nią w Bordeaux. A potem komisja dyscyplinarna i nieuniknione sankcje.

Mimo to, jak zawsze, myślała o Januszu. Oddychała Januszem. Żyła Januszem.

– Co masz zamiar zrobić?

Anaïs na powrót włożyła do torebek wszystko to, co jej przesłano, niczym mała dziewczynka pakująca swoje skarby znalezione na plaży. Nawet gdyby chciała odpuścić, nie była w stanie. Ten uciekinier okazał się silniejszy od niej. Absorbował ją bez reszty. Czuła nieustającą obecność jego cienia.

Zgniotła plastikowy kubek po kawie i wrzuciła go do kosza na śmieci.

– Wracam do Bordeaux.

– Byłeś malarzem.

– Jakiego rodzaju malarzem?

– Malowałeś autoportrety.

– Nie o to pytałem. Byłem zawodowcem czy amatorem? Czy malowałem… tutaj?

– Tak, tutaj. W Villi Corto.

Starszy człowiek uśmiechnął się z dumą.

– Nazywam się Jean-Pierre Corto. Założyłem ten ośrodek czterdzieści lat temu.

– Ośrodek dla chorych psychicznie?

Znowu uśmiech, tym razem pełen wyrozumiałości.

– Możesz to nazywać, jak chcesz. Ja wolę termin: ośrodek specjalistyczny.

– Znam się na takich rzeczach. W poprzednim wcieleniu byłem psychiatrą. Ten dom to szpital dla psychicznie chorych.

– Niezupełnie. Ta willa jest naprawdę ośrodkiem specjalistycznym.

– Na czym to polega?

– Terapia przez sztukę. Moi pensjonariusze to rzeczywiście ludzie chorzy, ale są leczeni wyłącznie przez sztukę. Malują, rzeźbią, rysują. To prawdziwi artyści. Kuracja farmakologiczna jest zredukowana do minimum. – Zaśmiał się. – Czasami mam wrażenie, że cały ten proces jest odwrócony. To oni leczą sztukę swoim talentem, a nie na odwrót.

– Nazywam się Narcyz?

– Nie wiem. Tak podpisywałeś swoje płótna. Nigdy nie podałeś żadnych dokładniejszych informacji. Nie miałeś dokumentów tożsamości.

Jestem teraz Narcyz, powiedział sobie w duchu. Muszę myśleć, ruszać się, oddychać w jego skórze.

– Kiedy tutaj przybyłem?

– Na początku września dwa tysiące dziewiątego roku. Najpierw byłeś w Saint-Loup, klinice w pobliżu Nicei.

– Jak się tam dostałem?

Corto nałożył okulary i włączył komputer. Był niewysokim, szczupłym mężczyzną po sześćdziesiątce. Gęste białe włosy, grube wargi, jakby kapryśnie wygięte, okulary z przydymionymi szkłami. Głos niski, niewyraźny, hipnotyczny.

Znajdowali się w jego biurze, choć ten budynek w ogrodzie okalającym instytut bardziej przypominał domek letniskowy. Podłogi, ściany, sufity – wszystko było z drewna sosnowego. W całym domu unosił się silny zapach żywicy, tworzący ciepłą, przytulną atmosferę. Przez okno widać było daleki nicejski pejzaż. Ani jeden obraz tutejszych pensjonariuszy nie zdobił ścian.

Karnawałowa zabawa skończyła się bez problemów. Defilował wraz ze swoimi towarzyszami, tańczył, głośno śpiewał, aż dotarli na plac Massena, gdzie czekał na nich bus. Nie czuł się zagubiony – jego nowi kompani niewiele się różnili od pomylonych bezdomnych, tyle tylko, że byli bardziej czyści.

Opuścili Niceę w ulewnym deszczu, kierując się do Carros. Willa znajdowała się nieco wyżej, kilka kilometrów od miasteczka. Co jakiś czas mijali policyjne wozy z wyjącymi syrenami. Uśmiechał się do siebie. Wciąż na niego polowano. Ale nikt go nie znajdzie, bo Victor Janusz już nie istniał.

W drodze zdobył potwierdzenie tego, czego domyślał się podczas parady. Pensjonariusze Villi Corto corocznie uczestniczyli w karnawale. Malowali swój wóz. Rzeźby wykonywano w atelier w Nicei. Zadawał jeszcze inne pytania, udając zainteresowanie artystyczną stroną święta. Pomysłodawcą przebierania się za szczury był właśnie on, Narcyz, uczeń Corto od września do października… Oczywiście nic z tego nie pamiętał.

– Już mam – rzekł stary psychiatra, wpatrując się w ekran komputera. – Znaleziono cię pod koniec sierpnia, w pobliżu skrzyżowania drogi numer czterdzieści dwa z autostradą A-osiem. Droga prowadziła do Cannes-Mo-

ugins. Straciłeś pamięć. Zbadano cię w szpitalu w Cannes. Nie byłeś ranny, ale nie zgodziłeś się na prześwietlenie. Potem odesłano cię do Saint-Loup. Tam odzyskałeś częściowo pamięć. Powiedziałeś, że nazywasz się Narcyz. Że pochodzisz z Paryża. Że nie masz rodziny. Że jesteś malarzem. Psychiatrzy z Saint-Loup pomyśleli o naszym centrum.

– Nie nazywam się Narcyz – powiedział oschle.

Corto zdjął okulary i ponownie się uśmiechnął. Jego mina dobrego tatusia zaczynała mu działać na nerwy.

– Naturalnie, tak jak nie jesteś tym, za kogo dziś się podajesz.

– Wie pan coś o mojej chorobie?

– Kiedy tutaj zamieszkałeś, opowiedziałeś mi sporo o sobie.

O szkołach artystycznych, do których uczęszczałeś. O galeriach, gdzie wystawiałeś swoje obrazy. O dzielnicach, w których mieszkałeś w Paryżu. O twoim małżeństwie i rozwodzie. Sprawdziłem. Wszystko było zmyślone.

Co za ironia losu! Corto odegrał taką rolę, jaką on sam w odniesieniu do Patricka Bonfilsa. Przy każdej ucieczce psychicznej był jakiś psychiatra, który dokonywał odkrycia, że muszla jest pusta.

– Jednakże – mówił dalej Corto – w całej tej konfabulacji jedna rzecz była prawdziwa. Ty rzeczywiście byłeś malarzem. Świadczył o tym twój błyskotliwy talent, ręka prawdziwego fachowca. Nie wahałem się ani przez jedną sekundę z przyjęciem ciebie tutaj. A trzeba powiedzieć, że nikt cię nie chciał. Bez dokumentów, bez ubezpieczenia społecznego nie byłeś mile widziany.

– Czy toczyło się jakieś śledztwo w mojej sprawie?

– Żandarmi coś tam robili, ale bez specjalnego zapału. Nie byłeś przestępcą. Po prostu włóczęgą, chorym psychicznie, bez nazwiska, bez adresu. Nic nie znaleźli.

– Co się potem wydarzyło?

– To. – Corto obrócił monitor w kierunku Narcyza, siedzącego po drugiej stronie biurka. – Przez dwa miesiące pobytu u nas namalowałeś ze trzydzieści obrazów.

Narcyz nie spodziewał się niczego specjalnego, lecz jedna rzecz od razu zwróciła jego uwagę: każdy obraz na ekranie przedstawiał jego samego, tyle że w różnych przebraniach. Admirał. Listonosz. Klown. Rzymski senator. Zawsze ten sam wiek, ta sama pozycja, wypięty tors, wysunięty podbródek. Za każdym razem odnosiło się wrażenie, że to jakiś bohater epicki.

Z jednej strony pozycja taka przypominała wizerunki dyktatorów – Narcyz przedstawiony był nieco z dołu, przez co wyglądał tak, jakby dominował nad światem. Z drugiej strony jego twarz naznaczona była brutalnością, co z kolei przywodziło na myśl szkoły występujące przeciw estetyzmowi. Jak na przykład Nowa Rzeczowość, idea powstała w Niemczech w latach dwudziestych. Otto Dix. George Grosz… Artyści, którzy postanowili malować rzeczywistość bez ubarwiania, podkreślając jej brzydotę, groteskową naturę, żeby przeciwstawić się mieszczańskiej hipokryzji.

Jego płótna miały ten sam sarkastyczny charakter. Jaskrawe, wypaczone kolory z przewagą czerwieni. Warstwy farby gęste, pasiaste, ze śladami włosia pędzla. Malarstwo w równym stopniu do dotykania, jak i do podziwiania, pomyślał Narcyz, który absolutnie nie pamiętał, żeby malował takie portrety. To był koniec jego śledztwa. Pragnął zintegrować się z osobowościami, które go nie akceptowały. Mógł tylko patrzeć na nie z zewnątrz.

– W końcu października – powiedział Corto – zniknąłeś. Nie zostawiając żadnego adresu. Zrozumiałem, że stałeś się ponownie ofiarą psychicznej tułaczki.

Każda z postaci na obrazach miała przypisane sobie akcesoria. Balon i trąbka u klowna. Rower i torba na ramię u listonosza. Luneta i sekstans u admirała…

– Dlaczego malowałem te autoportrety? – zapytał zdezorientowany.

– Kiedy zapytałem cię o to, odpowiedziałeś: „Nie należy ufać temu, co się widzi. Moje malarstwo to tylko wyraz skruchy”.

Narcyz zbladł. „Moje malarstwo to tylko wyraz skruchy”. Jego odciski palców w kanale naprawczym na dworcu Saint-Jean… Jego obecność przy zwłokach Tzevana Sokowa… Widział sam siebie jako psychopatycznego zabójcę. Człowieka takiego, jak postacie z jego płócien. Władczego. Obojętnego. Sarkastycznego. Zmieniającego osobowość po każdej kolejnej ofierze. Malarz, który topił swoje zbrodnie we krwi.

Przyszło mu do głowy, że być może obrazy te zawierały prawdę o jego pochodzeniu. Jakieś wyznanie. Subtelne przesłanie, które nieświadomie sam zostawił.

– Czy mógłbym zobaczyć oryginały tych obrazów?

– Już ich nie mamy. Oddałem je do galerii.

– Do jakiej galerii?

– Villon-Pernathy. W Paryżu. Jednak tam też ich nie ma.

– Dlaczego?

– Bo zostały sprzedane! Sprzedały się bardzo dobrze na wystawie zorganizowanej w listopadzie.

– Jestem więc bogaty?

– Powiedzmy, że masz pewne oszczędności. Pieniądze są tutaj. Należą do ciebie.

– W gotówce?

– Tak, w gotówce, w kasie pancernej. Oddam ci je, kiedy zechcesz.

Narcyz ujrzał nagle możliwość podjęcia na nowo poszukiwań. Pieniądze pojawiły się w samą porę – nie miał już w kieszeni ani jednego euro.

– Wziąłbym je choćby teraz, jeśli to możliwe.

– Chcesz zaraz wyjechać?

Nie odpowiedział. Corto pokiwał głową ze zrozumieniem. Jego serdeczne zachowanie doprowadzało Narcyza do rozpaczy. Sam był psychiatrą, przynajmniej dwa razy w swoim życiu – w Specjalistycznym Centrum Leczniczym Pierre-Janet i z pewnością przedtem. Wiedział, że niczego się nie zyska przez akceptowanie szaleństwa drugiego człowieka. Psychiatria polega na zrozumieniu szaleństwa bez żadnych gwarancji.

– Według ciebie, kim jesteś dzisiaj? – zapytał Corto. Wygląda na to, że tutaj nic nie wiedziano o jego obecnej sytuacji. Freire. Janusz. Jego zdjęcie we wszystkich mediach. Oskarżenia ciążące na nim. Ta niewiedza nie dziwiła go u pacjentów tego zakładu, ale Corto? Czy nie miał kontaktów ze światem zewnętrznym?

– Dzisiaj – odrzekł tajemniczo – jestem tym, który otwiera rosyjskie lalki. Odtwarzam po kolei moje osobowości. Usiłuję je zrozumieć. Odkryć rację ich bytu.

Corto wstał, okrążył biurko, położył rękę w przyjaznym geście na jego ramieniu.

– Jesteś głodny?

– Nie.

– To chodź, zaprowadzę cię do twojego pokoju.

Wyszli w ciemność. Padała drobna, lepka mżawka. Narcyz drżał z zimna. Nadal miał na sobie brudny garnitur. Lepił się od potu po ostatnim pościgu. Dobrze, że mógł zdjąć maskę szczura…

Weszli na schody z szarych płyt. Na tarasach znajdowały się ogrody z palmami, kaktusami, roślinami oleistymi, sadzonymi według gatunków.

W gęstych kropelkach deszczu Narcyz wdychał podwójnie zbawcze powietrze. Atmosferę gór i sanatorium, powrotu do zdrowia pod niskimi chmurami.

Dotarli do samego ośrodka. Dwa budynki ustawione w literę „L”. Płaskie dachy. Proste linie. Ściany bez ozdób. Domy musiały pochodzić sprzed około stu lat, z epoki, kiedy architekci preferowali proste linie, funkcjonalność i skromność.

Skierowali się ku budynkowi stojącemu niżej. Na pierwszym piętrze szereg okien. Z pewnością pokoje pensjonariuszy. Niżej szerokie drzwi balkonowe, wychodzące na wewnętrzny korytarz i atelier. Jeszcze niżej, wśród stopni i krzewów, żarzące się ogniki papierosów.

Dało się słyszeć ciche skandowanie:

– Narcyz… Narcyz… Narcyz…

Zadrżał. W wyobraźni ujrzał ich znowu na wozie, z maskami szczurów na twarzach. Czy ci wariaci naprawdę byli artystami jak on? Czy on był tak szalony jak oni?

Jego pokój był mały, kwadratowy, dobrze ogrzany, bez zbytniego luksusu, ale wygodny. Murowane ściany, drewniana podłoga, zasłony z grubej tkaniny. Łóżko, szafa, krzesło, biurko. W kącie łazienka, która wydawała się bardziej wysoka niż szeroka.

– Spartańskie warunki – rzekł Corto – ale nikt nigdy się nie skarżył.

Narcyz przytaknął. Pokój miał w sobie coś z celi klasztornej, w której można znaleźć schronienie.

Wyjaśniwszy w kilku słowach zasady działania ośrodka, Corto dał mu przybory toaletowe i ubranie na zmianę. Wreszcie ktoś się nim zaopiekował. Od wielu dni i godzin Narcyz działał sam i był bliski załamania.

Wykąpał się pod prysznicem i przebrał w czyste rzeczy. Zbyt duże dżinsy, niekształtny T-shirt, sweter pachnący jeszcze płynem do prania. Jak dobrze. Wsunął do kieszeni nóż, glocka i mały kluczyk od kajdanek, zabrany strażnikowi w sądzie, który zachował sobie na pamiątkę. Wyjął z teczki koszulki z dokumentami i wygładził je dłonią. Nie miał odwagi znowu się w nie zagłębiać.

Położył się na łóżku, zgasił światło. Słyszał szum morza. Nie, to nie szum morza, domyślił się po kilku sekundach. To szum sosen.

Poddał się rytmowi świata na zewnątrz. Przejmującemu, hipnotycznemu rytmowi. Poczuł się bardzo zmęczony.

Miał wrażenie, że od rana przeżył nie jedno życie, ale kilka. Uświadomił sobie, że nie boi się już policji ani mężczyzn w czerni, ani nawet siebie sa-

mego. „Moje malarstwo to tylko wyraz skruchy…”.

Był zabójcą.

Otworzył oczy w ciemności.

Albo raczej był człowiekiem, który chciał znaleźć zabójcę.

Usiłował przekonać samego siebie do hipotezy, która przyszła mu na myśl już w bibliotece Alcazar. Że musiał być kiedyś śledczym, ponieważ znajdował się na miejscu wydarzeń zawsze przed policją i przed jakimkolwiek świadkiem. Był już prawie o tym przekonany, gdy pokręcił przecząco głową na poduszce. Nie, to nie miało sensu. Może jako Janusz tropił zabójcę kloszardów, ale nie jako Freire. Nie był w stanie wyobrazić sobie, jakim sposobem mógłby trafić do kanału naprawczego na dworcu Saint-Jean…

Zamknął na nowo powieki, ze wszystkich sił przywołując sen, żeby uciec od tych dręczących pytań. Jedyna rzecz, jaką zobaczył w głębi otchłani, to nagie, kołyszące się nad nim ciało.

Anne-Marie Straub.

Jeszcze jedna śmierć, za którą był pośrednio odpowiedzialny.

Przypomniał sobie refleksje, jakie przyszły mu do głowy poprzedniego dnia wieczorem na plaży w Nicei. Ta śmierć mogłaby pomóc mu odkryć, jak to się wszystko zaczęło. Był prawie pewien, że coś istotnego musiało wydarzyć się w przeszłości w paryskim szpitalu psychiatrycznym. Od jutra podąży tym śladem… Anne-Marie Straub. Jedyne wspomnienie, jakie zachował w każdej swojej osobowości. Zjawa towarzysząca cały czas jego życiu… Duch nawiedzający go we śnie…

– Sprawa firmy Mêtis jest znana nie od dziś.

Patrick Koskas zaciągnął się papierosem, opierając się o słup elektryczny. Za jego plecami na tle ciemnego nieba rysował się most d'Aquitaine. Dziennikarz celowo wybrał to miejsce na spotkanie, na prawym brzegu Garonny, w pustej uliczce starego Lormont.

Zachowywał się jak szpieg czujący zagrożenie. Zerkając bez przerwy przez ramię, mówił szybko cichym głosem, jakby noc miała uszy. W rzeczywistości o tej porze wszystko spało. Małe domki z czerwonymi dachami rozłożone u stóp olbrzymiego mostu przywodziły na myśl grzyby rosnące wokół gigantycznego drzewa.

Anaïs była wykończona. Zostawiła swój samochód w Nicei i o dwudziestej wsiadła do samolotu lecącego do Bordeaux. Le Coz czekał na nią w swoim nowym wozie, smarcie, podwędzonym baronowej. Była godzina dwudziesta trzecia. Anaïs trzęsła się z zimna w swojej kurteczce. W głowie miała straszliwy zamęt. Absolutnie nie interesowała jej w tej chwili historia firmy Mêtis.

– Na początku, w latach sześćdziesiątych, była to grupa francuskich najemników. Banda starych kumpli. Ryzykanci, którzy mieli za sobą pobyt w Indochinach, Algierii. Specjalizowali się w konfliktach afrykańskich. Kamerun. Katanga. Angola… Stale zmieniali obozy. Byli najmowani przez władze kolonialne do walki z ruchami niepodległościowymi. Szybko jednak dochodzili do wniosku, że to stracona sprawa i że więcej szmalu dostaną od

rebeliantów, którzy wcześniej czy później dojdą do władzy. Chłopcy z Mêtisu zaczęli wspierać rewolucjonistów, nie będąc opłacani, ale oczekując, że ich trud zostanie kiedyś sowicie wynagrodzony. Nowi dyktatorzy, pamiętając o ich pomocy, dali im ogromne terytoria, kopalnie, niekiedy nawet zezwalali na wydobywanie ropy. Ciekawe, że najemnicy najchętniej zajmowali się rolnictwem. Byli to ludzie stąd, z Bordeaux. Wywodzili się z rodzin chłopskich. Sadzili, uprawiali, rozwijali nowe techniki, stosowali różne nawozy, pestycydy. Z czasem zaczęli interesować się bojowymi środkami trującymi. Specjalizowali się w neurotoksynach, które atakują system nerwowy i oddechowy, takich jak sarin, tabun i soman. – Koskas zapalił kolejnego papierosa od poprzedniego. – Nie ma nic dziwnego w tej ewolucji. Producenci nawozów sztucznych i pestycydów często interesują się również bronią chemiczną. Pod koniec lat siedemdziesiątych Métis był już przedsiębiorstwem międzynarodowym, znanym nie tylko z nawozów dla rolnictwa, ale także z wielu produktów chemicznych.

Anaïs nie wyjęła notesu. Miała nadzieję, że zapamięta te informacje albo może Koskas przekaże jej jakąś dokumentację, fotokopie. Niezbyt w to wierzyła. Żadnych namacalnych dowodów.

– Wojna między Iranem i Irakiem stała się dla nich głównym rynkiem zbytu. Po raz pierwszy od pierwszej wojny światowej i wbrew konwencji genewskiej Irakijczycy zdecydowali się użyć broni chemicznej przeciw swoim wrogom. Mêtis był ich dostawcą. Grupa sprzedała Saddamowi Husajnowi wiele ton gazów bojowych. Dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku Irak użył tej broni w mieście Sardasht w Iranie. Siedemnastego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku doszło do ponownego użycia broni chemicznej i biologicznej w kurdyjskim mieście Halabdża. Ofiarami tej broni masowego rażenia stały się setki ludzi. Za sprawą firmy Mêtis.

Wszystko to było przerażające, ale Anaïs nie ufała tego typu niesprawdzalnym informacjom.

– Skąd pan to wie?

– Wystarczy zajrzeć do dokumentacji dostępnej w krajowych archiwach. Wszystko to jest powszechnie wiadome. W pewnym kręgu specjalistów fakty te nie budzą najmniejszych wątpliwości.

Tak czy owak, Anaïs nie widziała żadnego związku między tymi geopolitycznymi wydarzeniami a morderstwami z podtekstem mitologicznym.

A jeszcze mniej z Victorem Januszem.

– Czym się obecnie zajmuje Mêtis?

– Po latach osiemdziesiątych zrozumieli, że broń chemiczna nie ma żadnej przyszłości. Nawet Irak odstąpił od zamiaru zatruwania świata. Zwrócili się więc ku produkcji farmaceutycznej. Przede wszystkim ku lekom psychotropowym. Z pewnością pani wie, że jest to rynek najbardziej chłonny. Każdego roku kraje rozwinięte wydają sto pięćdziesiąt miliardów euro na leki. Lwia część tej sumy przypada na substancje psychoaktywne. Sertex, lantanol, rhoda-sto to produkty liczące się w tej dziedzinie. Pochodzą z zakładów spółki Mêtis.

Doskonale znała te leki. Sama od dawna ich używała.

– Nie prowadzą już żadnej działalności w zakresie uzbrojenia?

– Krążą pewne plotki.

– Jakiego rodzaju?

Dziennikarz zaciągnął się głęboko papierosem.

– Mêtis jakoby bierze udział we francuskich badaniach wojskowych.

– Nad czym?

– Chodzi o substancje niszczące wolę człowieka. Serum prawdy, okryte absolutną tajemnicą. Władze uważają, że mają do tego prawo. Najbardziej niebezpieczną bronią jest ludzki mózg. Gdyby Hitler brał leki uspokajające, historia świata mogłaby się potoczyć zupełnie inaczej.

Anaïs omal nie wybuchnęła głośnym śmiechem. Koskas wyczuł jej sceptycyzm.

– Nie mam dowodów na współpracę Mêtisu z armią francuską. Nie jest to jednak wykluczone. Proszę nie zapominać o istotnym fakcie, że założyciele spółki mieli duże doświadczenie w stosowaniu tortur. Zdobyli je w Algierii.

– Mówi pan o założycielach. Chyba wszyscy już nie żyją?

– Tak. Ale pałeczkę przejęły ich dzieci. Większość z nich to ważne osobistości w tym regionie. Kiedy podam nazwiska, będzie pani zaskoczona.

– Czekam na to.

– Gdybym ujawnił tę listę dzisiaj, natychmiast wytoczono by mi proces, który kosztowałby mnie utratę pracy. Mogę teraz powiedzieć tylko tyle, że ludzie ci należą do śmietanki towarzyskiej Bordeaux. Inni są właścicielami znanych winnic w departamencie Żyrondy.

Słowo „winnice” podziałało na nią jak sygnał alarmowy.

– Co robi mój ojciec w tej grupie?

– Jest akcjonariuszem, ale wystarczająco ważnym, żeby uczestniczyć w posiedzeniach rady nadzorczej. Zajmuje się także doradztwem.

– W sprawie wina?

Dziennikarz się roześmiał. Rzeczywiście niekiedy zachowywała się jak głupia.

– Zna pani lepiej niż ja historię swojego ojca. Powiedzmy, że idealnie pasuje do tego towarzystwa.

Nic na to nie powiedziała. Koskas zapalił następnego papierosa. Nie widziała jego twarzy, ale była pewna, że w dalszym ciągu się uśmiechał. Musiał to być drwiący, pełen satysfakcji uśmiech człowieka wścibskiego, lubiącego siać u innych niepokój.

Zaciskając pięści, wróciła do zasadniczego tematu. Zabójstwa Minotaura i Ikara.

– W nocy z dwunastego na trzynastego lutego w warsztatach kolejowych w obrębie dworca Saint-Jean znaleziono trupa.

– I co to ma do rzeczy?

– Przedsiębiorstwo Mêtis być może jest pośrednio wmieszane w tę sprawę.

– W jaki sposób?

Głos dziennikarza się zmienił. Słychać w nim było ciekawość, podniecenie.

– Jeszcze nie wiem – przyznała Anaïs. – Dzień wcześniej w pobliżu tego miejsca został znaleziony mężczyzna cierpiący na amnezję. Trzy dni potem on i jego towarzyszka zostali zabici w Guethary przez dwóch snajperów. Ci zabójcy mogą być powiązani z grupą Mêtis.

– Ma pani jakieś konkretne podejrzenia?

– Sądzę, że pracują dla firmy ochroniarskiej należącej do tej grupy.

– Jaka to firma?

– Od zadawania pytań jestem ja.

– Nie mówi mi pani tego, co najważniejsze. Jak te dwie sprawy mogą być ze sobą powiązane? To znaczy morderstwa na dworcu Saint-Jean i w Guethary?

– Nie wiem – przyznała po raz drugi.

Koskas poruszył się w cieniu.

– Niewiele pani wie.

Anaïs wolała na to nie odpowiadać. Koskas zrobił kilka kroków. Dym z papierosa otaczał go niczym aureola.

– Wydawało mi się, że zidentyfikowaliście zabójcę z dworca Saint-Jean.

– Mamy tylko podejrzanego. Nic więcej.

– Podejrzanego, który uciekł.

– Wkrótce go złapiemy.

Dziennikarz zaśmiał się ponownie. Anaïs ostro zareagowała na jego ironię.

– Czy grupa Mêtis ma jakieś powiązanie z mitologią grecką?

– Poza nazwą nic. *Mêtis* to słowo ze starożytnej greki. Oznacza „mądrość”. – Wypuścił dym w kierunku światła latarni.

Anaïs się zamyśliła. Wszystko to nie miało sensu. Z doświadczenia wiedziała, że każde morderstwo ma własny kod pojęciowy. Słowa. Techniki. Motywy. A tu nie ma żadnego powiązania między firmą farmaceutyczną a seryjnym mordercą. Między dostawcą środków antydepresyjnych a zamachem z użyciem hecate II.

– Idzie pani złym tropem – potwierdził jej myśli Koskas.

– Mêtis to uznana grupa przemysłowa. Jedyny problem, z jakim muszą sobie radzić, to wieczne ataki, na które narażone są wszystkie tego rodzaju przedsiębiorstwa. Dotyczą klinicznych eksperymentów na ludziach i innych tego rodzaju spraw. Oskarża się ich także o zachęcanie do zażywania narkotyków, o chęć uzależnienia od nich wszystkich ludzi… Nigdy jednak żadne towarzystwo tego typu nie było wplątane w morderstwa, o których pisze się w gazetach.

– A ewentualne powiązania z wojskiem?

– Otóż to. Jeśli pojawi się jakaś sprawa, którą trzeba załatwić w sposób brutalny, zajmą się tym partnerzy Mêtisu i nikt o niczym nie będzie wiedział.

Anaïs przytaknęła. Ta ostatnia uwaga przypomniała jej pewien szczegół. Pomyślała o skardze w sprawie kradzieży Q7 dwunastego lutego, która uniewinniała ACSP, właściciela samochodu i zarazem filię grupy.

– Czy ludzie z Mêtisu mieliby możliwość sfałszowania raportu żandarmerii?

– Widzę, że pani nic nie zrozumiała. – Koskas westchnął głęboko. – Jeśli plotki są prawdziwe, Mêtis to armia, żandarmi, policjanci. Wszystko, co nosi we Francji mundury. Wszystko, co reprezentuje prawo i porządek. Ro-

bak nie tkwi w owocu. Robak i owoc zawarły przymierze, aby walczyć wspólnie z nowymi wrogami. Terrorystami. Szpiegami. Sabotażystami. Ze wszystkimi, którzy mogą w taki czy inny sposób zaatakować nasz kraj.

Chciała zadać jeszcze jedno pytanie, ale dziennikarz szpieg zniknął w ciemnościach. Zostały tylko most, niebo i cisza. Wiedziała, co powinna zrobić. Najpierw się przespać, a potem chwycić byka za rogi.

Spotkać się z Minotaurem z jej osobistej mitologii.

Porozmawiać z ojcem.

Obudził się wcześnie.

Odnalazł kuchnię obok jadalni i zrobił sobie kawę. Popatrzył przez oszklone drzwi sali jadalnej. W świetle wstającego dnia zobaczył krajobraz, którego nie dostrzegł w deszczu poprzedniego wieczoru. Koniec z plażami, drzewami palmowymi, oliwkami… Teraz były to strome parowy, czerwone klify, sosnowe lasy, mosty kolejowe nad przepaściami.

Szczególny widok otwierał się na dolinę w cieniu, jakby ściśniętą górami. Wąską, chropowatą, zmrożoną, sprawiającą wrażenie, że jest gotowa zmiażdżyć w swoich szczękach szkielety samolotów. Narcyz z przyjemnością kontemplował te pustkowia. Dolina była niczym królestwo skał, które się nad nią zamykały, osłaniały ją.

Z kawą w ręce skierował się do innej sali, którą przedtem odkrył. Szedł tym samym korytarzem. Podobała mu się architektura instytutu. Ściany nośne były z surowego betonu. Ściany wewnętrzne z otynkowanego cementu. Żadnych ozdóbek ani ornamentów. Proste linie, płaskie powierzchnie i nic więcej.

Sala informatyczna. Na blacie z jasnego drewna stało pięć komputerów. Dotknąwszy pierwszej klawiatury, przekonał się, że były podłączone do internetu. Wszedł na Google.

MATRIOSZKA.

Tajemnicze słowo o rosyjskim brzmieniu, które miał jakoby powtarzać przy zwłokach Ikara. Sto osiemdziesiąt dwa tysiące odpowiedzi, ale na sa-

mej górze ekranu widniała ta główna: słynne rosyjskie lalki z malowanego drewna, włożone jedna w drugą. Matrioszka oznaczała po prostu rosyjską lalkę.

Przyjrzał się tym babuszkom w czerwonych chustach, z czerwonymi policzkami. Okrągłe twarze, okrągłe oczy, pękata figura. Co taka lalka mogła mieć wspólnego z jego śledztwem? Dlaczego powtarzał te sylaby niczym modlitwę, klęcząc przy martwym człowieku z wielkimi nadpalonymi skrzydłami? Przypomniał sobie, że bandzior z Bougainville mówił o haśle, rosyjskim słowie, jakim posługiwali się zabójcy w garniturach. Czy chodziło o słowo „matrioszka”?

Przejrzał inne odpowiedzi.

Lalki do malowania, haftowania, używane jako etui na klucze… Matrioszka to także nazwa restauracji, tytuł książki z bajkami, filmu, nazwa grupy rockowej, przepis kulinarny, wódka, komplet poduszek…

Mógłby się śmiać z tego, ale nie był w odpowiednim nastroju. Stukając w klawisze, zwrócił uwagę na to, że słowo „matrioszka” nadawało się także do określenia jego własnej choroby. Czy to zwykły przypadek? Czy może Victor Janusz, klęcząc przy aniele z nadpalonymi skrzydłami, chciał wyrazić w ten sposób, że był właśnie taką rosyjską lalką? Pasażerem bez bagażu, związanym z zabójstwami z podtekstem mitologicznym?

Przeszedł do drugiej sprawy.

ANNE-MARIE STRAUB.

Znalazł tylko profil na Facebooku i artykuły poświęcone filmowcowi Jean-Marie Straubowi. Spróbował od innej strony. Napisał: „samobójstwo” i „zakład psychiatryczny”. Jakby otworzył kosz na śmieci. Pojawiły się dziesiątki artykułów wymierzonych przeciw psychiatrii, środkom antydepresyjnym, lekarzom tej specjalności. Nagłówki w rodzaju: PSYCHIATRIA ZABIJA, STOP UMYSŁOWEJ MANIPULACJI!, MARKETING NONSENSU…

Zawęził pole poszukiwań, znalazł tabele statystyczne dotyczące samobójstw w szpitalach psychiatrycznych w latach 1990–2000. Liczby, komentarze, analizy, ale żadnych nazwisk, żadnych konkretnych przypadków. Obowiązuje poufność. Spróbował dodać do „Anne-Marie Straub” „szpital psychiatryczny” i „Ile-de-France”. Uzyskał przeróżne odpowiedzi, które nic nie dawały.

Co mu pozostawało? Stara dobra metoda: bezpośredni kontakt z ludźmi. Podzwonić do specjalistycznych instytutów w Paryżu i regionie paryskim, popytać lekarzy psychiatrów w szpitalach, czy pamiętają samobójczynię, która powiesiła się tam na pasku od męskich spodni.

Absurd.

Zwłaszcza w niedzielę o godzinie dziewiątej rano.

Mimo to uczepił się tej myśli. W rejonie Ile-de-France znalazł około stu szpitali i klinik. Postanowił ograniczyć się do czterech publicznych instytutów zdrowia psychicznego w Paryżu: Sainte-Anne w Trzynastej Dzielnicy, Maison-Blanche w Dwudziestej Dzielnicy, Esquirol w Dziewięćdziesiątej Czwartej i Perray-Vaucluse w Dziewięćdziesiątej Pierwszej. Potem dorzucił do nich szpital Paul-Guirard w Villejuif i Zakład Publiczny Zdrowia Psychicznego Ville-Evrard w Neuilly-sur-Marne… W ciągu następnej półgodziny wydzwaniał bez najmniejszego rezultatu. W najlepszym wypadku udało mu się porozmawiać z lekarzem internistą, który pracował w swojej placówce od niedawna. Najczęściej zgłaszały się telefonistki w centrali, informując go, że rano w szpitalu nie ma żadnego kierownika oddziału. Kolejny impas.

O dziesiątej zaczął się ruch na korytarzu. Niewyraźne głosy, chichoty, pojękiwania. Odgłosy charakterystyczne dla tego typu miejsca. Opuścił wzrok i zauważył, że nabazgrał coś w swoim notesie. Zupełnie nieświadomie narysował sylwetkę powieszonej. Rysunek przypominał animacje Alexandre’a Alexeïeffa w stworzonej przez niego technice *pin screen*. To podobieństwo ucieszyło go, ponieważ świadczyło o tym, że nie wszystko zapomniał.

Corto powiedział: „Jedna rzecz była prawdziwa. Ty rzeczywiście byłeś malarzem…”.

Podobnie jak pamięć o Anne-Marie Straub, jak wiedza z zakresu psychiatrii, tak i umiejętność rysowania oraz malowania towarzyszyła wszystkim jego osobowościom. Może był malarzem i jednocześnie psychiatrą?

Postanowił pójść w tym kierunku. Z jednej strony lista studentów wydziału psychiatrii w Paryżu w latach dziewięćdziesiątych. Ponieważ miał ponad czterdzieści lat, musiał studiować dwadzieścia lat temu. Z drugiej strony lista studentów szkół artystycznych z tego samego okresu.

Jeśli znajdzie na nich jedno takie samo nazwisko, to znajdzie sam siebie… Z tym zastrzeżeniem, że jeśli chodzi o malarstwo, mógł być samo-

ukiem… Nie miał żadnych problemów ze znalezieniem w internecie list dawnych studentów Akademii Sztuk Pięknych. Pełno też było zdjęć różnych roczników, kontaktów między absolwentami, melancholijnych spotkań… Skłonność do oglądania się wstecz jest niewątpliwie jedną z cech malarstwa.

Wydrukował te listy, ograniczając się do uniwersytetów i szkół paryskich. Najpierw podzielił je na dwie grupy – sztuka i psychiatria – a potem porządkował każdą z nich według lat. Możliwe było ich porównanie, ponieważ nazwiska ułożono w porządku alfabetycznym, ale potrzebowałby na to wielu godzin…

Miał ochotę pójść po kawę, jednak śmiechy i inne odgłosy z korytarza zniechęciły go do opuszczenia kryjówki. Z piórem w ręku zagłębił się w tysiące nazwisk.

To, że wracała tutaj w niedzielę, stanowiło dodatkową trudność.

W tej niedzielnej pustce nie było nic, co mogłoby złagodzić skutki pierwszego szoku. Ani samochodów na drogach. Ani robotników na dziedzińcu zamku. Ani techników w okolicy składów wina. Nikogo, tylko on jeden tam, wewnątrz: jej ojciec przy śniadaniu.

Nie zadzwoniła do bramy. Była zawsze otwarta. Żadnych kamer. Żadnego systemu alarmowego. Kolejna prowokacja Jean-Claude'a Chateleta, który zdawał się mówić: „Nie bójcie się, wejdźcie zobaczyć potwora". W rzeczywistości zaproszenie to było podstępem w stylu kata i jego pokrętnych metod. W ukryciu, blisko głównych budynków, czekała sfora psów.

Wjechała na podwórze, odnajdując to miejsce takim, jakie je zostawiła. Może trochę bardziej zniszczone, poszarzałe, ale nadal emanujące tą samą siłą. Była to bardziej twierdza niż renesansowa rezydencja. Jej początki sięgały XII lub XIII wieku, nikt tego nie wiedział na pewno. Wielka fasada z kamienia łamanego, poprzecinana wąskimi oknami, z dwiema wieżami na rogach i spadzistymi dachami. Miejscami kamienie obrośnięte były dzikim winem. Gdzie indziej połyskiwał zielonkawy mech lub srebrzyły się porosty.

Opowiadano, że Montaigne schronił się tutaj przed epidemią dżumy w 1585 roku. Była to nieprawda, lecz ojciec chętnie podtrzymywał tę legendę. Pewnie wyobrażał sobie, że on także jest tu chroniony przed takimi zarazami, jak plotka, sąd, wścibstwo mediów i polityków.

Gdy wysiadła ze smarta, dotarły do niej odległe, znajome odgłosy. Krzyki ptaków na krystalicznie czystym niebie. Pordzewiała chorągiewka skrzypiąca na dachu. Warkot traktora. Czekała na psy, które powinny wyskoczyć lada chwila. Pędziły po żwirowanej alei. Większość ją poznała. Nowe, idąc w ślady tamtych, też merdały ogonami.

Popieściła psy i ruszyła w kierunku szerokich na całą fasadę oszklonych drzwi. Na prawo były składy wina, warsztaty, magazyny. Na lewo – winnice. Tysiące palików, które przywodziły na myśl wzniesione w błagalnej modlitwie ręce. Kiedy Anaïs dowiedziała się, kim był jej ojciec, wyobraziła sobie, że jego ofiary zostały tu pochowane i że usiłują się wydostać spod ziemi, niczym w filmach grozy.

Zadzwoniła. Była dziesiąta piętnaście. Odczekała dokładnie do tej godziny. Rano wysłała dowody znalezione w zatoczce Sormiou do Abdellatifa Dimouna, kierownika laboratorium kryminalistycznego, który już wrócił do Tuluzy. Pominęła drogę służbową przez komisariat z ulicy François-de-Sourdis.

Znała na pamięć rozkład zajęć ojca w niedzielę. Wstawał wcześnie rano. Modlił się, gimnastykował, po czym pływał w basenie znajdującym się w piwnicy. Potem odbywał przechadzki po winnicy. Obchód właściciela.

Teraz jadł śniadanie w sali z gobelinami, podczas gdy na pierwszym piętrze w jego sypialni czekały na niego przeróżne buty z asymetrycznymi obcasami. Buty do konnej jazdy, pantofle do gry w golfa, gumiaki, buty do szermierki… Jej ojciec był najbardziej aktywnym Kulawcem na świecie.

Otworzyły się podwójne drzwi i na progu pojawił się Nicolas. On także się nie zmienił. Anaïs zawsze się zastanawiała, czy nie służył kiedyś w wojsku. Był niskim, krępym mężczyzną w wieku około sześćdziesięciu lat. Miał głowę buldoga, łysą czaszkę, wypięty tors i wyglądał na takiego, który brał udział we wszystkich wojnach jak w piosence Francisa Cabrela. Kiedyś, jako młoda dziewczyna, oglądała w swoim domowym kinie *Bulwar Zachodzącego Słońca* Billy’ego Wildera. Gdy na progu zrujnowanego domu Glorii Swanson ukazał się Erich von Stroheim, ubrany we frak majordomusa, aż podskoczyła na krześle. A niech to, pomyślała. Przecież to Nicolas.

– Panienka Anaïs. – odezwał się Nicolas wzruszonym głosem.

Pocałowała go. Był bliski łez. Anaïs, która czuła, że ją także ogarnia wzruszenie, machnęła obojętnie ręką.

– Idź, uprzedź go.

Nicolas się odwrócił. Kilka sekund stała na progu, ledwie trzymając się na nogach. Przed przyjazdem tutaj połknęła dwie tabletki lexomilu. Potem omal nie zasnęła nad kierownicą.

Nicolas wrócił i skinął głową. Nie powiedział ani słowa ani jej nie odprowadził. Nie było nic do powiedzenia, a ona znała drogę. Przeszła przez jedną salę, potem przez drugą. Jej kroki rozbrzmiewały niczym w kościele. Wszędzie panował lodowaty chłód. Ojciec nie chciał żadnego ogrzewania oprócz kominków.

Weszła do sali z gobelinami. Tkaniny z Aubusson były tak wytarte, że scenki, które przedstawiały, wyglądały jak pogrążone we mgle.

Jeszcze kilka kroków i znalazła się przed siedzącym w promieniach słońca ojcem, który oddawał się swojemu cholernemu rytuałowi pierwszego śniadania. Nadal był bardzo przystojny. Włosy gęste, jedwabiste, olśniewająco białe. Rysy twarzy przywodzące na myśl gładkość kamieni polerowanych od tysiącleci przez lodowatą, rwącą wodę potoku. Jego błyszczące oczy kontrastowały z zawsze opaloną na brąz skórą twarzy. Jean-Claude Chatelet przypominał playboya z Saint-Tropez.

– Zechcesz mi towarzyszyć?

– Czemu nie.

Usiadła, nie czując napięcia. Dzięki ci, lexomilu, pomyślała.

– Herbaty? – zapytał swoim niskim głosem.

Nicolas już przygotował filiżankę. Ojciec podniósł dzbanek. Patrzyła na brązowy płyn. Ojciec nie pił żadnego innego gatunku, tylko keemun, importowany z prowincji Anhui we wschodnich Chinach.

– Spodziewałem się ciebie.

– Dlaczego?

– Dzwonili do mnie ludzie z Mêtisu. – Odstawił dzbanek.

Była więc na dobrej drodze. Wzięła tost i srebrny nóż. Przez moment widziała swoje odbicie w jego ostrzu. Spokojnie, dziewczyno, upomniała się w duchu. Wolno, celebrując każdy gest, smarowała masłem idealnie złotawy tost – jeszcze jedna obsesja jej ojca.

– Słucham cię – mruknęła.

– Prawdziwy chrześcijanin nie umiera w swoim łóżku – zaczął górnolotnie. – Prawdziwy chrześcijanin musi ubrudzić sobie ręce. Dla zbawienia innych ludzi.

Mimo wielu lat spędzonych w Chile zachował akcent z południowo-zachodniej Francji.

– Jak ty?

– Jak ja. Większość ludzi słabych, tych, którzy nic nie robią i zawsze występują w roli sędziów, uważa, że żołnierze totalitarnych reżimów są sadystami czerpiącymi przyjemność z zadawania tortur, gwałcenia, zabijania.

Przerwał na chwilę. Słońce zmieniło pozycję i starszy pan znalazł się teraz w cieniu, skąd jego oczy błyszczały jeszcze intensywniej.

– Sadyści, zboczeńcy zdarzali się jedynie na niższym szczeblu i zawsze spotykały ich sankcje. Nikt niczego nie robił dla przyjemności. Ani dla władzy, ani dla pieniędzy.

Kłamał. Wojny i dyktatury sprzyjają wszelkiego rodzaju przestępstwom. Na wszystkich szerokościach geograficznych i w każdej epoce. Człowiek to bestia. Wystarczy popuścić mu cugli, a szybko przekracza wszelkie granice.

Nie zaprotestowała jednak i zadała pytanie, którego oczekiwał:

– No więc z jakiego powodu?

– Dla ojczyzny. Wszystko, co robiłem, miało na celu ochronę Chile.

– Mówimy także o torturach, prawda?

W półmroku błysnęły olśniewająco białe zęby Chateleta. Uśmiechnął się bezgłośnie. Tylko ten blask.

– Ochraniałem mój kraj przed gorszą trucizną.

– Przed dobrobytem? Sprawiedliwością? Równością?

– Przed komunizmem.

Anaïs westchnęła i ugryzła tost.

– Nie przyjechałam tutaj, żeby wysłuchiwać twoich tyrad. Opowiedz mi o Mêtisie.

– Właśnie o tym mówię.

– Nie rozumiem.

– Oni również działaj ą w imię wiary, obowiązku, patriotyzmu.

– Jak wtedy, kiedy sprzedali Irakowi wiele ton gazu neurotoksycznego?

– Powinnaś zweryfikować swoje źródła informacji. Mêtis nigdy nie produkował broni chemicznej. Jego inżynierowie byli jedynie doradcami przy transferze tych produktów. W tamtym czasie Mêtis przestawiał się na produkcję farmaceutyków. To rynek o wiele bardziej interesujący od handlu bronią, dziś już niemodnego. Każde przedsiębiorstwo międzynarodowe…

Anaïs przerwała mu:

– Co dzisiaj robią ludzie z Mêtisu? Czy wciąż współpracują z wojskiem? Dlaczego są wmieszani w zabójstwo rybaka z Wybrzeża Baskijskiego i jego towarzyszki?

– Jeśli nawet coś wiem na ten temat, nic ci nie powiem.

Przez sekundę miała ochotę kazać mu się stawić w komisariacie.

Zatrzymać w areszcie. Zrobić mu rewizję osobistą. Przesłuchać. Nie miała jednak żadnego konkretnego powodu ani żadnych uprawnień. Była zawieszona w czynnościach służbowych. Odznaka policyjna w kieszeni i pistolet za paskiem były nielegalne.

– Sądziłam, że miałeś mi coś powiedzieć.

– Tak. Zapomnij o Mêtisie.

– To ich rada?

– Nie, moja. Nie zbliżaj się do nich. Ci ludzie są pozbawieni skrupułów.

– Piękna perspektywa.

– Nie dasz im rady, to wszystko.

Nic jej nie obchodziły te groźby. Chciała wrócić do faktów. Było ich niewiele. Ograniczały się do dwóch zabójców w wozie terenowym należącym do firmy ochroniarskiej mającej powiązania z Mêtisem. Próbowała przedstawić swoje argumenty w sposób możliwie najbardziej przekonujący, ale ojciec nie krył rozczarowania.

– To wszystko, co masz? Powiem moim przyjaciołom, że się starzeją. Z wiekiem zaczynają się niepokoić z byle powodu. Zastanów się dobrze, córeczko, zanim wszystko stracisz. Pracę, reputację, przyszłość.

Pochyliła się nad stołem. Zabrzęczały filiżanki i sztućce.

– Nie lekceważ mnie. Potrafię ich przygwoździć.

– Jak?

– Wykazując, że sfałszowali oświadczenie o kradzieży, że utrudniają śledztwo, że wynajęli dwóch zabójców. Jestem policjantką, do cholery!

– Nie słuchałaś tego, co mówiłem. Nie będzie żadnego śledztwa.

– Dlaczego?

– Policja i żandarmeria istnieją, by utrzymywać porządek. A porządek to Mêtis.

Słowa Koskasa. „Robak nie tkwi w owocu. Robak i owoc zawarły przymierze”. Anaïs odwróciła wzrok. Wielki zniszczony gobelin ukazywał scenę polowania. Odniosła wrażenie, że we mgle psy pożerają ludzkie zwłoki.

Spojrzała ojcu prosto w oczy.

– Dlaczego ci ludzie szukają u ciebie rady?

– Nie szukają. Posiadam udziały w tej spółce, to wszystko. Mêtis prowadzi wiele interesów w Bordeaux. Byłem jednym z głównych inwestorów, gdy zajęli się produkcją farmaceutyczną. Znam założycieli od bardzo dawna. – Z pewną złośliwością dodał: – Ty i ja mieliśmy z czego żyć dzięki Mêtisowi. Chyba trochę za późno, żeby pluć w tę zupę.

Anaïs nie zareagowała na jego prowokację.

– Słyszałam, że wspólnie z wojskiem prowadzą badania nad czymś w rodzaju serum prawdy. Twoje doświadczenie w stosowaniu tortur mogłoby być dla nich wyjątkowo użyteczne.

– Nie wiem, skąd czerpiesz te informacje, ale to czysta fantazja rodem z komiksów.

– Zaprzeczasz, że te badania chemiczne mogą mieć w przyszłości znaczny wpływ na działania wywiadu?

Uśmiechnął się nieznacznie. Było w tym trochę wyższości i zarazem cynizmu.

– Wszyscy marzymy o tego rodzaju środkach. O pigułce, dzięki której uniknęlibyśmy tortur, okrucieństwa, brutalności. Nie sądzę, żeby komukolwiek udało się opracować formułę podobnego specyfiku.

– Jednak Mêtis się tym zajmuje.

Nie odpowiedział.

– Jak w twoim wieku możesz brać jeszcze udział w tego typu rzeczach? – wyrwało się jej z głębi serca.

Przeciągnął się w swoim pięknym swetrze od Ralpha Laurena, po czym obrzucił ją zdradliwie słodkim spojrzeniem.

– Prawdziwy chrześcijanin nie umiera w swoim łóżku.

– Zrozumiałam. A gdzie ty zamierzasz umrzeć?

Zaśmiał się i wstał z trudem. Chwycił laskę i podszedł do okna, utykając, co sprawiało Anaïs przykrość, gdy była mała.

Popatrzył na sadzonki winorośli, które jakby płonęły w blasku zimowego słońca.

– W mojej winnicy – szepnął. – Chciałbym umrzeć w mojej winnicy, trafiony kulą.

– Skąd miałaby pochodzić?

Wolno odwrócił się do niej i mrugnął okiem.

– Kto wie? Może z twojej broni.

Porównywanie list nic nie dało. Poza pieczeniem w oczach, skurczem w ręce i lekkim uczuciem mdłości. Znowu odezwał się przejmujący ból w lewym oczodole. W mózgu kotłowały się nazwiska. Nie znalazł takiego, które występowałoby jednocześnie na listach studentów medycyny i szkół artystycznych. Kompletna klapa.

Zwinął w kulkę kartkę papieru z ostatnią listą i wrzucił ją do kosza. Było już prawie południe. Ranek stracony. Jedynym pozytywnym punktem było to, że nikt nie przyszedł mu przeszkadzać. Mimo że z sąsiednich sal dochodziły hałasy charakterystyczne dla zakładu psychiatrycznego: rozpaczliwe krzyki, wycie albo przeciwnie – głosy bardzo łagodne, śmiechy, prowadzące donikąd szuranie nóg…

Ranek dał mu przynajmniej możliwość zorientowania się w sytuacji – uciekł policji, ale wrócił do punktu wyjścia. Jedyna zmiana: z psychiatry stał się pacjentem.

– Szukamy cię wszędzie. – W uchylonych drzwiach pokazał się Corto. – Zaraz będzie pora lunchu. Mamy akurat tyle czasu, żeby zwiedzić warsztaty.

Narcyz był wdzięczny, że Corto nie pytał go o godziny, które spędził w sali komputerowej. Przeszli korytarzem i znaleźli się w jadalni, obszernym pomieszczeniu ze stołami o blatach ze stali nierdzewnej, na których dwaj dobrze zbudowani mężczyźni rozstawiali plastikowe nakrycia.

– Jesteś tutaj. – Corto pokazał palcem wiszące na ścianie zdjęcie grupowe.

Narcyz podszedł bliżej i rozpoznał siebie. Ubrany był w kitel malarski, który wyglądał, jakby pochodził z końca XIX wieku. Miał rozbawioną minę. Inni także się śmiali, lecz w ich wyglądzie było coś dziwnego, nienormalnego.

– Zrobiliśmy to zdjęcie z okazji urodzin Karla.

– Kto to jest Karl?

Psychiatra wyciągnął rękę w stronę fotografii i pokazał grubego, wesołego mężczyznę, stojącego obok Narcyza, w skórzanym fartuchu, wymachującego szczotką poplamioną na czarno. Przywodził na myśl średniowiecznego kowala.

– Chodź. Przedstawię ci go.

Przeszli kolejnym korytarzem, który prowadził do drzwi wyjściowych. Stamtąd skierowali się do drugiego, położonego niżej budynku. W południowym słońcu krajobraz ukazał się w całej swojej wspaniałości, choć było to zimne, obojętne, bezlitosne piękno. Wysokie łańcuchy górskie, szczyty, fragmenty czerwonych skał wznosiły się niczym kamienie wotywne. Totemy równe bogom, których reprezentowały. Z głębi doliny wyłaniały się czarne lasy. Ziemia żywiła tylko te rośliny, które były odporne na wysokość, zimno i wiatry. Inne umierały.

Weszli do budynku i ruszyli korytarzem. Corto zapukał w pierwszą framugę – drzwi nie było – i usłyszał odpowiedź:

– *Hereinkommen!*

Narcyz zatrzymał się przez chwilę na progu. Warsztat był cały czarny, łącznie z sufitem. Na środku stał olbrzym z fotografii. W wersji naturalnej miał ponad dwa metry wzrostu i ważył ze sto pięćdziesiąt kilogramów. Ubrany był w skórzany fartuch, który błyszczał jak wypastowany.

– Witaj, Karl. Jak się miewasz?

Mężczyzna skłonił się ze śmiechem. Na twarzy miał maskę ochronną. W pomieszczeniu unosiły się duszące wyziewy chemiczne.

Corto zwrócił się do Narcyza:

– Karl jest Niemcem. Nie zdołał nauczyć się dobrze naszego języka. Przebywał w zakładzie psychiatrycznym w Niemieckiej Republice Demokratycznej, blisko Lipska. Po upadku muru berlińskiego zwiedziłem wszystkie szpitale w Niemczech Wschodnich, rozglądając się za nowymi

artystami. Odkryłem tam Karla. Pomimo elektrowstrząsów, kar, różnych przykrości uparcie malował na czarno wszystko, co wpadło mu w ręce. W tamtym czasie używał przede wszystkim węgla.

– A teraz?

– Teraz Karl ma problem! – Corto się zaśmiał. – Żaden materiał nie daje mu satysfakcji. Żeby osiągnąć upragnioną jednolitą czerń, próbuje robić mieszanki na bazie aniliny i indantrenu, specjalnego pigmentu. Daje mi listy przedziwnych składników! Szuka absolutnej czerni. Czegoś, co absorbowałoby całkowicie światło.

Olbrzym zabrał się z powrotem do pracy, pochyliwszy się nad kadzią, w której mieszał coś w rodzaju gorącej, elastycznej smoły. Znowu śmiał się pod swoją maską.

– Karl ma pewien sekret – szepnął psychiatra. – Miesza miksturę ze swoją spermą. Uważa, że ta substancja daje tajemne życie jego monochromatyzmowi.

Narcyz patrzył na grube ręce, które urabiały masę. Wyobraził sobie, jak tymi samymi rękami artysta trzepie kapucyna. Przywilej lansowanej przez Corto terapii przez sztukę, gdzie libido odgrywało niebagatelną rolę. W Henri-Ey wszyscy pacjenci, otępiali od leków psychotropowych, mieli fajfusy opuszczone na znak żałoby.

Podszedł do jednego z idealnie czarnych obrazów.

– Co przedstawia ten obraz?

– Nicość. Podobnie jak wielu ludzi z nadwagą, Karl cierpi na bezdech w czasie snu. Nie śni. Zapada w nicość. Usiłuje w ten sposób namalować te czarne dziury.

Kiedy Narcyz nachylił się nad płótnem, dostrzegł drobne wypukłe literki, które należałoby raczej czytać jak alfabet Braille’a.

– To nie jest po niemiecku?

– Ani w żadnym innym znanym języku.

– Wymyślił ten język?

– Według niego tak brzmią głosy, które nawiedzają go w stanie bezdechu. W stanie śmierci.

Karl nie przestawał się śmiać. Zanurzył w kadzi niemal całe ręce. Maź, którą rozrabiał, wytrysnęła na zewnątrz niczym ropa z przebudzonego szybu.

– Chodźmy już – powiedział Corto. – Karl denerwuje się, gdy goście zostają zbyt długo.

W korytarzu Narcyz zapytał:

– Z jakiego powodu zamknięto go w zakładzie? Na co cierpi?

– Był w więzieniu. Uznano go za nieuleczalnego paranoika. Wydłubał oczy swojej żonie. Mówi, że to jego pierwsze dzieło. Zawsze ta sama ciemność…

– Nie bierze żadnych leków?

– Żadnych.

– Żadnych środków bezpieczeństwa?

– Pilnujemy tylko, żeby miał obcięte paznokcie. W Niemczech miał jakiś problem z pielęgniarzem.

Narcyz pomyślał, że Corto igra z ogniem. Dziwił się, że władze pozwalały mu na to. Następne atelier zajmowała niska kobieta z niebieskawymi włosami w wieku przynajmniej siedemdziesięciu lat. Ubrana w różowy kombinezon Adidasa, robiła wrażenie bardzo zadbanej, niczym Amerykanka na emeryturze. Atelier wyglądało jak ona – panował w nim idealny porządek. Tyle tylko, że w wąskich wargach kobieta trzymała papierosa.

Ani Niemiec, ani ta staruszka nie byli na wozie w Nicei. Zapewne jedno z powodu tuszy, drugie z powodu wieku.

– Dzień dobry, Rebecco. Jak się pani czuje?

– Mam kłopoty z celnikami – odparła chrapliwym głosem.

– Nie chcą przepuścić moich prac…

Pochylała się nad arkuszem papieru, na którym małą kredką trzymaną w dwóch palcach rysowała stale tę samą twarz. Żeby ocenić jej dzieło, trzeba było się cofnąć, a wtedy twarze układały się w mozaikę, tworząc jakieś fale, motywy, arabeski.

– Twoja praca posuwa się do przodu?

– Dziś rano popchnięto mnie do klozetu. Wczoraj mięso nie było posiekane.

Syndrom Gansera. Choroba raczej rzadka, charakteryzująca się odpowiedziami nie na temat. Obserwując tych artystów, Narcyz zdał sobie sprawę, że reaguje jak psychiatra. Nie podziwiał tworzonych przez nich dzieł, lecz traktował ich jak chorych. Mimo wysiłków nie był Narcyzem. Pozostał Mathiasem Freire’em.

– Znam tę twarz – powiedział, wskazując na rysunki.

– To Albert, książę Monako – wyjaśnił Corto, gdyż kobieta zajęta była swojąpracą. – Trzydzieści lat temu Rebecca pracowała w pałacu książęcym jako sprzątaczka. Zakochała się w księciu w sposób… mało rozsądny. Nigdy się nie wyleczyła z tego uczucia. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku trafiła do szpitala i już go nie opuściła. Spędziła kilka lat w Saint-Loup, potem zamieszkała u nas.

Narcyz przyjrzał się Rebecce. Pracowała w sposób automatyczny – jakby jej rękę prowadziła jakaś niewidzialna siła. Kredka nie podnosiła się ani nie opadała, tworząc czerwoną linię, kłującą w oczy jak jej szaleństwo. Corto już zdążył wyjść.

– Szukał pan tych artystów po całej Europie? – zapytał Narcyz, dogoniwszy go na korytarzu.

– Tak. Poszedłem śladami moich poprzedników, takich jak Hans Prinzhorn w Niemczech czy Leo Navratil w Austrii. To dzięki nim istnieje art brut.

– Art brut? Co to takiego?

– Sztuka szaleńców, ludzi z marginesu, amatorów. Nazwę wymyślił Jean Dubuffet. Inni nazywali ją „sztuką outsiderów”, „sztuką psychotyczną”… Anglicy używają określenia *raw art:* „sztuka surowa”. Terminy mówią same za siebie. To twórczość wolna od wszelkiej konwencji, jakichkolwiek wpływów. To sztuka prawdziwie wyzwolona! Przypomnij sobie, co ci powiedziałem wcześniej. Tak właśnie jest. To nie sztuka leczy nas, tylko my leczymy sztukę.

Corto wszedł do trzeciego atelier. Wielkie obrazy, wykonane kredkami, przedstawiały sylwetki kobiet przechodzących przez łuki tęcz, pławiących się w niebie podczas nawałnic, drzemiących w chmurach. Płachty papieru przymocowane były do ścian, ale rysunki wychodziły poza papier, jakby wskutek twórczego impulsu, który był nie do opanowania.

– Oto Xavier – powiedział dyrektor. – Xavier jest u nas od ośmiu lat.

Mężczyzna około czterdziestki siedział na niskim łóżku, z nogami na podłodze i twarzą pochyloną nad małym stolikiem. Ubrany był w stylu wojskowym: bluza koloru khaki, drelichowe spodnie. Agresywny charakter tego stroju łagodziły kieszenie wypchane kolorowymi kredkami, a także stare sznurkowe kapcie, które nosił na gołych stopach. Na jego twarzy pojawiał się regularnie nerwowy tik.

– Xavier jest przekonany, że służył w Legii Cudzoziemskiej – szepnął Corto, podczas gdy artysta wziął kredkę i wstawił do temperówki przymocowanej do stołu. – Wierzy, że brał udział w wojnie w Zatoce Perskiej jako żołnierz dywizjonu Daguet.

Xavier nie odzywał się, więc Narcyz spróbował nawiązać z nim rozmowę:

– Pańskie obrazy są niezwykle piękne.

– To nie są obrazy, lecz tarcze.

– Tarcze?

– Przeciw rakotwórczym komórkom, mikrobom, wszystkim tym biologicznym świństwom, które na mnie wysyłają.

Corto chwycił Narcyza za ramię i odprowadził na bok.

– Xavier twierdzi również, że przeżył w Iraku atak chemiczny. W rzeczywistości nigdy tam nie był. Kiedy miał siedemnaście lat, wrzucił młodszego brata, którego niósł na barana, do rzeki z bardzo silnym prądem. Chłopiec utonął. Po powrocie do domu nic z tego nie pamiętał. Spędził prawie piętnaście lat w szpitalu psychiatrycznym na oddziale zamkniętym. Stamtąd właśnie go wziąłem.

– Ot tak? Bez żadnych środków ostrożności?

– Przez wszystkie lata pobytu w szpitalu Xavier nie sprawiał żadnych kłopotów. Eksperci uznali, że można mi go powierzyć.

– Jakie bierze leki?

– Żadnych. Rysowanie zajmuje mu cały czas i cały umysł.

Psychiatra obserwował z życzliwością swojego pacjenta, który, z gorączkowym wzrokiem, nie przestawał temperować kredek, jedną po drugiej. Narcyz milczał. W jego milczeniu kryły się sceptycyzm i dezaprobata.

– Nie rób takiej miny – rzucił Corto. – Nigdy nie mieliśmy tutaj żadnego przypadku agresji ani samobójstwa. Malowanie ogniskuje, pochłania, absorbuje szaleństwo. W przeciwieństwie do środków psychotropowych nie niszczy umysłu. Malowanie ich uspokaja. Jest dla nich wsparciem. Zapewniam cię, że w dni odwiedzin nie ma tłoku przed naszymi drzwiami. Nikt do nich nigdy nie przyjeżdża. To ludzie zapomniani, pozbawieni miłości. Chodźmy, kontynuujemy zwiedzanie!

Posterunek żandarmerii w Bruges był całkiem wymarły, jak wiejski cmentarz. Może nawet bardziej. Na cmentarzu w niedzielę przynajmniej jest jakiś ruch. Anaïs, w wisielczym humorze, pchnęła drzwi. Po bezowocnym spotkaniu z ojcem zadzwoniła do Le Coza. Rozmowa była krótka. Nic nowego na horyzoncie. Śledztwo w sprawie zabójstwa Philippe'a Duruya, Patricka Bonfilsa i Sylvie Robin już ich nie dotyczyło. Mêtis okazał się niedostępny. Co się zaś tyczy jej przyszłości w policji francuskiej, to jak dotąd nie przyszło jeszcze żadne wezwanie z IGS. Można się było zastanawiać, po co wróciła do Bordeaux.

Zatelefonował również do niej Crosnier.

– Co słychać?

– W porządku. Są wieści z Nicei?

– Żadnego śladu po Januszu. Ulotnił się definitywnie. Wróciłem do Marsylii. Przesłuchiwałem osobiście pracowników ośrodka, gdzie spędził noc. Powiedział, że nazywa się Narcyz, ale to bez wątpienia on.

– A ci, którzy go napadli?

– Mamy jednego świadka. Kloszarda, który chyba nie był trzeźwy od dziesięciu lat.

– Co powiedział?

– Że faceci, którzy zaatakowali Janusza, to ludzie polityki. W garniturach, pod krawatem. Trzeba jednak wziąć pod uwagę stan nasączenia alkoholem tego bezdomnego.

Zabójcy z Guethary. Kierowcy wozu Q7. Słowa ojca: „Porządek to Mêtis”. Mordercy, którzy uważali się za ramię sprawiedliwości. Mordercy, którzy infiltrowali policję. Mordercy, którzy byli policją…

Dyżurka posterunku robiła karykaturalne wrażenie: drewniany wytarty kontuar, podłoga pokryta linoleum, gołe ściany, dwóch sennych żandarmów. W takim otoczeniu nie może zdarzyć się nic nadzwyczajnego. Powiedziała, że chciałaby się zobaczyć z porucznikiem Dussartem, który sporządził raport o kradzieży audi Q7. Dowiedziała się, że ma wolne. Pełniący dyżur żandarmi zerknęli podejrzliwym wzrokiem na jej legitymację policyjną i ze sceptycyzmem wysłuchali wyjaśnień – uzupełnienie śledztwa w sprawie kradzieży terenowego audi Q7 S-Line TDI, numer tablicy rejestracyjnej 360 643 AP 33, zgłoszonej dwunastego lutego.

Nie było mowy, żeby podali jej numer telefonu Dussarta. Ani też nie mogli dać jej do przeczytania sporządzonego przez niego raportu o kradzieży. Anaïs nie nalegała. Opuściła posterunek i zadzwoniła do informacji telefonicznej. Porucznik mieszkał w Blanquefort, na północ od rezerwatu przyrody w Bruges.

Ruszyła drogą do miasteczka. Była niedziela, południe, całkowity spokój. Opustoszałe ulice. Ciche domy. Puste ogrody. Znalazła dom Dussarta: szary, z nienagannym trawnikiem i drewnianą altanką w głębi ogrodu. Zaparkowała na końcu uliczki, w cieniu wieży ciśnień. Przeszła pieszo z powrotem. Otworzyła furtkę bez dzwonienia. Postanowiła działać na bezczelnego – zastraszyć, wydobyć informacje i jak najszybciej się oddalić.

Na jej spotkanie wybiegł szczekający pies. Uderzyła go torbą. Pies cofnął się ze skowytem. Ruszyła żwirowaną alejką usłaną dziecięcymi zabawkami. Na progu domu zobaczyła kobietę w trudnym do określenia wieku, z nijakimi rysami, a obok niej dwoje dzieci, spoglądających na intruza okrągłymi ze zdziwienia oczami.

Bez słowa powitania, bez żadnego przepraszania pomachała swoją trójkolorową legitymacją.

– Anaïs Chatelet, kapitan policji w Bordeaux. Czy zastałam pani męża?

Kobieta popatrzyła na nią z otwartymi ustami. W końcu wskazała drewnianą altankę. Anaïs wyrzucała sobie, że narusza niedzielny spokój, ale druga część jej samej, ta głębsza, bardziej mroczna, wręcz cieszyła się z zakłócenia tej rodzinnej sielanki. Szczęścia, do którego ona nie miała nigdy prawa.

Przeszła przez trawnik, czując, że wpatrują się w nią trzy pary oczu. Zapukała. Głos z wewnątrz zaprosił ją do wejścia. Nacisnęła klamkę i zobaczyła mężczyznę niekryjącego zaskoczenia. Najwyraźniej spodziewał się wizyty kogoś bardziej znajomego.

– Anaïs Chatelet, kapitan policji krajowej, z komendy w Bordeaux.

Zaskoczenie na twarzy gospodarza zamieniło się w kompletne osłupienie. Patrick Dussart, ubrany w niebiesko-szaro-zielony dres, zastygł przy szerokim stole, na którym niczym na płycie lotniska stały modele samolotów z balsy. Altanka była rajem modelarstwa lotniczego. Skrzydła, kabiny, kadłuby zajmowały każdy kąt tego pomieszczenia, w którym unosił się zapach trocin, kleju i benzyny.

Anaïs weszła do środka. Otaksowała wzrokiem przeciwnika. Niewysoki, z łysą czaszką, ciężką i nagą jak kamień. Tanie okulary, mało wyraziste rysy, zaniepokojona mina. Łatwo sobie poradzi z tym karłem, ale musi działać szybko.

– Jestem tutaj z polecenia sędziego Le Galla – zablefowała.

Dussart pomacał trzymane w ręku skrzydło z białej balsy.

– W… niedzielę?

– Dwunastego lutego przyjął pan na posterunku żandarmerii zgłoszenie o kradzieży terenowego audi Q-siedem S-Line TDI, numer rejestracyjny trzysta sześćdziesiąt, sześćset czterdzieści trzy AP trzydzieści trzy, właściciel ACSP, firma ochroniarska działająca na terytorium Terrefort w Bruges.

Dussart, który był i tak blady, zbladł jeszcze bardziej.

– Kto zgłosił tę kradzież?

– Nie pamiętam już nazwiska. Musiałbym zajrzeć do raportu…

– Nie ma po co – przerwała mu ostrym tonem. – Wiemy, że to nieprawda.

– Słu… słucham?

– Nikt nie zgłaszał kradzieży dwunastego lutego.

Twarz Dussarta zrobiła się przezroczysta. Widział się już zdegradowanym, pozbawionym przywilejów policyjnych i emerytury. Omal nie zmiażdżył trzymanego w ręce fragmentu samolotu.

– Oskarżacie mnie o to, że antydatowałem ten raport?

– Nie mamy co do tego najmniejszej wątpliwości.

– Jakie macie dowody?

– Zobaczymy na posterunku. Proszę włożyć płaszcz i…

– Nie. Pani blefuje… Pani…

Anaïs przerwała mu:

– Według naszych danych tego dnia jechali tym wozem pracownicy ACSP.

– Co ja mam teraz zrobić? – postawił się hardo Dussart.

– Stwierdzili, że do kradzieży doszło dwunastego lutego. Jeśli skłamali, to…

– Nie. Przyszli później i kazali panu napisać raport o kradzieży z wcześniejszą datą.

– Kto miałby mi kazać?

– Niech pan wkłada płaszcz. Proszę mnie nie zmuszać do użycia siły. Łatwo nam będzie udowodnić, że nie było takiego raportu dwunastego lutego i że nie podjęto w związku z tym żadnych działań.

Dussart wybuchnął śmiechem, który uwiązł mu w gardle.

– Czego to dowodzi? Nigdy nie prowadzimy dochodzeń w sprawie kradzieży samochodów!

– Nawet w przypadku samochodu o takiej wartości? Należącego do firmy ochroniarskiej w dzielnicy przemysłowej podlegającej waszej jurysdykcji? To jakby wasi koledzy. Jeśli nic nie znajdziemy, będzie to znaczyć, że dwunastego lutego nikt niczego nie zgłaszał.

W oczach żandarma pojawił się błysk – pomyślał o innych antydatowanych dokumentach. Protokołach przesłuchań. Śledztwach z tego samego okresu.

– Moi ludzie już przeczesują wasz posterunek. – Tymi słowami Anaïs dobiła go jeszcze bardziej. – Niech pan wkłada wreszcie ten płaszcz!

– W niedzielę? Pani… nie ma prawa.

– W wypadku podwójnego morderstwa mamy wszelkie prawa.

Skrzydło z balsy rozpadło się w palcach żandarma.

– Podwójne morderstwo?

Anaïs nadal mówiła oschłym tonem, którego uczą w szkołach policyjnych, a który i tak jest cechą wrodzoną u wszystkich glin:

– Szesnastego lutego na Wybrzeżu Baskijskim. Zabójcy jechali wozem Q-siedem. Jeśli nadal będziesz kręcił, obiecuję ci, że cię zakuję w kajdanki.

– Zrobili to ludzie z ETA?

– Nic z tych rzeczy. – Wyjęła kajdanki. – Proponuję ci układ. Zacznij mówić, a jakoś to wszystko załatwimy. W przeciwnym wypadku oskarżę cię o świadomy współudział w morderstwie. Ci sami ludzie próbowali

osiemnastego lutego zabić innego człowieka. Ten wóz jest biletem na dożywocie. Ulżyj swojemu sumieniu!

Patrick Dussart spocił się jak ruda mysz. Usta mu drżały.

– Nic… nic mi nie możecie udowodnić…

Nagle Anaïs coś sobie przypomniała, żałując, że nie pomyślała o tym wcześniej.

– Ależ tak, możemy. ACSP nie zgłosiła się do swojego towarzystwa ubezpieczeniowego. Nie było żadnego oświadczenia. Żadnej szkody. Uważasz za normalne, że można nie chcieć dostać odszkodowania za samochód, który jest wart ponad sześćdziesiąt tysięcy euro?

Żandarm wcisnął się w kąt.

– Nie podjęto w ogóle żadnych poszukiwań tego wozu, chociaż z pewnością był wyposażony w lokalizator GPS – dodała Anaïs pod wpływem nagłego natchnienia. – Można by rzec, że ta kradzież w ogóle nie zainteresowała twoich ludzi!

Wskoczyła na stół. Swoimi rangersami rozgniotła modele samolotów. Gdy miała dwanaście lat, była mistrzynią Akwitanii w gimnastyce. Mała gimnastyczka tatusia. Dopadła Dussarta, który zawył. Oboje się przewrócili. Anaïs unieruchomiła porucznika kolanem przyciśniętym do jego piersi. Otwarte kajdanki przyłożyła mu do gardła.

– Mów, draniu!

– Nie!

– Kto do ciebie przyszedł?

Żandarm pokręcił przecząco głową. Pot i łzy lśniły na jego zaczerwienionej twarzy. Anaïs zacisnęła kajdanki.

– Kto?

Twarz Dussarta była już niemal fioletowa. Nie mógł oddychać.

A tym bardziej mówić. Zwolniła nieco uścisk.

– Było… było ich dwóch – wydusił z siebie z trudem.

– Ich nazwiska?

– Nie znam.

– Zapłacili ci?

– Nigdy w życiu! Nie potrzebuję pieniędzy!

– A kredyt w banku za dom? Za samochód? Wydatki na dzieci?

– Nie… nie… nie…

Znowu zacisnęła bransoletki. W głębi duszy była przerażona własną brutalnością, bezwzględnością. Skarga porucznika Patricka Dussarta zachwyciłaby IGS.

– Mów! Dlaczego napisałeś nieprawdę?!

– Wydali mi rozkaz.

Zwolniła uchwyt.

– Rozkaz?

– To byli oficerowie. Mówili… że to sprawa wagi państwowej.

– Byli w mundurach?

– Nie.

– Pokazali ci jakieś dokumenty?

– Nie.

Dussart podniósł się na łokciu i otarł łzy.

– To byli oficerowie… Służyłem cztery lata w marynarce, na okręcie *Charles-de-Gaulle*. Potrafię odróżnić oficerów wysokiej rangi.

– Jaki korpus?

– Nie wiem.

– Jak wyglądali?

– Statecznie, w czarnych garniturach. Wojskowi noszą garnitury inaczej niż cywile.

Było to pierwsze sensowne zdanie tego drania.

– Przyszli na posterunek żandarmerii?

– Nie. Do mnie, do domu, wieczorem siedemnastego. Podyktowali mi w ogólnym zarysie, jak mam napisać raport i jaką postawić datę. To wszystko.

Ci goście nie mogli być zabójcami z plaży w Guethary, którzy w tym czasie napadli na Janusza w Marsylii. Kim więc byli? Kolegami? W każdym razie Anaïs nie może wykorzystać zeznania Dussarta, który wszystkiego się wyprze, a ona zostanie aresztowana pod zarzutem napaści na niego.

Powinna jednak skorzystać z tego znaku nawigacyjnego w dalszych poszukiwaniach. Podniosła się i zabrała kajdanki.

– Co… co się ze mną stanie? – zapytał drżącym głosem Dussart, masując sobie szyję.

– Uważaj na siebie, a wszystko będzie dobrze – odpowiedziała przez zęby.

Wyszła, potykając się o próg. Światło dnia ją oślepiło. Poprawiła kurtkę i strzepnęła drzazgi balsy, które się do niej przylepiły. Z wściekłością kopnęła trójkołowy rowerek, który stał na jej drodze.

Szybko doszła do furtki. Kobieta i jej dzieci płakały przed domem.

Zacisnęła rękę na kracie furtki.

Ona również miała łzy w oczach.

Nie wytrzyma długo takiego napięcia.

Wszystko było nietknięte.

Jakby Narcyz opuścił swoje atelier poprzedniego dnia.

– Byłem pewien, że tu wrócisz – rzekł Corto.

Dopiero po lunchu mógł pójść do swojej pracowni. Corto koniecznie chciał mu towarzyszyć. Pomieszczenie miało nie więcej niż pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Ściany nie były ani czarne, ani porysowane kredkami, ale też nie tak nieskazitelne jak u Rebekki. Pod ścianą na lewo stały ramy z czystymi płótnami, na podłodze upstrzonej kolorowymi plamami leżały zwoje płacht. Wszędzie porozstawiane były pojemniki z farbami, wymazane kadzie, worki z barwnikami, plastikowe pudełka. Na rozciągniętych na kozłach planszach leżały suche, powykręcane, połamane tubki, a także, rzecz raczej niespodziewana, grube metalowe strzykawki. Ze srebrnych puszek po konserwach wystawały pędzle.

– Farby przygotowywałeś sobie sam – wyjaśnił Corto.

– Byłeś tak samo wymagający jak Karl. Wybierałeś barwniki, mieliłeś je w specjalnym naczyniu, regulowałeś ich tłustość, mieszając z olejkiem terpentynowym i olejem lnianym. Żeby pigmenty lepiej się ze sobą wiązały, używałeś specjalnego oleju oczyszczanego. Zaopatrywałeś się w rafinerii, która na ogół dostarcza klientom swój towar hurtem. Następnie napełniałeś farbami strzykawki używane do smarowania łożysk traktorów, które kupowałem osobiście u okolicznych farmerów.

Narcyz podszedł do kadzi, w których znajdowały się wyschłe mieszanki farb czarnych, czerwonych, fioletowych. Bańki, aluminiowe zbiorniki, zakurzone worki wciąż wydzielały intensywne chemiczne wonie. Dotknął pędzli, pogładził tuby, wdychając ich zapach, ale nie obudziło to żadnego wspomnienia. Miał ochotę krzyczeć.

Wśród tego wszystkiego dostrzegł zeszyt z posklejanymi farbą stronami. Przekartkował go. Drobnymi literkami zapisane w nim były jakieś nazwy, cyfry, procenty.

– Twój sekretny zeszyt – poinformował Corto. – Uwieczniałeś w nim proporcje mieszanek, za pomocą których uzyskiwałeś pożądane odcienie.

Narcyz schował notes do kieszeni i poprosił:

– Niech pan mi opowie o mojej metodzie pracy.

– Nie mam o tym pojęcia. Żadna pracownia nie ma drzwi, ale ty zasłoniłeś wejście kotarą i nie przyjmowałeś gości. Wieczorem odwracałeś obrazy do ściany.

– Dlaczego?

– Mówiłeś: „Mam dość oglądania własnej gęby”.

Według Daniela Le Guena z ośrodka Emmaus w Marsylii już na sam widok obrazu Courbeta poczuł się źle.

– Czy wspominałem coś o Gustavie Courbecie?

– Oczywiście. Nazywałeś go swoim mistrzem, mentorem.

– W jakim sensie?

– Nie wiem. Formalnie twoje płótna nie miały nic wspólnego z jego dziełami. Jednak Courbet był mistrzem autoportretu. Uwielbiał malować siebie samego. Nie jestem znawcą tamtej epoki, ale jego autoportret *Desperat* jest z pewnością jednym z najsłynniejszych obrazów na świecie…

Narcyz milczał. W wyobraźni ujrzał wiele autoportretów. W tej dziedzinie jego pamięć funkcjonowała idealnie. Dürer, van Gogh. Caravaggio. Degas. Schiele. Opałka… Jednak żadnego obrazu Courbeta. Mój Boże! Wystarczyło, że malarz i jego dzieło były w jakiś sposób powiązane z jego życiem, a już wchłaniała je czarna dziura choroby.

– Teraz sobie przypominam – kontynuował Corto – że ze wszystkich autoportretów Courbeta najbardziej fascynował cię *Zraniony mężczyzna*.

– Co to za obraz?

– Malarz przedstawił siebie jako umierającego, siedzącego pod drzewem, z krwawą raną w okolicy serca.

– Dlaczego tak się interesowałem właśnie tym dziełem?

– Zapytałem cię o to. Odpowiedziałeś: „On i ja wykonujemy tę samą robotę”.

Narcyz przeszedł się jeszcze po atelier, które było jego jaskinią, jego kryjówką, jego schronieniem. Nic nie wydało mu się znajome. Pomyślał, że jego śledztwo nie rokuje nadziei na sukces.

– Zostań z nami – zaproponował Corto, jakby wyczuwając rozpacz Narcyza. – Zabierz się znowu do malowania. Może pamięć…

– Jutro rano wyjeżdżam. Chciałbym dostać zaraz moje pieniądze.

– Czy to pani dzwoniła?

– A jak myślisz?

Anaïs, stojąc na progu magazynu, machnęła swoją legitymacją policyjną przed nosem młodego chłopaka z czerwonymi oczami i tłustymi włosami. Była na przedmieściu Tuluzy, w przemysłowej dzielnicy wielkich, ponurych hangarów bez okien. Do miasta dojechała w dwie godziny, ale drugie tyle zajęło jej znalezienie w labiryncie sektora usług punktu kontrolnego przedsiębiorstwa CAMARAS, śledzącego za pomocą czujników GPS lokalizację samochodów wielu marek na południu Francji.

Anaïs zadzwoniła tam o wpół do trzeciej. Dyżurny, który odebrał telefon, był zdziwiony jej żądaniem.

– Normalnie to towarzystwo ubezpieczeniowe występuje…

Nie dała mu skończyć tych wywodów.

– Zaraz u was będę.

Teraz miała przed sobą tego chłopaka w rozciągniętym swetrze i workowatych dżinsach. Prawdopodobnie był studentem i znalazł tutaj pracę na weekendy. Rozszerzone źrenice jego oczu, wilgotny nos i chwiejące się zęby nie pozostawiały wątpliwości, że to narkoman zażywający kokę.

Cofnął się, by wpuścić ją do środka. Zobaczyła przestronne pomieszczenie, które wyglądało na puste. W rzeczywistości wzdłuż jednej ze ścian zainstalowana była konsola z ekranami. Całość przypominała Centrum Kontroli Bezpieczeństwa Miejskiego w Nicei.

Chłopak wyjął z kieszeni małą buteleczkę i przechyliwszy głowę do tyłu, wpuścił po kilka kropel znajdującego się w niej leku pod każdą powiekę.

– Nie bardzo zrozumiałem przez telefon…

Anaïs obróciła w jego stronę fotel na kółkach.

– Siadaj.

– Ale o co chodzi? – zapytał, sadowiąc się na fotelu.

Pchnęła oparcie frontem do konsoli i mruknęła mu do ucha:

– Dwunastego lutego tego roku zgłoszono na posterunku żandarmerii w Bruges kradzież terenowego audi Q-siedem S-Line TDI, numer rejestracyjny trzysta sześćdziesiąt, sześćset czterdzieści trzy AP trzydzieści trzy. Słyszałeś o tym?

– Nic o tym nie wiem. Pracuję tutaj tylko w weekendy. Jestem studentem i…

– Zapytałam jedynie dla formalności. Chcę, żebyś namierzył urządzenie, które jest przymocowane pod tym samochodem.

– To nie jakieś tam urządzenie, to czujnik GPS.

– Nieważne. Rób, co mówię. Natychmiast.

Chłopak się obruszył.

– Tak nie można! Musimy mieć kopię protokołu zgłoszenia kradzieży oraz umowę z firmą ubezpieczeniową, która…

Znowu chwyciła fotel i obróciła chłopaka twarzą do siebie.

– Mogę także wezwać ekipę z Tuluzy, która zbada twoją ślinę na obecność narkotyków. Co o tym sądzisz?

– Czy… może pani powtórzyć numer rejestracyjny tego wozu? – wybąkał.

Anaïs wyjęła z kieszeni kartkę, na której miała zapisany ten numer. Położyła ją na konsoli, od czego rozjaśnił się ekran będący w stanie czuwania. Pokazały się skłębione ze sobą nagie ciała. A także inne okienka. Twarz kobiety w trakcie stosunku. Zbliżenie rozszerzonego odbytu. Reklamy firm o sugestywnych nazwach…

– Tak wygląda twoja praca? – rzuciła z uśmiechem Anaïs.

Student zaczerwienił się i wyłączył komputer. Odkaszlnąwszy, zaczął stukać po klawiaturze sąsiedniego. Na ekranach pojawiły się mapy satelitarne Francji. Na jednym z nich ukazało się zbliżenie któregoś regionu kraju, ale tak szybko, że Anaïs nie zdążyła go zidentyfikować.

– To działa tak błyskawicznie? – zapytała zaskoczona.

– Służy do wykrywania złodziei.

– Gdzie oni są? To znaczy gdzie jest ten samochód?

– Na D dwadzieścia dwa zero dwa, w dolinie du Var.

Anaïs się pochyliła.

– Gdzie dokładnie?

Chłopak pstryknął myszą i zrobił jeszcze większe zbliżenie.

– Tutaj, powyżej Nicei.

– Wóz jest w ruchu?

– Tak. Dojeżdżają do mostu Durandy.

Anaïs się zamyśliła. Czy są na tropie Janusza? Czy odnaleźli jego kryjówkę? Jak się im udało, skoro nie potrafiło tego zrobić tylu policjantów? A może po prostu wracali do swojej bazy…

Wyjęła z kieszeni iPhone'a i położyła go na konsoli. Na kartce wyrwanej z leżącego na niej bloczku napisała swój adres e-mail.

– Prześlij mi program, który pozwala na bieżąco śledzić przemieszczanie się tego samochodu.

– Nie mam prawa tego zrobić. To program zastrzeżony.

– Chyba kapujesz, że ty i ja działamy na granicy prawa? Wyślij mi e-mail z programem, o który mi chodzi, *capisci*?

Zabębnił w klawiaturę. Stuk klawiszy przywodził na myśl klekotanie kości w średniowiecznym *danse macabre.*

Telefon komórkowy Anaïs zawibrował. Sprawdziła. É-mail dotarł. W załączniku znajdował się program umożliwiający śledzenie wozu.

Podała telefon chłopakowi. Nie znała się kompletnie na elektronice.

– Zainstaluj tak, żebym go miała na ekranie.

Po kilku sekundach pojawiła się mapa okolic Nicei. Migocąca strzałka pokazywała położenie terenówki. Anaïs podświadomie czuła, że musi szybko działać.

– Zainstalowałem także GPS – wyjaśnił chłopak. – Jeśli się pani zgubi, będzie pani mogła połączyć te dwa programy.

Podziękowała mu, kiwnąwszy głową. Student wyjął ponownie buteleczkę z lekiem i wpuścił krople do oczu.

– Rozumiemy się chyba?

– Nigdy pani nie widziałem. – Uśmiechnął się. – Nigdy nie słyszałem o żadnym audi Q-siedem.

– Sprytny jesteś, chłopaczku. – Mrugnęła do niego porozumiewawczo.

Skierowała się do drzwi, ale jeszcze raz popatrzyła na chłopaka. Wykonała gest naśladujący męską masturbację.

– Uważaj, nie zrób sobie odcisków!

Student zaczerwienił się i nic nie odpowiedział.

Biegnąc do samochodu, rozważała swoją sytuację. Miała ponownie przejechać przez Francję z zachodu na wschód, pokonać niemal sześćset kilometrów dzielących ją od Nicei. Oceniała, że smartem zajmie jej to jakieś pięć godzin. A potem będzie musiała jechać drogami bocznymi, co może się nie udać nawet z GPS-em.

Ruszyła w kierunku autostrady. Ostatniej nocy spała zaledwie kilka godzin, poprzedniej – nie spała wcale, a jeszcze przedtem tylko trzy godziny. Trzymała się na nogach wyłącznie dzięki sile woli.

Wystukała numer do Zaka. Najbardziej niebezpiecznego i najbardziej czarującego członka jej ekipy. Arab odebrał telefon po drugim sygnale.

– Zak? Tu Anaïs.

– Jak się masz, ślicznotko? – Był jedynym w grupie, który pozwalał sobie na taką poufałość wobec niej. – Nadal na urlopie? Opowiadano mi o twoim wypadzie do Nicei!

– Musisz mi pomóc. Potrzebuję czegoś mocnego.

– Mocnego?

Anaïs milczała.

– Sprecyzuj, o co ci chodzi – rzekł swoim aksamitnym głosem.

– O speeda.

Zakraoui wystarczył za całą brygadę antynarkotykową. W regionie Akwitanii i okolicach znał najlepszych dealerów. Źródłem jego informacji były przeróżne typy, narkomani, ludzie, którzy mu ufali. Informacje były

absolutnie pewne. Z tego prostego powodu, że on sam był kiedyś ćpunem. Twierdził, że teraz jest czysty, a wszyscy udawali, że mu wierzą.

Wyjaśnił jej, gdzie w tej okolicy może się zaopatrzyć w najlepszą amfetaminę. Zatrzymała się na poboczu i zapisała: Grand Mirail, dzielnica Reynerie, centrum Tournelles. Nazwy te wywoływały w niej niejasne wspomnienia. Jakieś rozróby w mieście, spalone samochody…

– Chcesz, żebym zadzwonił w kilka miejsc? – zapytał Zak.

– Byłoby nieźle. Gdzie są twoi ludzie?

– Tu i tam. Centrum Tournelles ma kształt litery „Y”. Jeśli uda ci się nie wyglądać za bardzo na policjantkę, ptaszki same do ciebie przyfruną.

Rzuciła notes na siedzenie pasażera, nacisnęła pedał gazu i z komórką przy uchu zapytała:

– A co tam w firmie?

– Jeszcze nie wyznaczono ceny za twoją głowę, ale przyjdzie i na to czas.

Rozłączyła się, mając przed oczami mały kapelusik i tunezyjski uśmiech Zaka. IGS miała go na oku nie tylko z powodu narkotyków: był podejrzewany o poligamię. Z Jaffarem, poszukiwanym przez sąd rodzinny, bo nie płacił alimentów żonie, i z Le Cozem, który żył na koszt baronowej, tworzyli niezłą kompanię donżuanów. Jedyni mężczyźni mego życia, pomyślała.

Godzinę później – wiele razy pomyliła drogę w deszczu – prowadziła negocjacje z malutkim facecikiem w jaskrawozielonym stroju, z twarzą ukrytą w kapturze. Wyglądał jak chochlik.

– Najpierw forsa.

Anaïs dała mu sto euro. Chłopak wziął pieniądze, pokazał na dłoni dziesięć tabletek.

– Uważaj! To nie jest dla dzieciaków. Bierz tylko jedną tabletkę na raz.

Schowała do kieszeni osiem tabletek, a dwie zatrzymała.

– Masz coś do popicia?

Krasnal podał jej puszkę coli light.

– Coca bez koki. – Zaśmiał się z własnego żartu.

Połknęła obie tabletki, popiwszy je solidnym łykiem napoju.

Kiedy chciała mu zwrócić puszkę, krasnal już znikał w ciemności.

– Prezent od firmy. Cześć.

Anaïs ruszyła ponownie w deszczu. Już czuła, albo tylko jej się wydawało, jak dopamina rozchodzi się w jej mózgu. Zmieniła biegi i obrała znowu

kierunek na A61. Na pierwszej napotkanej stacji benzynowej napełniła bak. Zapłaciła i zerkając na półki z sandwiczami i herbatnikami, uświadomiła sobie, że wcale nie jest głodna. To narkotyk pozbawił ją apetytu. Tym lepiej. Będzie mogła zachować większą czujność.

Co jakiś czas sprawdzała trasę wskazywaną przez GPS na ekranie iPhone'a. Ci dranie zjechali z D2202 w stronę jakiejś dziury o nazwie Carros. Dokąd zmierzali? Czy odnaleźli Janusza?

Wrzuciła piąty bieg i zorientowała się, że pędzi ponad dwieście kilometrów na godzinę. Jak na razie mały smart doskonale się spisywał.

Zapadała noc.

– Ile tego jest? – zapytał Narcyz, spoglądając na trzymaną w ręce szarą kopertę.

– Czterdzieści pięć tysięcy euro.

Spojrzał z zaskoczeniem na Corto.

– Mówiłem ci, że zrobiłeś furorę w Paryżu. Większość twoich trzydziestu obrazów została sprzedana po mniej więcej cztery tysiące euro. Galeria wzięła z tego pięćdziesiąt procent. My zaś piętnaście z twojego udziału, tytułem zwrotu poniesionych kosztów. Dla ciebie została reszta. Jesteś wziętym malarzem! Gdybyś chciał, mógłbyś znowu być Narcyzem i zarabiać na wygodne życie.

Otworzył kopertę. Banknoty wewnątrz błyszczały, jakby były z atłasu.

– Nie umiałbym malować tak jak Narcyz.

– Jesteś tego pewien?

Nie odpowiedział. W rzeczywistości miał wewnętrzne przekonanie, że jego talent i biegłość w tym zakresie przetrwały, podobnie jak wiedza z zakresu psychiatrii. Czy miałby kontynuować karierę Narcyza od punktu, w którym ją przerwał? Musiał zrobić coś ważniejszego. Odnaleźć swoje obrazy. Dobrze im się przyjrzeć. Przestudiować. Był pewien, że zawierały ukrytą przez niego podświadomie prawdę. Podpis osoby, którą był na samym początku.

– Pańskim zdaniem – zapytał, chowając pieniądze – na jak długo mi ich wystarczy? Czy do czasu, zanim ponownie stracę pamięć?

Wyszli do ogrodu. Było już ciemno. Wiatr wiał z większą siłą. Drzewa gięły się jak w konwulsjach. Janusz zmarnował jeden dzień poszukiwań, ale teraz był bogaty, najedzony, wypoczęty. Przerwa niezbędna, by lepiej ponownie wystartować.

– Tego się nie da powiedzieć – odrzekł psychiatra. – Jednak nie zapominaj, że każda ucieczka to kolejna reakcja na traumę. Twoje ataki są także powodowane tym, co przeżywasz każdego dnia.

Narcyz podzielał ten pogląd. Najgorsza z hipotez: był zabójcą i za każdym razem, kiedy zabijał, zmieniał osobowość. Pokiwał głową, nie chcąc uznać swojej winy.

Szli teraz między tarasami. Na czystym granatowym niebie pojawiły się już gwiazdy. Zapach sosen działał upajająco na zmysły. Corto skręcił na prawo. Pojawił się ogród kaktusów. Narcyz nigdy nie widział ich tyle naraz. Kaktusy rosnące bezpośrednio w ziemi. Kaktusy w doniczkach. Kaktusy w inspektach. Niektóre przypominały jeżowce owinięte watą. Inne rosły na wysokość dwóch metrów. Jeszcze inne rozkładały ramiona niczym kandelabry.

– Czujesz, prawda?

– Co?

– Ten zapach. – Corto wciągnął głęboko powietrze w płuca. – Cały nasz organizm budzi się na ten zew. Tak samo się dzieje, kiedy patrzymy na morze. Szumi woda, która jest głęboko w nas. Często przychodziłeś tu wieczorami…

Narcyz zastanawiał się, do czego psychiatra zmierza.

– Przypuszczam, że czytałeś dzieła Junga.

– Oczywiście – odpowiedział bez wahania.

– Według Junga na naszą świadomość, a raczej naszą nieświadomość, którą nazywał nieświadomością zbiorową, mają wpływ archetypy, pierwotne schematy z początków dziejów ludzkości: mity, legendy, prymitywne lęki… Kiedy jakiś fakt, obraz, szczegół przypomina nam jedną z tych rzeczy, jesteśmy tym poruszeni do głębi, ogarnięci wzruszeniem, emocjami, które należą już nie tylko do nas, ale też do całej ludzkości.

Corto mówił przejmującym, hipnotycznym głosem.

– I co z tego wynika?

– Sądzę, że z naszym ciałem jest podobnie. Istnieją archetypy…

fizjologiczne. Morze. Las. Skała. Niebo. Coś, co nas porusza głęboko i zarazem się uzewnętrznia. Nasz organizm budzi się wówczas natychmiast. Nasze ciało przypomina sobie, że było kiedyś morzem, lasem, skałą, gwiazdą… Komórki naszego ciała ożywiają się, drżą, reagują.

Corto chwycił go nagle za ramię.

– Odnajdź swoje gwiazdy – szepnął. – Wracaj do Paryża. Wiem, że masz taki zamiar. Twoje ciało ciępoprowadzi. Malarstwo i stolica należą do twojej historii. I w jakimś sensie ty należysz do nich.

Narcyz zrozumiał, co miał na myśli Corto. Zamknął oczy i błyskawicznie poddał się temu doświadczeniu. Pozwolił, by wniknęły weń wilgoć ogrodu, szum wierzchołków drzew, przypominający przybój morza, zapach chłodnego górskiego powierza. Przeniknęły go fale. Stał się piaskiem ugniatanym w deszczu przez bose stopy. Brzęczeniem owadów w kraju, w którym zawsze świeciło słońce. Chrzęstem świeżego białego śniegu pod nartami. Oddychał głęboko. Całował. Śmiał się. Całe jego ciało stało się złocistą poświatą, letnim wieczorem u boku kobiety, w wielkim mieszczańskim salonie…

Otworzył oczy. Psychiatra zniknął.

Usłyszał kroki, całkowicie realne, dochodzące z niższych tarasów. Poszukał wzrokiem. W dole poruszyły się kaktusy. Serce mu zamarło.

Te kaktusy to zabójcy w czarnych, eleganckich garniturach.

Posuwali się do przodu, nie zachowując szczególnej ostrożności, depcąc rośliny, odgarniając inne rękami. Narcyz widział ich marynarki zapięte na ostatni guzik. Każdy z nich trzymał pistolet z tłumikiem. Na ten widok przeszła mu przez głowę myśl, że zostawił swojego glocka w pokoju.

Stawiali już nogi na pierwszej płycie ścieżki. Spojrzeli do góry, ku budynkom. Narcyz, stojąc wśród kaktusów, był całkowicie zasłonięty. Scena ta przypominała mu tę z Marsylii, gdy stojąc na wysokich schodach, patrzył z góry na członków bandy.

Zaczęli wchodzić pod górę. Ukryty wśród kaktusów Narcyz przeszedł ostatnie metry dzielące go od warsztatów. Na szczęście jego bluza i spodnie były w ciemnym kolorze. Nie był więc widoczny na tle drzew.

Pobiegł przejściem wzdłuż budynku i wślizgnął się do środka. Kontakt z cementową podłogą go uspokoił. Zamknął cicho drzwi, łapiąc oddech.

Korytarz. Jeśli dobrze pamiętał, na lewo znajdowały się schody zewnętrzne, które prowadziły do pokoi. Wszędzie było pusto. Pora kolacji

zgromadziła wszystkich w innym budynku. Kiedy znalazł się w swoim pokoiku, wsunął rękę pod materac i znalazł pistolet. Była tam również teczka śledztwa w sprawie zabójstwa Ikara, a także nóż marki Eickhorn i zeszyt Narcyza. Jego jedyny majątek. Jedyny bagaż. Wsunął pistolet za pasek od spodni, nóż do kieszeni, dokumenty do marynarki, którą włożył na bluzę. Wziął pod pachę spodnie od garnituru, w które zamierzał przebrać się później.

Rzut oka na lewo w korytarzu – nikogo. Serce pompowało mu gwałtownie krew do żył. Za późno, by użyć schodów. Pobiegł w przeciwnym kierunku. Na końcu korytarza zobaczył okno. Otworzył je, wyszedł na zewnątrz i stanął na występie biegnącym wzdłuż ściany. Pod stopami trzy metry pustki. Jeśli wyceluje w listowie drzew, skok może się udać. Zamknął oczy i skoczył. Wydawało mu się, że spada całe wieki, zanim wylądował. Otarł się o gałęzie, które zatrzeszczały, drapiąc go. Kiedy już upewnił się, że siedzi na grubszym konarze, pomacał się po twarzy i całym ciele. Nie ma krwi. Żadna kość nie została złamana. Nic go nie bolało. Wyszedł z tego bez szwanku. Otrzepał się i opuścił na ziemię, szczęśliwy, że pod nogami ma twardy grunt. W końcu udało mu się wydostać z krzaków. Zdjął marynarkę i zawiązał ją wokół pasa.

Nie pozostawało już nic innego, jak tylko uciekać. Cały czas trzymając spodnie pod pachą, rzucił się w zarośla. Gałęzie smagały go po twarzy, pnie drzew pojawiały się tuż przed nim, kamienie obsuwały mu się spod nóg. Mimo że hamował piętami, biegł po zboczu coraz szybciej, nie będąc w stanie omijać przeszkód. Ogłuszony, poobijany, pocieszał się, że w końcu trafi na drogę. Zatrzyma jakiś samochód. Dojedzie do miasteczka. Ale wciąż zadawał sobie pytanie: jakim sposobem odnaleźli go zabójcy? Co właściwie o nim wiedzieli?

Kursor GPS zatrzymał się około dwudziestej pierwszej. Gdzieś w górach, za miejscowością Carros. Terenowy wóz z napędem na cztery koła znajdował się tam do drugiej nad ranem. Kiedy Anaïs dotarła do przedmieść Nicei, kursor drgnął: zabójcy znowu ruszyli w drogę. Przez moment walczyła z pokusą, by pojechać autostradą ich śladem, chciała jednak zobaczyć miejsce, gdzie spędzili część tej nocy. Wyobrażała sobie najgorsze, że odnaleźli Janusza. Torturowali go. Zabili. Okaleczyli…

Dojechała do miejsca wskazanego przez GPS około trzeciej nad ranem. Był to instytut psychiatryczny noszący nazwę Villa Corto. Skręciła ostrożnie na drogę gruntową. Wkrótce w świetle reflektorów zobaczyła scenę niczym z koszmarnego snu. Przy ścieżce płakał klown z twarzą umalowaną na biało. Dalej jakiś mężczyzna maszerował w powietrzu nad piniami na wysokości dwóch metrów nad ziemią. Na progu pierwszego budynku instytutu stał olbrzym cały wymalowany na czarno: od stóp w żołnierskich buciorach do czubka głowy.

Anaïs wysiadła z samochodu, z bronią w ręku. Pojęła, że nie były to halucynacje. To wszystko działo się naprawdę.

Klown podszedł, ocierając oczy. Rozmazany przez łzy makijaż wyglądał koszmarnie. Był tu także człowiek maszerujący w powietrzu. Cud okazał się najzwyczajniejszą w świecie rzeczą – mężczyzna przemieszczał się na szczudłach. Przemawiał do koron drzew, jakby definitywnie porzucił ziemski świat i zrozumiał sekret ptaków.

Anaïs skierowała się do głównego budynku z oświetlonymi oknami. Omal nie potknęła się o siedzącą na ziemi starą, mocno umalowaną kobietę. Rozpaliła ognisko, na którym gotowała w garnku makaron. Próbując go z pomocą długiej szpachelki, cały czas jęczała.

Anaïs skinęła jej głową, ale na zadane pytanie usłyszała tylko tyle:

– Mam kłopoty z celnikami. Nie chcą przepuścić moich prac…

Zostawiła więc tę kobietę i weszła do jadalni. Dalszy ciąg karnawału. Jakiś Pierrot z obwiedzionymi na czarno oczami skakał po stole, wydając z siebie pomruki. Inny miał na głowie kapelusz z doczepionymi anielskimi włosami. Gryzł pięść wystającą z rękawa puloweru, a z ust ciekła mu strużka śliny. Jeszcze inny, w słomkowym kapeluszu, siedząc po turecku na stole, grał na flecie powolną, melancholijną melodię z japońskimi akcentami. Anaïs zauważyła, że sikał pod siebie.

Co tu się działo?

Gdzie byli pracownicy?

Weszła na pierwsze piętro. Korytarz o cementowych ścianach. Drewniane drzwi. Atmosfera przypominała dom pogrzebowy. Taki sam chłód, takie same nagie ściany. W drugim pokoju na prawo zobaczyła trzy trupy. Dwaj potężni mężczyźni postrzeleni w piersi pociskami dużego kalibru. Trzeci, przy jednym z biurek, nagi, skrępowany, w stanie o wiele bardziej przerażającym niż tamci dwaj.

Anaïs włożyła rękawiczki z lateksu. Zamknęła drzwi, bo szaleńcy szli za nią. Musiała dokonać rekonstrukcji wydarzeń. Zabójcy przybyli o dwudziestej pierwszej. Zabili pielęgniarzy z bardzo bliska z broni kalibru .45 lub .44. Następnie zajęli się tym, który wyglądał na dyrektora. Wiek niemożliwy do dokładnego określenia, chyba około sześćdziesięciu lat. Twarz miał zmasakrowaną: wyłupione oczy, zamiast nosa krwawiąca dziura. Pocięte policzki odsłaniały zmaltretowane dziąsła, rany po wyrwanych zębach. Głowa pochylona na bok – pewnie przetrącono mu kark.

Czy coś powiedział? Przecież nikt nie wytrzymałby takich tortur. Nie ma powodu sądzić, że ten chudy psychiatra, raczej w starszym wieku, odgrywał bohatera. Ale czasem wystarczy ten jeden raz, żeby wykazać się odwagą… Dowodzą tego wszystkie wojny. Poza tym gabinet został przeszukany, wszystko powywracane, połamane. A to pozwalało przypuszczać, że te łotry nie uzyskały odpowiedzi na zadawane pytania.

Anaïs była zdziwiona własnym spokojem, zimną krwią. Te świadectwa barbarzyństwa odbierała jak coś, co było jej znane od dawna. Całymi nocami wyobrażała sobie, co robił jej ojciec więźniom politycznym w Chile. Teraz zobaczyła to jako krwawą rzeczywistość.

Obrzuciła wzrokiem zwalone na podłogę przedmioty i książki. Nie miało sensu czegokolwiek tu szukać. Goście nie zostawili jej niczego. Komputer na biurku był rozbebeszony. Zabrano twardy dysk.

Anaïs wiedziała już, że Janusz na innym etapie życia spędził jakiś czas w tym instytucie dla psychicznie chorych. Może przyjechał do Carros, szukając schronienia po ucieczce z Nicei? W każdym razie zabójcy zjawili się tutaj, tak właśnie myśląc. Może ktoś ich powiadomił. Któryś z pielęgniarzy? Jakiś pacjent? Jeśli Janusz tu był, to tamci przybyli za późno. Poddali przesłuchaniu dyrektora. Nie żałowali swojego czasu. Anaïs wiedziała, że spędzili w klinice całe cztery godziny. Cztery godziny takich tortur.

Wyjęła swojego iPhone’a i włączyła GPS. Ci dranie minęli już Lyon i jechali w kierunku Paryża. Czy wiedzieli, dokąd udał się Janusz? Odbezpieczyła glocka, postanawiając zrobić szybki obchód terenu, zanim ruszy tą samą drogą.

W drugim budynku nie znalazła nic interesującego. To miejsce najwyraźniej było poświęcone terapii przez sztukę. Na parterze znajdowały się atelier wypełnione najróżniejszymi dziełami. Szaleńcy towarzyszyli jej cały czas. Wyglądali tak, jakby spodziewali się, że zajmie się nimi, powie, co mają robić, pomoże. Źle trafili, bo sama czuła się tak jak oni.

Przechodząc ponownie przez salę jadalną, zobaczyła na ścianie zdjęcia grupowe. Na tym z poprzedniego roku bez trudu rozpoznała Janusza. Miał na sobie kitel malarski. Po raz pierwszy widziała go tak szczerze uśmiechniętego. Wydał się jej jeszcze bardziej przystojny i…

Czyjś brudny palec dotknął twarzy Janusza. Anaïs drgnęła. Był to Pierrot z przyczernionymi oczami.

– Narcyz – mruknął, stukając palcem po fotografii. – Narcyz! Narcyz! Wyjechał!

– Kiedy?

Pierrot się zamyślił. Miał wyłupiaste oczy i przypominał Roberta Smitha, piosenkarza z zespołu The Cure.

– Wczoraj – odpowiedział z wysiłkiem.

Zerwała zdjęcie ze ściany i schowała do kieszeni, żeby nie powiązano jej protegowanego z tą nową masakrą. Przy okazji przypomniała sobie pewien szczegół. Narcyz. Crosnier mówił, że Janusz właśnie tak przedstawił się w ośrodku dla bezdomnych w Marsylii. Czy to jego poprzednia osobowość z czasu pobytu w instytucie?

Pobiegła szybko do samochodu, nie zwracając uwagi na podążających za nią szaleńców. Ruszając, omal nie przejechała jednego z nich. Kiedy wyjeżdżała na drogę, przyszła jej do głowy pewna myśl. Masakra świadczyła o tym, że Janusz żyje. Mimo woli ucieszyła się z tego. Przeżegnała się, myśląc o dyrektorze i jego pielęgniarzach.

W lusterku wstecznym zobaczyła, że po drodze gruntowej biegnie za samochodem kilku pensjonariuszy. Nie można zostawić tych nieszczęśników na pastwę losu.

Wyjęła telefon komórkowy i wybrała numer z listy.

– Crosnier?

Płótna przywodziły na myśl muzyczne partytury. Pięciolinie, nuty, krzyżyki i bemole. Linie nie były proste, okalały głowy, postacie, symbole, które jakby zostały zaproszone do tej niezwykłej muzyki.

Narcyz nachylił się, żeby lepiej odróżnić figury. Zamaskowany mężczyzna. Delfiny. Ślimacznice. Całość w tonacji ochry i złota przywoływała wyobrażoną przez malarza kosmogonię. Na białych ścianach galerii złociste płótna błyszczały niczym olbrzymie ikony.

– Proszę nie dotykać! To Wolfli!

Narcyz się odwrócił. Szedł ku niemu mężczyzna w szarym połyskliwym garniturze, którego kolor pasował do jego włosów. Około sześćdziesięciu lat, markowe okulary, zadbana sylwetka. Narcyz szeroko się do niego uśmiechnął. Tego ranka gotów był się uśmiechać do każdego. Wciąż nie wierzył, że udało mu się dotrzeć do Paryża, a zwłaszcza tutaj, do galerii Villon-Pernathy na ulicy de Turenne 18, na obrzeżu dzielnicy Marais.

Poprzedniego dnia, gdy wydostał się z lasu, trafił na drogę departamentalną. Prawie natychmiast pojawiła się ciężarówka. Narcyz machinalnie podniósł kciuk. Kierowca się zatrzymał. Wiózł żywicę epoksydową do regionu paryskiego. Zgodził się zabrać Narcyza, pod warunkiem że co jakiś czas zastąpi go za kierownicą. Trudno było marzyć o lepszej okazji. Jechali tak całą noc, prowadząc na zmianę i wymieniając nieistotne uwagi między snem a czuwaniem.

O godzinie szóstej rano Narcyz znalazł się w paryskim metrze, przy Porte de la Chapelle. Poczuł się tutaj jak u siebie. Znał linie metra, dzielnice, nazwy ulic. Potrafił orientować się w stolicy. Kupił bilet i wsiadł do linii numer 12. Pojechał w kierunku Mairie d'Issy. Obserwując migające stacje, po raz kolejny powtórzył sobie, że znowu udało mu się wyjść cało z opresji. Na jak długo? Jak go odnaleźli ci karawaniarze? Czy zamierzali przeszukać wszystkie budynki? Przesłuchać dyrektora? Nie było żadnego sposobu, żeby się tego dowiedzieć.

Wysiadł na stacji Madeleine, doszedł pieszo do ulicy Royale. Czuł w kieszeni kopertę pełną euro. Uspokajało go to bardziej niż glock za paskiem spodni. Place de la Concorde. Skręcił w prawo i wszedł do jednego z najbardziej luksusowych hoteli w stolicy: le Crillon. Liczył na dwie rzeczy. Tego rodzaju pałac był miejscem, gdzie nie żąda się na wstępie okazania dokumentu tożsamości. Za taką cenę zawsze okazują człowiekowi pewną wyrozumiałość. Poza tym le Crillon był ostatnim miejscem, gdzie szukano by uciekającego kloszarda.

Powiedział, że zgubił portfel. Zapłacił za pokój z góry gotówką, prawie tysiąc euro, i obiecał wypełnić deklarację zgubienia dokumentów nazajutrz rano. Personel w recepcji nawet nie mrugnął okiem na widok jego podartej marynarki. Prowokacyjnie, dla żartu, podał dane Mathiasa Freire'a. Nie bał się niczego. Gdy tylko wsiadł do metra, zorientował się, że nikt go w Paryżu nie szuka. To, co uchodziło za tragedię w Bordeaux czy w Marsylii, w stolicy tonęło w natłoku wydarzeń.

Poszedł do swojego pokoju, wziął prysznic. Odkrył, że nie jest mu obcy komfort pięciogwiazdkowego hotelu. Potem schował do sejfu dossier swojego śledztwa. To wszystko wydawało się snem. Wymknął się zabójcom. Miał kieszenie pełne pieniędzy. W stolicy mógł się cieszyć niespodziewaną swobodą.

Poprosił, by przyniesiono mu przybory do golenia oraz strzyżenia i zrobił porządek ze swoją głową. Przespał się dwie godziny, po czym wsiadł do taksówki. Kazał kierowcy zatrzymać się na ulicy François-I przed eleganckim sklepem dla panów. Wybrał prosty, ciemny garnitur z fil a filu, jasnoniebieską koszulę, bez krawata, mokasyny z czarnego zamszu. W kabinie, w przebieralni, przełożył do nowej marynarki notes Narcyza i kluczyk od kajdanek, który zabrał strażnikowi w budynku sądu w Marsylii – to był jego talizman. Kupił także dwa paski. Jeden do spodni, by łatwiej było schować

pistolet. Drugim owinął łydkę i wsunął tam nóż marki Eickhorn, jakby się wybierał na podwodne łowy.

– Narcyz? To naprawdę pan?

Mężczyzna w szarym garniturze, bez wątpienia właściciel galerii, spoglądał na niego zaskoczony.

– Tak, to ja. Czy my się znamy?

– Znam pańskie autoportrety. Corto mówił mi, że pan zniknął…

– To było chwilowe.

Gospodarz wyraźnie czuł się nieswojo. Wyciągnął rękę.

– Nazywam się Philippe Pernathy. Jestem właścicielem tej galerii. Wystawa pańskich dzieł była prawdziwym sukcesem.

– Słyszałem.

– Czy… czy pan nadal maluje?

– Nie.

– Czego pan sobie życzy?

Każda sekunda potwierdzała, że Pernathy nie cieszy się ze spotkania. Dlaczego?

– Chciałbym zobaczyć moje obrazy.

Właściciel jakby odetchnął z ulgą. Wziął Narcyza pod ramię i podprowadził go do swojego biurka w głębi sali.

– Oczywiście. Mam je tutaj na zdjęciach i…

– Nie. Chcę zobaczyć oryginały.

– To niemożliwe. Sprzedałem wszystkie pańskie prace.

– Wiem. Chciałbym dostać nazwiska i adresy nabywców.

– Nie ma mowy. To informacje poufne.

Narcyz w końcu zrozumiał. Problem był natury finansowej. Ten cwaniak sprzedał obrazy za cenę o wiele wyższą, niż podał dyrektorowi Corto. Zląkł się, że artysta skontaktuje się z jego klientami.

– Mam gdzieś pańskie szwindle – oznajmił. – Po prostu muszę je zobaczyć!

– Nie. To… niemożliwe.

Narcyz złapał go za poły marynarki.

– Wie pan, kim jestem, tak? Z wariatami nietrudno o wypadek!

– Nie mogę podać panu nazwisk – wyjąkał właściciel. – To klienci, którzy pragną zachować anonimowość, ja…

Urwał, gdy Narcyz wyjął swojego glocka i przytknął mu do szczęki.

– Nazwiska – syknął przez zęby. – Zanim zdarzy się coś niedobrego.

Pernathy skulił się, jakby pękły mu ze dwa żebra. Trzęsąc się, czerwony na twarzy, obszedł biurko i chwycił mysz komputera. Klikał wiele razy. Narcyz zobaczył szereg nazwisk odbitych w jego okularach. Drżącą ręką drań włączył drukarkę.

– Niech się pan czegoś napije – poradził mu Narcyz. – Dobrze to panu zrobi.

Właściciel galerii posłusznie otworzył małą lodówkę ustawioną za zbiornikiem z wodą, na drugim końcu biurka. Wyjął puszkę coli zero.

– Mógłbym też dostać?

Minęło kilka surrealistycznych sekund. Pili w milczeniu przy szumie drukarki. Narcyz cały czas trzymał broń przy policzku faceta. Na prawo dostrzegł czarno-białą fotografię dużych rozmiarów, przedstawiającą łysego mężczyznę o intensywnym spojrzeniu czarnych oczu, w spodniach z szelkami. Trzymał w ręku papierową trąbkę.

– Kto to?

– Adolf Wolfli. Organizuję retrospektywną wystawę. To najznakomitszy prymitywista naszych czasów.

– Był psychicznie chory? – zapytał Narcyz, wpatrując się w portret.

Pernathy zaczął mówić bardzo szybko, nie robiąc żadnych przerw:

– Można tak powiedzieć. Po kilku próbach gwałtu na dzieciach został uznany za niepoczytalnego. Zamknięto go w zakładzie psychiatrycznym w pobliżu Berna. Nigdy stamtąd nie wyszedł. Tam właśnie zaczął rysować. Początkowo miał prawo wyłącznie do jednego ołówka i dwóch arkuszy niezadrukowanego papieru gazetowego na tydzień. Czasami rysował resztką grafitu długości zaledwie kilku milimetrów. Zapełnił w ten sposób tysiące kartek. Kiedy zmarł, jego cela wypełniona była od podłogi do sufitu luźnymi rysunkami i własnoręcznie robionymi albumami.

– Ale skąd ta papierowa trąbka?

– Grał na niej własne kompozycje. Nie był muzykiem, ale twierdził, że zapisuje nuty w mózgu.

Narcyzowi zakręciło się w głowie. Szalony przestępca, który swoje brutalne popędy wyrażał w niekończących się pięcioliniach i arabeskach. Jak on sam?

– Moja lista nazwisk – powiedział głuchym głosem.

Właściciel galerii podał mu wydruk. Jego twarz przybrała z powrotem normalną barwę. Wyprostował się. Najwyraźniej marzył, by jak najszybciej pozbyć się malarza wariata.

Narcyz rzucił pobieżnie okiem na nazwiska – wszystkie były mu nieznane. Większość tych ludzi mieszkała w Paryżu. Łatwo będzie ich odnaleźć. Przy każdym nazwisku zaznaczony był tytuł sprzedanego obrazu. *Senator. Listonosz. Admirał…*

Wsunął z powrotem pistolet za pasek od spodni i skierował się do drzwi, kiedy przyszła mu do głowy inna myśl.

– Opowiedz mi o Courbecie. – Nagle przeszedł na ty.

– O Courbecie? Ale o co dokładnie panu chodzi?

– Opowiedz o obrazie *Zraniony mężczyzna*.

– Nie jestem specjalistą od tego okresu.

– Mów, co wiesz.

– Wydaje mi się, że Courbet namalował ten autoportret pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem dziewiętnastego wieku. Czy coś koło tego. To słynny przykład.

– Czego?

– *Pentimento*. To po włosku „skrucha”. Tak mówi się o obrazie, który artysta poprawił w znaczący sposób. Albo na którym namalował inny obraz.

W głębi jego umysłu zabrzmiało zdanie: „Moje malarstwo to tylko wyraz skruchy”. Nie chodziło o to, że przez sztukę wyrażał swoje wyrzuty sumienia, lecz miało to znaczyć, że najpierw na tych płótnach malował inne obrazy. Według relacji Corto powiedział przecież także: „Nie należy ufać temu, co się widzi”. Jego autoportrety były jedynie kamuflażem…

– *Zraniony mężczyzna*.

– To podręcznikowy przykład – oświadczył Pernathy spokojniejszym głosem. – Historycy zawsze zastanawiali się, dlaczego Courbet przedstawił siebie jako mężczyznę leżącego pod drzewem, z raną w sercu. Wiele lat później zrozumiano, że w tym obrazie krył się pewien sekret. Na początku artysta namalował siebie razem ze swoją narzeczoną. Zanim ukończył obraz, dziewczyna go porzuciła. Zrozpaczony Courbet usunął ją z obrazu i zastąpił symbolicznie tą krwawiącą raną w sercu. Fizyczna rana symbolizuje zranioną miłość.

– Jak to odkryto? – zapytał Narcyz z wewnętrznym niepokojem.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku prześwietlono obraz promieniami rentgenowskimi. Spod pierwszej warstwy wyłoniła się postać narzeczonej, wtulonej w ramiona Courbeta leżącego pod drzewem.

Krew uderzyła mu do głowy, ręce zaczęły drżeć. Pod każdym z jego autoportretów krył się inny obraz. Prawda ujawniająca, kim był na samym początku, kto zabijał kloszardów.

Prawda, którą mógłby zobaczyć w promieniach Roentgena.

Zanim wyszedł, rzucił ostrzegawczym tonem:

– Dla nas obu będzie lepiej, jeśli zapomnimy o tym spotkaniu.

– Rozumiem.

– Nic nie rozumiesz. Nie próbuj uprzedzać swoich klientów o mojej wizycie. Bo w przeciwnym wypadku tu wrócę.

Narcyz czuł się tak, jakby był w posiadaniu listy członków sekretnego klubu. Grupy wtajemniczonych, którzy żerowali na jego szaleństwie. Wampirów psychicznych. Perwersyjnych złodziei. Przy nazwisku każdego kolekcjonera widniał nie tylko adres, ale także kod do drzwi wejściowych, dane do domofonu, numer komórki. Galeria Pernathy dostarczała obrazy do domów. Potrzebne informacje zostały przeniesione do komputera. Wystarczyło tylko dzwonić do drzwi.

Narcyz miał wrażenie, jakby odżył na nowo w Paryżu. Dzień był szary, taki, jak to się zdarza tylko w stolicy. Bez chmur, bez deszczu. Jedynie wisząca nad miastem ciężka kurtyna wilgotnego zanieczyszczonego powietrza. Czegoś, co nie miało ani początku, ani końca, bez żadnej nadziei na zmianę w ciągu dnia. Cieszyło go to. Ta monotonia, ta szarość stanowiąca kanwę jego początków.

Pierwszy na liście, Whalid El-Khoury, mieszkał na alei Focha. Narcyz poprosił kierowcę taksówki, by zaczekał przed budynkiem, po czym cierpliwie pokonywał wszystkie przeszkody. Kod przy bramie. Kod przy wejściu. Domofon. El-Khoury był nieobecny. Narcyz usiłował przekonać lokaja, że chciałby wjechać na górę i dostarczyć przesyłkę. Miał nadzieję, że przynajmniej wejdzie do mieszkania i zobaczy swój obraz. Służący poradził mu, żeby zostawił paczkę u dozorcy.

Narcyz podał kierowcy następny adres, najbliższy alei Focha – ślepy zaułek przy alei Victor-Hugo. Wcześniej obmyślił całą trasę według lokaliza-

cji mieszkań kolekcjonerów.

Wille i kamienice ukrywały się starannie w małej uliczce za sosnami i cyprysami. Każda z rezydencji wydawała się ilustracją maksymy: „Aby żyć szczęśliwie, żyj w ukryciu”. Jednak kamienica Simona Amsallema, jego drugi cel, przeciwstawiała się tej tendencji. Była to budowla z początku XX wieku, ozdobiona ornamentyką mauretańską i włoską oraz białym stiukiem. Wieżyczki, rotundy, kariatydy, balkony, balustrady – natłok wszystkiego bez żadnej logiki i harmonii. Dom Amsallema wystrzeliwał w zimnym powietrzu niczym korek od szampana.

Narcyz przedstawił się przy domofonie. Został od razu wpuszczony przez lokaja z Filipin. Podał nazwisko, którym podpisywał się jako malarz. Służący bez słowa poszedł powiadomić swego pana. Narcyz został sam w holu z biało-czarną posadzką. Na ścianach, oświetlonych jedynie diodami LED, wisiały obrazy reprezentujące sztukę prymitywną, naturalistyczną.

Wielki obraz narysowany ołówkiem na kartonie pakunkowym przedstawiał widok z góry na małe miasteczko otoczone licznymi drogami. Z pewnej odległości dawało się zauważyć, że główne osie przecinają twarz czarownicy z otwartymi ustami, jakby gotowymi do wyplucia mieściny. Tryptyk wykonany kredą ukazywał tę samą twarz zdeformowaną trzema różnymi uczuciami: osłupieniem, niepokojem, przerażeniem. Przekrwione oczy, fioletowe sińce, udręczona mina – wszystko jakby namalowane krwią.

Inne obrazy w stylu bliskim amerykańskim komiksom z lat sześćdziesiątych ukazywały sceny z francuskiego życia codziennego: zakupy, aperitif w kawiarni, wiejskie przyjęcia… Obrazy te mogłyby dawać ukojenie, ale postacie na nich krzyczały w milczeniu, odsłaniając zęby, otoczone gnijącymi trupami i obdartymi ze skóry zwierzętami…

– Narcyz, to ty?

Odwrócił się i zobaczył mężczyznę w średnim wieku, korpulentnego, w białym dresie. Nosił okulary słoneczne marki Ray-Ban Aviator i jarmułkę przypiętą do siwych włosów. Spocony, szyję miał owiniętą białym ręcznikiem. Musiał przed chwilą skończyć ćwiczenia gimnastyczne. Narcyz był ciekaw, czy również miał wtedy na głowie swoją czapeczkę.

Facet objął go, jakby witając po długiej nieobecności. Przyglądał mu się przez kilka sekund, po czym wybuchnął śmiechem.

– Jakże się cieszę, chłopie, że cię widzę! Już od miesięcy śpię z twoją głową nad łóżkiem!

Gestem ręki wskazał na duży salon po prawej stronie. Narcyz wszedł do pokoju urządzonego z nowobogackim przepychem. Kanapy obite złotawym welurem. Poduszki z białego futra. Orientalne dywany na marmurowej podłodze, a na kominku olbrzymia menora, siedmioramienny hebrajski świecznik.

Wszechobecna była sztuka marginesu. Rzeźby o przesadnie prymitywnym charakterze wykonane z puszek od konserw. Naiwne obrazy namalowane na starych stelażach. Szkice z tajemniczymi inskrypcjami. Narcyzowi przyszła na myśl fatalnie fałszująca orkiestra dęta z instrumentami perkusyjnymi i miedzianymi trąbami. Całość pasowała do dziwacznego wyglądu fasady budynku.

Kolekcjoner opadł ciężko na jedną z kanap. Pod rozpiętą bluzą dresową nosił T-shirt z napisem z gotyckich liter FAITH.

– Siadaj, masz ochotę na cygaro?

– Nie, dziękuję – odparł Narcyz, siadając naprzeciwko swego rozmówcy.

Amsallem wyjął jedno cygaro z chińskiego pudełka z laki, po czym zamknął wieczko. Wziął gilotynkę z uchwytem z kości słoniowej i obciął nią czubek cygara. W końcu włożył je między olśniewająco białe zęby i zapalił, wypuszczając kłąb błękitnawego dymu. Machina została wprawiona w ruch.

– W sztuce prymitywnej najbardziej pasjonuje mnie – powiedział, jakby zaczynał wywiad – wolność. Czystość. Wiesz, jak określał to Dubuffet?

Narcyz grzecznie pokręcił głową.

Gospodarz kontynuował żartobliwym tonem:

– „Rozumiemy przez to dzieła artystyczne wykonane przez osoby pozbawione w ogóle wykształcenia artystycznego, niemające do czynienia ze sztuką, u których przejawia się jedynie inwencja kameleona i małpy, przy braku znajomości kanonów sztuki klasycznej”. Niezłe, co?

Wypuścił duży kłąb dymu i nagle spoważniał.

– Groźną trucizną – powiedział cicho – jest tutaj wykształcenie. Niszczy oryginalność, indywidualność, kreatywność. – Machnął cygarem. – Narzuca swoją cholerną wiedzę polityczną!

Narcyz wciąż mu przytakiwał. Postanowił odczekać, zanim przejdzie do celu swojej wizyty. Mówca oparł stopy na niskim stoliku ze złoconym ornamentem.

– Chcesz przykładu? Oto jeden. Weź Madonny z Dzieciątkiem z doby renesansu. Da Vinci, Tycjan, Bellini… Są nadzwyczajne, zgoda, ale nie pasuje mi pewien szczegół. Mały Jezus nigdy nie jest obrzezany. *Mazeł tow!* U katolików Chrystus nie jest nawet Żydem!

Amsallem ułożył wygodniej nogi na stoliku i nachylił się do Narcyza z miną konspiratora.

– Przez całe wieki sztuka podlizywała się władzy! Podtrzymywała najgorsze kłamstwa. Podsycała w Europie nienawiść do Żydów! Wszystkie te obrazy z malutkim gojem legły u podstaw antysemityzmu! – Spojrzał na zegarek i zapytał brutalnie: – Właściwie po co przyszedłeś?

Narcyz odpowiedział w tym samym tonie:

– Zobaczyć mój obraz.

– Nic łatwiejszego. Jest w mojej sypialni. To wszystko?

– Nie. Chcę… Chciałbym go pożyczyć na jeden dzień.

– W jakim celu?

– Muszę coś sprawdzić. Zaraz potem go zwrócę.

Amsallem bez najmniejszego wahania wyciągnął rękę nad stolikiem.

– *Done!* Dam ci go, chłopie. Mam do ciebie zaufanie.

Narcyz, zdezorientowany, uścisnął jego dłoń. Oczekiwał większych trudności. Amsallem domyślił się jego zdziwienia. Wyjął cygaro z pulchnych ust, wydmuchując długi kłębek dymu.

– We Francji macie coś takiego, co nazywa się moralnym prawem artystów. Uważam je za słuszne. Kupiłem twój obraz, ale ty pozostajesz jego twórcą. To płótno będzie należeć do ciebie przez wieki! – Zerwał się gwałtownie. – Chodźmy.

Narcyz ruszył za nim korytarzem obitym czarną satyną. Złocenia, tapety, marmury widoczne były z progu każdego pokoju. Pełno było wszędzie, jak u weneckiego antykwariusza, włoskich popiersi, gobelinów, politurowanych mebli.

Amsallem wszedł do pokoju z biało-złotym łożem. Nad łóżkiem wisiał obraz w ramie sto na sześćdziesiąt centymetrów. Kolekcjoner kupił jego *Klowna*. Biała, obsypana mąką twarz, dwie czarne kreski nad oczami, trąbka i piłka.

Narcyz podszedł bliżej. Odnalazł czerwonawą tonację, wyrazistość rysów, ironiczne skrzywienie na twarzy, ale jednocześnie odkrył wypukłości na swoim płótnie. Dzieło do dotykania i zarazem do oglądania. Kolory pię-

trzyły się niczym strumienie lawy, tworzyły poskręcane, wściekłe, gwałtowne bruzdy. Klown przedstawiony był od dołu, przez co wydawało się, jakby górował nad wszystkimi.

Jednocześnie jednak jego śmieszny makijaż, zalękniona, żałosna twarz odbierały mu wszelkie wrażenie dominacji. Obraz ukazywał tyrana i zarazem niewolnika, pana i poddanego. Może to symboliczna oznaka jego przeznaczenia?

Amsallem klepnął go po plecach.

– Masz talent, chłopie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości!

– Matrioszka… czy to coś panu mówi?

– Rosyjskie lalki? Nie. A dlaczego pytasz?

– Nieważne.

Amsallem zdecydowanym ruchem zdjął obraz ze ściany i usłużnym tonem sprzedawcy w sklepie zapytał:

– Czy zapakować, proszę pana?

– Gdzie może być teraz Narcyz?

Philippe Pernathy poruszył się nerwowo. Wokół niego na białych ścianach wisiały płótna. Przedziwne partytury, okrężne pięciolinie z tysiącami nut i niepokojących figur.

Anaïs była w doskonałej formie. Wciąż pod wpływem amfetaminy. Porozumiawszy się z Crosnierem, pojechała prosto na lotnisko w Nicei. Marsylski policjant przejął pałeczkę. Zgodził się nawet zataić jej obecność na miejscu zbrodni. Kupiła bilet na rejs do Paryża o dziesiątej dwadzieścia. Cały czas podążała za najemnikami trasą, którą odczytywała na iPhonie. Gdy wsiadała do samolotu, oni byli przy Porte de la Chapelle.

Wylądowała w stolicy godzinę później. Tamci zdążyli już być na ulicy de Turenne w okolicy numerów osiemnaście i dwadzieścia, gdzie spędzili około dwudziestu minut. W tym samym czasie ona wynajęła samochód na Orly. Przez chwilę obawiała się, że z powodu jej niewzbudzającego zaufania wyglądu dziewczyna w okienku Avisu nie zechce podpisać z nią umowy. Ostatecznie dostała opla corsę wyposażonego w GPS. Nie znała Paryża na tyle, żeby się w nim nie zgubić.

Tymczasem zabójcy ruszyli już w kierunku alei Focha. Najwyraźniej jechali konkretną trasą, której Anaïs nie potrafiła odgadnąć. Miała tylko nadzieję, że nie wybrukują swojej drogi trupami.

Opuściła galerię Pernathy w dobrym nastroju. Facet dostarczył jej istotnych informacji. Narcyz był malarzem z Villi Corto.

Pernathy niedawno sprzedał paryskim kolekcjonerom wszystkie jego znane obrazy – około trzydziestu – namalowane we wrześniu i październiku 2009 roku.

Mniej więcej takich właśnie odpowiedzi się spodziewała. Zanim został Mathiasem Freire'em, psychiatrą, i Victorem Januszem, bezdomnym, ten przystojny ponurak był Narcyzem, szalonym malarzem z okolic Nicei…

Właściciel galerii pokazał jej zdjęcia jego prac. Były to dziwaczne autoportrety, na których artysta namalował siebie w różnych wcieleniach. W kolorystyce przeważała tonacja czerwona – barwa krwi, w ujęciu tematu dominowały dwie tendencje – na poły epiczna, na poły kpiąca. Można by powiedzieć, że były to kompozycje zdeformowane przez fałszywie grającą orkiestrę.

– Czy przyszedł dziś ktoś do pana w sprawie Narcyza?

– On sam był tutaj.

– O której godzinie?

– Około jedenastej.

O tej porze samochód zabójców stał przed galerią. Tak więc dobrze się domyślała. Wytropili swoją zwierzynę. Jechali za nią, czekając na okazję, żeby ją zabić. Serce podskoczyło jej w piersi.

– Czego chciał?

– Zobaczyć obrazy.

– Pokazał mu je pan?

– To niemożliwe, bo wszystkie sprzedałem. Zażądał ode mnie listy kolekcjonerów, którzy kupili te płótna.

– Dał mu ją pan?

– Był uzbrojony!

Anaïs rzuciła okiem na iPhone'a – wóz terenowy Q7 po postoju na alei Victor-Hugo odjechał w kierunku Trocadero. Instynktownie odgadła, że Janusz odwiedza kolekcjonerów, a myśliwi podążają jego śladem.

– Proszę mi zrobić kopię tej listy. Natychmiast.

– Jest poufna. To…

– Proszę wydrukować, zanim sytuacja się pogorszy. Dla pana.

Właściciel galerii obszedł biurko, włączył komputer. Prawie natychmiast ruszyła drukarka. Anaïs znowu spojrzała na ekran iPhone'a. Zabójcy przejechali na drugi brzeg Sekwany.

– Proszę. – Pernathy położył listę na biurku.

– Ma pan pisak?

Mężczyzna podał jej pomarańczowy marker. Lista zawierała około dwudziestu nazwisk – większość z Paryża. Podkreśliła nazwiska Whalida El-Khoury, aleja Focha, potem Simona Amsallema, Villa Victor-Hugo. Który kolekcjoner będzie następny? Rzut oka na ekran – zabójcy jechali nadbrzeżem w kierunku bulwaru Saint-Germain.

– Czego jeszcze chciał Narcyz? – zapytała, wracając do Pernathy'ego.

– Niczego. Wyszedł z listą. To wszystko.

– Nikt inny nie odwiedził pana dziś rano?

– Nie.

Coś tu nie grało. Gdyby ci zawodowcy chcieli zabić Janusza, to już by to zrobili. Na co czekali? Czy chcieli się dowiedzieć, czego szukał? A on, dlaczego postanowił obejrzeć swoje obrazy? Może zawierały jakąś informację? Sekret, który ukrył w nich Narcyz. Sekret, o którym sam zapomniał i teraz pragnął go odkryć.

Terenówka Q7 wciąż była w ruchu. Zgodnie z listą powinni zatrzymać się przy domu, w którym mieszkał Herve Latannerie – ulica Surcouf 8, 75007 Paryż. Minęli jednak to miejsce i wjechali na plac des Invalides.

– Czy Narcyz mówił o czymś jeszcze?

– Nie. Chociaż tak. Zapytał mnie o Gustave'a Courbeta.

– Jakiego rodzaju pytania zadawał?

– Interesował go jeden z jego autoportretów. *Zraniony mężczyzna.*

– Proszę mi to wyjaśnić dokładniej.

– Chciał się dowiedzieć, co oznacza w malarstwie termin „skrucha".

– Ciekawe. A więc?

– To obraz, który został wielokrotnie poprawiony. Albo całkowicie przemalowany.

Poczuła mrowienie na karku. Zbliżała się do sedna sprawy.

– *Zraniony mężczyzna* jest przykładem takiej zmiany?

– Tak, jednym z najsłynniejszych. Bardzo długo zastanawiano się, dlaczego Courbet namalował siebie jako mężczyznę umierającego pod drzewem, z raną w sercu. W latach siedemdziesiątych zrobiono zdjęcie rentgenowskie tego obrazu i stwierdzono, że Courbet namalował przedtem inną scenę, ze swoją ówczesną narzeczoną. Zanim ukończył obraz, narzeczona odeszła od niego. Courbet zmienił wtedy scenerię i namalował siebie jako umierającego mężczyznę z raną w sercu. Symbol mówi sam za siebie.

Jej umysł rozpaliła pewna myśl. Płótna Narcyza powstały w ten sam sposób. Pod zewnętrzną warstwą farby kryło się coś innego – jakiś sekret, który teraz chciał poznać. Zabójcy dążyli do tego samego. Narcyz chciał odzyskać swoje obrazy, żeby prześwietlić je promieniami rentgenowskimi.

Rzut oka na iPhone'a. Tropiciele wjechali w ulicę du Bac i zatrzymali się na rogu de Montalembert. Spojrzała na listę. Zobaczyła, że na tej ulicy mieszka Sylvain Reinhardt.

Kierowała się już do wyjścia, kiedy coś jeszcze przyszło jej do głowy.

– Czy ma pan może reprodukcję obrazu *Zraniony mężczyzna?*

– Pewnie tak. W jakiejś monografii.

– Proszę ją przynieść.

– Ależ…

– Proszę się pospieszyć.

Pernathy wyszedł. Anaïs nawet nie próbowała uporządkować swoich myśli. Pulsowanie krwi zastąpiło wszelką refleksję, wszelkie rozumowanie.

– Proszę.

Właściciel galerii trzymał w rękach otwartą książkę. Pod drzewem leżał ranny mężczyzna okryty płaszczem. Scena tonęła w złotawym, migocącym półcieniu. Piękny uśpiony mężczyzna ściskał w lewej dłoni materiał płaszcza, podczas gdy druga ręka była nim przykryta.

Na białej koszuli z lewej strony piersi widniała czerwona plama. Obok leżał miecz. Anaïs zareagowała jak policjantka. Pomyślała, że ten obraz to scena zbrodni, ale miecz jest oszustwem. Malarz pragnął ukryć przed innymi prawdziwego mordercę – nie rywala, z którym walczył, lecz kobietę, którą kochał…

– Czy ma pan zdjęcie rentgenowskie tego obrazu?

– Jest w tej książce.

Pernathy odwrócił stronę. Anaïs zobaczyła ten sam obraz w czarno-białych barwach. Wyglądał niczym księżycowe urojenie. Zmienił się jeden szczegół: w ramionach malarza spoczywała kobieta. Niematerialne widmo, ukryte w połowie XIX wieku, pojawiło się teraz niczym podczas seansu spirytystycznego.

Anaïs podziękowała właścicielowi galerii i wyszła niezbyt pewnym krokiem. Czując zamęt w głowie, pojęła, że bała się przede wszystkim jednej rzeczy: tego, czy obrazy Narcyza nie ukrywają widma jego byłej ukochanej.

Sylvain Reinhardt żył w ciemnościach.

Wynurzając się z cienia, otworzył ostrożnie drzwi, nie zdejmując łańcucha. Kinkiety na klatce schodowej rozsiewały słabe światło niczym lampy parafinowe w kopalni.

– Poznaję pana – powiedział. – Pan jest Narcyz.

Narcyz skinął głową.

– Nigdy nie kupuję obrazów bezpośrednio od artystów – uprzedził Reinhardt.

Narcyz trzymał pod pachą obraz zawinięty w folię bąbelkową.

– Nie przyszedłem niczego sprzedawać.

– Czego pan chce?

– Czy mógłbym wejść?

Sylvain niechętnie opuścił łańcuch, otworzył drzwi i cofnął się do holu. Narcyz wszedł do ciemnego wnętrza. Dostrzegał kształty mebli, parkiet, bardzo wysokie sufity, rozległe pomieszczenia typowego mieszkania w stylu Haussmanna.

Tak minęło kilka sekund – w ciszy, w bezruchu. W końcu Reinhardt zamknął drzwi, założył łańcuch, a oczy Narcyza przywykły do mroku. Duży salon. Opuszczone rolety. Meble okryte szarymi pokrowcami. Wszechogarniający zaduch.

– Czego pan chce? – zapytał gospodarz ostrym tonem.

Narcyz przyjrzał mu się uważniej. Reinhardt miał na sobie sprane dżinsy, pulower i sportowe mokasyny. Twarzy jak na razie nie było widać.

– Chciałem się z panem spotkać – odparł ostrożnie.

– Unikam kontaktów z artystami, których dzieła kupuję. Taką mam zasadę. Emocje artystyczne powinny pozostać neutralne, obiektywne i bezstronne.

Reinhardt ruszył w kierunku salonu. Narcyz poszedł za nim. W pokoju nie było bałaganu, ale wszystko świadczyło tutaj o opuszczeniu, zaniedbaniu. Każdy przedmiot pokrywała warstwa kurzu. Od zapachu niewietrzonego pomieszczenia chciało się kichać. Na podłodze odznaczały się ciemniejsze plamy – dywany. Narcyz pomyślał, że są przybrudzone, zmechacone, pokryte włosami…

Przeszedł kilka kroków dalej. Z ciemności wyłaniały się żyrandole z kryształkami, fotele, stoliki na jednej nóżce. Na ścianie po prawej stronie płaskorzeźba – olbrzymie postacie z profilu, przypominające egipskie hieroglify. Rodowa siedziba, pomyślał Narcyz. Te ściany, meble, dywany należały do przodków Sylvaina Reinhardta, podobnie jak jego nos i cały wygląd. Były po prostu jego genetycznym dziedzictwem.

Odwrócił się do gospodarza i zapytał z uśmiechem:

– Czy ma pan kolekcję art brut?

Teraz widział już wyraźniej swego rozmówcę. Reinhardt wyglądał dosłownie jak trup. Cienka, napięta, pergaminowa skóra uwypuklała każdy mięsień, każdą kość jego twarzy. Łysiejące czoło. Głębokie oczodoły. Wydatne szczęki i zęby. Nie sposób było określić jego wieku. Patrząc na niego, myślało się nie w kategoriach lat, lecz generacji. Prawdziwy koniec rasy.

– Jest tutaj. Wokół pana.

Dopiero wtedy je zobaczył. Obrazy nie były oprawione w ramy, nie zostały powieszone. Po prostu stały pod ścianami. W półmroku można je było wziąć za pomalowany na ciemno papier. Jakieś łuskowate, zakrzywione kształty. Małe postacie z dziobami ptaków. Okrągłe twarze z niezliczonymi zębami…

– Dlaczego żyje pan tak w ciemnościach? – zapytał Narcyz.

– Z powodu moich obrazów. Światło niszczy barwy.

Narcyz zastanawiał się, czy Reinhardt żartował. Mówił z wyższością w głosie. Jakby każde słowo, każda sylaba przyprawiały go o niesmak.

– Światło jest racją bytu malarza.

Zdanie to wymknęło mu się mimo woli – przemówił przez niego artysta.

Reinhardt w odpowiedzi drwiąco się zaśmiał. Było to coś jakby pogardliwe mruknięcie.

Narcyz podszedł do innych dzieł. Mężczyźni z kocimi pyskami. Dziewczynki jak widma. Maski z brązowego kartonu, wytrzeszczone oczy.

– Mój ojciec przyjaźnił się z Dubuffetem – oznajmił Reinhardt, jakby się tłumacząc. – Kontynuuję jego dzieło.

Narcyz się nie pomylił. Ten człowiek był więźniem tradycji rodzinnej oraz rodzinnej kolekcji. Prace te, skryte w tych murach, przywodziły na myśl wielkie czarne mięsożerne rośliny, które go powoli zżerały.

– Właściwie czego ty chcesz, draniu? – zapytał brutalnie gospodarz. – Czego u mnie szukasz?

Narcyz odwrócił się zdumiony jego tonem. Reinhardt trzymał w ręce mały pistolet. W mroku widoczna była tylko lufa. Broń wyglądała na zabawkę.

– Chcesz coś ukraść, tak?

Zachowując spokój, Narcyz także przeszedł na ty.

– Wiesz, pewnego razu w muzeum de Luxembourg strażnicy złapali starego człowieka z paletą i pędzlami, który ukradkiem przemalowywał wystawiony tam obraz Pierre’a Bonnarda. Wyrzucili go za drzwi. A był to sam Pierre Bonnard.

Reinhardt znowu się zaśmiał drwiąco, ukazując spróchniałe zęby.

– Taką samą anegdotę opowiadają o Oskarze Kokoschce.

– Malarz nigdy nie kończy ze swoim dziełem.

– No więc?

– Chciałbym zobaczyć mój obraz. Ten, który kupiłeś. *Listonosza*. Chciałbym go wypożyczyć na parę dni.

Reinhardt nie spodziewał się takiej prośby. Odprężył się na moment. Narcyz uderzył go pięścią w nadgarstek i wytrącił mu broń z ręki. Gospodarz pisnął ostro niczym łasica. Narcyz chwycił go za gardło, przyciskając lufę do jego nosa. Jego glock był o wiele bardziej przekonujący niż miniaturowa zabawka.

– Gdzie znajduje się mój obraz?

Cisza. Reinhardt osunął się, nie tracąc przytomności.

– Daj mi mój obraz – syknął Narcyz przez zaciśnięte wargi – a zostawię cię w tym twoim wiwarium.

Ostatni potomek swego rodu, na kolanach, patrzył na niego w osłupieniu. Jego oczy pełne łez błyszczały niczym świece, nadając mu niespodziewanie uroczysty wygląd.

– Gdzie jest mój obraz, draniu?

– Nie… nie ma go tutaj.

– Gdzie jest?

– W magazynie.

– Gdzie to jest?

– Na podwórzu. W atelier.

Narcyz jednym szarpnięciem postawił go na nogi i pokazał drzwi.

– Prowadź.

– Dzwonili do mnie policjanci z Nicei. Pracują nad sprawą Villi Corto.

– I co?

– Nic. Żadnych śladów, żadnych wskazówek. Nie wiadomo, kto zabił psychiatrę i jego pielęgniarzy. A jeśli chodzi o świadków, to sama ich widziałaś.

– Nikt nie wspomniał o mnie?

– Tam nikt nie jest w stanie mówić o czymkolwiek.

Anaïs, siedząc w wynajętym samochodzie, słyszała głos Crosniera, jakby dochodził z innej planety. Od dziesięciu minut czatowała w pobliżu skrzyżowania ulic du Bac i de Montalembert, gdzie znajdowała się siedziba wydawnictwa Gallimard.

– To wszystko?

– Biała Blacha nie żyje.

Anaïs nie oczekiwała, że stary kloszard wybudzi się ze śpiączki. Zresztą nie było to już ważne. Położyła pistolet na kolanach. Kilkanaście metrów przed nią dwaj mężczyźni kręcili się w pobliżu audi Q7 parkującego przed sklepem Monoprix, mieszczącym się naroguduBac. Wcześniej sprawdziła tablicę rejestracyjną. Faceci odpowiadali opisowi, jaki jej podano. Płaszcze z czarnej wełny. Garnitury od Hugo Bossa. Wyglądali jak dwaj wysocy rangą urzędnicy, pewni swej pozycji i władzy.

Chodzili wokół wozu niczym zwykli szoferzy, spoglądając od czasu do czasu na fasadę budynku o numerze 1 na Montalembert. Narcyz był w środ-

ku. Na którymś piętrze, u Sylvaina Reinhardta.

– Oddzwonię do ciebie później.

Narcyz pojawił się przy wyjściu z budynku z dwoma obrazami pod pachą. Jeden owinięty w folię bąbelkową, drugi w szmatę obwiązaną sznurkiem. Najemnicy ruszyli. Anaïs otworzyła drzwi samochodu. Victor Janusz alias Mathias Freire, alias Narcyz, zwrócony tyłem do budynku wydawnictwa Gallimard, skierował się na ulicę du Bac.

Minął hotel Montalembert, hotel Pont-Royal, restaurację, Atelier de Robuchon. Z pakunkami pod pachą miał wygląd somnambulika. Patrzył przed siebie, ale wydawało się, że nic nie widzi. Stracił chyba ze trzy lub cztery kilogramy od czasu, kiedy go odwiedziła w jego anonimowym domu w Bordeaux.

Najemnicy przeszli już na drugą stronę ulicy, obchodząc stojące w korku samochody, w oparach dymu z rur wydechowych. Anaïs zamknęła cicho drzwi opla i odbezpieczyła pistolet. Myśliwi byli już tylko kilka metrów od swojej zwierzyny. Anaïs położyła palec na spuście. Szła w tym samym co oni kierunku, gotowa przejść przez jezdnię. Zabójcy sięgnęli pod płaszcze. Anaïs uniosła broń.

Nic się jednak nie wydarzyło.

Psy gończe stanęły jak wryte.

Narcyz wszedł do medycznego centrum diagnostyki, obok apteki na ulicy de Montalembert pod numerem 9. Anaïs schowała pistolet pod kurtkę. Na tablicy widniał napis: RADIOLOGIA CYFROWA – MAMMOGRAFIA – ECHO SERCA…

Narcyz działał według jakiegoś planu. Wziął jeden obraz od Simona Amsallema, drugi od Sylvaina Reinhardta. Teraz zamierzał prześwietlić je promieniami rentgenowskimi.

Dwaj mężczyźni wrócili do swojego wozu. Anaïs zrobiła to samo, wsiadła do swojego opla. Była pewna, że tamci jej nie zauważyli. Na jezdni panował tłok. Samochody, stykając się niemal zderzakami, poruszały się w ślimaczym tempie. Konwulsyjne klaksony. Zacięte twarze za przednimi szybami. Co tu się mogło wydarzyć?

Obserwowała swoich przeciwników kątem oka. Podziwiała ich opanowanie, elegancję, obycie ze śmiercią. Wzrost co najmniej metr osiemdziesiąt pięć. Szerokie bary. Marynarki pod płaszczami zapięte na ostatni guzik, spodnie, według włoskiej mody, bez najmniejszej zmarszczki. Jeden z nich

miał srebrzystą czuprynę i okulary w szylkretowej oprawie, model Tom Ford. Drugi był rudawym blondynem z rzedniejącymi włosami. Dwaj przystojniacy, o regularnych rysach twarzy. Emanowała z nich świadomość bezkarności, jakiej nabywa się, obracając się w kręgach władzy.

Ona natomiast czuła się coraz podlej. Śmierdziała potem. Była cała wymięta. Ręce jej drżały. Przypomniała sobie włoskie westerny, które oglądała z ojcem. Pojedynki na piaskach, uroczyste pogrzeby. Absolutne mistrzostwo bohaterów. Zimna krew. Ci dwaj najemnicy mieli taką klasę. Ona nie.

Przez krótki moment miała ochotę powiadomić policję w tej dzielnicy. Nie. Tamci zauważyliby natychmiast obecność glin i z miejsca by się ulotnili. A ona chciała przecież dowiedzieć się, kim byli, o co im chodziło, dla kogo pracowali. Inny pomysł. Wejść do centrum medycznego. Aresztować Narcyza i uciec z nim przez wyjście zapasowe. To także było niemożliwe. Przestraszyłby się, użył broni. Nie można ufać amatorom.

Położyła pistolet na kolanach. Chwyciła z całej siły kierownicę, żeby opanować drżenie rąk. Z lexomilem byłoby o wiele lepiej. Jednak zażycie środka uspokajającego po amfetaminie dałoby tyle, co sikanie na płonący las, by ugasić pożar.

Czekać.

Trzeba czekać.

– Pan Narcyz?

Zerwał się gwałtownie, trzymając obrazy pod pachą. Bezwiednie podał to nazwisko w rejestracji. Nie miał ani karty ubezpieczeniowej, ani skierowania od lekarza, ale kobiety okazały się wyrozumiałe. Kazano mu przejść do poczekalni. Pozostali pacjenci nie zwracali na niego żadnej uwagi.

– Proszę tędy.

Recepcjonistka poprowadziła go korytarzem na prawo. Uderzył obrazami o ścianę.

– Może zostawiłby je pan w szatni? Będzie panu o wiele wygodniej.

– Dziękuję. Zatrzymam je przy sobie.

Czuł się coraz gorzej. Gwałtowna scena u Reinhardta zwiększyła jego wewnętrzny niepokój. Drugi obraz, ten z magazynu, dobił go. Tym razem na portrecie miał uniform listonosza z lat osiemdziesiątych. Czapka z daszkiem, szaroniebieska marynarka, ówczesne logo – symboliczna sylwetka samolotu. Co ukrywały te absurdalne obrazy?

Kobieta zatrzymała się przed drzwiami i zapytała po raz drugi:

– Na pewno chce pan zachować przy sobie te pakunki?

– Tak. Nie będą mi przeszkadzać.

Nacisnęła klamkę i zaprosiła go, by wszedł do wąskiej kabiny z drugimi drzwiami.

– Proszę się rozebrać, pani radiolog zaraz po pana przyjdzie.

Narcyz zamknął się w kabinie i czekał, nie zdejmując marynarki. Obrazy postawił na ławeczce. Po upływie minuty inna kobieta otworzyła wewnętrzne drzwi.

– Jeszcze się pan nie rozebrał? – burknęła oschłym tonem. Narcyz obrzucił ją wzrokiem. Brunetka, mocno umalowana, na wysokich obcasach, reprezentowała dwie przeciwstawne siły. Z jednej strony biały kitel – wiedza i surowość, z drugiej życie prywatne – prowokacja i zmysłowość.

Zdecydował się na uprzejmość.

– Moja prośba jest dość niezwykła – powiedział z uśmiechem. – Chciałbym zrobić zdjęcie rentgenowskie tych obrazów i…

– To niemożliwe – przerwała mu radiolog. – Nasze urządzenia nie są do tego przystosowane.

– Zapewniam panią, że to często stosowana praktyka. W laboratoriach francuskich muzeów.

– Przykro mi. Pomylił pan adres.

Dawała mu do zrozumienia, żeby opuścił kabinę. Narcyz pocił się obficie.

– Będę jednak nalegał – rzekł z wymuszonym uśmiechem. – Wystarczy…

– Proszę się nie upierać. Inni pacjenci czekają. Mamy… Nagle się cofnęła. Narcyz mierzył do niej z glocka. Drugą ręką chwycił swoje obrazy, wtargnął do gabinetu, gdzie wykonywano prześwietlenia, i nogą zamknął za sobą drzwi.

– Co to znaczy… co to jest?

Narcyz jedną ręką zaczął zrywać folię bąbelkową z *Klowna.*

– Proszę mi pomóc!

Kobieta podeszła szybko. Lakierowanymi paznokciami rozrywała folię, odsłaniając płótno w krwawych kolorach. Ukazał się klown z twarzą obsypaną mąką i smutnym uśmiechem.

Narcyz się cofnął. Cały czas celował w kobietę, zaciskając dłonie na kolbie pistoletu.

– Niech pani włoży ten obraz do aparatu!

Niezręcznie ułożyła płótno na stole roboczym.

– Teraz kaseta. Do statywu.

Bez zastanawiania się użył właściwych terminów technicznych. Kobieta spojrzała na niego ze zdumieniem. Nastawiła aparat i włączyła promienio-

wanie. Leżący na stalowym blacie klown spoglądał na Narcyza. Wydawało się, że z niego drwi. Jakby znał niespodziankę, którą mu przygotował pod farbami i pokostem.

– Teraz ten drugi – syknął przez zęby. – Szybko.

Laborantka wyciągnęła z szuflady kasetę i upuściła niechcący na podłogę. Rozległ się głośny metaliczny trzask. Podniosła ją, odłożyła na wózek, wzięła następną. Tymczasem Narcyz rozwinął z opakowania *Listonosza*.

– Proszę się pospieszyć.

Kobieta wykonała polecenie. Narcyz miał wrażenie, jakby promienie rentgenowskie przenikały do wnętrza jego ciała. Laborantka otworzyła statyw. Wyjęła z niego użytą przed chwilą kasetę.

– Gdzie przenosi się to na klisze?

– W… pomieszczeniu obok.

Do sali badań przylegał inny gabinet. Narcyz kiwnął pistoletem. Kobieta usiadła przed ekranami, wsunęła kasetę do otworu w dużym aparacie, który przypominał fotokopiarkę w starym stylu.

– To musi potrwać kilka sekund – powiedziała, z trudem łapiąc oddech.

Narcyz nachylił się nad jej ramieniem, wpatrując się w czarny ekran.

– Czy wie pani, co mówili gnostycy? – zapytał niczym szaleniec, wciskając broń w jej plecy.

– Nie… nie wiem.

– Ludzkość nie jest wizerunkiem Boga, lecz oszustwem demona.

Nic na to nie powiedziała. Bo cóż tu było do powiedzenia? Czuł zapach jej potu. Słyszał, jak ciężko oddycha. Słyszał też, jak jeszcze gwałtowniej bije jego oszalałe serce. Szaleństwo podwajało siłę zmysłów. Intuicję. Świadomość. Miał wrażenie, jakby obejmował ramionami sekretną naturę kosmosu.

Nagle ekran rozświetlił się i pojawiło się pierwsze zdjęcie.

Rzeczywiście pod jednym obrazem był drugi. Raczej rysunek. W stylu wykonanych piórkiem ilustracji towarzyszących felietonom z początku XX wieku. Teatralne ustawienie. Nacisk na drobiazgi. Delikatne linie dla oddania cieni, ruchu, półtonów.

Szkic przedstawiał morderstwo.

Na moście d’Iena lub na moście Aleksandra III.

Zabójca stał nad nagim ciałem. W jednej ręce trzymał siekierę, w drugiej jakiś organ. Narcyz nachylił się jeszcze bardziej, żeby obejrzeć wyrwany

fragment ciała. Genitalia, które morderca odciął swojej ofierze. Chciałby zastanowić się nad znaczeniem tego rytualnego gestu, przypomnieć sobie mit, w którym była mowa o kastracji, lecz nie był w stanie tego zrobić.

Z powodu twarzy mordercy.

Twarz asymetryczna, pokazana od prawej strony, wykrzywiona straszliwym grymasem. Jedno oko okrągłe, drugie podłużne. Usta otwarte szeroko od strony okrągłego oka, ze sterczącymi nierównymi zębami. Ale było coś jeszcze gorszego. Osłupiały pojął, że patrzy na swój autoportret. Zabójcą z tej dantejskiej sceny był on sam.

– Chce pan… zobaczyć drugie zdjęcie?

Drugi obraz przedstawiał tę samą scenę, ale kilka sekund później. Zabójca – o czarnych rysach nadających mu niezwykle okrutny wygląd, a jednocześnie coś z mitycznego uniwersalizmu – wrzucał genitalia do czarnej wody, wymachując siekierą trzymaną w drugiej ręce. Narcyz zauważył, że było to dość prymitywne narzędzie z krzemiennym ostrzem.

Cofnął się i przylgnął plecami do ściany. Zamknął oczy. W głowie kłębiły mu się myśli, od których wszystko się zaciemniało. Ilu kloszardów zabił w ten sposób? Dlaczego wyżywał się na tych wyrzutkach społeczeństwa? Dlaczego malował siebie z taką wykrzywioną, przerażającą twarzą?

Otworzył oczy. Jeszcze chwila, a zemdlałby. Laborantka obserwowała go czujnie. Wyraz jej twarzy zmienił się – patrzyła teraz na niego z litością. Nie bała się już o siebie, lecz o niego.

– Czy podać panu szklankę wody?

Chciałby jej odpowiedzieć, ale nie zdołał. Chwycił swoje obrazy, niezgrabnie owinął je materiałem, a potem związał razem sznurkiem.

– Niech pani wyjmie te klisze i włoży do koperty.

Po kilku minutach wychodził z centrum diagnostyki, poruszając się jak automat. Szedł z uczuciem, że zapada się albo rozsypuje w proch. Podniósł wzrok i zobaczył walące się na niego niebo. Chmury niczym skały nabrzeżne toczyły się w jego kierunku…

Opuścił oczy, chcąc odzyskać równowagę.

Wtedy zobaczył przed sobą zabójców.

Ich płaszcze powiewały na wietrze, gdy zbliżali się, sięgając już po broń.

Rzucił na ziemię obrazy i wyrwał glocka zza paska na plecach. Zmrużył oczy i wystrzelił kilka razy.

Anaïs usłyszała huk, który mógł oznaczać tylko jedno. Wyskoczyła z wozu i pobiegła chodnikiem. Rozległy się kolejne strzały. Zanim zdążyła zareagować, ludzie rzucili się w panice na ziemię. Samochody wpadały na siebie. Kolejne strzały. Wcisnęła się między dwa wozy i wyjrzała. Zobaczyła jednego z zabójców leżącego na chodniku. Był martwy. Kroki na jezdni, przerywane jękami. Zastanawiała się, ilu jest rannych, ile przypadkowych ofiar. Nie mogła się uwolnić od tej myśli.

Nie widziała, co się właściwie działo. Pole widzenia zasłaniali jej przechodnie. Wszędzie przerażeni ludzie, samochody. Wreszcie dojrzała Narcyza przed apteką. Stał twarzą w twarz z drugim mordercą. Mierzyli do siebie z pistoletów, deptali obrazy, a chwilę później skoczyli ku sobie, usiłując przewrócić na ziemię jeden drugiego, jak w zapaśniczej wolnej amerykance.

Znowu strzał. Kawałki rozbitej szyby posypały się na walczących. Narcyz poślizgnął się na kopercie ze zdjęciami rentgenowskimi. Upadł na wznak, pociągając za sobą przeciwnika. Nadal próbował wycelować w niego, gdy tamten robił to samo. Zniknęli za jakimś samochodem. Widziała tylko ich nogi. Ze wszystkich stron podniosły się krzyki. Ludzie kulili się, czepiali jeden drugiego jak podczas katastrofy morskiej.

Chciała przejść bliżej, ale potknęła się o kobietę trzymającą kurczowo swoją torbę. Przewróciła się, zgubiła pistolet i dopiero po kilku sekundach odnalazła go pod jakimś samochodem. Kiedy się podniosła, zobaczyła dru-

giego najemnika, który znowu atakował z bronią gotową do strzału. Narcyz cofał się, z pustymi rękami, bezbronny.

Anaïs uniosła pistolet i wycelowała. W chwili gdy miała strzelić, widok zasłoniła jej grupa ludzi. Rozległy się dwa strzały. Rozprysła się kolejna witryna sklepowa. Zmętniała przednia szyba jednego z wozów. Anaïs przetoczyła się przez maskę jakiegoś samochodu, odnalazła swój cel.

Narcyz złapał napastnika za rękę. Lufa pistoletu wypluła ogień. Kule podziurawiły asfalt. Narcyz nadal się szamotał, uwieszony u ramienia przeciwnika. Anaïs wycelowała w nogi faceta, przypuszczając, że z powodu odrzutu broni trafi go w lewy bok. Naciskała spust, gdy rozległy się dźwięki syren.

Pisk opon. Trzask drzwi. Krzyki, rozkazy w atmosferze ogólnej paniki. Jakby powietrze nagle zgęstniało.

A tam toczyła się teraz walka wręcz. Narcyz, leżąc na ziemi, wbijał nóż w brzuch napastnika, który usiłował ugryźć go w twarz. Nagle mężczyzna w garniturze od Hugo Bossa zerwał się na równe nogi. Poły jego płaszcza powiewały. Zgięty wpół, wycofywał się chwiejnym krokiem, podczas gdy coraz liczniejsze głosy wzywały ich do poddania się. Narcyz z nożem w ręku też wstał.

Anaïs zobaczyła celującego w niego policjanta. Nie zastanawiając się, wystrzeliła w powietrze. Odpowiedziała jej seria puszczona w jej stronę. Przykucnęła na chodniku. Kule bębniły na karoseriach, dziurawiły fasadę sklepu Monoprix i stojaki z rowerami miejskiej wypożyczalni, które znajdowały się tuż obok. Policjanci zidentyfikowali innego wroga i nie mieli dla niego litości.

Podniosła głowę i zobaczyła, że to już koniec walki. Grupa policjantów, korzystając z zamieszania, otoczyła Narcyza. Okładali go z całej siły pałkami. Chciała coś zawołać, lecz z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Spomiędzy warg wypłynęła ciepła strużka. Pomyślała, że to krew, ale była to ślina. Miała zawroty głowy. Nic już nie słyszała. Czuła się tak, jakby jej mózg zalała nagle krew.

Wiedziona jakimś przeczuciem odwróciła się. Otaczali ją ludzie w kaskach. Chciała podnieść ręce, wypuścić broń, wyjąć legitymację policyjną – wszystko naraz. Zanim jednak zdołała wykonać jakikolwiek ruch, poczuła na twarzy uderzenie pałki.

– Żądam czegoś do jedzenia! Banda pedałów! Znam swoje prawa!

Mężczyzna walił pięścią w opancerzone drzwi, a następnie zaczął je kopać. Anaïs uciszyłaby go, ale była zajęta unikaniem strużek śluzu, które wiły się między jej stopami. Jakiś kloszard, wstrząsany konwulsjami, ześlizgnął się z ławki. Przy każdym wstrząsie na podłogę leciał strumień wymiocin.

– Banda nazistów! Chcę rozmawiać z moim adwokatem!

Anaïs objęła głowę rękami. Ból w czaszce nie ustępował. Od trzech godzin była zamknięta w celi pięć na pięć metrów, w głównym komisariacie na ulicy Fabert, w pobliżu placu des Invalides.

Ocucono ją. Przeszukano. Rozebrano. Sfotografowano. Zdjęto odciski palców. A potem zamknięto w oszklonej klatce w towarzystwie tych krzykliwych, podnieconych typów.

Anaïs znała ten temat. W 2009 roku liczba zatrzymanych na dwadzieścia cztery godziny sięgała we Francji miliona osób. Pakowano do aresztu kierowców bez prawa jazdy, kłócące się pary, palaczy skrętów, kloszardów, złodziei złapanych w supermarketach… Nie bez powodu znalazła się wśród nich. Przecież strzelała do swoich kolegów po fachu. Znaleziono przy niej amfetaminę.

Popatrzyła na swoje palce poplamione tuszem. Dziwne, ale czuła się spokojna, zrezygnowana. Najważniejsze, że Narcyz został aresztowany, a tym samym uratowany. W końcu prawda wyjdzie na jaw. Ci dwaj dranie zostaną

zidentyfikowani. Wyjaśni się każdy szczegół tego zamieszania. A może nawet uda się złapać zabójcę kloszardów.

Czuła, że sprawa zbliża się do końca.

Ona także była już bliska końca.

Znowu musiała unieść nogi. Kloszard kolejny raz puścił pawia. Odór podłego wina mieszał się ze smrodem uryny i brudu. Rzuciła wzrokiem na swoich towarzyszy w celi. Oprócz krzykacza i biedaka na podłodze byli tutaj jeszcze skuleni na ławkach dwaj młodzieńcy w skórzanych ciuchach pozujący na gwiazdy rocka. Wyglądali na skonanych. Jakiś punk podskakujący w miejscu, drapiący się mocno po rękach. Mężczyzna w garniturze, oszołomiony tą sytuacją – bez wątpienia jakiś kierowca bez prawa jazdy. Dwaj grafficiarze w starannie wystrzępionych dżinsach, z plamami w jaskrawych barwach, przechwalali się z drwiącym śmiechem.

Była tutaj jedyną kobietą.

Zazwyczaj nie umieszczano w jednej celi zatrzymanych obojga płci, ale widać ta zasada w Paryżu nie obowiązywała. A może wzięto ją za mężczyznę. Albo zrobiono to umyślnie, by się na niej odegrać. Ani przez chwilę nie stawiała oporu, nie protestowała. Postępowano według znanej procedury. Będzie musiała stanąć przed sędzią. Wtedy wszystko wyjaśni…

Szczęk zamka. Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd doszedł ten dźwięk – jedyny, który miał tutaj jakieś znaczenie. Ukazał się młody policjant w mundurze i drugi, po cywilnemu. Anaïs oceniła z miejsca tego osobnika – byczek, wyhodowany na steroidach, gotów bić i strzelać.

– Chodź ze mną – powiedział do niej.

Nie zareagowała na to tykanie ani na pogardliwy ton. Workowate spodnie, skórzana kurtka, dobrze widoczny glock. Gliniarz ważył chyba ze sto kilogramów. W celi zapanowała atmosfera strachu.

Anaïs wstała i ruszyła za tym kulturystą. Spodziewała się, że pójdą przez hol do biur policjantów tego komisariatu, ale olbrzym skręcił w prawo, w wąski korytarz śmierdzący kurzem, a potem znowu w prawo. Śmierdziało tu już nie kurzem, tylko gównem.

Wycia. Głuche uderzenia. Żelazne drzwi z zewnętrznymi zbiornikami wody. Izby wytrzeźwień. Facet w mundurze wyjął pęk kluczy. Otworzyły się drzwi. Cztery betonowe ściany. Odór wymiocin i ekskrementów. Karaluchy uciekające na widok ludzi.

– Siadaj.

Anaïs wykonała polecenie. Trzasnęły zamykające się drzwi.

– Sprawdziliśmy. Rzeczywiście jesteś policjantką.

– Może pan przestać mnie tykać?

– Zamknij się. Zapomniałaś powiedzieć nam o jednym drobiazgu.

– Jakim?

– Od tego rana jesteś zawieszona. Na polecenie prokuratury z Bordeaux.

Anaïs powiedziała ze znużeniem w głosie:

– Żądam odesłania mnie do ambulatorium. Pobito mnie i…

– Zamknij mordę! Strzelałaś do policjantów, i to z broni, której nie miałaś już prawa używać.

– Chciałam zapobiec policyjnej pomyłce.

Roześmiał się. Kciuki trzymał wsunięte za pasek. Opuściła głowę z udaną pokorą. Trzeba było odgrywać scenę tak, jak tego chciał jej autor.

– Pomyłką jesteś ty.

– Czy stanę przed sądem?

– Na pewno. Ale tak łatwo stąd nie wyjdziesz. Obiecuję ci. Glock i amfetamina to niezły pasztet.

Rewolwerowiec najwyraźniej bawił się tą sytuacją. Z jakiegoś niejasnego powodu miał ochotę ją załatwić.

– W czasie akcji zatrzymaliście pewnego mężczyznę. Gdzie teraz jest?

– Może chciałabyś dostać akta sprawy? Żeby ci dano biuro?

– Czy jest ranny? Czy go przesłuchaliście?

– Nic nie kapujesz, ważniaczko. Tutaj jesteś już nikim. Mniej znaczysz niż ktokolwiek inny. Jesteś jak Judasz czy coś w tym rodzaju.

Nic na to nie odpowiedziała. Umierała ze strachu przed tym potworem. Koszula i kurtka niemal pękały na jego muskularnym torsie. Twarz nie wyrażała nic – minę miał tępą jak wół przeżuwający trawę.

– Podczas tego zajścia zostali zabici dwaj mężczyźni – podjęła z uporem. – Czy ich zidentyfikowaliście? Czy zarekwirowaliście należący do nich samochód? Audi Q-siedem parkujące przed hotelem Pont-Royal…

Pokiwał głową ze zdziwieniem. Patrzył teraz na nią jak na wariatkę, której lepiej dać się wygadać.

– Czy przesłuchaliście ludzi z sąsiedztwa? – nie ustępowała. – Przede wszystkim trzeba przesłuchać personel centrum medycznego z ulicy de Montalembert. Trzeba…

– Gdybym był na twoim miejscu, myślałbym przede wszystkim o znalezieniu dobrego adwokata.

– Adwokata?

Pochylił się nad nią z rękami opartymi o kolana. Zmienił ton na niemal pojednawczy.

– A jak ci się wydaje, ślicznotko? Że można bawić się w strzelanie do kolegów jak do kaczek ot, tak sobie, bez żadnych konsekwencji? Czy tak się dzieje w Bordeaux?

Anaïs skuliła się na cementowej ławce.

– Powinniście przesłuchać Sylvaina Reinhardta – upierała się, mówiąc cichym głosem. – Mieszka na ulicy de Montalembert pod numerem pierwszym. A także Simona Amsallema, Villa Victor-Hugo, pod numerem osiemnastym.

– Kiedy tak cię słucham, zaczynam się wahać. Tobie przydałby się raczej dobry psychiatra, a nie adwokat.

Anaïs zerwała się z ławki i pchnęła policjanta na żelazne drzwi.

– To moje śledztwo, kretynie! Odpowiadaj na moje pytania! Odepchnął ją brutalnie bez najmniejszego wysiłku. Anaïs upadła na ścianę, potem na ławkę, a z niej ześlizgnęła się na podłogę. Podniósł ją jedną ręką i wyjął kajdanki. Obrócił ją, wykręcił jej ręce do tyłu. Szczęknęły bransoletki na przegubach. Poczuła krew w ustach. Złapał ją za kołnierz kurtki i z całej siły posadził na ławce.

– Uspokój się, ślicznotko.

– Nie zdaje pan sobie sprawy z tego, co pan robi.

Znowu wybuchnął śmiechem.

– No to jest nas dwoje.

– Ludzie z oddziałów bezpieczeństwa publicznego powinni byli znaleźć tam dwa obrazy i dwa zdjęcia rentgenowskie – powiedziała, czując żelazisty smak na wargach. – Poślijcie kogoś po nie. Muszę je obejrzeć!

Podszedł do drzwi i zapukał w nie bez słowa.

– Łajdak! Drań! Pedał! Zdejmij mi kajdanki!

Strażnik otworzył. W odpowiedzi usłyszała tylko trzask żelaznych drzwi.

Anaïs się rozszlochała.

Pomyślała, że to już jej koniec.

A tymczasem był to dopiero początek końca.

Zabiłem dwóch ludzi.

Ta jedna myśl kołatała mu się w głowie.

Myśl czarna, paląca, bezładna.

Zabiłem dwóch ludzi.

Huk glocka. Jego odrzut w ręce. Dotyk ostrza wbitego w brzuch zabójcy. Wpychał nóż coraz głębiej, głębiej.

Zabiłem dwóch ludzi…

Zamrugał powiekami kilka razy. Białe świetlówki pod sufitem. Aparatura medyczna. Błyszczący wózek ze środkami antyseptycznymi. Przegrzany szpitalny pokój badań. Leżał na metalowych noszach, przykryty pledem. Czuł się jak połamany.

Zamknął oczy i zrobił bilans wydarzeń. Nie był taki zły. Otarł się o śmierć, ale żył i mógł chodzić. Niemal czuł krew krążącą po obolałym ciele. Było mu gorąco. Śledztwo. Morderstwa. Zagadki. Wszystko to wydało mu się odległe, bezsensowne, nierealne.

Od wielu dni gromadził pytania.

Odpowiedziami na nie zajmie się policja.

Brzęk metalu uświadomił mu jeszcze jedną rzecz. Jego lewa ręka była przypięta kajdankami do noszy, podczas gdy do prawej podłączono kroplówkę. Zamierzał spokojnie czekać w więzieniu na przebieg śledztwa. Nadszedł czas odpoczynku…

Z pewnym opóźnieniem zdał sobie sprawę z czyjejś obecności w pokoju. Podniósł powieki. Kilka metrów na prawo, odwrócony do niego plecami, mężczyzna w białym kitlu mówił coś cicho do dyktafonu – z pewnością dotyczyło to jego stanu. Zwrócił głowę na lewo i zobaczył przyczepione do negatoskopu zdjęcia rentgenowskie. Widać na nich było czaszkę z przodu i z profilu. W chrząstkach nosowych tkwiła kula z pistoletu. Na czarnym tle doskonale odbijał się błyszczący metal.

Zdjęcia rentgenowskie jego ofiary.

Trafił zabójcę w nos.

Nagle na jego twarz wystąpiły kropelki potu. Ból pod czaszką stał się bardziej intensywny. Zabiłem dwóch ludzi… – pomyślał znowu. Po chwili przypomniał sobie prześwietlone obrazy. Powróciła myśl, że był także zabójcą kloszardów.

– Obudził się pan?

Stał przy nim lekarz z rękami w kieszeniach fartucha. Szkła jego okularów błyszczały niczym krystaliczna woda, w której chciało się zanurzyć, obmyć, pozbyć swoich grzechów.

– Nazywam się Martin. Jestem lekarzem dyżurnym, który się panem zajął.

– Gdzie się znajduję? – zdołał zapytać.

– W szpitalu Hôtel-Dieu. Nalegałem, żeby zabrano pana z sali Cusco.

– Co to takiego?

– Sala pogotowia medycyny sądowej. Zawsze pełna podejrzanych, ofiar, policjantów.

– A kim ja jestem?

Lekarz wskazał brodą na kajdanki.

– A jak się panu wydaje? Jest pan pod kontrolą sądową. Ja działam z nakazu prokuratora. Krótko mówiąc, jest pan w więzieniu i zarazem w szpitalu, ale tutaj spędzi pan przynajmniej spokojną noc. Jak się pan czuje?

Narcyz odpowiedział dopiero po kilku sekundach. Gdzieś w oddali rozległa się syrena karetki pogotowia lub wozu policyjnego.

– Czuję się… jak połamany.

– Nieźle pana pobili – odrzekł lekarz poufnym tonem. – Ale ma pan twardą głowę!

Narcyz wskazał na zdjęcia rentgenowskie przyczepione do negatoskopu.

– Czy to zdjęcia mojej ofiary?

– Nie ma żadnych ofiar oprócz pana.

– Zabiłem dwóch ludzi.

– Myli się pan. Nie znaleziono żadnego trupa. Wiem tylko, że aresztowano także jakąś kobietę. Podobno to policjantka z Bordeaux. Co za historia!

Policjantka z Bordeaux. Narcyz nie potrzebował więcej wyjaśnień. Jak widać Anaïs Chatelet nie zostawiła tej sprawy.

Ujrzał ponownie fragmenty sceny, która rozegrała się na ulicy de Montalembert. Strzały. Ciosy nożem. Krzyki tłumu. Syreny. Gdzie się podziali dwaj zabójcy? Jego dwie ofiary?

Uniósł się na łokciu i wskazał ponownie na klisze.

– Skoro nie ma trupa, faceta z kulą w głowie, to kto to jest?

– To pan.

Narcyz osunął się na nosze z brzękiem kajdanek.

– To pańskie zdjęcia. Zrobiono je po pańskim przybyciu tutaj.

Przetarł antyseptycznym kompresem żyły na lewej ręce Narcyza.

– Wstrzyknę panu środek uspokajający, nie będzie bolało.

Narcyz się nie poruszył. Zapach środka antyseptycznego był uspokajający i zarazem dodający sił. Wskutek gorąca wydawało mu się, że ciało ma rozpalone niczym w saunie. Biały cień kuli połyskiwał na szybie.

– Co to takiego tkwi w moim mózgu?

– Jeśli pan tego nie wie, to ja tym bardziej nic nie mogę panu wyjaśnić. Konsultowałem się z moimi kolegami. Nikt z nich nie widział czegoś takiego. Odbyłem kilka rozmów telefonicznych. Może to jakiś implant. Dyfuzor hormonów, jak implanty antykoncepcyjne. A może to jakaś cyfrowa mikropompa z krzemu, jakich używa się przy niektórych chorobach. Nie jest pan chory na epilepsję, cukrzycę?

– Nie.

– W każdym razie czekamy na wynik badań pańskiej krwi.

– Czy to coś zostanie w mojej głowie?

– Postanowiono operować pana jutro rano. Bez medycznej dokumentacji trzeba zachować wielką ostrożność. Przestrzegać etapów każdej analizy, każdej diagnozy.

Wzmianka o dokumentacji przywiodła mu na myśl coś jeszcze.

– Czy przybywając tutaj, podałem jakieś nazwisko?

– Nic konkretnego. To policjanci wypełniali formularze związane z przyjęciem do szpitala.

– Ale chyba coś powiedziałem?

– Majaczył pan. Najpierw uznaliśmy, że to forma amnezji wynikająca z tego, że był pan postrzelony. Jednak sprawa jest bardziej skomplikowana, prawda?

Narcyz przekręcił głowę na poduszkę i znowu spojrzał na zdjęcia rentgenowskie. Metalowy przedmiot umieszczony został u nasady nosa po lewej stronie. Czy był ranny na wojnie? Czy dokonywano na nim jakichś eksperymentów? Od jak dawna miał ten implant? Jedno się wyjaśniło, że to obce ciało było przyczyną ostrych bólów w głębi lewego oka.

Lekarz uniósł dłoń ze strzykawką.

– Co to?

– Mówiłem panu: środek uspokajający. Ma pan okropny krwiak z tyłu czaszki. To przyniesie panu ulgę.

Narcyz nie odpowiedział. Usiłował zapanować nad sobą i się nie ruszać. Czuł spływający do żył płyn. Efektem było wrażenie palenia i zarazem ulgi. Lekarz wyrzucił strzykawkę do pojemnika na odpady i skierował się do wyjścia.

– Zaraz przeniosą pana do innej sali. Jutro powinien pan już być w formie. Przyjdą do pana agenci policji prowadzący śledztwo. Adwokat z urzędu. Zastępca prokuratora… Dopiero potem zaprowadzą pana do sędziego, który już zarządził sądowy nadzór nad panem.

– A co z tym? – Narcyz poruszył kajdankami przypiętymi do noszy.

– To nie moja działka. Od tego jest policja. Z medycznego punktu widzenia nie ma żadnych powodów, by je zdjąć. Bardzo mi przykro.

Narcyz prawą ręką pokazał na drzwi.

– Jestem pilnowany?

– Tak, stoją tam dwaj wartownicy. – Uśmiechnął się. – Wygląda na to, że jest pan bardzo niebezpieczny. Do widzenia. Niech się pan prześpi.

Światło zgasło. Drzwi się zamknęły. Szczęk zasuwki w zamku. Pomimo zastrzyku spokój i dobre samopoczucie się ulotniły. Widział się już oskarżonym o przynajmniej dwa morderstwa – Minotaura i Ikara. Nie licząc trzeciej ofiary: pozbawionego genitaliów mężczyzny, zabitego na którymś z paryskich mostów, co stwierdzą na podstawie zdjęć rentgenowskich jego obrazów. Dlaczego wszczepiono mu do nosa ten implant? Kto to zrobił?

Wyobraził sobie ekspertów, którzy zdiagnozują u niego niedorozwój umysłowy, chroniczne szaleństwo. Ucieczki psychiczne i morderstwa zain-

spirowane mitologią. Jego przypadek nie będzie stanowił żadnego problemu. Wyrok może być tylko jeden: resztę życia spędzi na oddziale zamkniętym.

Poruszył się na łóżku. Poczuł krępujące mu rękę kajdanki. Ból w pobitym ciele. Jedyne miłe uczucie to miękkość materiału spodni…

Drgnął. Nadal miał na sobie własne spodnie. Wiedziony absurdalną nadzieją wsunął wolną rękę do prawej kieszeni. Pamiętał, że przekładał kluczyk z poprzednich spodni do tych. Niewielka była szansa, że policjanci go nie znaleźli.

Wyciągnął rękę. Pusta. Wykręcając się, sięgnął do drugiej kieszeni. Znalazł kluczyk. Wyjął go drżącą dłonią, powtarzając w duchu, że przedmiot ten jest jego talizmanem.

Tego rodzaju klucze powinny być standardowe. Uniósł się, wsunął kluczyk do zamka bransoletki. Jedno kliknięcie, mechanizm się otworzył. Narcyz usiadł, rozcierając przegub.

Uśmiechnął się do siebie w ciemnościach.

Wyciągnął ostrożnie igłę kroplówki wbitą w rękę i zeskoczył na podłogę. Linoleum stłumiło jego kroki. Rozejrzał się wokoło. Podszedł do metalowej szafki i bezszelestnie ją otworzył. Znajdowały się w niej jego marynarka, koszula i buty. Zniknęła forsa, glock, nóż i notes, w którym kiedyś zapisywał proporcje pigmentów do swoich farb. Nie można żądać za wiele.

Ubrał się bezszmerowo.

Przytknął ucho do drzwi. Lekarz rozmawiał z wartownikami.

– Po tym, co mu zaaplikowałem, będzie spać aż do rana.

Musiał szybko działać, zanim straci przytomność. Przeszedł przez salę, spróbował otworzyć okno. Nie miał z tym żadnych trudności. Zimno smagnęło go po twarzy, a z nim przekonanie, że miał przed sobą otwartą drogę ucieczki. Nie zamierzał już oddawać się w ręce policji. Złożyć broni. Zostawić szukania odpowiedzi innym…

Rzuciwszy ostatni raz okiem na pokój, zobaczył swoją kartę choroby zawieszoną na metalowym oparciu noszy na kółkach. Zawrócił i zabrał ją. Miał już pewien pomysł.

Z kartą pod pachą przerzucił nogi przez futrynę okna i oparł je o gzyms. Przed sobą miał widok na wewnętrzny dziedziniec. Dolatywały do niego głośne, niczym podczas burzy, pomruki Paryża. Katedra Notre Dame, większa niż góra, odcinała się na tle czarnego nieba. Jej ogrom, bardziej niż przepaść pod nogami, przyprawiał go o zawrót głowy. Złapawszy się w ostatnim momencie gzymsu, zastanawiał się, jak dostać się na dół.

Znajdował się na drugim piętrze. Na pierwszym biegła wokoło galeria. Jeśli uda mu się zejść na ten poziom, będzie mógł ześlizgnąć się pod jej sklepieniami, znaleźć schody, zniknąć. Dwadzieścia metrów na prawo zobaczył rynnę, która schodziła aż do parteru. Zaczął powoli się do niej przesuwać, czując, jak stopy ślizgają się po ocynkowanej blasze zewnętrznego parapetu. Zimno, od którego sztywniały mięśnie, nie pozwalało mu zasnąć.

Dotarł do rynny w ciągu kilku minut. Chwycił rękami pierwszą metalową obręcz, a stopami wymacał drugą. W ten sam sposób, korzystając na przemian z oparcia stóp i rąk, wymacał następne obręcze. Dotarł na kamienny balkon pierwszego piętra i zeskoczył do środka.

Nikogo. Poszedł wzdłuż muru, aż zobaczył klatkę schodową. Na dziedzińcu na dole byli zapewne policjanci. Musiał jak najszybciej znaleźć jakieś przebranie, żeby pokonać tę przeszkodę.

Zrezygnował z zejścia schodami. Skręcił na prawo, znalazł korytarz. Nadal wszędzie pusto. Beżowe ściany. Na podłodze linoleum. Liczne pokoje. Ruszył na poszukiwanie ambulatorium, szatni lub pomieszczenia technicznego. Mijał kolejne drzwi z numerami – 113, 114, 115… – następne z tabliczką: WSTĘP WZBRONIONY.

Nacisnął klamkę i wślizgnął się do środka. Po omacku odnalazł kontakt i zaklął. Na półkach znajdowały się tylko prześcieradła, poszwy, koce, środki czystości. Rozglądał się po półkach, kiedy nagle z tyłu za nim otworzyły się drzwi. Rozległ się krzyk strachu. Narcyz się odwrócił. Była to sprzątaczka, pochodzenia afrykańskiego, z wózkiem i szczotkami.

– Co pani tu robi? – zapytał ostrym tonem.

– Przestraszył mnie pan.

W momencie, kiedy kobieta otwierała drzwi, znalazł kitel lekarski. Natychmiast go na siebie włożył. Nie miał plakietki, ale jego rozgniewana mina wystarczyła.

– Pytam po raz drugi: co pani tu robi?

Kobieta odzyskała rezon i marszcząc brwi, zapytała:

– A pan?

– Ja? Wykonuję pani robotę. Wracam z pokoju numer sto trzynaście. Pacjentka rzyga na wszystkie strony. Poplamiła mi fartuch. Od dziesięciu minut dzwonię. Nikt się nie pojawia. To niedopuszczalne!

Sprzątaczka się zawahała.

– Ja… byłam zajęta sprzątaniem korytarzy…

Narcyz zdjął z półki ścierkę i rzucił ją kobiecie.

– Odpowiada pani za czystość w salach. Proszę iść natychmiast do pokoju sto trzynaście!

Mówiąc to, odsunął ją na bok i nie oglądając się, wyszedł stamtąd. Zapinając po drodze guziki kitla, czuł na plecach spojrzenie kobiety. Jeszcze kilka kroków i okaże się, czyjego blef był skuteczny.

– Panie doktorze!

Odwrócił się z bijącym sercem.

– Zapomniał pan tego.

Trzymała w ręku kartę choroby, którą położył na prześcieradłach. Zawrócił i uśmiechnął się do niej.

– Dziękuję, powodzenia.

Odszedł pewnym krokiem. Kiedy usłyszał odgłos wózka zmierzającego do pokoju 113, był już pewien, że mu się udało.

Skręcił na lewo i wszedł na klatkę schodową.

Linia 7 biegła przez Dziewiątą, Dziesiątą i Dziewiętnastą Dzielnicę. Tego właśnie potrzebował. Znajdzie jakiś hotel w okolicach stacji Château-Landon lub Crimée. Czasy luksusu się skończyły. Nie miał czym zapłacić nawet za najgorszą norę w jakiejś melinie. Zmuszony był posłużyć się oszustwem, żeby wejść na peron metra.

Z pewną ulgą, ale bardzo wyczerpany zwalił się na ławkę na peronie w kierunku La Corneuve. Środek uspokajający nadal działał. Powieki ciążyły mu, jakby były z ołowiu. Mięśnie sflaczały…

Przez hol szpitala Hôtel-Dieu przeszedł bez problemów, udając, że czyta swoją własną kartę choroby. Zorientował się, że może ominąć dziedziniec części więziennej, jeśli skorzysta z głównego wyjścia. Nie okazując najmniejszego wahania, skręcił w stronę izby przyjęć. Wyszedł dużą bramą, kierując się na lewo, na dziedziniec Notre Dame, po czym pozbył się dyskretnie kitla i karty choroby, które wrzucił do kosza na śmieci. Ile Saint-Louis. Ulica du Cloître.

Bulwar de Bourbon, potem bulwar d’Anjou aż do mostu de Sully. W końcu znalazł się na prawym brzegu Sekwany i wszedł do stacji metra Sully-Morland.

Na peronie panowała cisza jak w sali pogrzebowej. Pod sklepieniem unosił się smród palonych opon. Uznał, że nikt jeszcze nie zauważył jego ucieczki. Paryż był spokojny. Paryż spał. Paryż nie wiedział, że mitologiczny zabójca znowu uciekł…

Przyjechał pociąg. Kiedy tylko usiadł, ogarnęła go jeszcze większa senność. Kołysanie wagonu go usypiało. Żeby się ocknąć, wstał i popatrzył na plan metra. Wybrał stację Poissonnière, dziesiątą za Sully-Morland. Miał nadzieję, że do tego czasu wytrzyma. Opadł z powrotem na ławkę, usiłując uporządkować swoje myśli. Na próżno. Kiedy za oknem pojawiły się tablice z nazwą Poissonnière, był już bliski zaśnięcia. W ostatniej chwili zerwał się i wyskoczył z wagonu. Zanurzył się w ulice Dziesiątej Dzielnicy. Powietrze na dworze go ocuciło.

W małym hoteliku na ulicy des Petites-Ecuries mężczyzna za kontuarem recepcji zażądał od niego zapłaty z góry.

– Zapłacę jutro – oświadczył Narcyz możliwie najbardziej wyniosłym tonem – nie mam przy sobie gotówki.

– Może być karta kredytowa.

– Proszę pana. – Narcyz się uśmiechnął. – Prześpię się kilka godzin i jutro rano zapłacę.

– Bez pieniędzy nie wynajmę pokoju.

Narcyz rozpiął marynarkę i powiedział innym tonem:

– Słuchaj, stary. Za tę twoją norę mogę zapłacić tylko moją marynarką, kapujesz?

– Tylko grzecznie. Pokaż marynarkę.

Narcyz zdjął ją bez wahania – tym sposobem załatwił sobie bilet w jedną stronę do ciupy. Recepcjonista, słuchając porannych wiadomości, przypomni sobie o dziwnym facecie bez choćby jednego euro w kieszeni. Na razie zadowoli się marynarką z włoskiego fil a filu.

– Dostaje pan pokój, a marynarkę zatrzymuję w zastaw.

– Układ stoi. – Narcyz westchnął.

Recepcjonista położył klucz na kontuarze. Narcyz chwycił go i poszedł wąskimi schodami na górę. Ściany i sufit wyłożone były pomarańczową tapetą. Tak samo w pokoju. Nie zapalając światła, zaciągnął zasłony w oknie i wszedł do łazienki.

Zapalił lampę nad umywalką. Popatrzył na siebie w lustrze. Zapadnięta twarz, podkrążone oczy, potargane włosy. Gęba nieszczególna, ale mogło być gorzej.

Od ucieczki ze szpitala po głowie chodziła mu jedna myśl. Co to za obce ciało w jego nosie? Zastanawiał się nad tą zagadką na wszystkie sposoby. Nie znalazł odpowiedzi, miał tylko niejasne przeczucie. Lekarz wspomniał

o „implancie uwalniającym hormony” lub „mikropompie”. Być może implant miał nie leczyć, ale przeciwnie – wywołać jakąś chorobę. Do mózgu dostawało się coś, co powodowało jego ucieczki psychiczne. Wyglądało to na majaczenie rodem z książek science fiction lub hollywoodzkich seriali. Jednak wszystko, co przeżył w ciągu minionych dwóch tygodni, pasowało do tego jak ulał.

Zdjął koszulę, zatkał umywalkę, wstrzymał oddech, po czym popatrzył na siebie jeszcze raz, jakby oglądał najgorszego wroga. Bez najmniejszego wahania z całej siły uderzył nosem w kant umywalki.

Czarno. Zobaczył wszystkie gwiazdy. Upadł na kolana, ale zaraz się podniósł, otwierając oczy. Najpierw zobaczył krew na dnie umywalki. Potem w lustrze rozbity nos. Ból przenikał go na wskroś aż do najgłębszych zakamarków mózgu. Łazienka tańczyła wokół niego. Chwycił się brzegu umywalki, żeby nie upaść.

Drżącą ręką pomacał ciemną plamę obok zatkanego odpływu. Nic. Kciukiem i palcem wskazującym powoli poruszył kością nosową. Jednocześnie silnie dmuchnął, jakby chciał wytrzeć nos.

Jedyne, co osiągnął, to kolejny strumień krwi.

Zebrał się w sobie i ponownie uderzył nosem o brzeg umywalki na wysokości oczu. Od uderzenia zawirowało mu w głowie. Gorąca fala bólu zalała mózg. Udało mu się ustać na nogach, ale nie miał odwagi popatrzeć na siebie w lustrze. Na pół omdlały, z oczami oślepionymi od łez, złapał się za nos, pokręcił nim, ostrożnie wydmuchał. Nic.

Kolejne uderzenie o umywalkę. Kolejna fala bólu. Nic. Znowu uderzenie. Ta sama manipulacja nosem. Czuł pod palcami połamane kości nosa. Nic.

Piątego razu już nie było.

Nieprzytomny osunął się na podłogę.

Kiedy się ocknął, poczuł najpierw krew przyklejającą policzek do linoleum. Ból trochę zelżał. Ogromne odrętwienie w całej głowie, ściskanie w czaszce, czarna kurtyna przed oczami. Uniósł się na łokciu. Nos musiał być jedną krwawą raną. Ręką uchwycił się kranu i dzięki temu udało mu się podnieść na wysokość lustra.

Wszędzie krew. Na lustrze, na ścianach, w umywalce. Miał wrażenie, jakby był zamachowcem samobójcą, któremu bomba wybuchła w rękach. Zebrał się na odwagę i spojrzał do lustra. Twarz nie wyglądała na znie-

kształconą, jedynie nos był opuchnięty i skrzywiony. W tym miejscu kość przebiła skórę.

Może implant wyskoczył właśnie tędy…

Powstrzymując mdłości, zanurzył rękę w wypełnionej mazią umywalce. Macał palcami i znalazł. W okrwawionych palcach trzymał kapsułkę. Coś w rodzaju bardzo cienkiego pocisku, długości dwóch centymetrów. Opłukawszy ją zimną wodą, zobaczył chromowaną tulejkę bez śladu spawania. Lekarz mówił o krzemie. Narcyz nie wiedział, co to za metal. Implant wyglądał na odlany w jednym kawałku. Jeśli to mikropompa, to którędy wypływała z niej pompowana substancja? W każdym razie był to cudowny przykład miniaturyzacji.

Trzeba ten przedmiot zbadać, poddać analizie, odkryć jego działanie. Gdzie? Kto miałby to zrobić? Żadnej odpowiedzi. Schował kapsułkę do kieszeni. Odetkał umywalkę, podsunął twarz pod lodowaty strumień wody. Ponieważ zimno działało znieczulająco, ścisnął ponownie nos dwiema poplamionymi krwią dłońmi i jednym uderzeniem przesunął go na swoje miejsce.

Ostatnia rzecz, jaką usłyszał, to trzask kości.

W następnej sekundzie znowu zemdlał.

Anaïs nigdy nie widziała tak przerażającej twarzy. Prawe oko okrągłe, wytrzeszczone, wyłupiaste. Lewe zmrużone, posępne, zapadnięte. Cała twarz wykrzywiona w lewo. Usta uśmiechające się w nienormalny sposób wyglądały jak otwarta rana. Twarz spod znaku zła. Zła, które sama czyniła i za które cierpiała…

Rysunki wykonane chińskim tuszem przypominały ilustracje do powieści w odcinkach z początku XX wieku. Występki Fantomasa. Śledztwa Harry'ego Dicksona. Zabójca uosabiał upiorną, fosforyzującą moc okrucieństwa. Pochylał się nad okaleczonym nagim ciałem, potrząsając niczym trofeum odciętymi organami. Bez żadnych wątpliwości były to męski członek i jądra.

Drugie zdjęcie rentgenowskie przedstawiało tę samą scenę, ujętą w krótkim odstępie czasu. Z tyłu widać było jeden z paryskich mostów – Iena, Alma, Invalides, Alexandre III… – i czarną powierzchnię płynącej w dole Sekwany.

Anaïs przeniknął dreszcz. Trzymała w rękach zdjęcia rentgenowskie dwóch autoportretów Narcyza. Pod warstwą farby ukrył scenę krwawej ofiary, której był świadkiem. Albo wykonawcą. Do wyboru.

– Co pani o tym myśli?

Anaïs odłożyła klisze i spojrzała na komendanta policji, który postawił jej to pytanie. Znajdowała się w siedzibie Centralnego Biura do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. Nawet w policji kretyństwo ma swoje

granice. O dziewiątej rano doprowadzono ją przed sąd okręgowy w Paryżu. Sędzia nie był szczególnie wyrozumiały, ale uznał, że funkcjonariuszka z Bordeaux posiada istotne informacje dotyczące strzelaniny w mieście. Zawieziono ją więc do Nanterre, na ulicę des Trois-Fontanot, gdzie miała być przesłuchana przez szefa zespołu prowadzącego dochodzenie, komendanta Philippe'a Solinasa.

Potrząsnęła kajdankami.

– Czy mógłby pan najpierw mi to zdjąć?

Zerwał się energicznie.

– Naturalnie.

Solinas był wysokim mężczyzną około pięćdziesiątki, ubranym w czarny garnitur kupiony na wyprzedaży. Cała jego sylwetka dowodziła powolnej transformacji – od młodzieńczych muskułów do otyłości wieku dojrzałego. Łysa czaszka, z nasuniętymi na czoło okularami, jakby dla zrekompensowania braku włosów, trzydniowy szpakowaty zarost.

Kiedy uwolniono jej ręce od bransoletek, Anaïs wskazała na zdjęcia rentgenowskie.

– Mamy tu scenę zabójstwa popełnionego w Paryżu w środowisku kloszardów.

– Niech mi pani powie coś, czego jeszcze nie wiem.

– Do morderstwa doszło latem dwa tysiące dziewiątego roku.

– Skąd to przekonanie?

– Rysunki zostały wykonane we wrześniu lub październiku tego samego roku.

Komendant usiadł ponownie za biurkiem. Szerokie bary, ręce splecione na blacie, w każdej chwili gotów włączyć się do bijatyki. Anaïs dostrzegła obrączkę – grubą, złotą. Nosił ją niczym trofeum. Albo jak kajdany. Cały czas obracał ją na palcu.

– Co pani wie dokładnie o tej sprawie?

– Jaki układ może mi pan zaproponować?

Solinas się uśmiechnął. Obrączka wciąż obracała się na jego palcu.

– Niech pani nie próbuje negocjować, pani kapitan. Rozmawiałem z sędzią. Najłagodniej można powiedzieć, że sytuacja jest dla pani mocno niekorzystna.

– W pracy starałam się zawsze jakoś dogadać z przestępcami. Myślę, że pan może zrobić taki gest dla policjantki. Mam bardzo istotne informacje

dla toku tego dochodzenia.

Pokiwał głową. Podobał mu się chyba upór, z jakim Anaïs walczyła o swoje.

– Jakie byłyby warunki ugody?

– Powiem wszystko, co wiem o sprawie, w zamian za natychmiastowe uwolnienie.

– Tylko tyle?

– Byłabym gotowa zgodzić się na zwolnienie warunkowe.

Solinas otworzył teczkę zawierającą protokoły przesłuchań. Jej teczka. Niezbyt gruba. Kiedy przeglądał dokumenty, Anaïs rozejrzała się po pokoju. Ściany wyłożone jasnym drewnem przywodziły na myśl kajutę na jachcie. Światło wąskich żarówek podkreślało przytulną atmosferę.

– Każde z nas na tym skorzysta – powiedziała. – Pan będzie miał informacje, ja wolność. Nie ma w tym zresztą żadnej sprzeczności. Mogę panu pomóc w tym śledztwie.

Solinas potrząsnął plikiem spiętych papierów.

– Wie pani, co to jest?

Anaïs nie odpowiedziała.

– Pani zawieszenie aż do nowych rozkazów.

– Mogłabym grać rolę zewnętrznego konsultanta.

Komendant założył ręce z tyłu na karku i się przeciągnął.

– Wszystko, co mogę zrobić, to dać pani trzy dni, zanim prześlę te akta do wydziału karnego i wewnętrznej kontroli policyjnej. Jako policjantka ma pani prawo do zwolnienia tymczasowego pod moją kuratelą. Powiedzmy, że jest to dla dobra śledztwa. – Postukał palcem w blat biurka. – Ale uważaj, ślicznotko. Chcę usłyszeć wszystko, co pani wie, bez wyjątku. Jeśli zorientuję się, że zatrzymała pani dla siebie choćby najmniejszą informację, znajdzie się pani po uszy w gównie.

– Bardzo elegancko.

Położył ponownie ręce na blacie i zaczął obracać w palcach obrączkę.

– Myślisz, że gdzie jesteś? U Laduree?

– A jaką mam gwarancję, że kiedy wyłożę karty na stół, pan dotrzyma umowy?

– Moje słowo policjanta.

– Ile jest warte?

– Dwadzieścia pięć lat uczciwej, lojalnej służby. Możliwość awansu. Perspektywa zagrania na nosie moim sympatycznym kolegom z wydziału kryminalnego. Zważ to wszystko i zdecyduj.

Prawda była taka, że nie miała wyboru. Była zakładnikiem Solinasa.

– Zgoda – oświadczyła. – Ale wyłączy pan komórkę i komputer, a także kamerę wiszącą nad pańską głową. Nie będzie pan robił żadnych notatek. Żaden ślad nie ma prawa zostać z tego, co panu powiem. Na razie jest to nieoficjalne.

Solinas wstał ze znudzoną miną. Odwrócił się i wyłączył kamerę. Wyjął z kieszeni komórkę, wyłączył ją i położył na blacie biurka, w widocznym miejscu. Potem usiadł, zostawił komputer w stanie czuwania i zadzwonił do centrali, by mu nie przeszkadzano.

Sadowiąc się wygodnie w fotelu, zapytał:

– Może kawy?

– Nie, dziękuję.

– A więc słucham.

Ujawniła wszystko. Zabójstwa w środowisku kloszardów. Minotaur w Bordeaux. Ikar w Marsylii. Ucieczkę Mathiasa Freire’a alias Victora Janusza, alias Narcyza. Charakterystykę podejrzanego i jego ucieczki psychiczne. Zamiast wyjechać z Francji, podejmuje na własną rękę śledztwo w sprawie tych zabójstw. Takie zachowanie można traktować jako dowód jego niewinności lub utraty pamięci, albo jednego i drugiego.

Anaïs mówiła przez pół godziny. Czując suchość w ustach, poprosiła:

– Mogłabym dostać trochę wody?

Solinas otworzył jedną z szuflad i postawił na biurku małą butelkę wody mineralnej Evian.

– A co to było na ulicy de Montalembert?

Anaïs nie od razu odpowiedziała. Piła chciwie wodę z butelki.

– W jednym ze swoich wcieleń – podjęła na nowo – Freire był malarzem. Artystą cierpiącym na chorobę psychiczną. Obrazy podpisywał jako Narcyz. Był leczony w Villi Corto, instytucie znajdującym się niedaleko Nicei.

Hasło Villa Corto było testem. Solinas nie zareagował. Nic więc nie wiedział o masakrze. Ona także o tym nie wspomniała. Oprócz Crosniera nikt chyba nie wiedział, że była w instytucie.

– Narcyz malował wyłącznie autoportrety. Freire domyślił się, że pod jednym obrazem ukrył drugi. Jego płótna zostały sprzedane przez jedną

z paryskich galerii. Przyjechał więc do Paryża, zdobył nazwiska nabywców, a potem ruszył na poszukiwanie swoich obrazów, żeby je prześwietlić. Był to jedyny sposób na odkrycie tajemnicy tych płócien.

– Czy to nazwiska nabywców podała pani Ribois?

– Ribois?

– Naszemu Mięśniakowi.

– Tak. Narcyz odzyskał jeden autoportret od kolekcjonera w Szóstej Dzielnicy, a potem drugi na ulicy de Montalembert. Następnie pospiesznie skierował się do najbliższego centrum radiologicznego, żeby poznać sekret swoich obrazów. To właśnie te klisze fotograficzne pokazał mi pan przed chwilą.

Solinas wziął jedno zdjęcie i obejrzał je pod światło. Opuścił okulary z czoła na oczy. Teraz wyglądał jak lekarz zastanawiający się nad diagnozą.

– Czy to morderstwo mogłoby należeć do serii zabójstw zainspirowanych mitologią?

– Z całą pewnością.

Mówiąc te słowa, Anaïs doznała olśnienia. Wykrzywiona, drwiąca twarz zabójcy była maską. Czy to odniesienie do jakiegoś mitu? Skłaniałaby się raczej ku temu, że chodzi o maskę etniczną, mającą związek z jakimś prymitywnym plemieniem. Przypomniała sobie zeznanie Raoula, kloszarda z Bordeaux. Według niego Philippe Duruy opowiadał, że jego kusiciel miał zasłoniętą twarz. Zabójca grał różne role. Wcielał się w postacie z różnych mitów.

– O jaki mit chodzi w tym wypadku? – zapytał Solinas.

– Nie wiem. Trzeba by się tego dowiedzieć. Sądzę, że w mitologii greckiej nie brakuje zabójstw połączonych z kastracją. Jednak sprawą ważniejszą jest odnalezienie tropu tego mordercy w Paryżu.

– Dzięki za radę. Będzie to dość trudne. Kloszardzi zabijają się regularnie.

– I odcinają jądra?

– Pomysłów im nigdy nie brakuje. Skontaktujemy się z Zakładem Medycyny Sądowej. – Komendant przyjął pozycję jak na początku: rozparty w fotelu bawił się obrączką. – W twojej opowieści jest dużo czarnych dziur – oznajmił sceptycznym tonem. – Przede wszystkim, jak to się stało, że znalazłaś się w Paryżu?

Spodziewała się tego pytania. Odpowiadając na nie, musiała wspomnieć o dwóch zabójcach w garniturach od Hugo Bossa.

– W tej sprawie jest jeszcze jeden wątek – powiedziała po chwili wahania.

– Musisz wyznać wszystko, moja mała.

Westchnęła i wróciła do pierwszego człowieka z amnezją, Patricka Bonfilsa. Opisała, jak na plaży w Guethary został zabity on i jego towarzyszka. Przyznała, że jedyny ślad, jaki ma, to audi Q7, zidentyfikowane na miejscu zbrodni, należące do firmy ACSP, wchodzącej w skład grupy Mêtis.

– Mêtis? A co to takiego? – przerwał jej Solinas.

Anaïs wyjaśniła to pokrótce. Grupa agronomiczna, która w latach osiemdziesiątych zmieniła się w farmaceutyczną. Ich niejasne powiązania z francuskimi siłami zbrojnymi. Komendant zmarszczył brwi z niedowierzaniem. Przeszła do konkretów. Rzekoma kradzież Q7, którym jechali profesjonalni zabójcy. Dzięki GPS-owi udało się jej wyśledzić trasę podróży tych drani, jadących śladem Narcyza.

– Brzmi to jak w powieści.

– A dwa trupy na ulicy de Montalembert?

– Nie było tam żadnych śmiertelnych ofiar.

– Jako to?

– W każdym razie żadnego trupa.

– Widziałam na własne oczy. Freire jednego zabił z pistoletu, drugiego zadźgał nożem.

– Jeśli są to takie typy, jak ich opisujesz, to na pewno mieli na sobie kuloodporne kamizelki. Twój Narcyz nie ma żadnego doświadczenia. Strzelił do pierwszego faceta. Cud, gdyby go trafił. Zresztą jego pistolet był wyposażony w tradycyjną amunicję o słabej sile penetracji. Znaleźliśmy łuski. Dla kamizelki z kevlaru czy włókna węglowego to jak ukłucie muchy. To samo dotyczy noża. Twój facet wbił nóż w brzuch najemnika, ale nawet nie sięgnął nim do drugiej warstwy kamizelki.

– Widziałam ich z bliska – nie ustępowała Anaïs. – Mieli na sobie garnitury dopasowane do ciała. Niemożliwe, żeby nosili pod nimi kuloodporne kamizelki.

– Pokażę ci nasze najnowsze modele. Nie grubsze niż pianka do nurkowania.

– Przecież było tam mnóstwo policji!

– No właśnie. Skorzystali z całego zamieszania i się wymknęli. Pierwsi przyjechali na miejsce policjanci z dzielnicy. Możesz sobie wyobrazić ich doświadczenie w boju. My przybyliśmy za późno. Zastaliśmy tylko ciebie i twojego pomylonego malarza.

Anaïs nie upierała się dalej. Teraz przyszła kolej na nią, żeby zbierać informacje.

– Czy przesłuchaliście Narcyza? Co powiedział?

Solinas uśmiechnął się ironicznie. Znowu bawił się obrączką. Anaïs przeczytała w którymś z kobiecych pism, że taki gest wyraża silne pragnienie wyzwolenia się ze związku małżeńskiego.

– No tak, w ostatnim czasie byłaś nieco odsunięta od tego, co się dzieje.

– Nie rozumiem.

– Twój milusiński zwiał nam tej samej nocy.

– Nie wierzę panu.

Solinas otworzył szufladę i podał jej teleks z głównej komendy. Pilne pismo, adresowane do wszystkich brygad do walki z przestępczością zorganizowaną i do wszystkich posterunków policji w Paryżu, powiadamiające o tym, że Mathias Freire, znany także jako Victor Janusz lub Narcyz, podejrzany o zabójstwo, około godziny dwudziestej trzeciej uciekł z Oddziału Medycyny Sądowej szpitala Hôtel-Dieu.

Omal nie krzyknęła z radości. Po sekundzie jednak powrócił niepokój. Freire znalazł się ponownie w punkcie wyjścia. Jeśli najemnicy żyli, to z pewnością znowu ruszą za nim w pościg. Solinas nachylił się nad biurkiem.

– Gdzie należy go szukać? – zapytał głosem niższym o oktawę.

– Nie mam pojęcia.

– Ma jakieś kontakty w Paryżu? Jakichś ludzi, którzy pomogą mu uciec?

– Freire nie chce uciekać. Chce dotrzeć do swoich kolejnych wcieleń. Nic o nich nie wie. I my także nic nie wiemy.

– Nic innego nie masz mi do powiedzenia?

– Nie.

– Na pewno?

– Na pewno.

Odchylił się z powrotem na oparcie fotela. Otworzył kartonową teczkę.

– No to mam coś dla ciebie.

Położył przed nią inny dokument tak, aby mogła go przeczytać.

– Co to jest?

– Nakaz podpisany przez sędziego, moja ślicznotko. Masz być przewieziona do Zakładu Karnego we Fleury-Mérogis. Ze skutkiem natychmiastowym.

– Co? A… pańskie słowo?

Solinas dał szybko znak komuś za szklanymi drzwiami. Zanim Anaïs zdążyła zareagować, szczęknęły kajdanki na jej przegubach, dwaj policjanci w mundurach podnosili ją z krzesła.

– Nikt nie może być ponad prawem. Zwłaszcza taka naćpana, która ma się za…

Komendant nie zdołał dokończyć zdania. Anaïs plunęła mu w twarz.

Obudził się z silnym bólem między oczami. A może to właśnie ból go obudził.

Nos spuchł mu jak bania, przesłaniając pole widzenia. Bolesne pulsowanie między złamanymi chrząstkami sprawiało, że miał ochotę wyć. Krew wypełniała jamę nosową i zatoki szczękowe. Zatkany własną krwią oddychał z trudem.

Odzyskał przytomność w środku nocy, ale nie miał siły zapalić światła i zwalił się w ubraniu na łóżko. Spał ciężkim snem.

Ostrożnie wstał, poruszając się niepewnie jak po długiej chorobie. Chwiejnym krokiem doszedł do łazienki. Uświadomił sobie, że jest już dzień. Która godzina? Nie miał zegarka. Zapalił lampę nad umywalką. Miła niespodzianka. Twarz miał spuchniętą, ale nie tak bardzo. Na grzbiecie nosa ranki pokryte skorupą krwi – skutek uderzenia o umywalkę. Rana dłuższa, głębsza widniała po lewej stronie nosa – tędy wypłynął implant.

Bezwiednie sięgnął do kieszeni. Był tam. Na myśl, że od wielu miesięcy miał wszczepioną tę kapsułkę, omal nie zemdlał kolejny raz. Przyjrzał się jej jeszcze raz. Żadnej szparki, żadnej wypukłości. Jeśli była to mikropompa, jak mogła działać? Może została wykonana z porowatego materiału, przez który przesączał się jakiś środek. Schował ten dowód winy z powrotem do kieszeni spodni.

Zamoczył w zimnej wodzie ręcznik, zrobił z niego kompres na nos i wrócił do łóżka. Ten zwykły ruch wywołał kolejną falę bólu. Zamknął oczy

i czekał. Fale bólu cofały się powoli niczym zmarszczki wody znikające na powierzchni jeziora.

Mimo kiepskiego samopoczucia nie zmienił decyzji. Musi kontynuować walkę. Prowadzić dalej własne śledztwo. Nie miał innego wyboru. Ale jak? Bez pieniędzy? Bez sprzymierzeńca? Poszukiwany przez całą policję Paryża? Odepchnął od siebie te obiekcje, żeby skoncentrować się na nowych tropach.

Najpierw trzeba by odnaleźć ślad morderstwa z kastracją, dokonanego w 2009 roku w Paryżu, przy którymś z nabrzeży Sekwany. Zaraz jednak pojął, że nie ma żadnych możliwości, by dowiedzieć się czegoś na ten temat. Potem pomyślał, by poszperać w greckich mitach, gdzie jest mowa o kastracji. Z tego pomysłu także zrezygnował. Musiałby znaleźć kafejkę internetową, bibliotekę lub jakieś archiwum. Wyobraził sobie, jak błąka się ulicami Paryża w samej koszuli, bo nie miał możliwości odzyskania marynarki.

Sprawa była oczywista. Został żywcem zamurowany w tym pokoju obitym pomarańczową tapetą. Bez najmniejszych perspektyw.

Zaczął analizować swoje ucieczki psychiczne. Wiedza w zakresie psychiatrii. Wspomnienie o Anne-Marie Straub. Talent malarski. Usiłował coś z tego zrozumieć. Niczego nie uzyskał.

Pozostawało jednak malarstwo. Jeśli w poprzednim wcieleniu był malarzem, prawdopodobnie używał tych samych materiałów, stosował te same techniki co Narcyz… W wyobraźni ujrzał ponownie gęste linijki zapisu w jego notesie. Kompozycje barwników, proporcje mieszanek. Jedyny problem, że nie miał żadnych dokumentów i nie pamiętał swoich danych…

Nagle aż usiadł na łóżku. Corto objaśniał mu, że Narcyz, chcąc uzyskać pożądane kolory, używał oczyszczonego oleju lnianego, ale nie byle jakiego. Zamawiał go bezpośrednio u dystrybutorów lub producentów. W firmach, które zazwyczaj dostarczały towar hurtowo.

Mógłby od tego zacząć. Od dostawców oleju lnianego w stolicy. Jeśli był malarzem w Paryżu, miał zapewne jakiegoś ulubionego dostawcę. A ten powinien przypomnieć sobie artystę, który zamawiał kilka baniek oleju rocznie.

W pokoju hotelowym był telefon stacjonarny. Podłączony. Narcyz uśmiechnął się do siebie. Ale zaraz potem twarz wykrzywił mu grymas

bólu. Dał o sobie znać poraniony, zmaltretowany nos, z dziurą jak po pocisku szpecącą jego twarz.

Zadzwonił najpierw do zegarynki. Dziesiąta dziesięć. Potem do informacji telefonicznej. Zaskoczył go własny głos – nosowy, głęboki, obcy. Dzwonił kilka razy, żeby uzyskać listę dostawców oleju lnianego w regionie Ile-de-France.

Na stoliku nocnym leżał bloczek z logo hotelu – Excelsior – i ołówek. Zapisał nazwiska, miasta, numery telefonów. W paryskim regionie było kilkanaście firm dostawczych. Miasta, w których się znajdowały, tworzyły pas wokół Paryża – Ivry-sur-Seine, Bobigny, Trappes, Asnières, Fontenay-sous-Bois.

Pierwszy telefon. Narcyz powiedział, że jest malarzem i że chciałby się zaopatrywać bezpośrednio w przedsiębiorstwie produkującym farby. Dyrektor handlowy firmy Prochimie uprzejmie mu wyjaśnił, że produkują kit, szpachlówkę, lakiery, tusz przemysłowy, linoleum… Nic, co by się nadawało dla malarzy. W tym celu należy się skontaktować z firmami specjalizującymi się w dziedzinie sztuk pięknych, takimi jak Old Holland, Sennelier, Talens, Lefranc-Bourgeois.

Narcyz grzecznie mu podziękował i się rozłączył. Wykręcił numer firmy CDC w Bobigny, specjalizującej się w woskach, lakierach i żywicy. Usłyszał taką samą odpowiedź. Podobnie zareagowała firma Kompra, dystrybutor metali i plastików. Kolejne nazwiska, kolejne głosy. Za każdym razem udawało mu się rozmawiać z dyrektorem handlowym i ciągle słyszał ten sam tekst. Trzeba dzwonić do firm sprzedających swoje produkty w litrach, a nie w tonach.

Przy siódmym telefonie, kiedy już widział bezsensowność całej akcji, niespodzianie kolejny rozmówca, z firmy RTEP, specjalizującej się w naturalnych olejach, zapytał:

– Arnaud, to ty?

Narcyz zareagował natychmiast:

– Tak, to ja.

– Mój Boże, gdzie się podziewałeś?

Narcyz poruszył nosem, łudząc się, że odzyska własny głos. Zabolało go tak strasznie, że z trudem powstrzymał krzyk.

– Podróżowałem – wymamrotał.

– Dziwnie mówisz, prawie cię nie poznałem.

– Mam grypę.

– Nadal malujesz?

– Tak.

Narcyz spojrzał na drugą, wolną rękę – drżała. Zrobiło mu się gorąco. Cud czy pomyłka? Czy ten człowiek znał inną z jego osobowości?

– Dzwonisz w sprawie zamówienia?

– Właśnie.

– Jak zwykle?

– Jak zwykle.

– Czekaj. Sprawdzę w rejestrze. – Stuk klawiszy komputera. – Wiesz, że nad biurkiem mam cały czas twój obraz? – mówił, nie przerywając poszukiwań. – Odniosłem niebywały sukces u moich klientów. Nie chcą wierzyć, że nasze przedsiębiorstwo przyczynia się do czegoś takiego! – Roześmiał się. Narcyz milczał. – Dostawa na ten adres, co zwykle?

– A jaki masz zapisany?

– Ulica de la Roquette numer sto osiemdziesiąt osiem, zgadza się?

Najwyraźniej jakiś bóg czuwa nad zbiegami.

– Zgadza się – odparł Narcyz, notując adres. – Zadzwonię do ciebie jeszcze raz z konkretnym zamówieniem. Sprawdzę moje zapasy.

– Nie ma sprawy, Picasso. Musimy się umówić na dobrą kolację!

– Oczywiście.

Odłożył słuchawkę oszołomiony niespodziewanym szczęściem. Czuł szczypiący go w twarz kurz z wykładziny i łzy napływające do oczu z powodu bólu złamanego nosa. Odniósł zwycięstwo. Oczyszczony olej lniany doprowadził go do innego jego wcielenia. Z pewnością do tego bezpośrednio przed Narcyzem…

Ulica de la Roquette 188. Nie był to adres jednego budynku, ale kompleksu dawnych fabryk, przerobionych na lofty dla artystów, biura firm produkcyjnych, graficznych atelier. Każdy z dwupiętrowych budynków pysznił się witrażowymi oknami. Brukowane uliczki między blokami lśniły niczym potoki połyskujące w słońcu.

Narcyz nie poznawał okolicy, ale czuł ciepło i otuchę emanujące z tego miejsca, z dala od zatłoczonego miasta.

– Nono?

Minęło kilka sekund, zanim domyślił się, że zwracano się do niego. Nono od imienia Arnaud… Dwadzieścia metrów od niego dwie młode kobiety paliły papierosy przed jednym z budynków. Przerwa na dymek.

– Jak leci? Dawno cię nie widziałyśmy!

Narcyz uśmiechnął się z przymusem, ale nie podchodził bliżej. Był w samej koszuli. Jego obrzmiały nos też nie dodawał mu uroku.

– Nie dasz buzi? – zaszczebiotały.

– Mam grypę.

– Gdzie byłeś?

– W podróży – wyjaśnił, podnosząc głos. – Wystawy.

– Nie wyglądasz najlepiej! Widywałyśmy cię w lepszej formie! Zaśmiały się, trącając się łokciami. Wyczuwał w tych kobietach jakieś dziwne podniecenie, ironiczne porozumienie. Zastanawiał się, czy nie przespał się z jedną z nich. A może z obiema?

– Możesz nam podziękować. Podlewałyśmy twoje rośliny!

– Widziałem – powiedział, żeby zakończyć rozmowę. – Dziękuję.

Wszedł w pierwszą uliczkę, która się przed nim otworzyła, mając nadzieję, że obrał dobry kierunek. Dziewczyny nic nie powiedziały, a więc trafił. Reakcja tych kobiet na jego widok oznaczała, że był naprawdę tym Arnaudem. Zakładając jednak, że to wcielenie poprzedzało bezpośrednio Narcyza, to musiało minąć przynajmniej pięć miesięcy, odkąd stąd zniknął…

Nie zastanawiał się dłużej nad tymi wątpliwościami, ponieważ jego umysł był pod wrażeniem jeszcze innej nowiny. W drodze na ulicę de la Roquette zatrzymał się przy kiosku i przejrzał gazety codzienne, przede wszystkim ich pierwsze strony i strony poświęcone kronice kryminalnej. Za wcześnie było na to, żeby napisano już o jego ucieczce z Hôtel-Dieu. Informowano jedynie o strzelaninie na ulicy de Montalembert.

Jednak jego uwagę zwróciły inne tytuły.

Katastrofa, którą mógłby przewidzieć tysiąc kilometrów stąd.

KOLEJNA POMYŁKA PSYCHIATRÓW…

ZNOWU TRAGEDIA W ZAKŁADZIE PSYCHIATRYCZNYM W REJONIE NICEI…

SZALENIEC ZABIJA LEKARZA PSYCHIATRĘ I DWÓCH PIELĘGNIARZY…

Żandarmi z Carros znaleźli poprzedniego dnia około godziny dziewiątej ciała Jean-Pierre’a Corto i dwóch pielęgniarzy w gabinecie psychiatry. Pierwsze wyniki śledztwa świadczą, że lekarz był długo torturowany.

– Kupuje pan czy nie?

Narcyz odszedł pospiesznie bez słowa. Był człowiekiem przeklętym. Niczym w *Krzyku* Edvarda Muncha. Jak mógł przypuszczać, że zabójcy zadowolą się wizytą w Villi Corto? „Lekarz był długo torturowany”. Od tej jednej myśli skręcało go w żołądku, ściskało mu się serce. Poczucie winy dławiło gardło. Gdziekolwiek się pojawiał, niósł ze sobą zniszczenie i przemoc. Istny blitzkrieg w wykonaniu jednego człowieka.

Jednocześnie, tak jak zawsze, mimo przerażenia dał o sobie znać instynkt samozachowawczy. Ani słowem nie wspomniano o obecności Narcyza

w Villi Corto w ciągu tamtych dwóch dni. Pomyślał o pensjonariuszach instytutu. Ich zeznania w żaden sposób nie posuną naprzód śledztwa. Z tego, co zdążył przeczytać, wynikało, że żandarmi przypuszczali, iż w instytucie doszło do jakiegoś zbiorowego ataku szaleństwa. Zamierzano szukać podejrzanego wśród malarzy mieszkających w willi. Narcyz życzył śledczym powodzenia.

W pośpiechu odczytywał nazwiska na skrzynkach pocztowych na każdym atelier. Ani śladu jakiegoś Arnauda. Na końcu uliczki stał dom ze szklaną fasadą, do połowy zakryty przez krzewy bambusa, wawrzynu, ligustru. Rośliny Nono? Zajrzał między donice i zobaczył skrzynkę na listy z tabliczką: ARNAUD CHAPLAIN.

Skrzynka pełna była korespondencji. Wszystkie koperty adresowane do Arnauda Chaplaina. Pisma urzędowe, przesyłki bankowe, reklamy, oferty prenumerat, promocje przesłane przez firmy marketingowe. Nic osobistego.

Zaczął podnosić po kolei donice, szukając schowanego pod którąś klucza. Szansa na sukces była niewielka. Nie znalazł nic. Wobec tego pozostało mu tylko użyć pięści. Zasłonięty bambusami uderzył z całej siły w witraż najbliższych drzwi. Za trzecim razem szkło posypało się do wnętrza atelier.

Narcyz wsunął rękę, otworzył zasuwę, nacisnął klamkę.

Wszedł do loftu, potknął się o kolejny plik korespondencji na podłodze i zamknął starannie za sobą drzwi.

Zasłony z materiału zaciągnięte były we wszystkich oknach. Tu już go nikt nie zobaczy. Obrócił się i odetchnął z ulgą powietrzem przesyconym kurzem.

Był u siebie.

Pomieszczenie miało powierzchnię ponad stu metrów kwadratowych. Metalowa konstrukcja podtrzymywała witrażowe okno. Betonowa podłoga pomalowana na szaro. Na prawo i na lewo pasujące do całości ściany z cegieł. Po lewej stronie gniazdka elektryczne dla lodówki i zmywarki. Pod ścianą z prawej mnóstwo tub z farbami, palety, butelki z rozpuszczalnikami, kadzie ze skamieniałymi grudami farby, ramy, zwinięte płótna…

Jeden szczegół zwrócił uwagę Narcyza. W głębi loftu, pod antresolą, stał duży stół kreślarski, oparty o inne okno witrażowe, zasłonięte przez bambusy. Podszedł bliżej. Rysunki reklamowe, szkice wykonane pisakiem lub węglem. Niektóre w ramkach, przymocowane do ściany nad stołem.

Chaplain był więc nie tylko malarzem. Był także ilustratorem i pracował w reklamie. Nigdzie ani jednego płótna, które by zdradzało, jakiego rodzaju obrazy malował. Szkice reklamowe nie miały logo ani nie były podpisane żadnym nazwiskiem. Trudno było odgadnąć, dla kogo pracował Chaplain. Jedno nie ulegało wątpliwości – wykonywał zlecenia w domu, jako wolny strzelec.

Wrócił do głównego pomieszczenia. Lampy w nowojorskim stylu z aluminiowymi kloszami. Na podłodze dywany z abstrakcyjnymi motywami. W rogach meble z lakierowanego drewna, bez ozdób, o prostych liniach. Dalekie to było od Janusza kloszarda czy Narcyza, zwariowanego malarza. Skąd Chaplain miał pieniądze na to wszystko? Czy praca w reklamie dawa-

ła mu wystarczające dochody? Czy sprzedawał swoje obrazy równie drogo jak Narcyz?

W głowie kłębiły mu się setki pytań.

Jak długo Narcyz był Chaplainem? Od kiedy wynajmował ten loft? Kto płacił za lokal podczas tylu miesięcy jego nieobecności? Zawrócił do drzwi, gdzie leżał stos korespondencji. Przez okienka na kopertach dostrzegał przesyłki administracyjne, żądania wpłat, faktury. Towarzystwa ubezpieczeniowe. Bank. Rachunki za telefon… Przed sprawdzeniem tej korespondencji postanowił obejrzeć całe mieszkanie okiem właściciela.

Zaczął od kuchni. Blat z politurowanego drewna, chromowane wyposażenie, roboty najnowszego typu. Wszystko w największym porządku, choć pokryte warstwą kurzu. Chaplain był chyba pedantem. Czy przychodziła tu sprzątaczka? Czy miała klucze do loftu? Był pewien, że nie. Kiedy otworzył lodówkę, zobaczył w niej resztki zepsutego jedzenia, mimo że była włączona. Jak każdy pasażer bez bagażu wyjechał, nie wiedząc, kiedy wróci.

Zajrzał do szuflady zamrażarki. W torebkach trzeszczących od kryształków lodu odkrył chińskie pierożki gotowane na parze, zieloną fasolkę, smażone ziemniaki… Na sam widok jedzenia zaburczało mu w żołądku. Wyjął z opakowania chińskie pierożki i włożył do mikrofalówki. Zajrzał również do innych przegródek, znalazł sos sojowy i sos chili. W kilka minut pochłonął parujące pierożki maczane w sosach, które nalał do filiżanek do kawy.

Po chwili zrobiło mu się niedobrze, bo za szybko jadł. Opanował mdłości. Potrzebował sił do tego, co go czekało. Pusty talerz i filiżanki wstawił do zlewu. Powracał do starych nawyków kawalera.

Wyszedł z kuchni. Zobaczył schody, których stalowa konstrukcja przypominała olinowanie jachtu.

Zamiłowanie do żeglowania potwierdziło się na pierwszym piętrze. Na ścianach wisiały czarno-białe zdjęcia żaglowców. Tę atmosferę podkreślały drewniane, lakierowane modele statków. Dopełnieniem wystroju było szerokie łoże z czarną pościelą i pomarańczową poduszką, ustawione frontem do olbrzymiego ekranu. Na prawo znajdowały się szafy w ścianach z brązowymi i białymi drzwiami.

Narcyz zajrzał do nich. Lniane koszule. Dżinsy i bawełniane spodnie. Markowe garnitury… Odpowiednie do nich buty. Westony, mokasyny od

Prady, miękkie pantofle od Tod’sa… Chaplain był nowoczesnym dandysem, noszącym się z ostentacyjną elegancją.

Przeszedł do łazienki znajdującej się za przegrodą z zielonego szkła. Ściany wyłożone ciemnymi, metalizowanymi kafelkami nadawały jej wygląd czystej, zimnej cysterny. Nad podwójną umywalką zamiast tradycyjnej armatury zobaczył kaskadę. Cały czas zadawał sobie to samo pytanie: skąd pochodziły pieniądze na opłacenie tego wszystkiego?

Postanowił wziąć prysznic. Dziesięciominutowa kąpiel pod prawie zimnym strumieniem obmyła go nie tylko z krwi, ale także ze strachu, jakiego doświadczał przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Wyszedł z kabiny z dziwnym uczuciem odzyskanej siły i niewinności. Poszperał wśród środków do pielęgnacji ciała, szukając czegoś do zdezynfekowania ran. Znalazł jedynie wodę kolońską Eau d’Orange Verte firmy Hermes. Skropił nią rany, nałożył na nos plastry. Następnie wybrał ubranie w stylu Chaplaina. Spodnie do joggingu od Calvina Kleina, T-shirt i bluzę z kapturem od Armaniego.

Zaczynał się już delektować miłą atmosferą mieszkania artysty, kiedy zobaczył na podłodze przy łóżku aparat telefoniczny z sekretarką. Usiadł na czarnej pościeli i przekonał się, że aparat jest wręcz przeładowany wiadomościami. Chaplain miał więc przyjaciół, którzy zaniepokoili się jego nieobecnością. Nacisnął klawisz odtwarzania, nie przejmując się odciskami palców, których już od dawna było wszędzie pełno.

Usłyszał głos młodej kobiety:

– Nono, co się z tobą dzieje? Obraziłeś się czy jak? Audrey dała mi numer twojego telefonu. Oddzwoń do mnie!

Ten śmiech i głos przypomniały mu mizdrzenie się dwóch kobiet palących papierosy przed pierwszym atelier. Narcyz spojrzał na ekran. Wiadomość nagrano dwudziestego drugiego września. Druga, niezbyt wyraźna, była z dziewiętnastego września.

– Nie ma cię, kotku? – szepnął aksamitny głos. – Tu Charlene. Nie dokończyliśmy…

Trzeci telefon, tego samego rodzaju, był z trzynastego września.

– Nono? Jestem z przyjaciółką i zastanawiamy się, czy nie chciałbyś może spotkać się z nami… Oddzwoń do nas!

Śmiechy. Odgłosy pocałunków. Wszystkie telefony były w tym samym tonie. Ani razu nie odezwał się żaden męski głos. Ani razu nie był to zwy-

kły, normalny telefon.

Rozejrzał się jeszcze raz po otoczeniu. Żaglowce. Markowe ciuchy. Pomarańczowa poduszka, czarna pościel. Wymyślna łazienka. Zmienił ocenę. Nie było to atelier artysty, ale gniazdko dla kobiet. Nie mieszkał tu samotny, udręczony malarz, taki jak Narcyz. Nono był uwodzicielem polującym na dziewczyny. Wyglądało na to, że w jakiś sposób zarabiał duże pieniądze. A resztę czasu spędzał z chętnymi partnerkami. Narcyz nie spodziewał się znaleźć kogoś takiego w swojej przeszłości.

Nagle w aparacie dał się słyszeć poważny, chłodny głos:

– Arnaud, to ja. Przyjdź do mnie. Zaczynam się denerwować. Boję się.

Sygnał. Narcyz spojrzał na datę – dwudziesty dziewiąty sierpnia. Godzina – dwudziesta dwadzieścia. Znowu kobieta, ale mówiła zupełnie innym tonem niż poprzednio. Już nie „Nono”, lecz „Arnaud”. Nie była to obietnica igraszek seksualnych, tylko wołanie o pomoc.

Był to ostatni zarejestrowany telefon. Natomiast pierwszy chronologicznie. Corto powiedział: „Znaleziono cię pod koniec sierpnia w okolicy skrzyżowania drogi numer czterdzieści dwa z autostradą A-osiem. Droga prowadziła do Cannes-Mougins.”.

Przesłuchał to nagranie kilkakrotnie. Te właśnie słowa spowodowały, że wyszedł stąd i już nie wrócił. Następne telefony trafiały w pustkę. Nono przestał żyć po spotkaniu z tą kobietą. Na drodze do Cannes stał się Narcyzem…

Czy ta kobieta mieszkała w Cannes? A może najpierw spotkał się z nią w Paryżu, a potem uciekał w kierunku Lazurowego Wybrzeża? Czy dostał ataku, zanim się z nią zobaczył? Nie. Gdyby nie doszło do spotkania, zadzwoniłaby ponownie. Widział się z nią i spotkanie skończyło się definitywnym rozstaniem.

Chyba że przybył za późno…

Spojrzał na ekran, ale jej numer był zastrzeżony. Męczył go też inny problem. Sieć jego znajomości była imponująca. Skąd pochodziły te dziewczyny? Gdzie był jego teren łowiecki?

Siedząc nadal na łóżku, zobaczył pod mansardowym oknem małe biureczko z politurowanego drzewa, które pasowałoby do kancelarii notarialnej z początku XX wieku. Na blacie stał macbook. Natychmiast zrozumiał, że znalazł „narzędzie zbrodni”. Nono polował w internecie.

Narcyz zasiadł przed komputerem. Kiedy go włączał, drugą ręką zaciągnął ciężką zasłonę, odgradzając się od światła. Instynktownie czuł, że wykonał ten gest tysiące razy.

MacBook zaszumiał i zażądał hasła. Narcyz, nie zastanawiając się, wystukał NONO. Komputer odpowiedział, że hasło musi mieć co najmniej sześć znaków. Wystukał NONONO, przypominając sobie jednocześnie słowa piosenki Lou Reeda: *And I said no, no, no, oh, Lady Day…* Tym razem hasło zostało zaakceptowane. Wszedł do internetu i w zakładce „historia" sprawdził ostatnio oglądane strony.

W jednej chwili znalazł się w innym świecie, w świecie Web 2.0, tym od portali społecznościowych, randkowych, wirtualnego labiryntu. W ostatnich tygodniach swojej egzystencji Nono surfował na całego, zwiększając liczbę kontaktów, czatów, e-maili… Migały przeróżne logo. Facebook, Twitter, Zoominfos, 123people, Meetic, Badoo czy Match.com…

Nono polował i jednocześnie sam się wystawiał na strzał. Myśliwy i ofiara. Z godzin, w jakich przeglądał poszczególne strony, wynikało, że Nono spędzał całe noce w sieci, przybierając ton żartobliwy, poważny, przyjacielski lub ponury w zależności od rozmówczyń.

Narcyz pomyślał, że Chaplain być może pod pozorem takiego bezładnego surfowania szukał konkretnie czegoś lub kogoś. Wynotował więc nazwy różnych stron i zajrzał na nie. Nono prowadził swoje poszukiwania zarówno na stronach poświęconych poważnym spotkaniom, jak i pod adresami o charakterze czysto seksualnym, typu „klikasz – pieprzysz". Narcyz odkrył również systemy, o których nigdy nie słyszał. Na przykład taki, który powiadamiał klienta SMS-em, że „kobieta jego życia" przechodzi w odległości piętnastu metrów od niego, albo taki, dzięki któremu w jednej chwili klient mógł zidentyfikować tablicę rejestracyjną samochodu prowadzonego przez piękność, która właśnie zrobiła na nim olśniewające wrażenie.

Wrócił do wiadomości wysyłanych przez Nono i przychodzących do niego. Miał trudności z ich odczytywaniem. Wpisy na czatach, e-maile roiły się od błędów ortograficznych i skrótów, których znaczenie odgadywał z dużym trudem: „pm" zamiast „przykro mi", „dcw" zamiast „dla ciebie wszystko"… Lektura tego była jeszcze bardziej zagmatwana przez „buźki" wyskakujące bez ładu i składu. Wszystko to świadczyło o chorobliwym podnieceniu, ale także o samotności, która przygnębiała Narcyza. Nie był już pewien, czy chce dalej iść tym tropem.

Dokonał jednak pewnego odkrycia. Jeden adres interesował Nono najbardziej ze wszystkich. Sasha.com, organizator szybkich randek, wieczorów, na których spotykają się ludzie samotni, mając do dyspozycji zaledwie kilka minut na oczarowanie drugiej osoby. Reklama na stronie była jasna: „Siedem minut, żeby odmienić swoje życie”.

Proponowano forum, na którym można było się przedstawić i zamienić kilka słów, zanim dojdzie do spotkania w miejscu publicznym – uczestnicy czatu używali terminów *dates* i *real life*.

Narcyz, nie namyślając się zbyt długo, wszedł na tę stronę.

W momencie, kiedy pisał pierwsze słowa, wiedział już, że wraca do poprzedniego wcielenia:

Tu Nono:-) Wróciłem!

IV

NONO

– Chatelet, masz gościa!

Anaïs nie zareagowała. Załamana, samotna, w celi wielkości dziewięciu metrów kwadratowych, leżała na pryczy. Ta samotność była luksusem, choć Anaïs o nic nie prosiła. Prycza, stolik i krzesło były ruchome. Jeszcze jeden luksus – nie przeniesiono jej na oddział o zaostrzonym rygorze, gdzie meble były przymocowane do podłogi.

Jej jedynymi rozrywkami były jak dotąd przejażdżka poprzedniego dnia karetką więzienną, rozmowa z pracownikiem opieki społecznej, a następnie z dyrektorem aresztu, który zapoznał ją z regulaminem wewnętrznym. Miała ponadto prawo do chodzenia nago, do badania lekarskiego, łącznie z badaniem pochwy. Lekarka nie zauważyła nic szczególnego, oprócz tego, że sporządziła notatkę dotyczącą jej okaleczonych rąk.

– Ej, ty, nie słyszysz, jak się do ciebie mówi?

Anaïs zeszła z piętrowego łóżka – wybrała to na górze. Zdrętwiała z zimna spojrzała na zegarek, który jej zostawiono. Jeszcze jeden przywilej. Dopiero dziewiąta rano. Miała wrażenie, że jej mózg zabetonowano, tworząc z niego gigantyczny blok, w rodzaju tych, jakie otaczały Fleury-Mérogis.

Posłusznie ruszyła za strażniczką. Każdy odcinek korytarza przegrodzony był kratą. W roztargnieniu przyglądała się ścianom, podłodze, sufitowi. W areszcie dla kobiet wszystko było szare albo beżowe. Bezbarwne. Wszędzie unosił się silny zapach detergentów.

Znowu szczęk zamka.

Kolejne drzwi.

O tej porze j ej gościem mógł być tylko ktoś z policji lub adwokat.

Adwokat z urzędu.

Następny korytarz.

Następny zamek.

Zza zamkniętych drzwi dochodził szum telewizorów, dokuczliwe odgłosy więziennego życia. Część więźniarek pracowała już w warsztatach. Inne swobodnie spacerowały – przywilej aresztu dla kobiet. Strażniczki w białych bluzach pchały dziecięce wózki w kierunku żłobka. We Francji kobiety, które urodziły dziecko w więzieniu, mogły je zatrzymać przy sobie do czasu, aż ukończyło ono osiemnasty miesiąc życia.

Zamek elektroniczny. Bramka z wykrywaczem metali. Podanie numeru więźnia. Anaïs znalazła się w korytarzu, do którego przylegały pokoje z zakratowanymi oknami. W każdym pomieszczeniu stał stół i dwa krzesła. Drzwi były zaopatrzone w szyby ze zbrojonego szkła.

W jednym z pomieszczeń zobaczyła swojego gościa.

Solinas w odsuniętych na czoło okularach.

– Nieźle pan wygląda – powiedziała, gdy tylko się przed nim znalazła.

Trzasnęły drzwi za jej plecami. Solinas otworzył teczkę, która stała przy jego nogach.

– Możesz zwracać się do mnie mniej oficjalnie.

– Czego chcesz, draniu?

Komendant uśmiechnął się i położył akta na zielonym blacie stołu.

– Tak już lepiej. Siadaj.

– Czekam na odpowiedź.

– Oto ona.

Anaïs chwyciła krzesło i usiadła.

– Co to jest?

– Klient, którego szukasz. Wykastrowany kloszard, znaleziony trzeciego września dwa tysiące dziewiątego roku pod mostem d’Iena, na prawym brzegu Sekwany.

Wszystko do niej wróciło. Obrazy Narcyza. Niesymetryczna twarz. Siekiera. Zmaltretowane ciało. Nie znała dobrze Paryża, ale – jak widać – trafnie odgadła, który to most.

– Dlaczego mi to przynosisz?

Obrócił akta i pchnął w jej stronę.

– Rzuć na to okiem.

Otworzyła tekturową teczkę. Komplet dokumentów. Zdjęcia, plany, raporty z autopsji, protokoły dochodzenia… Najpierw przerzuciła kolorowe zdjęcia formatu kartki pocztowej. Nagi mężczyzna z czarną raną między nogami, leżący pod obskurnym mostem. Ciało wydawało się nienormalnie długie. Biel skóry jakby fosforyzowała przez kontrast z brudną ziemią. A może ta biel świadczyła o tym, że utracił dużo krwi? Twarz niewidoczna, wciśnięta w rumowisko pod łukiem mostu.

– Czy go zidentyfikowaliście? – zapytała ledwie słyszalnym głosem.

– Hugues Fernet, lat trzydzieści cztery. Znany dobrze naszym służbom. Uczestniczył w manifestacjach Dzieci Don Kichota w dwa tysiące siódmym i dwa tysiące ósmym roku. Krzykacz. Nie tylko się wałkonił, ale jeszcze walczył o prawo do nieróbstwa.

Anaïs nie zareagowała na tę prowokację. Solinas tylko na to czekał.

– Co wykazało dochodzenie?

– Nic. Żadnych śladów, żadnych świadków. Znalazła go o świcie Straż Rzeczna. Zdążyli go zabrać, zanim pojawili się turyści na statkach spacerowych.

Zbliżenie miejsca z raną. Straszliwie okaleczone podbrzusze. Użyto barbarzyńskiego narzędzia. Siekiery, jaką narysował Narcyz. Broń ta odgrywała istotną rolę w tej rytualnej zbrodni. Z pewnością było to odniesienie do mitologii.

Przypomniała sobie także drugą ilustrację – zabójca ze zdeformowaną twarzą wrzuca odcięte genitalia do Sekwany. Ten gest miał znaczenie symboliczne. Skąd Narcyz znał te szczegóły? Czy był mordercą?

– Kto się tym zajmował? Brygada kryminalna?

– Jakimś bezdomnym? Bądź poważna. Sprawę przekazano do komisariatu w Trzeciej Dzielnicy.

– Co znaleźli?

– Nic, już ci mówiłem. Protokoły są tutaj. Wywiady, rewizje, analizy, przesłuchania kilku kloszardów, żeby zachować pozory, i tyle. Porachunki między łachmaniarzami. Sprawa zamknięta.

– Takie okaleczenie nie wzbudziło podejrzeń?

– Bezdomni są zdolni do wszystkiego. Nie ma co się tak przejmować.

– Czy zauważono znaczny ubytek krwi w ciele zmarłego?

– Wykrwawił się nieźle wskutek tej rany.

– Nie. Mam na myśli to, że ktoś mógł pobrać od niego litr lub więcej krwi.

– O niczym takim nie słyszałem.

Anaïs przeglądała dokumenty. W rogu koszulki zauważyła nazwisko sędziego śledczego: Pierre Vollatrey. Pomyślała o dwóch pozostałych morderstwach. Zabójstwo Ikara i odpowiedzialna za tę sprawę w Marsylii Pascale Andréu. Minotaur i sędzia śledczy w Bordeaux, Philippe Le Gall. Nie była to już jedna sprawa i nie jeden sędzia był w nią zaangażowany.

– I co teraz? Zamierza pan wdrożyć od nowa śledztwo?

– Trzeba najpierw przekonać prokuraturę. Muszą dostrzec coś konkretnego w tym bałaganie. Należałoby im udowodnić, że to morderstwo pasuje do zabójstwa Ikara i Minotaura.

– A to znaczy, że trzeba znaleźć mit, do którego odwołuje się morderca.

– Otóż to. Jak na razie te dwa rysunki to trochę za mało, żeby wprawić ponownie w ruch całą machinę.

Anaïs domyśliła się ukrytej w tym aluzji.

– Liczysz na mnie, że znajdę ten mit?

– Pomyślałem sobie, że masz tutaj dużo czasu. – Wbił w nią wzrok. – Nie dlatego cię zamknąłem, że nie przyjmuję twojej propozycji.

– Mojej propozycji?

– Żeby pracować razem.

– Tutaj?

– O akcji w terenie, moja śliczna, zapomnij. Ale do rozważań masz tutaj idealne miejsce.

Anaïs zrozumiała, że ma pewną szansę.

– Na jakim etapie jest moja sprawa?

– Zostaniesz wezwana przez sędziego śledczego.

Pochyliła się nagle nad stołem. Solinas się cofnął. Nie zapomniał o tym, jak poprzedniego dnia go opluła.

– Wypuść mnie stąd – syknęła.

– Znajdź mi ten mit.

Słowo się rzekło. Warunki umowy jasne.

– Kto przejął sprawę?

– Centralne Biuro do Walki z Przestępczością Zorganizowaną. To znaczy ja. Sprawa, która nas interesuje, to strzelanina na ulicy de Montalembert.

Wzięła do ręki kilka zdjęć.

– A to?

Solinas się uśmiechnął.

– Jeśli wykażemy powiązanie między tymi trzema morderstwami, zawsze będzie czas, żeby powiadomić brygadę kryminalną. A może zabójca zostanie już wtedy złapany? Chciałbym im dać popalić. Prawdziwym problemem są chłopcy z wydziału poszukiwań i identyfikacji przestępców, którzy z miejsca rzucą się na Janusza.

Solinas był realistą. Tak czy siak, sprawa wymknie mu się z rąk. Pragnął więc czymś się popisać. I do tego właśnie była mu potrzebna. Nie chodziło o to, by szperała w mitologii greckiej, ale żeby przeanalizowała każdy element, poskładała wszystkie fragmenty, kontynuowała śledztwo, które zaczęła w Bordeaux.

Opuściła wzrok na zdjęcia. Jeden szczegół rzucił się jej w oczy.

– Ten człowiek był bardzo wysoki, tak?

– Zgadza się. Jego wzrost to jakieś dwa metry piętnaście centymetrów. Penisa musiał mieć jak maczugę. Potwór. A to wyklucza zabójstwo dla zdobycia jego łachów. Chyba że ten ktoś chciał z nich uszyć namiot.

– Czy w jego krwi stwierdzono obecność heroiny?

– Nic nie da się przed tobą ukryć.

– Ćpun?

– Raczej alkoholik.

Nie było już żadnych wątpliwości. Trzeci na liście mordercy z Olimpu. Jeszcze jeden punkt na potwierdzenie jej przypuszczeń. Niezwykła umiejętność perswazji u zabójcy – zdołał namówić olbrzyma do zażycia śmiertelnej dawki narkotyku. W związku z tym przypomniała sobie, że Philippe Duruy mówił o człowieku z zasłoniętą twarzą, o trędowatym. W pamięci odżyła jej zniekształcona twarz z rysunku. Raczej etniczna ozdoba niż maska z greckiej tragedii.

Zamknęła teczkę, intuicyjnie wyczuwając za tym wszystkim jakieś niejasne powiązanie, którego jeszcze nie odkryła.

– Zgoda – powiedziała. – Odezwę się do ciebie wieczorem. Solinas wstał ciężko z krzesła i podnosząc z podłogi swoją teczkę, dorzucił:

– Jutro spotkasz się z sędzią śledczym.

Obudził się z głową na pomarańczowej poduszce. Ubrany był nadal w spodnie do joggingu i bluzę z kapturem. Czuł się dobrze. Bezpiecznie. Chroniony przez to atelier, którego nie znał, ale ono znało go aż za dobrze. Otworzył oczy i popatrzył na nitowaną konstrukcję nad głową. Przyszła mu na myśl wieża Eiffla. Powieści Zoli, których tytuły zapomniał. Opisywani tam ludzie żyli, spali i pracowali w tego rodzaju pomieszczeniach. Przez kilka dni będzie jednym z nich.

Wstając, zobaczył rozrzucone, zapisane odręcznie kartki. Przypomniał sobie wszystko. Całonocna sesja z internetem – Sasha.com i inne portale społecznościowe. Ostatnie połączenia Chaplaina. Nazwiska i pseudonimy… Nie znalazł nic. Zaczął wtedy szukać w lofcie kalendarza, notesu z adresami, ale też nic nie znalazł. Zasnął około godziny czwartej nad ranem.

W trakcie tych czatów utwierdził się w przekonaniu, że Nono nie był podrywaczem, seksualnym maniakiem ani cierpiącym samotnikiem. Nono prowadził dochodzenie. Znowu to przekleństwo pasażera bez bagażu. Z jakiegoś powodu, którego jeszcze nie pojmował, Nono zaczął odwiedzać portale randkowe. Być może w tym wirtualnym labiryncie szukał kobiety.

Ale jakiej? Całą noc oglądał defilujące na ekranie pseudonimy. Nora33, Tinette, Betty14, Catwoman, Sissi, Stef, Anna, Barbie, Aphrodite, Nico6, Finou, Kenny… Odczytywał po kilka razy niedorzeczne dialogi, seksualne prowokacje, słodkie słówka zdradzające żądzę, nadzieję…

Całość zostawiła w nim mieszane uczucia. Nono robił wrażenie wielkiego pozera, który nigdy nie przechodził do działania. Po pierwszym kontakcie rozmówczynie zawsze odzywały się do niego ponownie, a on nawet nie raczył im odpowiedzieć. Z jednym wyjątkiem – Sasha.com, serwis *speed datingu*. Niemal co wieczór Nono udawał się na spotkania załatwione za pośrednictwem Sashy: w barach, restauracjach, nocnych lokalach. Podążał tak trasą myśliwego dzięki podanym mu adresom. Problem w tym, że Narcyz nie znał żadnej z tych tras, tego, co się działo w realu.

Pozostawały telefony nagrane na sekretarce. Mógłby zadzwonić do tych kobiet, zobaczyć się z nimi, przepytać je. Może w ten sposób dowiedziałby się czegoś, co dotyczyło jego własnego dochodzenia. Nie miał jednak ochoty na odnawianie tych przelotnych znajomości.

Interesowała go tylko ta, która dzwoniła dwudziestego dziewiątego sierpnia.

„Arnaud, to ja. Przyjdź do mnie…”.

Trzeba zacząć od zera. Wejść na stronę Sasha.com. Podążyć jeszcze raz śladem swojego cienia. Odkryć, czego szukał jego dubler, a potem zająć się tym na własną rękę…

W nocy zostawił wiadomości na forum. Sprawdził teraz swoją skrzynkę kontaktową. Miał umówioną „randkę” na ten właśnie wieczór w barze Pitcairn, w Marais. Przypuszczał, że niewielu kandydatów wiedziało, skąd ta nazwa, ale on wiedział: Pitcairn to wyspa na Pacyfiku, na której osiedlili się buntownicy z *Bounty*. Jeszcze dzisiaj mieszkańcy tej kolonii chwalą się sławnymi przodkami. Wyobraził sobie tropikalną, egzotyczną atmosferę baru…

Łazienka. Stan jego nosa się poprawił. Opuchlizna ustępowała. Rany się zasklepiały. Co prawda, nie miał jeszcze idealnego wyglądu na wieczór randkowy, ale o ileż przyjemniejsze będzie prowadzenie śledztwa, w którym wystąpi w roli podrywacza, od zagłębiania się w samego siebie. Po kloszardach i szalonych malarzach wejdzie między samotne kobiety.

Próbował żartować, traktować wszystko lekko, lecz nie mógł przestać myśleć o zadręczonym na śmierć Jean-Pierze Corto, o strzelaninie na ulicy de Montalembert, o tym, jak rozbił twarz o umywalkę…

Zszedł na dół i zrobił sobie kawę. Była dziesiąta rano. Z filiżanką w ręce zebrał całą korespondencję, którą zostawił poprzednio na blacie kuchennym, i rozsiadł się na kanapie w salonie. Odłożył na bok przesyłki poczto-

we, oferty prenumeraty i reklamy, a zajął się korespondencją urzędową. Jego nieobecność wywołała mniej zamieszania, niż się spodziewał. Z banku przysłano wyciągi z jego rachunku. Właściciel nieruchomości przypominał bez nadmiernego naciskania o zapłacie za wynajem – dwa tysiące czterysta euro za miesiąc. Straciła ważność umowa o ubezpieczeniu. A co do reszty, to wszystko było opłacane bezpośrednio z jego konta z nieograniczonym kredytem.

Z ostatniego wyciągu z banku wynikało, że na rachunku ma dwadzieścia trzy tysiące euro. Duża suma. Poszukał poprzednich wyciągów. Konto otworzył ubiegłego maja w HSBC. Od tamtej pory zawsze miewał na koncie mniej więcej taką kwotę. Jednakże Chaplain nie otrzymywał żadnych potwierdzeń przelewów ani nie deponował w banku żadnych czeków. Skąd więc pochodziły te pieniądze? Najwyraźniej sam wpłacał taką gotówkę w swoim oddziale: tysiąc siedemset euro, cztery tysiące dwieście euro… Jakakolwiek była jego praca, zatrudniano go na czarno.

Przez krótki moment pomyślał, że był żigolakiem. Jednak ton e-maili oraz charakter rozmów z partnerkami nie świadczyły o tym, żeby brał pieniądze za spotkania. Jedno było pewne – nie był grafikiem reklamowym ani malarzem. Stół rysunkowy, atelier stanowiły tylko dekorację, jak pudła kartonowe, które Freire ustawił w swoim mieszkaniu. Kim był naprawdę? Jak zarabiał na życie?

W pamięci odżyła mu rozmowa z dyrektorem handlowym firmy RTEP. Dowodziła, że regularnie kupował u nich olej lniany. Kolejny element mistyfikacji czy też używał go naprawdę? Być może Chaplain potrzebował tych zasobów, by zaangażować się w inną działalność. Tajemniczą. Lukratywną. Chemiczną. Produkował w piwnicy narkotyki?

Teraz miał jednak inne priorytety. Tak częste wpłaty pozwalały przypuszczać, że gdzieś w mieszkaniu znajdowała się również gotówka. Sprawdził najpierw mansardę na piętrze – rzeczy cenne chowa się na ogół najbliżej siebie. Zajrzał za ramy, szukając tam sejfu. Przesunął łóżko. Przeszukał garderobę. Biurko. Nic.

Zatrzymał wzrok na modelach statków. Każdy miał długość od siedemdziesięciu do stu centymetrów. Nagle nabrał pewności, że pieniądze znajdują się w którymś z nich… Wziął do ręki pierwszy, na którym widniała tabliczka z mosiądzu z wygrawerowanym napisem: AMERICA’S CUP J-CLASS SLOOP. Podniósł pokład. Wewnątrz było pusto. Odstawił ten mo-

del i wziął drugi, dwunastometrowy żaglowiec *Columbia*. Ten także był pusty. *Gretel* z Royal Sydney Yacht Squadron, *Southern Cross* z Royal Perth Yacht Club, *Courageous* z New York Yacht Club – w żadnym z nich niczego nie było.

Zaczynał już wątpić w swoją intuicję. Kiedy jednak oderwał pokład *Pen Duicka*, pierwszego jachtu Erica Tabarly'ego, ujrzał plik banknotów po pięćset euro. Ledwie powstrzymał krzyk radości. Sięgnął po to bogactwo i nerwowo wypełnił nim kieszenie. Jedno słowo rozbrzmiało teraz w jego umyśle: narkotyki…

Nono nawiązywał wciąż nowe znajomości pewnie po to, żeby upłynniać towar. Nagle przypomniał sobie, że zabójca dawał swoim ofiarom czystą heroinę. Wolał nie myśleć o tej zbieżności faktów.

Kiedy sięgał po kolejne banknoty, jego ręka natrafiła na coś jeszcze. Karta magnetyczna. Wyjął ją w przekonaniu, że jest to należąca do Chaplaina karta Visa lub American Express. Była to jednak wystawiona na jego nazwisko karta ubezpieczenia zdrowotnego. Znalazł także dowód osobisty, prawo jazdy, paszport. Wszystkie z danymi Arnauda Chaplaina, urodzonego siedemnastego lipca 1967 roku w Mans, w departamencie Sarthe.

Usiadł na podłodze. Nie miał już żadnych wątpliwości co do swojej kryminalnej przeszłości. Jego działalność była nielegalna. Kupił fałszywe dokumenty. W głębi ducha wcale go to nie zdziwiło. Był skazany na oszustwo, kłamstwo, życie w podziemiu.

Podniósł się z podłogi i postanowił wziąć prysznic.

Potem pójdzie kupić sobie telefon komórkowy i przy pomocy specjalisty spróbuje odzyskać wiadomości ze swojej poprzedniej komórki. Na fakturach był podany jej numer. Dzięki temu ustali, kim byli jego klienci i czym się naprawdę zajmował. Zadzwoni do nich. Dowie się wszystkiego. Później uda się na umówiony na ten wieczór *speed dating*.

Machina Nono została ponownie puszczona w ruch.

– Zgubiłem telefon komórkowy.

– No cóż, zdarza się.

Chaplain, nie zwracając uwagi na oschły ton sprzedawcy, pokazał ostatnią fakturę.

– Nie wiem, jak dotrzeć do wiadomości nagranych na pocztę głosową.

Sprzedawca z miną eksperta spojrzał na fakturę.

– Z tym operatorem sprawa jest prosta. Dzwoni pan pod swój numer, a kiedy się odezwie, wstukuje pan swój kod i naciska klawisz z gwiazdką.

Mógł się tego spodziewać. Nie znał żadnego kodu.

– Doskonale – rzucił obojętnym tonem. – Wobec tego chcę kupić nowy telefon. Z nowym abonamentem.

Sprzedawca, zamiast odwrócić się do witryny pełnej przeróżnych modeli, zaczął stukać w klawisze komputera, a kiedy znalazł numer rachunku Chaplaina, powiedział:

– Po co panu nowy abonament? Pańska umowa jest nadal aktualna i…

Chaplain złapał fakturę i wepchnął ją do kieszeni. Ubrał się tak, by wyglądać jak Nono. W pięćdziesięciu procentach Ralph Lauren, w pięćdziesięciu Armani, a na wierzchu granatowy, lekko połyskujący płaszcz.

– Proszę skasować tę umowę. Chcę kupić nową komórkę, z nowym numerem.

– To będzie pana dużo kosztowało.

– Moja sprawa.

Z miną wyrażającą dezaprobatę sprzedawca wdał się w wykład, używając takich obco brzmiących terminów, jak „system 4G”, „megapiksele”, „autofokus”, „Bluetooth”, „komunikator”… Chaplain postąpił tak, jak każdy na jego miejscu – wybrał model, kierując się jego wyglądem i maksymalną prostotą.

– Biorę ten.

– Na pańskim miejscu wybrałbym…

– Biorę ten, jasne?

Sprzedawca westchnął ze znużeniem. Z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, co myśli: „Wszyscy tacy sami”.

– Ile kosztuje?

– Dwieście euro. Ale jeśli pan…

Chaplain położył na kontuarze pięćset euro. Rozdrażniony sprzedawca chwycił banknot, po czym wydał resztę. Spisanie umowy abonamentowej trwało dziesięć minut. Nie widząc żadnego powodu, by kłamać, podpisał umowę na nazwisko Chaplain, ulica de la Roquette 188.

– Czy jest naładowany? – zapytał, pokazując na opakowany jeszcze telefon. – Chciałbym go zaraz użyć.

Sprzedawca uśmiechnął się z miną osoby wtajemniczonej. Wyjął aparat z opakowania, otworzył, włożył do środka baterię i kartę SIM.

– Jeśli chciałby pan robić zdjęcia – powiedział, podając mu telefon – musi pan kupić dodatkowo kartę pamięci micro SD/SDHC…

– Chcę z niego tylko telefonować, rozumie pan?

– Oczywiście. Ale proszę nie zapomnieć doładować baterię wieczorem.

Chaplain schował aparat do kieszeni.

– Na fakturach nie otrzymuję informacji o moich połączeniach.

– Nikt ich nie otrzymuje. Wszystko jest w sieci.

– Jaka jest procedura?

W oczach sprzedawcy w miejsce pogardy pojawiła się nieufność – zaczynał się zastanawiać, skąd się wziął ten pomyleniec.

– Wystarczy, że wpisze pan swoje dane z abonamentu na stronę i będzie pan mógł sprawdzić wykaz rozmów. Dla drugiego numeru powtarza pan ten sam manewr z danymi z poprzedniej umowy.

– Ma pan na myśli mój nowy abonament?

– Nie. Na pańskiej fakturze jest jeszcze jeden numer.

Chaplain wyjął z powrotem fakturę z kieszeni i położył ją na kontuarze.

– W którym miejscu?

– Tutaj. – Sprzedawca pokazał palcem.

Chaplain spojrzał na dokument. Nic już nie rozumiał.

– Nie figuruje tutaj żaden numer.

– Ponieważ chciał pan, żeby był zastrzeżony. Proszę poczekać chwilę.

Wziął fakturę i od nowa postukał w klawisze komputera. W butiku czuło się atmosferę rodem z *Big Brothera*. Ten zwykły sprzedawca mógł dowiedzieć się wszystkiego o każdym człowieku. Tym razem jednak mu się nie udało.

– Przykro mi. Nie jestem w stanie sprawdzić, jaki to numer. Wybrał pan taki wariant, który zakazuje udzielania jakichkolwiek informacji, łącznie z lokalizacją geograficzną. Zażądał pan także, by nie przysyłano panu faktur. – Podniósł wzrok i na koniec stwierdził: – Pański abonament to prawdziwy Fort Knox!

Chaplain nic nie odpowiedział. Zrozumiał, że w tym numerze kryło się to, czego szukał.

– No tak. – Puknął się w czoło. – Kompletnie o tym zapomniałem. A czy pana zdaniem uda mi się to znaleźć w internecie? To znaczy sprawdzić moje dawne połączenia?

– Bez problemu. Pod warunkiem że pamięta pan hasło. – Mrugnął do niego okiem. – I że zapłacił pan ostatnią fakturę!

Chaplain wyszedł, nie oglądając się. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim atelier. Zajrzeć do internetu. Odkryć własne tajemnice.

Na placu Leon-Blum zatrzymał się przed kioskiem z gazetami. W żadnej nie wspominano o strzelaninie na ulicy de Montalembert ani o masakrze w Villi Corto. A co dziwniejsze, nie było też ani słowa o jego ucieczce z Hôtel-Dieu. Nigdzie nie umieszczono jego zdjęcia. Żadnej informacji, że jest poszukiwany, żadnych apeli do świadków. O co chodzi policji? Czy obrali strategię całkowitej dyskrecji, bo nie chcą wywoływać paniki wiadomością, że po Paryżu krąży zbiegły szaleniec?

Za tą taktyką kryła się pułapka, ale mimo to czuł się swobodniej. Kupił „Le Figaro”, „Le Monde”, „Le Parisien”. Dał o sobie znać głód. Zjadł sandwicza. Gdy wchodził na ulicę de la Roquette, miał wrażenie, jakby zdobywał nieznane szczyty. Tam w górze czekały go nowe odkrycia.

Narodziny świata.

Na początku był Chaos. Ani bogów, ani świata, ani ludzi… Z magmy tej wyłoniły się pierwsze istoty. Noc (Nyks). Ciemność (Ereb). Nyks zrodziła Niebo (Uranosa) i Ziemię (Gaję). Te pierwsze bóstwa złączyły się i spłodziły liczne potomstwo, w tym dwanaścioro tytanów i tytanid.

Uranos, bojąc się, że jedno z dzieci pozbawi go władzy, kazał Gai, by zatrzymała je przy sobie, w głębi ziemi. Najmłodszy z tytanów – Kronos – z pomocą matki uniknął tego losu, a potem wykastrował ojca. Wraz ze swoją siostrą Reą spłodził następnie pierwszych bogów olimpijskich, w tym Zeusa, który pozbawił go władzy…

Anaïs zaznaczyła ten fragment na fotokopii, którą zrobiono na jej prośbę. W bibliotece więziennej znalazła słownik mitologiczny, między ckliwymi powieścidłami i starymi książkami prawniczymi. Usiadła w prawie pustej czytelni. Było tu cicho i cieplej niż w celi. Miała nawet widok na podwórze. Łysy trawnik, po którym spacerowały tłuste, lśniące kruki, walczące między sobą o resztki wyrzucane z okienek w celach.

Przeczytała jeszcze raz ten fragment. Była pewna, że to właśnie ta scena zainspirowała zabójcę Hugues’a Ferneta. Znalazła jeszcze inne przykłady kastracji w mitologii greckiej. Ale rytualny mord na moście d’Iena pasował doskonale do historii Uranosa. Dość dokładnie odwzorowywano tu pewne elementy mitu. Kronos użył kamiennego sierpa. Zabójca z rysunku posłużył

się krzemienną siekierą. Bóg wrzucił odcięte genitalia do morza. Zabójca cisnął to ponure trofeum do Sekwany – paryskiego substytutu morza.

Anaïs dostrzegła jeden wspólny element łączący trzy mity. Każdy z nich odnosił się do stosunków między ojcem i synem. Minotaur został uwięziony przez Minosa, bo był potworem. Ikar zginął przez swoją nieudolność, zbliżając się za bardzo do słońca, choć ojciec go przed tym przestrzegał. Kronos był ojcobójcą – okaleczył i zabił Uranosa, żeby objąć władzę na światem.

Czy krył się w tym pewien element prawdy o zabójcy? Czy był złym synem? A może przeciwnie – rozgniewanym ojcem? Podniosła oczy. Do ucztujących kruków dołączyły bezdomne koty. Niebo przesłaniały kraty zabezpieczające przed helikopterami i druty kolczaste oraz mury z ostrymi kawałkami szkła.

Anaïs wróciła do lektury. Pierwsi bogowie stworzyli świat, który nie miał nic wspólnego ze światem bogów olimpijskich. Świat tej poprzedniej generacji był prymitywny, brutalny, ślepy. Niekontrolowane, okrutne bóstwa reprezentowały pierwotne siły natury. Giganci. Cyklopi. Istoty wyciągające ohydne macki…

Jeszcze jeden aspekt morderstwa odpowiadał tym prymitywnym czasom. Wzrost ofiary. Hugues Fernet należał symbolicznie do świata gigantów, tytanów, potworów. Anaïs była pewna, że morderca wybrał go właśnie z tego powodu. Jego czyn miał być poza wszelkimi normami. Epoka pierwszych bogów. Czas chaosu i zamieszania. To zabójstwo zresztą poprzedzało następne, podobnie jak tytani poprzedzali pokolenie bogów olimpijskich.

Wstała i podeszła do półek z książkami o sztuce prymitywnej. Były zniszczone i poplamione. Czuło się, że służyły do walki z nudą, bezczynnością, beznadziejnością.

Wyjęła z półki antologię masek etnicznych. Na stojąco przerzucała kartki książki. Sądząc po zamieszczonych w niej fotografiach, maska zabójcy przypominała raczej maski afrykańskie lub eskimoskie. Ten szczegół miał swoje znaczenie. Zabójca, odwołując się do bogów olimpijskich, nie chciał być ich reprezentantem. Kiedy zabijał, znajdował się w samym centrum tamtych czasów, bogów, myśli, wierzeń. W jego oczach wszystko to było realne.

Przyszła strażniczka. Pora lunchu. Na myśl o zejściu do innych więźniarek Anaïs poczuła bolesne ukłucie. Od poprzedniego dnia czuła się zagro-

żona. Policjant nigdy nie jest mile widziany w środowisku więziennym, ale Anaïs bała się czegoś innego. Instynktownie wyczuwała śmiertelne zagrożenie.

Odłożyła książki do wózka i poszła za strażniczką. Myślała o Mêtisie. Grupie potężnej, niewidocznej, wszystkowiedzącej, służącej porządkowi i naruszającej przy tym prawo. Przymierze robaka z owocem. Czy ci ludzie byli na tyle silni, by działać w więzieniu? Żeby ją wyeliminować i zmusić w ten sposób do milczenia?

Ale co ona tak naprawdę wiedziała?

W czym stanowiła dla nich zagrożenie?

Ponownie internet.

Zaczął od numeru abonamentu. Gdy tylko go wpisał, natychmiast wyświetliła się lista połączeń. Zauważył, że w ostatnich tygodniach dzwoniono do niego o wiele częściej niż poprzednio. Chwycił komórkę i wystukał na chybił trafił kilka numerów z listy. Kiedy słyszał głos osoby odbierającej telefon, przerywał połączenie. Za każdym razem były to głosy kobiet. Ta karta SIM najwyraźniej należała do Nono uwodziciela.

Przeszedł do numeru zastrzeżonego. Dzięki danym wydrukowanym na umowie bez żadnych trudności uzyskał wykaz połączeń. Chaplain rzadko używał tej karty. W ciągu czterech miesięcy dzwonił zaledwie kilka razy. Natomiast do niego dzwoniono często do sierpnia, aż potem stopniowo coraz rzadziej aż do grudnia.

Chwycił telefon komórkowy i wystukał jeden z numerów.

– Słucham? – odezwał się po dwóch sygnałach silny, agresywny głos.

Tym razem musiał coś powiedzieć, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Mówi Chaplain.

– Kto?

– Nono.

– Nono? Gdzie jesteś, skurwysynu?

Chyba słowiański akcent. Rozłączył się bez słowa odpowiedzi. W uszach słyszał jeszcze nienawiść brzmiącą w tym głosie.

Wybrał kolejny numer.

– Halo?

– Mówi Nono.

– Nie brakuje ci tupetu, łajdaku.

Znowu groźny głos. Znowu obcy akcent. Tym razem jakby afrykański.

– Nie mogłem cię uprzedzić – zaimprowizował. – Musiałem… wyjechać.

– Z moją forsą? Kpisz sobie ze mnie?

– Oddam ci wszystko…

Tamten wybuchnął śmiechem.

– Z procentami, kuzynie. Możesz być tego pewien. Najpierw obetniemy ci jaja i…

Chaplain się rozłączył. A więc był dealerem, który zwiał z kasą? Wściekły zadzwonił pod pozostałe numery. Za każdym razem mówił tylko kilka słów. Telefon palił mu dłoń. Obawiał się, że zaraz go zlokalizują… Słyszał wszelkiego rodzaju akcenty. Azjatycki, arabski, afrykański, słowiański… parę razy mówiono do niego w obcym języku. Nie rozumiał słów, ale ton był oczywisty.

Nono był winien forsę wszystkim cudzoziemcom w Paryżu. Jakby nie miał już dosyć wrogów, doszedł mu jeszcze cały ich legion.

Bateria w komórce się wyczerpała.

Pozostało mu jeszcze jedno połączenie do sprawdzenia. Postanowił skorzystać z telefonu stacjonarnego, którego numer także był zastrzeżony. Wziął na kolana laptopa i usiadł na łóżku. Podniósł słuchawkę, a potem, wpatrując się w ekran z listą połączeń, wybrał ostatni numer.

Akcent był serbski lub coś w tym rodzaju, ale głos o wiele spokojniejszy. Chaplain przedstawił się, a mężczyzna zareagował cichym śmiechem.

– Yussuf był pewien, że się odezwiesz.

– Yussuf?

– Powiem, że wróciłeś. Ucieszy się.

Chaplain zaryzykował, żeby się więcej dowiedzieć:

– Nie jestem pewien, czy mam ochotę się z nim widzieć.

– Odbiło ci, draniu, czy co? – Słowianin zarechotał. – Ulotniłeś się z naszym szmalem.

Facet mówił wesołym głosem, co było gorsze niż złorzeczenia tamtych. Chaplain zatrzymał się na progu przedsionka. Prawdziwym piekłem miał być następny krok. Yussuf.

– Przyjdź wieczorem, o dwudziestej.

– Gdzie?

– Nie wygłupiaj się, Nono. Już wkrótce nie będzie ci do śmiechu.

Znowu zaryzykował.

– Nie mam już waszej forsy.

– Daj spokój, nie chodzi o forsę. Przynieś nasz towar i się zobaczy…

Chaplain się rozłączył. Opadł na łóżko. Popatrzył na błyszczące metalowe konstrukcje podtrzymujące przeszklone ściany. Nie miał już żadnych wątpliwości, że był dealerem. „Towar”. Narkotyki lub coś innego… Siatkowa konstrukcja na suficie jakby symbolizowała jego pogmatwany los. Nigdy z tego nie wyjdzie. Zginie w labiryncie swoich osobowości…

– Czy chce pani o tym ze mną porozmawiać?

– Nie.

– Dlaczego?

– Już się nagadałam na ten temat.

Lekarka, psychiatra z Oddziału Porad i Opieki Ambulatoryjnej, przyglądała się w milczeniu bliznom widocznym na rękach Anaïs. Mimo młodego wieku bez wątpienia widziała w swojej praktyce wiele podobnych przypadków. Nie trzeba być Zygmuntem Freudem, by rozumieć, że w więzieniu ciało jest ostatnią dostępną możliwością wypowiadania się.

– Jeśli będzie pani to kontynuować, wyczerpie pani całą swoją krew.

– Dzięki, pani doktor. Przyszłam tutaj, spodziewając się jakiegoś wsparcia.

– Proszę usiąść – powiedziała lekarka bez uśmiechu.

Anaïs usiadła i przyjrzała się swojej rozmówczyni. Niewiele starsza od niej. Blondynka, pogodna, o delikatnych rysach, zaskakujących w tym zamkniętym środowisku, gdzie każda kobieta nosi na twarzy ślady twardej przeszłości. Jasne oczy, wystające kości policzkowe, delikatny, zgrabny, prosty nos. Gęste brwi, świadczące o energii i czułości. Maleńkie usteczka, które chyba wprawiały w drżenie wszystkich facetów.

Anaïs przyszła do głowy idiotyczna myśl: co w tak podłym miejscu jak więzienie robi taka piękność? Mogłaby być modelką lub aktorką. Z pewnym opóźnieniem zdała sobie sprawę z głupoty swoich refleksji.

– To pani prosiła o poradę. O czym chciała pani ze mną rozmawiać?

Anaïs nie odpowiedziała. Siedziały w małym gabinecie, którego jedna oszklona ściana otwarta była na poczekalnię. Z drugiej strony znajdowała się sala gimnastyczna, gdzie więźniarki w dresach, legginsach, grubych swetrach wrzeszczały, jęczały, pociły się, wyciągając brzuchy, głowy, ręce i nogi. Jakby wystawiono je na licytację.

– Słucham panią – nalegała lekarka. – Czego pani chce?

Po lunchu Anaïs zamierzała wrócić do biblioteki, ale jej nie pozwolono. Wyrażono natomiast zgodę na jeden telefon. Zadzwoniła do Solinasa, lecz trafiła na pocztę głosową. Wróciła więc do celi, nie znajdując w sobie siły nawet na otworzenie wypożyczonej książki Albertine Sarrazin. Wtedy przyszedł jej do głowy rozpaczliwy pomysł, by poprosić o wizytę u psychiatry. Nie chciano jej słuchać. Dopiero kiedy pokazała swoje okaleczone ręce, obiecano, że ktoś się z nią spotka w ciągu godziny.

– Jestem policjantką – zaczęła Anaïs. – Zapewne pani to powiedziano.

– Czytałam pani akta.

– Powierzono mi dochodzenie, ale potem sprawy się pokomplikowały… Powiedzmy, że kontynuowałam je bez zgody moich przełożonych. Mimo że atmosfera tutaj nie może być zaskoczeniem dla funkcjonariusza policji, czuję…

– Niepokój?

Anaïs omal nie wybuchnęła śmiechem, lecz zdecydowała się na szczerość.

– Boję się.

– Czego?

– Nie wiem. Wyczuwam jakieś zagrożenie… niejasne, trudne do wyjaśnienia.

– To raczej normalne w tych murach.

Zaprzeczyła ruchem głowy, ale nic nie powiedziała. Z trudem oddychała. Mówienie na głos o swoich lękach czyniło je jeszcze bardziej realnymi…

– Jak pani sypia? – zapytała lekarka.

– Chyba jeszcze w ogóle nie zasnęłam.

– Dam pani środek uspokajający.

Lekarka wstała i odwróciła się do niej plecami. Anaïs uświadomiła sobie, że nie ma na rękach kajdanek i że w pobliżu nie widać żadnej strażniczki.

Najwyraźniej na życzenie lekarki. Przez moment pomyślała, czy czegoś nie spróbować. Ale niby co miałaby zrobić? To szaleństwo.

Lekarka podeszła do niej z tabletką i kubkiem wody w ręce. Jej młodość i delikatność budziły zaufanie. To sprzymierzeniec. Zastanawiała się, o co miałaby ją prosić. O telefon komórkowy?

O pluskwę elektroniczną? Pistolet? Idiotyzm!

– Dziękuję.

Połknęła tabletkę, nie próbując oszukiwać. Nie miała już sił walczyć. Zerknęła znowu na ćwiczące więźniarki. Niekształtne sylwetki – worki na brudną bieliznę z ludzkimi twarzami. Poczuła niesmak, wyobrażając sobie ich chore, zniszczone organizmy, cuchnące od wewnątrz.

Pomyślała o przyszłości, której te istoty już nie miały. Przyszłości, która stopniowo stawała się niezrealizowaną przeszłością. Więzienie to coś takiego – tryb przypuszczający, który nigdy nie przechodzi w tryb oznajmujący. Zamiast tego – zły nastrój, żal, chroniczne biegunki…

Usiadłszy za biurkiem, lekarka wypełniała jakiś formularz.

– Co to takiego?

– Prośba o pani przeniesienie.

– Zostanę przeniesiona do wariatów?

– Nie jest pani jeszcze na tym etapie – odparła lekarka z lekkim uśmiechem.

– No więc gdzie?

– Proszę dyrektora o zmianę kwalifikacji dla pani na „WSN”, więzień pod specjalnym nadzorem.

– I to ma być przywilej?

– Na razie to jedyny sposób, żeby panią ochronić.

Anaïs doskonale wiedziała, co oznacza ten skrót. Ciągła zmiana celi, rewizje, stała obserwacja… Będzie chroniona przed innymi więźniami, ale nie będzie miała swobody manewru.

Wróciła do swych czterech ścian. Wszystko, co uzyskała, to podwójne więzienie.

– Hédonis? Skąd takie imię?

– Od hedonizmu, to moja filozofia. *Carpe diem*. Trzeba korzystać z każdego dnia, każdej okazji.

Chaplain przyglądał się niskiej brunetce o pociągłej twarzy. Kręcone, krótkie włosy. Ciemne, wypukłe, podkrążone oczy z przekrwionymi białkami. Grube, różowe wargi przywodzące na myśl ślimaka. Zdecydowanie nie była to piękność.

To już piąta kobieta. Pitcairn zasługiwał na swoją nazwę. Bar przypominał spelunkę dla marynarzy w głębi opuszczonego portu. Przytłumione światła, kamienne sklepienia. Każdy stolik odgrodzony lnianą zasłoną, tworzącą oddzielne boksy, w których powtarzała się ta sama scena, te same nadzieje, taka sama wymiana słów. Chaplain pomyślał o konfesjonale albo o lokalu wyborczym. Zresztą oba skojarzenia tu pasowały.

– Zgadzam się – rzekł, walcząc z własnym roztargnieniem. – Ale korzystanie z każdego dnia oznacza także, że nie wybiega się myślą zbyt daleko w przyszłość. Osobiście wolę coś na dłuższą metę.

Hédonis uniosła brwi. Wydawało się, że oczy wyjdą jej z orbit. Pulchne wargi chwyciły słomkę zanurzoną w koktajlu i ssały chciwie, jakby alkohol miał jej podsunąć nowe tematy do rozmowy.

Chaplain, który chciał stworzyć wrażenie poważnego mężczyzny, szukającego długotrwałego związku, oświadczył:

– Mam czterdzieści sześć lat. Nie jestem już w wieku, kiedy można zadowolić się jednodniowym romansem.

– Coś takiego! – Parsknęła śmiechem. – Myślałam, że już nie produkują takich modeli.

Oboje zaśmiali się z czystej grzeczności.

– Skąd u pana takie imię: Nono?

– Nazywam się Arnaud. Rozumie pani, na czym polega ta sztuczka?

– Ci… – powiedziała, kładąc palec na ustach. – Nie podajemy nigdy prawdziwych imion!

Znowu śmiech, tym razem bardziej szczery. Chaplain był zaskoczony. Wyobrażał sobie, że wieczór *speed datingu* to coś jak pogotowie ratunkowe, ostatni przystanek przed stacją samobójstwo. W rzeczywistości nie różniło to się niczym od pobytu w jakimś barze. Muzyka, alkohol, gwar. Jedyną oryginalną rzeczą był tybetański dzwonek. Pomysł Sashy, organizatorki, by dzwonieniem dawać znać, że minęło siedem minut, bo tylko tyle mogła trwać rozmowa każdej pary.

Hédonis zmieniła temat. Po początkowych próbach pokazania się jako osoba oryginalna, trochę postrzelona, przeszła do zwierzeń. Trzydzieści siedem lat. Biegła księgowa. Właścicielka trzypokojowego mieszkania kupionego na kredyt w Savigny-sur-Orge. Bezdzietna. Jej jedyną wielką miłością był żonaty mężczyzna, który ostatecznie nie odszedł od żony. Nic nowego pod słońcem. Od czterech lat była sama, zdając sobie sprawę, jak niepokojąco zbliża się do symbolicznej granicy czterdziestu lat.

Chaplain był zdziwiony jej szczerością. Tutaj przychodziło się po to, żeby przedstawić się w jak najlepszym świetle… Hédonis wybrała konfesjonał. Tym gorzej dla lokalu wyborczego. Rozległ się dzwonek. Wstając, uśmiechnął się do partnerki, która w odpowiedzi się skrzywiła. Zrozumiała, że popełniła błąd. Przyszła tutaj, by uwodzić, a zamiast tego wylała swoje żale.

Następna. Sasha zorganizowała to w sposób klasyczny. Panie pozostawały przy stolikach, a panowie zmieniali miejsca, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Usiadł naprzeciw dość pulchnej brunetki, która wykosztowała się na ten wieczór. Białą od pudru twarz okalały ondulowane, polakierowane włosy. Miała na sobie ciemną bluzkę z błyszczącej satyny, tuszującą jej wydatne kształty. Dłonie, również białe, krągłe, wirowały niczym gołębie wylatujące spod peleryny magika.

– Jestem Nono – odezwał się pierwszy.

– Te pseudonimy uważam za kompletny idiotyzm.

Chaplain się uśmiechnął. Znowu to samo.

– A jaki pani sobie wybrała? – zapytał ze spokojem.

– Tahitanka. – Prychnęła. – Mówię panu, te pseudonimy to pomylony pomysł.

Rozmowa zaczęła się od znanego mu już schematu. Po stadium prowokacji przeszli do numeru z oczarowywaniem. Tahitanka usiłowała pokazać swoje zalety zarówno w sensie dosłownym, jak i w przenośnym. W migocącym blasku świec przybierała wystudiowane pozy, sypała mądrymi aforyzmami, robiła tajemnicze miny.

Nono czekał cierpliwie na dalszy ciąg. Wiedział, że kobieta zaraz przejdzie do melancholijnego epilogu. Najbardziej uderzyło go głębokie podobieństwo między tymi kobietami. Ta sama pozycja społeczna. Taki sam przebieg kariery zawodowej. Ta sama sytuacja uczuciowa. Ten sam sposób bycia…

Zadawał sobie tylko jedno pytanie: czego tu szukał Nono kilka miesięcy wcześniej? Jaki mógł istnieć związek między tym dość pospolitym klubem randkowym i jego dochodzeniem w sprawie zabójcy inspirującego się greckimi mitami?

– A pan?

– Słucham?

Stracił wątek rozmowy.

– Jest pan za fantazją?

– Fantazją? W czym?

– Ogólnie, w życiu.

Przypomniał sobie, jak w łazience w noclegowni dla bezdomnych widział wleczonego przez sanitariuszy pokrytego gangreną kloszarda. Jak tańczył na wozie z wariatami, jak kazał prześwietlić swoje autoportrety, przykładając broń do policzka laborantki.

– Tak, czasami pozwalam sobie na fantazje.

– To się świetnie składa. – Kobieta się ucieszyła. – Bo ja także! Kiedy wpadnę w trans, to lepiej nie patrzeć!

Chaplain uśmiechnął się przez grzeczność. Wysiłki Tahitanki, by wydać się zabawną i oryginalną, zasmucały go. Prawdę mówiąc, podobała mu się tutaj tylko jedna kobieta. Sama Sasha, dobrze zbudowana Metyska z pięk-

nym biustem i niezwykle zielonymi oczami. Wciąż zerkał na nią, ale ona nie reagowała. Zadzwonił dzwonek.

Chaplain wstał. Tahitanka wydawała się zaskoczona – ukradziono jej rozdział zwierzeń. Te kandydatki lubiły mówić o sobie, co mu bardzo odpowiadało, bo nie musiał improwizować na temat Nono.

Zajął miejsce przy następnym stoliku i natychmiast zorientował się, że już spotkał kobietę, która przed nim siedziała. Nie poznawał jej, ale w jej oczach coś się zapaliło. Był to bardzo krótki błysk i światełko zniknęło. Jak zdmuchnięta świeca. Chaplain zapytał wprost:

– Dobry wieczór, my się znamy, prawda?

Kobieta opuściła wzrok na swój kieliszek. Był pusty. Nono ruchem ręki dał znak kelnerowi, który od razu przyniósł nowy koktajl. Trwało to kilka sekund.

– My się znamy, prawda? – powtórzył pytanie.

– To okropne, że nie można tutaj palić – wymamrotała. Pochylił się nad stolikiem oświetlonym świecami. Wszystko tonęło w migotliwym półmroku. Czekał na jej odpowiedź. W końcu zmierzyła go wzrokiem.

– Nie sądzę.

Jej wrogość świadczyła o czymś przeciwnym, ale nie nalegał. Musiał stosować się do tej gry, podobnie jak z innymi. Wytrzymać i doprowadzić do sentymentalnego etapu.

– Jak się pani nazywa?

– Lulu siedemdziesiąt osiem – odpowiedziała, upiwszy łyk z kieliszka.

– Co to znaczy?

– Siedemdziesiąt osiem to rok mojego urodzenia – Upiła jeszcze raz. Nabrała rumieńców. – Można powiedzieć, że wyłożyłam karty na stół, nieprawdaż?

– A Lulu?

– Lulu to moja tajemnica. W każdym razie nie mam na imię Lucienne.

Zaśmiała się nerwowo, zasłaniając usta dłonią tak, jak to robią Japonki. Była drobnej budowy, z dziecięcymi ramionami. Rude włosy wiły się wzdłuż skroni niczym złocona rama ikony. Szczupłą twarz rozjaśniały tęczówki, które również wydawały się rude. Te oczy wraz z linią brwi były urocze, ale nie pasowały do reszty. Za długi nos, zbyt wąskie usta sprawiały wrażenie surowości, oschłości. Nie nosiła żadnej biżuterii. Jej ubiór nie

zdradzał żadnych starań ani przygotowań. Wszystko świadczyło o tym, że była tutaj wbrew swojej woli.

– To mój pseudonim w internecie – dodała, jakby się tłumacząc. – Tyle razy go używałam… Stał się prawie moim imieniem.

Mówiła niczym myśliwy zmęczony latami przebywania w dżungli na czatach. Zwrócił uwagę, że nie zapytała o jego pseudonim. Ponieważ go znała.

– Czego pani oczekuje po tego rodzaju spotkaniu? – zapytał bez ogródek.

Drobna kobieta popatrzyła na niego przez krótką chwilę z miną mówiącą „jakby pan nie wiedział”, po czym oświadczyła sentencjonalnie:

– Szansy. Okazji. Możliwości, której nie dało mi życie…

Chcąc pozbyć się uczucia zakłopotania, wdała się w ogólny wywód na temat jej wizji miłości, partnerstwa, życia we dwoje. Chaplain zręcznie odpowiadał w tym samym duchu. Potraktowali ten temat jak abstrakcję, jak coś poza nimi, zapominając, że mówili o sobie samych.

Lulu się odprężyła. Pokręciła kieliszkiem, obserwując kolisty ruch znajdującego się w nim alkoholu. Zniknęło pierwsze wrażenie, myśl, że się znali. Chociaż momentami przy jakimś spojrzeniu, załamaniu jej głosu, ożywało na nowo uczucie *déjà vu*. Wtedy dostrzegał w jej oczach błysk gniewu, a nawet, co dziwne, strachu. Trwało to jeszcze kilka minut, lecz Chaplaina nie interesował już przebieg rozmowy. Postanowił iść za tą kobietą i wypytać ją o ich wspólną przeszłość.

– W naszych czasach – stwierdziła – samotność to choroba.

– Tak chyba było zawsze?

– W każdym razie tutaj się jej nie wyleczy.

– Dzięki za dodanie otuchy.

– Przestań gadać głupoty, ty… – Zreflektowała się. – Sam pan w to nie wierzy. Nikt w to nie wierzy.

– Jeśli pani chce, możemy sobie mówić na ty.

Cały czas obracała kieliszek w ręku i wpatrywała się w niego jak w wyrocznię.

– Raczej nie chcę… To straszne, że nie można tu palić…

– Dużo pani pali?

– A co ci do tego?

Odpowiedź była tak brutalna jak siarczysty policzek. Otworzyła usta, gotowa wszystko wyjawić. W tym momencie rozległ się dzwonek. Stuk odsu-

wanych krzeseł, śmiechy, szelest materiału. Po wszystkim. Szczupła twarz znowu stała się nieprzenikniona niczym twarz Madonny.

Chaplain spojrzał w lewo.

Inny mężczyzna czekał na swoją kolejkę.

Lulu78 poszła ulicą Saint-Paul.

W powietrzu unosił się śnieżny, nieuchwytny pył. Płyty chodnika były niebieskawe od mrozu. Każdy krok rozbrzmiewał niczym trzaskanie z bata. Chaplain trzymał się w odległości stu metrów. Jeśli kobieta się nie odwróci, nie powinna go zauważyć. Podobało mu się to śledzenie. Miał wrażenie, jakby przeżywał swój sen w negatywie – białe mury, czarny cień. Teraz szedł wzdłuż czarnych murów, a jego cień był biały – para idąca z ust przefiltrowana przez mleczne światło latarń.

Skręciła na lewo, w ulicę Saint-Antoine. Chaplain przyspieszył kroku. Kiedy tam doszedł, kobieta była już na przeciwległym chodniku i skręcała na prawo w ulicę de Sevigne. Chaplain przeszedł również na drugą stronę. Opuścił bar, nie prosząc o żaden numer telefonu. Teraz najważniejsza była dla niego Lulu78.

– Cholera! – zaklął cicho.

Zniknęła. Prosta ulica z kamienicami z XVII wieku była pusta. Zaczął biec. Albo mieszkała w którymś z tych domów, albo wsiadła do swojego samochodu.

– Czego chcesz?

Chaplain drgnął. Stała w bramie. Zobaczył wyraźnie jej sylwetkę z pasującą do szala czapką w kolorze jesiennej czerwieni. Przypominała licealistkę, która zgubiła drogę.

– Proszę się nie bać – rzekł, podnosząc ręce.

– Nie boję się.

Zauważył, że w prawej ręce trzyma groźny przedmiot. Jedno z tych urządzeń do samoobrony, rażących prądem. Jakby dla potwierdzenia jej słów paralizator błysnął oślepiająco. Niewątpliwie ostrzeżenie.

– Czego chcesz?

Zmusił się do śmiechu.

– To absurd. Nie udała nam się randka i…

– Nie mam ci nic do powiedzenia.

– Sądzę, że przeciwnie, że moglibyśmy wrócić do tego, co…

– Drań. Kiedy usiadłeś przy stoliku, nawet mnie nie poznałeś.

A więc miał rację.

– Czy mogłaby pani to opuścić?

Nie wykonała najmniejszego gestu, wciśnięta we wnękę bramy pokrytą niebieskawym lodowatym szronem. Obłok pary okalał jej twarz.

– Proszę posłuchać – podjął znowu uspokajającym tonem. – Miałem wypadek… Straciłem częściowo pamięć…

Wyczuwał jej zdenerwowanie, nieufność, niedowierzanie.

– Przysięgam, że to prawda. Z tego powodu nie przychodziłem przez wiele miesięcy na spotkania organizowane przez Sashę.

Żadnej reakcji. Lulu78 trwała nadal w postawie obronnej. Jej zachowanie wyrażało nie tylko niechęć. Było w tym coś jeszcze. Coś o wiele głębszego. Strach, który zupełnie nie pasował do obecnej sytuacji.

Odczekał chwilę z nadzieją, że kobieta się wreszcie odezwie. Chciał już odejść, kiedy szepnęła:

– Wtedy byłeś inny.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odrzekł. – Ten wypadek całkowicie mnie odmienił.

– Nono żartowniś. Nono uroczy uwodziciel. Prawdziwy donżuan… – Powiedziała to z goryczą i niechęcią spierzchłymi od zimna wargami. – Ale to wszystko była bujda…

– Bujda?

– Rozmawiałam z innymi.

– Jakimi innymi?

– Innymi kobietami. Do Sashy przychodzi się, by znaleźć mężczyznę, a zdobywa się koleżanki.

Chaplain schował ręce do kieszeni.

– Dlaczego bujda?

– Za fasadą nie było nic. Nigdy żadnej z nas nie tknąłeś.

– Nie rozumiem.

– My też nie rozumiałyśmy. Jedyne, co chciałeś, to zadawać pytania. Zawsze tylko pytania.

– Czego dotyczyły te pytania? – odważył się zapytać.

– Wyglądało na to, że kogoś szukasz. Nie wiem.

– Chodziło o kobietę?

Lulu nie odpowiedziała. Chaplain podszedł bliżej. Cofnęła się jeszcze bardziej i pomachała paralizatorem. Z jej ust ciągle szła para. Świadectwo strachu.

– To nie czyni ze mnie potwora.

– Krążą różne plotki – rzuciła głuchym głosem.

– Plotki na jaki temat?

– Znikają kobiety, które przychodzą do tego klubu.

To był cios. Czegoś takiego się nie spodziewał. Zaczynało mu się robić zimno.

– Jakie kobiety?

– Nie wiem. Zresztą nie ma żadnych dowodów.

– Co tak naprawdę wiesz?

Przeszedł na ty, by zaznaczyć, że to on przejmuje dowodzenie. Role się odwróciły. Lulu wzruszyła ramionami. Jakby komentowała absurdalność własnych słów.

– Po wieczorze u Sashy, kiedy wracało się z niczym, szłyśmy się napić czegoś we własnym gronie. Nie pamiętam, która pierwsza o tym wspomniała, ale mówiło się o tym coraz częściej.

– A co na to Sasha? Pytałaś ją?

– Oczywiście. Uznała to za jakieś bzdury.

– Czy sądzisz, że coś ukrywa?

– Nie wiem. Być może powiadomiła policję. Prawdę mówiąc, nie sposób dowiedzieć się, czy ktoś zniknął, czy nie. Po prostu jakaś kobieta może przestać przychodzić do klubu. To nie znaczy, że padła ofiarą seryjnego zabójcy.

– Jednak ty nadal tam przychodzisz…

Zaśmiała się po raz pierwszy, lecz był to ponury śmiech.

– Nadzieja pomaga żyć.

– A co ja mam do tego wszystkiego?

– Zawsze uważano cię za dziwaka… – Zawahała się.

– Bo nie dotykam kobiet?

– Próbowałyśmy się buntować. Rozmawiałyśmy o tym z Sashą…

Chaplain zaczynał rozumieć chłód, z jakim odniosła się do niego Sasha. Jeśli nawet nie wierzyła w te historie, to Nono pojawiający się na nowo w barze Pitcairn nie był dobrą reklamą.

– Nie wiem, jak mam cię przekonać. Ta cała historia wydaje mi się nienormalna…

– Mnie także.

Jakby dla podkreślenia tych słów schowała swoją broń do torebki.

– Nadal się boisz?

– Nie boję się, już ci mówiłam.

– No więc co jest nie tak?

Wyszła z cienia bramy. W oczach miała łzy.

– Potrzebuję mężczyzny, rozumiesz? Nie seryjnego zabójcy ani faceta z amnezją, ani nikogo w tym rodzaju! Zwykłego mężczyzny, kapujesz?

Wyrzuciła z siebie te słowa niczym wyciągnięta z wody ryba, szukająca rozpaczliwie powietrza.

Patrzył, jak odchodzi błyszczącym od szronu asfaltem. Pomyślał, że chciałby ją zatrzymać, ale nie miał jej nic do zaofiarowania oprócz własnej pustki.

Ponieważ prowadziła strajk głodowy, leżała przywiązana do stołu operacyjnego. Stalowy rozwieracz przytrzymywał jej otwarte usta. Karmiono ją przez rurkę włożoną do gardła. Kiedy opuściła oczy, zobaczyła, że rurka to lśniący, łuskowaty wąż. Chciała krzyknąć, ale łeb gada już wślizgiwał się po jej języku, dusił ją…

Obudziła się przerażona. Mięśnie gardła miała tak ściśnięte, że z trudem mogła odetchnąć. W stanie szoku masowała sobie szyję. Ile razy w ciągu nocy wracał do niej ten koszmar? Kiedy tylko zasypiała, sen ściskał jej mózg, jakby dusił ją gad.

Sen miał kilka wariantów. Czasami nie była w więzieniu, lecz w zakładzie psychiatrycznym. Lekarze w maseczkach robili doświadczenie z jej śliną, wkręcali śrubę w policzek. Spocona drżała z zimna. Trzymając się kurczowo pryczy, trzęsła się pod kocem, bojąc się, że znowu zaśnie.

Chociaż zasnąć tutaj i tak było trudno. Procedura ochrony specjalnej już się zaczęła. Ciągle słyszała stuk otwieranego okienka w jej celi. Strażniczki wchodziły o drugiej nad ranem, zapalały światło, przeszukiwały celę i wychodziły bez słowa. Anaïs przyglądała im się z wdzięcznością. Nie zdając sobie z tego sprawy, dawały jej wytchnienie od węża.

Teraz leżała skulona, rozglądając się po celi. Bardziej wyczuwała ją, niż widziała. Ściany i sufit bardzo blisko. Wymieszane wonie potu, uryny, detergentów. Umywalka przymocowana do ściany. Czy był tutaj, przyczajony w cieniu? *El Cojo… El Serpiente…*

Odwróciła się twarzą do ściany i czytała po raz setny wyryte w cemencie napisy. „Claudia y Sara para siempre”. „Sylvie, wymaluję ściany twoją krwią”. „Liczę dni, ale dni nie liczą już na mnie…”. Powiodła palcami po tych napisach. Zdrapywała tynk ze ścian.

Solinas więcej się nie odezwał. Z pewnością znalazł inny sposób na prowadzenie poszukiwań. Albo aresztował już Janusza. To by tłumaczyło jego milczenie. W jakim celu miałby kontaktować się ze znerwicowaną więźniarką, jeśli miał pod kluczem podejrzanego numer jeden w sprawie kryminalnej najwyższej wagi?

Dręczyła się takimi myślami od wielu godzin, między zimnem i ciepłem, między snem a czuwaniem. Czasami myślała, że to już koniec. Janusz w więzieniu. Przyznaje się do zabójstw. Potem powoli wracała jej wiara. Janusz był wolny. Janusz dowodził swojej niewinności… Wtedy odzywała się w niej nadzieja. Nie śmiała się poruszyć, bojąc się, że zniknie.

W ciemności znowu szczęknęło okienko. Anaïs nie słyszała tego. Zasnęła.

Wąż zbliżał się do jej ust.

– *Te gusta?* – pytał ojciec.

Chaplain zawrócił, przeciął bulwar Beaumarchais. Doszedł do ulicy de Chemin-Vert, bulwaru Voltaire’a, placu Leona-Bluma. Zimno wypłoszyło przechodniów. Puste ulice, tylko asfalt, latarnie, w nielicznych oknach światło, którego ciepło i intymność mroziły mu serce.

Powtarzał sobie w duchu to, czego się dowiedział tego wieczoru. Zaginione bez śladu kobiety z klubu Sashy. Nono jako podejrzany. Nono stawiający pytania i szukający czegoś u bywalczyń klubu – czego? Rozważał w myślach te nowe zagadki. Jeśli nie był zabójcą kloszardów, to czy był zabójcą samotnych kobiet? A może to ten sam morderca, właśnie on? Zdecydowanie, ze złością odrzucał te wszystkie tropy. Postanowił zachować w swoim śledztwie absolutną neutralność i zastosować w stosunku do siebie to samo prawo, które przysługuje wszystkim przestępcom – zasadę domniemania niewinności.

Ulica de la Roquette. Dzielnica loftów spała. Kontakt z brukiem pod stopami go uspokajał. Przyjął ostatecznie to atelier jako swoje. Wsunął rękę między bambusy, potem przez zbitą szybę – nie znalazł klucza w mieszkaniu. Odciągnął zasuwkę od wewnątrz i otworzył drzwi. Kiedy sięgał ręką, by zapalić światło, otrzymał silny cios w głowę. Przewrócił się na malowany beton, ale natychmiast, mimo bólu i gwiazd przed oczami, zdał sobie sprawę, że nie stracił przytomności.

Korzystając z tego, wstał, kierując się na schody. Nagle nogi się pod nim ugięły. Przed oczami zrobiło mu się ciemno. Miał wrażenie, jakby krew za-

lała mu mózg. Leżąc na brzuchu, obrócił się i zobaczył niewyraźnie napastnika, który złapał go za nogi, jak rugbysta. Nono uwolnił jedną stopę i kopnął napastnika obcasem w twarz. Uderzenie jakby dodało przeciwnikowi energii. Jednym ruchem zerwał się i skoczył na Chaplaina. Błysk na szybie. W ręku trzymał nóż. Nono rzucił się na schody i zaczął się wdrapywać na górę na czworakach.

Napastnik był tuż za nim. Chaplain zamachnął się łokciem do tyłu i odepchnął mężczyznę, który wypadł przez stalową poręcz. Nono nie spodziewał się aż tyle. Liny zawibrowały niczym struny harfy. Na ten dźwięk przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Zbiegł na dół i chwycił napastnika za kołnierz. Wepchnął mu głowę między sznury i zacisnął je wokół jego gardła, tak jak to robią zawodnicy wolnej amerykanki, używając lin wokół ringu. Mężczyzna rozpaczliwie zacharczał. Chaplain nie zwolnił uścisku. W mózgu kołatała mu się jedna myśl: zabić lub zostać zabitym.

Zacisnął linę jeszcze mocniej, a potem puścił.

Przeciwnik walnął go kolanem w podbrzusze. To nie był zwykły ból, to była czarna dziura w najdalszej głębi jego jestestwa. Nie oddychał. Nie słyszał bicia serca. Nic nie widział. Rękami zasłonił genitalia, jakby mógł w ten sposób złagodzić swoje cierpienia, i upadł plecami na stopnie schodów.

Uderzył się w głowę i stoczył na podłogę, strącając na siebie tubki i pędzle. Wyciągnął rękę, by chwycić się stołu. Zdołał wstać przy wtórze brzęczenia znajdujących się tam przedmiotów. Odwrócił się. Napastnik znowu szykował się do ataku. Przyjąwszy cios bokiem, Chaplain utrzymał się na nogach. Walnęli obaj o ceglaną ścianę. Pojemniki, flakony, butelki potoczyły się na podłogę.

Chaplainowi udało się odepchnąć napastnika. Poślizgnął się przy tym, trafiając butem w jakąś kałużę. Poznał zapach. Olej lniany. Przez głowę jak błyskawica przemknęło mu podprogowe wspomnienie o jego właściwościach w kontakcie z powietrzem. Siedząc na podłodze, chwycił butelkę, która już była otwarta. Znalazł szmatę, nasączył olejem i zaczął pocierać w palcach z całej siły.

Mężczyzna już wracał.

Chaplain nie przestawał trzeć materiału, czując gorąco w dłoniach.

W chwili gdy napastnik go złapał, materiał zapalił się wystarczająco jasnym płomieniem, żeby oświetlić całą przestrzeń loftu. Chaplain, oślepiony,

nic nie widząc, cisnął palącą się szmatę w twarz mężczyzny. Marynarka napastnika natychmiast zajęła się ogniem. Mężczyzna cofnął się i upadł w kałużę, która także się zapaliła. Machał rozpaczliwie rękami. Pająk szamocący się w płomieniach.

Chaplain wstał, chwycił długi pędzel, by wydłubać mu oczy. Już się zamierzał, kiedy czyjaś ręka złapała go za włosy.

Poczuł zimny dotyk lufy na karku.

– Zabawa skończona, Nono.

Elektryczne światło rozbłysło w zdewastowanym atelier. Ślady bójki, ale także wściekłej rewizji. Przeszukano każdy najmniejszy zakątek loftu. Chaplain znieruchomiał, patrząc na leżącego na podłodze pierwszego napastnika. Już się nie palił, ale czarny dym unosił się aż pod sufit, zatykając gardło.

Drugi napastnik chwycił go za kołnierz i pchnął na taboret przy barze – jeden z niewielu, które jeszcze stały. Chaplain w końcu odwrócił się i zobaczył jego twarz. Dość młody, chudy jak szczapa, brązowa skórzana kurtka. W ręce trzymał pistolet automatyczny.

Tłuste włosy, pociągła twarz, regularne, niemal anielskie rysy, ale cera zeszpecona bliznami po trądziku. Kąciki jego ust, nienaturalnie wygięte, nadawały mu wygląd stale uśmiechniętego. Oczy, głęboko zapadnięte pod brwiami, mrugały z niezwykłą szybkością. Jak u węża lub jaszczurki.

– Miło cię widzieć.

Miał słowiański akcent. Chaplain domyślił się, że to jeden z jego klientów, do których wydzwaniał przed południem. Nie udało mu się odpowiedzieć. Z trudem oddychał. Cały się trząsł.

Mężczyzna z oczami węża powiedział coś do drugiego, który ściągnął marynarkę, zdeptał ją ze złością i skierował się do zlewu w kuchni. Wsadził głowę pod kran z zimną wodą, po czym poszedł otworzyć oszklone drzwi atelier.

Żadnych wątpliwości, kto tu był szefem.

– Naprawdę cieszę się, że cię widzę.

Powiedziane to zostało z ironią. Chaplain zastanawiał się, czy ten człowiek ma zamiar zaraz go zabić. Broń, którą trzymał, podobna była do jego glocka. Taka sama krótka lufa, taki sam kwadratowy kabłąk spustu, tak samo wykonany z kompozytu, a nie z metalu. Zauważył, że pod lufą

umieszczony był uchwyt, z pewnością do przymocowania latarki taktycznej lub celownika laserowego. Do czego to wszystko zmierzało?

Zaryzykował pytanie, by zyskać na czasie:

– Jak mnie odnaleźliście?

– Popełniłeś błąd. Dzwoniłeś do Amara z telefonu stacjonarnego. Numer zastrzeżony, ale z łatwością ustaliliśmy twój adres.

Jego francuski był nie najlepszy, a głos ostry, nieco piskliwy. Sposób wymowy przypominał dźwięki źle naoliwionego mechanizmu. Arnaud zadzwonił tylko jeden raz z telefonu stacjonarnego. Do Słowian, gdzie była mowa o jakimś Yussufie. Bez wątpienia to jego miał teraz przed sobą. Ten drugi, wielkolud, który go napadł, musiał być zatem Amarem.

Imiona muzułmańskie.

Może Bośniacy…

– Nie znaliście mojego adresu? – zapytał bezczelnie.

– Nono to bardzo ostrożny gość. Jakoś się zmieniłeś. – Nagle jego głos przestał być miły. – Gdzie się podziewałeś, draniu?

Zaczynała się zabawa.

– Podróżowałem – odparł prowokacyjnie.

Żadnej reakcji. Kamienny wyraz twarzy. Blizny po trądziku przywodziły na myśl dziury po kwaśnym deszczu.

– Gdzie?

– Nie wiem. Straciłem pamięć.

Yussuf wybuchnął śmiechem, który przypominał gruchanie. Splunął na podłogę.

– Gówniany kloszard. Bez dokumentów, niewiadomego pochodzenia, bez zawodu. Dowiedziałem się o tobie wszystkiego.

– Czego się dowiedziałeś?

Yussuf wstał z taboretu. Miał zaciętą twarz. Żarty się skończyły. Wystające kości policzkowe rzucały cień na wygięte do góry kąciki ust. Ten wieczny uśmiech nadawał mu wygląd japońskiej maski.

– Ja nie żartuję, Nono. Oddaj to, co jesteś nam winien, i zwijamy się.

– Ale co jestem wam winien?! – krzyknął.

Olbrzym chciał już skoczyć ku niemu, lecz Yussuf zatrzymał go gestem ręki. Chwycił Chaplaina. Lufa pistoletu znalazła się kilka milimetrów od jego złamanego nosa.

Widział teraz z bliska zwężone oczy Bośniaka. Z zielonych źrenic wyzierał chłód. Yussuf był jeszcze młody, ale coś zżerało go od wewnątrz. Choroba. Zimno. Przekleństwo.

– Nie dam rady oddać wszystkiego od razu – zablefował.

Yussuf podniósł głowę, jakby chciał odrzucić do tyłu tłuste włosy.

– Zacznij od paszportów. Potem się zobaczy.

Nagle go olśniło. Był fałszerzem. Zrozumiał, co wydało mu się tak dziwne w tym atelier. To, że deska rysunkowa i szkice reklamowe wyglądały jak dekoracja. Że farby, dziewicze płótna, produkty chemiczne były oszustwem. On sam nie był żadnym twardzielem, żadnym artystą malarzem. Był zwyczajnie fałszerzem.

I to dlatego miał na pieńku ze wszystkimi tymi cudzoziemcami w Paryżu. Z klanami, grupami, siatkami, które zapłaciły mu za to, by dostarczył im paszporty, dowody osobiste, zezwolenia na stały pobyt, karty kredytowe i nic z tego nie zobaczyły.

– Dostaniesz je jutro – powiedział, nie wiedząc, jak sobie z tym poradzi.

Yussuf puścił go i klepnął przyjaźnie po ramieniu.

– Super. Ale bez głupstw. Amar zostanie w pobliżu.

– Mrugnął do niego okiem. – Nie daj mu okazji do odpłacenia ci za to, coś mu przed chwilą zrobił.

Odwrócił się. Chaplain złapał go za ramię.

– Jak się z tobą skontaktuję?

– Jak zawsze, przez komórkę.

– Nie mam twojego numeru.

– Całkiem zbzikowałeś czy jak?

– Powiedziałem ci, że mam problemy z pamięcią.

Yussuf przyglądał mu się przez chwilkę. Nieufność z jego oczu emanowała niczym trujący, niebezpieczny gaz. Pokiwał głową. W końcu podyktował numer po francusku i dorzucił tajemniczo *glupo*. Chaplain domyślał się, że było to obraźliwe słowo, ale wypowiedziane z czułością.

Goście zniknęli, zostawiając go samego w zniszczonym atelier. Nie usłyszał nawet trzaśnięcia drzwi. Ze wzrokiem utkwionym przed siebie rozmyślał nad swoją sytuacją, czując się tak, jakby zachłysnął się palącym alkoholem.

Miał noc na odnalezienie swojego warsztatu.

I nie wiedział, jak się do tego zabrać.

Zaczął od najprostszej hipotezy.

Warsztat powinien być w piwnicy.

Podniósł dywan, szukając klapy w podłodze. Nie znalazł nic. Żadnego uchwytu, wyżłobienia zdradzającego przejście. Chwycił szczotkę, która leżała obok porozbijanych talerzy. Stukał nią wszędzie, nasłuchując głuchego echa próżni. Jednak odpowiadał mu jedynie dźwięczny odgłos betonowej posadzki pod nogami. Odrzucił szczotkę. Ogarniało go coraz większe przerażenie. Minęło już uczucie ulgi po odejściu tamtych dwóch ludzi. Miał teraz problem, który musiał rozwiązać w ciągu najbliższych godzin. Jedna noc na zlokalizowanie warsztatu. Przygotowanie fałszywych paszportów. Już sam ten pomysł wydawał się absurdalny.

Znowu uciekać?

Amar zapewne jest gdzieś niedaleko…

Szukając w szufladach kluczy, adresu, wskazówki, zastanawiał się cały czas, gdzie wyuczył się fachu fałszerza, skąd wziął pieniądze na puszczenie w ruch interesu. Yussuf powiedział, że znalazł go na bruku. Widocznie był po kolejnym ataku amnezji. Bez nazwiska, bez przeszłości, bez przyszłości. Ten Słowianin jakoś mu pomógł.

„Fałszerz”. Powtarzał cicho to słowo, nie przerywając poszukiwań. Jakimś cudem Bośniacy nie znaleźli jego pieniędzy w kadłubie *Pen Duicka*. Pewnie im przeszkodziło jego przyjście. Nie dokończyli swojej roboty na piętrze.

„Fałszerz”. Czy jest lepsze zajęcie dla chronicznego oszusta?

Czy nie był fałszerzem własnej egzystencji? Przerwał, zdając sobie sprawę z bezskuteczności wszelkich wysiłków. Nic tu nie znajdzie. Wyczerpany usiadł i poczuł wracający ból w głowie, brzuchu, podbrzuszu. Poszedł do łazienki. Zmoczył ręcznik jak poprzednio i nałożył zimny kompres na twarz, co przyniosło mu lekką ulgę.

Odrzuciwszy pomysł z piwnicą, zastanawiał się nad jakimś sekretnym pokojem. Pomysł równie bezsensowny. Nie było tu żadnego kąta, zakamarka, gdzie mogłoby znajdować się takie pomieszczenie. Zszedł jednak na parter. Odsunął lodówkę. Opukał wnętrze szaf ściennych, schowków. Zdjął kratki wentylacyjne…

Nagle zapragnął zwalić się na łóżko, zasnąć i już się nie obudzić. Musiał jednak wytrzymać. Poszedł do kuchni, ominął leżące na podłodze rzeczy i zrobił sobie kawę. Pomyślał o jakimś innym lokalu gdzieś w tym osiedlu loftów. Ale nie. Znalazłby wówczas jakieś faktury, rachunki za jego wynajem.

Mimo to, z filiżanką w ręce, podszedł do drzwi i się rozejrzał. Wszędzie panował spokój. Mieszkańcy tych uliczek nawet nie podejrzewali, co się tu działo. Jego wzrok zatrzymał się na metalowej klapie z podwójnymi drzwiczkami, widocznej w chodniku pięć metrów od jego progu. Wrócił do stołu Nono malarza. Poszperał i znalazł młotek oraz śrubokręt – narzędzia te zapewne służyły mu do przybijania płócien do ram albo stwarzały pozory, że do tego mu były potrzebne.

Wrócił do klapy, wsunął śrubokręt w środkowe wyżłobienie. Wystarczyło raz uderzyć młotkiem i połowa klapy odskoczyła. Chaplain zobaczył schody prowadzące w dół. Zamykając nad sobą klapę, wszedł do podziemia i poszukał po omacku kontaktu. Rozbłysło światło. Na dole ciągnął się śmierdzący wilgocią, pełen kurzu korytarz z szeregiem drewnianych drzwi. Piwnice loftów. Zszedł niżej, zastanawiając się, która piwnica należy do niego.

Po kilku krokach sprawa się wyjaśniła – tylko jedne drzwi były metalowe. Zamiast kłódki miały zamek. To, czego szukał, znajdowało się za tymi drzwiami. Nadal trzymał w rękach młotek i śrubokręt. Nie zważając na nic, wsunął koniec śrubokręta między ścianę i framugę, a potem z całej siły uderzył młotkiem. Metal trochę się wygiął. Wsunął ostrze jeszcze głębiej i znowu uderzył młotkiem.

Zamek ustąpił. Na widok tego, co tam ujrzał, wydał okrzyk triumfu. Stół do pracy, a na nim mikroskop, ołówki, pędzle, noże do cięcia papieru. Na półkach odczynniki chemiczne, tusze, stemple. Pod pokrowcami kilka skanerów, urządzenie do laminowania dokumentów, aparatura do analizy biometrycznej…

Zapalił lampę pod sufitem, zgasił światło na korytarzu, zamknął drzwi. Był tu warsztat drukarski. Pod ścianami ryzy papieru. Folia plastikowa. Tonery. Pieczątki. Lampa ultrafioletowa…

Zdarzył się kolejny cud – wszystko sobie przypomniał. Cała wiedza potrzebna fałszerzowi wypłynęła na powierzchnię jego pamięci. Tak jak po wielu latach przebywania na stałym lądzie nie traci się umiejętności żeglowania. Jak wytłumaczyć ten cud? Czy ta wiedza rzemieślnicza łączyła się z jego edukacją kulturalną? Inne wyjaśnienie – pozbył się tajemniczego implantu. Jego pamięć została uwolniona…

Nie było czasu na dalsze rozważania. Włączył drukarki i pozostałe sprzęty. Napłynęły wspomnienia. Jak skanować paszport lub inne dowody tożsamości. Jak usuwać znaki wodne i fluorescencyjne nitki, pozwalające zidentyfikować dokument, żeby potem zrobić nowy na pozbawionym wszelkich znaków papierze. Pamiętał, że osobiście usprawniał te maszyny, by móc skopiować mikroskopijne szczegóły, pomyślane właśnie w tym celu, żeby uniemożliwić podrabianie dokumentów. Że usunął zabezpieczenia zainstalowane przez producentów skanerów i drukarek, mające zapobiegać wszelkim próbom fałszerstwa. Że zasłonił numer seryjny, który zostawia każda kopiarka, maleńkimi cyframi, niewidocznymi gołym okiem, co pozwalało odróżnić dokument oryginalny od podróbki.

Zrozumiał, dlaczego Yussuf go nie zabił. Nono był wirtuozem wśród fałszerzy. Asem od podrabiania dokumentów. Jego ręce były bezcenne. Chwilę później trafił na nowy skarb. Drewniana szafka o wymiarach metr na metr z przegródkami, przypominającymi szufladki w dawnych bibliotekach. Wewnątrz – ułożone, posegregowane – dziewicze dowody tożsamości. Wśród nich francuskie paszporty obiecane Yussufowi. Do każdego egzemplarza dołączona była złożona we czworo kartka z nazwiskiem i danymi przyszłego kandydata do obywatelstwa francuskiego oraz jego zdjęcie. Wszystkie nazwiska wyglądały na słowiańskie. Jeśli zaś chodzi o gęby, była to parada typów przeróżnego autoramentu.

Zdjął marynarkę. Włączył wentylację, usiadł za stołem do pracy. Do rana musi zrobić trzydzieści dokumentów. Miał nadzieję, że do wiedzy teoretycznej dołączy także właściwa zręczność, pewność ruchów.

Przypomniał sobie inne szczegóły. Jego kredo fałszerza. Zasady, których zawsze przestrzegał. Żadnego podawania cudzego nazwiska. Żadnego oszustwa. Żadnych matactw kredytowych czy bankowych.

Nono prowadził własną krucjatę.

Powoływał do życia nowych Francuzów.

Włożył lateksowe rękawiczki i wziął dziewicze dokumenty – paszporty z symbolami zdradzającymi obecność elektronicznych chipów. Najnowsza technologia.

Zabierał się już do roboty, kiedy przyszedł mu do głowy inny pomysł. Bez wątpienia zły, ale już było za późno, żeby się od niego uwolnić. Odgarnął włosy obydwiema rękami. Zastanowi się nad tym później.

Teraz musi wziąć się do pracy.

Ocalić skórę Nono.

Fleury-Mérogis, więzienie dla kobiet.

Jakiś hałas wyrwał ją z dręczącego snu.

Odgłosy rozmów, kroki na korytarzu. Rzut oka na zegarek – dziesiąta rano. Wstała i przyłożyła ucho do drzwi. Coraz większa wrzawa zakłócała normalny porządek. Więźniarki robiły wrażenie podnieconych. Piątek musiał być dniem odwiedzin.

Zawróciła, żeby się znowu położyć, ale drgnęła na szczęk zamka w drzwiach. Na progu stała strażniczka. Przeniosą ją do innej celi. Albo do karceru. A może zawiozą pilnie do sądu karnego. Wyobraziła sobie to wszystko w ciągu kilku sekund.

– Chatelet! Do rozmównicy.

– Ktoś do mnie przyszedł?

– Tak, ktoś z rodziny.

Coś w niej pękło. Nie miała żadnej rodziny poza jedną osobą.

– Idziesz czy nie?

Włożyła bluzę z kapturem i poszła za strażniczką. Na korytarzu dołączyła do innych więźniarek. Zjawy w dresach, czadorach, afrykańskich tunikach. Śmiechy. Szuranie tenisówek. Droga do rozmównicy nie miała końca. Szła do przodu popędzana jedynie biciem serca. Nagle poczuła podchodzące do gardła mdłości.

Nie wiedząc jak, znalazła się w korytarzu, w którym była już poprzednio. Pokoje ze szklanymi ścianami. Kraty w oknach. Oszklone, zakratowane

drzwi. Ale atmosfera była zupełnie inna. W boksach śmieją się dzieci. Piłka uderza w ścianę. Jakieś niemowlę płacze. Nastrój raczej taki jak w przedszkolu niż w więziennej rozmównicy.

Strażniczka zatrzymała się i otworzyła jedne drzwi.

Czekający na nią mężczyzna, siedzący za stołem, odwrócił się.

To nie był jej ojciec.

Był to Mathias Freire.

Jakby za sprawą jakiejś niepojętej magii pojawił się tutaj, przeszedł przez kontrole, sprawdzanie dokumentów, bramkę z wykrywaczem metali…

– Nie uda się panu stąd wyjść – powiedziała, siadając z drugiej strony stołu.

– Proszę się nie martwić – odparł spokojnie.

Wtuliła głowę w ramiona, ścisnęła pięści między kolanami, wzięła głęboki oddech. Był to jej sposób na zaczerpnięcie z głębi siebie energii koniecznej do tego, żeby poradzić sobie z czymś tak niespodziewanym. Pomyślała o tym, jak wygląda. Zmęczona twarz. Potargane, tłuste włosy. Ubrana jak rekonwalescentka w sanatorium.

Podniosła wzrok, mówiąc sobie w duchu, że to się nie liczy. Był tutaj, naprawdę. Wychudzony. Poraniony. Słaby. Miał na sobie porządne ubranie, ale wyglądał, jakby przejechał po nim walec. Tak bardzo czekała na tę chwilę… Nie wierzyła jednak, że może się spełnić.

– Mamy sobie dużo do powiedzenia – rzekł tym samym, spokojnym głosem.

W przebłysku podświadomości zobaczyła go, jak uciekał w holu sądu okręgowego w Marsylii. Jak przemykał między tramwajami w Nicei. Jak mierzył z pistoletu do zabójców na ulicy de Montalembert.

– Ale mamy tylko pół godziny. – Wskazał na zegar umieszczony na ścianie za nim.

– Kim jest pan dzisiaj?

– Pani bratem.

Roześmiała się. Nie zdejmując kaptura, pocierała dłonie jedną o drugą, jak ktoś, komu jest zimno albo jest na głodzie.

– Jak się panu udało z dokumentami?

– To długa historia.

– Opowiadaj – poprosiła Anaïs, przechodząc na ty.

Mathias Freire – tak go nazywała w myślach – opowiedział o trzech morderstwach. Minotaur. Ikar. Uranos. Wyjaśnił, że cierpi na syndrom pasażera bez bagażu. Opowiedział o trzech osobowościach, w które się wcielał. Freire – psychiatra, od stycznia 2010 roku. Janusz – kloszard, od listopada do grudnia 2009 roku. Narcyz – szalony malarz, od września do października…

Nie była to dla niej żadna niespodzianka. Sama domyśliła się wszystkiego, no, prawie wszystkiego. Poznała jednak inne fakty. Freire jako pierwszy pojawił się przy zwłokach Ikara – widział go na plaży Biała Blacha. Poza tym w tej sprawie jakąś rolę odgrywało rosyjskie słowo „matrioszka", ale nie wiedział jeszcze jaką.

– A obecnie – zapytała – kim jesteś?

– Tym, który był przed Narcyzem. Nazywanym Nono.

Roześmiała się nerwowym śmiechem. On także się uśmiechnął.

– Arnaud Chaplain. Byłem nim przynajmniej przez pięć miesięcy.

– Czym się zajmowałeś?

– Zostawmy ten temat.

Opowiedział o tym, że kilkakrotnie próbowano go zabić, odkąd uciekł z Bordeaux. Aż pięć razy. Ma jakąś zdolność uchodzenia z życiem albo po prostu dopisuje mu szczęście. Gdziekolwiek się udawał, kimkolwiek był, odnajdywali go ludzie w czarnych garniturach. Byli o wiele lepszymi śledczymi niż funkcjonariusze policji. A w każdym razie szybszymi.

Freire przeszedł następnie do najważniejszej informacji. Kiedy go aresztowano i znalazł się w szpitalu Hôtel-Dieu, zrobione tam zdjęcia rentgenowskie jego głowy wykazały, że u nasady przegrody nosowej tkwi jakiś implant. Rozbił sobie umyślnie nos i udało mu się go wydobyć.

Przy tych słowach otworzył dłoń – zabłysła w niej maleńka chromowana kapsułka.

– Co to jest?

– Zdaniem lekarza z Hôtel-Dieu może to być implant z jakąś substancją albo mikropompa, jakiej używa się czasami w leczeniu epileptyków i chorych na cukrzycę. Wszczepione w ciało urządzenie, dzięki któremu można mieć kontrolę nad czynnościami fizjologicznymi i w odpowiednim momencie dostarczyć organizmowi niezbędnej substancji. Cały problem w tym, żeby wiedzieć, jaki ma być efekt.

Wszystko to brzmiało nieprawdopodobnie, ale Anaïs przypomniała sobie pewien szczegół: zabójcy Patricka Bonfilsa podążyli za jego zwłokami aż do kostnicy w Rangueil tylko po to, żeby otworzyć mu nos. Nie trzeba być wielkim mędrcem, by wyciągnąć z tego jednoznaczny wniosek. Zrobili to, chcąc wydobyć implant, który rybak miał w swoim nosie. Freire i Bonfils poddani zostali takiej samej operacji.

Freire/Janusz mówił coraz szybciej. W tej zagmatwanej opowieści wybijało się na czoło jego obsesyjne pragnienie udowodnienia własnej niewinności. Wykazać pomimo wszystkich okoliczności, że nie jest inspirującym się mitologią zbrodniarzem.

– Chcę sam wytropić tego mordercę. Nie jestem zabójcą. Ja szukam zabójcy.

– Znalazłeś go?

– Mam wrażenie, że kilka razy byłem bardzo blisko niego, ale wtedy traciłem pamięć. Jakby to, co odkrywałem, powodowało zwarcie w sieci moich neuronów. Musiałem więc zaczynać śledztwo od nowa, od zera.

Anaïs pomyślała, że gdyby próbował to wszystko przedstawić w sądzie, znalazłby się nieuchronnie w więzieniu. Albo w zakładzie psychiatrycznym. Patrzyła na niego, wciąż nie wierząc, że jest tutaj, że okazał się tak zuchwały. Tyle razy o tym marzyła, tyle razy nawiedzał ją we śnie…

Przez minione dwa tygodnie postarzał się o wiele lat. Jego źrenice płonęły w głębi oczodołów. Zniekształcony, zmaltretowany nos oblepiony był plastrami. Przyszło jej na myśl, że wszystkie osobowości, przez które przeszedł, pozostawiły w nim jakieś ślady. Przypominał jeszcze dawnego psychiatrę, ale było już w nim coś z kloszarda. Błysk szaleństwa w jego źrenicach pasował bardziej do van Gogha niż do Zygmunta Freuda.

Za wcześnie było jeszcze wyrokować, co zostawi mu w spadku Arnaud Chaplain. Może elegancję – jego ubranie zdradzało staranność, która nie miała nic wspólnego z poprzednimi trzema osobowościami.

Pod wpływem impulsu dotknęła jego dłoni.

Ten kontakt był tak cudowny, że natychmiast cofnęła swoją rękę, jakby się sparzyła.

Freire zaskoczony zamilkł. Spojrzała na zegar na ścianie. Zostało im jeszcze tylko kilka minut. Teraz ona zaczęła szybko mówić. Opowiedziała o firmie Mêtis, ojej wojskowych początkach, o tym, że potem przekształciła

się w firmę chemiczną, a następnie farmaceutyczną, że koncern stał się najważniejszym w Europie producentem leków psychotropowych.

Powiedziała także o powiązaniach firmy z narodowymi siłami zbrojnymi. O wykorzystywaniu ochroniarzy z ACSP. Na koniec wyraziła przekonanie, które zrodziło się w niej przed chwilą, że Freire i Patrick Bonfils byli królikami doświadczalnymi i wypróbowywano na nich nowy specyfik. Produkt, który miał wpływ na ich osobowość i wywoływał pewną reakcję łańcuchową. Kolejne ucieczki psychiczne.

Freire przyjmował każdy fakt jak cios prosto w twarz. Żeby go przekonać, zrelacjonowała, jak potężnym graczem jest Mêtis, którego nie ograniczają żadne prawa ani autorytet państwa, jako że jego siła wynika właśnie z tych praw i tego autorytetu.

I wreszcie ostateczny wniosek. Z jakiegoś nieznanego jej powodu firma postanowiła oczyścić pole i pozbyć się królików doświadczalnych. Wysłali zawodowców, by ich zabili. Jego, Patricka Bonfilsa i bez wątpienia wielu innych. Wszyscy znaleźli się na czarnej liście.

Freire słuchał tego z zaciśniętymi zębami. Skończyła mówić, czując się, jakby strzelała do karetki pogotowia. Zostały im już tylko dwie minuty. Nagle zdała sobie sprawę, jak nierozważnie się zachowali. Zignorowali kamery monitoringu. Mikrofony, które mogły nagrać ich rozmowę. Strażników, którzy mogli go rozpoznać albo zostać zaalarmowani przez kogoś z zewnątrz.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

Anaïs nie zrozumiała jego słów. Przed chwilą ogłosiła mu wyrok śmierci. Dopiero z pewnym opóźnieniem domyśliła się, że mówił o więzieniu, do którego trafiła, o konsekwencjach tej sprawy dla całej jej kariery zawodowej, o chaosie, w jakim dobrowolnie się pogrążyła.

– Sama tak wybrałam – szepnęła.

– Więc tego dowiedź.

Freire wziął ją za rękę i wsunął między jej palce złożoną kartkę papieru.

– Co to?

– Dzień, godzina, kiedy ktoś zadzwonił do Chaplaina na jego stacjonarny telefon pod koniec sierpnia. Było to wołanie o pomoc. Muszę wiedzieć, co to za dziewczyna wtedy do mnie dzwoniła.

Anaïs spięła się wewnętrznie.

– Numer osoby dzwoniącej jest zastrzeżony – mówił dalej.

– To ostatni telefon, jaki otrzymałem jako Chaplain. Następnego dnia byłem już kimś innym. Muszę odnaleźć tę kobietę!

Anaïs opuściła wzrok na zaciśniętą pięść. Poczuła się bardzo nieszczęśliwa, rozczarowana.

– Zapisałem ci także – kontynuował cichym głosem – numer mojego nowego telefonu komórkowego. Czy mogę na ciebie liczyć?

Schowała dyskretnie kartkę do kieszeni spodni i ignorując jego słowa, zapytała:

– Czy Chaplain także szukał zabójcy?

– Tak, ale w inny sposób. Korzystał z portali randkowych. Zwłaszcza z klubu *speed datingu* Sasha.com. Czy coś ci to mówi?

– Nie.

– Trzeba zidentyfikować ten numer, Anaïs. Muszę porozmawiać z tą kobietą. Jeśli nie jest już za późno.

Anaïs wbiła wzrok w jego zaczerwienione oczy. Przez chwilę zapragnęła śmierci rywalki. Jednak natychmiast pozbyła się tej myśli niczym chirurg narośli rakowej.

– Czy dlatego tu przyszedłeś? – zdołała wydusić.

Rozległ się dzwonek. Koniec wizyt. Uśmiechnął się ze znużeniem i wstał. Mimo że był chudszy o parę kilogramów i wyglądał na znacznie starszego, mimo że jego oczy błyszczały gorączką, a nos był zdeformowany, nadal zachował swój nieodparty urok.

– Nie mów głupstw.

Po wyjściu z rozmównicy Anaïs natychmiast poprosiła, by pozwolono jej zatelefonować. Oznaczało to, że musi skręcić w północne skrzydło oddziału kobiecego, gdzie na korytarzu były przymocowane do ścian aparaty telefoniczne. Strażniczka wyraziła zgodę. Tak naprawdę Anaïs nie podlegała jeszcze procedurze nadzoru specjalnego.

Zaczęła się pora spaceru i dlatego przy telefonach nie było ani jednej więźniarki. Anaïs wykręciła numer z pamięci. Musiała coś robić, żeby się całkiem nie załamać. W celi będzie miała dużo czasu na płacz. Widziała się z Mathiasem Freire'em i co z tego wynikło? Robota policyjna. Wymiana informacji. I tyle.

– Halo?

– Le Coz, mówi Chatelet.

– Anaïs? Co się tam dzieje?

Wiadomość o strzelaninie i o jej aresztowaniu dotarła aż na południe Francji.

– Za długo, żeby wyjaśniać.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Spojrzała w kierunku strażniczki, która, odwrócona do niej tyłem, przechadzała się, spoglądając przez zakratowane okno balkonowe. Anaïs wyjęła z kieszeni spodni kartkę i rozwinęła ją.

– Podam ci dzień i godzinę rozmowy z telefonu zastrzeżonego, a także numer, pod który dzwoniono. Zidentyfikuj osobę, która dzwoniła. Bez-

zwłocznie.

– Nic się nie zmieniłaś – rzucił ze śmiechem. – Mów.

Podyktowała mu dane. Usłyszała, że telefonuje z innego aparatu. Przekazał to, co mu podała, i wrócił do niej.

– Dzwonił do mnie Abdellatif Dimoun.

Potrzebowała kilku sekund, by umiejscowić to nazwisko. Kierownik policyjnego laboratorium z Tuluzy. Wojownik pustyni.

– Czego chciał?

– Posłałaś mu do analizy jakieś rzeczy zebrane na plaży w Marsylii.

Zupełnie zapomniała o tym tropie. Szczątki znalezione przy zwłokach Ikara.

– Zbadał je?

– Tak. To po prostu śmieci wyrzucone przez falę przybojową. Tylko jeden szczegół nie pasuje do reszty. Kawałek lusterka. Według niego musiał się tam znaleźć w inny sposób. Może wypadł z kieszeni zabójcy.

– Dlaczego?

– Bo nie ma na nim żadnych śladów soli. Nie pochodzi więc z morza.

Kawałek lusterka – rzeczywiście krok do przodu.

– To nie wszystko – mówił dalej Le Coz. – Poddali go dokładnej analizie i znaleźli na nim ślady jodku srebra.

– Co z tego wynika?

– Lusterko włożono specjalnie do jodku srebra, żeby było czułe na światło. To bardzo stara metoda, chyba sprzed stu pięćdziesięciu lat. Technika dagerotypu.

– Czego?

– Poprzednika fotografii. Zasięgnąłem informacji. Polerowane, posrebrzone lustro zachowuje obraz fotografowanego obiektu. Potem poddaje się je działaniu par jodu i utrwala. Nie ma jednak możliwości skopiowania obrazu, ponieważ dagerotyp daje od razu pozytyw.

– Dimoun przypuszcza, że to lusterko ma coś wspólnego z dagerotypem?

– Tak. No i mamy nowy kłopot. Ponieważ tej metody nie stosuje nikt poza kilkoma pasjonatami.

– Dowiedziałeś się już czegoś na ten temat?

– Jestem w trakcie.

– Znajdź mi organizację zrzeszającą tych ludzi. Sporządź listę tych, którzy stosują jeszcze tę technikę.

Mówiąc to wszystko, nagle dokładnie wyobraziła sobie tok postępowania zabójcy. Zabijał. Tworzył scenerię greckiego mitu. Następnie utrwalał tę scenę, jeden jedyny raz, na posrebrzonym lusterku. Przeszył ją dreszcz. Musiało gdzieś istnieć miejsce, w którym przechowywano te straszliwe obrazy. Widziała je w swojej wyobraźni, migocące w półmroku. Minotaur z rozprutym gardłem. Spalony Ikar. Wykastrowany Uranos. A ilu jeszcze innych?

– Mam już ten zastrzeżony numer. Możesz zanotować?

– Tak. Zanotuję w głowie.

Porucznik przekazał jej nazwisko i dane tajemniczej rozmówczyni Arnauda Chaplaina. Nie mówiły jej nic. Ale w tej sprawie była tylko pośrednikiem. Podziękowała Le Cozowi, wzruszona tym, że tak chętnie jej pomógł z odległości pięciuset kilometrów.

– Jak mogę się z tobą skontaktować?

– Nie możesz. Odezwę się.

Zapadło milczenie. Le Coz zaraz się wszystkiego domyśli. Anaïs odłożyła słuchawkę, żeby się nie rozpłakać. Poprosiła strażniczkę o jeszcze jeden przywilej – chciała skorzystać z ostatnich kilku minut spaceru. Kobieta westchnęła, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów, a potem, przypomniawszy sobie zapewne, że Anaïs jest policjantką, ruszyła w stronę dziedzińca.

Informacja o dagerotypach przywróciła Anaïs energię. W ściekała się, że siedzi w więzieniu, podczas gdy w śledztwie pojawił się nowy wątek. Może nic z niego nie wyniknie. A jednak… Z całą pewnością zachowa tę informację dla siebie, nie powie o tym ani słowa Solinasowi.

Głośny hałas wyrwał ją z tych myśli. Strażniczka otworzyła właśnie ostatnie drzwi wychodzące na dziedziniec z gołymi prostokątami ziemi, koszami do gry w koszykówkę, betonowym stołem do ping-ponga. Więźniarki spacerowały albo stały w grupkach i rozmawiały między sobą. Wszystkie wyglądały szaro. Ich ciała były przywiędłe, ociężałe. Zniszczone twarze przywodziły na myśl stare łyżeczki, które mimo ciągłego czyszczenia i polerowania nie odzyskiwały dawnej świetności. Nawet lodowaty wiatr nie potrafił przegnać fetoru brudnych cel, smrodu żarcia, odoru niedomytych ciał.

Włożywszy ręce do kieszeni, zaczęła rozglądać się jak policjantka. Obserwowała kobiety spacerujące w większym towarzystwie, parami, samotnie, szukając najlepszego celu. Więźniarki dzieliły się ogólnie na dwie gru-

py. Z ich twarzy, postawy, sposobu, w jaki się poruszały, można się było zorientować, do której z tych grup należą. Drapieżne samice i ofiary losu. Podeszła do czterech Arabek. Nie wyglądały na ofiary pomyłek sądowych, ale raczej na istoty budzące strach, z których więzienna machina nie wyssała jeszcze soków żywotnych. Te kobiety miały za sobą wiele lat pobytu w więzieniu i bez wątpienia jeszcze sporo do odsiadki. Ale złość i wściekłość ich nie opuszczała.

– Cześć.

Odpowiedziała jej głucha cisza. Najmniejszego ruchu głowy. Tylko błysk w czarnych oczach, twardy jak asfalt pod ich nogami.

– Potrzebny mi telefon komórkowy.

Spojrzały po sobie i wybuchnęły wulgarnym śmiechem.

– A może poprosisz jeszcze o nasze dokumenty?

Wieści rozchodzą się szybko. Została już rozpoznana jako policjantka, znienawidzona, odsunięta na bok.

– Muszę wysłać SMS-a. Jestem gotowa zapłacić.

– Ile?

Przewodnictwo przejęła jedna z kobiet. Miała rozpiętą kurtkę, włożoną na zwykły podkoszulek, spod którego wyzierała atletyczna klatka piersiowa z wytatuowanymi dzikimi smokami, przechodzącymi na szyi w maoryskie symbole.

Anaïs nie próbowała nawet udawać.

– Teraz nic. Nie mam przy sobie ani centa.

– No to spadaj!

– Mogę wam pomóc na zewnątrz. Nie posiedzę tutaj długo.

– Wszystkie tak mówią.

– Tak, ale na tym dziedzińcu tylko ja jestem policjantką. Policjanci nigdy nie siedzą długo w ciupie.

Ciężka cisza. Krótkie, ukradkowe spojrzenia. Coś dojrzewało w ich głowach.

– No więc? – odezwała się w końcu kobieta smok.

– Znajdźcie mi komórkę. Kiedy tylko stąd wyjdę, postaram się coś dla was zrobić.

– Szczam na ciebie – bluzgnęła tamta.

– Szczaj, gdzie chcesz, ważniaczko, ale to jedyna okazja dla ciebie. Dla twoich braci. Twojego kochasia. Nieważne. Obiecuję, że kiedy będę już na

wolności, pójdę do sędziów, prokuratury, policjantów, którzy zajmowali się twoją sprawą.

Zapadło jeszcze cięższe milczenie. Niemal słyszała skrzypienie obracających się trybików w mózgu tej kobiety. Nie miała żadnych powodów, by wierzyć Anaïs. Ale w więzieniu, czy się tego chce, czy nie, każdy cały czas żywi się nadzieją. Cztery kobiety, z rękami w kieszeniach, w nędznych kurtkach i takiej samej bieliźnie. Można było się domyślić, że drżą z zimna.

Anaïs nie ustępowała:

– Jeden SMS. To zajmie kilka sekund. Przysięgam, że zajmę się waszą sprawą.

Znowu popatrzyły po sobie. Gesty, spojrzenia. Trzy z nich stanęły ciaśniej wokół Anaïs. Pomyślała, że oberwie dobre lanie. W rzeczywistości te kobiety zasłaniały pole widzenia.

Nagle w środku kręgu pojawiła się wytatuowana kobieta. Lśniący gad wił się na jej skórze. Anaïs opuściła wzrok. Więźniarka trzymała komórkę przyklejoną plastrem do wnętrza dłoni.

Anaïs chwyciła telefon. Zredagowała SMS-a w obecności otaczających ją kobiet. Po wystukaniu numeru zidentyfikowanego telefonu napisała: „Medina Malaoui. Ulica de Naples 64. 75009 PARYŻ”. Po chwili wahania dodała: „Powodzenia”.

Wybrała numer Freire’a i nacisnęła klawisz „wyślij”.

Prawdziwa z niej królowa idiotek.

Chaplain otrzymał SMS-a od Anaïs, gdy był przy Ported'Orleans. Szybko się z tym uporała. Ta informacja ugruntowała ich przymierze. Chyba że legion policjantów czeka na niego na ulicy de Naples 64… Natychmiast podał kierowcy adres Mediny Malaoui, po czym wystukał nadesłany mu numer. Odezwała się poczta głosowa. Głos z nagrania z dwudziestego dziewiątego sierpnia. Nie zostawił żadnej wiadomości. Wolał zaskoczyć ją w jej mieszkaniu. Albo jeszcze lepiej – przeszukać mieszkanie pod jej nieobecność.

Samochód sunął bulwarem Raspail. Chaplain powtórzył w myślach to, czego dowiedział się tego rana. To Anaïs ze swym doświadczeniem, uwięziona we Fleury-Mérogis, znalazła klucz do jego losu: był obiektem eksperymentu. Z jednej strony myśl o tym go przerażała, ale z drugiej – dawała mu nadzieję. Nie był chronicznie chory. Zatruto go. A na każdą truciznę jest również antidotum. Jeśli wywołano w nim ten syndrom, to można go także usunąć. Może nawet był już na drodze do wyzdrowienia, pozbywszy się tajemniczej kapsułki? Trzymając ją w ręku, ponownie się jej przyjrzał. Miałby ochotę ją otworzyć, zeskanować, poddać analizie.

Kierowca dotarł do ulicy Saint-Lazare, objechał plac d'Estienne-d'Orves z kościołem de la Trinite, skręcił w ulicę de Londres. Chaplain doznał dziwnego wrażenia. Nie znosił tej dzielnicy, gdzie ulice noszą nazwy europejskich miast i gdzie budynki są posępne, zimne, zaryglowane. Nad bramami wjazdowymi atlanty i kariatydy wpatrują się w każdego niczym stojący na

baczność wartownicy. Na ulicach nie ma prawie przechodniów, królującutaj jedynie towarzystwa ubezpieczeniowe, biura notarialne, kancelarie adwokackie.

Powrócił obraz Anaïs. Cieszył się, że znowu ją zobaczył. Jej mleczną cerę. Palące spojrzenie ciemnych oczu. Odczuł niezwykłą intensywność jej osobowości, która, jak się wydawało, nie podporządkowywała się światu, ale narzucała mu własną wolę, odciskała gorące piętno. Czy ją kochał? Nie czas i nie miejsce, żeby zadawać sobie tego rodzaju pytanie, zaglądać w głąb swego serca. Tym bardziej że sam nie wiedział, kim jest. Jednak myśl o sojuszniczce rozgrzewała mu krew.

Kierowca zatrzymał się na ulicy de Naples 64. Nono zapłacił taksówkarzowi i wysiadł. Zobaczył typowy dla tej dzielnicy budynek: kamienną fortecę z oknami wykuszowymi na trzecim i czwartym piętrze. Nie znał kodu do bramy. Na ulicy nie było nikogo. Zaczął spacerować przed wejściem.

Wreszcie po dziesięciu minutach z bramy wjazdowej wyłonili się dwaj mężczyźni w garniturach. Chaplain, zmarznięty od długiego czekania, wślizgnął się do środka. Na prawo i na lewo wejścia na klatki schodowe. W głębi podwórza kępa drzew i fontanna. Intymny zakątek kamienicy. Zauważył skrzynki na listy.

Medina Malaoui mieszkała na trzecim piętrze, klatka schodowa na lewo. Nie było domofonu. Ruszył na górę. Na podeście trzeciego piętra dwoje drzwi. Między nimi ozdobny witraż. Mieszkanie Mediny Malaoui znajdowało się po prawej stronie, na drzwiach widniała tabliczka. Zadzwonił. Jeszcze raz. I jeszcze. Bez rezultatu. Mediny nie było w domu. A może coś się jej przytrafiło… Wróciła myśl, którą do tej pory odrzucał.

Odwrócił się i popatrzył na drzwi naprzeciwko. Wyobraził sobie ciekawskiego sąsiada, spoglądającego na niego przez wizjer. Podszedł do tych drzwi i nasłuchiwał. Żadnych odgłosów wewnątrz.

Nikogo na prawo, nikogo na lewo.

Rozwiązanie było w środku.

Otworzył okno witrażowe. Wzdłuż ściany biegł występ, po którym łatwo będzie przejść. Już praktykował wcześniej takie ćwiczenie w Hôtel-Dieu. Odczekał kilka minut, obserwując fasady domów wychodzących na wewnętrzne podwórze. Żadnego ruchu w oknach. Żadnego hałasu. O godzinie jedenastej trzydzieści dom na ulicy de Naples 64 był niczym sanktuarium.

Przeszedł przez framugę i stanął na gzymsie. By nie patrzeć w dół, odwrócił się plecami do ogrodu znajdującego się trzy piętra niżej. Trzymając się ściany, w kilka sekund dotarł do pierwszego okna apartamentu Mediny. Uderzył łokciem w szybę, która rozpadła się na dwie części, ale dzięki kitowi nie wyleciała. Chaplain cały czas bał się, że jakiś nieoczekiwany świadek zacznie krzyczeć na całe podwórze: „Złodziej! Złodziej!”.

Wsunął rękę przez szczelinę i poruszył klamką od wewnątrz. Prześlizgnął się między firankami, zamknął za sobą okno, popatrzył na zewnątrz. Żadnego ruchu. Zaciągnął firanki i zasłony. Koniec spektaklu.

Od razu poczuł zapach kurzu. Niedobry znak. Zrobił kilka kroków. Znajdował się w mieszkaniu bogatej samotnej kobiety. Wielki salon. Kuchnia wyposażona w najnowocześniejsze urządzenia. Korytarz na prawo prowadził zapewne do dalszych pokoi. Przestronnie, dużo powietrza, miło.

Obszedł kanapę w kształcie litery „L” stojącą naprzeciw płaskiego telewizora zawieszonego na ścianie. Nie zwracał większej uwagi na eleganckie, drogie meble. Wszystko pokryte było grubą warstwą kurzu, co musiało budzić niepokój. Czy dwudziesty dziewiąty sierpnia był dniem śmierci Mediny?

Na jednym z mebli stało zdjęcie. Oczywiście twarz kobiety nic mu nie mówiła. Lat około trzydziestu. Jasne, niezbyt gęste włosy. Twarz owalna, wydatne kości policzkowe, co mogło wskazywać na Rosjankę. Ogromne, czarne, rozmarzone oczy. Wargi czerwone, pełne, mięsiste. Chaplainowi przyszło na myśl zatrute jabłko Królewny Śnieżki. Całość ociekała niezwykłą zmysłowością, jakby Medina wyszła właśnie ze źródła pożądania.

Spodziewał się kogoś zupełnie innego. Głos w telefonie pozwalał się domyślać chłodnej elegantki, pewnej siebie piękności, imię natomiast – osoby posępnej, okazałej, pochodzenia północnoafrykańskiego. Tymczasem miał przed sobą polny kwiat z kołchozu. Może Medina pochodziła z Kabylii… Zdjęcie zostało zrobione na pokładzie statku. Chaplain zaczął się zastanawiać, czy to nie on je zrobił na wynajętym przez siebie jachcie.

Wyjął fotografię z ramki, schował ją do kieszeni i ruszył dalej, chcąc obejrzeć całe mieszkanie. Żadnej niespodzianki. Mieszkała tutaj paryżanka, modna, zamożna, inteligentna. Nie było jednak żadnych śladów mówiących, jaki wykonywała zawód, kim była z wykształcenia. Wszystko świadczyło raczej o tym, że prowadziła życie studentki. Salon, korytarz, jeden

z pokoi były pełne książek ustawionych według alfabetu. Filozofia. Krytyka literacka. Etnologia. Filologia… Literatura zdecydowanie poważna.

Gdy zajrzał do szuflad, znalazł w końcu legitymację studencką. Medina Malaoui, dwadzieścia osiem lat, studentka Sorbony na wydziale filozofii. Gdy poszukał dokładniej, znalazł dokumenty dające pełną wiedzę o jej życiu. Pochodziła z północnej Francji. Maturę zrobiła w Saint-Omer. Licencjat i magisterium z filozofii w Lille. W Paryżu pisała doktorat na temat dzieł Maurice'a Merleau-Ponty'ego – tytuł pracy zajmował trzy linijki. Absolutnie niezrozumiały.

Chaplain się zamyślił. Skąd Medina miała pieniądze? Córeczka tatusia? Jakaś praca i doktorat równolegle? Brak odpowiedzi, ale garderoba w szafach ściennych zwiększyła jeszcze jego ciekawość. Prada, Chanel, Gucci, Barbara Bui… Na wyższych półkach mnóstwo torebek. Na niższych wiele par obuwia. Za co Medina kupowała to wszystko? Od kiedy filozofia jest tak dochodowa? Czy była wspólniczką w jego interesach? Zaczynało to być coraz bardziej niepokojące.

Kontynuował poszukiwania, lecz nie znalazł nic osobistego. Żadnego telefonu komórkowego, kalendarza, laptopa. Nie było ani rachunków za abonament, ani dokumentów opłat za mieszkanie. Przy drzwiach wejściowych stos korespondencji. Spojrzał na daty – najstarsze były z końca sierpnia. Podobnie jak u niego, większość stanowiły reklamy. Jednak tutaj nie było faktur ani przelewów bankowych. Wszystko musiało przychodzić przez internet. Dokąd Medina wyjechała? Czy nie żyła? Inne bezładne pytania. Gdzie ją poznał, czy w portalu randkowym Sasha.com? Wyobraził sobie dziewczynę ze zdjęcia w klubie z tybetańskim dzwonkiem. Wywołałaby tam sensację.

Jeszcze raz przeszukał wszystko z myślą, że znajdzie może jakieś dowody wskazujące na jej nagły wyjazd. Lub na coś jeszcze bardziej nagłego… Zepsute jedzenie w lodówce. Bałagan w łazience. Pełne szafy świadczące o tym, że Medina nie miała czasu się spakować.

Chaplain wyszedł tą samą drogą, którą wszedł. Jego jedyny łup spoczywał w wewnętrznej kieszeni marynarki: zdjęcie ślicznej dziewczyny o słowiańskiej urodzie i arabskim imieniu. Reszta była w jego głowie, a raczej w gardle – ponura myśl, że Mediny nie ma już na tym świecie.

Gdy przechodził przez parter, nagle pojawiła się kobieta około sześćdziesięciu lat, w stroju roboczym – niebieska bluza, mop, wiadro z wodą wy-

mieszaną z detergentem.

– Szuka pan kogoś?

Chaplain zamierzał skłamać, ale się rozmyślił. Dozorczyni mogła dostarczyć mu jakichś informacji.

– Przyszedłem do pani Mediny Malaoui.

– Nie ma jej w domu.

– Wyjechała?

– Nie widziałam jej od jakiegoś czasu.

– Od jak dawna?

Kobieta spojrzała na niego podejrzliwie. Przejście było nieoświetlone. Stali w półmroku wśród zapachów dochodzących z ogrodu.

– Jest pan jej znajomym? – zapytała w końcu.

– Jestem jednym z jej profesorów – zaimprowizował. – Kiedy wyjechała?

– Kilka miesięcy temu. Ale czynsz został opłacony. Nie ma problemu.

– Nic pani nie powiedziała?

– Ona nigdy nic nie mówi. – W tonie kobiety wyczuwało się pogardę. – Bardzo dyskretna… Bardzo niezależna. Sprząta u siebie sama. Zakupy też robi sama. Zawsze sama!

Chaplain udał zaniepokojenie:

– Takie zniknięcie nie jest normalne… Nie uprzedziła nikogo na wydziale.

– Niech się pan nie przejmuje. Takim dziewczynom nie może się przydarzyć nic złego.

– Co pani ma na myśli?

Dozorczyni oparła się na kiju od mopa. Pozycja do odpoczynku.

– Jeśli jest pan profesorem, dam panu jedną radę.

Chaplain zmusił się do uśmiechu.

– Trzeba zawsze przyglądać się torebkom studentek. Jeśli dziewczyna nosi zwykłą konduktorkę, plecak lub torbę z dżinsu, to wszystko w porządku. Jeśli jednak przyłazi na wykłady z torebką Chanel, Gucci czy Balenciaga, to znaczy, że zajmuje się jeszcze czymś innym… Nocna praca, jeśli domyśla się pan, o co mi chodzi.

Ta kobieta najwyraźniej dobrze znała luksusowe marki i nowe zwyczaje w świecie studenckim. Jednak miała rację. Całe mieszkanie Mediny pach-

niało łatwo zdobytą forsą. Elegancją paryskich nocy. Czy Medina była dziewczyną do towarzystwa? Czy był jednym z jej klientów?

Udał oburzenie:

– Medina jest bardzo poważną dziewczyną i…

– Jedno nie przeszkadza drugiemu. Inne godziny zajęć, to wszystko.

– Czy ma pani na to dowody?

– Wychodziła co wieczór i wracała nad ranem. Czy przypuszcza pan, że pracowała jako nocny stróż?

Chaplain pomyślał o zdjęciu, które miał w kieszeni marynarki. Bez komentarzy. Chciał wyminąć dozorczynię. Zastawiła mu drogę kijem od mopa.

– Jak ją zobaczę, czy mam coś przekazać od pana?

Kiwnął głową w roztargnieniu.

– A pańskie nazwisko?

– Nieważne.

Chwilę potem naciskał guzik przy bramie wjazdowej. Wyszedł i w ostatniej chwili zdążył skręcić w bok. Do bramy z dużą prędkością podjechał jakiś samochód. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni. Bez wątpienia policjanci.

Przyspieszył kroku, słysząc, jak za jego plecami otwiera się brama. Policjanci musieli posłużyć się uniwersalnym kluczem. W głowie miał zamęt od niejasnych, przerażających myśli. Czy Anaïs go wydała? Niemożliwe. Policja zainteresowała się nagle losem Mediny Malaoui? Też niemożliwe. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że Anaïs była w więzieniu śledzona. Kiedy przekazała mu SMS-em zdobyte wiadomości, zostało to nagrane. Chciano się dowiedzieć, dlaczego policjantka zainteresowała się tym numerem.

Szedł szybkim krokiem przez bulwar Malesherbes, rozglądając się za stacją metra lub taksówką. Znowu ujrzał w wyobraźni śliczną dziewczynę o wystających kościach policzkowych. Nie ulegało wątpliwości, że spotkało ją coś złego. Co się wydarzyło dwudziestego dziewiątego sierpnia? Czy przybył do niej za późno? Czy sam ją zabił?

Jedynym sposobem, żeby się tego dowiedzieć, było odnaleźć jej koleżanki.

Wejść w środowisko dziewczyn VIP-ów.

Miał już nawet upatrzonego przewodnika.

Nowiutkie paszporty stuknęły o deskę rozdzielczą.

– Dwadzieścia. Jutro rano dostaniesz kolejne dziesięć.

Całą noc pracował nad tymi dokumentami, przypominając sobie automatyczne ruchy doświadczonego fałszerza. Był znowu Nono ekspertem, Nono złotą rączką. Yussuf, siedzący za kierownicą swojego mercedesa klasy S, wziął ostrożnie dokumenty. Przejrzał je, zbadał, potarł palcami. Chaplain siedział obok niego. Amar zajmował miejsce na tylnej kanapie, zrelaksowany, ale jednocześnie czujny.

Yussuf pokiwał głową, po czym podał paszporty Amarowi, który przepuścił je przez detektor. Sekundy mijały tak wolno, jak wolno spadają krople topiącej się stali. Chaplain usiłował się skupić na wspaniałym wnętrzu samochodu – kierownica i elementy ozdobne z klonowego drewna, fotele obite czarną skórą, deska rozdzielcza z ekranem GPS…

Przez przydymioną przednią szybę widział ośrodek Saint-Maurice, znajdujący się na bulwarze de la Chapelle, w cieniu napowietrznego metra. Uderzający kontrast między tym wnętrzem, przypominającym kabinę jachtu, a ludźmi tłoczącymi się przed drzwiami ośrodka – przerażonymi, nieszczęsnymi, zapomnianymi. Zadzwonił do Yussufa o trzynastej. Bośniak wyznaczył mu spotkanie przed tym budynkiem, gdzie gromadzili się mężczyźni, kobiety, całe rodziny – ludzie bez dachu nad głową i bez dokumentów. Klienci Bośniaka.

Amar wsunął rękę między przednie fotele i oddał paszporty Yussufowi.

– Doskonałe – przyznał.

Wygięte do góry kąciki ust Yussufa rozciągnęły się w uśmiechu.

– Nie zapomniałeś swojego fachu.

– Jutro rano będzie reszta.

– O forsie nie będziemy już mówić, zgoda?

– Dobrze, że nie straciłem palców w tej bójce.

Yussuf tasował paszporty jak karty do gry.

– Nono zawsze jest sprytniejszy od innych.

Chaplain był zafascynowany tym młodym człowiekiem, wyglądającym dość niepozornie, z którego emanował autorytet generała. Miał na sobie obszerny sweter komandosa armii brytyjskiej, oliwkowozielony, z łatami z materiału na łokciach i ramionach. A jego mercedes był jak wóz pancerny.

– Mam prośbę do ciebie.

– Oczywiście – mruknął Yussuf, wpatrując się w ludzi na dworze.

– Potrzebna mi broń.

– To cię będzie drogo kosztować.

– Karty pobytu dla ludzi z jednego statku, jeśli chcesz.

– Po co ci broń?

– Z powodów osobistych.

Yussuf milczał. Wciąż obserwował nielegalnych przybyszów, tłoczących się w cieniu budynku z obskurną fasadą. W końcu dał znak Amarowi, który wysiadł z samochodu. Potwierdziło się jego pierwsze wrażenie – Bośniak miał słabość do Nono i zawsze tak było.

Podniosła się klapa bagażnika. Scena ta miała charakter niemal surrealistyczny. Czarny wóz pancerny z wnętrzem z politurowanego drewna, ludzie bez dokumentów drepcący na zewnątrz, wykorzystywanie tego mercedesa jednocześnie jako biura, arsenału, banku i sejfu.

– Mówiłem ci, że mam problemy z pamięcią?

– Tak.

– Nie pamiętam, w jaki sposób się poznaliśmy.

Yussuf pokiwał głową. Kłopoty Nono go bawiły.

– Wpadłem na ciebie niedaleko nabrzeża Stalingrad, w marcu.

Rysowałeś coś kredą na ziemi. Żyłeś z drobniaków, które rzucali ci przechodnie. W głowie miałeś pustkę. Nie można było od ciebie wyciągnąć, jak się nazywasz ani skąd pochodzisz.

– Dlaczego mi pomogłeś?

– To przez te twoje rysunki. Przypominały mi *stećci*, kamienne nagrobki, jakie spotyka się w moim kraju.

Wrócił Amar. W ręce trzymał pistolet, który podał Chaplainowi nad dźwignią biegów, kolbą do przodu.

– CZ-siedemdziesiąt pięć – rzucił Yussuf. – Ci Czesi robią całkiem niezłe rzeczy.

Pistolet różnił się od glocka. Chaplain, nie zastanawiając się dłużej, schował go do kieszeni. Amar bez entuzjazmu podał mu trzy magazynki.

Chciał już podziękować, kiedy Bośniak odezwał się ponownie, z oczami nadal utkwionymi w nieszczęśnikach bez dokumentów:

– Wzięliśmy cię do nas, chłopie. Umyliśmy, nakarmiliśmy, daliśmy ci dach nad głową. Pamięci nie odzyskałeś, ale umiałeś rysować. Przekazałem cię w łapy moich fałszerzy.

– Masz też innych?

– A co ty myślisz? Że czekałem na ciebie, by powiększyć liczebny stan Francuzów?

– Zgodziłem się?

– Zabrałeś się do roboty. W ciągu dwóch tygodni pobiłeś wszystkich na głowę. Masz dar, instynkt. Znasz się na tuszach, technice drukarskiej, stemplach… – Wyliczał na palcach.

– Skapowałeś wszystko. Po miesiącu zainkasowałeś pierwszą wypłatę. Wtedy założyłeś własne laboratorium. Komuś innemu wyrwałbym za to jaja. Ufałem ci. Robota zawsze była wykonana w terminie.

Tak więc Nono istniał dłużej niż inne jego wcielenia. Od marca do września 2009 roku. Miał czas, żeby się urządzić, załatwić sobie legalne papiery, uzyskać oficjalny status, dzięki czemu mógł wynająć atelier, otworzyć konto w banku, płacić rachunki. Wszystko opierało się na fałszywych dokumentach.

– I nigdy nie podałem ci mojego nazwiska?

– Po jakimś czasie zacząłeś mówić, że nazywasz się Nono. Że przyjechałeś z Hawru, że byłeś drukarzem. I tym podobne głupoty. Ważne, że dostarczałeś towar. Z tym nie było nigdy problemów. Aż do dnia, kiedy zniknąłeś. – Roześmiał się i objął Chaplaina za szyję. – Mój ty draniu!

Chaplain zrozumiał teraz, na czym polegał cud z Mathiasem Freire’em. Sam musiał sfabrykować papiery na to nazwisko… Czy to znaczyło, że cały czas spacerował z tymi dokumentami jako Narcyz, Victor Janusz? Nie.

Raczej przypuszczał, że ten dar pojawił się wtedy, gdy ponownie znalazł się na dnie pustki. Wymyślił Mathiasa Freire'a. Sfabrykował dokumenty i znalazł pracę w Specjalistycznym Centrum Leczniczym Pierre-Janet.

Yussuf pstryknął palcami. Na dzielącym ich oparciu pojawiły się dwie szklaneczki. Małe jak kule karabinowe.

Amar z butelką w ręku nachylił się między dwoma fotelami. Yussuf chwycił kieliszek.

– Zdrowie!

Chaplain wypił swoją wódkę do dna. Gwałtownie zakasłał. Alkohol palił go w gardle, rozgrzewał piersi, szedł w nogi.

Bośnak zaśmiał się tym swoim krótkim śmiechem, który zaraz zniknął z jego ust jokera.

– Powoli, Nono. Ten trunek ma swój smak…

Skinął na Amara, żeby ponownie napełnił mu kieliszek. Chaplain miał łzy w oczach. Przez tę mgiełkę widział ludzi na zewnątrz. Obłok pary unosił się nad ich głowami, nad zgarbionymi plecami. Byli wśród nich czarni, Arabowie z północnej Afryki, Azjaci, Hindusi, Słowianie… Rozpychali się łokciami, szurali nogami po asfalcie, czekali nie wiadomo na co.

– Skąd biorą pieniądze?

– Żeby przeżyć?

– Żeby zapłacić za twoje paszporty.

Yussuf się roześmiał.

– Widziałeś ich gęby? Ci tutaj płacą mi raczej za karty pobytu.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Jak zdobywają na to forsę?

– Składają się. Zadłużają. Robią, co mogą.

Poczuł się nieswojo. Uczestniczył w tym handlu. Przyczyniał się do zniewolenia tych ludzi. Jak mógł upaść tak nisko? Jego kolejne osobowości nigdy nie zaprowadziły go na wyższy poziom.

– Nie powiedziałem ci nic więcej o sobie, o mojej przeszłości?

O tym, jak żyłem?

– Nic. Przyjmowałeś zlecenie, znikałeś. Kiedy wracałeś, papiery były gotowe. Zawsze w porządku.

– To wszystko?

– Jedno, co mogę powiedzieć: zmieniałeś się.

– W jakim sensie?

Włożył palec pod klapę welurowej kurtki od Paula Smitha, którą Chaplain miał na sobie.

– Byłeś coraz lepiej ubrany. Uczesany. Wyperfumowany. Wyglądałeś jak podrywacz.

Okazja sama się nasunęła. Wypił wódkę i zagrał w otwarte karty.

– Szukam dziewczyn.

– Dziewczyn?

– Prostytutek.

Yussuf wybuchnął szczerym śmiechem.

– A twoje kontakty, bracie?

– Nie pamiętam nawet ich numerów.

– Mogę cię przedstawić dziewczynom z mojego kraju. Najlepszym.

– Nie. Szukam dziewczyn… z północnej Afryki.

Yussuf wydawał się urażony. W jego oczach węża pojawił się dziwny błysk. Jak poblask alkoholu w ich kieliszkach. Chaplain spodziewał się już najgorszego, ale Bośniak, mrugając powiekami, odrzekł:

– Spotkaj się z Sophie Barak.

– Kim ona jest?

– Nie ma lepszej od niej dziewczyny z tamtych stron.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

– Hôtel Theodor. To jej główna kwatera w tym roku. Zaułek ulicy d’Artois. Powiedz jej, że to ja cię przysłałem. Kupuje ode mnie papiery dla swoich dziewcząt.

– Przystępna?

Yussuf uszczypnął go w policzek.

– Nie będziesz miał żadnych problemów. Sophie lubi takich słodkich facetów. Ale mów do niej głośno. Jest Libanką. Od dzieciństwa źle słyszy z powodu wybuchu bomby.

– A jeśli nie zechce? Dam radę poszukać sam?

Yussuf spojrzał na Amara, który po raz pierwszy skrzywił się w uśmiechu.

– Kiedy się poluje na gazele, trzeba iść do źródła wody. Idź do Johnny’ego, ulica Clement-Marot. Spróbuj tam. Widzimy się jutro. W twoim interesie jest przyjść z pozostałymi paszportami. Potem zobaczymy, co z resztą.

– Jaką resztą?

– Z kartami pobytu. Sam to zaproponowałeś.
Bośniak wsunął mu do kieszeni kurtki banknot pięćset euro.
– Zabaw się na mój koszt!

– Co to za głupie kawały?

Znowu rozmównica. Wściekły Solinas demonstrował jej przesuwające się na ekranie laptopa kadry. Jej rozmowa z Januszem filmowana przez kamery monitoringu.

– Nie rozumiem, o co chodzi – powiedziała Anaïs. – Ja…

– Zamknij się. Zdajesz sobie sprawę z tego, że się pogrążasz?

– Powtarzam, że…

Solinas przesunął okulary na czoło. W kąciku oka drżały mu nerwowo mięśnie.

– Kiedy mi to pokazano – odezwał się znużonym głosem – myślałem, że mam halucynacje. Ten facet jest chory.

– Jest przerażony.

– Przerażony? – zadrwił. – Powiedziałbym raczej, że to najbardziej bezczelny skurwysyn, jakiego znałem. Czego chciał?

– Zidentyfikować jeden numer telefonu.

– To wszystko?

– Prawie. Jeśli ci powiem, że jest niewinny i że prowadzi swoje własne śledztwo, wiem, co mi odpowiesz.

– Jeżeli ma czyste sumienie, niech się zgłosi na policję, a my zrobimy, co do nas należy.

Kończyła się pora więziennego lunchu. Kuchenne opary rozchodziły się wszędzie, zostawiając tłuste ślady na skórze, wciskając się w nos. Odkąd

znalazła się w więzieniu, nie tknęła jedzenia. Rzuciła okiem na ekran laptopa. Janusz wziął ją za rękę, wsunął kartkę papieru między jej palce. Na ekranie nie było tego widać.

– Nie ufa policji – szepnęła.

– Nie? – Solinas zamknął gwałtownie komputer. – Ja też ci już nie ufam. W każdym razie wiadomo, po czyjej jesteś stronie.

– Naprawdę?

– Powiedziano mi, że spaliście ze sobą. Nie uwierzyłem. Pomyliłem się.

– Zwariowałeś? Ten człowiek podjął niezwykłe ryzyko, żeby…

– Wiem, co mówię. W moim świecie takie ryzyko podejmuje się tylko z dwóch powodów. Albo dla forsy, albo dla cipki.

Anaïs zaczerwieniła się i jednocześnie uśmiechnęła. W ustach Solinasa był to komplement.

– Co ci powiedział o tej dziewczynie?

– Nic.

– Nie wiedział, że to dziwka?

– Medina Malaoui?

– Zarejestrowana w naszym archiwum od dwa tysiące ósmego roku. Nie pokazywała się nigdzie od września dwa tysiące dziewiątego.

– Sprawdziliście ją?

– A co myślisz? Tutejsze rozmowy są nagrywane. Moi chłopcy udali się do jej mieszkania. Ktoś już przed nimi tam był. Tego samego rana, jak zeznała dozorczyni. Opis odpowiada twojemu fircykowi. Jak widać on i my szukamy tego samego.

– Czego?

– Może tego.

Solinas położył na stole teczkę z dokumentami. Anaïs od razu poznała, że jest to raport ze śledztwa. Otworzyła pierwszą stronę i trafiła na okropne zdjęcia. Topielica, naga, ze zmiażdżoną, rozbitą twarzą.

– To mogą być zwłoki tej dziewczyny. Widzisz jej okaleczenia? Dalsze wyjaśnienia nie są chyba potrzebne.

– Dlaczego miałaby to być Medina?

– Ponieważ wyłowiono ją z Sekwany siódmego września. Wzrost, kolor włosów pasują do niej. Moi ludzie, którzy obejrzeli mieszkanie, też uważają, że ona nie żyje. Według naszych źródeł zniknęła pod koniec sierpnia.

Sprawdziliśmy wykaz niezidentyfikowanych zwłok od tamtej daty. I wychodzi na to, że to ona.

Anaïs zmusiła się do uważniejszego obejrzenia zdjęć. Okaleczenia i woda zrobiły swoje. Opuchnięta masa w miejscu twarzy nosiła ślady ukąszeń ryb, a także wyżłobienia zrobione przez robaki. Zapuchnięte oczodoły straszyły dwiema czarnymi dziurami. Usta wydawały się jedną ziejącą raną.

Brzuch, ręce i nogi również były wzdęte od wody. Całe ciało, naznaczone żółtymi i sinymi cętkami plam pośmiertnych, ran i krwiaków, wyglądało jak obciągnięte skórą leoparda. Wydawało się, że zwłoki zaraz pękną, że ujdzie z nich powietrze.

– Jaka była przyczyna zgonu?

– W każdym razie nie umarła wskutek utopienia. Nie żyła już, kiedy wrzucono ją do wody. Zdaniem patologa przebywała w rzece około tygodnia. Ciało popłynęło z prądem i wiele razy o coś uderzało. Trudno orzec, które sińce powstały w wodzie, a które wcześniej. Jedno jest pewne, że usunięcie szczęk i kości policzkowych miało utrudnić identyfikację.

– Żadnych powiązań z naszymi morderstwami? Mam na myśli metodę działania.

– Nie. Nie ma śladów żadnego rytuału. Ani heroiny we krwi. Jednak znaleziono ją bardzo późno.

– Nie miała rany nosa?

Solinas wydawał się zaskoczony pytaniem. Najwyraźniej nie wiedział o tym, że okaleczono twarz Patricka Bonfilsa już po jego śmierci. Nie było więc sensu dalej tego drążyć.

– Lekarz sądowy uważa, że twarz została zmasakrowana potężnymi ciosami.

– Dotarliście do jej klientów?

– Śledztwo dopiero się zaczęło. Zresztą, szczerze mówiąc, po sześciu miesiącach mamy małe szanse, żeby się czegokolwiek dowiedzieć.

– A jej mieszkanie?

– Przeczesane, już ci mówiłem. Na pewno przez twojego pupila. A może przez kogoś innego. Moim zdaniem nie ma tam czego szukać. Dziewczyna zabezpieczała swoje tyły.

Anaïs zamknęła teczkę.

– Co o tym myślisz?

– Stuknięty klient, który doskonale wiedział, co robi. Albo zawodowcy, którzy działali na czyjś rozkaz.

– Na czyj? Z jakiego powodu?

Komendant wzruszył ramionami. Cały czas obracał obrączkę na palcu.

– Klasyczny przypadek, dziwka za dużo wiedziała. Służby wywiadu zawsze korzystały z call girls jako źródła informacji.

Trop całkiem prawdopodobny. Jednak Anaïs była pewna, że sprawcy tej zbrodni zostali wynajęci przez firmę Mêtis lub jej wojskowych partnerów. To ci sami, którzy zlikwidowali Bonfilsa i jego kobietę. Którzy wyjęli implant w kostnicy Zakładu Medycyny Sądowej w Rangueil. Którzy torturowali Jean-Pierre'a Corto. Czy Medina Malaoui wiedziała o eksperymentach tej firmy? A jeśli tak, to w jaki sposób zdobyła tę wiedzę? Jakie mogło być powiązanie między dziwką i klinicznymi eksperymentami jakiegoś programu?

– Jest druga hipoteza – kontynuował Solinas.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem.

– Zrobił to twój ukochany.

– Niemożliwe.

– Podejrzewa się go o zamordowanie kloszardów. Dlaczego nie miałby tego samego zrobić z tą lalunią?

Uderzyła dłonią w stół.

– To wszystko kłamstwa!

Solinas się uśmiechnął. Sadystyczny grymas oprawcy przypiekającego ranę. Anaïs poczuła, że drży jej podbródek. Zacisnęła pięści. Nie mogła się rozpłakać w obecności tego drania. Adrenalina wywołana gniewem była jej ostatnim ratunkiem.

– Powiedział ci, czego właściwie szuka?

– Nie.

– Gdzie się ukrywa?

– A jak myślisz?

Komendant wzruszył ramionami.

– Dał ci numer telefonu? Jakiś kontakt?

– Oczywiście, że nie.

– Jakim więc sposobem przekazałaś mu informację o Malaoui?

Zagryzła dolną wargę.

– Zostaw to. Nic nie powiem.

Kiepska obrona. Uświadomiła sobie, że nie miała więcej wyobraźni niż chuligani, którzy przewijali się przez jej biuro na ulicy François-de-Sourdis w Bordeaux. Solinas masował sobie kark, jakby ignorując jej odpowiedź.

– Zresztą to już mnie nie dotyczy – powiedział. – Sprawę przejął wydział poszukiwań i identyfikacji przestępców. – Przestał się masować, chwycił dwiema rękami za krawędzie stołu. – Mnie zależy na tym, żeby aresztować tego stukniętego zabójcę, czy jest nim Janusz, czy ktoś inny. Znalazłaś coś na temat, o którym mówiliśmy?

– Na jaki temat?

Wyjął ze swojej teczki kolejne zdjęcie – zwłoki Hugues'a Ferneta, olbrzyma z mostu d'Iena.

– Jaki mit zainspirował to morderstwo?

Anaïs nie mogła się wykręcić od odpowiedzi.

– Mit o Uranosie, jednym z pierwszych bogów. Jego syn, Kronos, wykastrował go, by odebrać mu władzę.

Solinas pochylił się do przodu. Pod oprawkami okularów widać było zmarszczki na jego czole. Anaïs wyjawiła mu swoją hipotezę, bo tylko w ten sposób mogła wydostać się z więzienia:

– Mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. W sierpniu dwa tysiące dziewiątego roku zabił Hugues'a Ferneta w Paryżu, inspirując się mitem o Uranosie. W grudniu dwa tysiące dziewiątego roku zabił Tzevana Sokowa w Marsylii, zmieniając go w Ikara. W lutym dwa tysiące dziesiątego roku zabił Philippe'a Duruya, upodobniając go do Minotaura. To zabójca inspirujący się mitologią. Jedyny taki przypadek w całej historii kryminologii. Żeby go jednak przygwoździć, potrzebujesz mnie.

Komendant siedział bez ruchu. Nawet obrączkę pozostawił w spokoju. Wpatrywał się w Anaïs, jakby była wyrocznią delficką, jakby prorokowała mu, że czeka go los legendarnego herosa.

– Mity o Ikarze, o Minotaurze, a także o Uranosie opowiadają o konflikcie między synem i ojcem. Zabójcąjest albo rozczarowany ojciec, albo rozgniewany syn. Wypuść mnie stąd, na miłość boską! Tylko ja mogę ci pomóc w schwytaniu tego szaleńca!

Solinas jakby już jej nie widział, ale ona czytała w jego myślach – głośna sprawa, spektakularny awans, szczebel wyżej na szczyt francuskiej administracji.

W końcu wstał i zapukał w oszklone drzwi.

– Zostawiam ci dokumenty. Odrób lekcję, czekając na wieści ode mnie.

Chwilę potem już go nie było. Anaïs powiodła dłońmi po twarzy. Wiedziała, że wygrała tę rundę.

Chaplain spodziewał się pałacu z marmuru. Tymczasem hotel Theodor okazał się niewysokim budynkiem w stylu art deco, w zaułku prostopadłym do ulicy d’Artois. Gdy znalazł się bliżej, doszedł do wniosku, że jego niewielkie rozmiary, lokalizacja i skromny wygląd świadczyły o luksusie większym niż oferowany przez tak słynne hotele jak George V czy Plaza Athenee.

Przez żwirowany dziedziniec doszedł do wejścia osłoniętego markizą. Bez portiera, bez tabliczki, bez flagi – dyskrecja i jeszcze raz dyskrecja. Hol wyłożony był brązowym drewnem. W głębi zauważył salon z fotelami stojącymi przy kominku, w którym, potrzaskując, płonął ogień. Kontuar recepcji przypominał rzeźbę z drewna w stylu minimalistycznym. Tu i ówdzie stały wysokie, smukłe szklane wazony z białymi orchideami.

– Czym mogę panu służyć?

– Mam spotkanie z panią Sophie Barak.

Mężczyzna ubrany w coś w rodzaju chińskiego garnituru z kołnierzykiem a la Mao, z jedwabiu w kolorze indygo, podniósł słuchawkę telefonu i coś cicho powiedział. Chaplain nachylił się nad kontuarem.

– Proszę powiedzieć, że przyszedł Nono z polecenia Yussufa.

Recepcjonista uniósł ze zdziwieniem brwi. Powtórzył z niesmakiem jego słowa i wysłuchał uważnie odpowiedzi, cały czas obserwując Chaplaina kątem oka.

A potem odłożył słuchawkę i z wyraźną niechęcią oznajmił:

– Pani Barak czeka na pana. Drugie piętro. Apartament dwieście dwanaście.

Chaplain wsiadł do windy. Wszędzie panowała atmosfera świątyni zen: rozproszone światło, ciemne ściany, białe orchidee. Taki wystrój mógł działać kojąco na nerwy albo wręcz przeciwnie – budzić chęć krzyku. Nono zbierał w sobie siły na spotkanie z tajemniczą Libanką.

Wysiadł z windy i ruszył w stronę apartamentu. Na końcu korytarza trzy kobiety obfitych kształtów szczebiotały niczym zbyt dobrze odżywione papużki. Całowały się, głaskały po rękach, bardzo głośno śmiały. Wiek około pięćdziesięciu lat, jaskrawe kostiumy, lakierowane fryzury, biżuteria migocąca niczym sztuczne ognie. Libańskie lub egipskie żony, które przyjechały do Paryża, żeby się zabawić. A może są na wygnaniu i czekają, aż ich mężowie odzyskają władzę w kraju?

Powoli podszedł do nich i ukłonił się na powitanie. Najmniejsza z nich, ta, która stała na progu pokoju, odpowiedziała mu szerokim uśmiechem. Błysk zębów w jej ciemnej twarzy przywodził na myśl inkrustację z kości słoniowej w czarnych marmurowych rzeźbach starożytnego Babilonu.

– Wejdź, mój mały. Zaraz do ciebie przyjdę.

Chaplain uśmiechnął się, by ukryć zaskoczenie. Jej poufały ton i mówienie na ty pozwalały przypuszczać, że się znali. Jeszcze jeden zapomniany kawałek układanki? Wsunął się przez drzwi, pozdrawiając skinieniem głowy dwie pozostałe kobiety o włosach w kolorze miodu.

Wszedł do pierwszego pokoju, typowego dla hotelu cieszącego się prestiżem. Białe ściany, beżowe obicia kanap, złociste abażury. Torby i kufry z charakterystycznym wzorem i monogramem LV stały w nieładzie, zajmując dużą część pokoju. Jeden z kufrów, szeroko otwarty, a przy tym wielki jak szafa, pełen był wieczorowych sukienek. Bagaże podróżniczki, którą interesują tylko bogate kraje.

Usłyszał śmiechy za plecami, a potem trzaśnięcie drzwi. Kiedy się odwrócił, napotkał gromiący wzrok Sophie Barak.

– Co ty tu robisz? To Yussuf cię przysłał?

Chaplain zignorował tę zmianę tonu. Chciał najpierw nabrać pewności.

– Przepraszam, ale… czy my się znamy?

– Uprzedzam cię, nigdy nie pertraktuję bezpośrednio. Jeśli zamierzasz dublować Yussufa…

– Potrzebne mi są informacje.

– Informacje? – Uśmiechnęła się chłodno. – Coraz lepiej.

– Martwię się o jedną znajomą.

Sophie się zawahała. Coś w zachowaniu Chaplaina wytrącało ją z równowagi. Być może jego szczerość. W każdym razie nie wyglądał na policjanta. Przeszła przez salon, otworzyła jedną ze ściennych szaf, chwyciła naręcze sukienek i wrzuciła je niedbale do wielkiej torby. Zastukały o siebie drewniane wieszaki. Libanka szykowała się do wyjazdu.

Chaplain przyjrzał się jej. Miała ciemną cerę, gęste, błyszczące czarne włosy ułożone w wysoki kok, w stylu lat sześćdziesiątych. Była niskiego wzrostu, krągła i diabelsko zmysłowa. Pod żakietem kostiumu miała białą bluzkę koszulową z głębokim dekoltem, który działał jeszcze silniej niż jej śmiech. Prawdziwy biegun magnetyczny.

Stanęła przed nim z pięściami opartymi o biodra. Dała mu kilka sekund, by mógł nasycić oczy. Uprzejmość władczyń.

– Jak się nazywa ta twoja przyjaciółka?

– Medina Malaoui.

Bez słowa otworzyła drzwi i zniknęła w sąsiednim pokoju. Pewnie była to sypialnia. Chaplain nie śmiał się ruszyć.

– Wchodzisz?

Gdy tam wszedł, zobaczył ogromne łoże zarzucone poduszkami z orientalnym haftem. Sophie Barak siedziała przed toaletką. Zamierzał powtórzyć swoje pytanie, kiedy jednym ruchem ściągnęła z głowy perukę. Sophie Barak była zupełnie łysa.

– Nie rób głupiej miny – powiedziała, patrząc na niego w lustrze. – Rak piersi. Chemioterapia. Naświetlania. Nic szczególnego.

Zdjęła żakiet, następnie bez najmniejszego skrępowania rozpięła bluzkę.

– Od czasu, kiedy zachorowałam, niczym się już nie przejmuję. Nie obchodzi mnie forsa, klienci. Wyjeżdżam. Moje dziewczyny zrobią, co zechcą. Te, które nie mają papierów, wrócą do kraju rodzić dzieci i pilnować kóz! *Inszallah!*

Chaplain się uśmiechnął. Sophie rzuciła bluzkę na krzesło i zaczęła nacierać kremem ramiona. Czarny stanik podtrzymywał jedną pierś. Na brązowej skórze widać było ślady fuksyny, czerwonego barwnika, którego używa się do zaznaczenia pola napromieniowywania podczas radioterapii.

– Czego właściwie chcesz od Mediny?

– Nie ma jej od dwudziestego dziewiątego sierpnia. Nie jesteśmy jakoś szczególnie zaprzyjaźnieni, ale… To już sześć miesięcy. Nie mam od niej żadnych wiadomości.

Sophie wpatrywała się w niego czarnymi, palącymi oczami, przywodzącymi na myśl *Baśnie tysiąca i jednej nocy*. On zaś, patrząc na jej skórę ze śladami ochry i henny, zobaczył dziwne obrazy. Orient, pustynię, śmierć.

W końcu wstała i otuliła się białym płaszczem kąpielowym.

– Nie wiem o niej nic więcej niż ty.

– Nie miała pani od niej żadnej wiadomości?

– Nie.

Weszła do łazienki, puściła wodę do wanny. Dopiero w tym momencie Chaplain zauważył, że w pokoju jest jeszcze ktoś. Niskiego wzrostu kobieta o skromnym wyglądzie, ubrana bez śladu elegancji. Siedziała przy biurku, przy komputerze. Emanowały z niej pokora i dyskrecja, odziedziczone po wielu pokoleniach niewolników. Domyślił się, że była księgową przedsiębiorstwa Sophie Barak. Pakowano walizki, zamykano rachunki.

Sophie wróciła do pokoju. Wybrała wieczorową sukienkę z czarnego jedwabiu i rozłożyła ją starannie na łóżku. Powiedziała coś po arabsku do swojej niewolnicy, po czym uklękła przy innym kufrze, zawierającym mnóstwo par butów.

– Cokolwiek się jej przydarzyło – powiedziała, wyciągając czółenka w tygrysie paski – sama napytała sobie biedy. Jeśli ją znasz, wiesz to równie dobrze jak ja. Medina to cholerna idiotka.

– Sasha.com, czy to coś pani mówi?

– Skąd znasz to miejsce?

– Mówiono mi o nim.

Sophie wzruszyła ramionami i przeszła do kolejnego kufra, z którego wydobyła pasek ze srebrną klamerką.

– Głupia moda – mruknęła.

– Moda?

– Dziewczyny zapisały się do tego przeklętego klubu ubiegłej wiosny. Całkiem bez sensu. Za pośrednictwem tego portalu można spotkać jedynie pechowców bez grosza. Gówniany interes.

– Może szukały męża? Towarzysza?

Kobieta uśmiechnęła się z pobłażaniem.

– Nigdy bym ich o to nie podejrzewała.

– Ma pani inną hipotezę?

Ułożyła wszystko na łóżku – sukienka, pantofle, pasek. Wyglądało na to, że jest zadowolona. Woda nadal płynęła do wanny.

– To nie hipoteza – odparła, odwracając się do niego. – To pewność. Jak ci się wydaje? Że pozwolę, by obmacywano moje dziewczęta gratis? Przeprowadziłam własne śledztwo.

– I co pani odkryła?

– Zostały oszukane.

– Przez kogo?

– Wiem tylko tyle – powiedziała, machnąwszy ręką – że kilka z nich nigdy się więcej nie pojawiło. Trzy małe rundki w klubie Sashy i człowiek znika. Ot tak.

Chaplain pomyślał o plotkach, o których mówiła mu Lulu78. Seryjny zabójca wykorzystujący portal randkowy? Atakujący samotne dziewczyny? Handel ludzkim towarem? Co ma z tym wszystkim wspólnego klub w rodzaju Sasha.com?

– Nie sądzę, że tak łatwo pani zrezygnowała.

Podeszła do niego. Z czułością poprawiła klapy jego marynarki.

– Lubię cię, mój mały. Posłuchaj więc mojej rady: odpuść sobie. Jest bardzo prosty sposób, żeby uniknąć kłopotów. Nie szukać ich.

Odprowadziła go do wyjścia. Rozmowa skończona. Pytia przemówiła.

Na progu Chaplain zaryzykował jeszcze jedno pytanie:

– Nazwa Mêtis, słyszała pani o czymś takim?

Znowu uśmiech. Z pobłażania przeszła do czułości. Domyślał się, w jaki sposób Sophie Barak kierowała tym małym światkiem. Swego rodzaju macierzyńska serdeczność z pewnością bardziej spajała ludzi niż jakiekolwiek groźby. Przemoc, chłód, brutalność pochodziły z zewnątrz. Ona miała bronić swoje podopieczne.

– Mogłam prowadzić mój biznes, bo byłam chroniona.

– Przez kogo?

– Przez tych, którzy potrafią to robić.

– Nie rozumiem.

– Tym lepiej. System funkcjonuje w obie strony. Oni chronią mnie. Ja chronię ich. Pojmujesz?

Przypominała słynną stręczycielkę Madame Claude tylko w wersji rachatłukum.

– Czy to znaczy, że Mêtis ma coś wspólnego z władzami? Pocałowała swój palec wskazujący i dotknęła nim ust Chaplaina.

Zamykała drzwi, kiedy je przytrzymał na moment.

– Medina nie była jedyną, która chodziła do klubu Sasha.com. Może mi pani podać inne nazwisko?

Po chwili zastanowienia szepnęła:

– Leila. Marokanka. Zdaje mi się, że ona tam nadal bywa. *Barak allahu fik!*

Czekała siedemnaście godzin, zanim pozwolono jej pójść do biblioteki. Tak jak inne osadzone, musiała przestrzegać regulaminu więziennego. A rozkład godzinowy zmieniał się każdego dnia, żeby zapobiec planowanej ucieczce.

Gdy już znalazła się w czytelni, wyszukała książki o historii fotografii. Od kiedy Le Coz powiedział jej o dagerotypach, zaczęła wiązać wielkie nadzieje z tym tropem. Jeśli morderca z Olimpu używał tej metody, żeby uwiecznić swoje morderstwa, powinna dowiedzieć się wszystkiego na ten temat.

Jej pomysł był prosty. Jak do tej pory zabójca zachowywał niezwykłą ostrożność. Nie udało się ustalić, gdzie zaopatrzył się w heroinę, wosk, pióra i skrzydła. Nie zdołano również znaleźć źródła środków usypiających, za pomocą których uśpił byka. Nie odkryto także żadnego powiązania między nim i narzędziami jego zbrodni. Może przynajmniej przy dagerotypach był mniej uważny? Może zdradzą go materiały niezbędne przy tej specyficznej technice?

Z książek wynikało, że wynalazku dagerotypu dokonał w pierwszej połowie XIX wieku paryski malarz Louis Jacques Mande Daguerre. Technika ta wykorzystywała polerowane płytki miedziane, pokryte warstwą srebra i poddane działaniu par jodu, by stały się bardziej czułe na światło. Za pomocą soczewki rzucano obraz na płytkę, a potem poddawano ją działaniu oparów rtęci. Kiedy obraz został już utrwalony, płytkę zanurzano w tiosiar-

czanie sodu i pokrywano warstwą chlorku złota dla ochrony przed tlenem z powietrza.

Do opisu dołączone były ilustracje. Ich ziarnistość nie była zbyt duża, ale mimo to obrazy błyszczały jak rtęć. Te zdjęcia były tak kontrastowe jak w jej snach – ciemne i jasne, niewyraźne i dokładne. Jakby czarna chmura rozrywała się nagle, żeby odsłonić srebrne motywy, których migotanie miało w sobie coś nierealnego.

Zagłębiła się w fachowe opisy. Wprawdzie nie rozumiała wszystkiego, ale nawet to, co udało jej się przyswoić, wystarczyło, by pojąć, że technika ta była procesem długim i skomplikowanym, zwłaszcza w momencie fotografowania. Czy zabójca mógł mieć czas na to, by w miejscach zbrodni uwieczniać swoje dzieło, korzystając z tej metody? Trudno w to uwierzyć. Jednak przy zwłokach Ikara znaleziono kawałek lusterka. Morderca upuścił je i musiał powtórzyć całą operację… Zebrał rozbite kawałki, ale jednego nie zauważył. Tylko tak można było to wyjaśnić.

W tym momencie zaczęła się zastanawiać, czy przekazano Solinasowi dokładną relację z jej rozmowy telefonicznej z Le Cozem. Raczej nie. Komendant nie wspomniał o dagerotypach. Tak więc tylko ona była na tym tropie.

Przerwała lekturę. Przymknęła powieki, usiłując wyobrazić sobie, czym mogły być dagerotypy zrobione na miejscu zbrodni. Minotaur. Ikar. Uranos.

Nagle otworzyła oczy. Płytki w jej wyobraźni nie były posrebrzane, lecz pozłacane. Albo raczej czerwonawe. Nieświadomie połączyła chemiczne etapy dawnej techniki i nierozwiązaną zagadkę, dlaczego pobrano krew od Philippe’a Duruya. Wyprowadziła stąd wniosek, którego nie umiałaby uzasadnić, że zabójca użył krwi ofiary w procesie wywoływania zdjęć. W taki czy inny sposób wykorzystywał ten życiodajny płyn, żeby utrwalić światło obrazu.

Anaïs zawsze pasjonowała się sztuką. Wróciły pewne wspomnienia. Legendy o tym, jak Tycjan używał krwi, malując swoje płótna. Także Rubens stosował tę metodę, żeby podkreślić ciepło światła, drżenie ciał. Krążyła jeszcze inna opowieść o tym, że w XVII wieku używano ludzkiej krwi w celu wyprodukowania *mummie*, mikstury, która wymieszana z oliwą i barwnikami tworzyła doskonałej jakości podkład dla tła obrazów.

Prawdziwe czy nie, historie te stanowiły doskonałą pożywkę dla jej scenariusza. Nie znała na tyle chemii, by domyślić się, w którym momencie

potrzebna była krew i zawarte w niej żelazo, miała jednak pewność, że Olimp zabójcy to galeria sztuki, na której ścianach wiszą obrazy pokryte zastygłą krwią i chlorkiem złota.

– Chatelet, koniec na dzisiaj – oznajmiła strażniczka.

Anaïs zapytała, czy mogłaby zrobić fotokopie kilku stron.

Odpowiedziano jej, że nie. Postanowiła nie nalegać. Gdy szła przez korytarze z szeregiem zaryglowanych drzwi, nie opuszczało jej podniecenie. Dagerotypy. Alchemia. Krew. Wiedziała, że coś odkryła, ale jak to sprawdzić?

Zamiast odpowiedzi usłyszała zamykające się za nią drzwi celi. Położyła się na pryczy. Za ścianą grało radio którejś z więźniarek. Stacja NRJ. Dziennikarz przeprowadzał wywiad z Lily Allen, przebywającą właśnie w Paryżu. Angielska piosenkarka mówiła, że zna Pierwszą Damę Francji, Carlę Bruni.

– Czy chciałaby pani zaśpiewać z nią w duecie? – zapytał radiowiec.

– Nie wiem… Carla jest bardzo wysoka, a ja jestem niska. Dziwacznie by to wyglądało. Chyba byłoby lepiej, żebym zaśpiewała w duecie z Sarkozym!

Anaïs znalazła w sobie siłę, żeby się uśmiechnąć. Uwielbiała Lily Allen. Szczególnie jej piosenkę *22* o zwykłym, beznadziejnym życiu trzydziestolatki, która nie zauważyła, że minęła jej młodość. Za każdym razem, kiedy oglądała na wideoklipie do tej piosenki, jak dziewczyny w wieczorowych toaletach poprawiają makijaż przed lustrem w jakimś lokalu, mając nadzieję na zmianę w życiu, widziała samą siebie.

It’s sad but it’s true how society says her life
is already over

There’s nothing to do and there’s nothing to say.

Zamknęła oczy i wróciła do mitycznych obrazów.

Dagerotypów pokrytych krwią.

Musi stąd wyjść.

Musi odnaleźć łajdaka.

Musi powstrzymać tego wampira mordercę.

Kolejna randka zaplanowana została w Dziewiątej Dzielnicy, w barze Vega, który nie miał nic wspólnego z tropikalną atmosferą lokalu Pitcairn. Dekorację stanowiły chromowane meble i lampy z diodami LED. Po lewej stronie bar z niebieskawym, rozproszonym światłem jak w akwarium. Po prawej – kanapy o przedziwnych kształtach wokół srebrnych kostek, przy których siadało się jak przy niskich stolikach.

Na ladzie baru stały rzędem szklanki z blue lagoon, koktajlem na bazie curacao, które fosforyzowały w półmroku. Łagodna, cicho grająca muzyka elektroniczna.

W holu wisiały ilustracje w metalowych ramkach przedstawiające postać z japońskiego filmu animowanego *Goldorak* z końca lat siedemdziesiątych. Bohater miał na imię Vega, a bar nawiązywał wystrojem do lat osiemdziesiątych, najbrzydszego okresu XX wieku.

Spotkanie przewidziane było na dwudziestą pierwszą. Chaplain przyszedł pół godziny wcześniej. Chciał zaskoczyć Sashę. Ubrana jeszcze w płaszcz, rozkładała w pustej sali kartonowe numerki na każdym stoliku. Nie zauważyła jego wejścia. Korzystając z tego, przyjrzał się jej nieco dokładniej. Bez wątpienia pochodziła z Antyli Holenderskich. Miała krótkie włosy, prawie metr osiemdziesiąt wzrostu i szerokie ramiona. Pomimo atletycznej budowy i masywnej sylwetki była piękna. Pod pewnymi względami można by ją uznać za transwestytę.

– Witaj, Sasho – powiedział, stojąc w cieniu.

Podskoczyła przestraszona. W sali panował lodowaty chłód. Jednak chwilę potem na jej twarzy pojawił się uśmiech odpowiedni do roli życzliwego demiurga, panującego nad legionem zagubionych serc.

Chaplain podszedł bliżej, żeby się przywitać, nie wiedząc, czy ma uścisnąć jej rękę, czy ją pocałować. Sasha od razu przybrała wrogą, nieprzystępną minę i cofnęła się o krok. Pod płaszczem miała czarną sukienkę, na nogach – czarne, eleganckie pantofle na wysokich obcasach. Nic w jej ubiorze nie świadczyło o tym, że pochodziła z Antyli, ale widać to było w całej jej postaci. W świetle lamp karmelowa cera nabrała złocistego odcienia, a szmaragdowe oczy – zielonego blasku wody.

Ona również otaksowała go wzrokiem i najwyraźniej osłupiała, widząc, jak jest ubrany. Fioletowa koszula, płaszcz z flaneli, model z trzema kieszeniami, proste spodnie z wełnianej serży i rzucające się w oczy pantofle z wąskimi czubami, wyglądające jak lakierki. Włożył to, co znalazł w modnej garderobie Nono.

– Wolałabym, żeby do mojego klubu nie przychodzili rozpustnicy, którzy szukają rozrywki na krótką metę.

– Czym zasłużyłem na takie traktowanie?

– Wydawało mi się, że wyraziłam się jasno.

Wygląda na to, że Sasha zabroniła mu w przeszłości brać udział w tych wieczorach.

– Dużo wody upłynęło od tego czasu – powiedział sentencjonalnie.

– Plotka, niczym dobrze namalowany obraz, wszystkich przeżyje.

Miała lekki akcent kreolski. Intonacja, nad którą udawało się jej panować, gdy mówiła do swoich owieczek, a która wróciła w tym osobistym pojedynku.

– Liczy się tylko twój klub, tak? – rzucił prowokacyjnie niczym jej były kochanek lub ktoś, kto ma nadzieję nim zostać.

– A co innego ma się liczyć? Mężczyźni? Nie rozśmieszaj mnie.

– Miłość to podstawa twojego interesu.

– Nie miłość, ale nadzieja.

– Zgoda.

Sasha zrobiła krok w jego kierunku.

– Czego chcesz, Nono? Przychodzisz tutaj z tą swoją czczą nadzieją po tym wszystkim, co się wydarzyło?

– A co się tak naprawdę wydarzyło?

Pokiwała głową z przygnębioną miną.

– Budzisz strach w kobietach. Rzucasz cień na mężczyzn. A mnie grasz na nerwach.

Wskazał na bar z rtęciowymi refleksami.

– Czy pozwolisz, że napiję się czegoś innego niż twój koktajl w odcieniu denaturatu?

– Rób, co chcesz – skapitulowała, wracając do rozkładania kartoników.

Chaplain podszedł do baru. Na kontuarze leżała torba Sashy. Zauważył ją, gdy tylko wszedł. Birkin, czarny jak kret, z logo firmy Hermes. Klasyczne trofeum paryżanki z awansu społecznego.

Udał, że wybiera butelki. Pojawiły się pierwsze klientki, odsłaniając ciężką kotarę w drzwiach wejściowych. Sasha w rutynowym odruchu wzięła dwie szklanki i poszła naprzeciw nowo przybyłym.

Chaplain chwycił jej torebkę. Otworzył. Znalazł portfel. Dowód osobisty. Sasha nazywała się Veronique Artois. Mieszkała na ulicy de Pontoise 15, w Piątej Dzielnicy. Zapamiętał adres i odłożył wszystko z powrotem do torebki. Teraz jej klucze.

– Co ty wyprawiasz?

Sasha stała z drugiej strony baru. Jasna zieleń jej oczu nabrała barwy nefrytu. Postawił butelkę na kontuarze.

– Przygotowuję koktajl według mojego przepisu, masz ochotę?

Nie odpowiadając, spojrzała w kierunku dwóch członkiń klubu, które z kieliszkami w rękach, z zażenowaniem malującym się na twarzach, usadowiły się na dwóch różnych kanapach. Wzywały ją obowiązki, lecz jeszcze z nim nie skończyła.

– Po co tu przyszedłeś, Nono? Czego szukasz?

– Tego samego, co wtedy.

– No właśnie. To nigdy nie było dla mnie jasne.

Otworzył butelkę i nalał do dwóch kieliszków. Zdążył wsunąć klucze do kieszeni, ale torebka stała na podłodze przy jego nogach. Sasha jeszcze tego nie zauważyła. Sondowała go oczami w bladym świetle lamp. Chciałby ujrzeć w nich tęsknotę, ukryty smutek, coś, co przypominałoby stare dobre czasy, lecz widział jedynie niepokój i złość.

– Nie napijesz się?

Pokręciła przecząco głową i rzuciła okiem ku drzwiom – pojawiły się dwie kolejne klientki.

– Zastanawiam się… – zaryzykował – czy Leila pokaże się dziś wieczorem?

Sasha zgromiła go wzrokiem. Jej twarz zrobiła się twarda i zimna jak głaz.

– Wynoś się stąd.

Chaplain podniósł ręce na znak, że się poddaje. Sasha ze szklankami w dłoniach poszła przywitać nowych klientów. Położył torbę na kontuarze i prześlizgnął się do wyjścia, mijając właścicielkę portalu randkowego, która towarzyszyła swoim gościom.

Kiedy podniósł kotarę, zobaczył innych samotnych mężczyzn. Miał ochotę życzyć im powodzenia, ale szepnął tylko:

– Odwagi.

Musiał odczekać prawie dziesięć minut przed domem numer 15 na ulicy de Pontoise, zanim otworzyła się brama, którą wyszedł jeden z lokatorów. Drżąc z zimna, wsunął się do środka i natknął na kolejną bramę z innym kodem.

– Cholera – mruknął, nie wiedząc, co robić.

Trzeba znowu czekać. Przez kraty widział dziedziniec z mnóstwem roślin, które dzielnie opierały się zimie. Ciemne fasady budynków, proste gzymsy bez ozdób. Balkony z kutego żelaza. Pomyślał, że domy te musiały pochodzić z XVII lub XVIII wieku. Mimo zniecierpliwienia zauważył niezaprzeczalne piękno tego miejsca. Dziedziniec, fasady domów, liście na drzewach, wszystko było szare, ale powleczone srebrzystą księżycową poświatą, która przywodziła na myśl obraz podkreślony plamami rtęci.

Otworzyła się brama od strony ulicy. Gość. Mężczyzna z podniesionym kołnierzem obrzucił go podejrzliwym wzrokiem, po czym nacisnął guzik domofonu. Brama wewnętrzna się otworzyła. Chaplain pospieszył jego śladem, nie zwracając uwagi na wrogie spojrzenie. Sprawdził skrzynki na listy i dowiedział się, że Veronique Artois mieszka w bloku B, na trzecim piętrze.

Wąska klatka schodowa, posadzka z kwadratowych kamiennych płytek, drzwi na ukos. Chaplain miał wrażenie, że składa wizytę samemu Wolterowi. Na wszelki wypadek zadzwonił, odczekał, po czym cicho obrócił klucz w zamku.

Gdy już był wewnątrz, spojrzał na zegarek. Od wyjścia z lokalu minęło czterdzieści minut. Wieczory u Sashy miały zawsze ten sam rytuał: siedem razy po siedem minut. W sumie czterdzieści dziewięć minut, plus zagajenie i zebranie pod koniec sesji kartek, na których każdy z gości zanotował interesujący go numer kandydata lub kandydatki. Do tego trzeba dodać czas na drogę powrotną Sashy. Razem dobre dwie godziny.

Miał więc mniej więcej godzinę na szukanie.

Na pierwszy rzut oka było to dwu – lub trzypokojowe mieszkanie, niezbyt starannie odnowione. Kamienna posadzka. Pomalowane na biało nierówne ściany. Belki pod sufitem. Mieszkanie pasujące do Sashy takiej, jaką sobie wyobrażał. Samotna kobieta około czterdziestki, która zarabiała na życie dzięki panującej od roku 2000 modzie na *speed dating.*

Był pewien, że nie miała dodatkowego biura. Żeby ograniczyć koszty, organizowała swoje wieczory przez internet. Za wąskim korytarzem znajdował się salon urządzony w stylu marokańskim. Miedziane lampy. Różowe i mandarynkowe ściany. Kanapa ustawiona blisko okna i pokryta poduszkami zdradzała, że była schronieniem samotnej kobiety, która kładła się na niej, by czytać w samotności, z ciężkim sercem i smutkiem na duszy. Nie byłby zdziwiony, gdyby znalazł w tej bombonierce kota lub psa bolońskiego, ale żadnego takiego stworzenia nie było.

Przeszedł do sypialni. Muszaraby z drewna i kości słoniowej odgrywały rolę parawanów. Łóżko z pościelą w granatowym kolorze, stojące w centrum, jakby czekało na deszcz płatków różanych. A oto niespodzianka: na ścianie w głębi Sasha powiesiła zdjęcia wszystkich członków swojego klubu, tworząc tym sposobem coś w rodzaju olbrzymiego tableau.

Kiedy przyjrzał się temu z bliska, zobaczył, że markerem narysowała linie, strzałki, kropki między wszystkimi tymi głowami. Czuwała nad relacjami wynikłymi z organizowanych przez nią randek niczym admirał przesuwający makiety swoich okrętów. Wpatrując się w te twarze, uśmiechnięte jak na komendę, odniósł wrażenie, że ich nieme usta wykrzykującjedno słowo: „samotność”. Co więcej, twarze tych samotnych ludzi podobne były do twarzy samej Sashy. Jej wielkie usta krzyczały najgłośniej: SAMOTNOŚĆ!

Wyobraźnia podpowiadała mu, że Sasha z organizowanych przez siebie spotkań stworzyła sobie zastępcze życie. Że czyhała na członków swojego klubu, szpiegowała ich i manipulowała nimi. Że masturbowała się, leżąc na

łóżku naprzeciw ściany z konstelacją zdjęć. Więźniarka własnych fantazji, pustej egzystencji, czegoś, co organizowała, sama nie znając ciepła miłości.

Sasha zapewne gdzieś zapisywała to, co się działo pomiędzy członkami jej klubu. Na małym biurku przy ścianie stał laptop. Chaplain usadowił się wygodnie i włączył komputer. Nie był zabezpieczony. Sasha była tu u siebie, w swoim królestwie, niczego się nie bała.

Jednym kliknięciem otworzył plik Sasha.com. Pojawiły się ikonki. Otworzył dokument poświęcony członkom klubu. Wpisani byli w porządku alfabetycznym, według pseudonimów oraz nazwisk. Chaplain wybrał pseudonimy. Były dwie grupy: męska i kobieca. Wszedł na listę kobiet – zdjęcia cyfrowe, przy każdym notatka z danymi personalnymi, takimi jak: pochodzenie, sytuacja rodzinna, zawód, dochody, upodobania muzyczne, nadzieje i tak dalej. Sasha organizowała swoje wieczory, próbując skojarzyć podobne osobowości.

Przyglądając się zdjęciom, zauważył, że niektóre twarze bardzo różniły się od pozostałych. Miały regularne rysy, piękne oczy. Zastanawiał się w duchu, czy te dziewczyny naprawdę istniały. W portalach randkowych często koloryzuje się, żeby przyciągnąć klientelę…

A może były to call girls, o których mówiła Sophie Barak. Prostytutki, które nie miały nic do roboty w takim klubie i które z pewnością nie były opłacane przez Sashę. Kto je utrzymywał i w jakim celu? Dziewczyny starały się mieć naturalny wygląd, bez makijażu, bez ostentacji, ale ich typ urody mówił sam za siebie…

Zanotował ich pseudonimy. Chloe. Judith. Aqua-84… Potem znalazł Medinę. Włosy zaczesała do tyłu. Nie miała tego seksownego wyrazu twarzy. Odgrywała skromnisię, lecz i tak biła z niej siła uwodzicielskiego czaru. Nie było mowy, żeby nie została zauważona na wieczorach u Sashy.

Odnalazł także Leilę. Młoda Marokanka z ondulowanymi włosami, ciemnymi wargami, czarnymi oczami. Ona także udawała skromną. Żadnego makijażu. Żadnej biżuterii. Banalna beżowa bluzka. Nawet jednak sińce pod czarnymi jak atrament oczami, zamiast odbierać jej urodę, dodawały źrenicom kwarcowego blasku. Najwyraźniej te niecodziennej urody dziewczyny chciały się wtopić w tłum. Czego szukały?

Nagle coś zwróciło jego uwagę. Pochylił się w stronę ekranu. Rozpoznał jeszcze jedną twarz. Owalna, bardzo blada, okolona ciemnymi włosami, gładkimi jak czarny jedwab. Jasne oczy błyszczały niczym świece, przywo-

dząc na myśl nabożeństwo, zapach kadzidła. Twarz anielska, słodka jak modlitwa, intensywna niczym objawienie.

Chaplain przeczytał pseudonim anioła i wszystko zaczęło mu migać przed oczami.

Feliz.

Słowo, które słyszał w swoim śnie, tym z cieniem i białą ścianą. Nie rozumiał, skąd się wzięło to hiszpańskie słowo, znaczące „szczęśliwy, szczęśliwa". Feliz. Znał tę twarz. Słyszał jeszcze cichy, ciepły, przepojony nadzieją głos ze snu. Teraz już wiedział, że był to jego własny głos.

Po kliknięciu na zdjęcie przechodziło się do strony z informacjami na temat kandydatki. Kiedy na ekranie pojawiło się jej prawdziwe nazwisko, Chaplain zaczął kręcić głową – to niemożliwe, to nieprawdopodobne. Jęknął. Machina prawdy została wprawiona w ruch.

Feliz nazywała się Anne-Marie Straub.

Teraz ją poznał. W jego wspomnieniach twarz tej kobiety była zawsze odwrócona w bok, zniekształcona przez pasek, który złamał jej kręgi szyjne. Ale to była ona. Martwa. Powieszona. Zjawa z jego snów. Anne-Marie Straub. Jedyna kobieta, którą chyba kochał, nie była pacjentką szpitala psychiatrycznego. Była raczej dziewczyną do towarzystwa, którą poznał podczas wieczorów u Sashy. Dziewczyną, której płacono za to, żeby brała udział w tych wieczorach. Noce miłości w pokoiku Anne-Marie, szaleństwo jego kochanki, jej sylwetka wisząca na jego pasku tuż nad nim – wszystko to były zwykłe halucynacje. Niewiele posiadał do tej pory, ale i to zostało mu nagle odebrane.

Zacisnął powieki, próbując odzyskać zimną krew. Kiedy poczuł, że panuje już nad sobą, otworzył oczy i przeczytał dane Feliz.

Zapisała się w marcu 2008 roku. Mieszkała w Dziesiątej Dzielnicy, na ulicy de Lancry. Miała dwadzieścia siedem lat. Nie zadała sobie trudu, by odpowiedzieć na inne pytania. Nic na temat zawodu, dochodów, hobby, rozrywek… Sasha nie nalegała. Takiej kandydatce nie robi się trudności.

Zwrócił uwagę, że Anne-Marie Straub nie zapisała się w roku następnym. Chaplain zrobił w myślach przegląd chronologiczny. Jedna rzecz nie pasowała. Feliz bywała w klubie od marca 2008 roku do lutego 2009. A w tamtym czasie Nono jeszcze nie istniał. Z relacji Yussufa wynikało, że pojawił się w marcu 2009 roku. Gdzie więc spotkał Anne-Marie Straub? W jakim życiu?

Przyszło mu do głowy, że być może już w 2008 roku należał do klubu Sashy, tylko pod innym nazwiskiem. Kolejne kliknięcie i miał przed oczami historię spotkań Feliz. Wieczory, w których uczestniczyła, nazwiska klientów, o których numery telefonów prosiła. Jeśli słusznie rozumuje, na tej liście znajduje się również jego nazwisko.

Feliz była na prawie czterdziestu spotkaniach aż do grudnia 2008 roku. Prosiła o telefony tylko dwunastu klientów. Następne kliknięcie. Zobaczył szereg pseudonimów. Żaden z nich z niczym mu się nie kojarzył. Sprawdził ich strony z dołączonymi zdjęciami. Jego twarzy wśród nich nie było.

Z braku czegoś lepszego sprawdził dokładnie, kiedy i jakiego klienta wybierała Feliz. Dwudziestego pierwszego marca 2008 roku poprosiła o numer Rodrigo. W rzeczywistości nazywał się Philippe Desprès, lat czterdzieści trzy, rozwiedziony, bezdzietny. Piętnastego kwietnia obiektem jej zainteresowań był Sandokan alias Sylvain Durieu, lat pięćdziesiąt jeden, wdowiec. Dwudziestego trzeciego maja 2008 roku zwróciła uwagę na Gentil-Michela alias Christiana Miossensa, lat trzydzieści dziewięć, kawalera. Piątego czerwca 2008 roku wybrała Alexa-244, który naprawdę nazywał się Patrick Serena, miał czterdzieści jeden lat i był kawalerem…

Lista zawierała kolejne nazwiska mężczyzn niczym się szczególnie niewyróżniających. Dlaczego ich właśnie wybrała Feliz? Była prostytutką. Kobietą niezwykłej urody, przyzwyczajoną do sprzedawania swoich wdzięków. Istotą cyniczną, która ze swojej urody zrobiła specyficzny oręż. Czego szukała u tych zwykłych facetów?

Zerknął na zegarek: dwudziesta druga czterdzieści pięć. Sasha może się zaraz pojawić. Zanotował dane mężczyzn w notesie, który miał w kieszeni. Następnie wyjął kupionego po południu pendrive’a, skopiował strony i wyłączył komputer.

Wychodząc, pomyślał, że nie poznał jeszcze wszystkich plików. Nie przeczytał fiszki dotyczącej Arnauda Chaplaina alias Nono z roku 2009. Nie dowiedział się też niczego o Medinie. Czy poznał ją u Sashy? Czy przeżył dwa razy tę samą historię z dwiema różnymi prostytutkami? Głos Mediny: „Zaczynam się denerwować. Boję się”. Czy Medina też nie żyła? A Feliz? Czy naprawdę się powiesiła?

Pierwszy na liście, Philippe Després alias Rodrigo, najwyraźniej miał już inny numer.

Drugi, Sylvain Durieu alias Sandokan, odebrał telefon po czterech sygnałach.

– Czy pan Durieu?

– To ja.

– Dzwonię w sprawie Anne-Marie Straub.

– Kogo?

– Feliz.

Chwila ciszy.

– Kim pan jest?

– Oficerem policji śledczej – zaimprowizował z zaskoczenia.

Mężczyzna odetchnął i powiedział twardym głosem:

– Nie chcę mieć kłopotów. Nie chcę wiedzieć, co zrobiła. Nie chcę nigdy więcej o niej słyszeć.

– Czy wiedział pan, że zniknęła?

– Nie widziałem jej od półtora roku! Po trzech spotkaniach odstawiła mnie bez żadnych wyjaśnień. Więcej o niej nie słyszałem.

– A kiedy widział ją pan po raz pierwszy?

– Jeśli mam być przesłuchiwany, wezwijcie mnie na komisariat.

Durieu rzucił słuchawką. Chaplain napił się kawy. Schronił się w piwiarni na bulwarze Saint-Germain. Kanapy obite sztuczną skórą. Żyrandole da-

jące żółte światło. Odległy szum ulicy. Lokal był niemal pusty.

Następny numer.

Dwa sygnały, po czym kobiecy głos:

– Halo?

Chaplain nie był przygotowany na taką ewentualność. Opuścił wzrok na kartkę w notesie i przeczytał nazwisko przypisane do wybranego numeru.

– Czy zastałem Christiana Miossensa?

– To żarty?

Popełnił błąd, ale nie wiedział jaki. Trzeba zyskać na czasie. Powtórzył na głos numer telefonu, pod który chciał dzwonić.

– Tak, to telefon Christiana – odrzekła kobieta już nie tak napastliwie.

Chaplain przemówił cieplejszym tonem:

– Źle się wyraziłem. Dzwonię w sprawie pana Miossensa i…

– Kim pan jest?

Ponownie przedstawił się jako oficer policji, nie podając nazwiska.

– Jest coś nowego? – Irytacja ustąpiła nadziei.

– Być może – odpowiedział ostrożnie.

– Co takiego?

Chaplain wpadł na pewien pomysł. Działał na ślepo, lecz zaczynał się do tego przyzwyczajać.

– Przepraszam, ale czy może pani najpierw powiedzieć, kim pani jest?

– Nathalie Forestier, jego siostra.

Zastanowił się szybko. Jeśli siostra Miossensa odbierała jego komórkę, oznaczało to, że był martwy, chory lub zniknął. Skoro pytała policjanta, czy jest coś nowego, to choroba była wykluczona.

Odkaszlnął i przybrał ton charakterystyczny dla śledczego.

– Chciałbym wrócić do pewnych faktów.

– Proszę pana… – jej głos zdradzał teraz zmęczenie – już tyle razy opowiadałam to wszystko…

– Proszę pani – podniósł lekko ton, żeby dodać sobie powagi – powierzono mi tę sprawę i muszę zdobyć więcej informacji, przepytać każdego ważnego świadka.

To nie miało sensu. Dzwonił pod numer człowieka zmarłego lub zaginionego, ale kobieta nie zwróciła na to uwagi.

– Macie coś nowego czy nie? – zapytała.

– Proszę najpierw odpowiedzieć na moje pytania.

– Czy… czy wezwiecie mnie ponownie?

– Niestety tak. Na razie jednak chciałbym telefonicznie pomówić o pewnych okolicznościach.

– Słucham – skapitulowała z rezygnacją w głosie.

Chaplain się zawahał. W końcu zaczął od bardzo ogólnego pytania:

– W jaki sposób dowiedziała się pani o swoim bracie?

– Za pierwszym czy za drugim razem?

Nie można umierać dwa razy. Tak więc Christian Miossens zniknął. Dwa razy.

– Pomówmy na początek o pierwszym.

– Miałam telefon z policji. Dzwonili do nich pracodawcy Christiana. Nie mieli o nim wiadomości od dwóch tygodni. Brat nie uprzedził ich o niczym. Nie przysłał zwolnienia lekarskiego. To nie było w jego stylu.

– Kiedy dokładnie zadzwoniono do pani?

– Dziesiątego lipca dwa tysiące ósmego roku. Bardzo dobrze to pamiętam.

Chaplain pisał, porównując jednocześnie ze swoimi notatkami. Miossens spotkał Anne-Marie Straub po raz pierwszy dwudziestego trzeciego maja 2008 roku. Niecałe dwa miesiące potem zniknął.

– Nie wiedziała pani o jego zniknięciu?

– Nie czytał pan mojego zeznania?

– Nie. Wolę nie sugerować się tym, co zapisali moi koledzy, zanim nie przesłucham świadków.

– Dziwna metoda.

– Taką stosuję. Dlaczego nie zauważyła pani zniknięcia brata?

– Bo nie utrzymywaliśmy ze sobą kontaktów od dwóch lat.

– Z jakiego powodu?

– Głupia sprawa spadku. Mieszkanie w Paryżu. Naprawdę idiotyzm…

– A najbliższa rodzina też nie zauważyła jego zniknięcia?

– Christian nie miał żadnej rodziny. – Jej głos się załamał.

– Był kompletnie sam, rozumie pan? Godzinami siedział w internecie, w portalach randkowych. Stał się innym człowiekiem. Spotykał się z kobietami… z zawodowymi… nie wiadomo, z kim.

Chaplain musiał rejestrować każdą informację i jak najszybciej znaleźć dla niej odpowiednie miejsce. Nathalie Forestier wspomniała o dwóch zniknięciach.

– Kiedy go odnaleziono?

– We wrześniu. Prawdę mówiąc, policja znalazła go pod koniec sierpnia, ale poinformowano mnie dopiero w połowie września.

– Dlaczego skontaktowano się z panią tak późno?

Nathalie milczała przez chwilę. Wydawała się coraz bardziej zdziwiona lukami w wiedzy swojego rozmówcy.

– Ponieważ Christian mówił, że nazywa się David Longuet. Nie pamiętał nic o sobie.

Takiego zwrotu akcji nie przewidział. Christian Miossens, mężczyzna wybrany przez Feliz, cierpiał na syndrom fugi dysocjacyjnej. Był pasażerem bez bagażu.

– Gdzie go znaleziono?

– Pod koniec sierpnia został zgarnięty razem z innymi bezdomnymi z paryskiej plaży. Amnezja. Najpierw wysłano go do przychodni psychiatrycznej przy paryskiej prefekturze.

– Taka jest procedura.

– A potem przewieziono go do szpitala Sainte-Anne.

– Czy pamięta pani nazwisko psychiatry, który się nim zajmował?

– Oczywiście. Christian przebywał w tym szpitalu prawie miesiąc. Odwiedzałam go codziennie. Lekarz nazywał się François Kubiela.

Zanotował to nazwisko. Będzie się musiał tym zająć w pierwszej kolejności.

– Na jakim oddziale pracuje?

– W klinice chorób umysłowych i mózgowych. Uroczy człowiek, wyrozumiały. Robił wrażenie, że dobrze się zna na tego typu chorobach.

– Czy Kubiela wyjaśnił pani, na co cierpiał Christian?

– Mówił o ucieczkach psychicznych, o ucieczce w amnezję, żeby odciąć się od rzeczywistości, czy coś w tym rodzaju. Opowiadał, że pracuje także nad innym podobnym przypadkiem, pacjentem z Lorient, którego kazał przewieźć do Paryża na swój oddział.

Chaplain podkreślił trzy razy nazwisko Kubieli. Ekspert.

Koniecznie musi z nim porozmawiać. Tamten będzie pewnie powoływał się na tajemnicę lekarską, ale…

– Kubiela wspomniał – mówiła dalej Nathalie – że jego zdaniem to bardzo rzadki syndrom. W każdym razie do tej pory we Francji nie było takiego przypadku. Zażartował, że to „specjalność amerykańska”.

– Jak leczył pani brata?

– Nie wiem, ale jestem pewna, że spróbował wszystkiego, by obudzić jego pamięć. Bez rezultatu.

Chaplain zmienił temat.

– Jak ustalono tożsamość Christiana? Jak trafiono do pani?

– Nic więc pan nie wie…

W duchu dziękował tej kobiecie, że się nie rozłączyła. Jego niewiedza była jak zniewaga.

– Christian został zidentyfikowany dzięki odciskom palców. W zeszłym roku zatrzymano go za jazdę w stanie nietrzeźwości. Jego odciski były więc w policyjnej kartotece. Nie wiem, dlaczego porównywanie trwało ponad dwa tygodnie.

– Co się działo potem?

– Odebrałam Christiana ze szpitala. Profesor Kubiela był raczej pesymistą co do jego szans wyzdrowienia.

– I co dalej?

– Christian zamieszkał u nas. Mieszkam z mężem i dziećmi w domku w Sevres. Nie było to zbyt wygodne.

– Czy nadal uważał, że nazywa się David Longuet?

– Tak. To było… okropne.

– Nie miał żadnych wspomnień związanych z panią?

Nathalie Forestier nie odpowiedziała. Chaplain zrozumiał, skąd to milczenie. Płakała.

– Tak więc mieszkał z pani rodziną? – podjął po chwili.

– Zniknął pod koniec miesiąca pobytu u nas. Potem…

Znowu cisza. Znowu szlochanie.

– Znaleziono jego ciało w pobliżu przedsiębiorstwa produkującego materiały budowlane, na nabrzeżu Marcel-Boyer w Ivry-sur-Seine. Ciało było potwornie zmasakrowane.

Chaplain zapisywał drżącą ręką.

– Przepraszam, że o to pytam, ale jakie to były okaleczenia?

– Przecież może pan przeczytać raport z autopsji.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – powiedział najłagodniej, jak potrafił.

– Nie pamiętam dokładnie. Nie chciałam wiedzieć. Zdaje się, że… miał twarz przerąbaną pionowo na pół.

Christian Miossens alias Gentil-Michel, alias David Longuet, był także wśród tych, którym wszczepiono implant. Jak Patrick Bonfils. Jak on sam. Anaïs Chatelet miała rację. Implant wsączający substancję, która zmieniała zdrowego psychicznie człowieka w „pasażera bez bagażu". Rzecz, którą zabójcy musieli za każdym razem odzyskać.

– Proszę pana – powiedziała nagle Nathalie Forestier – mam dość tych pytań. Jeśli chcecie mnie przesłuchiwać, proszę przysłać wezwanie na komisariat. A przede wszystkim proszę powiadomić mnie, jak tylko się czegoś dowiecie!

W odpowiedzi wybąkał, że pewne elementy, o których nie może mówić, pozwalają na powtórne przesłuchiwanie. Jednocześnie nie chciał dawać tej kobiecie złudnych nadziei.

– Mamy pani adres – zakończył tonem śledczego. – Jutro dostanie pani wezwanie. W komisariacie dowie się pani więcej.

Zapłacił za kawę i wyszedł w noc, by poszukać taksówki. Ruszył w kierunku Sekwany, a potem poszedł nabrzeżem de la Tournelle. Na chodnikach było pusto. Tylko jezdnią przemykały samochody, których kierowcy mieli takie miny, jakby pragnęli jak najszybciej znaleźć się w domu. Było zimno. Było ciemno. Nad tą lodowatą ciemnością królowała sylwetka katedry Notre Dame. On także chciałby wrócić do domu. Musiał jednak wykorzystać kolejną noc na poszukiwania.

Christian Miossens alias David Longuet.

Patrick Bonfils alias Pascal Mischell.

Mathias Freire alias.

Trzy obiekty eksperymentu.

Trzej pasażerowie bez bagażu.

Trzej mężczyźni do likwidacji.

Jaką rolę mogły odgrywać w tej historii Anne-Marie Straub czy Medina? Naganiaczki, polujące na samotne ofiary?

Taka hipoteza pasowała do Christiana Miossensa, ale nie pasowała do Patricka Bonfilsa, zadłużonego rybaka z Wybrzeża Baskijskiego. A do niego samego? Czy ten, który był przed Arnaudem Chaplainem, uczęszczał do klubu Sashy? Czy wpadł w pułapkę zastawioną przez Feliz? Nie znalazł swojej twarzy wśród „ofiar" tej łowczyni…

Dwadzieścia metrów przed nim, na rogu ulicy des Grands-Augustines, zatrzymała się taksówka, z której wysiadł pasażer. Chaplain podbiegł

i przemarznięty wskoczył do środka.

– Dokąd jedziemy?

Spojrzał na zegarek. Minęła już północ. Idealna godzina, by zapolować na dziewczyny.

– Do Johnny’ego, ulica Clement-Marot.

– Mam dobre wieści, ślicznotko.

Anaïs, zaspana, nie wierząc własnym uszom, słuchała mówiącego do niej przez telefon Solinasa. Obudzono ją. Przyprowadzono tutaj, do punktu kontrolnego. Podano jej słuchawkę. Coś niesłychanego.

– Masz większe wpływy, niż przypuszczałem.

– Ja mam wpływy? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jutro wychodzisz. Decyzja sędziego.

Nie była w stanie nic odpowiedzieć. Wiadomość o tym, że wyjdzie z więzienia, podziałała na nią jak uderzenie obuchem.

– Powiedziano ci… dlaczego?

– Bez komentarzy. Decyzja wyższego szczebla, to wszystko. Można by rzec, że sprawiedliwość nie jest taka sama dla wszystkich.

– Jeśli coś wiesz, powiedz mi. Kto interweniował? – zapytała Anaïs już innym tonem.

Solinas się roześmiał. Jego śmiech przypominał zgrzyt.

– Udajesz naiwną, nawet ci to pasuje. W każdym razie chcę cię mieć pod ręką. Kontynuujemy śledztwo.

– Jest coś nowego?

– Absolutnie nic. Nie natrafiono na ślad żadnego klienta Mediny. Nic na temat jej zajęć, kontaktów. Janusza w dalszym ciągu nie udało się namierzyć. Żadnych tropów, żadnych wskazówek, nic. Chłopcy z wydziału poszukiwań i identyfikacji przestępców połamali sobie na tym zęby.

Zdała sobie sprawę z tego, że Solinas i jego psy nie mieli doświadczenia w prowadzeniu śledztw dotyczących spraw kryminalnych. Natomiast specjaliści od zbiegów nie byli przyzwyczajeni do zwierzyny takiego kalibru jak Janusz.

– Przyślesz po mnie samochód?

– Nie muszę. Ktoś będzie na ciebie czekać.

– Nie znam nikogo w Paryżu.

Solinas znowu się roześmiał. Zgrzyt stał się bardziej piskliwy.

– Nie przejmuj się. Przyjechał twój ojczulek!

– W pierwszy wieczór nie robię nic. Mam zasady.

– Przecież już sypiałaś z innymi.

– Owszem. No dobra. Wiesz, o co mi chodzi…

Trzy dziewczyny wybuchnęły śmiechem. Chaplain siedział przy sąsiednim stoliku, w głębi baru. Lokal U Johnny'ego urządzony był w stylu amerykańskim. Politurowana boazeria, skórzane fotele. Dyskretne oświetlenie pieściło meble i nogi dziewcząt złotawym poblaskiem jak z obrazów Vermeera. Siedział do nich tyłem, lecz nie tracił ani słówka z ich rozmowy. Dziewczyny wyglądały na takie, jakich szukał. Nie były prostytutkami, ale czekając na okazję do rozrywki, paplały o fatałaszkach i facetach.

– Nie nosisz już okularów?

– Nie. Mam soczewki kontaktowe. Okulary są za bardzo porno.

Każde zdanie go zaskakiwało. Nie miał doświadczenia Nono.

Jednocześnie jednak w sposobie, w jaki te panienki mówiły o seksie, forsie i swoich nadziejach, było coś intrygującego.

– Pójdę przypudrować nos.

Chaplain obejrzał się przez ramię. Zobaczył od tyłu szczupłą sylwetkę w bluzce z ciemnej satyny, ozdobionej czarnymi tiulowymi koronkami. Nawet z miejsca, gdzie siedział, usłyszał w jej głosie ukrytą aluzję i domyślił się, że dziewczyna coś wącha. Puder, o którym mówiła, nie miał nic wspólnego z błyszczącym noskiem.

– Nie przyszłaś na wieczór księcia.

– Jakiego księcia?

Dwie dziewczyny kontynuowały swoją paplaninę.

– Nie wiem, jak się nazywa. Pochodzi z Emiratów.

– Nie zostałam zaproszona – odparła druga z przekąsem.

– Była jedna Rosjanka. Mówię ci, nigdy nie widziałam takiej bezczelnej. Przepychała się łokciami, żeby znaleźć się w pierwszym rzędzie.

– W pierwszym rzędzie?

– Właśnie. Zatkało nas, ale to ona miała rację. Omotała go w pięć minut. Faceta w ciuchach wartych trzy tysiące euro. A my całą noc wysilałyśmy się, żeby je z niego ściągnąć.

Znowu śmiech. Zamówił drugi kieliszek szampana. Powinien postawić dziewczynom kolejkę, nie miał jednak odwagi. Czasy Nono były naprawdę odległe.

Miss Koka wróciła w świetnym nastroju. Z przodu wyglądała tak samo interesująco jak z tyłu. Gęste czarne włosy miała obcięte na Kleopatrę, z ostrych rysów twarzy emanował zwierzęcy wdzięk. Po bliższym przyjrzeniu się można było już dostrzec w zapadłych policzkach i podkrążonych oczach zgubne skutki zażywania narkotyków, choć na razie zachowała jeszcze urodę podkreśloną błyszczącym makijażem.

Gdy znalazła się obok niego, przystanęła i rzuciła kpiąco:

– Interesuje cię to, o czym rozmawiamy?

– Słucham?

– Przestań, bo skręcisz sobie szyję, podsłuchując nas.

– Mogę pani postawić coś do picia? – zaproponował z wymuszonym uśmiechem.

– W jakim celu? Jesteś gliną?

Jej obcesowość wprawiła go w zakłopotanie. Nie było sensu udawać. Zrzucił maskę.

– Szukam Leili.

– Jakiej Leili?

– Po prostu Leili.

– Znasz ją?

– Nie. Ale słyszałem o niej.

Kleopatra skrzywiła się w aksamitnym uśmiechu.

– Właśnie przyszła.

Chaplain odwrócił się i zobaczył w drzwiach dziewczynę ze zdjęcia, które oglądał w komputerze Sashy. Tyle że teraz w niczym nie przypominała skromnej Arabki z tamtego portretu. W ręku trzymała dużą torbę Chanel, pod kurtką z futrzanym kołnierzem miała białą, muślinową, wiosenną sukienkę. Młodzieżowa kurtka wyjątkowo nie pasowała do emanującej z jej umięśnionego ciała zmysłowości.

– Leilo, jesteś prawdziwą gwiazdą – powitała ją Kleopatra. – Ten facet przyszedł tu specjalnie dla ciebie.

Nowo przybyła roześmiała się głośno.

– Ma się tę klasę, grubasko.

Z prowokującym uśmiechem nachyliła się do Chaplaina. Na widok jej dekoltu zrobiło mu się gorąco.

– Czego sobie życzysz, kochaniutki?

Zafalowała ramionami, od czego zakołysały się jej piersi.

– Jeśli ktoś mnie szuka – szepnęła, liżąc go w ucho – to mnie znajduje.

Chaplain próbował przełknąć ślinę. Nie dał rady. Między nogami poczuł palący żar. Jądra dosłownie wbiły mu się w podbrzusze. Nie potrafił sobie wyobrazić, co się dzieje, gdy ta dziewczyna pokazuje się na którymś z wieczorów u Sashy. Chyba wszyscy mężczyźni stają w kolejce, żeby zakosztować jej wdzięków.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o Medinie – powiedział, starając się panować nad głosem.

Z twarzy dziewczyny zniknął uśmiech. Leila się wyprostowała. Chaplain wstał z krzesła i utkwił wzrok w jej oczach. Z bliska robiły jeszcze większe wrażenie, makijaż podkreślał blask źrenic.

– Gdzie jest Medina? Co się z nią stało?

– Zjeżdżaj. Nie mam nic wspólnego z Mediną.

– Znajdźmy spokojne miejsce do pogadania.

– Możesz sobie pomarzyć, draniu.

– Jestem uzbrojony.

Opuściła wzrok na jego rozporek i się zaśmiała.

– Widzę.

– Nie żartuję.

Leila popatrzyła na niego z wahaniem. Już nie miała prowokacyjnej miny. Przyjaciółki spoglądały na siebie szeroko otwartymi oczami.

– Jak się tu dostałaś?

– Moją bryką.

– Gdzie zaparkowałaś?

– Parking przy ulicy François.

Mówiła ochrypłym, zdławionym głosem. Nie było już w nim ani odrobiny uwodzicielskiego tonu. Jakby nagle zmyto z jej duszy makijaż. Chaplain, nie spuszczając wzroku z Leili, rzucił sto euro na stół, przy którym siedziały dziewczyny.

– Ja funduję.

Wskazał na drzwi wyjściowe.

– Idziemy.

– Mogę zapalić?

– To twój samochód.

– Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku.

Leila, siedząc za kierownicą, zapaliła marlboro i wypuściła długą smugę dymu. Szyby były podniesione. Wnętrze austina natychmiast się zamgliło.

– Tworzymy zgraną paczkę koleżanek.

– Wykonujecie ten sam zawód?

– Jesteśmy aktorkami.

– Aktorkami? Niech i tak będzie.

– Przez cały czas kombinujemy, jak zarobić więcej pieniędzy. Albo jak zrobić karierę. Ale w Paryżu nie tak łatwo się wybić.

Znowu się zaciągnęła z wargami mocno zaciśniętymi na papierosie z filtrem. Drugą ręką nieustannie wodziła po jedwabistych rajstopach. Chaplain starał się nie patrzeć na dół, by nie ulec zniewalającemu magnetyzmowi jej czarnych ud.

– Macie Sophie Barak.

– Maciora. Tak ją nazywamy. Pracowałyśmy dla niej, ale to było zbyt straszne…

Leila mówiła teraz z akcentem ze swoich stron. Jakby własny język był dawnym dobrym znajomym, który będąc przejazdem w Paryżu, wpadł się przywitać.

– Wtedy dowiedziałyście się o klubie Sasha.com.

Leila w odpowiedzi otoczyła się kolejnym obłokiem dymu.

Przez krótką chwilę znowu była tą zuchwałą dziewczyną z baru U Johnny'ego. Wyraz wściekłości wyostrzył jej twarz. Czarne oczy przywodziły na myśl dwa kratery gotowe plunąć ogniem.

– Kim ty właściwie jesteś?

– Ofiarą w tej historii. Jak Medina. Jak ty.

– Nie jesteśmy ofiarami.

– Bądź sobie, kim chcesz, ale daj mi informacje, których potrzebuję.

– Dlaczego miałabym mówić?

– Dla Mediny.

– Nie ma jej już od paru miesięcy.

– Jeśli odpowiesz na moje pytania, powiem ci, co się z nią stało.

Znów to spojrzenie, w którym walczyły ze sobą złość i strach. Drżała z zimna w kurtce z futrzanym kołnierzem. Zgniotła papierosa w popielniczce, zapaliła następnego. Jej zapalniczka była z pozłacanej chińskiej laki. Pewnie tego samego typu trofeum jak torba Birkin Sashy. W Paryżu kobiety prowadzą swoisty wyścig zbrojeń. Obnoszą swoje łupy podobnie jak Czejeni zawieszone u pasa skalpy.

Nagle przekręciła kluczyk w stacyjce i włączyła ogrzewanie.

– Można zamarznąć w tym wozie. Na czym stanęliśmy?

– Na klubie Sasha.com. Kto wam o nim powiedział?

– Jeden z klientów Mediny. Szykowny facet, który mieszkał w hotelu w Ósmej Dzielnicy.

– W hotelu Theodor?

– Nie, w innym. Nie pamiętam, w którym.

– Kiedy to było?

– Jakiś rok temu.

– Co proponował?

– Łowienie naiwniaków.

– Mów jaśniej.

– Trzeba było przychodzić na *speed dating* i wyławiać facetów, którzy spełniali pewne wymogi.

Czyżby casting rekrutujący króliki doświadczalne? – pomyślał Chaplain.

– Jakie konkretnie?

– Facet musiał być zagubiony, całkowicie samotny, bez żadnych zobowiązań w Paryżu. Miał także być wrażliwy, niepewny siebie. I, jeśli to możliwe, trochę stuknięty. – Zachichotała nerwowo między dwoma sztachnięciami się. – Kompletnie przegrany.

Wszystko się zgadzało. Jak znaleźć w Paryżu mężczyzn samotnych, bez oparcia, znerwicowanych i wrażliwych? Polując wśród nieudaczników szukających pokrewnej duszy. *Speed dating* był do tego celu doskonały. Dzięki niemu znajdywało się ofiary, poznawało się je lepiej i wciągało w pułapkę za pośrednictwem takich dziewczyn jak Leila, Medina czy Feliz. Proceder stary jak świat.

Mimo że w samochodzie było ciepło, Leila wciąż się trzęsła. W niczym już nie przypominała opancerzonej zdobywczyni z baru. Jej ramiona, piersi, cała sylwetka wydawały się o połowę mniejsze. Teraz wyglądała na taką, jaka naprawdę była. Dziewczyna z przedmieścia, nakarmiona telewizyjną rzeczywistością, nakręcona kolorowymi pismami, której marzenia ograniczały się do tego, żeby w modnym lokalu nocnym poderwać jakiegoś VIP-a. Dziewczyna z Afryki Północnej, która pojęła, że dysponuje tylko jedną bronią do osiągnięcia tego celu i że musi się spieszyć.

– Poznałaś ludzi z tego programu?

– Tak, oczywiście.

– Jacy byli?

Przez rozszerzone nozdrza wypuściła dym.

– Niektórzy wyglądali na ochroniarzy, a inni na gliniarzy.

– Czy mówili wam, jaki był cel tego… castingu?

– Szukali ludzi do testowania leków. Jakichś środków związanych z głową. Powiedzieli, że zawsze prowadzono testy na ludziach. Że to kolejny etap po doświadczeniach na zwierzętach. – Zaśmiała się ponuro. – Mówili, że my sytuujemy się pomiędzy zwierzętami i ludźmi. Nie wiem, czy był to komplement.

– Czy wyjaśnili, że to niebezpieczne? – Chaplain mówił teraz podniesionym głosem. – Czy powiedzieli, że ich leki niszczą mózg? Że ci ludzie nie zostali poinformowani o eksperymencie, jakim ich poddano?

Leila patrzyła na niego z przerażeniem w oczach. Chaplain odkaszlnął, starając się nad sobą zapanować. Opuścił szybę od swojej strony, bo w wozie zrobiło się duszno.

– Nie bałyście się wchodzić w coś takiego? Nie myślałyście, że to nielegalne, a nawet niebezpieczne?

– Mówiłam ci: faceci wyglądali na policjantów.

– Tym bardziej mogło to być niebezpieczne.

Leila nie odpowiedziała. Coś tu nie grało. Trudno sobie wyobrazić, żeby te dziewczyny nie bały się takiej propozycji mającej cechy konspiracji.

Dziewczyna oparła głowę o zagłówek i znowu zaciągnęła się papierosem.

– To przez Medinę. To ona nas namówiła. Powiedziała, że zarobimy kupę kasy i nawet nie będziemy musiały iść z facetami do łóżka. Że trzeba brać forsę tam, gdzie ją dają. Być silniejszymi niż system. Takie tam bzdety.

– Ile was było do tej roboty?

– Nie wiem dokładnie. Cztery lub pięć… Te, które znałam.

– Jak to się konkretnie odbywało?

– Szło się na spotkania u Sashy i przeczesywało się teren.

– Dlaczego właśnie w tym klubie?

– Nie mam pojęcia.

– Czy sądzisz, że są inne dziewczyny, które robią to samo w innych klubach?

– Nie wiem.

– Opowiadaj dalej.

– Kiedy się trafia właściwy frajer, prosimy o numer jego telefonu. Potem dwa lub trzy spotkania, i to wszystko.

– Czy to wy wybieracie tych… frajerów?

– Nie, oni.

– To znaczy kto?

– Faceci, którzy nam płacą. Gliniarze.

– A jak oni ich wynajdują?

Na jej twarzy pojawił się dwuznaczny uśmiech. Pomimo strachu wspomnienie o tamtym ją rozbawiło. Z jej ciemnych warg wciąż ulatniał się dym. W samochodzie już nic nie było widać.

– Miałyśmy przy sobie mikrofon i słuchawkę, jak w telewizji. Zadawałyśmy pytania, jakie nam zlecono, a oni, słuchając odpowiedzi, dokonywali selekcji.

Chaplain wyobraził sobie tych ludzi działających w cieniu. Psycholodzy, neurolodzy, wojskowi. Siedem minut na ocenę człowieka. Dość mało, ale to

był tylko początek. Wystarczało, żeby dać dziewczynom zielone światło.

Nagle w jego głowie pojawiło się podejrzenie. Chwycił Leilę, podniósł jej włosy i zajrzał w dekolt. Patrzył na brązową skórę. Nie było tam ani mikrofonu, ani cyfrowego rejestratora dźwięku.

– Co jest?

Chaplain ją puścił. Wyciągnąwszy kolejnego papierosa, burknęła:

– Jestem czysta, draniu.

Tylko trochę uspokojony podjął przerwany wątek:

– Opowiedz, co się działo, kiedy miałyście wybranego faceta.

– Mówiłam już, że spotykałyśmy się z takim kilka razy w wyznaczonym z góry miejscu. Byłyśmy śledzone. Fotografowane. Filmowane. Niczym gwiazdy kina.

– A potem?

– To wszystko. Po tych randkach już nigdy więcej nie widziałyśmy gościa. Inkasowałyśmy forsę i zabierałyśmy się do następnego.

– Ile?

– Trzy tysiące euro, żeby zapisać się u Sashy. Trzy tysiące euro za złowionego frajera.

– Nie zastanawiałyście się nigdy, co się dzieje z tymi biedakami?

– Wiem od urodzenia, że każdy ma dbać o własny tyłek. Nie zamierzam się troszczyć o facetów, którzy myślą tylko o tym, żeby się ze mną pieprzyć.

– Czy nadal to robicie?

– Nie. Zabawa została przystopowana.

– Od kiedy?

– Od miesiąca, może dwóch. Zresztą i tak już bym nie chciała brać w tym udziału.

– Dlaczego?

– Za bardzo niebezpieczne.

– Jak to niebezpieczne?

– Dziewczyny zaczęły znikać.

– Jak Medina?

Leila nie odpowiedziała. Dym wypełniał ciszę. Napięcie osiągnęło punkt kulminacyjny. W końcu zapytała, nie patrząc na niego:

– Co się z nią stało?

Chaplain milczał.

– Obiecałeś, łajdaku! – krzyknęła ze złością. – Taka była umowa!

– Medina nie żyje – zablefował.

Dziewczyna skurczyła się na swoim fotelu. Nie okazała żadnego zaskoczenia, jakby słowa Chaplaina potwierdziły tylko to, o czym nie śmiała myśleć od tygodni. Kolejny papieros.

– Jak?

– Nie znam szczegółów. Została zamordowana przez waszych zleceniodawców.

Wypuściła niebieskawy dymek. Była jednym drżącym kłębkiem strachu.

– Ale… dlaczego?

– Wiesz to tak samo dobrze jak ja. Za dużo mówiła.

– Jak ja teraz?

– Nie masz się czego bać, jedziemy na jednym wózku.

– Czy to samo mówiłeś Medinie? No i widać rezultaty.

– Co ty opowiadasz?

– Myślisz, że cię nie poznałam? Jesteś Nono. Medina pokazała mi zdjęcia. Uprzedzam cię: nie omamisz mnie tak jak ją!

– Mów.

– O czym mam mówić? To ty powinieneś gadać.

– Straciłem pamięć.

Tym razem popatrzyła na niego z niepewną miną. Próbowała znaleźć prawdę we wzroku Chaplaina. Kiedy się odezwała ponownie, mówiła cichym, przygaszonym głosem, w którym nie było poprzedniego ostrego brzmienia.

– Medina poznała cię u Sashy i natychmiast się zakochała. Zastanawiam się dlaczego.

– Nie podobam ci się? – Chaplain się uśmiechnął.

– Z tobą to chyba musiałaby być pozycja na mnicha: paciorek i lulu.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego obecny stan nie pozostawiał żadnych wątpliwości. Od jak dawna nie spał z kobietą? Zero wspomnień na ten temat.

– A ci faceci ze słuchawkami? Nie zatrzymali mnie?

Odpowiedziała prawie niesłyszalnym głosem:

– Gdyby tak się stało, nie zgrywałbyś tutaj Jacka Bauera.

Uporządkował swoje myśli. Arnaud Chaplain nie został więc wyselekcjonowany. Może stało się to wcześniej, kiedy rozmawiał u Sashy z Feliz.

Jak się wtedy nazywał?

– Kontynuuj.

– Omotałeś ją. Namówiłeś, żeby świadczyła przeciw komuś, ale nie wiem, o kogo chodzi, nie znam nazwiska.

– Świadczyła?

– Prowadziłeś dochodzenie. Chciałeś odsłonić pewne kombinacje. Typ naprawiacza błędów. Powiedziałam wtedy Medinie: „Wdepnęłaś jedną nogą w gówno, uważaj na drugą”. Jednak nie udało mi się jej przekonać. Lubiła ryzykować.

– Kiedy to było?

– W czerwcu ubiegłego roku.

W sierpniu Medina wyraźnie spanikowana zostawiła na automatycznej sekretarce wiadomość: „Zaczynam się denerwować. Boję się”. Nono przybył za późno. Igrał z ogniem i młoda kobieta zapłaciła za to najwyższą cenę.

Tym silniejsze stało się teraz jego przekonanie, że to samo przeżył z Anne-Marie Straub alias Feliz. Druga kobieta, którą uwiódł i namówił do składania zeznań. Anne-Marie Straub została zamordowana, bez wątpienia powieszona. Jak zginęła Medina?

– Słyszałaś o Feliz?

– Nie, kto to jest?

– Dziewczyna, która nie miała szczęścia.

– Trafiła na ciebie?

Chaplain nie odpowiedział.

– Czy pamiętasz tych mężczyzn, z którymi się spotykałaś?

– Raczej nie.

Leila kłamała, ale nie nalegał. Myślał o ofiarach Mediny. Nie zdążył przeczytać informacji o niej, miał jednak w kieszeni pendrive’a.

– Ilu ich było?

– Pięciu lub sześciu.

Obecnie Mêtis z niewiadomego powodu przerwał program. Nastała pora wielkiego sprzątania. Króliki doświadczalne zostały wyeliminowane. Także dziewczyny, które za dużo mówiły.

Pozostawały morderstwa inspirowane mitologią. Jak miały się do tamtych wydarzeń?

– Powiedziałaś przed chwilą, że program został zastopowany. Skąd to wiesz?

– Nie dzwonią do nas. Nie ma żadnego kontaktu.

– Wiesz, jak do nich dotrzeć?

Niechętnie, głosem zmienionym przez dym papierosowy, odpowiedziała:

– Nie. Ale gdybym nawet wiedziała, nie zrobiłabym tego. Ta historia śmierdzi i nie chcę skończyć tak jak Medina. I co teraz zrobimy?

Pytanie go zaskoczyło. Leila, pomimo swego stroju, tupetu, potrzebowała pomocy. Ale on był ostatnią osobą, która mogłaby jej pomóc.

Sprowadził nieszczęście na Feliz.

Sprowadził nieszczęście na Medinę.

Nie chciał tego zrobić Leili.

Z ręką na klamce drzwi samochodu powiedział:

– Zapomnij o mnie. Zapomnij o Medinie. Zapomnij o Sashy. Skąd pochodzisz?

– Z Nanterre.

– Wracaj tam.

– Żeby spalili mój wóz?

Chaplain wygiął usta w wymuszonym uśmiechu. Poczuł się bezsilny. Los Leili był przesądzony.

– Uważaj na siebie.

Trzymając papierosa tak, jakby mógł stanowić jakąś broń, odrzekła:

– Ty także uważaj na siebie. Medina mówiła, że cokolwiek się przydarzyło tym facetom, nie może być gorsze od tego, co już przeżyłeś.

– A co ja takiego przeżyłem?

– Nie wiem. Mówiła, że nosisz w sobie śmierć. Że jesteś zombie – szepnęła ledwie słyszalnym głosem.

Gdy tylko otworzył drzwi loftu, od razu wyczuł, że sytuacja się powtarza. Uskoczył w bok przed napastnikiem, wyciągnął swój CZ-75, odbezpieczył i strzelił mu prosto w twarz. W błysku ognia z lufy ujrzał jednego z zabójców, któremu z gardła trysnęła krew. Odgłos strzału odbił się głośnym echem w pogrążonym w mroku lofcie.

Kiedy znowu zapadły ciemności, nadeszła riposta. Seria wystrzałów rozbiła przeszkloną ścianę, rozdarła zasłony. Odłamki szkła fruwały w powietrzu. Chaplain upadł na podłogę, trafiając dłońmi na szklane odpryski. W błyskach strzałów dojrzał wiązkę światła, prawdopodobnie pochodziła z latarki taktycznej przymocowanej do lufy pistoletu. Przerażony powtarzał w myślach jedno pytanie: jak im się znowu udało go odnaleźć?

Strzelił dwa razy na ślepo w głąb loftu, podniósł się i skoczył za kuchenkę. Suche uderzenia kul w niczym nie przypominały tych niewinnych odgłosów, jakie słyszy się na filmach. Tutaj każdy strzał świdrował ciszę nocną, zdradzając, czym był naprawdę – czystą destrukcją.

Promień latarki omiatał przestrzeń, przechodząc przez rozbitą oszkloną ścianę, obiegając meble, wnikając w każdy kąt. Schody znajdowały się w tej samej odległości od wroga, co od niego. Uznał, że musi wejść na antresolę i spróbować się tamtędy wydostać. Prawdę mówiąc, nie miał żadnego wyboru. Gdyby pobiegł do drzwi, otrzymałby dwie, trzy kule w plecy, zanim zdołałby dotrzeć do progu.

Zapach prochu wypełniał ciemności. Na dziedzińcu, za rozdartymi zasłonami, zapaliły się światła, dały się słyszeć głosy. Hałas strzelaniny zaalarmował ludzi. Czy ma czekać w ukryciu na przybycie pomocy? Jego przeciwnik nie pozwoli, by tak bezproduktywnie minęły cenne sekundy. Zresztą on też nie mógł uciec. W Marsylii działali ostrożnie, lecz tym razem Chaplain zabił jednego z nich. Walka zmieniła charakter.

W tym momencie zobaczył, że pierwszy napastnik, którego postrzelił, podnosi się na łokciu. Leżał w kałuży krwi. Promień latarki zaświecił mu prosto w twarz. Czerwona kałuża zrobiła się biała.

– Michel?! – zawołał ten drugi.

Użycie imienia świadczyło o pewnych ludzkich cechach tych dwóch zabójców, a tym samym o ich słabości. Ci faceci mieli imiona. Może nawet mieli żony i dzieci. Oślepiony latarką ranny podniósł rękę, pokazując, gdzie ukrywa się Chaplain. Cofając się, jakby chciał wcisnąć się w ścianę kuchni, Chaplain wystrzelił trzy razy w kierunku śmiertelnie rannego napastnika. W błysku wystrzałów zobaczył eksplodującą czaszkę, tryskający z niej mózg, uchodzącą nad czołem parę.

Korzystając z zaskoczenia, Chaplain pobiegł w stronę żelaznych schodów. Odnalazł go tam promień latarki. Znowu strzały. Chaplain nacisnął spust, jakby własne kule mogły go ochronić. Stalowa lina, która służyła za poręcz, nagle zaiskrzyła. Cofnął szybko rękę i potykając się, biegł po stopniach w górę. Wokół niego świstały kolejne kule. Odbijały się rykoszetem od ścian. W końcu któraś go trafi.

Ulokował się na antresoli. W dole światło latarki wędrowało w kierunku schodów. Wystrzelił bez celowania, zastanawiając się w duchu, ile mu jeszcze zostało naboi. W kieszeni miał dwa dodatkowe magazynki, co go nieco uspokajało, chociaż w ustach czuł smak krwi.

Rozglądał się za jakąś kryjówką. Wróg wspinał się po schodach. Chaplain czuł całym sobą wibrowanie wiszących stopni. Usłyszał szczęk nowego magazynka w broni przeciwnika. Powinien zrobić to samo, ale najpierw musiał się ukryć. Przez chwilę myślał o tym, żeby schować się za szklaną ścianą łazienki, lecz uznał, że to zbyt oczywiste i że zabójca na pewno tam właśnie będzie go szukał.

Przesunął się więc w lewo i wcisnął między łóżko i ścianę.

Zgięty wpół, wstrzymując oddech, obmyślał dalszą strategię. Kiedy pojawi się napastnik, oświetli schody latarką i skieruje się do łazienki, a wtedy

Chaplain strzeli do niego przez szybę i trafi go w plecy. Pocisk nie przebij e kamizelki kuloodpornej. Przeciwnik przywrze jednak do ściany, wówczas on skoczy do przodu i wystrzeli mu w twarz, opróżniając magazynek. Potem nie będzie już mowy o ponownym załadowaniu broni.

Zamarł w bezruchu. Zabójca był blisko, w odległości paru metrów. Ciężko dyszał, sapał jak dziki zwierz. Chaplain słyszał wszystko. Niepewny krok zabójcy. Jego dyszenie. Jego strach… Sprawiało mu przyjemność, gdy czuł, że ten bezwzględny morderca jest na skraju paniki.

Napastnik omiótł wolno latarką wnętrze mansardy i ruszył w stronę łazienki. Chaplain opuścił kryjówkę i wystrzelił kilka razy, aż w pistolecie zabrakło naboi. Osłona z grubego szkła rozprysła się, podobnie szklana ściana nad biurkiem. W półmroku fruwały strzępy zasłon. Jednak draniowi nic się nie stało, bo błyskawicznie wycofał się na podwieszane schody.

Chaplain, nie zastanawiając się dłużej, odrzucił broń i wpadł do łazienki. Zanim znalazł okno, morderca zaczął z powrotem wspinać się po stopniach.

Powietrze przesycone było zapachem prochu. Chaplain zobaczył snop światła latarki, która znowu omiatała przestrzeń. Zabójca go nie widział. I nic dziwnego, bo Chaplain był w wannie. W ręce ściskał kawałek szkła, jako broń ostatniej szansy. Chrzęst szklanych odłamków pod nogami zabójcy był coraz bliższy. Chaplain nie mógł się ruszyć, by nie zdradzić swojej kryjówki, bo wanna pełna była rozbitego szkła…

Jak daleko znajdował się zabójca?

Pięć metrów?

Trzy metry?

Jeden metr?

Kolejny odgłos był tak bliski, że Chaplain odniósł wrażenie, jakby szkło zazgrzytało w jego zębach. Chwycił się brzegu wanny i wstał, wymachując w ciemnościach ostrym kawałkiem. Na nic nie natrafił. Poślizgnął się. Ciężko upadł, uderzając karkiem w baterię.

Kiedy otworzył oczy, najemnik mierzył do niego z broni, kilka centymetrów od jego czoła, naciskając z wściekłością spust. Chaplain głupio zasłonił się rękami, ale nie usłyszał huku wystrzału. Broń się zacięła. Arnaud, oślepiony latarką taktyczną umieszczoną na lufie, zamachnął się ręką uzbrojoną w szkło i trafił zabójcę w twarz. Napastnik nadal próbował wystrzelić, lecz nabój utknął w magazynku na dobre. Chaplainowi udało się wstać na jedno kolano. Chwycił przeciwnika za kark i ponownie zamierzył

się na niego kawałkiem szkła. Zobaczył, że wbiło się w prawy policzek i wyszło przez lewy oczodół. Zabójca nadal nie wypuszczał broni z ręki. Trząsł się ogarnięty konwulsjami. Latarka przymocowana do pistoletu oświetlała wnętrze wanny, a odblask od niej rozjaśniał całą scenerię.

Chaplain zobaczył w lustrze twarz napastnika przebitą szkłem i swoją własną. Patrzyli na siebie w milczeniu, z wściekłością w oczach. Najemnik znowu próbował wystrzelić, ale nie był już w stanie utrzymać niczego w rękach. Zwalił się na podłogę. Chaplain przełożył przez krawędź wanny nogę, lecz konający chwycił ją w ostatnim wysiłku. Arnaud kopnął go w twarz, aż pękł mu obcas. Znowu trysnęła krew.

– Co tu się dzieje? Czy wszystko u pana w porządku?

Chaplain spojrzał zrozpaczonym wzrokiem na dół. Na dziedzińcu zgromadzili się sąsiedzi, którzy próbowali coś dojrzeć przez poszarpane zasłony. Podniósł swój pistolet, a także, na wszelki wypadek, broń najemnika. Latarka świeciła teraz w głębi jego kieszeni.

Na antresoli ściągnął z siebie pobrudzony krwią płaszcz i włożył drugi, który wyjął ze ściennej szafy.

– Czy jest tam ktoś?

Przewrócił makietę *Pen Duicka* i rozbił butem kadłub, z którego wyleciały banknoty po pięćset euro. Zagarnął, ile się dało, i wypchał nimi kieszenie. Wziął również dokumenty – paszport, dowód osobisty, kartę ubezpieczenia zdrowotnego… Następnie wdrapał się na biurko i wyjrzał na zewnątrz przez okno. Dachy kryte blachą, rynny, gzymsy…

Przerzucił nogi przez framugę okienną i skoczył na pierwszy z brzegu dach.

Wejście dla artystów.

Tak kierowca taksówki nazwał boczne drzwi do szpitala Sainte-Anne na ulicy Cabanis 7. Dyskretna wnęka w wysokim ślepym murze fortecy dla wariatów. Doskonałe dla niego. Chaplainowi nie zależało na tym, by wchodzić z fanfarami przez główną bramę szpitala. Zapłacił kierowcy i wysiadł. Natychmiast poczuł lodowate powietrze.

Była ósma trzydzieści rano.

Po ucieczce z loftu błąkał się po ulicach, owinięty w płaszcz, osłaniając nim poplamione, przesiąknięte zapachem prochu ubranie, czując jednocześnie, jak klei mu się do ciała zakrwawiona, lodowata koszula. Chodził jak obłąkany, całkiem ogłupiały, aż dotarła do niego oczywista prawda, że nie miał przed sobą żadnej przyszłości. Że powinien jak najszybciej udać się do szpitala Sainte-Anne. Poddać się. Skapitulować. To było jedyne wyjście.

Jedno nazwisko rozbrzmiewało w jego głowie.

François Kubiela, specjalista, o którym mówiła Nathalie Forestier.

On jeden będzie umiał go wyleczyć, zrozumieć, ochronić…

Z tego powodu czekał do rana.

Chciał zobaczyć się z profesorem osobiście…

Szedł teraz przez park kampusu szpitala Sainte-Anne. Nad budynkami z mroku wyłaniało się światło. Chaplainowi przyszło na myśl pole bitwy – krew na niebie, rany…

W parku było pusto. Szpalery grabów w równych liniach.

Idealnie przycięte, ogołocone z liści gałęzie. Ściany budynków gładkie, pociemniałe, surowe, bez żadnych ozdób. Wszystko tutaj miało pasować do umysłowości szaleńców.

Chaplain szedł alejkami na chybił trafił. W ustach czuł suchość, w żołądku miał pustkę. Całe jego ciało poddało się jakiemuś upojeniu. Czuł ciężar broni – swojego CZ i sig sauera, którego markę odczytał na lufie. Na widok takiego arsenału Kubiela nie odważy się wezwać policji. A on zdąży mu wyjaśnić cel swego przybycia. Zresztą zna tę sprawę tylko od jednej strony…

Alejki nosiły nazwy sławnych ludzi chorych psychicznie: Guy de Maupassant, Paul Verlaine, Vincent van Gogh… Czytał tablice, napisy na frontonach budynków, ale nie znajdował tego, czego szukał. Nathalie Forestier mówiła o klinice chorób psychicznych i zaburzeń nerwicowych. Trzeba znaleźć jakiego pielęgniarza i zapytać go o drogę.

Przeszedł jeszcze kilka kroków i zobaczył mężczyznę w kombinezonie roboczym, który zamiatał chodnik. Młody, z jasną brodą, kręconymi włosami i takimi samymi brwiami. Nie zauważył go, zajęty swoją pracą. Chaplain domyślił się, że to pacjent, któremu w dowód zaufania powierzono takie zajęcie. Był już tylko kilka kroków od niego. Kiedy zamierzał zapytać go o drogę, człowiek z miotłą podniósł wzrok.

W jednej chwili jego twarz się rozjaśniła.

– Dzień dobry, profesorze Kubiela! Dawno pana nie widzieliśmy!

V

FRANÇOIS KUBIELA

Świat psychiatrii i jednocześnie świat malarstwa są dziś pogrążone w żałobie. We wtorek 29 stycznia 2009 roku, około godziny 23, na autostradzie A31, w pobliżu granicy z Luksemburgiem, zginął François Kubiela. Nie wiadomo, z jakiego powodu utracił kontrolę nad kierownicą. Samochód psychiatry, jadący, jak się sądzi, z szybkością 140 kilometrów na godzinę, wpadł na barierę tuż przed skrętem na Thionville-Metz. Pojazd natychmiast stanął w ogniu. Kiedy na miejscu zjawił się ambulans, ciało François Kubieli było już zwęglone…

Wciąż w szoku z powodu odkrycia swojej nowej tożsamości – bez wątpienia jedynej prawdziwej – Kubiela miał teraz przed sobą nekrolog zawiadamiający o jego własnej śmierci.

Biegał jak oszalały ulicami Trzeciej Dzielnicy, aż trafił na otwartą kafejkę internetową obok stacji metra Glacière. Skoro tylko usiadł, wystukał na klawiaturze komputera swoje nowe nazwisko.

Pierwszą wiadomością w Google był nekrolog z „Le Monde”, z trzydziestego pierwszego stycznia. I był to jego nekrolog. Na dwudziestej piątej stronie gazety umieszczono czarno-białe zdjęcie zmarłego psychiatry – on sam, w białym kitlu, uboższy o kilka zmarszczek, uśmiech jeszcze bardziej uwodzicielski.

Nie próbując nawet zrozumieć tego niesamowitego zwrotu akcji, zagłębił się w życiorys zmarłego François Kubieli, psychiatry i znanego malarza.

18 listopada 1971 Urodzony w Pantin, Seine-Saint-Denis, departament 93.
1988 Zaczyna studia medyczne.

1992 Pierwsze wystawy jego prac.
1997 Publikuje doktorat z psychiatrii na temat rozwoju osobowości u bliźniąt.
1999 Przyjęty do szpitala Paul-Guiraud w Villejuif.
2003 Retrospektywna wystawa jego prac w galerii MEMO w Nowym Jorku.
2004 Zostaje ordynatorem oddziału (najmłodszym we Francji) w szpitalu Sainte-Anne.
2007 Publikuje pracę *Gra jaźni* na temat syndromu osobowości wielorakiej.
29 stycznia 2009 Ginie w wypadku na autostradzie A31.

Potwierdziły się jego przypuszczenia. Miał mniej więcej tyle lat, ile było w fałszywych dokumentach. Szedł równolegle dwiema drogami – psychiatrii i malarstwa. Nie miał żony, dzieci, nawet oficjalnej partnerki. Ale z tak uwodzicielskim uśmiechem z pewnością nieczęsto bywał samotny.

Wróciły strzępy wspomnień z ogrodu Villi Corto, zimowych wyjazdów na narty, intymnych wieczorów w mieszczańskim apartamencie w Paryżu. Wypraw na południe Francji. Kubiela prowadził życie wygodne, błyskotliwe, nigdy się nie przywiązując ani nie angażując. Samotny łowca czy egocentryczny drapieżca? Odpowiedź znajdowała się gdzieś między jednym a drugim. Wybitny naukowiec obdarzony talentem malarskim, który nikogo w szczególności nie wyróżniał.

Praca doktorska z 1997 roku przyniosła mu rozgłos. Jako uczeń psychologa dziecięcego Renego Zazzo, autora dzieł o bliźniętach, sam również przez szereg lat badał pary bliźniąt jednojajowych. Podobnie jak Zazzo analizował niewidoczne więzi, jakie je łączą, uzależniając jedno od drugiego. Podobieństwo charakterów, zbieżność reakcji, a nawet kontakt telepatyczny, które od wieków fascynują ludzi. To właśnie była domena Kubieli.

Interesował się również problemem tożsamości. W jaki sposób tworzy się osobowość? Jaki jest związek między dziedziczonym DNA i życiowym doświadczeniem?

Wnioski Kubieli zaskoczyły środowisko naukowców. Odrzucał całkowicie zasadę twórcy psychoanalizy („osobowość człowieka zależy od tego, co przeżył w dzieciństwie”) oraz kredo nowych nauk neurobiologicznych („nasza psyche sprowadza się do szeregu zjawisk fizjologicznych”). Nie negując całkowicie tych poglądów, Kubiela, chcąc opisać i objaśnić osobowość każdej ludzkiej istoty, odwoływał się do pewnego elementu wrodzonego, być może boskiego pochodzenia. Teoria, która śmiało wykraczała poza racjonalne, naukowe ramy.

Wielu kolegów po fachu skrytykowało „bazarowy spirytualizm” Kubieli, nikt jednak nie podawał w wątpliwość jakości samych badań. Zresztą równolegle do działalności naukowej kontynuował z powodzeniem praktykę lekarską, najpierw w szpitalu w Villejuif, następnie w paryskim szpitalu Sainte-Anne.

Dziesięć lat po opublikowaniu pracy doktorskiej Kubiela napisał drugą książkę, ujmującą całościowo jego prace nad osobowością wieloraką. I tym razem jego praca wywołała poruszenie. Po pierwsze dlatego, że syndrom ten nie został oficjalnie uznany w Europie. Po drugie, ponieważ Kubiela traktował każdą z osobowości swoich pacjentów jak autonomiczną tożsamość, która istniała sama w sobie, a nie jako objawy psychozy. W jego książce zauważono powtarzającą się ideę, że osobowości te zostały zdeponowane w jednym umyśle jakby przez boską rękę…

Zrozumiał przynajmniej jedną rzecz: nie było nic dziwnego w tym, że badacz zainteresował się przypadkiem Christiana Miossensa i jego psychiczną ucieczką. Znalazł nowy tor poszukiwań. Po bliźniakach i schizofrenikach Kubiela zamierzał zająć się „pasażerami bez bagażu”.

Domyślał się dalszego ciągu. Kubiela poszukał innych takich przypadków we Francji. Trafił na uciekiniera z Lorient, o którym wspomniała Nathalie Forestier. Zauważył związek między tymi dwoma pacjentami. Zaczął drążyć, pytać, znalazł ślad Sasha.com. Zapisał się do klubu, poznał Feliz. Później, w niejasnych okolicznościach, sam został wybrany na królika doświadczalnego klinicznych prób prowadzonych przez Mêtis.

W artykule nie było oczywiście ani słowa na temat ostatnich badań psychiatry. Zastanawiano się jedynie, co robił w środku nocy na autostradzie A31. I rzeczywiście, co tam robił? Nie było odpowiedzi na to pytanie, bo to nie on był tym, który zmarł…

Kubiela zatrzymał się dłużej nad scenerią wypadku. Do kogo należało ciało spalone w samochodzie? Czy do innego królika doświadczalnego grupy Mêtis? Do człowieka, którego zabito śmiertelnym zastrzykiem, a ogień skutecznie zatarł prawdziwą przyczynę śmierci? Najwyraźniej śledztwo było powierzchowne. Ani przez chwilę nie wątpiono w tożsamość kierowcy samochodu – tablica rejestracyjna, rysopis, ubranie, zegarek, resztki znalezionych dokumentów, wszystko pasowało do François Kubieli. Dlaczego Mêtis zadał sobie tyle trudu? Czy ludzie odpowiedzialni za eksperyment

obawiali się, że zniknięcie znanego psychiatry spowoduje więcej problemów niż w wypadku zwykłych „zagubionych”?

Przeszedł do artystycznej strony swojej egzystencji. Kubiela był samoukiem – oto, dlaczego nic nie znalazł na temat swoich studiów artystycznych. Zaczął malować, będąc jednocześnie studentem wydziału medycznego. Pierwsze płótna prezentował na wystawach zbiorowych. Jego obrazy zostały natychmiast zauważone. Był koniec lat dziewięćdziesiątych.

Kilka kliknięć i znalazł ilustracje. Obrazy przypominały autoportrety Narcyza, ponieważ był obecny na każdym płótnie, choć zagubiony w szerszym, bardziej surrealistycznym tle. Puste place jak u Giorgia de Chirico, starożytne miejsca, dziwna architektura, poza czasem i przestrzenią. Na każdym obrazie Kubiela trzymał lusterko i kątem oka oglądał w nim siebie. Tym sposobem widziało się jego twarz dwa razy. Co symbolizowała ta przedziwna sceneria?

Ceny obrazów Kubieli wciąż rosły, a po jego śmierci wręcz eksplodowały. Gdzie są te pieniądze? Kto je odziedziczył? Ten szczegół przypomniał mu Narcyza. Ciekawe, że nikt nie dokonał porównania między dziełami szalonego malarza i płótnami Kubieli, w których osobą centralną był on sam. Choć kanwa z pewnością różna…

Przeszedł do spraw rodzinnych. Kubiela urodził się w Pantin w rodzinie polskich imigrantów. Ojciec był robotnikiem, matka, żeby wystarczało im pieniędzy do końca miesiąca, pracowała jako pomoc domowa. Oboje wypruwali z siebie żyły, by opłacać studia jedynego syna. Ojciec, Andrzej, umarł w 1999 roku. Artykuł nie mówił nic o matce, Franciszce. Wynikało z tego, że nadal żyła. François nie miał żadnych sentymentów do polskich korzeni, ale zachował, jak pisano w artykule, nostalgiczne wspomnienie o dzieciństwie na przedmieściu i podstawowych wartościach wpajanych mu przez rodziców. Nigdy nie ukrywał zresztą swoich lewicowych poglądów, chociaż brzydził się wszystkim, co mogło mniej lub bardziej przypominać komunizm – w tym nie odbiegał daleko od polskich rodziców.

Przerwał lekturę. Nagle uświadomił sobie, jak wygląda i jaka jest jego sytuacja. Nieogolony, potargany, owinięty w płaszcz, który miał zasłonić podartą, sztywną od krwi fioletową koszulę. Tym razem całkiem realnie był winien dwóch zabójstw. Wstał, by kupić sobie kawę. Czuł się jak ogłuszony. Rozgorączkowany słaniał się na nogach. Nocna walka. Wiadomość

o własnej śmierci. Odkrycie prawdziwej tożsamości. Było od czego się zagubić.

Wypił łyk kawy, nie czując nic poza tym, że była gorąca. To wrażenie przypomniało mu wstrętne w smaku napoje z automatu na oddziale Henri-Ey. Ile czasu upłynęło, odkąd wyjechał z Bordeaux? Ile przeżył osobowości, ile śmierci? Wrócił, by usiąść ponownie przed ekranem komputera. Czekało na niego zdjęcie François Kubieli, biały kitel, czarne włosy. Podniósł kubek w toaście za swoje zdrowie.

Czas na kolejny ruch. Nie miał wyboru. Chciał powierzyć swój los Kubieli, a znalazł siebie samego. Musi więc wyruszyć na polowanie… Najpierw jednak powinien znaleźć sobie kryjówkę. Miał pieniądze, ale nie mógł wrócić do hotelu. Zatrzymał fałszywe dokumenty, tylko jaki mógł zrobić z nich użytek? Po podwójnym zabójstwie w lofcie jego twarz jest na pewno pokazywana we wszystkich mediach.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Najprostszy z możliwych.

Wrócić do matki.

Kto go będzie szukał u Franciszki Kubieli, matki zmarłego psychiatry? Zatarł ślady po swoich poszukiwaniach i odnalazł stronę z książką telefoniczną rejonu Ile-de-France.

W spisie abonentów z Pantin figurowała tylko jedna Franciszka Kubiela.

Mieszkała na ulicy Jean-Jaures 37.

Ta nazwa, ta cyfra nic mu nie mówiły. Jego osobista pamięć nadal była zamknięta na kłódkę. Przywykł do tego. Ale matka? Jak zareaguje? Kiedy otworzy drzwi i zobaczy zmarłego przed rokiem syna, z pewnością dostanie ataku serca.

Czy będzie to wciąż sprawna umysłowo kobieta?

A może mumia zamknięta w czterech ścianach swego domu? Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Wstał i skierował się do wyjścia.

Anaïs Chatelet wyszła z więzienia dla kobiet we Fleury-Mérogis o dziesiątej rano. Procedury administracyjne trwały ponad czterdzieści pięć minut. Odpowiadała na pytania, podpisywała dokumenty. Oddano jej buty, kurtkę, dokumenty osobiste, komórkę. W końcu była wolna. Miała się stawić u sędziego w najbliższy poniedziałek i nie wolno jej było opuszczać Paryża. Od tego dnia zaczynała się sądowa kuratela nad nią. Miała się zgłaszać raz w tygodniu w komisariacie na placu des Invalides, do którego trafiła po strzelaninie na ulicy de Montalembert.

Gdy przeszła próg więzienia, zamknęła oczy i odetchnęła głęboko świeżym powietrzem. Poczuła, jak natychmiast regeneruje się cały jej organizm.

Sto metrów od wejścia stał samochód, wyraźnie odcinający się na tle wiaty autobusowej i ołowianego nieba. Poznała ten wóz. A w każdym razie jego model. Czarny mercedes o wyglądzie karawanu. Jean-Claude Chatelet. Obecnie wielki szef, a dawniej generał dyktatury.

Ruszyła w kierunku wozu. Ostatecznie zawdzięczała ojcu wolność. Nie zrobiła jeszcze pięciu kroków, kiedy z samochodu wysiadł Nicolas.

– *Mademoiselle* Anaïs.

Krępy, niewysoki mężczyzna miał łzy w oczach. Zastanawiała się w duchu, jakim sposobem oprawca kalibru jej ojca znalazł sobie tak wrażliwego adiutanta. Pocałowała go w policzek i usiadła z tyłu.

W wozie czekał na nią Jean-Claude Chatelet, rozparty wygodnie, jak zawsze opalony na brąz, jak zawsze imponujący. W świetle podsufitowej

lampki przywodził na myśl lśniącą, groźną broń, ukrytą w ciemnej skórzanej kaburze.

– Pewnie powinnam ci podziękować?

– Nie żądam od ciebie aż tyle.

Trzasnęły drzwi. Nicolas zajął miejsce za kierownicą. Po kilku sekundach jechali drogą krajowąN104 w kierunku Paryża. Anaïs kątem oka obserwowała ojca. Lniana turkusowa koszula i granatowy sweter z dekoltem w serek. Wyglądał tak, jakby został przeniesiony prosto ze swojego jachtu między zwykłych handlowców z departamentu Essone.

W głębi duszy Anaïs była zadowolona, że go znowu spotyka. Jego widok odnawiał w niej nienawiść. A to oznaczało, że wzmacniał jej kręgosłup.

– Czy przyjechałeś, żeby mi przekazać jakąś wiadomość?

– Tym razem to rozkaz.

Podniósł oddzielający ich drewniany podłokietnik. Wewnątrz znajdował się barek z oddzielnymi przegródkami na napoje gazowane oraz termosy błyszczące niczym torpedy.

– Napijesz się czegoś? Kawa? Coca-cola?

– Może być kawa.

Chatelet nalał kawę do szklanki zdobionej motywem łodyg kalamusa. Anaïs wypiła łyk. Mimo woli zamknęła oczy. Najlepsza kawa na świecie. Odzyskała równowagę. Nie da się omamić tym znanym jej trującym fałszem – serdecznością, łagodnością, wyrafinowaniem płynącym z morderczych rąk.

– Zostaniesz w Paryżu przez kilka dni – powiedział ojciec swoim modulowanym głosem. – Zarezerwowałem ci pokój w hotelu. Pójdziesz do kuratora, a potem do sędziego. W tym czasie załatwimy przeniesienie twojej sprawy do Bordeaux i wtedy zabiorę cię do Żyrondy.

– Do twojego lenna?

– Moje lenno nie ma granic. Świadczy o tym twoja obecność w tym samochodzie.

– Jestem pod wrażeniem – skwitowała ironicznie.

Chatelet odwrócił się w jej stronę i utkwił w niej swoje oczy.

Miał jasne tęczówki, zwodnicze, niszczycielskie. Na szczęście ona odziedziczyła kolor oczu po matce. Oczy Chilijki, szare jak antracyt, minerał, którego pokłady znajdują się tysiące metrów pod ziemią u podnóża Andów.

– Ja nie żartuję, Anaïs. Zabawa się skończyła.

Po ostrzeżeniu z ostatniej niedzieli przyszła pora na sankcje. Opuściła Fleury-Mérogis, żeby znaleźć wolność nadzorowaną. W miejsce żelaznej pięści więzienia – aksamitna rękawiczka jej ojca.

– Już mówiłem, że ci ludzie nie żartują. Powierzono im misję. Reprezentują system.

– Opowiedz mi o tym systemie.

Chatelet westchnął i poprawił się w fotelu. Chyba zaczynał pojmować, że również nie ma wyboru. Jeśli chce przekonać córkę, musi powiedzieć wszystko.

Strugi deszczu uderzyły w przednią szybę z niespodziewaną gwałtownością. Enolog zdecydowanym ruchem otworzył puszkę coli light.

– Nie istnieje żaden spisek – zaczął cichym głosem. – Nie ma żadnych machinacji ani, jak przypuszczasz, tajemnego planu.

– Ja nic nie przypuszczam. Słucham tego, co masz mi do powiedzenia.

– Grupa Mêtis została założona przez najemników francuskich i belgijskich w latach sześćdziesiątych. Od tamtej pory wiele się zmieniło. Dzisiaj firma ta nie ma nic wspólnego z tego rodzaju działalnością.

– Mêtis jest jednym z czołowych graczy na rynku preparatów psychotropowych. Jego naukowcy prowadzą badania nad kontrolą mózgu.

– Mêtis jest producentem chemikaliów i farmaceutyków, podobnie jak Hoechst czy Sanofi-Aventis. To jeszcze nie czyni ich spiskowcami manipulującymi umysłem ludzkim.

– A te firmy ochroniarskie?

– Chronią jednostki produkcyjne. Pracują wyłącznie na rzecz grupy.

Anaïs przeglądała listę klientów ACSP. Jej ojciec kłamał albo się mylił. Firma proponowała różne usługi także innym przedsiębiorstwom w departamencie Żyrondy. Być może jednak jej główni klienci należeli do mgławicowego Mêtisu.

– Znam dwóch facetów, którzy mają dziwne pojęcie o tym, na czym polega ochrona.

– Mêtis nie ma z tym nic wspólnego. Odpowiedzialni za ten bałagan są ci, którzy wykorzystali ACSP do ukrycia swoich… interesów.

Tak więc znał szczegóły operacji. Huk grzmotu rozbrzmiał niczym fala uderzeniowa wstrząsów sejsmicznych. Jakby niebo było ze skały, która pękała od wewnątrz.

– To znaczy kto? – zapytała, z trudem panując nad swoim głosem.

– Mêtis produkuje środki uspokajające, przeciwdepresyjne, nasenne, neuroleptyczne… Oprócz produkcji w laboratoriach syntetyzuje się różne substancje, doskonali się leki. To normalna działalność przedsiębiorstwa farmaceutycznego.

– Jaki ma to związek z najemnikami z ACSP?

Chatelet pił powoli swoją colę, przyglądając się widocznym za szybą skąpanym w deszczu szarym sylwetkom fabryk, magazynów, centrów handlowych.

– Armia czuwa nad tymi badaniami. Mózg ludzki zawsze pozostanie głównym celem, ale jest także bardzo ważną bronią. Drugą połowę ubiegłego wieku poświęciliśmy na rozwój broni nuklearnej. A wszystko po to, by jej nikt nie użył. Mieć kontrolę nad mózgiem to inny sposób na uniknięcie bezpośredniego starcia. Jak powiedział Lao-cy: „Prawdziwym zwycięzcą jest ten, kto umie zwyciężać bez bitwy”.

Anaïs nie cierpiała ludzi, którzy używają cytatów. Jej zdaniem była to fałszywa metoda, żeby się wznieść na poziom mędrca. Nie miała zamiaru dać się po raz drugi zagadać.

– Mêtis dokonał odkrycia pewnej substancji.

– Nie Mêtis. Jedno z laboratoriów grupy, która jest ich akcjonariuszem.

– Jak się nazywa to laboratorium?

– Nie wiem.

– Masz mnie za idiotkę?

– Nie znieważałbym nikogo z rodziny. Uczestniczę w spotkaniach, podczas których nie mówi się o takich szczegółach. To laboratorium w Vendee. Ośrodek prób klinicznych, który prowadzi samodzielne badania. Na ogół bezużyteczne.

– Substancja, która wywołuje rozszczepienie umysłu? Bezużyteczna?

– Tak nam powiedziano. Zresztą ta substancja nie jest jeszcze ustabilizowana, a efekty jej działania trudno przewidzieć.

– Nie możesz zaprzeczyć, że ludzie poddani tym doświadczeniom cierpią na zaburzenia psychiczne.

Chatelet pokiwał wolno głową. Ruch, który mógł oznaczać wszystko. Deszcz smagał mercedesa niczym szczotki obracające się w myjni.

– Nas interesuje wyłącznie kontrola nad mózgiem.

– „Nas”… to znaczy kogo?

– Siły obronne kraju.

– Zaciągnąłeś się do francuskiej armii?

– Jestem tylko konsultantem. Pośrednikiem między Mêtisem a rządem. Należę do mniejszościowych akcjonariuszy grupy. Znam również wojskowych starej daty, którzy mają jeszcze coś do powiedzenia w armii francuskiej. Dlatego brałem udział w przygotowaniu tego programu. To wszystko.

– Jaką nazwę ma ten program?

– Matrioszka. Rosyjska lalka. Z powodu kolejno po sobie następujących przeobrażeń, wywołanych przez tę substancję. Jednak program został definitywnie zastopowany. Prowadzisz śledztwo w sprawie czegoś, co już nie istnieje. Uznaliśmy ten program za niewypał.

– A eliminowanie ludzi? Porwania? Tortury psychiczne? Czy uważacie, że jesteście ponad prawem?

Chatelet ponownie napił się coli. Anaïs, której było coraz bardziej gorąco, jakby przez kontrast widziała lodowate kropelki na ustach ojca.

– Kto tak naprawdę zginął? – zapytał swoim południowym akcentem. – Kilku samotnych pomyleńców? Parę dziwek, które nie umiały trzymać języka za zębami? Daj spokój, córko. Jesteś zbyt dorosła, by odgrywać idealistkę. W Chile mówi się: „Nie obiera się owocu, który jest zgniły”.

– Trzeba go połknąć takim, jaki jest?

– Właśnie. Moja droga, znajdujemy się w stanie wojny. Kilka ofiar nie da się porównać z oczekiwanymi rezultatami. Co roku ataki terrorystyczne powodują śmierć tysięcy ludzi, destabilizują sytuację w wielu krajach, stwarzają zagrożenie dla światowej gospodarki.

– Głównym wrogiem jest więc terroryzm?

– Dziś tak.

Anaïs potrząsnęła głową. Nie mogła się pogodzić z tym, że na ziemi francuskiej dzieją się bezkarnie takie rzeczy.

– Jak możecie porywać obywateli tego kraju i wstrzykiwać im substancje o nieznanym działaniu? A potem zabijać ich jak gdyby nigdy nic?

– Doświadczenia na ludziach są tak stare jak wojna. Naziści badali granice wytrzymałości ludzkiej na Żydach. Japończycy wstrzykiwali chorobotwórcze bakterie Chińczykom. Koreańczycy i Rosjanie wszczepiali trucizny jeńcom amerykańskim.

– Mówisz o dyktaturach, o reżimach totalitarnych, które miały za nic istoty ludzkie. Francja jest krajem demokratycznym, kierującym się prawem i wartościami moralnymi.

– W latach dziewięćdziesiątych czeski generał, Jan Sejna, opowiadał w Stanach Zjednoczonych, co widział po wschodniej stronie muru berlińskiego. Eksperymenty na żołnierzach amerykańskich, manipulacje z mózgiem, testowanie narkotyków i trucizn na więźniach… Wszystko to przeszło bez echa. Z prostego powodu: CIA robiła dokładnie to samo.

Anaïs próbowała przełknąć ślinę. Paliło ją gardło.

– Twój cynizm jest przerażający.

– Jestem człowiekiem czynu. Nie mogę okazywać emocji. To dobre dla polityków opozycji lub krzykliwych dziennikarzy. Prawdziwy pokój nie istnieje. Wojna trwa wiecznie, na mniejszą lub większą skalę. A jeśli chodzi o substancje psychoaktywne, nie da się ich testować na zwierzętach.

Jean-Claude Chatelet wygłosił swoją opinię tonem stanowczym, niemal radosnym. Miała ochotę rozbić mu tę uśmiechniętą twarz o szybę, ale pomyślała po raz kolejny, że właśnie ta nienawiść nie pozwala jej popaść w całkowitą depresję.

– Kim są szefowie tego programu? Inspiratorzy?

– Jeśli chcesz usłyszeć nazwiska, będziesz rozczarowana. Wszystko to gubi się w meandrach władzy. W powieściach i książkach historycznych spiski i tajne operacje są racjonalnie zorganizowane. W rzeczywistości panuje tam burdel. Zapomnij o liście winnych. A to, co uważasz za okrucieństwo, jest tylko sposobem na ograniczanie szkód. Odcięciem nogi czy ręki, w którą wdała się gangrena.

Cisza. Wściekłe bębnienie deszczu. Jechali już podmiejskim bulwarem. Miasto, słabo widoczne z powodu ulewy, nie wydawało się ani bardziej przyjazne, ani bardziej ludzkie niż konstrukcje z betonu i stali, które im dotąd towarzyszyły. Choroba przedmieścia zaraziła stolicę.

Został jeszcze jeden punkt do wyjaśnienia.

– W związku z tymi eksperymentami popełniono różne morderstwa. Morderstwa zainspirowane mitologią.

– To główny problem tego programu.

– Wiesz o tym?

– Matrioszka zrodziła potwora.

Anaïs nie oczekiwała takiej interpretacji.

– U jednego z pacjentów – mówił dalej – substancja ta wyzwoliła morderczy, bardzo dziwny popęd. Człowiek ten tworzy scenerię z szaleńczym rytuałem inspirowanym mitologią. Ale przecież ty to wiesz.

– Zidentyfikowaliście tego… pacjenta?

– Nie udawaj głupiej. Doskonale wiesz, o kogo chodzi. Trzeba go aresztować i zlikwidować, zanim sytuacja przybierze znacznie gorszy obrót.

A więc to tak. Freire nie znalazł się przypadkowo na czarnej liście. Był człowiekiem, którego należało zabić w pierwszej kolejności. Anaïs otworzyła okno, strumień zimnej wody chlusnął jej w twarz. Jechali teraz wzdłuż Sekwany. Przed oczami mignęła jej tablica z napisem: PARYŻ CENTRUM.

– Zatrzymaj się.

– Nie dojechaliśmy jeszcze do dzielnicy, gdzie znajduje się twój hotel.

– Nicolas! – wrzasnęła. – Zatrzymaj wóz, bo wyskoczę w biegu!

Adiutant spojrzał na swojego szefa, którego widział w lusterku wstecznym. Chatelet skinął głową. Nicolas zjechał na prawo i stanął. Anaïs wysiadła na wąski chodnik, podczas gdy drogą szybkiego ruchu długim, nieprzerwanym strumieniem pędziły samochody.

Nachyliła się do wnętrza wozu i zamiast pożegnania krzyknęła:

– On nie jest zabójcą!

– Mam wrażenie, że to śledztwo stało się dla ciebie sprawą osobistą.

Roześmiała się.

– I to ty mówisz coś takiego?

Dzielnica przywodziła mu na myśl biegun północny. Punkt na mapie, który byłby w stanie przyciągać wszystkie burze, nieszczęścia, całą rozpacz. Taksówka dowiozła go do wlotu ślepej uliczki Jean-Jaures w okolicy numeru 54. Deszcz bił o asfalt z siłą pocisków. Pod nogami miał drogę tłuczniową. Z trudem dostrzegał, co go otacza. Rozległ się grzmot, a błyskawica rozświetliła skupisko domków z piaskowca, rozlokowanych na łagodnym zboczu.

Kubiela ruszył pod górę. Atmosfera zmieniała się z każdym krokiem. Mury ociekające wodą, zmurszałe płoty chroniące domki do połowy zagrzebane w ziemi. Ręcznie namalowane numery na tabliczkach. Psy rzucały się na ogrodzenia i szczekały, zdzierając sobie gardła. Słupy elektryczne, stojące w kałużach, przypominały szubienice.

Z tego, co przeczytał w internecie, zrozumiał, że pochodził z ubogiej rodziny. Ale to, co zobaczył, przekroczyło jego oczekiwania. Wywodził się z takiego środowiska, które, jak przypuszczał, już od dawna nie istnieje – dzielnicy biedy, getta bez elektryczności i bieżącej wody. Urodził się w pozbawionej środków do życia rodzinie słowiańskich emigrantów.

W połowie zbocza skończyła się kamienna nawierzchnia. W błocie walały się kawałki żelastwa, kuchenki, części samochodowe. Kubiela czuł, jak rośnie w nim lęk. Już się niemal spodziewał, że zamiast swojego domu rodzinnego znajdzie cygański wóz, a w nim brudnych, bezzębnych Romów.

W rzeczywistości pod numerem trzydziestym siódmym stał domek z cegły, ze śladami kilkudziesięcioletniego zaniedbania. Odcinał się na szczycie wzgórza, obrośnięty perzem, otoczony klatkami na króliki. Deszcz siekł zarośla, ziemię, ściany, zamieniając wszystko w jedną szarą masę. Tylko czerwony dach błyszczał niczym świeża rana.

Opuszczone żaluzje i ogólne zniszczenie świadczyły, że od dawna nikt tu nie mieszkał. Jego matka się wyprowadziła. Biorąc pod uwagę to, co tu widział, nie wyobrażał sobie, by mogła wyjechać na Lazurowe Wybrzeże.

Przeskoczył przez płot obok furtki i trącił wiszący przy niej dzwonek, który zabrzęczał, przebijając się przez szum deszczu. W maleńkim ogródku nic nie rosło, a widoczne gdzieniegdzie opony i gruz podkreślały atmosferę opuszczenia. Kubiela przebrnął przez błoto aż do ganku, nad którym rozciągnięta była poszarpana markiza. Ukrył się pod nią przed deszczem siekącym tysiącem kropel.

Machinalnie nacisnął guzik dzwonka. Bez rezultatu. Na wszelki wypadek zapukał jeszcze w żelazną kratę, ochraniającą małe okienko w drzwiach. Żadnego ruchu wewnątrz. Podniósł z ziemi żelazny pręt, chcąc otworzyć nim na siłę żaluzje w najbliższym oknie. Uderzył w szybę, która rozprysła się z suchym trzaskiem. Najwyraźniej weszło mu to już w nawyk.

Chwycił się framugi i rozejrzał wokoło. Nikogo na horyzoncie. Wszedł do środka. Domek został opróżniony ze wszystkiego. Przyszło mu na myśl, że matka zmarła po tym, jak dowiedziała się o jego śmierci. Zresztą jedynym źródłem informacji na ten temat był artykuł w „Le Monde”, a od tego czasu minął rok.

Przedpokój. Kuchnia. Pokój jadalny. Żadnego mebla ani lampy, ani zasłon. Ściany beżowe lub rudawobrązowe, z licznymi zaciekami. Drewniana, popękana podłoga. Przy każdym kroku coś rozgniatał pod stopami. Karaluchy wielkie jak daktyle. Nabierał pewności, że to miejsce było świadkiem jego dzieciństwa. Wyobrażał sobie, jak bardzo chciał wydostać się z tej biedy, zdobywając wiedzę, robiąc dyplomy.

Nie chodziło tylko o sukces społeczny i materialny. Podejmując studia psychiatryczne, pragnął zmienić jakość swojego umysłu, ambicje, wymagania dnia codziennego. Druga rzecz, której był pewien: nigdy nie gardził rodzicami ani ich fizyczną pracą. Przeciwnie – kierował się wdzięcznością dla nich, chęcią wynagrodzenia im wszystkich trudów. Zamierzał wyrwać ich

z tej biedy, zmienić całkowicie ich życie. Czy podarował im nowy dom? Nic nie pamiętał.

Drewniane schody. Zwilgotniałe, pokryte pleśnią. Spod każdego stopnia wyskakiwały w półmroku jakieś insekty, po czym rozbiegały się na wszystkie strony. Chwycił się poręczy, czekając, kiedy rozpadnie się pod jego ręką. Ale nic takiego się nie stało. Przyszła mu do głowy absurdalna myśl, że dom go zaakceptował, że chciał, by dokończył swoją wizytę.

Korytarz. Pierwszy pokój z opuszczonymi żaluzjami. Czarny. Pusty. Przeszedł do następnego. To samo. Kolejny pokój – to samo. W końcu trafił na drzwi zamknięte na klucz. Nawet całkiem niedawno założono nową zasuwę. Ten fakt dał mu niejasną nadzieję. Spróbował ramieniem wyważyć drzwi, spodziewając się, że zaraz runą mu na głowę. Nic z tego. Zszedł na dół po żelazną sztabę. Wreszcie po dziesięciu minutach szarpaniny udało mu się dostać do środka.

Znowu pusty pokój. Tylko w kącie dwa kartonowe pudła przykryte workami na śmieci. Podszedł w półmroku do pudeł, zdjął ostrożnie z jednego plastikowy worek, spodziewając się, że zaraz wyskoczy jakiś szczur albo robaki. Znalazł w nim dość nowe zeszyty w plastikowych niebieskich okładkach. Przekartkował je i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Były to notatki François Kubieli na temat ucieczek psychicznych.

Nie mógłby znaleźć cenniejszego skarbu.

Zerwał worek z drugiego pudła. Koperty, fotografie, papiery urzędowe… Całe życie jego rodziny w cyfrach, w zaświadczeniach, zdjęciach i formularzach… Ktoś, kto włożył do pudeł wszystkie te dokumenty, postarał się, by nie zniszczyła ich wilgoć – na dnie każdego kartonu także leżał plastikowy worek.

Kto umieścił tutaj to archiwum? On sam. W miarę jak prowadził swoje badania, wyczuł grożące mu niebezpieczeństwo i schował w domku rodziców całą swoją naukową dokumentację dotyczącą badań i własnej przeszłości.

Otworzył okno i pchnął żaluzje. Strugi deszczu wpadły do środka, zanim zdążył znów je zamknąć. Rozejrzał się po pokoju.

Przy ścianie na prawo był kominek zamknięty stalową płytą. Tapety nosiły ślady stojących tam niegdyś mebli. Łóżko. Szafa. Komoda. Prostokąty po być może wiszących na ścianach plakatach. Kubiela domyślił się, że musiał to być jego pokój. Ten, który zajmował, gdy był małym chłopcem,

a potem młodzieńcem. Popatrzył na pudła. Przestudiowanie wszystkich tych dokumentów zajmie mu wiele godzin.

Zatarł ręce dla rozgrzewki. Klęknął na podłodze. Uśmiechnął się sam do siebie.

W jego życiu była jakaś gorzka logika.

Prowadzone przez niego śledztwo zaczęło się od pustych kartonów w Bordeaux.

A kończyło tymi pełnymi pudłami w Pantin.

Warto było przyjechać na komisariat choćby po to, żeby zobaczyć minę Solinasa. Komendant wiedział, że Anaïs wychodzi tego rana z Fleury, ale nie spodziewał się jej zobaczyć w swoim biurze. Bez wątpienia przypuszczał, że skorzysta z uwolnienia, żeby podjąć swoje śledztwo samodzielnie.

– Spoko, Solinas, to tylko ja.

– Jestem raczej zaskoczony – odrzekł, podnosząc okulary na czoło.

– Przecież zawarliśmy umowę, prawda?

– Umowy w naszych czasach… – Machnął ręką.

Wzięła krzesło i usiadła naprzeciw niego. Atmosfera wcale nie była taka lodowata. Oparłszy łokcie o blat biurka, Anaïs przystąpiła do rzeczy:

– Jestem pod nadzorem sądowym. W poniedziałek muszę stawić się u sędziego, który być może odeśle mnie z powrotem do więzienia. Jeśli nie, to zostanę wyekspediowana do Bordeaux dzięki życzliwości mojego ojca. A to oznacza, że mam tylko dzień dzisiejszy i weekend, żeby posunąć śledztwo do przodu.

Solinas się uśmiechnął. Zaczynał rozumieć.

– Jak widzę, masz niewielkie możliwości manewru.

– Ale muszę to zrobić, jeśli nie chcę wrócić do mamra.

Solinas uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Do czego doszliście? – zapytała.

Komendant zrobił niewyraźną minę. Znowu zaczął obracać na palcu swoją obrączkę.

– Do niczego, poza ustaleniem, że to zwłoki Mediny Malaoui. Wzięliśmy próbki DNA z jej mieszkania.

– Czy macie zamiar robić ekshumację?

– Co nam to da? Nie mamy możliwości dowiedzieć się czegoś więcej o jej życiu.

– Wiecie, z kim się ostatnio spotykała?

– Nie jesteśmy nawet pewni, kiedy dokładnie zniknęła. W jej mieszkaniu nie znaleziono żadnego kalendarza ani komputera. Albo zabrał je Janusz, albo ktoś inny przed nim.

– A rozmowy telefoniczne?

– Intuicja mi podpowiada, że używała innej komórki do kontaktowania się ze swoimi klientami.

– Konto w banku?

– Nic specjalnego. W tym zawodzie pracuje się na czarno.

– Wywiad u sąsiadów?

– Nic nie dał. Nikt jej nie widywał. Prowadziła nocny tryb życia.

– Była także studentką.

– Klienci oglądali jej tyłek częściej niż profesorowie blond loki.

Wulgarność Solinasa irytowała ją, ale w policji, jak w ogóle w życiu, towarzystwa się nie wybiera.

– Jakaś sieć, sutener?

– Szukamy.

– Skontaktowaliście się z BRP albo z OCRTEH?

Brygada do Walki ze Stręczycielstwem oraz Główny Urząd do Walki z Handlem Żywym Towarem – ważne organy do sprzątania brudów Republiki Francuskiej – były sukcesorami słynnej brygady obyczajowej.

– Nie – odparł Solinas kategorycznym tonem. – Nie chcę żadnej pomocy w tej sprawie.

– Nikt nie wie, że zwłoki zostały zidentyfikowane?

– Nikt.

Anaïs uśmiechnęła się do siebie. Mimo swojej pozycji, a może właśnie z jej powodu, Solinas był bardziej samotny niż niedźwiedź odesłany do parku narodowego. Jeśli chce wyjaśnić tę sprawę sam, nie może nikogo prosić o pomoc. A więc teraz potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek.

– Sol – pierwszy raz tak się do niego zwróciła, ale nie protestował – muszę dostać biuro, komputer podłączony do sieci, nieoznakowany samochód

i dwóch ludzi do dyspozycji. Chcę, żebyś zadzwonił na komisariat przy des Invalides i załatwił, że to ty zostaniesz moim sądowym kuratorem.

– I co jeszcze?

– Jeśli ja będę dowodzić – powiedziała, jakby nie słysząc jego pytania – będziesz miał wyniki przed upływem dwudziestu czterech godzin.

Solinas milczał. Cały czas bawił się swoją obrączką. Gest, jakim ją obracał, przypominał masturbację.

Anaïs nie ustępowała:

– Jestem twoją jedyną szansą na osiągnięcie tego, co chcesz. Twoi chłopcy nie mają przygotowania do prowadzenia spraw kryminalnych. Nie możesz nikogo wezwać do pomocy, a w poniedziałek prokuratura mianuje sędziego śledczego, który przejmie śledztwo.

Solinas nadal się nie odzywał.

– Wiesz to od początku. Właśnie z tego powodu przyszedłeś do mnie do więzienia Fleury.

Teraz wyglądał na rozdrażnionego. Ze zmarszczek na czole można było wyczytać jego myśli jak z otwartej książki.

– No więc tak czy nie?

Twarz Solinasa się odprężyła. Parsknął śmiechem.

– Co cię tak rozśmieszyło? – nastroszyła się Anaïs.

– Pomyślałem o twoim ojczulku.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Nie byłaś chyba łatwą córką.

– A on był trudnym do przyjęcia ojcem. Dasz mi to, czego potrzebuję, czy nie?

– Idź, zrób sobie kawę. Muszę to jakoś zorganizować.

Wyszła bez słowa. Korytarze z wykładziną, klimatyzacja, blade światło lamp pod sufitem przypominały jej niemal atmosferę aresztu, tyle że w wersji high-tech. To samo wrażenie uwięzienia. Bezbarwnie, bez kontaktu ze światem zewnętrznym, bez wolności.

Stanęła przed automatem z kawą, szukając drobnych. Ręce jej drżały, lecz było to przyjemne drżenie. Podjęła już decyzję. Poprowadzić śledztwo w dwóch kierunkach. Chłopcy Solinasa zajmą się Mediną. Ona zaś podejmie trop, o którym nikt nie wie – dagerotypy. Ani słowa o tym Solinasowi. Chciała zyskać przewagę nad tą bandą macho.

Nalała kawy do kubka. Pierwszy łyk poparzył jej usta. Drugi przeszedł lepiej, ale nie poczuła żadnego aromatu. W żołądku zaburczało, zabulgotało. Nie jadła nic od… od jak dawna?

Kiedy wróciła do biura, komendant nie był sam. Zastała tam dwóch facetów wielkich jak szafy. Wyglądali na bandziorów.

– Przedstawiam ci Fitona, który sympatyzuje z gotami, i Cernois, który ma gust bardziej klasyczny. To moi dwaj najlepsi chłopcy. Będą ci pomagać aż do poniedziałku.

Anaïs przyjrzała się tym typom. Jeden wielki i chudy, nieogolony, w brudnych dżinsach, ciemnych butach sportowych i czarnej marynarce. Na T-shircie, który miał pod nią, widniała gęba Iggy Popa. Uczesany w kucyk, z oczami obwiedzionymi czarną kredką, wyglądał na kompletnego pomyleńca. Drugi, tak samo wysoki, ale podwójnej tuszy, miał na sobie wygnieciony markowy garnitur, poplamiony krawat i trzydniowy zarost, który kontrastował z włosami ściętymi na jeża. Obaj mieli przy pasach dobrze widoczne pistolety.

Spodobali się jej natychmiast. Przypominali ekipę z Bordeaux. Z miejsca zorientowała się także, że tak się nadawali do prowadzenia śledztwa w sprawach o zabójstwo, jak ona do robienia na drutach. To byli mistrzowie od nalotów, a nie od mrówczej pracy, jakiej wymaga każde dochodzenie kryminalne.

– Moje biuro?

– Obok. Będę cię miał na oku. Nie zrobisz nic bez mojej wiedzy.

Pomyślała o dagerotypach. Chciała zaprotestować, ale dała sobie spokój.

– Bierzesz albo rezygnujesz – zakończył Solinas. – Myślę, że nie masz czasu na zastanawianie się.

Dwie godziny lektury, żeby uzyskać, w ogólnych zarysach, potwierdzenie jego wcześniejszych hipotez. Dziennik François Kubieli mieścił się w pięciu zeszytach w kratkę małego formatu, które psychiatra zapełnił gęstym, pochyłym, regularnym pismem. Zrobił to po staremu – długopisem, bez komputera, bez pendrive'a, bez podłączania się do internetu. Nic, tylko te pięć szkolnych zeszytów schowanych w zniszczonym domku.

Pisanie swojego dziennika zaczął czwartego września 2008 roku, kiedy na jego oddział w szpitalu Sainte-Anne został przyjęty czterdziestoletni mężczyzna z amnezją. Kubiela postanowił zapisywać wszystkie etapy jego choroby. Pacjent, który nie zgadzał się na żadne badanie tomografem ani na prześwietlenie rentgenowskie, bardzo szybko odzyskał pamięć. Nazywał się David Gilbert. Był inżynierem. Mieszkał na jednym z paryskich przedmieść, na południe od centrum.

Kiedy Kubiela sprawdził te informacje, wszystkie okazały się fałszywe.

W tym samym czasie dochodzenie w sprawie zaginięcia Christiana Miossensa doprowadziło policję do szpitala Sainte-Anne i pozwoliło odkryć prawdziwą tożsamość Davida Gilberta. Po miesięcznym pobycie w szpitalu został zawieziony do swojej siostry, Nathalie Forestier. Kubiela potwierdził swoją diagnozę: Miossens cierpiał na fugę dysocjacyjną. Syndrom mało znany we Francji.

Zapoznał się z pracami anglojęzycznymi na ten temat.

Rozmawiał także ze swoimi kolegami po fachu. Dowiedział się o innym przypadku, Patricka Sereny, leczonego w szpitalu specjalistycznym w des Châtaigniers, w regionie Lorient. Człowiek ten został znaleziony we wrześniu 2008 roku, kiedy błąkał się na drodze krajowej w pobliżu Saint-Nazaire. Twierdził, że nazywa się Alexandre. W rzeczywistości był to pracownik działu handlowego wydawnictwa specjalizującego się w e-bookach i audiobookach, kawaler, zamieszkały w Puteaux, w departamencie 92. Zaginął w kwietniu 2008 roku, gdy jako akwizytor jeździł po kraju. Jakim sposobem znalazł się w Bretanii? Co wywołało jego chorobę? Co robił między kwietniem a wrześniem 2008 roku? Podpisał prośbę o dobrowolną hospitalizację i został przyjęty do szpitala w des Chataigniers.

Kubiela zwrócił uwagę na podobieństwa między tymi dwoma przypadkami, zwłaszcza na zbliżone daty ucieczek. Pojechał do Lorient. Przeprowadził rozmowę z Sereną. Namówił go, by przyjechał do Sainte-Anne, na dobrowolną hospitalizację. Pacjent chętnie odpowiadał na pytania psychiatry, ale w dalszym ciągu, podobnie jak Miossens, nie zgadzał się na żadne badania radiograficzne.

Kubiela badał pamięć obu mężczyzn. Leki, hipnoza, rozmowy… Stopniowo odkrył pewne analogie we wspomnieniach pacjentów. Po pierwsze, użycie pseudonimu. Christian Miossens nazywał siebie czasami „Gentil-Michel”, Serena – „Alex-244”. Kubiela nie potrafił wyjaśnić pochodzenia tych przydomków. Pacjenci mówili także dość niejasno o miejscach, które były do siebie podobne. Bar wędkarzy z boksami przedzielonymi zasłonami. Posrebrzana piwnica, w której kanapy miały przedziwne kształty.

Kubiela zebrał wiadomości o paryskich lokalach i znalazł Pitcairn w Czwartej Dzielnicy, a następnie Vega, retro-futurystyczny bar w Dziewiątej Dzielnicy. Organizował tam swoje spotkania klub *speed datingu*, Sasha.com. Kiedy przypomniał sobie pseudonimy swoich pacjentów, domyślił się, że Miossens i Serena, obaj samotni, zapisali się do tego klubu, licząc, że znajdą tam swoją drugą połówkę.

Grudzień 2008 roku. Kubiela zapełniał już trzeci zeszyt, kiedy kolega z Sainte-Anne opowiedział mu o jeszcze innym przypadku fugi, wspomnianym na seminarium psychiatrycznym w Blois.

Kubiela odnalazł tego pacjenta w Centre de la Ferte, na przedmieściu Tours. Podobieństwa z dwoma wcześniejszymi przypadkami były uderzające.

Znowu mężczyzna z amnezją, któremu wydawało się, że odzyskał pamięć. Ten również nie zgadzał się na badania radiologiczne i był zaskoczony swoją prawdziwą tożsamością. Nazywał się Marc Kazarakian, z pochodzenia Ormianin. Chwytał się różnych zajęć, aż popadł w depresję, przez którą stał się niezdolny do jakiejkolwiek pracy. Mieszkał w Sartrouville, zaginął w lipcu 2008 roku, a odnalazł się w Indre-et-Loire, nie mając żadnych wspomnień.

Kubiela przyjął go na swój oddział. Ten mężczyzna także używał pseudonimu: Andromak. Znał bary Pitcairn i Vega. Nie było już miejsca na wątpliwości. Wszyscy trzej – samotni, wrażliwi, szukający trwałych związków uczuciowych, wytrąceni z równowagi psychicznej – korzystali z usług Sasha.com.

Zamiast przepytać prowadzących stronę w internecie lub powiadomić policję, Kubiela postanowił sam zapisać się do tego klubu. Pierwsze tygodnie nie dały nic. Zaczynał już nawet wątpić w swoje podejrzenia – porwania, umysłowe manipulacje, testy kliniczne – kiedy poznał Anne-Marie Straub alias Feliz.

Jego dochodzenie przybrało nagle nowy obrót. Kubiela był niedoświadczonym śledczym, ale czarującym uwodzicielem, któremu Feliz, zachwycająca brunetka, chłodna i tajemnicza, nie mogła się oprzeć. Zaczęła mu się zwierzać. Była dziewczyną do towarzystwa. Płacono jej za to, żeby wśród klientów portalu Sasha.com wynajdywała samotnych mężczyzn, bez rodziny i przyjaciół, o wrażliwej psychice. Więcej nic nie wiedziała. Nie znała nazwisk zleceniodawców ani ich zamiarów.

Oszołomiony tymi rewelacjami policjant amator zrozumiał, że ma do czynienia z organizacją, która wynajęła zawodowe prostytutki, by przeniknęły do internetowych klubów randkowych. Że te naganiaczki miały wyszukiwać odpowiednie ofiary. Kiedy znalazł się mężczyzna odpowiadający wymaganemu profilowi, porywano go i poddawano eksperymentowi. Kto to robił? W jaki sposób? W jakim celu?

François Kubiela na początku piątego i ostatniego zeszytu zastanawiał się, jak ma prowadzić dalej dochodzenie. Doszedłszy do wniosku, że nie poradzi sobie z tym sam, postanowił powiadomić policję, tym bardziej że właśnie dowiedział się od Nathalie Forestier, siostry Miossensa, iż jej brat ponownie zaginął i został znaleziony martwy, zmasakrowany. Udało mu się namówić Feliz, żeby zgodziła się zeznawać w tej sprawie…

Notatki psychiatry kończyły się właśnie na tym. Kubiela domyślał się dalszego ciągu. Do akcji wkroczyli ludzie z ACSP. Pod koniec stycznia 2009 roku wyeliminowali Feliz przez powieszenie, następnie porwali psychiatrę, żeby poddać go programowi Matrioszka. Tego punktu w tej historii Kubiela nie pojmował. Dlaczego i jego także nie zabili? Dlaczego podjęli ryzyko wciągnięcia w ten program specjalisty, który nie miał psychologicznego profilu królika doświadczalnego? A może się myli… Przecież żył sam, nie założył rodziny. Nie wiedział, jak oceniano jego równowagę psychiczną. Może doskonale pasował do tego castingu?

François Kubiela został wybrany przez Mêtis na królika doświadczalnego. Pierwszą ucieczkę psychiczną miał w marcu 2009 roku i odnalazł się na nabrzeżu kanału l'Ourcq, przekonany, że nazywa się Arnaud Chaplain. Dalszy ciąg mniej więcej znał. Przeżywał kolejne ucieczki, gdy najemnicy Mêtisu próbowali go zabić i gdy mnożyły się morderstwa inspirowane mitologią. Za każdym razem Kubiela podejmował na nowo swoje śledztwo, idąc tymi samymi śladami, odsłaniając stopniowo mechanizm Matrioszki i zbliżając się do mordercy z Olimpu… Jak daleko zaszedł? Czy odkrył tożsamość zabójcy? Odwieczne pytania. I żadnych odpowiedzi w jego zeszytach.

Przeszedł do drugiego pudła, które dotyczyło rodziny Kubielów. Z dokumentów dowiedział się dwóch ważnych rzeczy. Po pierwsze, że wychowywał się bez matki. Dwa lata po jego urodzeniu, w 1973 roku, Franciszka została zamknięta w zakładzie specjalnym i nigdy już stamtąd nie wyszła. Należała do smutnego klubu nieuleczalnie chorych. Według dokumentów nadal żyła i przebywała w Centrum Szpitalnym Philippe-Pinel w Amiens. Czytając o tym, Kubiela nie odczuł żadnego wzruszenia. Razem z pamięcią odebrano mu wrażliwość psychiczną.

Przeszedł do danych medycznych. Z dokumentacji szpitalnej wynikało, że Franciszka cierpiała na „ostrą schizofrenię" i jednocześnie na „nawracającą chorobę dwubiegunową" oraz „zaburzenia lękowe". Diagnozy były różne, niemal sprzeczne. Pobieżnie przejrzał wyniki badań, zalecenia, podania o dalszą hospitalizację podpisywane do roku 2000 przez jego ojca, Andrzej a. Po tej dacie osobą podpisującą był on sam.

Ten fakt wyjaśniała następna ważna informacja o tym, że jego ojciec umarł w marcu 1999 roku w wieku sześćdziesięciu trzech lat. W świadectwie zgonu pisano o wypadku. Kubiela senior spadł z dachu, instalując ryn-

nę na domu przyjaciół. Między wierszami można było wyczytać, że Polak pracował na czarno, ale zleceniodawcy podali się za jego przyjaciół, by oszukać firmę ubezpieczeniową i uniknąć kłopotów z policją. *Requiescat in pace*, tato…

Kubiela znalazł zdjęcie rodziców po przyjeździe do Francji w 1967 roku, na placu Trocadero. Dwoje hippisów z długimi włosami, niezbyt okrzesani, przybyli prosto z rodzinnego Śląska. Franciszka była młodą, wątłą i bladą dziewczyną z blond włosami. Przypominała nastolatki z fotografii Davida Hamiltona. Andrzej miał zupełnie inny wygląd. Włosy do ramion, broda Rasputina i takież same brwi. Potężna sylwetka wciśnięta w zniszczoną sztruksową marynarkę. Tych dwoje emigrantów obejmowało się czule ramionami, gotowi na przyjęcie tego, co ich czekało we Francji.

Pozostałe dokumenty nie mówiły wiele o ich codziennym życiu, poza tym, że Andrzej Kubiela był mistrzem w pobieraniu różnych świadczeń. Kiedy przybył do Francji jako uchodźca polityczny, został zatrudniony w przedsiębiorstwie państwowym. W 1969 roku miał pierwszy wypadek w pracy i wtedy przyznano mu rentę inwalidzką. Po kilku latach zaczął pobierać zasiłek w imieniu chorej psychicznie żony. Korzystał także z innych form pomocy ze strony państwa i dostawał kolejne zapomogi. Tak więc Andrzej Kubiela żył z pomocy społecznej, chociaż bez wątpienia pracował cały czas na placach budowy.

Psychiatra przeszedł do dokumentów dotyczących jego samego. Edukacja na poziomie podstawowym i gimnazjalnym w szkołach publicznych w Pantin. Studia medyczne i staż w Paryżu. Żadnej pracy w czasie studiów. François wyrósł jako ukochany syn tatusia. Andrzej, kombinator, poświęcił wszystko dla syna i François mu to wynagrodził. Od pierwszej klasy do egzaminu doktorskiego zawsze otrzymywał najwyższe oceny.

Na dnie pudła znalazł duże płaskie pudełko, w którym być może przyniesiono ciasto na święto Trzech Króli. Leżały w nim fotografie i dokumenty w odwrotnym porządku chronologicznym. Pierwsze koperty dotyczyły ostatniej dekady. Publikacje naukowe i oceny jego prac przemieszane ze zdjęciami. Kubiela przyjrzał się im – zawsze ta sama mina pewnego siebie naukowca, czarna czupryna, uwodzicielski uśmiech…

W następnych kopertach znalazł tylko zdjęcia. Rok 1999 – Kubiela, najwyraźniej zawiany, w otoczeniu kolegów w takim samym stanie. Uroczystość z okazji pomyślnie ukończonego stażu. Rok 1992 – Kubiela, znacznie

młodszy, uśmiechnięty, sam. Z teczką pod pachą stał przed Uniwersytetem Medycznym de la Pitie-Salpetriere. Miał na sobie koszulkę Lacoste'a, dżinsy, żeglarskie mokasyny. Młody student, pewny siebie, który oderwał się od swych robotniczych korzeni.

Rok 1988. Miał wtedy siedemnaście lat, tym razem sfotografował się z ojcem, który przewyższał go o głowę. Ojciec miał już normalną fryzurę i przystrzyżoną brodę. Obaj uśmiechali się do obiektywu, najwyraźniej w dobrej komitywie, szczęśliwi.

Kubiela otarł łzy i zaklął. Nie były to łzy wzruszenia. Płakał ze złości, z powodu rozczarowania. Nawet oglądając te zdjęcia, nic sobie nie przypominał. Po ucieczce z Bordeaux ruszył tropem kolejnych swoich osobowości. Ścigał zabójcę kloszardów, cały czas zadając sobie pytanie, czy nie chodzi o niego samego. Wszystko to robił, chwytając się nadziei, że kiedy odkryje swoją prawdziwą tożsamość, wróci cała pamięć.

Mylił się. Zawsze się mylił. Był wiecznym pasażerem. Nie było końcowego przystanku. Odzyskał pierwotną tożsamość, lecz i to okazało się tylko kolejnym etapem. Wkrótce znowu straci pamięć. Wymyśli sobie nową tożsamość, a potem zrozumie, że nie jest tym, za kogo się uważał. Ponownie podejmie śledztwo, wciąż z tą samą nadzieją, że odnajdzie swoje prawdziwe „ja".

Jednak to „ja" już nie istniało.

Stracił je na zawsze.

Zabrał się do oglądania zdjęć z dzieciństwa. François, trzynastoletni, w stroju do judo, uśmiechający się do obiektywu, ale już z tym wyrazem wyobcowania i smutku, obecnym na pozostałych fotografiach. Teraz ten smutek wypełniał całą twarz. Jeden szczegół: jego włosy nie były jeszcze ciemne, był blondynem. Mały Kubiela zmienił kolor włosów w trakcie dojrzewania.

Rok 1979. François, ośmioletni, na jarmarku w Trone. Koszula z szerokimi ramionami, spodnie ściągnięte w kostkach, białe buty – typowe ubranko ośmiolatka. W tle karuzela i inne atrakcje, mały chłopiec jeszcze się uśmiecha, ręce w kieszeniach. Zawsze ten sam dyskretny uśmiech, trochę smutny, jakby nie chciał nikomu przeszkadzać.

Rok 1973. Tym razem w objęciach matki. Z pewnością była to jedna z ostatnich fotografii, zanim zamknięto ją w zakładzie. Franciszka opuściła

głowę i dlatego nie było widać jej twarzy, ale wzrok utkwiony w dwuletnim synku rozświetlał zdjęcie.

Kubiela podniósł oczy. Deszcz przestał padać. Za mokrymi szybami widać było parującą ziemię. W strumyczkach wokół opon, klatek na króliki i śmieci błyszczały krople wody. Niewidoczne słońce rzucało swoje promienie. Taki widok powinien był poprawić mu samopoczucie, ale wprawił w jeszcze większą melancholię. Dlaczego na tych zdjęciach miał minę zbitego psa? Skąd brał się jego smutek? Czy to cień szaleństwa matki?

Została jeszcze jedna duża koperta ze stemplem szpitala. Być może tutaj znajdzie wyjaśnienie. Jakaś choroba, anemia z okresu dzieciństwa. Otworzył szarą kopertę. Nie od razu udało mu się wydobyć z niej sklejone wilgocią dokumenty.

Zdjęcia medyczne.

Klisze z ultrasonografii brzucha matki, zrobione w maju 1971 roku, z datą widoczną w rogu pierwszego zdjęcia. Takie badania były wówczas nowością w położnictwie.

Zaczął oglądać je po kolei.

Był wstrząśnięty tym, co zobaczył.

W płynie owodniowym znajdował się nie jeden, ale dwa płody.

Dwa embriony ułożone naprzeciw siebie, z zaciśniętymi piąstkami. Skulone bliźnięta, obserwujące się w milczeniu w wodach płodowych.

Poczęte bliźnięta Franciszki i Andrzeja Kubielów.

Przeszył go paraliżujący strach. Chwycił inne klisze z ultrasonografii. Trzy miesiące. Cztery miesiące, pięć miesięcy…

Na kolejnych kliszach pojawiała się coraz bardziej widoczna anomalia. Płody nie rozwijały się jednakowo. Jeden z nich był wyraźnie silniejszy od drugiego.

Kubiela od razu zidentyfikował się z tym mniejszym, który, jak mu się wydawało, ustępował przed silniejszym bratem bliźniakiem.

Nagle dotarła do niego straszna prawda. Miał brata, który z jakiegoś powodu został odsunięty od rodziny Kubielów. Przyszła mu do głowy myśl, która przesłoniła wszystko.

Był zdominowanym w brzuchu matki bliźniakiem.

Jednak to jego wybrali rodzice, to on został ich jedynym synem.

Ten drugi został odrzucony, zapomniany, wyparty.

A teraz wracał z otchłani, żeby się zemścić.

Żeby na niego zrzucić odpowiedzialność za morderstwa, które sam popełniał.

Muzeum współczesnej fotografii w Marne-La-Vallée mieściło się w solidnym murowanym budynku z XIX wieku. Zapewne była w nim kiedyś jakaś fabryka. Jedno z tych miejsc, gdzie robotnicy wyciskali z siebie krwawy pot, a które teraz zostały przerobione na modne atelier dla ludzi „uprawiających sztukę”. Muzea, galerie sztuki współczesnej, sale koncertowe…

Anaïs nie znosiła tego rodzaju miejsc, ale ten budynek miał charakter. Fasada, fronton, ornamenty, gzymsy nadawały mu artystyczną szlachetność. Dekoracje z fajansu sprawiały, że wyglądał trochę jak port nad Bosforem w Stambule.

Nie miała żadnych trudności, żeby pozbyć się towarzystwa osiłków Solinasa. O piętnastej, kiedy dała im instrukcje dotyczące śledztwa w sprawie Mediny Malaoui, udała, że idzie zrobić sobie kawę, po czym wsiadła do windy. Po prostu. Miała plakietkę identyfikacyjną i kluczyki do samochodu. Wystarczyło włączyć pilota, żeby odnaleźć samochód. Adrenalina usuwała zmęczenie.

Nie miała złudzeń, jak tamci wykonają zlecone im zadanie. Nieważne. Dla niej najważniejszy był trop związany z dagerotypami.

Olbrzymia sala muzeum, o powierzchni jakichś trzystu metrów kwadratowych, z drewnianą podłogą i politurowanymi filarami, mocno pachniała trocinami, klejem i świeżą farbą. Szykowano jakąś wystawę. I właśnie to ją interesowało: wystawa artysty fotografika, Marca Simonisa, piastującego stanowisko prezesa Fundacji Dagerotypii. Otwarcie wystawy przewidziane

było na poniedziałek. Miała nadzieję, że zastanie artystę zajętego rozwieszaniem swoich prac.

Kiedy zobaczyła grubego mężczyznę, pokrzykującego na obojętnych robotników, klęczących w trocinach lub stojących na drabinkach, wiedziała, że jej nadzieje się ziściły. Ruszyła w jego kierunku wolnym krokiem, żeby dać mu czas na dokończenie tyrady. Kątem oka dostrzegła powieszone już plansze. Zatrzymała się, żeby je lepiej obejrzeć. Dagerotypy miały pewną szczególną cechę, której nie zauważyła w reprodukcjach oglądanych w książkach: były to lustra. Powierzchnie wypolerowane, posrebrzane lub złocone, odbijające światło. Ta wyjątkowość musiała podobać się zabójcy. Podziwiając swoje dzieło – swoją zbrodnię – podziwiał sam siebie.

Zawieszone w jasnym i przestronnym pomieszczeniu dagerotypy nabierały nowej głębi. Cień i światło tworzyły razem dyskretny światłocień. Sam obraz był prostokątny, lecz część oświetlona raczej owalna, jakby nadgryziona przez szarawą mgłę. Można było tu odnaleźć wdzięk drgających kadrów niemych filmów. Punkt centralny był natomiast ostry i dokładny, aż raził w oczy. Kłuł jak nożem.

Simonis robił portrety ludzi współczesnych. Muzyków, akrobatów, ale także handlowców, sekretarek, agentów nieruchomości – w nowoczesnych strojach, sfotografowanych w świetle, które zdawało się pochodzić z XIX wieku. Efekt zaskakiwał: oglądający odnosił wrażenie, że został przeniesiony w nieokreśloną przyszłość, gdzie czas obecny jest już epoką minioną, starszą o całe wieki.

– Co pani tu robi?

Gruby fotograf stał przed nią z rozwścieczoną miną. Uświadomiła sobie, że nie ma legitymacji policyjnej. Zawahała się, taksując go wzrokiem. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i wagę znacznie przekraczającą sto kilogramów. Olbrzym, który używa życia, około pięćdziesiątki, przywodzący na myśl bardziej górę tłuszczu niż marmurową stelę. Ubrany był w czarny pulower z golfem i obszerne dżinsy, przypominające raczej worek na kartofle. Domyśliła się, dlaczego nosił golf – żeby ukryć olbrzymie wole na szyi.

Simonis wsparł pięści na biodrach.

– Czy zechce pani odpowiedzieć?

W tej sytuacji zmusiła się do uśmiechu.

– Proszę mi wybaczyć. Nazywam się Anaïs Chatelet. Jestem kapitanem policji.

Można było z góry przewidzieć efekt takiej informacji. Mężczyzna wyprostował się, przełknął ślinę. Widziała, jak jego podwójny podbródek nadyma się, a następnie opada niczym u monstrualnego węża boa pożerającego gazelę.

– Proszę się nie niepokoić – powiedziała. – Potrzebuję tylko kilku informacji na temat techniki dagerotypu.

Simonis się odprężył. Ramiona mu opadły. Wole się uspokoiło. Podnosząc głos, żeby przekrzyczeć hałas szlifierek i młotów, wdał się w techniczny wykład, którego nie słuchała. W myślach dała mu pięć minut na tę gadaninę, zanim poruszy temat, o który jej chodziło.

Podczas gdy mówił, ważyła argumenty za i przeciw. Czy mógł być mordercą? Na pewno miał odpowiednią siłę, lecz brak mu było zwinności ruchów. Bez trudu wyobraziła sobie, jak odcina głowę byka lub kastruje kloszarda, ale… Pięć minut minęło.

– Przepraszam – przerwała mu. – Ilu, pańskim zdaniem, jest we Francji dagerotypistów?

– Zaledwie kilkudziesięciu.

– A dokładnie?

– Czterdziestu.

– A w Ile-de-France?

– Sądzę, że około dwudziestu.

– Czy mogłabym dostać ich listę?

Grubas pochylił się ku niej. Przewyższał ją o dobre dwadzieścia centymetrów.

– W jakim celu?

– Wie pan chyba z filmów, że pytania zadają policjanci. Odpowiadać nie muszą.

Poruszył grubym łapskiem.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy ma pani nakaz lub coś w tym rodzaju?

– Zostawmy te formalności. Jeśli chodzi o nakaz podpisany przez sędziego śledczego, to rzeczywiście nie mam go przy sobie. Mogę po niego wrócić, ale zabierze mi to dużo cennego czasu i może być pan pewien, że zapłaci pan za każdą straconą minutę.

Simonis przełknął ślinę. Wąż boa znowu coś trawił. Wskazał ręką w głąb sali.

– Muszę pójść do biura, żeby wydrukować tę listę.

– A więc chodźmy tam.

Mężczyzna rzucił okiem dokoła. Robotnicy pracowali, nie zwracając na niego żadnej uwagi. Szlifierki szlifowały, wiertarki wierciły. W powietrzu unosił się swąd rozgrzanego do białości metalu. Wyglądało na to, że niechętnie opuszcza swój plac budowy, ale w końcu skierował się do oszklonego biura na końcu sali. Anaïs podążyła za nim.

– Muszę panią uprzedzić, że nie wszyscy dagerotypiści należą do mojej fundacji.

– Też tak sądzę, ale mamy inne sposoby, żeby ich odnaleźć. Skontaktujemy się z dostawcami materiałów, których używają.

– My?

Mrugnęła do niego okiem.

– Nie podoba się panu zabawa w detektywa?

Waż boa znowu się poruszył. Anaïs uznała to za zgodę.

Godzinę później oboje wspólnie stworzyli pełną listę dagerotypistów z Paryża, z regionu paryskiego i z całej Francji. Dzięki informacjom od dostawców i członków fundacji spisali osiemnastu artystów w Ile-de-France i ponad dwudziestu w pozostałych regionach. Anaïs oceniła, że do wieczora następnego dnia zdołałaby odwiedzić mieszkających w Paryżu i okolicach. Co do reszty – zobaczy się później.

– Zna pan ich wszystkich?

– Raczej tak – odparł wymijająco.

– Czy któryś z nich mógłby się wydać podejrzany?

– Podejrzany o co?

– O morderstwo.

Uniósł brwi, poruszając obwisłymi policzkami.

– Nie. Nigdy w życiu.

– Czy widział pan dagerotypy, których tematem jest przemoc?

– Nie.

– A zdjęcia inspirowane mitologią, tyle że w brutalnym ujęciu?

– Nie. Pani pytania są absurdalne, czy ma to coś wspólnego z dagerotypami?

– Jak najbardziej.

– Przy tej technice obiekt musi być idealnie nieruchomy przez dobrych kilka sekund. Nie da się utrwalić sceny w ruchu.

– Miałam na myśli martwą naturę. Trupy.

Simonis potarł czoło. Anaïs podeszła do niego, zmuszając go do cofnięcia się aż na szklaną ścianę.

– Czy któryś z waszych członków miał kłopoty z wymiarem sprawiedliwości?

– Ależ skąd! Zresztą nie wiem.

– Żadnych dziwnych opinii?

– Nie.

– Kłopotów psychicznych?

Olbrzym, nie odpowiadając, utkwił w Anaïs ciężkie spojrzenie. Wydawał się więźniem swego oszklonego biura, niczym wieloryb w akwarium.

– Z tego, co udało mi się ustalić – przeszła do istotnego punktu – w waszej technice ważną rolę odgrywa chemia.

– Oczywiście. Najpierwjest etap jodu, następnie rtęci. Potem…

– Czy na którymś z tych etapów potrzebna jest krew? Krew ludzka?

– Nie rozumiem tego pytania.

– Krew zawiera między innymi żelazo. Czy ten składnik mógłby się przydać do którejś z reakcji chemicznych? Na przykład podczas ostatniego etapu, kiedy powleka się zdjęcie chlorkiem złota?

Marc Simonis był najwyraźniej przerażony. Zrozumiał, że Anaïs wie więcej, niż chciała przyznać.

– Być może… Nie wiem.

– Czy ktoś z tej listy wspominał o tego rodzaju próbach?

– Oczywiście, że nie.

– Czy są wśród nich chemicy zdolniejsi od innych? Dagerotypiści, którzy byliby w stanie pójść w kierunku zastosowania… materiałów organicznych?

– Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

– Dziękuję panu.

Zawróciła do wyjścia. Simonis przytrzymał ją za ramię.

– Czy podejrzewacie, że jeden z nas popełnił morderstwo?

Zawahała się, po czym nagle zrezygnowała z autorytatywnego tonu.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. To trop, który opiera się na przypuszczeniach… – Rozejrzała się wokoło. Na półkach stały pojemniki z rtęcią, pudełka z jodem i bromem. – Lżejszych niż opary którejkolwiek z pańskich substancji.

Pięć minut potem na parkingu przy muzeum oglądała plan paryskich przedmieść. Na podstawie listy nazwisk i adresów próbowała ustalić swoją marszrutę.

Odezwała się jej komórka. Solinas. Zważyła w ręku telefon, zastanawiając się, czy była śledzona. Trzeba było wyrzucić komórkę po wyjściu z Fleury.

Przy piątym sygnale nacisnęła klawisz, zamykając oczy, jakby w oczekiwaniu na detonację.

– Naprawdę jesteś najgorszą dziwką, jaką znam.

– Musiałam tak zrobić, bo mam do zbadania inny trop.

– Jaki?

– Nie mogę o tym mówić.

– Tym gorzej dla ciebie.

– Nie boję się już gróźb.

– A dwa świeże trupy?

– Kto?

– Jeszcze ich nie zidentyfikowano. Dwaj faceci w czarnych garniturach drogich marek. Jeden zabity dwoma pociskami kalibru czterdzieści pięć. Drugi odłamkiem szkła wbitym w twarz. Znaleziono ich w lofcie na ulicy de la Roquette sto osiemdziesiąt osiem. W mieszkaniu niejakiego Arnauda Chaplaina. Czy coś ci to mówi?

– Nie – skłamała, czując, że krew nagle odpłynęła z jej mózgu.

– Ich wóz znaleziono dwa kwartały dalej na ulicy Breguet. Czarne audi Q-siedem. Numer rejestracyjny trzysta sześćdziesiąt, sześćset czterdzieści trzy AP trzydzieści trzy. W dalszym ciągu nic o tym nie wiesz?

Anaïs milczała, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. Janusz znowu się wymknął. Jedyne dobre wieści, jakich mogła oczekiwać z jego strony, to wiadomości o trupach.

– Według pierwszych ustaleń lokator loftu odpowiada rysopisowi Janusza.

– Skąd o tym wiesz? – zapytała, przekręcając klucz w stacyjce.

– Dzięki czyjejś niedyskrecji. Nie ma nic bardziej przesiąkliwego niż ściany komendy głównej.

– Kto się tym zajmuje?

– Wydział kryminalny. Zamierzam jednak zadzwonić do prokuratury. Ta sprawa wiąże się ze strzelaniną na ulicy de Montalembert. Należy do mnie.

– Możesz to udowodnić?

– Udowodnię, jeśli przekażą mi śledztwo.

– Gdzie są zwłoki?

– A jak myślisz? W Zakładzie Medycyny Sądowej.

Nie wiedziała, gdzie to jest, ale znajdzie.

– Zobaczymy się tam?

– Nie wiem, jak ci się to udaje. – Zaśmiał się. – Zaszłaś mi za skórę, a mnie się to podoba. Może zatrudnisz się u nas?

– Za pół godziny?

– Jestem w drodze. Czekam tam na ciebie.

Dwa płody pływały w płynie owodniowym niczym dwaj mali astronauci. Krew i woda, powietrze i dusza. Jeden i drugi bardzo lekcy, ułożeni obok siebie. Pierwszy jest większy, ale to on pływa wyżej. Drugi przyciska się do dolnej ściany macicy. Pokonany. Nad nimi dwoma sieć naczyń tworzących arabeski, linie niczym korzenie roślin, które uprawia się w stanie nieważkości w przestrzeni kosmicznej.

– Mamy pewien problem.

Gabinet lekarski. Lekarz patrzy na mężczyznę i ciężarną kobietę, którzy siedzą z drugiej strony jego biurka. Młoda blondynka o prawie białych włosach, on – wysoki brodacz. Gabinet pomalowany jest w kolory jesieni – czerwony, brunatnożółty, złotawobrązowy. Politurowane drewno, purpurowe tapety.

– Jaki problem?

Kobieta z rękami zaciśniętymi na wydatnym brzuchu zadaje to pytanie agresywnym tonem, żeby ukryć strach. Ma słowiański wygląd. Wysokie kości policzkowe. Kocie oczy. Cienkie włosy mieniące się w promieniach słońca. Na jej obfitych piersiach błyszczy krzyż.

Mężczyzna jest męską wersją słowiańskiego typu. Flanelowa koszula, szerokie bary, gęsta broda. Szczęki jak lemiesze pługa.

Lekarz najwyraźniej czuje się nieswojo. Młody, ale już prawie całkiem łysy. Błyszczące czoło nad kościstą twarzą pozwala przypuszczać, że dręczy go jakaś obsesyjna myśl. Z wąskich warg padają suche, obojętne słowa.

– Zapewniam państwa, że to się dość często zdarza.

– Jaki problem?

– Jak pani wie, pani ciąża jest jednokosmówkowa.

Mężczyzna i kobieta spoglądają po sobie.

– Nie mówimy zbyt dobrze po francusku – szepce kobieta z silnym obcym akcentem, w którym słychać chłodną urazę.

– Przepraszam. Nikt nie zna takich terminów. Mam na myśli, że są to bliźnięta jednojajowe. Powstały z tego samego zapłodnionego jajeczka. Zapewne już to pani wyjaśniano. Rozwijają się w tej samej przestrzeni i mają to samo łożysko. A to oznacza, że są odżywiane z tego samego źródła.

– I co z tego wynika?

– Zazwyczaj każdy płód jest połączony z łożyskiem własną siecią naczyń krwionośnych. Zdarza się jednak, że unaczynienie jest bardziej skomplikowane i że dwa płody korzystają z tej samej sieci. Nazywamy to zespołem przetoczenia między płodami. W takim wypadku istnieje ryzyko zakłócenia równowagi. Odżywianie jednego może odbywać się kosztem drugiego.

– I to właśnie dzieje się w moim brzuchu?

Lekarz potwierdza.

– Pokażę pani.

Wstaje i bierze z blatu za sobą zdjęcia USG. Rozkłada je na biurku tak, żeby małżeństwo mogło je obejrzeć.

– Ten embrion jest bardziej rozwinięty od drugiego. Odżywia się kosztem swego brata bliźniaka. Ale sytuacja może się zmienić…

Matka wpatruje się w zdjęcia.

– On to robi rozmyślnie – syczy przez zęby. – Chce zabić swojego brata.

Lekarz macha rękami i odpowiada z uśmiechem:

– Ach, nie, nie. Proszę się uspokoić. Pani dziecko nie jest tu nic winne. Po prostu układ naczyń krwionośnych działa na jego korzyść. Tutaj widać dobrze, że…

– Czy można temu zaradzić? – przerywa mu ojciec.

– Niestety, nie. Nie ma innego wyjścia, trzeba czekać. Sytuacja może zmienić się w sposób naturalny i…

– On to robi naumyślnie – powtarza kobieta cichym głosem, ściskając w ręce krzyż. – Chce zabić brata. Jest zły!

Teraz rodzice jadą samochodem. Ojciec prowadzi, ściskając kierownicę, jakby chciał ją wyrwać. Kobieta szeroko otwartymi oczami, niczym kot

w ciemnościach, wpatruje się w drogę.

Ponowna wizyta w gabinecie położnika.

– Bardzo mi przykro. Sytuacja staje się krytyczna.

Już nie próbuje się uśmiechać. Kobieta, niezbyt przytomna, zaciska ręce na brzuchu. Skóra na jej twarzy jest tak cienka jak welinowy papier. Na skroniach widać niebieskie żyłki.

Na biurku kolejne zdjęcia USG. Dwa skulone płody. Jeden z nich zajmuje dwie trzecie macicy. Jakby drwił sobie z brata bliźniaka. Dominujący.

– Nadal odżywia się lepiej. Dokładniej rzecz biorąc, to jemu dostaje się prawie cały zasób krwi w łożysku. W takim tempie to drugie dziecko nie przeżyje więcej niż kilka tygodni i…

– Co można zrobić?

Lekarz wstaje, obserwuje przez chwilę widok za oknem. Pokój wydaje się jeszcze bardziej czerwonozłoty.

– Mogą państwo wybrać. Pozwolić działać naturze lub…

Urywa i znowu się do nich odwraca. Mówi już tylko do kobiety.

– Wybrać to dziecko, które nie jest w stanie się wyżywić. Żeby je ocalić, trzeba…

– Wystarczy. Zrozumiałam.

Później, w nocy matka budzi się z bólu. Z trudem dociera do łazienki. Osuwa się z jękiem. Ojciec zrywa się, zapala światło. Widzi żonę na podłodze. Wystający brzuch rozerwał koszulę nocną. Skóra na brzuchu napina się od uderzeń. To jeden z dwóch płodów. Jest zły. Chce wyjść. Chce być sam…

– Trzeba go zabić! – krzyczy matka z twarzą zalaną łzami. To… to zły duch! – Powtarza to po francusku i po polsku.

Kubiela nagle się obudził. Leżał skulony w pozycji płodowej na wilgotnej podłodze. Pierwsze odczucie – słony smak łez. Drugie – wilgoć podłogi. A na końcu – ciemność.

Która mogła być godzina? Dopiero szesnasta. Zapadał już zmrok. Deszcz na szybach. Karaluch na podłodze. Jak mógł zasnąć tutaj? Może nie chciał zaakceptować prawdy, którą odgadł, przeglądając opisy medyczne i wyniki analiz?

Chwiejnym krokiem podszedł do okna. Nie widział nic oprócz płynnej kurtyny deszczu. Żadnej latarni, żadnego światła. Jego umysł pogrążył się w ostatecznym chaosie. Nie był w stanie sformułować żadnej myśli, skupić

się. Jednocześnie miał wrażenie, że myśli ma klarowniejsze niż kiedykolwiek. W sennym koszmarze odtworzył historię bliźniąt Kubielów. Był to tylko sen, ale wiedział, że tak się właśnie stało. U jego stóp leżały raporty medyczne, opisy, wyniki ultrasonografii… Intuicja podpowiadała mu, na co zdecydowała się jego matka. Wiedział, że urodził się w wyniku zabójstwa. Płód zdominowany, ocalony z woli rodziców.

Co mógł teraz zrobić? Brakowało mu pomysłu. Więzień domku swoich korzeni. Więzień ciemności. Podniósł wzrok ku sufitowi – wisiała tam jedna goła żarówka. Przekręcił kontakt, bez rezultatu. Zszedł więc na dół i poszukał transformatora. Nacisnął czerwony guzik. Rozległ się suchy trzask, który wydał mu się dobrą wróżbą.

Kiedy wrócił na górę do swojego pokoju, żarówka się paliła.

Padł na kolana, zebrał wszystkie papiery.

Po minucie ponownie pogrążył się w historii swoich narodzin.

– Gdzie jest komendant Solinas?

Godzina osiemnasta. Zakład Medycyny Sądowej. Anaïs zabłądziła kilka razy w drodze do Paryża. W końcu, z migaczem na dachu i włączoną syreną, odnalazła nabrzeże de Bercy.

– Gdzie jest Solinas? – zapytała pracownicę z recepcji.

– Są w środku, ale pani nie ma prawa…

Anaïs przecięła hol, ustawione od wejścia marmurowe popiersia odprowadzały ją wzrokiem. Doszła do szeregu białych drzwi.

– Pani nie ma prawa tam wchodzić! – krzyknęła za nią recepcjonistka.

Anaïs zignorowała ją i szła dalej. Chwilę potem znalazła się w silnie oświetlonym korytarzu z wieloma zamkniętymi drzwiami. Wszystko tu było nieskazitelne. Żadnych noszy ani tym bardziej trupów. Jedynie ostry zapach środków dezynfekujących i lodowate powietrze sygnalizowały, że nie zajmują się tutaj żywymi.

Jedne drzwi.

Drugie.

Trzecie.

Czwarte były tymi, których szukała. Biegł za nią mężczyzna w białym kitlu, ale ona już zdążyła wejść do środka i stanęła jak wryta na widok spektaklu, który się przed nią rozgrywał.

W sali oświetlonej lampami bakteriobójczymi, wśród trupów przykrytych prześcieradłami, stali trzej mężczyźni o posturze byków. Jednym z nich był

Solinas. Kontrast między ich czarnymi garniturami a jaskrawym blaskiem białych ścian był wręcz nie do zniesienia.

Skoncentrowała się na tym, co mówili. Pielęgniarz, który wbiegł za nią, także się zatrzymał zaszokowany widokiem typów o rozmiarze XXL, którzy wymyślali sobie nad trupami.

– Nie pojmuję, co ty tutaj robisz – powiedział jeden z nich.

– Te dwa trupy mają ścisły związek ze strzelaniną na ulicy de Montalembert.

– Co ty bredzisz? Skąd to wziąłeś? Jesteśmy tu z polecenia prokuratora.

Solinas nie był wystarczająco szybki. Pierwsi na miejscu byli agenci brygady kryminalnej, wysłani przez prokuratora krajowego. Łysy komendant nie miał tu już nic do roboty, ale nie chciał zrezygnować ze swojej części tortu.

– Mam gdzieś waszego prokuratora. Porozumiem się z sędzią odpowiedzialnym za moje dochodzenie.

– Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

– Nie wiem, o co wam chodzi. Typ zabity z broni palnej to moja działka.

Przy każdej replice ton głosu się podnosił. Obaj dyskutanci byli bliscy rzucenia się na siebie z pięściami. Anaïs przyglądała się im z rozbawieniem. Teraz otaczało ich już kilku pielęgniarzy w białych kitlach, którzy nie mieli odwagi interweniować.

Podobała się jej ta scena. Rozkoszowała się spektaklem nasyconym testosteronem, przy zapachu eteru, w zimnym oświetleniu. Trzej samcy gotowi do bójki. Solinas pochylił głowę, jakby szykując się, by walnąć nią przeciwnika. Jego rozmówca, ciemnowłosy, nieogolony, z kolczykiem w uchu, wyglądał na typowego osiłka. Drugi z agentów już trzymał rękę na pistolecie.

Nagle uderzyły ją w biodro pchnięte z całej siły nosze. Poślizgnęła się i upadła na podłogę. Sytuacja zrobiła się poważna. Krzyki. Inwektywy. Popychanie się. Solinas chwycił agenta brygady kryminalnej, podczas gdy drugi odbezpieczał broń, nie mogąc rozdzielić adwersarzy. Pielęgniarze rzucili się w ich kierunku, lecz nie byli w stanie nic zrobić.

Anaïs zaczęła się już bać, że dojdzie do strzelaniny, kiedy do sali wkroczyli dwaj inni mężczyźni. Równie jak tamci wysocy, z włosami na jeża, w szarych garniturach, przypominających mundury. Mierzyli w policjantów z pistoletów kalibru 9 milimetrów.

– Koniec zabawy, panowie policjanci.

Solinas i jego przeciwnik przerwali bójkę. Komendant otarł twarz ręką – z nosa ciekła mu krew. Agent z brygady kryminalnej trzymał się za ucho – różowa strużka znaczyła ścieżkę na jego twarzy. W bójce wyrwano mu kolczyk.

– A wy kto jesteście? – warknął Solinas.

– Wojsko, głupku – odrzekł pierwszy z żołnierzy. – Natychmiast się stąd zmywacie i zapominamy, że biliście się o zimne trupy.

Solinas się zawahał. Agenci z kryminalnej cofnęli się, by lepiej się przyjrzeć nowym przeciwnikom. Pielęgniarze opuścili niebezpieczną strefę. Anaïs stała bez ruchu. Obserwowała tę scenę niczym mała dziewczynka. Mała dziewczynka, która przygląda się światu dorosłych i nic nie rozumie. Wszystko jedno, jakich dorosłych. Światu jej ojca.

– Sprawą zajmie się wojsko – powiedział drugi żołnierz, wymachując jakimś dokumentem.

Nikt nawet nie spojrzał na papier – wszyscy pojęli, w czym rzecz.

– Opatrzcie rany i zjeżdżajcie stąd. Nie macie tu już nic do roboty.

Policjant z brygady kryminalnej, trzymając się nadal za ucho, powtórzył ostrym tonem:

– Kim wy właściwie jesteście?

– Przeczytajcie dokumenty z prokuratury. Z pewnością jakoś tam nas nazwali. A w ogóle nie ma to żadnego znaczenia.

– Powiadasz, że nie ma znaczenia? – Solinas zrobił krok w jego stronę. – No więc o co chodzi?

Drugi, ostrzyżony na jeża, podszedł do jednego z trupów, zakrytego prześcieradłem. Podniósł jego rękę, odwinął rękaw i pokazał policjantom. W rękę trupa wbity był wenflon, jakiego używa się do kroplówek.

– Wiesz, co to znaczy?

Brak odpowiedzi. Komandosi z elitarnych oddziałów mają czasami złożony dostęp dożylny, na wypadek gdyby trzeba było szybko podłączyć ich do kroplówki z powodu poważnych ran.

Tym dwóm niewiele to pomogło.

– To nasi ludzie – zakończył żołnierz, odwijając własny rękaw i pokazując swój wenflon. – Do nas należy odnalezienie tego, kto zrobił z nich zimne trupy. Wy wracajcie do siebie.

– A procedura?

Tamci dwaj wybuchnęli śmiechem. Anaïs również uśmiechnęła się do siebie. W głębi duszy była zadowolona, że ich zobaczyła. Żołnierze. Najemnicy. Zabójcy. To oni wtargnęli do jej życia przed dwoma tygodniami. Zakłócili dochodzenie. Nie opuszczali jej we śnie. Towarzyszyli każdemu oddechowi…

Oni pociągali za sznurki, które teraz po prostu przecięli.

Sprawa Matrioszki zatrzymywała się na progu tej kostnicy.

– Zawsze nas wydymają. Taki już jest porządek rzeczy. Życie bierze nas od tyłu. – Solinas, z watą w nosie, znalazł w końcu słowo odpowiednie do jego analnej filozofii.

Po wyjściu z Zakładu Medycyny Sądowej Anaïs namówiła go, by wsiadł do jej samochodu. Przejechała kilkaset metrów przez most i zatrzymała się przed bramą wielkiego parku. Domyślała się, że to Jardin des Plantes.

Przekazała Solinasowi, czego się ostatnio dowiedziała. Program Matrioszka. Ludzie jako króliki doświadczalne. Operacja prowadzona przez wojsko pod przykrywką Mêtisu. Zakończyła swoje przemówienie własnym wnioskiem: koniec dochodzenia.

Solinas pokiwał wolno głową. Wyglądał bardziej na przygnębionego niż zaskoczonego.

– Jedno mnie dziwi – oświadczył – że tak łatwo się poddajesz.

– Nie poddaję się. Ciemne sprawki Mêtisu i wojska nigdzie nas nie doprowadzą. Nie walczy się przeciw własnemu obozowi i nie jest to moim celem.

– No to czego ty właściwie chcesz? Bo się pogubiłem.

– Chcę ocalić Janusza.

Komendant zaśmiał się ponuro.

– W ten sposób nie zostanę prefektem.

– Za Januszem kryje się morderca. I to nim się trzeba zająć.

Solinas zmarszczył brwi.

– Każde z nas będzie robić swoje. Choć brzmi to nieprawdopodobnie, jestem pewna, że Medina Malaoui ma jakiś związek z Matrioszką.

– Przecież przed chwilą powiedziałaś, że trzeba sobie tamtą historię odpuścić.

– Ale nie wtedy, jeśli okaże się, że ten morderca, zabójca mitologiczny, ma coś wspólnego z naszym dochodzeniem. Ludzie z Mêtisu są przekonani, że ich substancja obudziła potwora wśród królików doświadczalnych. Miałby nim być Janusz. Jestem pewna, że się mylą, ale tylko w połowie. Bez wątpienia mordercą jest jeden z królików.

– A co ma do tego Medina? To zwykła kurwa.

Anaïs westchnęła. Tą obelgą obrażał wszystkie kobiety.

– Ma jakiś związek z tymi testami. Dlatego Janusz był u niej w mieszkaniu.

– Kiedy wybrałaś się nie wiadomo dokąd, moi chłopcy przejrzeli jej połączenia w internecie i billingi rozmów telefonicznych.

– No i?

– No i nic. Nie kontaktowała się w ten sposób z żadnym z klientów. Jedyną ciekawą rzeczą, jaką odkryli, jest to, że wpisała się na serwis randkowy, do jakiegoś klubu *speed datingu*.

– Co to za klub?

– Najbanalniejszy w świecie. Sasha.com. Zwykły serwis dla zwykłych facetów.

Coś takiego nie pasowało do wizerunku dziewczyny do towarzystwa, która szuka nadzianych gości, spacerując po Ósmej Dzielnicy.

– Kto tym kieruje?

– Niejaka Sasha. W rzeczywistości nazywa się Véronique Artois. Po kilku niepowodzeniach handlowych zajęła się organizowaniem schadzek. W tym momencie, kiedy sobie rozmawiamy, przesłuchują ją Fiton i Cernois.

– Opowiedz mi o Arnaudzie Chaplainie – zmieniła temat.

– Już myślałem, że mnie nigdy o to nie poprosisz.

Sięgnął ręką do płaszcza. Widząc ten gest, Anaïs aż drgnęła.

Ten człowiek emanował przemocą, zwierzęcą brutalnością, chociaż wyglądał teraz śmiesznie z watą w nosie. Wyjął złożoną wpół plastikową koszulkę z aktami i wygładzając ją ręką, położył na jej kolanach. Anaïs od razu poznała zdjęcie przypięte na wierzchu.

– Arnaud Chaplain – wyjaśnił Solinas. – Gęba znana, choć inne nazwisko. Jakoby grafik reklamowy, a w wolnych chwilach malarz abstrakcji.

– Dlaczego jakoby?

– Byliśmy szybsi od agentów z brygady kryminalnej. Mamy papiery dostarczone przez Chaplaina firmie, od której wynajął loft w maju dwa tysiące dziewiątego roku. Wszystko jest fałszywe.

– Skąd brał pieniądze?

– Puściłem chłopaków tym tropem. Depozyty gotówkowe w banku. Nigdy nie używał czeków. To śmierdzi na odległość jakimiś kombinacjami.

Anaïs otworzyła dossier i zobaczyła inne zdjęcia. Urzędowe dokumenty. A także opis tego, co zarejestrowały kamery wideo firmy ochroniarskiej w rejonie ulicy de la Roquette. Janusz nie przypominał już zaniedbanego psychiatry ani kloszarda, ani zwariowanego malarza. Ani nawet tego, który złożył jej wizytę w więzieniu we Fleury.

Na jednym ze zdjęć klamra na jego pasku błyszczała niczym gwiazda szeryfa.

– On jest niewinny – powtórzyła. – Trzeba go chronić.

– Wkrótce dopadną go tamci.

– Chyba że to my zatrzymamy go wcześniej. Będziemy mieli kartę przetargową w postaci akt naszego dochodzenia. Kiedy Janusz będzie już pod naszą opieką, zagrozimy im, że ujawnimy wszystko mediom.

– Stwierdziłaś przed chwilą, że nic nie możemy zrobić tym facetom.

– Nikt nie lubi takich gróźb. Jeśli uda się odnaleźć prawdziwego mordercę, wtedy szala przechyli się na naszą stronę.

– Nie zapominaj, że Janusz załatwił dwóch z nich.

– W obronie własnej. Powinni to zrozumieć.

Solinas milczał. Może dostrzegał odległą perspektywę awansu, jeśli aresztuje mordercę.

– W dalszym ciągu jednak nie rozumiem, dlaczego po południu wymknęłaś się moim ludziom.

Nie mogła już dłużej bawić się z nim w chowanego. W kilku słowach wyjaśniła mu trop z dagerotypami. Opowiedziała o znalezionym przy Ikarze kawałku lusterka ze śladami jodu. Przedstawiła swoją hipotezę o fotografie zabójcy. Opisała specyficzną metodę sprzed stu pięćdziesięciu lat, którą stosuje czterdziestu artystów fotografików we Francji.

– To brzmi jak Anaïs i czterdziestu rozbójników.

– Muszę skończyć to, co zaczęłam. Odwiedzę dwudziestu dagerotypistów mieszkających w Ile-de-France. Sprawdzę ich alibi na czas popełnionych morderstw. A potem się zobaczy, co dalej.

Solinas chrząknął. Już spokojniejszy poprawił na sobie marynarkę. Energia młodszej koleżanki podniosła go na duchu.

– Podrzucisz mnie do komendy?

– Nie, przykro mi. Nie mam chwili do stracenia. Wezwij służbowy wóz. Albo taksówkę. Nawet jeśli będę jeździć całą noc, wizyty u facetów z tej listy zajmą mi czas do jutra w południe.

Solinas uśmiechnął się i rozejrzał po okolicy – Jardin des Plantes, bulwar de l’Hôpital z zatłoczoną jezdnią, dworzec d’Austerlitz, całkowicie odnowiony, przywodzący na myśl dekoracje ze stiuku.

W końcu otworzył drzwi i puścił do niej oko.

– Zalazł ci za skórę ten facet, co?

Kubiela miał już teraz wyrobiony pogląd. W swoim pokoju, przy zamkniętych żaluzjach, przy świetle gołej żarówki, przeanalizował medyczne dokumenty z szarej koperty. Nazwiska. Cyfry. Daty. Zrekonstruował to, co naprawdę się wydarzyło podczas ciąży Franciszki. Udało mu się choćby dlatego, że świetnie orientował się w temacie.

Bliźnięta jednojajowe. Dwa płody, jedno łożysko. Zrodzone z tej samej komórki, z identyczną spuścizną genetyczną. W brzuchu matki są rozdzielone jedynie cienką błoną. Mają ze sobą stały kontakt. Dotykają się, popychają, patrzą na siebie. Każdy staje się polem eksploracji dla drugiego. Stopniowo tworzy się szczególna więź. Jest ich dwóch, ale jednocześnie są jednością. W piątym miesiącu funkcjonuje już pięć zmysłów. Rodzą się uczucia, emocje. Bliźnięta dzielą je ze sobą. Jeden płód staje się odbiciem tego drugiego.

Zazwyczaj podstawowym fundamentem takiego związku jest miłość.

W wypadku Kubielów była nim nienawiść.

W trzecim miesiącu ujawniają się różnice w zachowaniu. Jeden jest słabszy, drugi przeciąga się, rusza, zdobywa dla siebie przestrzeń. W czwartym miesiącu pierwszy ukrywa twarz w rączkach. Drugi stuka piąstkami i nóżkami w błonę oddzielającą go od brata. W piątym miesiącu te różnice pogłębiają się przez zaburzenia odżywiania.

Podobnie jak w koszmarnym śnie Kubieli ginekolodzy uprzedzali rodziców. Należało dokonać wyboru. Pozwolić działać naturze lub wyelimino-

wać dominującego, by ocalić zdominowanego. Brzuch Franciszki Kubieli stał się polem walki na śmierć i życie.

Rodzice się nie wahali. W lipcu 1971 roku w sprawozdaniu z wizyty u lekarza pojawiła się po raz pierwszy myśl o usunięciu płodu. Ginekolog opiekujący się Franciszką pisał, że ta bardzo pobożna Polka uznała dominujące dziecko za istotę diaboliczną, obdarzoną paranormalnymi zdolnościami. A jego nadaktywność miała tylko jeden cel – zabić brata. Według niej to dziecko było istotą wrogą, złą, grzeszną, która nie chciała dzielić z nikim swego miejsca w łonie matki.

Kubiela czytał między wierszami. Zdrowie psychiczne Franciszki pogarszało się z każdym dniem. Perspektywa interwencji nie poprawiała tego stanu rzeczy, chociaż, jak wierzyła, chodziło o usunięcie wcielonego zła. Jak zawsze terminy medyczne rzucają wstydliwą zasłonę na prawdziwą rzeczywistość. To, co nazywa się usunięciem płodu, jest ni mniej, ni więcej zabiciem jednego dziecka dla ocalenia drugiego lub kilku, na przykład w wypadku trojaczków.

Po pierwszej wzmiance o takim rozwiązaniu więcej już o tym nie było mowy. Żadnych analiz, żadnych badań ultrasonograficznych, najmniejszego opisu. Czy Polacy zatarli wszystkie ślady tego aktu? Kubiela miał inne wyjaśnienie. Aborcja nie doszła nigdy do skutku. Nastąpiło naturalne zrównoważenie w odżywianiu płodów w macicy.

Podwójna ciąża została donoszona do końca.

Osiemnastego listopada 1971 roku urodziło się dwoje dzieci.

Ale dla Franciszki bliźniak dominujący pozostał „synem diabła”. Nie chciała go karmić ani zatrzymać przy sobie. Wszystkim zajął się Andrzej, który dziecko umieścił gdzie indziej.

Tak wyglądało życie rodziny Kubielów.

Tajemnica. Porzucenie. Kłamstwo.

Zły bliźniak przeżył. Wyrósł, dojrzał, poznał prawdę. Wychowywany w rodzinach zastępczych, zastanawiał się nad swoim prawdziwym pochodzeniem. Jako dorosły przeprowadził śledztwo. Kiedy odkrył swoją historię, postanowił wrócić do sytuacji, jaka miała miejsce w brzuchu jego matki w 1971 roku.

Nigdy zemsta nie miała głębszego źródła.

Kubiela przyjrzał się jeszcze raz zdjęciom USG. Teraz wydały mu się skąpane we krwi i nienawiści. Wrzące niczym krater wulkanu. Widział

dwóch wrogich braci, Abla i Kaina, pływających w nieważkości, gotowych na pojedynek.

Kubiela był tym słabszym, gorzej rozwijającym się bliźniakiem, który zasłaniał twarz rączkami. Po urodzeniu wszystko się odwróciło. To on został tym wybranym, ukochanym, zwycięzcą. Wyrósł w cieple rodzinnym, podczas gdy jego brat marniał gdzieś w jakimś domu dziecka czy rodzinie wyznaczonej przez państwo.

Teraz spłacał swoje długi. Nie da się uciec przeznaczeniu. Wszystko odbywało się tak jak w mitologii greckiej. Ciąża Franciszki odegrała rolę wyroczni. Przyszłość można było łatwo przewidzieć.

Kubiela nie miał żadnych dowodów na potwierdzenie swojej hipotezy, czuł jednak w głębi duszy, że tak to wyglądało. Zresztą tak naprawdę zawsze to wiedział. Dlatego przy każdej ucieczce psychicznej przybierał takie nazwiska jak „Janusz”, „Freire”, „Narcyz”, „Nono”… Wyrażały one w jakiś sposób dwoistość.

Powinien był wcześniej o tym pomyśleć. „Freire” można było napisać *frère*, a to znaczy „brat”. Janus był bogiem o dwóch twarzach. Narcyz zakochał się we własnym odbiciu. Zdrobnienie „Nono”, składające się z dwóch identycznych sylab, odtwarzało graficznie ułożenie płodów w łożysku twarzami do siebie…

Te nazwiska i pseudonimy były więc sygnałem. Wzywały tego drugiego, by się ujawnił, zmaterializował. Wezwanie zostało wysłuchane. Zły bliźniak wrócił w seryjnych zabójstwach. Syn diabła, niechciany, odrzucony, oddalony, popełnił te zbrodnie, czerpiąc inspirację z niezapomnianych mitów, ponieważ uznał siebie za prawdziwego bohatera uniwersalnych dziejów. Powrót wygnanego syna. Zemsta źle potraktowanego bohatera. Edyp. Jazon. Odyseusz.

Zorganizował wszystko tak, żeby winą za te morderstwa obciążyć Kubielę.

Żeby skończył w więzieniu lub został zabity przez policję.

Amiens, godzina jedenasta rano.

Ośrodek Philippe-Pinel był ceglaną fortecą przeznaczoną dla chorych psychicznie. Został zbudowany w XIX wieku, kiedy tego typu zakłady były samowystarczalnymi miastami, gdzie pacjenci uprawiali ogródki warzywne, hodowali bydło, zakładali własne rodziny. W epoce, gdy szaleństwo, jako chorobę nieuleczalną, uważano za anomalię, którą trzeba było wygnać, ukryć.

Kompleks Philippe-Pinel zajmował ponad trzydzieści hektarów.

Przeszedłszy przez pierwszą bramę, Kubiela ruszył długą aleją obsadzoną drzewami w stronę drugiego muru, który wyglądał niczym czerwonobrązowe ufortyfikowane miasto.

W nocy zasnął nad papierami i zdjęciami ultrasonograficznymi. Nie miał nawet siły zgasić żarówki. Znowu śnił mu się płód. Kiedy się obudził zlany potem, na dworze było jeszcze ciemno. Mrok rozpraszało jedynie ostre światło elektryczne. Czuł się osłabiony, przybity, uznał jednak, że nie posunie się naprzód w swoim dochodzeniu bez powrotu do źródła – do matki. Na Gare du Nord wsiadł w pociąg do Amiens, po czym pojechał taksówką do szpitala położonego w Dury, w obrębie prefektury Picardie.

Drugi mur. Kubiela znał ośrodki dla psychicznie chorych, ale grubość tutejszego muru zrobiła na nim wrażenie. Kompleks szpitalny, zbudowany na planie prostokąta wokół kaplicy, składał się z budynków różnych rozmiarów, przypominających prawdziwe miasto – dworzec, merostwo, sklepy…

Kubiela zignorował pawilon z recepcją, próbując samodzielnie znaleźć drogę według drogowskazów. Bezskutecznie. Na budynkach były tylko numery, bez żadnych informacji na temat użytkowników.

Szedł na chybił trafił. Ani żywego ducha w alejkach pod krytymi galeriami. Przez ponad sto lat budynki poddawano remontom, lecz ich charakter się nie zmienił. Fasady bez ozdób, rzymskie cyfry wykute na frontonach, strefy cienia pod łukowymi sklepieniami. Solidność jak w Sainte-Anne.

Przez chmury wyjrzało słońce. Zimowe, przyćmione, ledwie ciepławe. To blade ciepło odpowiadało jego stanowi ducha. Szedł wstrząsany dreszczami. Nie mógł uwierzyć, że idzie na spotkanie z matką. Ta perspektywa niepokoiła go, ale zarazem czuł się uodporniony. Jego pamięć była równie szczelnie zamknięta, jak otaczający go ceglany mur.

W końcu zobaczył dwie pielęgniarki. Powiedział im, że przyszedł odwiedzić matkę, przebywającą tutaj od wielu lat. Spojrzały po sobie. W wymiętym ubraniu, z dwudniowym zarostem wyglądał raczej na pacjenta. Z pewnością dziwiły się także, jak można nie wiedzieć, gdzie przebywa własna matka hospitalizowana tutaj od niepamiętnych czasów. Pielęgniarki nie znały tego nazwiska – w ośrodku było pięciuset pensjonariuszy. Wyjaśniły mu, że pawilon siódmy, dla nieuleczalnie chorych, znajduje się na zachód stąd, trzy bloki dalej.

Kubiela ruszył w tamtą stronę, czując na plecach ich spojrzenia. Mogło być gorzej. Bał się przede wszystkim tego, że zostanie rozpoznany. Bez wątpienia w dawnych czasach przychodził regularnie odwiedzać matkę i personel pawilonu wiedział o jego śmierci. A może któryś z pielęgniarzy widział jego zdjęcie w telewizji?

Pawilon siódmy. Zobaczył kraty i podwójne zamki charakterystyczne dla pomieszczeń przeznaczonych dla niebezpiecznych pacjentów. Gdy zadzwonił, wyszła kobieta o budowie kulomiotki i niezbyt sympatycznym wyglądzie. Żadnego błysku w jej oczach – nie poznała go. Podał nazwisko matki. Franciszka Kubiela rzeczywiście przebywała w tym pawilonie. A pielęgniarka pracowała tu od niedawna.

Rozmawiał z nią przez kratę. Tłumaczył się, że wyjechał za granicę w sprawach związanych z medycyną, i zmyślił inne przyczyny swojej nieobecności, obawiając się, że kobieta każe mu się wylegitymować. Dla większej wiarygodności rzucił kilka terminów psychiatrycznych, które zrobiły wrażenie. Kobieta odryglowała bramę.

– Zaprowadzę pana – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Szli alejkami, przy których rosły stuletnie drzewa. Nagie gałęzie przypominały zerwane kable elektryczne. Mijali wielu pensjonariuszy. Usta zaślinione lub wysuszone. Apatyczny wzrok. Ruchy pląsawicze. Zwykły widok.

– Jest tam – mruknęła pielęgniarka, zwalniając kroku.

Kubiela zobaczył siedzącą na ławce kobietę, otuloną w jaskrawoniebieską lekką kurtkę. Nie widział twarzy zakrytej sztywnymi siwymi włosami. Na nogach miała ogromne białe buty sportowe, których podeszwy wyglądały tak, jakby były na sprężynach.

Skierował się do tej nieznanej osoby. Pielęgniarka szła za nim.

– Dziękuję. Proszę mnie teraz zostawić.

– Nie mogę. Muszę panu towarzyszyć. Takie są przepisy. – Uśmiechnęła się, chcąc złagodzić sens tych słów. – Ona jest niebezpieczna.

– Potrafię się obronić.

– Jest niebezpieczna dla samej siebie. Nigdy nie wiadomo, jak się zachowa.

– W porządku, proszę zostać. W razie czego będzie pani mogła interweniować.

Pielęgniarka stanęła w pozycji wartownika ze skrzyżowanymi ramionami. Kubiela poszedł dalej. Spodziewał się ujrzeć blade widmo z wychudzoną, kościstą twarzą. Tymczasem matka była opuchnięta. Policzki, powieki – jakby nadmuchane złym tłuszczem. Skutek uboczny pigułek i zastrzyków. Zauważył także oznaki zespołu pozapiramidowego, charakterystyczny objaw niepożądany neuroleptyków – nadmierne napięcie mięśni kończyn, drżenie palców u rąk…

Franciszka paliła papierosa z ręką przy ustach, z twarzą skurczoną jakby od jakiejś wewnętrznej złości. Skórę miała pokrytą ciemnymi plamami. Sztywne włosy zakrywały prawie całą twarz. W drugiej ręce trzymała paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Mamo?

Żadnej reakcji. Podszedł bliżej. Odezwał się do niej jeszcze raz. Miał wrażenie, że słowo to zazgrzytało niczym ostrze żyletki. W końcu Franciszka zwróciła oczy w jego kierunku. Nie poruszyła przy tym głową.

Kubiela usiadł obok niej na ławce.

– Mamo, to ja, François.

Wpatrywała się w niego. Jej twarz trochę się ściągnęła, a po chwili pojawił się na niej strach. Pokiwała powoli głową, po czym z trudem skrzyżowała ręce i oparła je o brzuch. Usta jej zadrżały. Kubiela poczuł mrowienie pod skórą. Miał nadzieję usłyszeć wyznania. Szykował się na nie jak na elektrowstrząsy.

– Czego chcesz? – odezwała się po polsku.

– Mów po francusku, proszę.

– Czego chcesz?

Głos był wrogi, chrypliwy niczym dźwięk dawno nieuruchamianego silnika. Wąskie wargi odcinały się od obrzękłych policzków niczym ostrza nożyczek.

– Chciałbym porozmawiać z tobą o moim bracie.

Zacisnęła ręce mocniej na brzuchu. Pomyślał o macicy, w której znajdowali się obaj, on i jego złowrogi bliźniak. Miejsce nienawiści i zagrożenia. A dziś ten brzuch był już tylko torturowany lekami.

– O jakim bracie? – zapytała, zapalając papierosa od niedopałka poprzedniego.

– O tym, który urodził się razem ze mną.

– Nie masz żadnego brata. Zabiłam go w porę.

Kubiela pochylił się ku niej. Mimo wiatru i świeżego powietrza czuł bijący od niej smród. Wysuszony pot, resztki uryny, maści.

– Przeczytałem twoje dokumenty medyczne.

– Chciał cię zabić, ale mu nie pozwoliłam.

– Nie, mamo – powiedział łagodnie. – Tej operacji nie było. Nie znalazłem niczego na temat aborcji.

Brak odpowiedzi.

– Byłem w twoim domu. Zaułek Jean-Jaures w Pantin, pamiętasz? Znalazłem tam opisy ultrasonografii, analizy, raporty. Ale nic na temat porodu. Nie było nawet aktu urodzenia. Co się właściwie stało?

Ani słowa, ani gestu.

– Odpowiedz mi! – powiedział głośniej. – Dlaczego mój brat przeżył?

Franciszka Kubiela nadal się nie poruszała, zastygła w swojej przypominającej oponę pikowanej kurtce. Co pewien czas podnosiła dłoń do warg, chciwie zaciągając się dymem.

– Opowiedz, jak to było. Proszę cię…

Polka siedziała niczym marmurowy posąg, z oczyma utkwionymi prosto przed siebie. Z pewnym opóźnieniem zdał sobie sprawę z tego, że zachowywał się wbrew regułom. Przemawiał do niej nie jak psychiatra, lecz jak urażony syn. Próbował wtargnąć do jej mózgu na siłę, bez pukania, bez zaanonsowania się. Nie powiedział nic o swojej rocznej nieobecności. Ani słowem nie wyjaśnił, z jakiego powodu tak brutalnie odgrzebuje przeszłość.

– Mamo, opowiedz o tym – powtórzył spokojniejszym tonem. – Osiemnastego listopada tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku urodziłem się w klinice w Pantin. Nie byłem sam. Ale ty nie chciałaś karmić mojego brata. Wychował się gdzie indziej, z dala od nas, z pewnością cierpiąc z powodu porzucenia, samotności… Gdzie on teraz jest? Muszę z nim porozmawiać.

Powiał wiatr i w twarz uderzył go smród niemytego ciała. Zimno i słońce podkreślały jeszcze ten odór.

– Mój brat wrócił – szepnął z ustami kilka centymetrów od jej tłustych włosów. – Mści się na mnie. Mści się na nas. Morduje bezdomnych i próbuje zrzucić winę na mnie. On…

Kubiela przerwał. Schizofreniczka nie słuchała go. Albo nie rozumiała. Wciąż ten sam martwy wzrok. Ukradkowe sztachnięcia się papierosem. Tutaj nie uzyska żadnych odpowiedzi.

Wstał, ale musiał się zatrzymać. Czyjaś ręka trzymała jego ramię. Opuścił wzrok. Franciszka wypuściła zapalniczkę, lodowate palce zacisnęły się na jego rękawie. Chwycił jej dłoń, oderwał od rękawa tak, jak zesztywniałą rękę trupa.

Kobieta się śmiała. Ogarnął ją szalony, nieopanowany śmiech, wydobywający się syczeniem spomiędzy jej sflaczałych policzków.

– Co cię tak rozśmieszyło?

Śmiała się dalej, po czym gwałtownie przerwała, żeby zaciągnąć się papierosem, jakby to była maska tlenowa.

– Na miłość boską, wyjaśnij, o co ci chodzi?

– Brat bliźniak urodził się – odezwała się w końcu – w tym samym czasie co ty. Ale był martwy. Został zabity trzy miesiące wcześniej. Długą, długą igłą… Psiakrew! – Znowu objęła brzuch. – Zachowałam martwego diabła w moim brzuchu… Gnił, zatruwał moje wody… Zatruwał ciebie…

Kubiela opadł bezwładnie na ławkę.

– Co ty… co ty opowiadasz?

Cały się trząsł. Miał wrażenie, że żyłki na skroniach zaraz mu popękają.

– Prawdę – odrzekła Franciszka między dwoma sztachnięciami się.

Powoli otarła oczy z łez od śmiechu.

– Zabiliśmy twojego brata, kotku. Nie można go jednak było wydobyć przed porodem. Byłoby to zbyt ryzykowne dla ciebie. Tak więc został tam. – Zacisnęła ręce na brzuchu. – On cię zatruł, mój synu…

Zapaliła kolejnego papierosa od poprzedniego. Przeżegnała się.

– On cię zatruł – powtórzyła. – Mnie także zatruł… Obserwowała żarzący się koniec papierosa. Dmuchnęła na niego, tak jak pirotechnik podsyca lont prowadzący do dynamitu.

– Do dzisiaj jest w moim brzuchu… Muszę go oczyścić… Odpięła kurtkę. Pod spodem miała dość brudną koszulę nocną, którą uniosła jednym ruchem. Jej skóra była pokryta oparzeniami tworzącymi kształt krzyża.

Zanim Kubiela pojął, co się dzieje, pielęgniarka już biegła w ich kierunku. Ale za późno. Franciszka zgniotła papierosa na szarej skórze, mamrocząc po polsku modlitwę.

– Każdy dagerotyp jest osobnym dziełem sztuki. Nie da się go odtworzyć, rozumie pani? Kiedy się już raz wsunie płytkę do komory, nie ma odwrotu!

Godzina jedenasta rano.

Poprzedniego dnia Anaïs udało się odwiedzić czterech dagerotypistów. Sympatyczni artyści, w stu procentach niewinni. Z powodu GPS-u, który działał nie najlepiej, straciła kilka godzin na przedmieściu i w końcu, zmęczona, poddała się. O drugiej nad ranem wylądowała w hotelu Ibis przy Porte de Champerret.

Teraz rozmawiała z Jean-Michelem Brocą, w Plessis-Robinson. Trzeci tego ranka. Modny artysta, który uważał, że odkrył na nowo język fotografii: „Prawdziwy język wibrujących kontrastów, połyskującej czerni i bieli, szczegółów zapierających dech w piersi!”. Niczego ciekawego od niego nie wyciągnęła. Upewniła się jedynie, że nie był zabójcą, bo wrócił niedawno z czteromiesięcznej podróży do Nowej Kaledonii.

Na zakończenie zadała swoje zaskakujące pytanie:

– Czy pańskim zdaniem można użyć krwi ludzkiej podczas obróbki chemicznej dagerotypu?

– Ludzkiej… krwi?

Ponownie wyjaśniała swoją ideę. Krew. Żelazo. Reakcja łańcuchowa przy wywoływaniu obrazu. Broca był zaszokowany, czuła jednak, że doceniał jej pomysł. Substancje organiczne były teraz w modzie w sztuce nowo-

czesnej. Damien Hirst ciął na blaszki martwe zwierzęta. Andrés Serrano zanurzał krzyż w urynie. Dlaczego by nie użyć krwi do obrazów?

– Muszę przestudiować to zagadnienie… – powiedział. – Zrobić próby…

***

Anaïs znowu jechała samochodem. W końcu około południa znalazła Yves'a Peyrota, mieszkającego w stojącym na uboczu domku przy Neuilly-Plaisance, nad Marną. Był ósmy na jej liście. Jeśli wykluczyć dwóch fotografów nieobecnych we Francji od kilku miesięcy, zostało jej jeszcze oprócz niego ośmiu.

Po artyście wizjonerze poznała sumiennego rzemieślnika. Peyrot pokazał jej wszystkie przedmioty niezbędne do przygotowania dagerotypu, precyzując, że wyprodukował je sam. Anaïs popatrzyła na zegarek. Peyrot nie był zabójcą. Miał siedemdziesiąt lat i ważył nie więcej niż sześćdziesiąt kilogramów.

– Staram się naśladować perfekcję mistrzów z tysiąc osiemset pięćdziesiątego roku – powiedział, wyjmując kolekcję płytek.

– Wyrażają one szeroką skalę tonów od bardzo ostrego światła do gęstego cienia…

Anaïs podziękowała mu i skierowała się do wyjścia.

Godzina trzynasta.

Ruszyła ponownie w kierunku Paryża. Kolejny cel – fotograf, którego nie zastała wczoraj. Remy Barille, w Jedenastej Dzielnicy. Tym razem miała więcej szczęścia. Historyk. Zamęczył ją datami, nazwiskami, anegdotami. Minęła już piętnasta. Dla formalności zapytała o ludzką krew, a on urażony zamrugał tylko powiekami. Najwyższy czas, żeby się stąd zmywać.

Kiedy zaczęła się wycofywać, historyk zamachał rękami.

– Przecież jeszcze nie skończyliśmy! Muszę pani opowiedzieć o technikach stosowanych przed dagerotypem, o barwnej fotografii i o dioramie!

Anaïs zbiegała już po schodach.

Zidentyfikował nazwisko lekarza położnika, który odbierał poród Franciszki.

Nie żyje.

Znalazł nazwisko położnej obecnej przy porodzie.

Przepadła gdzieś bez śladu.

Udał się do merostwa, żeby poszukać w archiwach stanu cywilnego.

Zamknięte – była sobota.

Wrócił do swojego domku i studiował każdy dokument do tego stopnia, że papier kruszył mu się w palcach. Zauważył, że na ostatnich analizach w górnym prawym rogu były zapisane nazwiska osób, które dostawały ich kopie. Znajdował się wśród nich Jean-Pierre Toinin, lekarz psychiatra, pracujący w szpitalach paryskich, dyrektor przychodni Esquirol. Kubiela domyślił się, że od piątego miesiąca ciąży Franciszka zaczęła naprawdę wariować, a wtedy zwrócono się o pomoc do specjalisty.

Kubiela postanowił odnaleźć Jean-Pierre'a Toinina i w końcu go zlokalizował. Lekarz w dalszym ciągu mieszkał w Pantin, na ulicy Benjamin-Delessert, niedaleko od jego domku. W tym zbiegu okoliczności dopatrzył się dobrego znaku. Może psychiatra będzie coś pamiętał?

Poszedł pieszo, z podniesionym kołnierzem, z rękami w kieszeniach. Karykatura detektywa. Powtarzał sobie półgłosem swoją wersję zdarzeń. Jego matka zwariowała. Brat bliźniak z pewnością urodził się razem z nim w 1971 roku. Zgłoszono go jako dziecko nieznanych rodziców. Wyparto się

go. Odsunięto. Po rozmowie z psychiatrą będzie musiał odnaleźć ślady brata, dowiedzieć się, co się z nim działo. Pójdzie na spotkanie z mścicielem, który otoczył go trupami.

W labiryncie uliczek z ponurymi domkami trafił w końcu na żelazną furtkę. Wspiął się na palce. Starszy mężczyzna, klęcząc, pracował w ogródku. Wydawał się zajęty przycinaniem roślin za pomocą sekatora. Czy będzie coś pamiętał? Był z pewnością jedynym człowiekiem na świecie, który mógł wiedzieć, co się wydarzyło w dniu jego narodzin.

Kubiela nacisnął na dzwonek. Minęła minuta. Ponownie wspiął się na palce i zobaczył, że stary człowiek nie przerwał swojego zajęcia. Zadzwonił jeszcze raz, tym razem dłużej. Wreszcie ogrodnik podniósł głowę, spojrzał na furtkę, po czym zdjął z uszu słuchawki – pracował przy muzyce. Kubiela pomachał do niego ręką. Mężczyzna odłożył sekator i wstał z kolan. Wysoki, solidnie zbudowany, trochę zgarbiony. Pod pikowaną kurtką miał przybrudzony niebieski kombinezon roboczy, na nogach gumowe buty, ręce w grubych rękawiczkach, na głowie stary kapelusz panama. W końcu podszedł i otworzył furtkę.

– Przepraszam – powiedział z uśmiechem – nie usłyszałem dzwonka.

Przekroczył już siedemdziesiątkę, ale miał żywe spojrzenie. Twarz przystojna, w typie Paula Newmana, pokryta licznymi zmarszczkami, jakby każdy rok zostawiał na niej swój ślad. Spod kapelusza wymykały się srebrne kosmyki i ich blask, w połączeniu z blaskiem oczu, sprawiał, że cały jaśniał na tle ponurego popołudnia. Pachniał ziemią i środkami owadobójczymi.

– Czy pan Jean-Pierre Toinin?

– Tak, to ja.

– Nazywam się François Kubiela.

Stary człowiek zdjął rękawiczkę i uścisnął mu dłoń.

– Przepraszam, czy my się znamy?

– Leczył pan moją matkę, Franciszkę Kubielę, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym roku. Była w ciąży z bliźniętami, z których tylko jedno mogło przeżyć w jej łonie.

Toinin wsunął palce pod kapelusz, żeby się podrapać po głowie.

– Kubiela, oczywiście… Stare dzieje, prawda?

– Mam trzydzieści dziewięć lat. Moglibyśmy porozmawiać?

– Naturalnie – odrzekł mężczyzna, cofając się. – Proszę wejść…

Kubiela ruszył za gospodarzem przez ogród. Nad świeżo przyciętymi krzewami rosły stare drzewa. Dziury w ziemi otoczone były jakby zahibernowanymi niskimi krzakami. Wszystko robiło wrażenie zaniedbania, przypadkowości, a jednocześnie było bardzo przemyślane.

– Luty to miesiąc, kiedy trzeba przycinać rośliny – oznajmił Toinin, rozkładając ręce. – Ale uwaga na te kwitnące tylko latem. Nie wolno ich ruszać wiosną!

Skierował się ku sporej dziurze, obok której leżała górka ziemi. Usiadł na niej, sięgnął po płócienną torbę. Wyjął z niej termos i dwa plastikowe kubki. Wokoło czuło się zapach skopanej ziemi i ciętych roślin.

– Napije się pan kawy?

Kubiela skinął potakująco i znalazł dla siebie kącik, żeby usiąść. Wyglądali jak dwóch grabarzy, którzy zrobili sobie przerwę w pracy.

– Miał pan dużo szczęścia, że mnie pan zastał – mruknął Toinin, nalewając ostrożnie kawę do plastikowych kubków. – Przyjeżdżam tutaj tylko w weekendy.

– Nie mieszka pan w Pantin?

– Nie, mój panie. – Uśmiechnął się. – Mimo mojego wyglądu jeszcze pracuję.

– W przychodni?

– Nie. Kieruję niewielkim oddziałem w klinice psychiatrycznej niedaleko La Rochelle. – Machnął ręką. – Dali mi zajęcie na stare lata!

Kubiela przytknął kubek do warg, cały czas przyglądając się twarzy Toinina. Miał wrażenie, jakby patrzył na zdjęcie satelitarne Ziemi. Wypukłości terenu, koryta rzek, ślady erozji: na skórze zapisany był przebieg całego życia mężczyzny – ruchy tektoniczne, erupcje wulkanów, zlodowacenia.

– Co mogę dla ciebie zrobić?

Przejście na ty zaskoczyło Kubielę, ale sprawiło mu przyjemność. Przecież ten człowiek widział jego narodziny.

– Szukam informacji dotyczących początków mojego życia.

Okoliczności moich narodzin.

– To naturalne. Rodzice nic ci nie mówili?

– Ojciec nie żyje, a matka…

Toinin pokiwał głową, wpatrując się w kubek.

– Po twoim urodzeniu zajmowałem się nią nadal. Wtedy kierowałem przychodnią tutaj, w Pantin. Dziś nazywano by to ośrodkiem terapeutycz-

nym. Twoja matka cierpiała na bardzo poważne schorzenia. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja. W porozumieniu z twoim ojcem po porodzie skierowano ją na oddział zamknięty. Wiesz, co to znaczy?

– Jestem psychiatrą.

Toinin uśmiechnął się i podniósł swój kubek, jakby chciał powiedzieć: „za nasze zdrowie”. Jego twarz wyrażała pewien cynizm, niemal okrucieństwo, lecz błysk jasnych tęczówek dodawał jej jednocześnie przejrzystej łagodności.

– Czy matka w dalszym ciągu przebywa w zakładzie?

– Tak. Jej stan się nie poprawił. Wmówiła sobie, że doszło do usunięcia płodu. Że mój brat bliźniak został zabity w macicy podczas ciąży.

– A ty się z tym nie zgadzasz? – zapytał Toinin, unosząc brwi.

– Nie.

– Dlaczego?

– Mam dowód, że mój brat bliźniak żyje.

– Jaki dowód?

– Nie mogę nic więcej powiedzieć.

Toinin zsunął palcem kapelusz na tył głowy, tak jak to robią kowboje, i głęboko westchnął.

– Przykro mi, ale się mylisz. Byłem obecny podczas zabiegu.

– Chce pan powiedzieć…

– Nie pamiętam dokładnej daty. Twoja matka była mniej więcej w szóstym miesiącu ciąży. Przeżyć mógł tylko jeden płód. Trzeba było dokonać wyboru. Twoja matka dokonała go w stanie ducha, powiedzmy… dość niejasnym. Ale potwierdził to twój ojciec.

Kubiela przymknął oczy. Palce wbił w kubek. Kawa spłynęła mu po ręce. Nie czuł gorąca. Jedną nogą stał na urwisku nad przepaścią.

– To pan się myli.

– Byłem przy tym – powtórzył Toinin, tupiąc nogą.

– Asystowałem przy zabiegu. Moją rolą było towarzyszyć twojej matce w takiej trudnej dla niej sytuacji. Chociaż, moim zdaniem, wolałaby, żeby był przy niej ksiądz.

Kubiela upuścił kubek i objął głowę rękami. Zapadał się w otchłań, której się tak bał. Trzy morderstwa i jeden winny. On sam.

Podniósł wzrok i podjął ostatnią próbę.

– W papierach moich rodziców nie znalazłem żadnego śladu świadczącego o tym zabiegu. Żadnej analizy, żadnych wskazań, nic. Nie ma żadnego dokumentu, który potwierdzałby, że taki zabieg został wykonany.

– Z pewnością wszystko zniszczyli. O czymś takim nie chce się pamiętać.

– Nie ma też dokumentów związanych z porodem – nie ustępował – pobytem w szpitalu. Nie ma aktu urodzenia!

Toinin wstał z ziemi, po czym klęknął przed Kubielą tak, jak się to robi, chcąc pocieszyć dziecko.

– Musisz coś zrozumieć… – szepnął, kładąc ręce na jego ramionach. – Twoja matka urodziła nie tylko ciebie, ale również twojego nieżyjącego brata bliźniaka. W trakcie zabiegu eliminowania płodu nie można było wywołać poronienia, ponieważ wówczas ty także byś zginął. Trzeba więc było poczekać. Twoja matka urodziła dwoje dzieci: jedno żywe, drugie martwe…

Kubiela stłumił jęk. Nie było diabolicznego brata. Bliźniaka mściciela. Istniał tylko on. Dwaj bracia przeżyli w jego umyśle. Tamten drugi wszedł w niego, zapanował nad nim. On sam był jednocześnie dominującym i zdominowanym.

Wstał z trudem. Miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Pożegnał gospodarza i skierował się do furtki. Długo chodził we mgle. Kiedy się ocknął, był gdzieś na nieznanej ulicy. Widział swój cień na murkach, na ceglanych fasadach, na trotuarze. Przypomniał sobie sen Patricka Bonfilsa. To, co również jemu się śniło. Sen o postaci, która gubi swój cień… Przeżywał teraz odwrotność tej sytuacji. Jego udziałem stał się los człowieka, który odnajduje swój cień. Swoją przeklętą wersję. Swojego negatywnego dublera. To matka miała rację. W łożysku, w wodach płodowych złowrogi bliźniak wsączył się w niego, przepoił go, zatruł…

Do tej pory udawało mu się panować nad złem, które nosił w sobie. Tym się tłumaczył wyraz smutku na zdjęciach. Może mały François bał się innych ludzi? Bał się samego siebie. Stąd także wziął się wybór kierunku studiów. Psychiatria. Potem praca doktorska na temat bliźniąt. I kolejne badania – osobowość wieloraka, schizofrenia…

Prowadząc studia nad szaleństwem innych ludzi, zdołał powstrzymać własne obłąkanie. Ironią jest to, że ta pasja doprowadziła go do źródła zła. Badał przypadki Christiana Miossensa, Patricka Sereny, Marca Karazakia-

na. Prowadził swoje śledztwo. Przeniknął do sieci Matrioszka. Następnie stał się tak jak inni królikiem doświadczalnym. Pasażerem bez bagażu.

Jednak nie tylko.

Substancja wyprodukowana przez Mêtis obudziła złowrogiego bliźniaka. Zrujnowała jego próby opanowania tej negatywnej siły. Złośliwy brat upomniał się o swoje prawa i odegrał się na duszy Kubieli.

Był więc mordercą z Olimpu. Jakimś sposobem duch brata wiódł realne życie w głębi jego własnej egzystencji. Ale jak Kubiela mógł stawać się kimś innym, o niczym nie pamiętając? Czy był kimś takim jak doktor Jeckyll, który zmieniał się w pana Hyde'a?

Podniósł głowę i zdał sobie sprawę z tego, że płacze w jakiejś bramie, siedząc na ziemi, z podciągniętymi kolanami. Zaśmiał się przez łzy.

Uświadomił sobie całą sytuację.

Jeśli chciał wyeliminować mitologicznego zabójcę, musiał zabić samego siebie.

– Sasha wszystko wyśpiewała.

Anaïs nie od razu skojarzyła, o kim mowa.

– Sasha?

– Właścicielka portalu randkowego.

– Ach tak. I co ciekawego powiedziała?

– Już nie wie, na czym stoi. Mówiła o tajemniczych zniknięciach mających miejsce w jej klubie.

– Kobiet?

– Kobiet. Mężczyzn. Różnie. Nic z tego nie rozumie. Jej klub plajtuje. Łajba idzie na dno, a ona nie wie, gdzie są dziury, przez które dostaje się woda.

Godzina osiemnasta.

Dwunaste nazwisko z listy. Przy takim tempie skończy prawdopodobnie przed północą. Jechała obwodnicą, kiedy zadzwonił Solinas.

– Co powiedziała na temat Mediny?

– Dziewczyna zapisała się do klubu na początku dwa tysiące dziewiątego roku. Przestała się pojawiać gdzieś w sierpniu. Nic więcej o niej nie wie.

– Nie zwróciła uwagi na to, że Medina nie pasuje do jej klubu?

– Owszem. Ale to jej nie przeszkadzało, ważne było to, żeby zdobyć klienta.

– Czy wie, czego szukała Medina?

– Nie. Powiedziała mi o jeszcze innej takiej samej dziewczynie w jej klubie. Anne-Marie Straub alias Feliz. Według niej także panienka do towarzystwa.

– Naprawdę nie domyśla się, o co chodziło tym dziewczynom?

– Ani trochę. Jedno jest pewne: portal Sasha.com jest adresowany do skromnych ludzi. Żaden to interes dla profesjonalistek tego kalibru.

– A ta Feliz, można ją przesłuchać?

– Nie. Popełniła samobójstwo w styczniu dwa tysiące dziewiątego roku.

Dwie dziewczyny do towarzystwa zmarłe na przestrzeni kilku miesięcy, wpisane do tego samego portalu randkowego. W tym zbiegu okoliczności można było dopatrzyć się związku.

– Czy wiadomo dlaczego?

– Nie wiadomo nic. Powiesiła się. Jednak zdaniem Sashy nie wyglądała na załamaną.

– Było dochodzenie?

– Oczywiście. Dzięki temu Sasha się o tym dowiedziała. Badamy ten wątek.

– Czy rozmawiałeś z Sashą o Januszu?

– Pokazałem jej jego zdjęcie.

– Poznała go?

– Tak. Ale miał inne nazwisko. A właściwie dwa. Pierwszy raz wpisał się w styczniu dwa tysiące dziewiątego roku jako François Kubiela. Potem zniknął. Ponownie zapisał się w maju, Tym razem jako Arnaud Chaplain. Mężczyzna z loftu.

– Sasha nie widziała w tym nic dziwnego?

– Uznała to za chęć pozostania człowiekiem anonimowym. Zresztą nie jest jasne, jakie były między nimi stosunki. Mam wrażenie, że bliższe, niż to chciała przyznać.

Anaïs poczuła ukłucie zazdrości, lecz zaraz się opanowała. Po co zapisywać się dwa razy do tego samego klubu? Dochodzenie, które prowadził Janusz, kierowało go stale do tego portalu. Nie ulega wątpliwości, że istnieje powiązanie między Sasha.com i Matrioszką.

– Czy znaleźliście coś o François Kubieli?

– Pracujemy nad tym. Na razie wiemy, że był znanym psychiatrą.

– Był?

– Zginął w wypadku samochodowym na autostradzie A-trzydzieści jeden w styczniu dwa tysiące dziewiątego roku.

Trybiki w jej mózgu obracały się z szaloną szybkością.

– Czy to znaczy, że Janusz przybrał jego nazwisko?

– Nie. Janusz naprawdę zginął tego dnia. Mam zdjęcie Kubieli przed oczyma, to nasz facet. Nie wiem, jakim cudem wrócił do życia.

Sfingowany wypadek nie pasował do metod Janusza. Czy wcielenie się Kubieli w Chaplaina było świadomym, dokonanym rozmyślnie oszustwem?

Zanotowała tę myśl w głowie i zapytała:

– Sprawdzacie jego przeszłość?

– A jak sądzisz?

– Może Kubiela pracował dla Mêtisu. Albo dla ludzi związanych z Matrioszką?

– Badamy to, mówiłem ci. A teraz deser: facet pojawił się znowu w klubie kilka dni temu.

Anaïs spodziewała się tego od pewnego momentu. Janusz kontynuował swoje dochodzenie. Czy raczej za każdym razem zaczynał od zera. Matrioszka. Medina. Sasha. Wszystko było ze sobą powiązane.

– Jakiego nazwiska użył tym razem?

– Nono. To znaczy Arnaud Chaplain.

– Czy szukał jakiejś konkretnej osoby? Mediny?

– Nie. Tym razem pytał o niejaką Leilę. Zdaniem Sashy to dziewczyna taka jak tamte dwie.

– Prostytutka?

– Sasha nie jest tego pewna. W każdym razie dziewczyna niepasująca do klubu. Pochodzi z Afryki Północnej. Biorąc pod uwagę kontekst, nie można wykluczyć, że twój kochaś zabił tamte dwie. Być może nie jest mordercą mitologicznym, tylko zwyczajnym pogromcą dziwek. A może jednym i drugim.

Powstrzymała znowu falę palącej żółci. W jakim celu Janusz polował na te dziewczyny? W ostatniej chwili zobaczyła zjazd z obwodnicy, którego szukała. Skręciła gwałtownie kierownicą, powodując serię wściekłych klaksonów.

Potrzebowała kilku sekund, żeby wrócić do wątku rozmowy.

– A Sasha?

– Mamy ją na oku. Sprawdzamy inne zniknięcia, o których nam mówiła.

– Mężczyzn?

– Tak. Podała ich nazwiska. Badamy ten ślad. Za tym klubem coś się kryje. Ale moim zdaniem wszystko dzieje się bez jej wiedzy. Chociaż to brzmi absurdalnie, istnieje tam jakieś powiązanie z Matrioszką a Sasha nie ma o niczym pojęcia.

Nadawali na tej samej fali.

– A co u ciebie? Co z tymi fotografami? – zapytał Solinas.

Spojrzała na listę z nazwiskami i leżący na jej kolanach plan przedmieścia.

– Posuwam się do przodu. Byłoby szybciej, gdyby twój GPS działał.

– Sprowadzony specjalnie dla prefektury w Paryżu. Faceci są czyści?

– Na razie tak, ale zostało mi jeszcze sześciu. Skończę dopiero w nocy.

– Powodzenia. Spotkamy się w komisariacie.

Wyłączyła telefon, zastanawiając się po raz setny, czy nie jest to strata czasu. Odsunęła na bok te wątpliwości, mówiąc sobie w duchu, że seryjni zabójcy zawsze w końcu zostawali zatrzymani, ponieważ popełniali jakiś błąd. Bez względu na to, co się o tym mówi, nie ma innego sposobu, żeby ich aresztować. Morderca z Olimpu rozbił srebrną płytkę, fotografując Ikara. Zebrał potem jej szczątki, lecz jednego odłamka nie zauważył i może przez to właśnie wpadnie.

Skupiła uwagę na drodze. Ściemniło się już, a mimo to ruch nadal był spory. Jechała przez miasto, kierując się tablicami drogowymi. Dwa zakręty i bez trudu znalazła ulicę, której szukała. Choć raz coś się jej udało. W porównaniu z tym, co osiągnął Solinas, jej trop wydawał się bezsensowny, bezużyteczny. Znacznie lepszym śladem były zaginione dziewczyny do towarzystwa…

Plac przed wjazdem do budynku. Szczęście dalej jej dopisywało. Anaïs wysiadła z samochodu, obiecując sobie w duchu, że tym razem szybko przejdzie do konkretów. Nacisnęła dzwonek przy furtce, zacierając ręce dla rozgrzewki. Obłoczki pary z jej ust łączyły się ze światłem lamp. Żelazna furtka się otworzyła. Kiedy zobaczyła starszego mężczyznę w kapeluszu panama na głowie, uznała, że nie ma potrzeby zadawać mu żadnych pytań. Ten siedemdziesięciolatek nie mógł być zabójcą.

Miała ochotę zawrócić do samochodu, ale poczciwiec serdecznie się do niej uśmiechnął.

– Czym mogę pani służyć?

Tylko dwa pytania, pomyślała, i zjeżdżam.
– Czy pan Jean-Pierre Toinin?

Bezprzewodowa wiertarko-wkrętarka DS 14DL.
12 dębowych desek szerokości 16 cm i długości 2 metrów.
200 wkrętów TF Philips 4.2 x 38.
Kamera cyfrowa Handycam.
Statyw na aparat fotograficzny i kamerę wideo 143 cm/3500 g.
6 kart pamięci SD o pojemności 32 GB.
Reflektor.
Mata z gąbki do ćwiczeń.
Puchowy śpiwór o wymiarach 220/240 cm.
Opaska z gąbki na oczy.

Kubiela rozłożył cały ten sprzęt na podłodze swojego pokoju. Wszystko to kupił w centrum handlowym Bercy 2, bardzo blisko jego domu. Broń, której użyje do kontrataku. Roztrząsał w myślach swoją sytuację i doszedł do wniosku, że jeśli ten drugi istniał w jego wnętrzu, to mógł działać tylko w jeden sposób – podczas snu.

Kiedy dobry bliźniak zasypiał, budził się ten zły.

Zaczął robotę od zabicia drzwi deskami. Wiertarka zagłębiała się w drewno ze świstem, jękiem, sykiem. Pył i wiórki sypały mu się w twarz. Jego plan był prosty. Zasnąć w całkowicie zamkniętym pokoju, pod okiem włączonej kamery. Żeby bestia była uwięziona. Nie powinno się wydarzyć nic groźnego. Po przebudzeniu zobaczy po raz pierwszy na ekranie kamery

twarz tego drugiego. Zbrodniczego bliźniaka, który przebywał w nim od czasu, kiedy obaj byli w brzuchu matki. Wrzód, który zżerał go niczym rak.

Przeszedł do okien. Wkręty. Deski. Wiórki. Pokój zmieniał się w odizolowaną celę. Puszka Pandory, która nie miała prawa się otworzyć… Nie wątpił już w swą winę. Wyraźnie świadczyły o tym fakty. Odciski jego palców w kanale naprawczym, gdzie znaleziono Minotaura. Jego obecność na miejscu zabójstwa Ikara i Uranosa. Zadał sobie tyle trudu, nie przyjmując do wiadomości tego, co było oczywiste… Przekręcał znaczenie wskazówek, śladów, żeby tylko nie uznać swojej winy. Teraz zrzucał maskę. Był zabójcą. Mordercą z Olimpu.

Drugie okno. Nigdy nie czuł się tak silny. Ten drugi, korzystając z jego snu, działał i zabijał. Zamierzał schwytać go we własne sidła. Mimochodem coś mu się przypomniało. W mitologii greckiej Tanatos, bóg przemocy, zniszczenia i śmierci, miał brata bliźniaka, Hypnosa, boga snu. Kolejne odniesienie mitologiczne, które doskonale do niego pasowało.

Wyłączył wiertarko-wkrętarkę i obejrzał swoje dzieło w świetle żarówki. Nie było już wyjścia z tego pomieszczenia. Został całkowicie uwięziony. Razem z tym drugim. W smudze światła pokój pełen gipsowego pyłu i wiórków był oślepiająco biały. Domyślał się, że jego twarz była w podobnym stanie. Kolor kokainy. Przy każdym kroku zostawiał ślad na ubielonej podłodze.

Odłożył narzędzia na bok i zabrał się do sprzętu wideo. Podłączył kamerę do zasilania, rozłożył statyw. Zapalił reflektor ustawiony między dwoma oknami, z lampą skierowaną ku podłodze, tak jak to się robi w teatrze. W oświetlonym miejscu położył na podłodze matę i wyjął z plastikowego pokrowca śpiwór.

Kiedy miejsce do spania było już gotowe, wziął kamerę z naładowaną baterią i umocował ją na statywie. Z opisu wynikało, że jedna karta pamięci wystarcza na dziesięć godzin nagrywania w normalnych warunkach. Zaczął filmować pokój w szerokim planie. W centrum pola widzenia było jego leże.

Wyjął z opakowania opaskę na oczy, podobną do tych, które rozdają w samolotach. Nałożył ją na czoło i wsunął się w śpiwór. Opuścił opaskę na oczy i skoncentrował się na śnie. Wyłączył telefon. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa. Nikt więc nie mógł mu przeszkodzić.

Wkrótce będzie wiedział…

– Zaklinam cię, szatanie, wrogu ludzkiego zbawienia, uznaj sprawiedliwość i dobroć Boga Ojca…

Franciszka Kubiela, leżąc na stole operacyjnym, z odsłoniętym brzuchem, mruczy swoją modlitwę. Zgromadzeni wokół niej dwaj lekarze i kilka pielęgniarek, wszyscy w zielonych maskach ochronnych, wydają się lekko poirytowani. Trzeci lekarz, również w zielonej masce chirurgicznej, trzyma się z tyłu. Jeden z ginekologów smaruje żelem brzuch kobiety, po czym bierze sondę ultrasonograficzną.

Zwraca się do swojego kolegi, stojącego z drugiej strony stołu:

– Co ona bredzi?

Tamten wzrusza ramionami, dając tym do zrozumienia, że nie ma pojęcia. W ręku trzyma strzykawkę z długą igłą.

– To egzorcyzmy – mówi cicho stojący z tyłu lekarz. – Nauczyła się ich na pamięć po francusku.

– Zaklinam cię w imię Boga Najwyższego, który słusznym wyrokiem ukarał twoją pychę i nienawiść…

– Należało ją całkowicie uśpić – oznajmia przez papierową maskę zdenerwowany położnik. – Nie przeszkadza ci to?

Lekarz ze strzykawką kiwa głową, a wtedy tamten przykłada sondę do brzucha kobiety. Wysyłane przez urządzenie fale odbijają się od małych ciałek w macicy. Widać przyspieszone bicie dwóch serc…

Na ekranie pojawiają się bliźnięta. Franciszka jest w siódmym miesiącu ciąży. Jeden płód mierzy ponad czterdzieści centymetrów, drugi nie przekracza dwudziestu.

– *Zaklinam cię, szatanie, uznaj wszechmoc Jezusa Chrystusa, Słowa, które stało się ciałem…*

– Proszę się uspokoić, Franciszko… – szepce lekarz. – Nic nie będzie pani czuła.

Polka w zielonym papierowym czepku na głowie jakby nie słyszy. Ginekolog podnosi wzrok i patrzy uważnie na monitor. Płody pływają w płynie owodniowym. Dominujący porusza się lekko. Zdominowany usuwa się w głąb macicy. Z dużymi głowami i przezroczystymi oczami są jak dwie szklane rzeźby, różniące się jedynie wielkością…

– Czy dostała leki przeciwskurczowe?

– Tak, panie doktorze – odpowiada jedna z pielęgniarek. Przytłumione głosy kontrastują z silnym światłem lamp bakteriobójczych, które dociera do każdego zakątka sali. Lekarz kierujący operacją, z oczami utkwionymi w ekran, wsuwa powoli igłę do brzucha.

Franciszka podnosi głos:

– *Zaklinam cię na święty znak Krzyża wszystkich tajemnic wiary chrześcijańskiej!*

– Spokojnie… jeszcze kilka sekund i będzie po wszystkim.

– *Powierzam cię Matce Boskiej, Dziewicy Maryi, której Syn, umierając na Krzyżu, zmiażdżył głowę węża i wszystkich ludzi oddał w Jej macierzyńską opiekę!*

– Trzymajcie ją! Nie wolno jej ruszyć się ani o milimetr! Pielęgniarki chwytają ręce pacjentki i mocno je przytrzymują.

Pomaga im trzeci lekarz. Ginekolog, z kroplami potu na czole, kontynuuje zabieg – zaraz dosięgnie klatki piersiowej płodu.

To kwestia milimetrów.

– *Powierzam cię opiece Świętych Apostołów, Piotra i Pawła…* Igła zaraz dotknie ciałka. W tej sekundzie płód odwraca główkę i wbija ogromne oczy w lekarzy. Macha piąstkami na wszystkie strony, kopie nóżkami ścianę macicy.

– ZAKLINAM CIĘ NA KREW MĘCZENNIKÓW! ZMIŁUJ SIĘ NAD NAMI!

Franciszka nagle wygina się w łuk, zaskakując tym lekarza. Igła przebija owodnię, która rozdziela bliźnięta wewnątrz macicy, dosięga drugiego płodu. Nieruchomy, doskonały cel dla trucizny.

– CHOLERA!

Lekarz wyrywa strzykawkę, ale jest już za późno. Trucizna dostała się do serca bliźniaka. Kobieta wciąż się modli, pluje, płacze. Krzyżuje ręce na brzuchu.

Na ekranie ocalały bliźniak jakby się uśmiecha.

Zło zwyciężyło.

Kubiela gwałtownie się obudził. Przez kilka sekund czuł się kompletnie zagubiony. Jakby spadł do studni. Stopniowo adrenalina przywracała mu jasność umysłu.

– To nie odbyło się w ten sposób – szepnął do siebie.

Zerwał opaskę, która zasłaniała mu oczy. Od blasku reflektora aż krzyknął z bólu. Bezwiednie potarł oczy pięściami. Nie mógł ich otworzyć. Światło było zbyt jaskrawe…

To nie mogło się odbyć w ten sposób. Był tego pewien jako lekarz. Przede wszystkim tak znerwicowana pacjentka powinna być poddawana zabiegowi w znieczuleniu ogólnym. Poza tym zawsze przed usunięciem usypiano płód. Nieprawdopodobną rzeczą jest, by poruszał się tak, jak w jego śnie.

A tym mniej prawdopodobne, żeby obrócił głowę w kierunku ekranu.

Pomału opuścił ręce i spojrzał w światło. Mrużąc powieki, dostrzegał kontury pokoju, rażącą aureolę wokół reflektora. Jego wzrok spoczął na kamerze.

Wszystko sobie przypomniał.

Senny koszmar nie był ważny. Liczyło się to, co mógł robić podczas snu. Podejrzewał, że prowadzi podwójne życie. Dobrowolnie zamknął się w tym pokoju. Przed zaśnięciem włączył kamerę, żeby sfilmowała tego drugiego. Czysty obłęd.

W tym momencie zauważył, że do pokoju wtargnął deszcz. Raporty medyczne, zdjęcia USG i inne dokumenty, porwane podmuchami wiatru, leżały rozrzucone na podłodze, wymieszane z wiórkami i gipsem. Przecież to niemożliwe!

Przecież zabarykadował wszystkie otwory.

Zapieczętował puszkę Pandory.

Odwrócił głowę. Okno po lewej stronie było otwarte na oścież, okiennice stukały na wietrze. Na podłodze leżały połamane deski. Jakby jakaś dzika bestia – wilkołak – zniszczyła wszystko gołymi rękami.

Kubiela nie wierzył własnym oczom. Wstał, żeby sprawdzić, co zarejestrowała kamera. Zastygł w pół ruchu. Był umazany krwią. Ledwie wyschłą krwią, która lepiła się na jego koszuli. Rozchylił koszulę, obmacał ciało. Żadnych ran. Żadnych zadraśnięć.

Była to krew tego drugiego.

Zdjął kamerę ze statywu. Kiedy usiłował nastawić ją na odczytywanie, stwierdził, że jego ręce nie są umazane krwią. To go nieco uspokoiło. W głębi umysłu szukał jakiegoś światła, wskazówki, wspomnienia. Nic.

Szybkie odczytywanie. Początek był komiczny. Leżał na podłodze, wykonując jakieś szybkie ruchy, po czym zasnął, zakopując się w białym śpiworze po czubek głowy. Bezruch tej sceny sprawiał wrażenie, jakby zatrzymał się obraz. Jednak nie. Od czasu do czasu Kubiela podskakiwał, obracał się na drugi bok, zmieniał pozycję.

Ale się nie budził.

Popatrzył na cyfrowy zegar. Dziewięćdziesiąta czwarta minuta nagrywania i nic się nie działo. W sto drugiej minucie w polu widzenia kamery pojawiły się papiery, zdjęcia medyczne. Wiatr. Ktoś był w pomieszczeniu. Kubiela zatrzymał odczytywanie i cofnął nagranie o kilka sekund. Nic nie było widać, usłyszał jednak odgłos uderzeń w okno, brzęk tłuczonego szkła, trzask łamanych desek, stuk ich kawałków spadających na podłogę.

Wszystko to działo się poza polem widzenia kamery. Poruszył kamerą, jakby mógł tym sposobem coś zmienić.

W tym momencie pojawiła się czyjaś ręka w rękawiczce.

Potem znowu nic.

Czarny obraz.

Intruz zatrzymał nagrywanie w sto piątej minucie. Kubiela przewinął kawałek taśmy w nadziei, że tajemnicza ręka włączyła ponownie filmowanie.

Nic z tego. Podniósł oczy i był wręcz zaskoczony, że nie widzi siebie w miejscu, gdzie spał.

Kto wszedł do tego pokoju?

Kto wiedział, że się tu ukrył?

Wyłączył reflektor i zapalił żarówkę dającą słabsze światło. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Czuł się jak połamany. Wszystko to było przerażające, a jednocześnie uspokajające. Jeśli pojawił się inny człowiek, to może on sam nie był zabójcą. Może istniało jakieś inne wyjaśnienie…

Był tak pogrążony w myślach, że z pewnym opóźnieniem usłyszał dzwonek telefonu. Swoją komórkę wyłączył, a tego sygnału nie znał.

Zostawił kamerę i zaczął szukać telefonu, depcąc po dokumentach, zdjęciach walających się w wilgotnych wiórkach. W końcu dostrzegł aparat leżący na podłodze.

– Halo?

– Słuchaj uważnie.

– Kto mówi?

– Słuchaj, co do ciebie mówię. Wyjrzyj na zewnątrz. Kubiela wychylił się przez rozbite okno. Wiał silny nocny wiatr. Deszcz smagnął go po twarzy, ale powietrze na zewnątrz było ciepłe. Miało zupełnie inną temperaturę niż w ciągu dnia. Wydało mu się to dość niezwykłe.

– Przed twoją furtką stoi samochód.

Kubiela zobaczył czarną karoserię, lśniącą w deszczu. Już nie zadawał sobie żadnych pytań. Może znowu śnił?

– Kluczyki są w stacyjce. Wsiadaj i jedź do mnie.

– Dokąd?

– Do La Rochelle.

Kubiela nie był w stanie nic powiedzieć. Gardło miał ściśnięte. W głowie mu wirowało.

W końcu jednak zapytał:

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Dla niej.

Nagły jęk. Zduszone krzyki przez zakneblowane usta. Spojrzał na zaplamioną krwią koszulę.

– To znaczy dla kogo?

– Ja nazywam ją Eurydyką. Ty znasz ją jako Anaïs. Anaïs Chatelet.

W czaszce mu zazgrzytało. Warkot helikoptera, terkot karabinów, odgłos śmierci.

– Blefujesz – odrzekł, przechodząc na ty. – Anaïs jest w więzieniu.

– Nie jesteś na bieżąco, mój panie.

„Mój panie”. Znał ten głos, powolny, niski. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go słyszał.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic. Na razie.

– Daj mi ją. Chcę z nią porozmawiać.

Głuchy śmiech. Mruczenie kota.

– Nie może z tobą rozmawiać. Ma poparzone wargi.

– Łajdaku! Co to znaczy…

– Jedź do La Rochelle. Zadzwonię ponownie.

– Kim ty jesteś, do diabła?

Znowu ten łagodny śmiech.

– Jestem tym, który cię stworzył.

Gdy znalazł się na autostradzie A10, natychmiast zorientował się, że coś złego dzieje się w atmosferze. Gwałtowne podmuchy wiatru uderzały w karoserię z dużą siłą. Drzewa rosnące na skraju drogi wyginały się w szalonych skurczach. W samochodzie zrobiło się, nie wiadomo dlaczego, bardzo gorąco. Co się dzieje? Był zupełnie sam na drodze.

Włączył radio.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał, brzmiały:

– Z powodu nadciągającego huraganu Xynthia w departamentach la Charente-Maritime, la Vendee, des Deux-Sèvres i la Vienne ogłoszono czerwony alarm. Niebezpieczeństwo jest realne. Przewiduje siępowodzie, zerwanie sieci elektrycznej, szkody materialne. Już w najbliższy wieczór wiatr może osiągać prędkość stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę…

Kubiela zacisnął ręce na kierownicy. Tylko tego mu brakowało. Wmieszały się siły nadprzyrodzone. Zresztą nic dziwnego. Od samego początku ta historia toczyła się pod znakiem bogów. „Jestem tym, który cię stworzył”.

Kubiela zmienił stację w radiu.

– Spodziewano się go i oto nadszedł. Od dwudziestego trzeciego lutego w Méteo France mówiono o rozbudowującym się nad Atlantykiem niżu, który może sprowadzić huragan. Dwudziestego piątego lutego satelita Eumetsat sfotografował przemieszczanie się niżu w kierunku portugalskiego archipelagu Madera.

Za komentarz do tej informacji mogło służyć to, że wóz nie przestawał się kołysać, spychany z pasa na pas, jakby unoszony jakąś niewidzialną ręką. Kubiela pędził z prędkością ponad dwustu kilometrów na godzinę. Obserwował lampki na tablicy rozdzielczej. Samochód był cudem techniki, ale nie mógł przeciwstawić się atakom natury.

– Niż nadciągnął z rejonów subsaharyjskich, sprowadzając stamtąd dwudziestego lutego tropikalny cyklon na Wyspy Kanaryjskie, powodując pierwsze szkody. Obecnie Xynthia przemieszcza się już nad kontynentem. Oznaką tego jest wysoka temperatura. Dwadzieścia pięć stopni w środku zimy na Wybrzeżu Baskijskim to nie jest zwykły wzrost temperatury, to koniec świata!

Pomyślał, że komentatorzy całkiem dobrze zastępują ewangelistów zapowiadających apokalipsę. Brakowało tylko charakterystycznych dla nich zaklęć. Kubiela był tak zdenerwowany, że te słowa świdrowały jego mózg niczym rozgrzany do białości metal.

Zostało mu jeszcze dwieście kilometrów do przejechania i miał wrażenie, że pędzi prosto w paszczę potwora. Czy powinien się zatrzymać? Zaszyć się w jakimś pokoju hotelowym i poczekać, aż się wszystko uspokoi? Niemożliwe. Ton tamtego głosu nie budził wątpliwości. Niczym echo wróciły dręczące umysł pytania. Kim był zabójca? W jaki sposób wziął Anaïs jako zakładniczkę? Kiedy wyszła z więzienia? Czy kontynuowała swoje śledztwo i wdepnęła tam, gdzie nie powinna? Co chce zaproponować mu morderca? A przede wszystkim – gdzie słyszał już ten głos?

Minął Tours i skręcił do stacji benzynowej. Wiata na słupach kołysała się. Tablice informacyjne były zerwane. Rosnące wzdłuż parkingu drzewa iglaste uginały się tak nisko, że ich korony tworzyły jakby grzywę czarnej, wściekłej piany. Tylko pompy wydawały się solidnie wkopane w asfalt. Miał dosyć benzyny, by dojechać do La Rochelle, ale pragnął nawiązać kontakt ze światem ludzi.

Źle trafił. Ani jednego samochodu. Nikogo w jeszcze oświetlonym supermarkecie. Dotarłszy do drżących witryn, zobaczył w końcu kilka osób ubranych na czerwono, kobiety w fartuchach, mężczyźni w kombinezonach. W pośpiechu zwijali manatki.

– Czy pan zwariował, żeby jechać w taką pogodę?! – krzyknęła do niego jedna z kobiet.

– Huragan zaskoczył mnie w drodze.

Zamykała kasę za kontuarem.

– Nie słyszał pan ostrzeżeń w radiu? Ogłoszono czerwony alarm.

– Muszę jechać dalej. Muszę dotrzeć do La Rochelle.

– La Rochelle? Widzi pan, jak tutaj dmucha? Wyobraża sobie pan, co się dzieje na wybrzeżu? O tej porze pewnie wszystko jest już zalane…

Kubiela nie słuchał dalej. Niepotrzebna mu była taka Kasandra. Ruszył ponownie w drogę, jak mityczny heros, który nie jest w stanie uciec od przeznaczenia.

O trzeciej nad ranem wjechał na N11. W ciągu sześciu godzin pokonał czterysta pięćdziesiąt kilometrów dzielących Paryż od La Rochelle. Nieźle. Nie zdążył się tym nacieszyć, kiedy zaczął padać deszcz. W jednej chwili ulewa przesłoniła cały pejzaż, jakby go wymazując, anulując. Strumienie wody siekły szyby, biły po karoserii, pojawiając się jednocześnie zewsząd, to z góry, to z dołu.

Nie widział tablic drogowych. Pomyślał o włączeniu GPS-u, ale musiałby się zatrzymać, znaleźć instrukcję obsługi, zaprogramować urządzenie… Wszystko wokół niego wydawało się jakieś nierealne. Myślał już, że jest sam na świecie, kiedy zobaczył światła jadącego z naprzeciwka samochodu. Ten widok go uspokoił, nie trwało to jednak długo. Samochody zjeżdżały na pobocza, wpadały w poślizg. Ludzie tracili kontrolę nad rzeczywistością.

Nagle tablica z napisem LA ROCHELLE 20 KM uleciała w górę niczym żelazne skrzydło i uderzyła w jego wóz. Na szczęście skończyło się tylko na pękniętej przedniej szybie. Jechał dalej. O dach i maskę uderzały gałęzie, papiery. W ciemnościach wirowały przeróżne kawałki i śmieci.

Wreszcie ukazało się miasto. Lampy kołysały się na słupach. Domy drżały w posadach. Podzwaniały dachy. Niekiedy ze środka wyskakiwali przerażeni ludzie. Próbowali lepiej przymocować anteny satelitarne, osłaniać szyby samochodów, zamykać okiennice… Odważni, ale ich wysiłek nie przynosił efektu – żywioł zabierał wszystko. Odezwała się komórka leżąca na fotelu pasażera. Ledwie ją usłyszał w tym straszliwym hałasie.

– Halo?

– Gdzie jesteś?

– W La Rochelle.

– Czekam na ciebie w bazie łodzi podwodnych La Pallice. Głos brzmiał jak w kościele. W tle słychać było głuchy, miarowy huk. Zapewne oddech rozszalałego oceanu.

– Co to takiego?

– Bunkier z czasów drugiej wojny światowej, blisko wjazdu do portu handlowego. Zauważysz bez trudu.

– Nie znam La Rochelle!

– Dasz radę. Jedź wzdłuż budynku po wschodniej stronie. Ostatnia brama od strony północnej będzie otwarta. Czekam.

Jechał dalej przed siebie, aż dotarł do portu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był migający napis na tablicy elektronicznej: OSTRZEŻENIE O HURAGANIE O GODZINIE 22. PROSIMY WRACAĆ DO DOMU. Jechał bulwarem, następnie wzdłuż basenu portowego dla łodzi spacerowych. Statki uderzały o siebie kadłubami. Maszty się krzyżowały. Dużo dalej fale kilkumetrowej wysokości rozbijały się o nabrzeże.

Kubiela nigdy nie widział czegoś takiego. Wiatr, ocean, ciemności walczyły między sobą o miasto. Woda zalewała skarpy, jezdnie, chodniki. Wciąż jechał. Jak ma znaleźć bazę łodzi podwodnych? Doszedł do wniosku, że trzeba minąć baseny, aż zobaczy jakąś tablicę czy inną wskazówkę. Wtedy, między jednym a drugim machnięciem wycieraczek na przedniej szybie, zobaczył coś niesamowitego: trzy osoby szły pod wiatr, w wodzie po kolana.

Wizja zniknęła. Może majaczył… W tym momencie jego samochodem zarzuciło i wpadł na chodnik. Oprzytomniał. Gwałtownym pchnięciem ramion otworzył drzwi i natychmiast ogarnął go parzący wir. Zapomniał o gorącu, a to było najstraszniejsze. Świat w stanie przegrzania. Jądro planety bliskie eksplozji.

Nie, to nie było przywidzenie. Tamci oddalali się, z rękami w kieszeniach, zgięci wpół przed wiatrem. Głęboko pochylony poszedł w ich kierunku. Latarnie kołysały się prawie tak mocno jak maszty statków. Przewo-

dy elektryczne grały niczym struny gitary. Ziemia pod nogami, zalana morską wodą, była śliska, lepka.

– Halo! Przepraszam!

Chociaż byli zaledwie dwadzieścia metrów od niego, wydawało się, że są poza jego zasięgiem. Chwiejąc się, przyspieszył kroku. Dwóch mężczyzn z rękami w kieszeniach. Jedna kobieta usiłująca nie stracić torebki. Wszyscy w kapturach na głowach.

– Przepraszam!

Kubieli udało się chwycić za ramię jednego z mężczyzn. Nie wydawał się zaskoczony – chyba nawet spodziewał się uderzenia w głowę latarnią lub bomem.

– Szukam bazy łodzi podwodnych La Pallice.

– Zwariował pan? To w porcie handlowym. Wszystko tam musi być już pod wodą.

– Czy to daleko?

– Za pana plecami. Przynajmniej ze trzy kilometry.

– Jestem samochodem.

– Samochodem?

– Proszę powiedzieć, jak tam dojechać.

– Pojedzie pan aleją Jean-Guiton. Cały czas prosto, aż zobaczy pan tablicę z napisem „Port handlowy”. Jednak, szczerze mówiąc, zdziwiłbym się, gdyby zdołał pan tam dotrzeć.

Mężczyzna jeszcze coś mówił, ale Kubiela już zawrócił. Samochodu nie było tam, gdzie go zostawił. Osłonił oczy rękoma i zobaczył, że wóz stoi pięćdziesiąt metrów dalej, wciśnięty między inne. W wodzie sięgającej niemal do kolan przedostał się do drzwi od strony pasażera – drugie były niedostępne – otworzył je i wsunął się do środka. Stacyjka. Silnik nie był zalany. Manewrując, wydostał się z tej plątaniny wozów.

Jechał kilka minut arterią otoczoną drzewami i domkami, które osłaniały go od wiatru. Wreszcie pojawiła się tablica PORT HANDLOWY. Skręcił w prawo. Pejzaż zmienił się natychmiast. Cysterny, magazyny, tory kolejowe i coraz silniejszy huragan. Wpadał w poślizg, tańczył w kałużach. Kiedy już myślał, że nie da rady dalej jechać, po obu stronach drogi ukazały się nasypy ziemne. Ochraniały go przed wiatrem przez jakiś kilometr.

W końcu trafił do portu. W budce strażniczej ciemno. Nic nie było widać poza czerwono-białą barierą i tablicą: PIESZYM I OBCYM POJAZDOM

DO PORTU WSTĘP WZBRONIONY. W panującym wokoło chaosie ostrzeżenie wydawało się śmieszne.

Ale głos z telefonu miał rację – nie mógł przeoczyć tego bunkra. Na lewo, w ciemnościach, wznosiła się forteca ze zbrojonego betonu.

Bariera zagradzająca wjazd była złamana. Cofnął się i przejechał drugą stroną. Żurawie. Zbiorniki na paliwo. Ogromne ramiona turbin wiatrowych. Objechał te przeszkody. Chociaż wiatr szalał tutaj z wielką siłą, port jakoś się przed nim bronił. Przemysłowe konstrukcje dawały poczucie bezpieczeństwa.

Znalazł się przed bunkrem, obok torów kolejowych. Z przodu ujrzał ogromny basen. Statki towarowe długości stu metrów, ważące po kilka tysięcy ton, kołysały się niczym łupiny orzechów. Wściekłość oceanu była zaraźliwa. W basenie odciętym od oceanu fale unosiły się na wysokość kilku metrów.

Podniósł wzrok i spojrzał na ufortyfikowany budynek. Mury wznosiły się na ponad dwadzieścia metrów i otwierały na morze dziesięcioma prześwitami tej samej szerokości.

Głos w telefonie powiedział: „Jedź wzdłuż budynku po wschodniej stronie. Ostatnia brama od strony północnej będzie otwarta”. W końcu uruchomił GPS, który pokazał mu cztery strony świata. Znajdował się od południowej strony bunkra, mając basen na zachód. Krótko mówiąc, był w złym miejscu. Włączył wsteczny bieg, objechał budowlę, odnalazł wschodnią fasadę.

Ślepy mur ciągnął się na długości dwustu metrów. Na końcu znajdowała się czarna żelazna brama. „Ostatnia brama od strony północnej będzie otwarta”. Kubiela wziął dwa pistolety, wsunął je za pasek na plecach i wysiadł z samochodu. Ruszył w kierunku bramy. Nabrzeże było całkowicie opustoszałe. Brnął przez wiatr i deszcz, ale rozpierała go energia. Nadeszła pora konfrontacji.

Przypomniał sobie, co powiedział głos w telefonie: „Ja nazywam ją Eurydyką. Ty znasz ją jako Anaïs”.

Eurydyka. Kto byłby Orfeuszem? On czy zabójca? Co zaplanował ten szaleniec? Popatrzył znowu na bunkier, który dawał schronienie wojsku i amfibiom. Przyszło mu do głowy, że jeśli on był Orfeuszem, to ta forteca była królestwem podziemnym. W ulewie rozglądał się nawet, czy nie zobaczy Cerbera, potwornego psa, który strzegł wrót królestwa ciemności.

Jak zahipnotyzowany, ogarnięty obsesyjnie jedną myślą, pchnął ramieniem czarną żelazną bramę.

Była otwarta.

Nie tak trudno wejść do piekła.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, był długi ciemny tunel, otwierający się w oddali na żywioł. Fale wpadały tamtędy z impetem, potem stopniowo zmniejszały się, aż zostawały z nich zwykłe strumyczki. Wnętrze bunkra przypominało olbrzymią prostokątną piwnicę. Miał wrażenie pustki, wewnętrznego rezonansu, jaki się czuje po wejściu do katedry. Woda była obecna wszędzie. W strukturze betonu. W rozbrzmiewającym nad nim plusku. W połyskujących kałużach na ziemi. Z końca kanału, w regularnych odstępach, dochodził aż do niego, po czym jakby cofał się z żalem ryk huraganu. Kubiela czuł się tak, jakby znajdował się w paszczy potwora, którego śliną był ocean.

Żadnego światła, żadnego znaku. Jego oczy, jeszcze zamglone deszczem, nic nie widziały. Uświadomił sobie, że zostawił w samochodzie telefon komórkowy. Idiotyzm. Ale zabójca bez wątpienia i tak go odnajdzie.

Jakby w odpowiedzi, na prawo od niego zabłysło światło w odległości około pięćdziesięciu metrów – w ciemności trudno było to ocenić. Usłyszał syk. Zmrużywszy oczy, zobaczył pomarańczowy płomień z niebieskawą otoczką. W jego kierunku szedł jakiś mężczyzna ze sprzętem do spawania.

Wyglądał jak rybak.

Kiedy podszedł nieco bliżej, okazało się, że ma na sobie pelerynę przeciwdeszczową, spodnie na szelkach, kamizelkę ratunkową i ochraniacze na nogach. Twarz zasłaniał mu szczelnie zawiązany kaptur. Kubiela nigdy nie

zastanawiał się nad tym, jak wygląda zabójca z Olimpu, i dlatego teraz ta zjawa zrobiła na nim wrażenie.

Zabójca był już tylko kilka metrów od niego. W jednej ręce trzymał palnik do spawania, drugą ciągnął wózek z dwiema metalowymi butlami, które zawierały tlen i acetylen.

François próbował dojrzeć jego twarz. Coś w tej zgarbionej sylwetce wydało mu się znajome.

– Cieszę się, że znowu cię widzę – odezwał się gospodarz, odrzucając kaptur.

Jean-Pierre Toinin. Psychiatra, który był świadkiem jego narodzin i który opiekował się jego szaloną matką. Człowiek, który był obecny, gdy poświęcano w ofierze jego brata. Był tym, który znał całą jego historię. I który zapewne ją napisał. „Jestem tym, który cię stworzył”.

– Wybacz, ale muszę zamknąć bramę.

Kubiela odsunął się na bok, żeby go przepuścić. Poczuł gorący podmuch z dyszy palnika. Przyjrzał się szerokim plecom, silnej sylwetce tego człowieka. Mimo niemłodego wieku byłby w stanie przenieść na swoich barkach Minotaura czy Ikara. Mógłby przetransportować łeb byka i dać radę takiemu olbrzymowi jak Uranos.

Toinin zdecydowanym ruchem zatrzasnął bramę i skierował ku niej jaskrawopomarańczowy płomień palnika. Rozległ się ostry syk. Toinin celował w zamek. Kubieli zabrakło tchu. Oto znikała wszelka możliwość ucieczki z tego miejsca. Z jednej strony zaspawana brama, z drugiej – ryczący ocean.

– Co… co pan robi?

Mówił do mordercy. Zdawało mu się, że ma halucynacje.

– Zamykam bramę.

– Przed wodą?

– Przed nami. Tędy już się nie wydostaniemy.

Metal rozgrzał się do czerwoności, a zaraz potem sczerniał. Kubiela nagle otrząsnął się ze stanu apatii.

Podszedł do starego, który pracował na kolanach, podniósł go z ziemi.

– Gdzie ona jest?

Toinin obrócił palnik i zawołał z udanym przerażeniem:

– Poparzysz się, nieszczęśniku!

Kubiela puścił go, ale powtórzył głośniej:

– Gdzie jest Anaïs?

– Tam.

Toinin wskazał płomieniem na boczną bramę, po lewej stronie. Dojście do kolejnych hangarów. Kubiela zobaczył, a może mu się tylko wydawało, postać przemoczoną od stóp do głów, skuloną na ziemi. Uwięziona wyglądała jak Anaïs, ale miała na głowie kominiarkę.

Chciał tam biec, lecz Toinin zagrodził mu drogę śmiertelnym płomieniem. Gorąco buchnęło mu aż do oczu.

– Nie zbliżaj się do niej – mruknął. – Jeszcze nie…

– Chcesz mi w tym przeszkodzić?! – krzyknął Kubiela, sięgając ręką za plecy.

– Jeśli się do niej zbliżysz, umrze. Możesz mi wierzyć.

Kubiela znieruchomiał. Wcale nie wątpił w pomysłowość pokrętnej strategii Toinina. Puścił kolbę CZ-75.

– Chcę dowodu, że to Anaïs.

– Chodź za mną.

Ciągnąc wózek na kółkach, Toinin ruszył w ciemność. Kubiela szedł za nim z pewną nieufnością. W kałużach wirowały odblaski płomienia. Nierównomierny szum dyszy aparatu spawalniczego mieszał się z rykiem fal.

Morderca stanął kilka kroków przed uwięzioną. Zostawił palnik i wyciągnął do niej rękę. Kubiela sądził, że zamierzał zdjąć jej kominiarkę. On jednak odwinął mankiety jej kurtki. Na mokrym ciele widoczne były ślady samookaleczeń.

W jednej sekundzie Kubiela przypomniał sobie ich krótki wieczór w Bordeaux.

„Czy naprawdę nie chce pan otworzyć przyniesionej przeze mnie butelki?”.

Anaïs miała ręce skute kajdankami. Chyba zaczynała się budzić. Każdy jej gest zdradzał zmęczenie, słabość.

– Dałeś jej narkotyk?

– Zwykły środek uspokajający.

– Jest ranna?

– Nie.

Kubiela rozpiął bluzę, odsłaniając koszulę poplamioną krwią.

– A to?

– To nie jej krew.

– Czyja?
– Czy to ważne? Krwi nie brakuje.
– Pod tą kominiarką jest zakneblowana?
– Ma sklejone wargi. Doskonały klej syntetyczny.
– Łajdaku!
Kubiela skoczył w stronę Toinina, który chwycił palnik.
– To nic takiego. Opatrzą jej wargi, gdy stąd wyjdzie.
– Wyjdziemy stąd?
– Wszystko zależy od ciebie.
Kubiela potarł ręką czoło. Woda deszczowa i pot wymieszały się w słoną papkę.
– Czego chcesz? – skapitulował.
– Żebyś mnie wysłuchał. Na początek.

– Poznałem twoją matkę w przychodni w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku. Kierowałem oddziałem, który był punktem pomocy społecznej i opieki psychiatrycznej. Franciszka wraz ze swoim mężem przyjechali ze Śląska. Nie mieli pieniędzy. Andrzej pracował na placach budowy. Franciszka zmagała się ze swoimi problemami psychicznymi. Potem mówiono, że zwariowała w czasie ciąży, ale to nieprawda. Zapewniam cię, że była chora już wcześniej…

– Na co cierpiała?

– Chorowała jednocześnie na cyklofrenię, schizofrenię i depresję… Wszystko to w katolickim sosie.

– Leczyłeś ją?

– To była moja praca. Jednak szybko posłużyła mi do moich eksperymentów.

– Jakich eksperymentów? – Kubiela poczuł, jak krew lodowacieje mu w żyłach.

– Zastosowałem substancję produkowaną w latach siedemdziesiątych. Był to czas środków psychotropowych, antypsychiatrii i tworzenia zakładów leczniczych nowego typu. W tamtym okresie uważano, że farmakologia jest przyszłością naszej dziedziny. Zamierzano wszystko leczyć farmakologicznie! Równolegle do praktyki lekarskiej założyłem więc laboratorium badawcze. Nic wielkiego. Nie miałem pieniędzy. Mimo to odkryłem,

niemal przypadkiem, pewną substancję. Poprzedniczkę DCR dziewięćdziesiąt siedem, którą udało mi się zsyntetyzować.

– Co to za substancja?

– Substancja programu Matrioszka.

– Na co miała pomóc w tamtym czasie?

– Na nic. Sprzyjała jedynie zmianom nastroju, popędu… Jakby wzmacniała dwubiegunowość.

– Wstrzykiwałeś ją Franciszce?

– Nie jej. Płodom.

Ukryta logika całej historii. Bliźnięta, których temperamenty tak się różniły, były królikami doświadczalnymi. Reprezentowały zarys przyszłych eksperymentów.

– Rezultaty były niezwykłe. Do dzisiaj nie potrafię tego wyjaśnić. Substancja nie zmieniała dziedzictwa genetycznego embrionów, ale zmieniała ich zachowanie, od samego początku istnienia w łonie matki. Popędy negatywne umiejscowiły się zwłaszcza w jednym dziecku. W istocie wrogiej, aktywnej, agresywnej, która pragnęła zabić brata.

Kubiela był ogłuszony.

– Chciałem, żeby urodziło się dwoje dzieci, jednak było to fizycznie niemożliwe. Ginekolodzy dali wybór rodzicom: ocalić dominującego lub zdominowanego. Franciszka wybrała naturalnie tego słabszego. Ciebie. Myślała, że jesteś aniołem, niewiniątkiem. Czysta bzdura. Byłeś jedynie elementem mojego eksperymentu.

Ponure pocieszenie – był więc tym dobrym bliźniakiem.

– Od tej chwili twój rozwój już mnie nie interesował. Przerwałem wstrzykiwanie mojej substancji. Franciszka została oddana do zakładu, w którym byłem konsultantem. Minęły lata. Podczas jednej ze swoich wizyt Andrzej powiedział mi, że miewasz koszmarne sny, niezrozumiałe napady agresji. Przebadałem cię. Stwierdziłem, że żyje w tobie zły bliźniak. To, co moja substancja rozdzieliła, twoja psychika złączyła w całość. W jednym umyśle!

– Leczyłeś mnie?

– A z jakiego powodu? Nie byłeś chory. Byłeś przedłużeniem moich badań. Niestety, ratowała cię siła twojego charakteru. Udawało ci się utrzymywać widmo twojego brata w głębi podświadomości.

– Dlaczego nie wstrzyknąłeś mi ponownie twojej substancji? – zapytał Kubiela.

– Po prostu nie mogłem. Twój ojciec mi nie ufał. Mimo że mu pomogłem… to ja zapłaciłem za domek w Pantin… trzymał mnie na dystans. Postarał się nawet zwrócić mi pieniądze! Potem udało mu się przenieść Franciszkę do Ville-Evrard, tak że znalazła się poza moim zasięgiem.

– Czy domyślił się, co zrobiłeś?

– Nie, ale czuł, że coś nie było w porządku. Instynkt wieśniaka. Po jakimś czasie uzyskał francuskie obywatelstwo. Poczuł się pewniejszy siebie. Nie mówiąc o tym, że był olbrzymem. Siła fizyczna zawsze ma swoje znaczenie.

– Co się potem ze mną działo?

– Nie mam pojęcia. Twój przypadek przestał mnie interesować. Zająłem się innymi sprawami. Zainspirowany twoją ewolucją, szukałem substancji, która mogłaby wywołać rozszczepienie w mózgu osoby dorosłej i wyodrębnić kilka osobowości.

– Substancja produkowana przez Mêtis.

– Nie tak szybko. Ponad dwanaście lat pracowałem sam, bez pieniędzy, bez ekipy. Bez spektakularnych efektów. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych moimi badaniami zainteresował się Mêtis.

– Dlaczego?

– Nic w tym nadzwyczajnego. Po prostu Mêtis pojawił się nagle na rynku leków uspokajających, przeciwdepresyjnych. Szukali wszelkich substancji wpływających na ludzki mózg. Opowiedziałem im o DCR dziewięćdziesiąt siedem. Wtedy ta cząsteczka jeszcze się tak nie nazywała. Nie istniała nawet w swojej… ostatecznej wersji.

– Dali ci pieniądze?

– Nie tak wielkie, ale mogłem doprowadzić do końca moje eksperymenty. Wyodrębnić substancję, która była zdolna wywołać w umyśle ludzkim reakcję łańcuchową.

– Jak ona działa?

– Nie mam pojęcia. Nie potrafię wyjaśnić zasady działania. Natomiast bardzo długo obserwowałem jej efekty. Przypomina to rozszczepienie nuklearne. Pamięć pęka niczym jądro atomu. Jednak ludzki umysł ma własną logikę. Coś w rodzaju prawa ciążenia, które sprawia, że pragnienia, popędy,

fragmenty pamięci w sposób naturalny przegrupowują się między sobą, tworząc nową osobowość.

Kubiela pojął, że szukał tej właśnie siły grawitacji, prowadząc własne badania nad bliźniętami i osobowością wieloraką.

– Robiłeś próby kliniczne?

– Z tym był problem. Moje badania wymagały materiału ludzkiego. Nie da się przeprowadzić eksperymentów z tą substancją na szczurach czy małpach. Mêtis nie ma aż tak wielkich wpływów, żeby móc testować wszystko na wszystkich.

– No więc?

– Pozwolili mi otworzyć specjalistyczną klinikę. Zacząłem testować DCR na psychicznie chorych. Na istotach, których osobowość już była niestabilna. W obrębie mojej kliniki mogłem działać z większą swobodą. Badania były tajne, całkowicie finansowane przez Mêtis.

– Jaki jest sens sprawdzać działanie tego rodzaju substancji na osobach już chorych? Żeby pogłębić jeszcze ich chorobę?

– Przy tej okazji istnieje również możliwość jej wyleczenia. My jednak nie zajmowaliśmy się tym.

Odżyły na nowo stare widma. Eksperymenty na ludziach w obozach koncentracyjnych. Doświadczenia w radzieckich zakładach dla psychicznie chorych. Zakazane badania, których rezultaty zawsze są cenne dla wywiadu wojskowego.

– Nasze wyniki były niejednoznaczne. Niektórzy pacjenci pogrążali się w obłędzie. Inni zapadali w śpiączkę. Byli i tacy, którzy odzyskiwali dawną osobowość z czasów, kiedy byli jeszcze zdrowi, ale potem się załamywali.

– Jak Patrick Bonfils?

– Zaczynasz rozumieć. Bonfils to jeden z moich najstarszych pacjentów.

– Skąd pomysł, żeby pracować na ludziach zdrowych psychicznie?

– Wojsko chciało poszerzyć moje badania. Zaproponowano mi wdrożenie programu Matrioszka. Z osobami zdrowymi psychicznie, którym zamierzano podawać tę substancję. Dostałem wszystko, co potrzeba, żeby opracować metodę pozwalającą dawkować DCR dziewięćdziesiąt siedem bez konieczności robienia zastrzyków. Dzięki wynalezionemu przez nas implantowi można było puścić wolno pacjentów i obserwować, jak się zachowują.

Program był ryzykowny. Nawet wśród wojskowych nie było jednomyślności, lecz część tych na górze chciała zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi.

– Mówisz: Mêtis, wojsko, ale kto konkretnie jest odpowiedzialny za ten program?

– Tego nie wiem. Nikt tego nie wie. Wszystko odbywa się w ramach jakichś grup konsultacyjnych, komitetów, misji. Kompetencje się rozmywają. Nie da się wymienić nazwiska choćby jednego winnego.

– Dlaczego nie testowano substancji na więźniach skazanych na śmierć, na terrorystach?

– Bo są lepiej chronieni. Adwokaci, media, współwinni, wszyscy zajmują się zdeklarowanymi zabójcami. O wiele łatwiej jest porwać i wyeliminować ludzi anonimowych, stukniętych. Mêtis i wojsko zorganizowali system selekcji, ale ja nie zajmowałem się tym aspektem sprawy.

Sasha.com. Feliz, Medina, Leila – Kubiela wiedział dużo więcej niż Toinin o tej stronie programu.

– Przyjmowałem „wolontariuszy”. Wszczepiałem im implanty. Uprzedzałem ich, by pod żadnym pozorem nie godzili się na badanie tomograficzne lub rentgenowskie. Wtedy oczywiście implant zostałby odkryty. Potem ich wypuszczano i obserwowano, co się z nimi dzieje.

Znał dalszy ciąg. Wokół nich mury drżały w posadach. Sądząc po dobiegających dźwiękach, można było przypuszczać, że woda zaczynała zalewać dach bunkra wysokości dwudziestu metrów.

– Na jakim etapie jest dziś ten eksperyment?

– Został zamknięty. Matrioszka już nie istnieje.

– Dlaczego?

Toinin pokręcił głową z dezaprobatą.

– Moje wyniki nie były zadowalające. Pacjenci miewali co jakiś czas ataki. Zmieniali osobowość, ale nie dawało się nad tym zapanować. Niektórzy z nich wymknęli się nawet naszej kontroli. Wojskowi i ludzie z Mêtisu uznali, że moje prace nie mają konkretnego zastosowania. Ani dla armii, ani w celach komercyjnych.

– Przypuszczam, że się z tym nie zgadzasz.

Poruszył palcami w półmroku oświetlonym palnikiem.

– Kpię sobie z ich decyzji. Jestem demiurgiem. Igram z losem ludzi.

Kubiela przyjrzał się swemu rozmówcy. Regularne rysy, liczne zmarszczki. Z upływem lat w tej twarzy zostało tylko to, co konieczne – kości i mię-

śnie. Prawdziwy psychopata, który stawiał się ponad prawem, ponad ludźmi.

– Wyeliminowaliście wszystkich pacjentów?

– Nie wszystkich. Ty jesteś tutaj.

– Dlaczego?

– Bo ja cię chronię.

– Jak?

– Zabijając ludzi.

Kubiela nic już nie rozumiał. Ryczący ocean cały czas tłukł o ściany bunkra. Huk rozbrzmiewał echem wewnątrz każdego hangaru.

– Wyjaśnij to.

– Pod koniec dwa tysiące ósmego roku usłyszałem o pewnym psychiatrze, który wszędzie wtyka swój nos. Nie byłem tym zdziwiony. Niektórzy pacjenci wymknęli się z naszej sieci. To, że trafią do szpitali psychiatrycznych, było normalną koleją rzeczy.

– Poznałeś mnie?

– Przekazano mi akta jednego śledztwa. Chciano wiedzieć, czy słyszałem o tobie jako o psychiatrze. Dobre sobie! Bliźniak Kubiela! Byłem oszołomiony tym, że natknąłem się na ciebie po dobrych trzydziestu latach. Greckie fatum.

– Czy chciano mnie już wtedy zabić?

– Nie wiem. Zaproponowałem, żebyś został kolejnym obiektem eksperymentu. Nie wyrazili zgody. Uznali, że to zbyt ryzykowne. Argumentowałem, że mam twoje akta medyczne sprzed lat. Przedstawiłem genezę twoich narodzin, dwoistość twoich początków, złożoność twojej psychiki. Udowodniłem, że idealnie nadajesz się do naszych celów. W głębi ciebie już istniały dwie osobowości.

Kubiela pokiwał wolno głową.

– Ostatecznie zostałem poddany tej procedurze i przeszedłem przez kilka osobowości. Nono. Narcyz. Janusz… Problem w tym, że za każdym razem podejmowałem na nowo śledztwo Kubieli, chcąc się dowiedzieć, jakie były źródła tego syndromu i jaka była moja prawdziwa tożsamość.

– Stałeś się jeszcze bardziej niebezpieczny, gdy komitet postanowił zatrzymać ten program. Od wiosny dwa tysiące dziewiątego roku zaczęto zacierać wszystkie ślady po Matrioszce. Wtedy wpadłem na pomysł, jak cię uratować.

– Morderstwo?

– Jakieś przestępstwo, w które zostaniesz wplątany, co spowoduje twoje aresztowanie i tym sposobem będziesz bezpieczny. Wywołując szum w mediach, znajdując ci adwokata i eksperta psychiatrę, uratowałbym cię od umieszczenia na czarnej liście Mêtisu.

Kubiela zaczynał rozumieć obłędną logikę Toinina.

– Dlatego zabiłeś Uranosa?

– To musiało wyglądać na dzieło człowieka szalonego. Pomysł zaczerpnąłem z mitologii greckiej. Zawsze się nią pasjonowałem. Istoty ludzkie ciągle przebywają w przestrzeni określonej przez mity. Trochę to tak, jak te hangary dla łodzi podwodnych: ograniczające nas przestrzenie, których murów nawet nie widzimy.

Teren dla prawdziwego kryminalnego śledztwa. Chciał poznać jeszcze kilka szczegółów.

– Widziałem morderstwo. Namalowałem je na kilku moich płótnach. Jak to się stało, że byłem świadkiem tej rzezi?

– Wyznaczałem ci spotkanie. Przez cały czas nie traciłem cię z oczu. Podałem ci środek usypiający. Zabiłem kloszarda i wezwałem policję. Jednak wszystko potoczyło się inaczej, niż zaplanowałem. Zasnąłeś zbyt późno i zobaczyłeś całą scenę, a te gamonie z policji nawet nie ruszyły tyłków zza biurek!

– Jakoś udało mi się stamtąd uciec, ale szok wywołany widokiem mordu spowodował fugę. Znalazłem się w Cannes, potem w Nicei, pamiętając tylko o morderstwie.

– U Corto. Psychiatry artystów. – Pokiwał głową ze sceptyczną miną. – Leczyć szaleństwo malowaniem… Zresztą, dlaczego nie? On także był produktem lat siedemdziesiątych…

Kubiela mówił dalej spokojnym tonem:

– Nie wiem, czy przeżyłem kolejną traumę, ale znowu straciłem pamięć. Tym razem odnalazłem się jako kloszard w Marsylii i stałem się Victorem Januszem. W listopadzie dwa tysiące dziewiątego roku.

Toinin nagle niezwykle się ożywił.

– Byłeś naszym najlepszym pacjentem! Ucieczka psychiczna co dwa miesiące! Stale im to powtarzałem. Moja substancja wywołała w tobie zdumiewający efekt! Stanowiłeś doskonały obiekt do studiowania przebiegu

rozszczepienia. Ale było już za późno. – Jego głos przygasł. – Koniec badań, koniec programu…

– Czy zabójcy, którzy odnaleźli mnie wtedy i usiłowali pozbawić życia, zostali przez kogoś opłaceni?

– Nie znam szczegółów, ale znowu musiałem coś zrobić, żeby cię ratować.

– Zabiłeś więc Ikara.

– Żeby pozostać w świecie mitologii. Wyznaczyłem ci spotkanie w zatoczce Sortiou, obiecując, że przekażę ci ważne informacje o twoich początkach. Znowu wezwałem policję. I znowu bez rezultatu. Nie wiem, po co płacimy podatki.

– Kolejny raz straciłem pamięć. Jakiś czas potem stałem się Mathiasem Freire'em.

– Zdobyłeś pewne doświadczenie w kolejnych epizodach choroby. Twoja nowa osobowość była doskonała. Udało ci się, dzięki fałszywym papierom, zostać przyjętym do pracy w szpitalu w Bordeaux. Ludzie, którzy mieli cię wyeliminować, szukali cię ponad miesiąc. Poinformowano mnie o twojej nowej osobowości. Chciano wiedzieć, czy podjąłeś od nowa twoje śledztwo, czy wypytywałeś innych psychiatrów i tym podobne. Wykonałem kilka telefonów. Był koniec stycznia. Całkowicie wcieliłeś się w nową postać. Powiedziałem, że nie stanowisz żadnego zagrożenia, lecz rachunki musiały zostać wyrównane.

– Postanowiłeś więc znowu zabić w Bordeaux.

– Chciałem zrobić wielki numer. Minotaur! Tym razem zostawiłem twoje odciski palców w kanale naprawczym. Liczyłem, że gliny dostrzegą w końcu powiązanie z Victorem Januszem. Byłeś wcześniej aresztowany w Marsylii. Tam mieli sobie przypomnieć o zabójstwie Ikara. Miałeś zostać aresztowany za serię morderstw zainspirowanych mitologią. Poddano by cię badaniom psychiatrycznym i uznano, że jesteś niepoczytalny.

– Nie było prostszego sposobu, żeby mnie ukryć? Oskarżyć o jakieś mniejsze przestępstwo? Zamknąć w szpitalu psychiatrycznym?

– Nie. Miałeś dostać się do zakładu dla nieuleczalnie chorych. Poza zasięgiem zabójców. Postarałbym się dotrzeć do ciebie, żeby móc cię znowu badać. Stopniowo zapomniano by o całej sprawie. A ja mógłbym kontynuować eksperymenty na twoim umyśle.

Szaleństwo Toinina miało swoją logikę. Ale jaka wynikała z tego konkluzja? Może odpowiedzią był właśnie ten moment. Poza czasem, poza przestrzenią, w głębi tego bunkra. Nieważne, czy jest stąd wyjście, chciał usłyszeć rozwiązanie każdej zagadki.

– Zabijałeś swoje ofiary przez przedawkowanie heroiny. Gdzie zdobywałeś ten narkotyk?

– Sam go produkowałem. Heroina jest pochodną morfiny, której w mojej klinice nie brakuje. Od trzydziestu lat zajmuję się syntetyzowaniem różnych substancji. Rafinowanie heroiny to dziecinna zabawa.

– Powiedz, co Patrick Bonfils robił na dworcu w Bordeaux?

– Znalazł się tam przez przypadek. Patrick Bonfils należał do najstarszej generacji pacjentów. Ustabilizował się w swojej osobowości rybaka i nikt już o nim nie myślał. Jednak on zaczął interesować się swoim pochodzeniem. Chciał zrozumieć. Ta ciekawość zaprowadziła go do mojej kliniki w Vendee, gdzie przebywał już przedtem kilka razy. Postanowiłem wstrzyknąć mu dużą dawkę DCR, a potem usunąć implant. W ten sposób uratowałbym mu życie.

– Ale odebrał wszystko inne. Wspomnienia. Partnerkę. Pracę.

– I co z tego? Kilka godzin przed zabiegiem wpadł jednak w panikę. Uciekł, raniąc paru pielęgniarzy.

– Kluczem nastawnym i książką telefoniczną.

– Dalszy ciąg jest wręcz komiczny. Bonfils schował się w furgonetce, której używałem do transportu swoich ofiar. Zawiozłem go, nie wiedząc o tym, do Bordeaux. Poszedł za mną na dworzec kolejowy i zaatakował mnie w kanale naprawczym. Udało mi się zrobić mu zastrzyk. Zostawiłem go w baraku przy torach.

Wyłaniała się cała konstrukcja, ale brakowało jeszcze głównego elementu.

– Dlaczego tak ci zależało na ratowaniu mojego życia? Czy tylko dlatego, że byłem twoim najlepszym królikiem doświadczalnym?

– Skoro zadajesz takie pytanie, to znaczy, że nie pojąłeś istoty sprawy. Dlaczego twoim zdaniem wybrałem mity o Uranosie, Ikarze czy Minotaurze?

– Nie wiem.

– Za każdym razem jest to historia jakiegoś syna: potwora, niezdary, niszczyciela.

Wydało mu się, że ocean huczy coraz głośniej, że fale są coraz wyższe, silniejsze, że bunkier w końcu zostanie wyrwany z fundamentów. Z tego zawirowania wyłoniła się nagle straszliwa prawda.

– Chcesz powiedzieć…

– Jesteś moim synem, François. W czasie, kiedy pracowałem w przychodni, byłem wielkim uwodzicielem, możesz mi wierzyć. Miałem wszystkie moje pacjentki. Niekiedy robiłem im aborcję. Kiedy indziej dokonywałem eksperymentów na ich dzieciach. Wstrzykiwałem płodom opracowaną przeze mnie substancję i obserwowałem, co z tego wynika. Zawsze najlepiej jest się obsłużonym przez samego siebie!

Kubiela go nie słuchał. Ostatnia matrioszka rozpadła mu się w rękach. Podjął desperacką próbę, żeby wydostać się z tego koszmaru.

– A dlaczego nie miałbym być synem Andrzeja Kubieli?

– Spojrzyj na siebie w lustrze, a znajdziesz odpowiedź. Z tej właśnie przyczyny Andrzej zerwał kontakty ze mną, kiedy miałeś osiem lat. Z powodu tego podobieństwa. Przypuszczam, że wszystkiego się domyślił, ale wychował cię jak własnego syna.

Teraz cała historia nabrała innego sensu. Jean-Pierre Toinin uważał się za boga. W swoim synu widział półboga, takiego jak Herakles czy Minos. Jednak syn stale mu się wymykał, pragnął zniszczyć jego dzieło. Syn niezgrabiasz, niszczyciel. Był Minotaurem Toinina, jego ukrywanym, potwornym potomkiem. Był jego Ikarem, który poleciał za blisko słońca. Kronosem, który chciał go zabić, niszcząc jego potęgę…

Toinin podszedł do Kubieli i objął go za szyję.

– Te morderstwa to wyrazy hołdu, mój synu. Zresztą mam niezwykłe zdjęcia tych…

Urwał. Kubiela wyciągnął pistolet i przystawił do jego peleryny.

Toinin uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Jeśli mnie zabijesz, ona umrze.

– I tak wszyscy tu umrzemy.

– Nie.

– Nie?

Kubiela zdjął palec ze spustu.

– Nie mam zamiaru was zabijać. Możecie przeżyć.

– Pod jakim warunkiem?

– Macie dostosować się do reguł gry.

– Wydostać się stąd można tylko jednym wyjściem. Znajduje się po drugiej stronie bunkra na południowej fasadzie. Żeby tam dotrzeć, trzeba przejść przez dziesięć komór, zbudowanych swego czasu przez Niemców.

– Co to takiego?

– Hangary przeznaczone dla łodzi podwodnych. Słynnych U-Bootów.

Toinin pociągnął do siebie wewnętrzne drzwi prowadzące do kolejnego hangaru. Natychmiast smagnął go w twarz strumień wodnej piany. Nie zważając na rozbryzgi, otworzył drzwi jeszcze szerzej. Kubiela zobaczył długi basen z nabrzeżami, a nad nimi na wysokości dziesięciu metrów betonową, pomalowaną na biało kładkę. Tu i ówdzie sterczały z niej kawałki metalu, zapewne resztki niegdysiejszej balustrady. Powyżej żelazna konstrukcja podtrzymywała dach.

– Pójdziecie tym korytarzem, cały czas prosto. Biegnie nad wszystkimi hangarami. Przy odrobinie szczęścia dotrzecie na drugi koniec bunkra.

– Pozwalasz nam odejść?

– Pod jednym warunkiem. Ty będziesz szedł przodem, Anaïs za tobą. Jeśli odwrócisz się choćby jeden raz, żeby sprawdzić, czy wciąż tam jest, dziewczyna zginie.

„Nazywam ją Eurydyką”. Jemu została wyznaczona rola Orfeusza. Natychmiast przypomniał sobie historię śpiewaka grającego na lirze i jego żony zmarłej od ukąszenia żmii. Orfeusz, którego jedyną bronią była lira, przepływa Styks, oczarowuje muzyką Cerbera, staje przed Hadesem, wład-

cą podziemi, który godzi się uwolnić Eurydykę. Bóg jednak stawia jeden warunek: w czasie drogi powrotnej na ziemię Orfeusz musi iść przodem i nie wolno mu się ani razu odwrócić.

Dalszy ciąg jest znany. Orfeusz, gdy już był u wyjścia z królestwa zmarłych, nie wytrzymał i rzucił spojrzenie za siebie. Zobaczył Eurydykę, lecz było już za późno. Złamał obietnicę i ukochana zniknęła na zawsze w czeluściach Tartaru.

– A ty?

– Jeśli dotrzymasz słowa, zniknę.

– Cała sprawa się na tym zakończy?

– Dla mnie tak. Ty będziesz musiał uregulować swoje sprawy ze światem śmiertelnych.

Toinin schylił się i podniósł z ziemi gruby plik dokumentów owiniętych szczelnie w folię.

– Twoje zabezpieczenie na przyszłość. Informacje na temat programu Matrioszka. Daty. Nazwiska ofiar. Produkty. Odpowiedzialni.

– Policja zatuszuje całą sprawę.

– Oczywiście, ale są jeszcze media. Nawet nie musisz o tym opowiadać. Po prostu daj do zrozumienia ludziom z Mêtisu, że masz ich w ręku. Że od tego zależy ich bezpieczeństwo.

– A twoje morderstwa?

– W tych dokumentach jest również moje przyznanie się do winy.

– Nikt w to nie uwierzy.

– Podałem kilka szczegółów, które mogą być znane jedynie policji i mordercy. Są tam także dokumenty poświadczające, skąd i jak zaopatrywałem się w sprzęt potrzebny do każdej inscenizacji. Podałem też miejsce, w którym ukryłem moje dagerotypy.

– Co takiego?

– Anaïs ci wytłumaczy. Jeśli przeżyje. To znaczy jeśli zachowasz się zgodnie z regułami.

Kubiela pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Od samego początku tej historii ścigało mnie dwóch ludzi, którzy chcieli mnie zabić. Ostatecznie udało mi się ich załatwić. Ale pojawią się inni.

– Wszystko się ułoży, wierz mi.

– Już nie chcesz mnie chronić? Wtrącić mnie do więzienia lub zamknąć w zakładzie dla wariatów?

– Dożyłeś do tej pory. Dasz sobie radę, ze mną czy beze mnie. Kubiela zważył w ręku plik. Może rzeczywiście dzięki temu będzie mógł podjąć na nowo normalne życie. Był jednak jeszcze jeden zasadniczy detal.

– A moja choroba?

– Pozbyłeś się implantu. Nie podlegasz już wpływowi substancji. Nie ma żadnego powodu, żeby przytrafił ci się kolejny epizod fugi. Chociaż za nic nie można ręczyć. Ty sam jesteś eksperymentem. Ocal swoje życie, François, i życie Eurydyki. W tej chwili to twój jedyny obowiązek.

Toinin podszedł do Anaïs. Kubiela zrozumiał, że stary psychiatra nie blefuje. Rzeczywiście zamierza ich uwolnić. Bóg olimpijski, który zgadza się na odroczenie wyroku dla dwojga śmiertelników.

– Należało zacząć od tych dokumentów, czyż nie?! – zawołał, przekrzykując szum fal. – Uratowałbyś życie niewinnych ludzi!

– Nie lekceważ nigdy zamiłowania bogów do gry. I do krwi. Toinin zerwał kominiarkę z twarzy Anaïs. Jej wargi wyglądały jak przypalone gorącym żelazem. Klej utworzył wokół ust ciemną obwódkę. Anaïs przypominała zeszpeconego klowna. Była bezwolna, ledwie przytomna.

– W takim stanie nie zdoła iść.

Toinin wyjął jednorazową strzykawkę. Zębami rozerwał plastikowe opakowanie, zanurzył igłę w maleńkiej buteleczce, po czym wypuścił kilka kropel w powietrze pod sufit.

– Obudzę ją.

– A kajdanki?

– Muszą zostać. Zgadzasz się na to albo rezygnujesz.

– Skąd mam mieć pewność, że będzie szła za mną?

Toinin chwycił Anaïs za ramię i wbił w nie igłę.

– Proszę cię o jedną rzecz: zaufaj mi. To klucz do wyjścia stąd. Kubiela pomyślał, że ten szaleniec ma własny sposób rozumowania. Jak przy morderstwach, kiedy starał się jak najwierniej odtworzyć dany mit. Teraz postępował niczym Hades, który uwolnił Eurydykę. On natomiast musi uniknąć błędu Orfeusza.

Przede wszystkim nie odwracać się.

Toinin wepchnął powoli tłok do końca strzykawki, po czym wyciągnął igłę. Wrócił do Kubieli i wskazał na uchyloną bramę, przez którą wdzierały

się rozbryzgi piany.

– Idź schodami do góry. Wstrzymuj oddech przy każdej fali. Za hangarami czeka na was wolność.

Kubiela popatrzył ostatni raz na starego szaleńca. Na jego ogorzałą, pomarszczoną twarz. Miał wrażenie, jakby oglądał siebie samego w zamglonym, odziedziczonym po przodkach lustrze. Za jego plecami Anaïs zaczynała się budzić.

– Ruszaj – mruknął Toinin. – Dziewczyna za chwilę podąży za tobą.

– Naprawdę?

Zabójca mrugnął do niego okiem.

– Odpowiedź czeka na ciebie przy wyjściu z bunkra.

Już od dawna hangary były opustoszałe, nie cumowały w nich żadne łodzie podwodne. Jednak tej nocy rozszalałe fale reanimowały te zapomniane piwnice. Kubiela, stojąc bez ruchu na betonowej rampie, przyklejony do muru, obserwował toczącą się w dole walkę. Każda fala wdzierająca się do hangaru nasączała beton czarną wodą, a potem cofała się z wściekłością, obijając się o mury, zostawiając wilgotną pianę na nabrzeżach… Ocean dawał bunkrowi kilka sekund wytchnienia, po czym wracał ze zdwojoną siłą.

Należało wykorzystać każdą taką przerwę, żeby pokonać dwadzieścia metrów kładki nad hangarem. Bez zwlekania, bo fale były tak gwałtowne, że mogły bez trudu strącić go z rampy w dół.

Poczekał na cofnięcie się fali i pobiegł w kierunku kolejnego muru. Źle obliczył. W środku tego odcinka dosięgnął go strumień piany. Upadł na ziemię. Zamknął oczy. Wstrzymał oddech. Zwinął się w kłębek, żeby stawić opór prądowi.

Poczekał, aż woda wokoło się uspokoi, i dopiero wtedy wstał. Potykając się, pobiegł szybko do następnego muru. Był kompletnie przemoczony. Dokumenty schował do spodni. Nie wiedział, czy nie zgubił pistoletów. Dotarł do wnęki, przywarł do bloku grubości dwóch metrów, który dzielił go od następnego hangaru. Od huku w basenie drżały ściany. Miał wrażenie, jakby ocean go ścigał. Czy Anaïs była za nim? W tym hałasie nie słyszał jej kroków. Nie wolno mu było się odwrócić…

Przed nim w następną wnękę wdarła się fala. Kiedy droga była wolna, pobiegł do kolejnego muru. Po raz drugi źle to obliczył. Gdy tylko znalazł się na rampie, zalała go woda, zgarniając w dół. Chwycił się balustrady, jedynego punktu oparcia.

Fala odpłynęła. Wreszcie mógł odetchnąć. Trzymając się mocno, wisiał nad przepaścią. W rozpaczliwym wysiłku zamachnął się nogą ku krawędzi rampy. Udało mu się zaczepić o nią stopą. Pierwsze zwycięstwo. Przerzucił drugą nogę, biodra, tors. Opadł ciężko na beton, ogłuszony, mokry, trzęsąc się z zimna. Ręce miał jak sparaliżowane. Sól zamgliła mu wzrok. Woda po kolana, w uszach, w ustach.

Nie było mowy o jakichkolwiek wyliczeniach. Automatycznie, niczym robot, zmierzał do kolejnego hangaru. Przemoczone ubranie ważyło całe tony. Co z Anaïs? Kusiło go, żeby zerknąć przez ramię, ale się powstrzymał. Bez wątpienia Toinin obserwował go, czy dotrzymuje umowy.

Czwarty hangar. Przeszedł. Bolał go kark. Oczy zalewały się łzami. Całe ciało dygotało z zimna. Czy nie zgubił dokumentów? Nie wiedział już, czy bardziej zależy mu na tych papierach, czy na życiu. Prawdę mówiąc, chodziło o to samo.

Piąty hangar. Ponownie opadły go wątpliwości. Czy Anaïs podąża za nim? Ogarniała go coraz większa panika. Toinin uciekł, zabierając ją ze sobą jako zakładniczkę, a on odgrywał swoją rolę – oddalał się od tamtego miejsca, nie oglądając się za siebie. Już miał to sprawdzić, ale znieruchomiał. Nie. Nie popełni błędu Orfeusza…

Dotarł do szóstego hangaru, kiedy rozległ się głośny huk. Woda była tuż-tuż, kilka metrów dalej, zalewała wszystko. Przywarł plecami do muru. Fala szukała go, wlewała się w najmniejszy załom, lecz on trzymał się mocno, wczepiony w beton. Gdy tylko fala ustąpiła, ruszył w swoją drogę. Przebył zaledwie dwadzieścia metrów, kiedy nowa fala runęła mu na plecy. Anaïs musiała być z drugiej strony. Albo w dole. Czy wytrzyma te uderzenia? Czy jest w stanie skrępowanymi rękami chwytać się krawędzi rampy? Jedno spojrzenie… Tylko jedno spojrzenie…

Nie odwrócił się, przeszkodziła mu w tym fala. Masy wodne pieniły się, szły do góry, wirowały wokół niego i ponownie go zalewały. Poczuł, że wypadły mu dokumenty, wyrwane prądem. Wyciągnął po nie rękę, lecz natychmiast z tego zrezygnował.

Potrzebne mu były dwie ręce, żeby się móc chwycić. Kiedy woda się cofnęła, odetchnął głęboko.

Ruszył do następnego hangaru. Stracił rachubę. Siódmy? Dziewiąty? Czy dotarł już do końca bazy? Anaïs. Miał pewną szansę, żeby wygrać. Jeśli była za nim, jakoś z tego wyjdą. Ale może jej tam nie ma, może już ją stracił? A jeśli jest, a on popełni błąd i spojrzy na nią? Po prostu tylko rzuci okiem…

Nagle uświadomił sobie, co ma przed sobą – ślepy mur. Nie było już kolejnego hangaru. Doszedł do miejsca przeznaczenia. Popatrzył w dół i zobaczył u stóp schodów uchylone drzwi. Toinin nie kłamał. Wyjście było kilka metrów poniżej. Pozostawało więc tylko tam zejść i uciec.

Jednak w sytuacji, w jakiej się teraz znalazł, było coś dantejskiego. Przecież nie mógł nie pomóc Anaïs. Nie chciał przebyć tych ostatnich metrów bez niej… Odwrócił się i zobaczył ją na drugim końcu rampy. Zobaczył jej ciemne oczy, białą skórę. Powróciło wspomnienie, kiedy ujrzał ją pierwszy raz. Krzyk. Biała mgła. Alicja w krainie koszmarów.

Kubiela pojął, że przegrał. Dokładnie tak samo jak w micie. W tym momencie zza pleców Anaïs wyskoczył zabójca. Miał na twarzy maskę przekrzywioną na jedną stronę, otwarte usta przywodziły na myśl zęby piły. Owinięty był w coś, co przypominało kożuchy pasterzy z Anatolii. W ręku trzymał topór z kutego brązu lub z krzemienia.

Rzucił się ku niemu, lecz było już za późno. Toinin wziął potężny zamach. Nim jednak ostrze topora spadło na głowę Eurydyki, potworna masa wody runęła na rampę. Ocean w jednej chwili porwał kata i jego ofiarę.

Kubiela w ułamku sekundy zdążył pomyśleć, że fala ma wysokość domu. Żaden człowiek, żaden bóg nie byłby w stanie oprzeć się tysiącom metrów sześciennych rozszalałej wody… Potem fala zmiotła także i jego. Runął ponad barierą, głową w dół, pogrążył się w otchłani.

W szalejącym wodnym wirze Anaïs nie czuła ani rąk, ani nóg. Płynęła, miotana na wszystkie strony.

Niespodziewanie zobaczyła dagerotypy. Te, które Toinin pokazał jej, zanim ją uśpił. Były bardzo wyraziste. Patrzyły na nią ofiary: Minotaur. Ikar. Uranos. Ich stężałe twarze błyszczały w wodzie niczym połyskujące algi. Bohaterowie świata bogów i ludzi. Pomyślała: Nie żyję. A po chwili: Śnię.

Fala zmiotła zdjęcia. Anaïs poczuła, że coś ją unosi, odwraca, rzuca na ziemię. Następnie wlecze po betonie w strugach piany. Usiłowała zrozumieć, co się z nią dzieje. Morze wessało ją, wyciągnęło poza bunkier, po czym wypchnęło kilka metrów wyżej na płaską, twardą powierzchnię. Być może na dach bazy. Wydostała się z pułapki dzięki sile żywiołu.

Natychmiast pomyślała o Freirze. Gdzie był? Podążała za nim po rampie, w szalejącej wodzie. Czepiała się muru, jak mogła. Freire się nie odwracał. Dotrzymywał słowa. W myślach dziękowała mu za to. Toinin, zły duch żądny krwi, szedł tuż za nią, śledząc swojego Orfeusza, czekając na rozwiązanie przewidziane w micie. W ostatniej sekundzie Freire nie wytrzymał, odwrócił się. Jeszcze miała w oczach jego osłupienie, rozpacz, gdy pojął, że przegrał…

Gdzieś dalej wyłoniła się fala, niczym ściana z betonu. Rozbryzgi wody zmieniły się w jej mózgu w tysiące gwiazd. Jakimś cudem wstała. Znowu miała ciało, siły, ręce i nogi. Woda, która jeszcze przed chwilą była twarda

jak kamień, teraz rozlewała się płytko u jej stóp, cofała coraz mniejszymi falami z szumem piany.

Rozejrzała się, żeby zorientować się w sytuacji. Znajdowała się na samym szczycie bazy łodzi podwodnych, obudowanej wysokimi ścianami z betonu tak, że tworzyły jakby taras podzielony na osobne części. Z pewnością był to system, który miał zapobiegać bezpośrednim uderzeniom bomb podczas alianckich nalotów. Zaskakująca była obecność drzew, które rosły między betonowymi blokami, nadając temu miejscu wygląd porzuconego więzienia w dżungli.

Zaczęła iść wzdłuż muru, a gdy rozsuwała gałęzie, w rękach zostawały jej kawałki kory. Gdzie był zabójca? Gdzieś w tym labiryncie. Ręce nadal miała skrępowane nylonowymi kajdankami. Potykała się, próbując złapać równowagę. Dotyk lodowatej wody wokół kostek był tak samo bolesny jak dotyk linki wrzynającej się w nadgarstki. Musiała działać szybko. Znaleźć wyjście. Znaleźć drabinę. Zejść na nabrzeże. W oddali ocean szykował się do ponownego ataku.

Chwytając się narożnika, wychyliła się i zobaczyła drugą część dachu, płaską jak dziedziniec, popękaną jak grunt po trzęsieniu ziemi. Spojrzała na lewo – baseny portowe, statki towarowe stojące w nieładzie, holowniki mrugające światłami. Bez zastanawiania się obrała kierunek przeciwny. Oddalić się od wody. Dojść do parkingów i magazynów.

Przewróciła się w kałuży. Wstała. Odeszła już jakieś trzydzieści metrów od skraju dachu, kiedy uderzyła w nią kolejna fala i porwała ze sobą. Myślała, że zaraz zsunie się z dachu, lecz zanim znalazła się nad przepaścią, ta sama fala odrzuciła ją do punktu wyjścia.

Anaïs zachłysnęła się wodą. Okrutny żywioł igrał z nią. Próbowała zaczerpnąć świeżego powietrza. Zaklejone wargi nie pozwalały jej oddychać ustami. Wciągnęła powietrze przez nos. Słona woda dotarła aż do zatok czołowych. W uszach szumiało jak w muszlach. Musi dotrzeć na drugą stronę dachu i znaleźć drabinę, zanim kolejna fala wyrzuci ją w powietrze. Ta gra była jak obosieczny miecz. Skraj dachu mógł jej ofiarować ocalenie, ale także pewną śmierć.

Próbowała bezskutecznie przyspieszyć kroku. Huk za jej plecami rósł, podnosił się niczym kurtyna w teatrze. Dwadzieścia metrów.

Wzrokiem szukała jakichś stopni, drabiny, jakiegoś sposobu zejścia na dół. Dziesięć metrów. Ryk tuż za nią. Nadchodziła rozszalała fala, zaraz ją

porwie… Za późno, żeby uciec.

Ale atak przyszedł z innej strony.

Naprawo od niej pojawił się zabójca. Miał wykrzywioną twarz, w ręku trzymał krzemienny topór. Anaïs miała teraz dwie możliwości. Albo fala zmiecie ją w przepaść, albo czeka ją śmierć z rąk zabójcy. Rzuciła się pierwsza na Toinina, mierząc głową w jego brzuch. Zgiął się wpół. Runęli na ziemię. Anaïs, szybsza, zerwała się na równe nogi. Oceniła dwa zagrożenia – nadpływająca fala, podnoszący się z ziemi morderca z Olimpu…

Coś kazało jej odwrócić głowę w lewo. Zobaczyła stalową drabinę przymocowaną do platformy. Ruszyła w tamtą stronę. Zabójca biegł tuż za nią, wymachując toporem.

Była to ostatnia rzecz, jaką zobaczyła. Fala zalała ich oboje. Anaïs zamknęła oczy. Tysiące szponów spienionej wody zacisnęło się na jej piersi, głowie. Przytłumiony bulgot wody. Odgłos przetaczających się kamieni. Nie zginąć od ciosów mordercy było już zwycięstwem. Lecz nie miała dosyć sił, żeby dalej walczyć o życie.

Ostatnią rzeczą, o jakiej pomyślała, był monitor z migającą linią świetlną, obrazującą oznaki życia u chorego. W głębi jej mózgu rozległ się dzwonek alarmowy komputera. Ale już się oddalał, zagłuszony rykiem oceanu…

Ocuciło ją uderzenie w plecy. W przebłysku świadomości pojęła, że drabina wytrzymała. Jakimś sposobem, na oślep, uchwyciła się jednego ze szczebli. Chwilę potem, ociekając wodą, zawisła nad otchłanią. Fale jej nie porwały. Była ledwie żywa, lecz czuła się dziwnie odnowiona, oczyszczona, zregenerowana.

Mimo że palce miała zgrabiałe, a nogi drżące, zaczęła schodzić, oddychając nosem, czując palącą ją od wewnątrz morską sól. Schodziła i schodziła. Ta droga w dół nie miała końca.

Wreszcie ostatni szczebel i pod nim twardy grunt. Chwiała się, nie wierząc własnym oczom. Zobaczyła tory kolejowe. Cysterny. Ciemne zabudowania. Wzrok zaszedł jej mgłą. Straciła równowagę. Kiedy kolanami dotknęła betonu, ujrzała, że potwór miał mniej szczęścia. Jego zdeformowane ciało splamiło krwią asfalt. Czaszka pękła pod maską.

– Jak się pani czuje?

Mężczyźni w pelerynach przeciwdeszczowych. Latarki elektryczne. Głosy stłumione szelestem kapturów. Jeden z nich zauważył kajdanki krępujące

jej przeguby. Pokazał je koledze. Chciała coś powiedzieć, ale miała sklejone usta.

Pomyślała o swoim herosie. Gdzie był? Czy się uratował? Mężczyźni pomogli jej wstać. Powinna im powiedzieć, żeby szukali Mathiasa Freire'a. Victora Janusza. Narcyza. Arnauda Chaplaina. François Kubieli…

Tak naprawdę w myślach nazywała go innym imieniem. Chciała go zawołać. Wrócić po niego. Ratować go.

Nie przestawała powtarzać: Orfeuszu… Orfeuszu… Orfeuszu… Jednak żaden dźwięk nie wydostawał się z jej sklejonych warg.

Spustoszenie spowodowane huraganem widoczne było w kałużach, w rozbitych szybach, w nadal niespokojnych basenach portowych. W promieniach słońca wszystko wyglądało jeszcze gorzej. Światło odsłaniało każdy szczegół zniszczeń. Stojąca wszędzie woda połyskiwała smutnym, posępnym, żałobnym blaskiem. Ciepłe słońce było niczym gorączka zapowiadająca chorobę, wyzdrowienie lub śmierć.

Ocknął się zasłonięty do połowy powalonymi pniami drzew i wolał nie zastanawiać się nad tym, jak się znalazł w tej kryjówce. Jednym ruchem wspiął się na górę i rozejrzał dokoła. Zwalone słupy turbin wiatrowych. Przewrócone na ziemię dźwigi. Na zalanym parkingu pływały, wpadając na siebie, samochody. Unoszące się na wodzie szczątki drzew przypominały trupy. Koszmarna wizja.

Chwycił zwisający kabel, ale ześlizgnął się z pnia i upadł na asfalt. Nie był w stanie utrzymać się na nogach. Ciało miał jak z gąbki. Z wielkim trudem podniósł się i zobaczył nowe szczegóły. Na ziemi leżały kamienie, liny, fragmenty masztów. Droga była popękana, kawałki asfaltu – powyrywane. Statki towarowe w basenach miały poobijane o nabrzeża burty. Jedna z łodzi celników zaryła dziobem w piasek, inna leżała na boku.

Ruszył chwiejnym krokiem wzdłuż nabrzeża, omijając wyrwane płyty, szczątki takielunku, drzewa, żelastwo. Marynarze, siedząc na pachołkach do cumowania, łapali się za głowy. Zszokowani żandarmi i strażacy ocenia-

li szkody. Panowała cisza nasycona przerażeniem. Przemówiła natura. Na to nie było ratunku.

Zakręciło mu się w głowie, stanął, pochylił się do przodu, opierając ręce na kolanach. On sam także był wrakiem.

– Co się panu stało?

Podniósł głowę i poszukał wzrokiem, skąd dochodził głos. Przed nim stali dwaj strażacy w czarnych kurtkach z odblaskowymi opaskami.

– Czy dobrze się pan czuje?

Nie odpowiedział, nie będąc pewnym swego stanu.

– Skąd pan jest? Gdzie pan mieszka?

Otworzył usta, poczuł, że czyjaś ręka chwyta go za ramię. Oślepiło go słońce.

– Jak się pan nazywa?

Patrzył na nich, nie odpowiadając. Zastanawiał się, co jest z nim nie tak. Co zrobiło z niego prawdziwego rozbitka, całkiem niezależnie od huraganu.

– Jakie jest pańskie nazwisko?

W końcu pojął. Z przepraszającym uśmiechem szepnął:

– Nie wiem.